

powieści Davida Baldacciego

ZDAŹYĆ NA BOŻE NARODZENIE

KRYTYCZNY MOMENT

KLUB WIELBŁADÓW

KOLEKCJONERZY TAJEMNIC

Oficjalna strona internetowa Davida Baldacciego

www.david-baldacci.com

David
BALDACCI

Klub
Wielbłądów

*Powieść tę dedykuję funkcjonariuszkom i funkcjonariuszom
amerykańskiej Secret Service*

*oraz Larry'emu Kirshbaumowi — świetnemu redaktorowi,
wybitnemu wydawcy i cudownemu przyjacielowi*

PROLOG

Chevrolet suburban pędził w mrocznej ciszy wiejskich terenów Wirginii. Siedzący za kierownicą czterdziestojednolletni Adnan ar-Rimi nie odrywał wzroku od pełnej zakrętów szosy. W okolicznych lasach żyło mnóstwo jeleni i Adnan nie chciał, by szyćbę przebiły mu nagle jakieś zakrwawione rogi. Prawdę powiedziawszy, nie miał ochoty na jakiegokolwiek niespodziewane ataki. Oderwał od kierownicy dłoń w rękawicze i dotknął rewolweru pod marynarką. Broń nie służyła mu tylko do poprawiania samopoczucia. Dla niego była czymś niezbędnym.

Usłyszał dochodzący z góry dźwięk i spojrział w okno.

Z tyłu wiózł dwóch pasażerów. Mężczyzna rozmawiający teraz w farsi przez telefon komórkowy nazywał się Muhammad az-Zawahiri i był Irańczykiem przybyłym do Ameryki krótko przed atakiem z 11 września. Obok niego siedział Afgańczyk Gul Khan, który przebywał w Stanach dopiero od paru miesięcy. Khan był potężnie zbudowanym mężczyzną z ogoloną na łyso głową, ubrany w kurtkę myśliwską z kamuflażem. Zwinnymi palcami majstrował coś przy pistolecie maszynowym, potem z metalicznym trzaskiem wepchnął magazynek na miejsce i ustawił przełącznik na krótkie serie po dwa pociski. Na szyćbę spadło kilka kropli deszczu i Khan zaczął obojętnie przyglądać się ich powolnej drodze w dół.

— Ładnie tu — mruknął w paszto. Język ten był zrozumiały dla Muhammada, Adnan praktycznie go nie znał. — U nas wszędzie pełno wraków sowieckich czołgów. Żeby uprawiać

ziemię, chłopci muszą je omijać. — Zawiesił głos, potem z widoczną satysfakcją dodał: — Amerykańskie też są.

Adnan nie przestawał zerkać w lusterko wsteczne. Nie podobał mu się ten osiłek z pistoletem maszynowym na kolanach, niezależnie od tego, jak dobrym był muzułmaninem. Zresztą Irańczykowi też zbyt nie ufał. Sam urodził się w Arabii Saudyjskiej, skąd jako dziecko wyemigrował do Iraku. Podczas straszliwej wojny iracko-irańskiej walczył po stronie Iraku i jego niechęć wobec dawnego wroga wciąż w nim głęboko tkwiła. Pod względem etnicznym Muhammad az-Zawahiri był Persem, nie Arabem jak Ar-Rimi, i to był kolejny powód, żeby mu nie ufać.

Muhammad skończył rozmawiać, starł drobinę błota z amerykańskich skórzanych kowbojek, spojrzął na swój kosztowny zegarek i rozparłszy się na oparciu siedzenia, z uśmiechem na ustach zapalił papierosa. Powiedział coś w farsy i Khan parsknął śmiechem. Oddech zwalistego Afgańczyka przesycony był wonią cebuli.

Adnan jeszcze mocniej zacisnął dłonie na kierownicy. Nigdy nie należał do ludzi lekkomyślnych i zdecydowanie nie pochwalał beztroski Irańczyka wobec ważnych spraw. Chwilę później znów spojrzął w okno.

Widać Muhammad też to usłyszał, bo opuścił szybę, wystawił głowę i spojrzął w zachmurzone niebo. Dojrzał w górze czerwone błyski i rzucił polecenie Adnanowi, który kiwnął głową i docisnął pedał gazu. Obaj pasażerowie zapięli pasy.

Samochód pognał po krętej wiejskiej szosie jeszcze szybciej, biorąc zakręty z takim impetem, że przy niektórych musieli się wczepiać rękami w zwisające po bokach uchwyty. Jednak na takiej drodze nawet najszybszy samochód świata nie miałby szans ze śmigłowcem.

Nadal posługując się farsy, Muhammad kazał Adnanowi stanąć pod jakimś drzewem i upewnić się, czy helikopter poleci dalej.

— Może leć do wypadku? Może to helikopter pogotowia ratunkowego? — dodał.

Adnan wzruszył ramionami. W farsy nie czuł się zbyt pewnie i często niuanse wypowiedzi mu uciekały. Ale niepotrzebny był lingwista, by wyczuć zaniepokojenie w głosie mówiącego. Zatrzymał się pod kępą przydrożnych drzew, wszyscy trzej

wysiedli i kucnęli za samochodem. Khan wycelował pistolet maszynowy w niebo, Adnan wyciągnął swoją broń z kabury. Muhammad z telefonem komórkowym w zaciśniętej dłoni nerwowo rozglądał się wokół. Przez chwilę wydawało się nawet, że śmigłowiec poleciał dalej, jednak po chwili przez korony drzew nad ich głowami przedarł się snop światła z reflektora.

Muhammad rzucił po angielsku „cholera!” i ruchem głowy polecił Adnanowi, by ten ruszył się i rozejrzał.

Irakijczyk przebiegł skulony kilkanaście kroków dzielących ich od końca zarośli i ostrożnie spojrzął w górę. Śmigłowiec wisiał nieruchomo niecałe dwadzieścia metrów nad nimi. Zawrócił i poinformował towarzyszy o sytuacji.

— Chyba szukają miejsca do wylądowania — dodał.

— Mamy w wozie granatnik? — spytał zdenerwowany Muhammad. Przywykł do tego, że jego udział w akcjach polega na planowaniu szczegółów, nie na czynnym udziale, kiedy trzeba zabijać lub samemu dać się zabić.

Adnan pokręcił przecząco głową.

— Nie myśleliśmy, że będzie nam potrzebny.

— Cholera! Słyszycie? — syknął Muhammad. — Chyba lądują. — Korony drzew zatrzęsły się od podmuchu wywołanego przez wirnik śmigłowca.

Adnan kiwnął głową na towarzyszy.

— To tylko mały dwumiejscowy helikopter. A nas jest trzech! — powiedział twardo i spojrzął na przywódcę. — Wyciągaj broń, Muhammad, i szykuj się do walki. Nie pójdzie im tak łatwo. Zabierzemy z sobą tych Amerykańców.

— Ty głupcze! — parsknął Muhammad. — Myślisz, że nie zdążyli zawiadomić innych? Po prostu nas tu przytrzymają i poczekają na posiłki.

— Ale przecież papiery mamy dobre — zaperzył się Adnan. — Najlepsze, jakie można kupić.

Irańczyk spojrzął na niego jak na półgłówka.

— Jesteśmy trójką uzbrojonych Arabów w środku świńskiego zagłębia hodowlanego Wirginii. Zdejmą mi odciski palców i w ciągu paru sekund będą wiedzieć, kim naprawdę jestem. Namierzyli nas — dodał z kolejnym syknięciem. — Ale jak to się mogło stać? Jak?

Adnan ruchem głowy wskazał na telefon komórkowy w ręku Irańczyka.

— Może to ta twoja komórka, przez którą tyle gadasz. Takie rzeczy dają się namierzyć. Już ci to mówiłem.

— Niech się stanie wola Allaha — powiedział Gul Khan i przestawił przełącznik pistoletu na ogień ciągły, zapewne spełniając w ten sposób boskie polecenie.

Muhammad popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Jeśli nas teraz dorwą, nasze plany wezmą w łeb. Myślisz, że tego właśnie chce Allah? Tak myślisz? — Przerwał i zaczerpnął głęboko powietrza. — Posłuchajcie mnie teraz, co macie zrobić. Co musicie zrobić! — Uniósł palec ku uginającym się koronom drzew i oświadczył uroczystym tonem: — Macie ich powstrzymać i umożliwić mi ucieczkę. Niecały kilometr na zachód za lasem jest inna szosa. Zadzwońię do Marwana i każę mu po mnie przyjechać innym samochodem. Ale wy musicie ich tu przytrzymać. Musicie to zrobić!

Adnan obrzucił swego przywódcę ponurym spojrzeniem. Z miny wynikało, że gdyby w jego rodzimym języku istniało słowo „cykor”, zapewne teraz by go użył.

— Dalej, ruszajcie, odciągnijcie ich ode mnie. Musicie poświęcić się dla sprawy! — wykrzyknął Muhammad i cofnął się.

— Jeśli mam umrzeć, żebyś ty mógł uciec, to przynajmniej oddaj mi broń — wycedził Adnan pogardliwie. — Tobie i tak do niczego się nie przyda.

Irańczyk wyszarpnął pistolet i rzucił go w stronę Adnana.

Zwalisty Afgańczyk spojrział w górę i uśmiechnął się.

— Adnan, a co powiesz na to? — rzucił przez ramię. — Jakby tak odstrzelić im śmigło ogonowe, zanim wylądują. W moim kraju to na Amerykanów świetnie działało. Walili się wtedy na ziemię i karki trzaskały im jak gałązki.

Kula trafiła go w szyję od tyłu i jak na ironię spowodowała, że to jego kark trzasnął jak gałązka. Afgańczyk runął na ziemię ;. martwy.

Adnan przeniósł lufę z pierwszej ofiary i skierował ją na Muhammada, który na widok zdrady rzucił się do ucieczki. Nie był zbyt wysportowany, a jego ukochane wysokie kowbojki nie

najlepiej nadawały się do biegania i Adnan dogonił go, gdy ten potknął się o zmurszały pień i runął na ziemię.

Muhammad wlepił wzrok w twarz kompana stojącego nad nim z jego własnym pistoletem wymierzonym prosto w głowę i z ust popłynął mu potok przekleństw w farsi. Po chwili zamieniły się one w błagania wypowiedane w dość niepewnym arabskim i zakończyły okrzykiem po angielsku:

— Adnan, proszę. Dlaczego? Dlaczego?

— Handlujesz narkotykami — odrzekł Adnan po arabsku — bo twierdzisz, że tak zdobywasz pieniądze dla sprawy. Ale naprawdę bardziej cię interesuje kupowanie kowbojek i różnych świecidełek niż święta sprawa islamu. Zatraciłeś się, Muhammad. Jesteś już jak Amerykanin. Ale nie dlatego to robię.

— Więc dlaczego, powiedz! — wykrzyknął Irańczyk.

— Bo teraz to ty złożysz ofiarę sprawie. — Adnan powiedział to bez uśmiechu, ale błysk triumfu w jego oczach był wyraźny. Przyłożył pistolet do lewej skroni leżącego i wystrzelił, co raz na zawsze zatrzymało potok słów Irańczyka we wszystkich językach. Potem odcisnął jego palce na rękojeści pistoletu, rzucił go obok ciała i szybkim krokiem ruszył w stronę polany. Helikopter zdążył już wylądować i właśnie otwierały się jego drzwiczki. Adnan okłamał towarzyszy, bo śmigłowiec naprawdę był czteromiejscowy. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn o nie-arabskich rysach twarzy, którzy wyciągnęli z wnętrza jakiś toboł i poszli za Adnanem do ciała Muhammada. Po drodze przystanęli przy samochodzie i Adnan zabrał z niego strzelbę.

Tobołem okazał się wór na zwłoki. Położyli go na ziemi, odsunęli suwak i we wnętrzu ukazało się ciało mężczyzny ładząco podobnego do Adnana i ubranego dokładnie jak on. Był nieprzytomny, ale jeszcze oddychał. Wyjęli go i ułożyli pod drzewem obok trupa Irańczyka. Adnan podał jednemu z mężczyzn portfel, a ten wetknął go do kieszeni marynarki leżącego. Drugi z mężczyzn wziął od Adnana strzelbę, owinął wokół niej martwe dłonie Muhammada, wycelował w głowę nieprzytomnego i jednym pociskiem odstrzelił mupół twarzy. W ciągu kilku sekund z ofiary uleciały resztki życia. Adnan był w tych sprawach ekspertem, choć nie z własnego wyboru. Tylko szaleniec mógłby sobie wybrać tai zawód.

Chwilę później wszyscy trzej ruszyli biegiem w stronę

śmigłowca, wsiedli do środka i maszyna natychmiast uniosła się w powietrze. Na burtach helikoptera ani na jego ogonie nie było żadnych znaków, a towarzyszący mu ludzie nie mieli na sobie mundurów. Adnan usiadł z tyłu i zapiął pasy, ale nikt nawet na niego nie spojrział. Sprawiali wrażenie, jakby woleli nie wiedzieć o jego istnieniu.

Adnan przestał już myśleć o martwych towarzyszach, a jego myśli powędrowały ku czekającej ich chwalebnej przyszłości. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wiele przyszłych pokoleń będzie wspominało ich wyczyn z należnym podziwem. Adnan ar-Rimi był oficjalnie trupem, zatem dla sprawy kimś bezcennym.

Śmigłowiec obrał kurs na północ ku miasteczku Brennan w zachodniej Pensylwanii. Chwilę później na niebie nad wiejskimi terenami Wirginii znów zapadła cisza, a ślapiący kapuśniaczek powoli spłukiwał ślady krwi.

ROZDZIAŁ 1

Biegł z całych sił, bo wokół sypał się grad kul. Nie widział, kto do niego strzela, nie miał broni, z której mógłby się ostrzeliwać. Kobieta biegnącą obok była żona, dziewczynką u jej boku — ich córka. Kula rozorwała nadgarstek żony i usłyszał jej rozpaczliwy krzyk. Potem dosięgła ją druga kula i zobaczył rozwierające się z przerażenia oczy. Przez ułamek sekundy jej źrenice się rozszerzyły, sygnalizując moment śmierci, zanim mózg zdążył go zarejestrować. Ciało żony runęło na ziemię, on zaś skoczył ku dziecku, chcąc je sobą osłonić. Wyciągnął dłoń ku córce, jednak jej nie dosięgnął!. Zawsze tak się kończyło.

Obudził się i usiadł wyprostowany, czując, jak kropelki potu spływają mu po twarzy i wsiąkają w długą, krzaczastą brodę. Skropił sobie policzki wodą z butelki. Wiedział, że chłodna woda złagodzi uczucie pieczenia po powtarzającym się sennym koszmarze.

Wstał i natrafił stopami na leżącą przy łóżku kasetkę. Po chwili wahania otworzył ją i wyciągnął mocno podniszczony album z fotografiami. Obejrzał kolejno kilka zdjęć kobiety, która była jego żoną, potem wpatrywał się w fotografie córki z czasów jej niemowlęctwa i pierwszych lat życia. Późniejszych jej zdjęć już nie było. Oddałby życie, by choć przez chwilę móc ją zobaczyć jako młodą kobietę. Nie było dnia, by nie rozmyślał o tym, jak by wyglądała.

Rozejrzał się po skromnym wnętrzu. Przy ścianach stały zakurzone półki pełne książek. Pod oknem wychodzącym na

spowitą mrokiem zieleń stało stare biurko zarzucone notesami wypełnionymi jego starannym pismem. Okopcony kamienny kominek był głównym źródłem ciepła w jego skromnej chatce, w której poza pokojem była jeszcze mała kuchenka, gdzie przyrządzał sobie proste posiłki, i jeszcze mniejsza łazienka.

Rzucił okiem na zegarek, wziął lornetkę z rozchwianego drewnianego stolika przy łóżku i zabrał z biurka stary wysłużony plecak. Schował lornetkę, kilka notesów i wyszedł.

Stare omszałe płyty nagrobkowe połyskiwały blado w świetle księżycy. Zszedł po stopniach z podestu, czując, jak rześkie nocne powietrze chłodzi żar pozostały w głowie po sennym koszmarze, nie sięgając jednak żaru palącego serce. Na szczęście tej nocy miał coś do zrobienia, choć dopiero trochę później. Gdy miał wolną chwilę, nogi zawsze niosły go w to samo miejsce.

Minął masywną bramę z kutego żelaza, na której wisząca tablica informowała, że za nią rozciąga się teren cmentarza góry Syjon. Cmentarz mieścił się na północno-zachodnim przedmieściu Waszyngtonu i należał do stojącego obok Zjednoczonego Kościoła Metodystów pod wezwaniem góry Syjon. Kościół był najstarszą w mieście parafią czarnych, założoną w 1816 roku przez wiernych, którzy nie chcieli modlić się w domu Bożym podlegającym segregacji rasowej, bo jego pasterze zapomnieli o zalecanej w Piśmie Świętym zasadzie równości. Rozciągający się na powierzchni trzech akrów teren cmentarza stanowił ważny przystanek na potajemnym szlaku ku wolności, którym w czasach wojny secesyjnej podążali niewolnicy uciekający z Południa na Północ.

Cmentarz jednym bokiem przylegał do ogromnego gmachu Dumbarton House, w którym mieściła się siedziba Krajowego Stowarzyszenia Kolonialnych Dam Ameryki, drugim — do niewysokiego bloku mieszkalnego z czerwonej cegły. Przez wiele lat ta historyczna nekropolia była mocno zaniedbana i pełno w niej było poprzewracanych nagrobków i chaszczy sięgających do pasa. Potem z inicjatywy kościoła wokół cmentarza postawiono ogrodzenie i zbudowano nawet niewielką chatkę dla dozorczy.

Opodal mieścił się dużo większy i bardziej znany cmentarz „Dębowego Wzgórza”, będący miejscem wiecznego spoczynku

wielu szlachetnie urodzonych. Do niego znacznie bardziej przemawiał jednak cmentarz góry Syjon, także dzięki swej historycznej roli bramy na drodze ku wolności.

Już od paru lat pełnił funkcję dozorca cmentarnego, traktując swe obowiązki z należytą powagą i utrzymując ład i porządek na drózkach i wokół grobów. Chatka, stanowiąca służbowe mieszkanie dozorca, była jego pierwszym od lat prawdziwym domem. Kościół płacił mu wynagrodzenie do ręki, co zwalniało go z uciążliwej roboty papierkowej. Zresztą i tak nie zarabiał tyle, by podlegać podatkowi dochodowemu. Prawdę mówiąc, zarabiał tak mało, że ledwie mu starczało na życie, ale i tak uważał tę pracę za najlepsze zajęcie, jakie kiedykolwiek wykonywał.

Poszedł Dwudziestą Siódmą w stronę miasta, wszedł do autobusu i dotarł do miejsca, które stało się jego drugim domem. Przeszedł obok niedużego namiotu stanowiącego — przynajmniej z formalnego punktu widzenia — jego własność, wyjął z plecaka lornetkę i ukrywszy się w cieniu wielkiego drzewa, skierował szkła na budynek po drugiej stronie ulicy. Wojskowa lornetka była pamiątką z czasów służby dla kraju, którą pełnił dumnie do chwili, gdy utracił wiarę w jego przywódców. Od wielu lat nie używał swego prawdziwego nazwiska i wszyscy znali go tylko jako Olivera Stone'a. Wybór tego nazwiska na pseudonim stanowiło z jego strony świadome wyzwanie.

W pełni identyfikował się z niepokornymi dziełami słynnego reżysera, w których artysta kwestionował „oficjalne” wersje wydarzeń. Wersje, w których często bywało więcej literackiej fikcji niż prawdziwej historii. Używanie imienia i nazwiska reżysera uważał za w pełni uzasadnione, ponieważ jako drugi Oliver Stone też chciał dociekać „rzeczywistej” prawdy.

Patrzył przez lornetkę na ruch wokół budynku, jak zwykle nie mogąc oderwać od niego wzroku. Potem wszedł do namiotu i w świetle starej latarki zanotował w jednym z notesów przyniesionych w plecaku uwagi wynikające z obserwacji. Część notesów trzymał w dozorcówce, jednak większość poutykał w różnych kryjówkach. W namiocie nie trzymał niczego, bo wiedział, że bywa regularnie przeszukiwany. W portfelu miał formalną zgodę na ten namiot, co było

równoznaczne z prawem do demonstrowania przed budynkiem po drugiej stronie ulicy. Traktował je z niezmierną powagą.

Wyszedł z namiotu i spojrzął przez ulicę na strażników uzbrojonych w broń maszynową, półautomatyczne pistolety i krótkofalówki, przez które od czasu do czasu rozmawiali. Wszyscy go tu znali i traktowali z grzeczną rezerwą, jaką zwykle okazuje się ludziom, którym nie wiadomo co może nagle strzelić do głowy. On sam odnosił się do nich z pełnym szacunkiem. Doświadczenie podpowiadało, że ludziom z bronią maszynową lepiej okazywać grzeczność. Oliver Stone nie był może człowiekiem typowym, ale na pewno też nie szaleńcem.

Napotkał wzrok jednego ze strażników, który zawołał:

— Hej, Stone, Potomac się pali, podaj dalej!

Kilku wartowników parsknęło śmiechem i nawet usta Stone'a ułożyły się w grymas uśmiechu.

— Wiadomość przyjęta! — odkrzyknął. Widział kiedyś, jak ten sam wartownik strzelił do kogoś stojącego parę kroków od jego namiotu. Choć widział też, że tamten strzelił pierwszy.

Podciągnął wygniecione spodnie, zwisające na zapadniętym brzuchu, przygładził długie strąki siwiejących włosów i pochylił się, by poprawić sznurek, który bez większego powodzenia starał się utrzymać prawy but w całości. Stone był wysoki i chudy, ubrany w zbyt dużą koszulę i za krótkie spodnie. No i te buty, które zawsze sprawiały mu kłopot.

— Powinneś nowe ciuchy sobie sprawić — odezwał się w ciemnościach kobiecy głos.

Spojrzął w stronę mówiącej. Stała oparta o pomnik generała hrabiego de Rochambeau, bohatera rewolucji amerykańskiej. Sztywno wyprostowany palec generała coś pokazywał, choć Stone nigdy nie był pewien co. Na północno-zachodnim krańcu tego samego, niemal trzyhektarowego parku stał pomnik pruskiego barona Steubena, a północno-wschodniego krańca strzegł pomnik Polaka, generała Kościuszki. Widok pomników zawsze wywoływał uśmiech na twarzy Olivera Stone'a. Uwielbiał towarzystwo rewolucjonistów.

— Naprawdę nowych ciuchów ci trzeba — powtórzyła kobieta, drapiąc się po mocno opalonej twarzy. — I te twoje włosy też się przydało podciąć. W ogóle, Oliver, to wszystko nowe by się przydało.

— Na pewno masz rację — odparł cicho. — Ale wszystko jest kwestią priorytetów, a niestety próżność nigdy nie była jednym z moich.

Kobieta używała imienia Adelpia i mówiła z obcym akcentem, którego nigdy nie udało mu się rozszyfrować. Był jednak pewien, że pochodzi z Europy, zapewne z któregoś z krajów słowiańskich. Miała szczególną awersję do czasowników, które utykała w zdaniach w różnych niespodziewanych miejscach. Była wysoka i szczupła, a jej długie ciemne włosy poprządkane były siwymi pasemkami. Miała też głęboko osadzone, posępne oczy i usta zwykle wykrzywione w pogardliwym grymasie, choć Stone domyślał się, że pod jej maską zadziorności kryje się dobroć. Trudno było ocenić jej wiek, ale była na pewno młodsza od niego. Napis na dwumetrowym transparencie obok jej namiotu głosił:

PŁÓD TO ŻYCIE. TEN KTO NIE WIERZY
PÓJDZIE PROSTO DO PIEKŁA.

Adelpia nie uznawała żadnych subtelności. Wszystko w jej życiu było czarne lub białe, przedzielone ostrymi liniami. Nie było w niej żadnych szarości, choć to zapewne w tym mieście je kiedyś wymyślono.

Hasło na niewielkiej tablicy zatkniętej obok namiotu Stone'a głosiło po prostu:

ŻĄDAM PRAWDY

Po tylu latach wciąż się jej domagał. Ale czy jest jakieś inne miasto, w którym dojście do prawdy byłoby trudniejsze niż tu, gdzie przyszło mu żyć?

— Po cafe idę. Chcesz, Oliver? Mam forszę.

— Nie, Adelpio, dziękuję. Muszę zaraz gdzieś pójść.

— Znowu na spotkanie idziesz — parsknęła pogardliwie. — I co ty z tego masz? Już taki młody nie jesteś i chodzić po ciemku nie powiniś. Tu niebezpiecznie może być.

Popatrzył na uzbrojonych strażników.

— Myślę, że akurat tu jest dość bezpiecznie.

— Jak jest dużo z bronią ludzi, to jest bezpiecznie, ty myślisz? A ja ci mówię, że głupi jesteś — burknęła zaczepnie.

— Może masz rację. W każdym razie dzięki za pamięć — odparł grzecznie. Adelpia chętnie by jeszcze pogadała, bo każda okazja do sprzeczki była dobra, ale on już dawno nauczył się nie odpowiadać na zaczepki.

Adelpia jeszcze przez chwilę wpatrywała się w niego rozeźlonym wzrokiem, w końcu odwróciła się i bez słowa odeszła.

Stone spojrzął na tablicę stojącą tuż obok.

MILEGO SĄDNEGO DNIA

Dawno już nie widział mężczyzny, który ją tu postawił.

— Postaramy się — mruknął pod nosem, potem jego uwagę przyciągnął wzmożony ruch po drugiej stronie ulicy. Pojawiły się nagle grupki policjantów i kilka radiowozów, widać też było siły porządkowe obstawiające okoliczne skrzyżowania. Potężna stalowa brama zdolna wytrzymać napór czołgu M-1 uchyliła się i na ulicę wyjechał czarny suburban, błyskając czerwonymi i niebieskimi lampami z przodu maski.

Wiedząc, co teraz nastąpi, Stone ruszył truchtem w stronę najbliższego skrzyżowania. Przytknął do oczu lornetkę i zapatrzył się na najlepiej na świecie zorganizowaną kawalkadę samochodową, która wyjechała na Siedemnastą Ulicę, otaczając najniezwyklejszą limuzynę, jaką kiedykolwiek zbudowano.

Był to wyposażony w najnowsze osiągnięcia techniki nawigacyjnej i łączności model DTS cadillaca, w którego wnętrzu wyłożonym miękką błękitną skórą i drewnem mieściło się bez trudu sześciu pasażerów. Limuzyna wyposażona była w sterowane automatycznie rozkładane siedzenia i składane biurko, a hermetycznie uszczelnione wnętrze miało zamknięty obieg powietrza, w razie gdyby czystość powietrza na zewnątrz nie spełniała wymaganych standardów. Prezydenckie godło widniało na oparciu tylnej kanapy i na wewnętrznej i zewnętrznej stronie tylnych drzwi. Na prawym przednim błotniku powiewał proporczyk z flagą amerykańską, na lewym drugi z godłem prezydenckim, co było znakiem, iż w środku znajduje się głowa państwa.

Żadna kula nie mogła przebić karoserii limuzyny, zbudowanej z pancernych płyt stalowych i szyb ze szkła poliwęglanowego grubości książki telefonicznej. Samochód toczył się na czterech samouszczelniających oponach i miał tablice rejestracyjne z dwoma zerami. Wprawdzie silnik palił potwornie dużo, ale w cenie limuzyny kosztującej dziesięć milionów dolarów mieścił się już odtwarzacz na dziesięć płyt kompaktowych z głośnikami w systemie surround, a amatorzy okazji nie mogli liczyć na żadne upusty dealerskie. Limuzyna, którą pieczołliwie przezywano Bestią, miała tylko dwie znane słabości: nie umiała latać ani pływać.

We wnętrzu Bestii zapaliło się światło i Stone dojrzał głowę mężczyzny pochylonego nad papierami — zapewne dokumentami wagi państwowej. Obok widać było sylwetkę drugiego mężczyzny i Stone mimo woli się uśmiechnął. Wiedział, że zapalone światło musi u agentów ochrony budzić wściekłość. Nawet pancerna karoseria i kuloodporne szyby nie tłumaczą takiego wystawiania się na strzał.

Limuzyna zwolniła na skrzyżowaniu i Stone aż zeszywniał, stwierdziwszy, że mężczyzna siedzący w środku patrzy wprost na niego. Przez króciutką chwilę prezydent Stanów Zjednoczonych James H. Brennan i spiskowiec o pseudonimie Oliver Stone patrzyli na siebie. Prezydent skrzywił się i coś powiedział, a towarzyszący mu mężczyzna natychmiast zgasił światło. Stone znów się uśmiechnął. Tak, zawsze tu będę. Dłużej niż wy dwaj, pomyślał.

Mężczyzna towarzyszący prezydentowi też był dobrze znany. Nazywał się Carter Gray i był znany jako car wywiadu. Piastował niedawno stworzone stanowisko, które dawało mu kontrolę nad budżetem w wysokości pięćdziesięciu miliardów dolarów rocznie oraz wszystkimi piętnastoma amerykańskimi agencjami wywiadowczymi, zatrudniającymi łącznie sto dwadzieścia tysięcy świetnie wyszkolonych specjalistów. Jego władzy podlegała też sieć szpiegowskich satelitów, służby kryptologiczne Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, Agencja Wywiadu Obrony, a nawet sama czcigodna CIA, którą Gray niegdyś kierował. Ludzie w Langley najwyraźniej liczyli, że z tego tytułu będą mieć u niego specjalne względy. Ale się przeliczyli. Ponieważ Gray pełnił też kiedyś funkcję sekretarza

obrony, zakładano, że wobec Pentagonu — który z każdego dolara przeznaczonego na działalność wywiadowczą połyka aż osiemdziesiąt centów — może okazać się szczególną lojalność. Również pod tym względem całkowicie się przeliczono. Gray widać znał wszystkie słabości, bo potrafił całkowicie podporządkować sobie obie potężne instytucje.

Stone uważał, że jeden człowiek — zwykły, ułomny człowiek — nie powinien mieć aż tak ogromnej władzy, a już na pewno nie powinien nim być ktoś taki jak Carter Gray. Wiele lat wcześniej Stone dobrze poznał Graya, choć ten zapewne nie rozpoznałby w nim dawnego kolegi. Ale kiedyś wszystko wyglądało całkiem inaczej, czyż nie, panie Gray?

Lornetkę wyszarpnęto mu z rąk i Stone ujrzał przed sobą umundurowanego strażnika, który mierzył do niego z pistoletu maszynowego.

— Jeszcze raz spróbujesz się na niego przez to gapić, Stone, i już jej nie masz, jasne? A gdyby nie to, że cię znamy, to już byś jej nie miał. — Strażnik wcisnął mu w rękę starą lornetkę i odszedł.

— Korzystam tylko z moich konstytucyjnych praw, panie władzo — mruknął Stone pod nosem pewny, że strażnik i tak go nie usłyszy. Jednak pospiesznie schował lornetkę i skrył się w cieniu. Wiedział, że nie warto dyskutować z przejętymi swą rolą bubkami, którzy lubią wymachiwać bronią automatyczną. Westchnął głęboko na myśl, że codziennie musi się tak narażać.

Wrócił do namiotu, wyciągnął z plecaka skoroszyt i w świetle latarki zaczął przeglądać wycinki artykułów z gazet i czasopism. Wszystkie dotyczyły Cartera Graya i prezydenta Brennana. „Car wywiadu znów uderza” głosił tytuł jednego. „Brennan i Gray — dynamiczny duet” wołał inny.

Wszystko poszło błyskawicznie. Po kilku wstępnych trudnościach i wahnięciach Kongres podjął dramatyczną decyzję o gruntownej reorganizacji amerykańskich służb wywiadowczych i obdarzeniu Cartera Graya praktycznie nieograniczonym zaufaniem. Powołany na stanowisko sekretarza wywiadu Gray stanął na czele Narodowego Centrum Wywiadu, zwanego w skrócie NCW. Statutowym obowiązkiem Centrum było strzec bezpieczeństwa kraju przed zagrożeniami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Stosowanie w tym celu wszelkich niezbędnych

środków stanowiło wprawdzie niepisany, ale najważniejszy punkt tego statutu.

Jednak początki działalności Graya zdawały się nie potwierdzać jego szczególnych kwalifikacji zawodowych: seria samobójczych ataków bombowych w dużych miastach zakończona ogromną liczbą ofiar śmiertelnych; dwa zabójstwa zagranicznych osobistości w trakcie oficjalnych wizyt w Stanach Zjednoczonych; wreszcie bezpośredni, choć na szczęście nieudany atak na Biały Dom. Mimo licznych głosów w Kongresie, żądających ustąpienia Graya i rozwiązania jego superurzędu, dzięki osobistemu poparciu prezydenta Gray zachował stanowisko. Gdyby przyrównać potęgę władzy w Waszyngtonie do naturalnych zjawisk przyrodniczych, prezydent potrafił być jak huragan i trzęsienie ziemi razem wzięte.

A potem szala zaczęła się powoli przechylać w drugą stronę. Udało się zapobiec kilkunastu atakom terrorystycznym na amerykańskiej ziemi. Liczba terrorystów zabitych lub pojmany systematycznie rosła. Po wielu latach bezskutecznych prób infiltracji organizacji terrorystycznych wywiad amerykański zaczynał wreszcie odnosić sukcesy, atakując wroga od środka i uniemożliwiając podejmowanie działań wymierzonych w Stany Zjednoczone i ich sojuszników. Nic więc dziwnego, że lwia część zasług za te sukcesy przypisywano samemu Grayowi.

Stone spojrzął na zegarek. Do spotkania zostało mu już niewiele czasu, miał do przejścia spory kawałek, a nogi miał dziś dziwnie zmęczone. Wyszedł z namiotu i zajrzał do portfela. Był zupełnie pusty.

Wypatrzył przechodnia i bez wahania ruszył za nim, obserwując, jak tamten staje na krawężniku i unosi rękę, by zatrzymać taksówkę, która chwilę później podjechała. Przyspieszył i stanął przed mężczyzną w chwili, gdy ten już otwierał drzwi taksówki. Ze spuszczonego wzrokiem i wyciągniętą ręką wymamrotał:

— Może mi pan dać jakieś drobne, sir? Tylko parę dolarów.

Powiedział to wyćwiczonym, pełnym uniżoności tonem, co miało skłonić tamtego do przyjęcia postawy wielkodusznej. Daj, kochany, daj, poprosił w myślach. Bo to cholernie daleko.

Mężczyzna zawahał się, ale dał się usidlić. Uśmiechnął się i sięgnął po portfel, a oczy Stone'a aż zaświeciły na widok

nowiutkiej, szeleszczącej dwudziestki, która trafiła do jego dłoni.

— Bóg zapłać — bąknął, owijając palce wokół banknotu.

Ruszył rażnym krokiem w stronę najbliższego postoju taksówek pod hotelem. Normalnie wsiadłby do autobusu, ale z dwudziestką w ręku postanowił dla odmiany odbyć podróż w samotności. Przygładził rozwichrzone włosy i równie zmierzwioną brodę i podszedł do pierwszej z brzegu taksówki.

Taksówkarz spojrział na niego przez szybę, wcisnął blokadę drzwi i wrzasnął:

— Spieprzaj mi stąd, ale już!

Stone uniósł dwudziestodolarowy banknot i przystawił usta do szpary w niedomkniętym oknie.

— Regulamin obowiązujący w twoim zawodzie nie zezwala na dyskryminację z jakichkolwiek powodów — powiedział spokojnie.

Z miny taksówkarza wynikało niedwuznacznie, że będzie dyskryminował, kogo mu się spodoba i kiedy mu się spodoba. Jednak widok dwudziestki obudził w nim wyraźną żądzę.

— Jak na bezdomnego łachmaniarza, to nieźle nawijasz. — Zamilkł, po czym dodał podejrzliwie: — A ja myślałem, że u was to tylko same świry.

— Nie jestem ani świrem, ani bezdomnym — odparł Stone. — Powiedzmy natomiast, że chwilowo opuściło mnie szczęście.

— To tak jak wszystkich. — Taksówkarz kiwnął głową i odblokował drzwi. Stone szybko wsiadł i podał adres.

— Widziałem dziś, jak jechał prezydent — zagaił taksówkarz. — Fajna sprawa.

— No, fajna — zgodził się Stone bez entuzjazmu. Obejrzał się i przez tylną szybę spojrział w stronę Białego Domu. Potem rozparł się na kanapie i przymknął oczy. Niezła okolica na mieszkanie, pomyślał.

ROZDZIAŁ 2

Czarny sedan jechał wąską, jednopasmową szosą obramowaną z obu stron gęstwiną drzew, potem zwolnił, skręcił w zwirową drogę odchodzącą w bok i po stu metrach zatrzymał się. Od strony kierowcy wysiadł Tyler Reinke, wysoki atletycznie zbudowany blondyn przed trzydziestką, z miejsca dla pasażera — Warren Peters, nieco starszy od Tylera, mający niecały metr siedemdziesiąt wzrostu, potężną klatkę piersiową i mocno przerzedzone ciemne włosy. Reinke obszedł samochód dookoła i otworzył bagażnik. Wewnątrz leżał zwinięty w pozycji embrionalnej trzydziestokilkuletni mężczyzna, z rękami i nogami ciasno oklejonymi taśmami. Ubrany był w dżinsy i kurtkę z emblematem Washington Redskins. Twarz miał przykrytą grubą szmatą, pod sobą plastikową płachtę. W przeciwieństwie do większości ofiar wożonych w bagażnikach samochodów wciąż jeszcze żył, choć sprawiał wrażenie pogrążonego w głębokiej śpiączce narkotykowej. Mężczyźni chwycili za płachtę, wyciągnęli mężczyznę z bagażnika i położyli go na ziemi.

— Sprawdziłem wcześniej — odezwał się Peters. — Najlepsze miejsce, tylko trzeba kawałek przejść. Łapiemy za płachtę, żeby nic z nas na nim nie zostało.

— Dobra — mruknął obojętnie Reinke, ruszając pierwszy w dół stromego, wyboistego zbocza. — Tylko spokojnie i bez pośpiechu.

Ostrożnie schodzili coraz niżej, przytrzymując się pni drzew. Na szczęście ostatnio nie padało i ziemia nie rozmiękła.

Schodzenie po stromym zboczu z mężczyzną na plastikowej płachcie nie było jednak łatwe i parę razy musieli przystanąć i odpocząć. Mimo to tęgi Peters i tak mocno dyszał.

W końcu teren przestał opadać.

— Jesteśmy prawie na miejscu — powiedział Reinke. — Połóżmy go i rozejrzyjmy się.

Z worka na plecach Reinkego wyjęli lornetki noktowizyjne i zaczęli rozglądać się po okolicy.

Uspokojeni, chwycili płachtę i ruszyli w dalszą drogę. Piętnaście minut później dotarli do brzegu rzeki. Woda w tym miejscu nie była zbyt głęboka i w wielu miejscach sterczały z dna płaskie głazy, które opływał leniwy nurt.

— Dobra — powiedział Peters. — To tutaj.

Reinke rozwiązał worek, wyjął z niego dwa pakunki i położył na ziemi. Ukucnął obok większego i zaczął przy nim gmerać. Po chwili odnalazł to, czego szukał, i zaraz gumowy ponton wypełnił się powietrzem. W drugim pakunku znajdował się mały silniczek z śrubą, który zamocowali na rufie pontonu.

— Będziemy się trzymać po stronie Wirginii — rzekł Peters. — Ten silnik jest naprawdę cichy, ale głos się niesie po wodzie. — Podał coś koledze. — Trzymaj. Nie będzie potrzebne, ale masz tu GPS.

— Musimy go przytopić — przypomniał Reinke.

— Wiem. Myślę, że najlepiej będzie tu przy brzegu.

Zdjęli buty i skarpetki i podwinęli nogawki spodni. Chwycili ofiarę, przeszli kilka kroków po piaszczystym, usłanym kamieniami brzegu rzeki i weszli po kolana w wodę. Opuścili nieprzytomnego i zanurzyli całego w wodzie, pilnując, by mu nie zamoczyć twarzy, i szybko unieśli. Powtórzyli to jeszcze dwukrotnie.

— Chyba wystarczy — powiedział Peters, przyglądając się ociekającej wodą ofierze, która jęknęła coś przez sen. Nie chcieli mu zamoczyć twarzy, żeby się przez to nie wybudził i nie narobił kłopotów w dalszej drodze.

Wyszli z powrotem na brzeg i ułożyli go w pontonie. Raz jeszcze uważnie sprawdzili okolicę i wsiedli do pontonu. Peters uruchomił silnik i ponton całkiem chyżo wypłynął w nurt rzeki. Reinke przykucnął obok więźnia i zaczął wpatrywać się

w ekranik GPS. Ponton płynął z nurtem, trzymając się blisko zalesionego brzegu.

— Wolałbym to wszystko załatwić w jakimś ustronniejszym miejscu — mruknął od steru Peters — ale nie ode mnie to zależało. Przynajmniej mgła nas nie zawiodła. Sprawdziłem prognozę i chociaż raz się nie pomylili. Kawałek dalej jest nieduża zatoczka. Schowamy się i odczekamy, aż się przejaśni, potem popłyniemy dalej.

— Dobry pomysł — zgodził się Reinke.

Zamilkli, obserwując gęstniejącą przed nimi ścianę mgły.

ROZDZIAŁ 3

Alex Ford stłumił ziewnięcie i potarł zmęczone oczy. W słuchawce usłyszał syknięcie „Ford, uważaj”, niemal niedostrzegalnie kiwnął głową i spał się w sobie. W pomieszczeniu było duszno, ale przynajmniej nie miał na sobie kevlarowej kamizelki kuloodpornej, w której człowiek czuł się jak w mikrofalówce. Jak zwykle przewody prowadzące od nadajnika do słuchawki w uchu i mikrofonu na przegubie drażniły mu naskórek, ale jeszcze gorsza była sama słuchawka. Ucho miał tak obolałe, że bał się go dotknąć.

Pomacał pistolet w kaburze pod pachą. Jak wszyscy agenci Secret Service, zawsze nosił nieco zbyt obszerne marynarki, co pozwalało ukryć wybrzuszenie od broni. Ostatnio przeszli na pistolety SIG kalibru .357, które zastąpiły dotychczasowy dziewięćmilimetrowy model tej samej marki. Nowy SIG był świetnym pistoletem o bardzo skutecznym działaniu zaczepnym, jednak niektórzy z jego kolegów krzywili się z powodu zamiany, bo przyzwyczaili się do poprzedniego modelu. Alex nie należał do wielkich miłośników broni palnej i właściwie było mu to obojętne. W ciągu wielu lat pracy w służbie niewiele razy sięgał po broń, a jeszcze rzadziej musiał jej używać.

Myśl ta spowodowała, że wróciły na chwilę wspomnienia z kariery w służbie. Pod iloma drzwiami przyszło mu już warować? Odpowiedzi na to pytanie należało pewnie szukać w licznych zmarszczkach na twarzy i zmęczonym wyrazie oczu. I mimo iż zwolniono go już z czynnej służby w ochronie

i przeniesiono do WFO, czyli waszyngtońskiego biura Secret Service, gdzie miał dotrzeć do emerytury, zajmując się pracą o charakterze śledczym, to znów stał pod czyimiś drzwiami z zadaniem prowadzenia obserwacji i wypatrywania igły w stogu siana, która może ukłuć jakiegoś ważniaka.

Dzisiejszym zadaniem była ochrona zagranicznego dygnitarza, którego stopień zagrożenia oceniono na dość niski. Alex miał pecha, że akurat jemu przypadły nadgodziny na ochronę szefa rządu odbywającego wizytę w Stanach Zjednoczonych, o czym dowiedział się godzinę przed końcem pracy. I dlatego, zamiast siedzieć teraz nad drinkiem w swym ulubionym pubie, musiał pilnować, żeby nikomu nie przyszło do głowy strzelić do premiera Łotwy. Czy może Estonii?

Okazją ku temu był oficjalny bankiet w snobistycznym hotelu Four Seasons w Georgetown, choć jego uczestnicy zdecydowanie należeli do drugiej ligi miejscowych notabli, a i tak wielu z nich zjawiało się tylko dlatego, że dostali takie polecenie. Na liście ważniejszych gości znajdowała się garstka niższego szczebla pracowników Białego Domu, kilku miejscowych polityków, którzy przyszli w nadziei na notatkę w prasie, i jeden otyły kongresman, członek jednej z komisji stosunków międzynarodowych, który sprawiał wrażenie jeszcze bardziej znudzonego niż Alex.

Mimo iż Aleksowi do emerytury zostało tylko kilka lat, w ciągu ostatniego tygodnia przypadły mu aż trzy takie dodatkowe wieczory. W miesiącach poprzedzających wybory prezydenckie zawsze panował natłok wszelkiego rodzaju imprez, rautów służących zbieraniu funduszy i spotkań towarzyskich. Członkowie Kongresu wraz ze swymi świtami potrafili odwiedzać kilka takich imprez dziennie, korzystając nie tylko z bezpłatnego jedzenia i trunków, ale także z okazji do uściśnięcia dłoni swym wyborcom i zebrania czeków, a czasem nawet do omówienia jakichś spraw. I zawsze gdy w imprezie uczestniczyli ludzie objęci programem ochrony Secret Service, ktoś taki jak Alex miał obowiązek stawić się po całym dniu pracy i pilnować, żeby nic im się nie stało.

Alex spojrzął na przydzielonego mu na ten wieczór partnera — wysokiego, mocno umięśnionego chłopaka z WFO z wojskową szczecina na głowie, którego, podobnie jak jego,

powiadomiono w ostatniej chwili. Fordowi do federalnej emerytury zostało już tylko kilka lat, ale tego dzieciaka czekało jeszcze co najmniej dwadzieścia lat huśtawki zwanej karierą agenta Secret Service.

— A Simpson znów się z tego wymigała — mruknął chłopak. — Już po raz drugi z rzędu. Powiedz mi, kurczę, co tu jest grane na górze?

Alex obojętnie wzruszył ramionami. Cechą charakterystyczną takich zadań było to, że człowiek ma dużo czasu do myślenia. Właściwie nawet zbyt dużo. Pod tym względem agenci Secret Service byli jak służba więzienna: mnóstwo czasu w pracy na rozpamiętywanie krzywd i obmyślanie skomplikowanych intryg. Aleksa już to zupełnie nie bawiło.

Spojrzał na przycisk mikrofonu na nadgarstku i uśmiechnął się. Ten cholerny przycisk od lat był źródłem wielu śmiesznych wpadek. Agentom zdarzało się krzyżować ręce i nieświadomie włączać mikrofon albo uruchamiać go w jakiś inny przypadkowy sposób. A potem na falach eteru płynęły ich soczyste komentarze na temat tej czy innej seksownej dupeczki kręcącej się po sali. Gdyby Alex miał stówkę za każdą usłyszaną przy takiej okazji uwagę w rodzaju: „A widziałeś te jej cyce?“, już dawno mógłby przejść na emeryturę. Zaraz potem wszyscy zaczynali wrzeszczeć do mikrofonów: „Włączony mikrofon!“ i robiło się naprawdę śmiesznie, bo wszyscy zaczynali się nerwowo wiercić, sprawdzając, czy to nie oni dzielą się z resztą kolegów swymi lubieżnymi myślami.

Alex poprawił słuchawkę w uchu i rozmasował sobie kark. Ta część jego ciała od dawna była w fatalnym stanie z racji nadwężonych chrząstek i zwapniałych dysków. Uczestniczył kiedyś w ochronie prezydenckiej kawalkady i samochód, którym jechał, miał dachowanie, bo kierowca gwałtownie skręcił, by nie uderzyć w jelenia, który wyskoczył z lasu. W wyniku kraksy Alex doznał pęknięcia kręgosłupa, co spowodowało, że po wielu operacjach i wzmocnieniu go cieniutkimi usztywnieniami z nierdzewnej stali jego mające metr osiemdziesiąt sześć ciała skróciło się o pełne dwa centymetry, choć jednocześnie cała sylwetka mocno się wyprostowała, jako że stalowe usztywnienia nie dawały się zginać. Utrata dwóch centymetrów wzrostu była niczym w porównaniu z ciągłym pieczeniem

w karku, jakie się teraz pojawiło. Mógł oczywiście przejść na rentę i zakończyć służbę, jednak nie tak sobie wyobrażał koniec kariery. Jako człowiek samotny i bezdzietny nie miał się do czego spieszyć i dlatego kosztem ćwiczeń i wylanego potu odzyskał formę na tyle, że służba medyczna Secret Service wyraziła zgodę, by po wielu miesiącach siedzenia za biurkiem mógł powrócić do pracy operacyjnej.

Jednak teraz, w wieku czterdziestu trzech lat, których większość upłynęła mu na szarpiących nerwy kryzysach poprzedzielanych okresami jednostajnej nudy — co stanowi codzienność w życiu każdego agenta Secret Service — nie mógł opędzić się od myśli, że chyba musiał upaść na głowę, że tak się przy tym upierał. Przecież, do cholery, mógł sobie poszukać jakiegoś hobby. Nie mówiąc już o żonie.

Zagryzł wargi, starając się przewyciężyć piekielne pieczenie w karku i obojętnie przyglądając się żonie premiera, jak zawzięcie opycha się *foie gras*.

Ale chałtura!

ROZDZIAŁ 4

Taksówkarz obrzucił niechętnym spojrzeniem wysiadającego Stone'a i parsknął:

— Podług mnie to i tak jesteś łajza, jakbyś tam pięknie nie gadał.

Stone patrzył w milczeniu za odjeżdżającym samochodem. Już dawno nauczył się nie reagować na takie zaczepki. Ludzie i tak wiedzą swoje. Nie mówiąc o tym, że rzeczywiście wyglądał jak łajza.

Ruszył w stronę skweru przy nabrzeżu w Georgetown i spojrzał na brunatne wody Potomacu, płynące tu w wysokim korycie. Betonowa ściana pokryta była wymyślnymi malunkami zaprzysięgłych grafficiarzy, którym widać nie przeszkadzało, że musieli przy malowaniu stać niemal po pas w wodzie.

Gdyby było wcześniej, po autostradzie Whitehurst biegnącej estakadą za plecami Stone'a pędziłoby teraz mnóstwo samochodów, a rozbawione wieczorne towarzystwo okupowałoby pobliskie skrzyżowanie M Street z Wisconsin Avenue. W Georgetown pełno było modnych lokali, gdzie ludzie z gotówką lub zasobną kartą kredytową mogli liczyć na dobrą zabawę, ale Stone do nich nie należał. Było już jednak na tyle późno, że większość zabawowiczów poddała się i rozeszła po domach. Waszyngton jest miastem, w którym wcześniej chodzi się spać i wcześniej wstaje do pracy.

Na Potomacu też panowała cisza. Łódź policyjna regularnie patrolująca rzekę musiała widać popłynąć gdzieś dalej na

południe, w stronę mostu Woodrowa Wilsona. No i bardzo dobrze, pomyślał Stone. Szczęśliwie nie natknął się też na żadne piesze patrole policyjne. Ameryka to wolny kraj, choć jakby nieco mniej wolny dla kogoś zamieszkałego na cmentarzu, ubranego w rzeczy tylko odrobinę lepsze od szmat i kręcącego się po zmroku po eleganckich dzielnicach.

Stone poszedł wzdłuż nabrzeża, obszedł park Francisa Scotta, przeszedł pod mostem Francisa Scotta i w końcu dotarł do pomnika słynnego kompozytora. Lekka przesada, biorąc pod uwagę fakt, że facet pisał teksty piosenek, których nikt już nie pamięta. Niebo było granatowoczarne, rozjaśnione jedynie pojedynczymi chmurkami i punkcikami gwiazd. Dzięki przywróconym niedawno ograniczeniom na pobliskim lotnisku Reagana czystego piękna nocnego nieba nie zakłócały żadne smugi po odrzutowcach. Czuło się natomiast wstającą znad ziemi i szybko gęstniejącą warstwę mgły. Stone pomyślał, że niedługo nie dojrzy nawet własnych stóp. Zbliżał się właśnie do jaskrawo pomalowanej siedziby jednego z miejscowych klubów wioślarskich, gdy z mroku dobiegł go znajomy głos.

— Oliver, to ty?

— Tak, Caleb. Reszta już jest?

Z mroku wynurzył się średniego wzrostu mężczyzna z wyraźnie zarysowanym brzuszkiem. Caleb Shaw ubrany był w stylowy dziewiętnastowieczny strój, łącznie z melonikiem na siwiejącej głowie i staromodnym zegarkiem kieszonkowym / dewizką zwisającą z wełnianej kamizelki. Jego twarz ozdabiały długie bokobrody i krótko przystrzyżony wąsik.

— Reuben już jest, tylko... mhm, wypróżnia się. Milтона jeszcze nie widziałem.

Stone westchnął.

— Jak zwykle. Milton jest wspaniały, ale strasznie niezorganizowany.

Po chwili dołączył do nich Reuben, który nie wyglądał dobrze, Reuben Rhodes miał prawie metr dziewięćdziesiąt w zrostu i był potężnie zbudowanym mężczyzną koło sześćdziesiątki z obfitą szopą czarnych, kręconych włosów poprzetykanych srebrnymi nitkami oraz krótką i równie gęstą, czarno-srebrzystą brodą. Miał na sobie mocno wystrzępione dżinsy,

flanelową koszulę i podniszczone mokasyny. Jedną ręką trzymał się za bok. Wszyscy wiedzieli, że ma kłopoty z kamicą nerkową.

— Powinieneś pójść do szpitala, Reuben — powiedział Stone.

— Nie lubię, jak ktoś się do mnie dobiera. — Skrzywił się. — Miałem tego pod dostatkiem w wojsku. Więc jeśli pozwolisz, będę sobie cierpiał w ciszy i samotności.

W trakcie rozmowy zjawił się Milton Farb. Zatrzymał się, tupnął w ziemię trzykrotnie prawą stopą, dwukrotnie lewą, potem wydał z siebie serię gwizdnięć i stęknęć. Na koniec wyrecytował jeszcze ciąg liczb, które najwyraźniej miały dla niego istotne znaczenie.

Pozostała trójka cierpliwie czekała na koniec występu. Wszyscy trzej wiedzieli, że gdyby spróbowali mu przerwać i nie pozwolili skończyć obsesyjnego rytuału, musiałby i tak powtórzyć wszystko od początku, a robiło się już późno.

— Cześć, Milton — powitał go Stone, gdy ten wreszcie umilkł.

Milton Farb oderwał wzrok od ziemi i uśmiechnął się. Z ramienia zwiślał mu skórzany plecak, na sobie miał kolorowy sweter i nienagannie wyprasowane spodnie khaki. Był szczupły, miał około metra osiemdziesięciu wzrostu i druciane okulary na nosie. Przetykane siwizną blond pukle opadały mu niemal do ramion, nadając wygląd podstarzałego hippisa. Przeczył temu szelmowski błysk w oku, który bardzo go odmładzał.

Milton klepnął dłonią w plecak.

— Mam tu coś fajnego, Oliver — powiedział.

— No to chodźmy — zarządził Reuben, wciąż trzymając się za bok. — Mam jutro pierwszą zmianę.

Ruszyli przed siebie. Po kilku krokach Reuben zrównał się z Oliverem i wsunął mu do kieszonki koszuli kilka banknotów.

— Reuben, nie musisz tego robić — zaprotestował Stone. — Kościół mi płaci.

— Wiem. Ale wiem też, że za pielienie i porządkowanie grobów nie płacą zbyt dużo, zwłaszcza kiedy dają darmowy dach nad głową.

— To prawda, ale tobie też się nie przelewa.

— To samo robięś dla mnie przez te wszystkie lata, kiedy nikt mnie nie chciał za żadne skarby zatrudnić. — Przerwał i po

chwili dodał ponuro. — Spójrz na nas, Oliver. Co za żałosna banda szmaciarzy. Kiedy to zdążyliśmy się tak postarzyć i zdziwaczeć?

Caleb parsknął śmiechem, ale Milton zrobił zdziwioną minę

i dopiero po chwili do niego dotarło, że Reuben zażartował.

— Starość zawsze przychodzi znieca — zauważył Stone cierpko — i dopiero kiedy przyjdzie, nie da się jej nie zauważyć. — Po drodze obserwował spod oka swych kompanów. Znał ich wszystkich od dawna. Łączyły ich wspólnie przeżyte dobre i złe chwile.

Reuben ukończył Akademię Wojskową w West Point i odbył trzy pełne tury w Wietnamie, uwieńczone wszelkimi możliwymi odznaczeniami i medalami nadawanymi przez wojsko. Potem przydzielono go Agencji Wywiadu Obrony, będącej odpowiednikiem CIA w strukturach wojskowych. Wkrótce jednak /rezygnował ze służby, by stać się zagorzałym wrogiem wszelkich wojen, a wojny wietnamskiej w szczególności. Gdy jego kraj postanowił wreszcie wycofać się z „wojskowej potyczki” w Azji Południowo-Wschodniej, Reuben praktycznie stracił sens życia. Na jakiś czas przeniósł się do Anglii, potem wrócił do Stanów, jednak silne uzależnienie od narkotyków i spalenie za sobą mostów nie zostawiły mu dużego wyboru. Na szczęście spotkał na swej drodze Olivera Stone'a, który pomógł mu odmienić życie. Obecnie pracował w magazynie portowym, w którym wykonywał czysto fizyczną pracę przy wyładunku i załadunku towarów.

Caleb Shaw swego czasu uzyskał dwa doktoraty — z nauk politycznych i z osiemnastowiecznej literatury — ale jego artystyczna dusza ciągnęła go najbardziej ku dziewiętnastowiecznej modzie. Podobnie jak Reuben, brał aktywny udział w demonstracjach przeciw wojnie w Wietnamie, podczas której stracił brata. Był też zawziętym krytykiem administracji państwowej w czasach afery Watergate, kiedy to odarto naród z resztek politycznej niewinności. Mimo wysokich kwalifikacji akademickich jego niepokorne usposobienie zamknęło mu drogę do kariery naukowej. Znalazł natomiast zatrudnienie w Bibliotece Kongresu w Dziale Ksiąg Rzadkich i Zbiorów Specjalnych. W swoim CV złożonym w bibliotece nie wspomniał o przynależności do organizacji, w której spotkaniu uczestniczył dziś

wieczorem. Władze federalne niechętnie patrzą na kandydatów należących do tajnych grup spiskowych, które spotykają się pod osłoną nocy.

Mimo iż Milton Farb często zapominał o zjedzeniu posiłku, był przekonany, że Paris Hilton to nazwa hotelu we Francji, i wierzył święcie, że posiadanie karty bankomatowej jest równoznaczne z posiadaniem pieniędzy, pod względem inteligencji przewyższał zapewne wszystkich pozostałych członków grupy. Jako tak zwane cudowne dziecko umiał wykonywać w głowie działania matematyczne na olbrzymich liczbach oraz dysponował fotograficzną pamięcią, dzięki której nigdy nie zapominał raz zobaczonej lub przeczytanej informacji. Jego rodzice pracowali w objazdowym wesołym miasteczku i Milton stał się jego dodatkową atrakcją. Rachował w głowie szybciej, niż pytający mógł to sprawdzić na kalkulatorze, i bezbłędnie recytował z pamięci fragmenty książek, które po raz pierwszy w życiu brał do ręki.

Potem, po rekordowo szybkim ukończeniu szkoły, znalazł pracę w dziale badawczym Narodowego Instytutu Zdrowia. Przeszkodą na drodze do kariery zawodowej i szczęścia osobistego stały się jednak nasilające się objawy obsesyjno-kompulsywnych zaburzeń umysłowych, w skrócie zwanych OCD, a także wyraźnych skłonności paranoidalnych. Oba schorzenia wiązano z nietypowym dzieciństwem spędzonym w objazdowym wesołym miasteczku. Niestety okazało się, że oba nękające jego duszę demony mają zwyczaj ujawniać się w najmniej oczekiwanych momentach. Po wysłaniu do prezydenta Stanów Zjednoczonych serii listów z pogrózkami i po dochodzeniu przeprowadzonym przez Secret Service jego kariera w instytucie szybko dobiegła końca.

Stone po raz pierwszy zetknął się z Miltonem w zakładzie dla umysłowo chorych, w którym pracował jako pielęgniarz, a Milton przebywał w charakterze pacjenta. W tym czasie jego rodzice zmarli i zostawili syna bez grosza przy duszy. Stone, który miał okazję poznać niezwykle zdolności Milтона, zdołał go namówić do spróbowania sił w telewizyjnym quizie *Jeopardy!* Milton pomyślnie przeszedł eliminacje, a dzięki temu, iż jego ataki OCD i inne chorobliwe przypadłości zostały skutecznie stłumione środkami farmakologicznymi, pokonał wszystkich

pozostałych uczestników i zakończył grę z okazałą sumą pieniędzy na koncie. Obecnie był właścicielem doskonale prosperującej firmy projektującej witryny internetowe.

Zeszli ku rzece i dotarli do starego, opuszczonego wysypiska. Nad brzegiem rosła kępa gęstych, splątanych zarośli, częściowo wchodzących w wodę. Wspólnymi siłami wyciągnęli z gęstwiny siarą, zdezelowaną łódź wiosłową, która — sądząc po wyglądzie — mogła w każdej chwili zatonać. Niezrażeni tym, wszyscy czterej ściągnęli buty i skarpetki i poutykali w plecakach. Potem zepchnęli łódź na wodę i wsiedli do środka. Kolejno brali do rąk wiosła, jednak zmiany potężnie zbudowanego Reubena były najdłuższe.

Od wody ciągnęło chłodem i choć światła Georgetown, a także nieco dalej na południe światła Waszyngtonu przyjaźnie błyszcząły, gęstniejąca mgła coraz bardziej je rozmywała. Jak wiele jest w tym mieście piękna, myślał siedzący na dziobie Stone. Tak, dużo piękna, ale jeszcze więcej rzeczy budzących nienawiść.

— Łódź policyjna patroluje teraz most na Czternastej Ulicy — odezwał się Caleb. — Mają nowy grafik. A śmigłowiec sił bezpieczeństwa wewnętrznego znów co dwie godziny oblatuje wszystkie pomniki na Mail. Pisali o tym w dzisiejszym e-mailu, który przyszedł do biblioteki.

— Dziś rano znów podwyższyli stopień zagrożenia — dodał Reuben. — Ale moje dobrze poinformowane źródła twierdzą, że to tylko przedwyborcze strachy na lachy. Prezydent Brennan potrząsa szabelką.

Stone odwrócił głowę i spojrzął na Milтона siedzącego nieruchomo na rufie.

— Milton, jesteś dziś bardzo milczący. Wszystko w porządku?

Milton spojrzął na niego wstydliwie.

— Bo kogoś poznałem. — Wszyscy podnieśli głowy i spojrzeli na niego z ciekawością. — Kobietę! — dodał.

Reuben klepnął przyjaciela w ramię.

— Ach ty stary zbereźniku — powiedział z uśmiechem.

— Milton, to wspaniale — ucieszył się Stone. — Gdzie ją poznałeś?

— W klinice dla nerwowych. Też jest pacjentką.

— Aha. — Stone kiwnął głową.

— To na pewno bardzo miłe — dodał Caleb dyplomatycznie.

Przepłynęli pod mostem Key Bridge, trzymając się środka, i popłynęli łukiem rzeki skręcającej na południe. Stone z satysfakcją patrzył, jak dzięki gęstniejącej mgłę stają się praktycznie niewidoczni z brzegu. Wiedział, że władze federalne nie czują do intruzów zbytnej sympatii. Stone dojrzał wyłaniający się z mroku brzeg i pospiesznie rzucił:

— Reuben, trochę bardziej w prawo!

— Następnym razem umówmy się pod pomnikiem Lincoln — mruknął Reuben ze złością, sapiąc z wysiłku. — Zaoszczędzę trochę potu.

Łódka opłynęła zachodni cypel wyspy i wpłynęła w wąski przesmyk nazywany niegdyś Małym Kanałem. Wokół zrobiło się tak dziko, że aż trudno było uwierzyć, iż jeszcze chwilę wcześniej mieli przed sobą kopułę Kapitolu.

Dopłynęli do brzegu i ukryli łódź w kępie zarośli, potem ruszyli lasem gęsiego w stronę głównej ścieżki. Oliver Stone szedł szczególnie sprężystym krokiem. Dziś czekało go wyjątkowo ważne zadanie.

ROZDZIAŁ 5

Delegacja Łotyszy w końcu się zmyła i Alex natychmiast pojechał do pubu, który mieścił się w pobliżu siedziby WFO i stanowił ulubione miejsce spotkań wszystkich federalnych służb policyjnych. Pub nosił nazwę Bar PAF, co niewtajemniczonym z niczym się nie kojarzyło. W gronie agentów federalnych nazwa była jednak doskonale znana.

PAF było skrótem od słów „Premia agentów federalnych”. W zamian za pozostawanie co najmniej przez dziesięć godzin na dobę w pełnej gotowości do wykonywania zadań, które wymagają statusu agenta federalnego, broni służbowej i ponadprzeciętnej odwagi, agenci dostawali od swych rodzimych agencji dodatkową premię w wysokości dwudziestu pięciu procent zasadniczego wynagrodzenia. Nazwanie baru skrótem nawiązującym do tego systemu było ze strony właścicieli błyskotliwym posunięciem marketingowym, ponieważ od pierwszego dnia lokal był oblegany przez agentów obojga płci.

Alex wszedł do środka i przepchnął się do kontuaru. Ściana /a nim obwieszona była emblematami służb federalnych odprutymi z kurtek agentów. Ściany boczne udekorowano oprawionymi w ramki artykułami prasowymi, w których opisywano bohaterские czyny funkcjonariuszy FBI, DEA, ATF, l'AM i innych tego typu agencji.

Na widok barmanki twarz Aleksa mimo woli rozjaśnił uśmiech.

— Martini z ginem lodem, i nie dwiema, nie czterema, tylko

z trzema soczystymi oliwkami — powiedziała, przyglądając się mu z uśmiechem.

— Świetna pamięć.

— To wielka sztuka, zwłaszcza że nigdy nie zamawiasz nic innego.

— Co nowego w DS?

Kate Adams była jedyną znaną mu barmanką, która będąc prawniczką z wykształcenia, pracowała równolegle w Departamencie Sprawiedliwości.

— Wszystko dobrze. — Kiwnęła głową, podając mu drinka. — A co u ciebie?

— Płacami regularnie i jakoś żyję. I nic więcej mi nie trzeba.

— Naprawdę powinieneś podnieść trochę poprzeczkę.

Kate zajęła się wycieraniem baru, Alex nie przestał się jej przypatrywać. Miała szczupłą sylwetkę z niewielkimi krągłościami, długie blond włosy spływające na wysmukłą szyję i twarz z wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi i cienkim, prostym nosem nad zgrabnym podbródkiem. Właściwie wszystko wydawało się w niej klasycznie poprawne i zwyczajne, póki nie zajrzało się jej w oczy. Były duże i zielone, i Alex domyślał się, iż kryje się za nimi ognista i uczuciowa dusza. Była niezamężna, miała trzydzieści pięć lat i stopień zaszerogowania GS-15. Wszystko to sprawdził w rządowej bazie danych, choć jego zdaniem Kate wyglądała co najmniej na pięć lat mniej. Co go zresztą wcale nie cieszyło, jako że sam wyglądał na swoje lata, mimo iż jego czarna czupryna nie zaczęła jeszcze ani siwieć, ani rzednąć, co dla niego samego stanowiło zagadkę.

— Zeszczupłałeś — odezwała się, wrywając go z zamyślenia.

— Bo już nie pracuję w ochronie. Nie opycham się hotelowym żarciem i zamiast przesiadywać w samolotach po dziesięć godzin bez ruchu, naprawdę coś robię.

Od ponad miesiąca regularnie ją czarował opowieściami na różne tematy i czuł, że najwyższa pora posunąć się dalej. Musiał jednak znaleźć coś, co by ją zainteresowało. I wtedy spojrzął na jej dłoń.

— Od jak dawna grasz na fortepianie?

— Co? — spytała zupełnie zaskoczona.

— Masz odgniecenia na palcach — zauważył. — Typowe dla pianistów.

Przyjrzała się swoim dłoniom.

— Albo komputerowców — powiedziała z uśmiechem.

— Nie. Od klawiatury komputerowej odciskają się tylko koniuszki palców, a na fortepianie gra się całymi palcami. I to jeszcze nie wszystko. Obgryzasz paznokcie aż do opuszek, masz wgłębienie na paznokciu lewego kciuka, bliznę na prawym palcu wskazującym, a mały palec lewej dłoni jest trochę krzywy. Pewnie od jakiegoś upadku w dzieciństwie.

Kate spojrzała na swoje palce.

— A ty co? Jesteś ekspertem od rąk?

— Jak wszyscy agenci Secret Service. Znaczną część dorosłego życia spędziłem na obserwowaniu ludzkich dłoni we wszystkich pięćdziesięciu stanach i w paru innych krajach na dokładkę.

— Dlaczego?

— Bo dłonie służą ludziom do zabijania, Kate.

— Aha.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tym momencie do pubu wtargnęła grupa agentów FBI, którzy pewnie właśnie zeszli ze służby. Obstąpili bar i zaczęli głośno wykrzykiwać zamówienia. Speszony ich liczebną przewagą i głośnym zachowaniem Alex zabrał swego drinka i przeniósł się do stolika w rogu sali. Zerkał jednak wciąż na Kate, choć irytowały go wyraźne umizgi do niej ze strony tych z Biura.

W końcu oderwał wzrok od baru i przeniósł na ekran telewizora wiszącego na ścianie. Nastawiony był na CNN i eżecść obecnych z uwagą wsłuchiwała się w słowa mówiącego. Alex przeniósł się bliżej i zaczął słuchać relacji z wcześniej odbytej konferencji prasowej Cartera Graya, szefa krajowych służb wywiadowczych.

Gray swym wyglądem budził natychmiastowe zaufanie. Mimo dość niepozornego wzrostu, dzięki masywnym ramionom, krótkiemu karkowi i szerokiej twarzy stwarzał wrażenie solidnej twardości. Nosił okulary nadające mu nieco akademicki wygląd, co nie było tylko pozorem, jako że ukończył kilka najbardziej prestiżowych uczelni w kraju. Z tym zaś, czego w nich nie uczono, miał okazję się zapoznać podczas niemal czterdziestu lat służby. Wydawało się, że nikt i nic nie może go ani speszzyć, ani przestraszyć.

— W trakcie szukania zaginionej krowy miejscowy farmer z południowo-zachodniej Wirginii natknął się na zwłoki trzech podejrzewanych o terroryzm mężczyzn — mówił z kamienną twarzą szef wywiadu. Alex wyobraził sobie tę scenę i już miał parsknąć śmiechem, ale grobowa mina Graya zmroziła jego poczucie humoru. — Z badań laboratoryjnych wynika, że śmierć nastąpiła co najmniej tydzień temu, może nawet wcześniej. Na podstawie kartoteki podejrzanych w Narodowym Centrum Wywiadu ustaliliśmy, że jednym z zabitych był niejaki Muhammad az-Zawahiri zamieszany w samobójczy atak bombowy na dworcu Grand Central i stojący na czele siatki narkotykowej działającej na Wschodnim Wybrzeżu. Drugim z zamordowanych okazał się Adnan ar-Rimi uważany za jednego z terrorystów podległych Az-Zawahiriemu. Tożsamości trzeciego z mężczyzn jak dotąd nie ustalono. Na podstawie danych wywiadowczych dostarczonych przez NCW, FBI aresztowało pięciu dalszych mężczyzn powiązanych z Az-Zawahirim, konfiskując przy okazji znaczne ilości narkotyków, gotówki i broni.

Widać było, że Gray w małym palcu ma waszyngtońskie reguły gry. Wprawdzie podkreślił, iż główną zasługę w całej sprawie miało NCW, nie omieszczał wspomnieć o udziale FBI. Miarą sukcesu w Waszyngtonie była zawsze wielkość przyznanego budżetu i umiejętność poszerzania pola manewru. Każdy zapominający o tym polityk narażał się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Jednak od czasu do czasu zdarzało się, że któraś z agencji potrzebowała przysługi ze strony siostrzanej służby i Gray najwyraźniej o tym pamiętał.

— Jednym z ciekawszych wniosków płynących z tego wydarzenia jest to, że z przeprowadzonego śledztwa wynika, iż to Az-Zawahiri zastrzelił swych dwóch kompanów, po czym sam popełnił samobójstwo. Nie można też wykluczyć, że jego śmierć miała związek z gangiem narkotykowym. W każdym razie jesteśmy przekonani, że wydarzenie to odbije się głośnym echem w miejscowych kręgach terrorystycznych, i to w czasie, gdy władze zaczynają odnosić znaczące sukcesy w walce z terroryzmem. — Zamilkł na moment, po czym obojętnym tonem dodał: — Chciałbym teraz oddać głos prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

Wszystkie konferencje prasowe miały ostatnio taki sam przebieg. Najpierw Gray spokojnym, rzeczowym tonem omawiał najnowsze wydarzenia, potem pałeczkę przejmował charzmatyczny James Brennan i wybijał nią polityczną piłkę daleko w trybuny. Używał do tego celu kwiecistego języka pełnego hiperboli i ozdobników, co miało utwierdzić słuchaczy w przekonaniu, że nikt nie radziłby sobie lepiej z zapewnianiem krajowi bezpieczeństwa.

Brennan zaczął mówić i Alex wrócił wzrokiem do baru i pracującej w nim barmanki. Czuł, że tak atrakcyjna kobieta musi mieć mnóstwo zabiegających o jej względy facetów, których większość ma nad nim przewagę. Poza tym pewnie już wyczuła jego zamiary. Pewnie je, cholera, wyczuła, zanim sam je sobie uświadomił.

Rozprostował ramiona i podjął męską decyzję: w końcu nie ma żadnego powodu, żeby nie mógł być tym, któremu się powiodło!

Był już w połowie drogi do baru, gdy go zamurowało. Zauważył, że zamaszystym krokiem zmierza ku niej od wejścia mężczyzna, a radosny uśmiech na jej twarzy świadczy, że nie jest to ktoś jej obojętny. Alex zawrócił, ponuro obserwując, jak oboje przechodzą na koniec baru i wdają się w rozmowę. Mężczyzna był trochę od niego niższy, ale dużo młodszy, atletycznie zbudowany i przystojny. Na pierwszy rzut oka poznał też, że ma na sobie eleganckie, drogie ubranie. Pewnie jakiś wysoko opłacany korporacyjny prawnik czy lobbysta z kancelarią na K Street. Każdy wybuch śmiechu Kate działał na niego jak bolesny cios pałką w głowę.

Dopił drinka i już miał wychodzić, gdy usłyszał głośno wypowiedane swoje imię. Odwrócił się i zobaczył, że Kate przyzywa go ruchem ręki. Ociągając się, ruszył do baru.

— Alex, przedstawiam ci Toma Hemingwaya. Tom, poznaj Aleksa Forda — powiedziała.

Uścisnęli sobie dłonie i Alex, który nie był ułomkiem, w uścisku Hemingwaya poczuł tak miażdżącą siłę, że ramię przeszył mu bolesny prąd. Spojrzał na dłoń mężczyzny i ze zdumieniem odnotował masywną budowę jego palców i kostek. Nigdy w życiu nie widział potężniej zbudowanej dłoni.

— Secret Service — powiedział, spoglądając na czerwony znaczek w kłapie Aleksa.

— Ty też?

— Pracuję w takiej służbie — powiedział Hemingway z uśmiechem — że gdybym powiedział gdzie, od razu musiałbym cię zabić.

Alex z trudem panował nad niechęcią, którą tamten w nim obudził.

— Mam kolegów w CIA, DIA, NRO i NSA. Więc która z nich?

— Żadna z podobnie banalnych — parsknął Hemingway.

Alex spojrzał na Kate.

— Od kiedy to DS ma takie strasznie tajemnicze kontakty?

— Tak się składa, że rzeczywiście pracujemy nad czymś razem. — Hemingway kiwnął głową. — Czyli moja agencja razem z Departamentem Sprawiedliwości. Kate jest głównym radcą prawnym, ja pełnię funkcję łącznika.

— Chyba nie mogłeś sobie wymarzyć lepszej partnerki — powiedział Alex, odstawiając pustą szklanę. — No cóż, będę się już zbierał.

— Ale mam nadzieję, że niedługo znów wpadniesz — wtrąciła szybko Kate, jednak Alex zbył to milczeniem.

— Trzymaj się, Tom — powiedział. — I nie wygadaj się czasem, gdzie służysz Wujowi Samowi. Byłbym niepocieszony, gdybyś narobił sobie kłopotu, bo musiałeś zabić jakiegoś frajera za zadawanie zbyt wielu pytań. — Ruszył do wyjścia i tylko dzięki posiadaniu oczu z tyłu głowy, co cechuje wszystkich agentów Secret Service, czuł na sobie świdrujące spojrzenie tamtego. Nie poczuł natomiast smutnego wzroku Kate, którym go odprowadziła.

No dobra, pomyślał Alex, czując, jak go owiewa rześkie nocne powietrze, prawdziwie gówniane zakończenie dnia, który mógł być tylko zwyczajnie nieudany. Postanowił pójść piechotą, bo chciał, by wypity gin z trzema soczystymi oliwkami trochę go poszczypał w duszę. Żałował tylko, że nie wypił drugiego.

ROZDZIAŁ 6

Prezydencka kawalkada wracała do Białego Domu z rautu zorganizowanego w ramach zbierania funduszy na kampanię. Samochody pędziły opustoszałymi ulicami, nie zwalniając na skrzyżowaniach, na których zamknięto ruch. Dzięki perfekcyjnemu przygotowywaniu tras przejazdu przez wyspecjalizowane ekipy Secret Service nigdy dotąd nie zdarzyło się, by amerykański prezydent choć przez chwilę musiał czekać w ulicznym korku. Już choćby ten przywilej stanowił dla umęczonych waszyngtońskich kierowców wystarczającą zachętę, by walczyć o prezydenturę. W drodze na przyjęcie Gray zdał szefowi sprawozdanie z wszystkich ważniejszych wydarzeń dnia i teraz rozparty na tylnej kanapie Bestii Brennan zagłębił się w studiowanie najnowszych sondaży. Gray siedział z wzrokiem wbitym wprost przed siebie, jak zwykle błędząc myślami wokół kilkunastu spraw naraz.

W końcu odwrócił głowę i spojrzał na szefa.

— Z całym szacunkiem, panie prezydencie, ale czytanie sondaży co chwila ani trochę nie zmieni wyników. Senator Dyson jako pański kontrkandydat nawet nie gra w pańskiej lidze. Wygra pan te wybory bez trudu. — Zrobił przerwę i dodał dyplomatycznie: — Dzięki temu może pan poświęcać czas na inne ważne sprawy.

Brennan parsknął i odłożył wyniki sondaży.

— Carter, jesteś człowiekiem niewątpliwie wybitnym, ale polityk z ciebie żaden. Dopóki nie zliczą ostatniego głosu,

wyścig trwa i nigdy nie można być pewnym zwycięstwa. Ale zdaję sobie też sprawę, że moja znaczna przewaga w tym wyścigu jest po części twoją zasługą.

— Bardzo jestem wdzięczny za pańskie poparcie podczas moich trudnych początków.

Prawda była taka, że podczas owych „trudnych” początków Brennan był kilkakrotnie o włos od podjęcia decyzji o pozbyciu się Graya, który doskonale o tym wiedział. I wprawdzie nigdy nie należał do ludzi liżących tyłki swych zwierzchników, jeśli już trzeba to było zrobić, tyłek przywódcy wolnego świata nieźle się do tego celu nadawał.

— Masz tam jeszcze jakichś innych Az-Zawahirich na oku?

— To była zupełnie wyjątkowa sytuacja, panie prezydencie. — Gray nadal nie potrafił zrozumieć, co spowodowało, że Az-Zawahiri wykonał tak niezwykłą woltę. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że to jego strategia infiltrowania organizacji terrorystycznych i taktyka napuszczania jednych na drugich zaczyna przynosić owoce. Ale Gray był człowiekiem zbyt podejrzliwym, by nie brać pod uwagę także innych możliwości.

— Bo mamy dzięki temu świetną prasę.

Jak zwykle przy takich okazjach, Gray z trudem się powstrzymał od wygarnięcia, co naprawdę myśli o takim podejściu. W ciągu swej długiej szpiegowskiej kariery miał okazję zetknąć się z kilkoma prezydentami i stwierdzić, że wszyscy podchodzili do tego tak samo. Nie byli ludźmi z gruntu złymi. Tyle iż mimo niezwykle wysokiego statusu byli, zdaniem Graya, znacznie bardziej podatni na zwykłe ludzkie słabości niż przeciętni zjadacze chleba. Uważał, że w głębi duszy byli osobnikami samolubnymi i egoistycznymi, które to cechy wykształciły się w nich i utrwaliły w ogniu politycznych potyczek. Wszyscy prezydenci mogli gardłować, że chodzi im wyłącznie o czynienie dobra, rozwijanie szczytnych ideałów i działanie dla dobra ich partii. Z doświadczenia Graya wynikało, że wszystkim zawsze chodziło o jedno: tron w Gabinetie Ovalnym. Władza to najpotężniejszy narkotyk świata. W porównaniu z nim heroina jest jak placebo.

A przecież gdyby Brennan padł nagle trupem, skrupulatnie dobrany wiceprezydent był gotów natychmiast wcielić się w jego rolę i przejąć rządy nad krajem. Gray był pewien, że

gdyby nawet tak się zdarzyło, że Brennan przegra najbliższe wybory, jego konkurent po prostu zajmie miejsce w Białym Domu, a Ameryka nawet tego nie zauważy. Prezydenci wcale nie są niezastąpieni. To tylko im się tak wydaje.

— Może pan być spokojny, panie prezydencie. Gdyby się pojawili jacyś nowi, pan pierwszy się o tym dowie.

Brennan był zbyt doświadczonym politykiem, by wierzyć w tego rodzaju deklaracje. Do waszyngtońskiej tradycji należało, że szefowie wywiadu niechętnie dzielili się swą wiedzą z prezydentami. Mimo to było mu na rękę, by bardzo popularnemu Grayowi zostawiać wolną rękę w działaniu. Carter Gray był szpiegiem, a szpiegdy zawsze coś ukrywają. Widać coś w ich genach nie pozwala na całkowitą szczerość. Jakby czuli, że wyjawienie wszystkiego oznaczać będzie ich koniec.

— Idź się przespać, Carter. Zobaczymy się jutro — powiedział prezydent na pożegnanie, gdy wysiedli z Bestii.

Świta prezydencka wysypała się z innych samochodów kawalkady. Główni doradcy i współpracownicy prezydenta byli wściekli, że szef postanowił odbyć drogę w obie strony tylko w towarzystwie Graya, choć wiedzieli, że w ten sposób honoruje Graya za sukces w sprawie Az-Zawahiriego i jednocześnie działa na swą korzyść. Dramatyczne wystąpienie Graya o terroryzmie spowodowało, iż z grubych portfeli uczestników prezydenckiego rautu wyfrunęły równie opasłe czeki. Tłum gości w smokingach zebrał w sumie milion dolarów na fundusz partii prezydenta Brennana, a to pewnością uzasadniało obecność Graya w Bestii.

Chwilę później Gray wyjechał z Białego Domu, jednak wbrew sugestii prezydenta nie udał się do domu. Trzy kwadransy później jego samochód znalazł się na terenie kompleksu budynków Narodowego Centrum Wywiadu w okręgu Loudoun w Wirginii. Był to obiekt równie silnie strzeżony jak NSA w Marylandzie. Terenu wokół kompleksu pilnowały dwie pełne kompanie wojska w sile czterystu żołnierzy, choć żaden z nich nie miał prawa wejść do któregoś z budynków, chyba że w sytuacji zagrożenia katastrofą. Dyrekcja mieściła się w gmachu wyglądającym tak, jakby dla zapewnienia jego lokatorom pięknych widoków na okoliczne tereny leśne Wirginii, zbudowano go w całości ze szkła. W rzeczywistości w budynku nie

było ani jednego okna, a tafle szkła pokrywały grube betonowe ściany zabezpieczone dodatkowo specjalną powłoką ochronną, dzięki której ani ludzkie, ani elektroniczne oko nie mogło się przez nie przebić.

Wewnątrz trzy tysiące kobiet i mężczyzn wyposażonych w supernowoczesną technikę ślęczało przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nad supernowoczesnymi urządzeniami, by zapewnić Ameryce bezpieczeństwo. Przez cały czas spływały też do nich dane z wszystkich pozostałych agencji wywiadowczych w kraju.

Po wypadkach służb wywiadowczych wdkół tragedii z 11 września i kompromitacji CIA w sprawie broni masowego rażenia wielu liderów amerykańskich zaczęło się poważnie zastanawiać, czy wywiad amerykański w ogóle jeszcze działa. Podjęte następnie przez rząd próby zreformowania służb nie tylko nie powiodły się, ale spowodowały jeszcze większe zamieszanie, i to w chwili, gdy przejrzystość działania i zaangażowanie pracowników służb wywiadowczych znalazły się w centrum zainteresowania opinii publicznej. Powołano do życia Narodowe Centrum Antyterroryzmu, którego dyrektor podlegał bezpośrednio prezydentowi, a także zupełnie nowy wydział w FBI pod nazwą Zarząd Wywiadu. W rezultacie istniejąca sieć agencji wywiadowczych powiększyła się o dwie nowe, co w żadnym stopniu nie wpłynęło na dominującą wśród nich niechęć do dzielenia się informacjami.

W końcu przeważała opinia — stanowiąca zdaniem Graya głos rozsądku — która doprowadziła do likwidacji wszystkich pośrednich szczebli zarządzania i powołania jednego szefa wywiadu z jemu tylko podległym personelem krajowego centrum operacyjnego. Kapitalne znaczenie miał też fakt, że ów szef dysponował własnym budżetem i sprawował nadzór operacyjny nad funkcjonowaniem wszystkich pozostałych agencji wywiadowczych. W kręgach wywiadowczych od dawna mówiło się, że za sprawą analityków można wpaść w poważne tarapaty polityczne; z winy działających w ukryciu agentów operacyjnych trafia się do więzienia. Gdyby miało dojść do kryzysu, Gray chciał ponieść odpowiedzialność za swe zawodowe niepowodzenia.

Wszedł do gmachu dyrekcji, przeszedł przez bramkę bio-

metrycznej identyfikacji i wszedł do windy, którą pojechał na najwyższe piętro.

Pomieszczenie, do którego wszedł, było nieduże i jasno oświetlone. Usiadł i nałożył na głowę hełmofon ze słuchawkami i mikrofonem. W pomieszczeniu siedziały jeszcze cztery osoby. Na ścianie wisiał ekran telewizyjny, na stole leżała teczka z dokumentami, opatrzona etykietą: Salim al-Umari. Znał jej zawartość na pamięć.

— Jest już późno, zaczynajmy — rzucił.

Światła przygasły i ekran rozjaśnił się, ukazując mężczyznę siedzącego na krześle pośrodku pustego pokoju. Ubrany był w błękitny kombinezon i nie miał związanych rąk ani nóg. Jego rysy twarzy świadczyły o bliskowschodnim pochodzeniu. W oczach czaił mu się strach, ale też hardość. Gray miał już okazję poznać hardość takich jak on. Ludzie tacy jak Al-Umari, przypominali mu postacie z Dostojewskiego: wyobcowanych samotników rozpamiętujących swe krzywdy, spiskujących i konsekwentnie odwołujących się do wzorców anarchii. Patrzył na twarz fanatyka, człowieka owładniętego obsesją zła. Kogoś takiego jak ten, który zabrał mu jego dwie najbardziej ukochane osoby.

Choć Al-Umari znajdował się teraz w miejscu oddalonym o tysiące kilometrów, o którego istnieniu wiedziała tylko garstka wtajemniczonych, dzięki łączom satelitarnym obraz i dźwięk były krystalicznie czyste.

Gray zadał Al-Umariemu pytanie po angielsku, mężczyzna bez namysłu odpowiedział po arabsku i triumfalnie się uśmiechnął.

— Panie Al-Umari — powiedział Gray czystym arabskim. — Mówię biegle po arabsku i potrafię się nim posługiwać lepiej niż pan. Wiem, że przez wiele lat mieszkał pan w Anglii i że mówi pan po angielsku lepiej niż po arabsku. Dlatego nalegam, by nasza rozmowa odbyła się po angielsku, co pozwoli uniknąć wszelkich nieporozumień.

Z twarzy Al-Umariego zniknął uśmiech, a on sam poprawił się na krześle.

Gray przedstawił mu swą propozycję. Al-Umari miał zostać szpiegiem na służbie Stanów Zjednoczonych z zadaniem przeniknięcia w szeregi jednej z najgroźniejszych organizacji

terrorystycznych działających na Bliskim Wschodzie. Mężczyzna bez wahania odmówił. Gray powtórzył propozycję, mężczyzna ponownie odmówił, dodając na koniec:

— Iw ogóle nie wiem, o czym mówisz.

— Według danych amerykańskiego Departamentu Stanu na świecie istnieją obecnie dziewięćdziesiąt trzy organizacje terrorystyczne, w większości wywodzące się z Bliskiego Wschodu — rzekł Gray. — Potwierdził pan swą przynależność co najmniej do trzech z nich. Ponadto przyłapano pana z fałszywymi paszportami, pisemnymi planami ataku na most Wilsona i materiałami do wyrobu bomb. Tak więc albo nawiąże pan współpracę z nami, albo czekają pana poważne kłopoty.

Al-Umari uśmiechnął się i pochylił ku kamerze.

— Kilka lat temu w Jordanii przesłuchiwało mnie wasze CIA, wasi wojskowi i wasze FBI, a także tak zwane Brygady Tygrysa. Podsyłano mi rozebrane kobiety, które mazały mnie krwią miesięczkową, czy czymś, co nazywały krwią miesięczkową, tak bym stał się nieczysty i nie mógł się modlić. Ocierały się o mnie i proponowały seks, żebym tylko zaczął mówić. Odmówiłem i zostałem pobity. — Wyprostował się. — Grozili mi gwałtem, po którym miałem zapaść na AIDS i umrzeć. I wszystko to było mi obojętne. Prawdziwi wyznawcy Allaha nie boją się śmierci tak jak chrześcijanie. To wasza największa słabość, która doprowadzi was do ostatecznej klęski. Islam zatriumfuje. Tak napisano w Koranie. Islam zapanuje nad światem.

— To nieprawda. W Koranie niczego takiego nie ma. W żadnej z jego stu czterestu sur. W naukach Mahometa też nie ma mowy o dominacji nad światem.

— Znasz hadisy? — spytał Al-Umari z niedowierzaniem. Tak nazywały się zbiory opowieści o nauczaniu i życiu proroka Mahometa oraz jego pierwszych wyznawców.

— I czytałem Koran po arabsku. Bo zachodni badacze islamu nigdy dobrze nie przetłumaczyli jego treści. I dlatego, panie Al-Umari, powinien pan zdawać sobie sprawę z tego, że islam jest z założenia religią pokoju i tolerancji, choć jest też religią bezwzględnie walczącą w swej obronie. Co jest zresztą zrozumiałe, bo już od czasów wypraw krzyżowych niektóre „cywilizowane” kultury próbują nawracać muzułmanów naj-

pierw za pomocą miecza, potem broni palnej. Ale w hadisach napisano, że nawet w czasie dżihadu należy oszczędzać niewinne kobiety i dzieci.

— Tak jakby ktoś z was był niewinny — warknął Al-Umari. — Cały świat islamu musi walczyć z jego gnębiicielami.

— Wyznawcy islamu stanowią jedną piątą ludzkości, a przeważająca liczba waszych braci wierzy w wolność słowa mówionego i pisanego, a także w równe traktowanie przez prawo. A ponad połowa muzułmanów zamieszkuje w krajach rządzonych demokratycznie. Wiem, że pobierał pan nauki w afgańskiej madrasie i pańska znajomość Koranu musi być mocno ograniczona, zatem wybaczam ignorancję w tych sprawach. — Gray nie dodał już, że szkolenie w madrasie koncentrowało się pewnie głównie na posługiwaniu się bronią automatyczną i metodach prowadzenia świętej wojny, dzięki czemu ośrodki tego typu zdobyły sobie wątpliwą sławę muzułmańskiego West Point. — Pańską ambicją było zostanie szahidem, jednak zabrakło panu odwagi i fanatyzmu, by stać się zamachowcem-samobójcą. Nie miał pan też w sobie twardości i postawy potrzebnej do tego, by zostać mudzahedinem.

— Przekonasz się czy wystarczy mi odwagi, żeby umrzeć za islam.

— Nic mi nie przyjdzie z zabicia pana. Chcę, żeby pan dla mnie pracował.

— Idź do diabła.

— Mamy do wyboru dwie drogi: łatwą i trudną — rzekł Gray, rzucając okiem na zegarek. Od trzydziestu godzin był na nogach. — I wiele dróg prowadzi do *Dżanny*.

Al-Umari pochylił się do przodu.

— Wybiorę sobie własną drogę do nieba — rzucił z szyderczym parsknięciem.

— Masz żonę i dzieci w Anglii — powiedział Gray spokojnie.

Al-Umari splótł ręce na piersiach i przyjął kamienny wyraz twarzy.

— Tacy łajdacy jak wy będą nam dobrze służyć w przyszłym życiu.

— Syna i córkę — ciągnął Gray, jakby nie słyszał tamte-

go. — Zdaję sobie sprawę, że los twoich kobiet może niespecjalnie cię obchodzić. Ale chłopiec...

— Mój syn z radością umrze...

— Nie mam zamiaru zabijać twojego syna — przerwał mu ostro Gray. — Mam wobec niego inne plany. Skończył właśnie półtora roku, prawda?

Na twarzy Al-Umariego pojawił się cień niepokoju.

— Skąd to wiecie?

— Zapewne chcesz go wychować na muzułmanina, prawda?

Al-Umari nie odpowiedział, wpatrując się w milczeniu w obiektyw kamery.

Gray mówił dalej.

— Więc jeżeli nie podejmiesz współpracy z nami, zabiorę twojego syna matce i oddam jakiejś kochającej rodzinie do adopcji, która go wychowa po swojemu. — Zawiesił na chwilę głos, by tym dobitniej zabrzmiały jego następne słowa. — Zostanie wychowany w Ameryce przez Amerykanów na chrześcijanina. Albo nie. Zależy to tylko od ciebie.

Al-Umari wyglądał na poruszonego, bo nagle wstał z krzesła i ruszył w stronę kamery. Natychmiast pojawiły się czyjeś ręce i posadziły go z powrotem.

Potok słów, jaki popłynął z jego ust, wypowiedziany został po arabsku, ale i tak treść nie budziła wątpliwości. Jego wzburzenie rosło i wprawdzie chwilę później fizycznie go obezwładniono, strumień przekleństw ustał dopiero, gdy zaklejono mu usta taśmą.

Gray odsunął od siebie teczkę Araba.

— W ciągu kilku ostatnich lat z rąk takich jak ty zginęło siedem tysięcy ośmiuset szesnastu Amerykanów. Wszyscy zginęli na amerykańskiej ziemi. Jeśli doliczymy ofiary w innych krajach, liczba ta urośnie do blisko dziesięciu tysięcy. Część tych ofiar to były dzieci, którym odmówiono prawa do dorastania i praktykowania wybranej religii. Daję ci dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji. Proszę, żebyś się dobrze zastanowił. Jeśli zaczniesz z nami współpracować, ty i twoja rodzina będziecie mogli żyć w spokoju. Jeśli jednak odmówisz współpracy... — Kiwnął głową na mężczyznę siedzącego obok i ekran zgasł.

Gray popatrzył na sześć kolejnych teczek leżących na stole.

Cztery z nich dotyczyły mieszkańców Bliskiego Wschodu podobnych do Al-Umariego. Piąta zawierała dane dotyczące neofaszysty zamieszkałego w Arkansas, szósta dotyczyła niejakiego Kim Fonga, członka grupy anarchistów z Azji Południowo-Wschodniej, powiązanej z bliskowschodnimi organizacjami terrorystycznymi. Wszyscy zaliczali się do tak zwanych widm i o fakcie trzymania ich pod kluczem wiedziała jedynie bardzo nieliczna, wyselekcjonowana grupka pracowników. NCW. Podobnie jak CIA, NCW utrzymywało w wielu zapalnych punktach świata tajne paramilitarne grupy, których zadaniem było wyłapywanie aktywnych wrogów Stanów Zjednoczonych i przetrzymywanie ich w odosobnieniu, nie wdając się w formalne procedury.

Gray miał zamiar przedstawić propozycje współpracy wszystkim swoim „widmom”, choć formy nacisku miały się różnić zależnie od zebranych danych wywiadowczych z ich przeszłości. Nadspodziewanie skutecznym narzędziem wobec wielu okazywały się pieniądze. Rzadko zdarza się, by z powodów religijnych lub ideologicznych rozrywali się na strzępy ludzie dobrze sytuowani. Często natomiast ludzie tacy potrafią namówić do tego innych. Gray uznałby za sukces, gdyby choć połowa z nich wyraziła zgodę na współpracę.

Godzinę później Gray opuścił budynek NCW. Tylko skin z Arkansas bez wahania zgodził się na współpracę, w czym mu niewątpliwie pomogła groźba, że w razie odmowy trafi w ręce radykalnej grupy bojowników antyfaszystowskich z Ameryki Południowej. Inni odmówili.

W drodze do samochodu zadumał się nad dalszym rozwojem sytuacji. Agresja nasilała się po obu stronach barykady i im ostrzejsze środki stosowała jedna strona, tym ostrzejsza bywała odpowiedź drugiej. Za pomocą ledwie ułamka swego potencjału atomowego Stany Zjednoczone mogły jednym ruchem zetrzeć z powierzchni ziemi cały Bliski Wschód i wszystkich jego mieszkańców, i przy okazji najświętsze miejsca dwóch wielkich religii świata. Poza realizacją takiego niewyobrażalnego scenariusza Gray właściwie nie widział żadnego jasnego rozwiązania. Przeciwno ulicznej tłuszczy w turbanach, uzbrojonej w strzelby i granatniki RPG, nie da się przecież wysłać batalionów pancernych. I nie chodziło też tylko o różnice religijne. Walka

toczyła się o sposób myślenia i podejście do życia, stając się walką o wartości polityczne, społeczne i kulturowe, które stopione razem tworzyły niezwykle złożoną mozaikę ludzkich emocji poddanych ogromnej presji. Chwilami Gray zastanawiał się, czy do rozwiązania konfliktu nie powinno się zamiast żołnierzy i szpiegów angażować psychiatrów i psychologów. Pozostało mu jedynie codziennie rano od nowa próbować wypełniać swe obowiązki.

Gray rozsiadł się na wytartej skórzanej kanapie chevroleta suburban, który otaczała grupka uzbrojonych i rozglądających się czujnie na wszystkie strony ochroniarzy. Na piętnaście minut przymknął oczy i otworzył je dopiero, gdy poczuł, że samochód zwalnia. Chwilę później usłyszał znajomy chrzęst żwiru pod kołami samochodów wjeżdżających na podjazd jego skromnego domu. Cały teren wokół był strzeżony nie gorzej niż kwatery wiceprezydenta w Obserwatorium Marynarki Wojennej. Prezydent Brennan nie miał zamiaru ryzykować, by jego szefowi wywiadu mogło się cokolwiek przydarzyć.

Gray mieszkał samotnie, choć nie z własnego wyboru. Wszedł do środka, pozwolił sobie na jedno piwo dla odprężenia, po czym ruszył na górę, by złapać parę godzin snu. Jak miał w zwyczaju, przed położeniem się wziął do ręki dwie fotografie stojące na kominku koło łóżka. Pierwsza z nich przedstawiała żonę Barbarę — kobietę, z którą przeżył większą część swego dorosłego życia. Na drugiej było jego jedyne dziecko, córka Margaret, lub Maggie, jak ją wszyscy nazywali. Nazywali? Nigdy nie oswoił się z myśleniem o rodzinie w czasie przeszłym. Ale jakże inaczej można mówić o kimś, kto już nie żyje i został pochowany? Ucałował oba zdjęcia i odstawił na miejsce.

Leżąc w łóżku, poczuł, jak na piersi kładzie mu się potworny ciężar smutku. Leżał bez ruchu pół godziny — krócej niż zwykle — by wreszcie zapaść w głęboki sen człowieka zupełnie wyczerpanego. Za pięć godzin należało wstać i podjąć na nowo walkę, którą uważał za jedyną rzecz wartą jego wysiłków.

ROZDZIAŁ 7

Alex Ford poszedł spacerem w stronę centrum i wkrótce dotarł do dobrze mu znanego miejsca: Pennsylvania Avenue 1600. Przestrzeń dzieląca Biały Dom od parku Lafayette porośnięta była wiązami i naszpikowana składanymi słupkami ochronnymi i budkami strażniczymi, które od więziennych strażnic różniły się jedynie kolorem. Bez względu na to, jak bardzo by chciano to miejsce upiększyć nowymi drzewami i klombami, z góry było wiadomo, że o wszystkim decydują i zawsze będą decydować względy bezpieczeństwa.

— Cześć Alex — rzucił mężczyzna w cywilnym ubraniu, który wychynął zza zamkniętej bramy.

— Zaczynasz służbę, Bobby, czy kończysz?

— A widzisz może, że mi słuchawka z tyłka sterczy? — powiedział Bobby z uśmiechem. — Wracam do domu, do kobity i dzieciaków. No, chyba że się już wyprowadzili, nic mi o tyra nie mówiąc, czego mógłbym nie zauważyć, bo i tak nigdy nie ma mnie w domu. A co ciebie tu sprowadza?

— Wiesz, jak to jest — wzruszył ramionami Alex. — Jak się człowiek raz załapie na Potusa*, to już mu tak zostaje.

— Wiem! Liczę dni do czasu, kiedy zacznę rodzinę widywać częściej niż raz w roku.

— Jeździsz z kampanią?

* POTUS (President of the United States) — rodzinne przydomko prezydenta.

— Ruszamy pojutrze — przytaknął Bobby. — Będziemy ścisnąć następne dłonie i wygłaszać następne przemówienia od Iowy aż po Missisipi. Przez to wyborcze zamieszanie zrobiło się tak krucho z personelem, że do obsługi rodzin Potusa i Wicka musieliśmy ściągnąć rotacyjne posiłki. Zmieniają się co trzy tygodnie.

— Wiem, u mnie w robocie też się nagle zrobiło pusto.

— Brennan pojechał dziś po prośbie. Ja ci daję buzi, ty mnie dolarki. Na szczęście mi się upiekło i zostałem.

— To miałeś szczęście.

— Nie wiem, czy słyszałeś — parsknął Bobby — ale postanowili jego rodzinne miasteczko w Pensylwanii przemianować na Brennan. Ma je w ramach kampanii odwiedzić i wziąć udział w uroczystym nadaniu nowej nazwy. To ci dopiero egocentryzm! — Bobby podszedł bliżej i ściszył głos. — Nie jest z niego zły facet. Przecież, cholera, sam na niego głosowałem. Ale strasznie śliski. I te jego sprawki na boku...

— Nie pierwszy i nie ostatni.

— Gdyby się tak ludzie dowiedzieli, co robimy, nie?

Odszedł, a Alex spojrział w stronę parku Lafayette, gdzie wciąż jeszcze kręciły się niedobitki „demonstrantów z Białego Domu”, jak ich agenci Secret Service wciąż jeszcze z szacunkiem nazywali. Te namioty i kręcące się wśród nich dziwaczne postacie zawsze Aleksa fascynowały. Kiedyś było ich tu znacznie więcej i cały trawnik zasłany był pieczołowicie wykonanymi transparentami, ale jeszcze przed 11 września postanowiono coś z tym zrobić i pod pretekstem renowacji terenów wokół Białego Domu wszystkich usunięto. Okazało się jednak, że nawet zupełnie bezbronni mają w Ameryce swoje prawa. Część usuniętych zwróciła się do ACLU* o pomoc, sprawa trafiła do sądu, i w końcu Sąd Najwyższy zdecydował, iż mają prawo wrócić pod Biały Dom. I wtedy się okazało, że tylko dwóch dawnych demonstrantów chce to zrobić, za to w miejsce dawnych pojawili się nowi.

Podczas służby w Białym Domu Alex miał okazję kilku z nich poznać. Niektórzy w sposób oczywisty byli chorzy

* ACLU (American Civil Liberties Union) — Amerykański Związek Swobód Obywatelskich.

psychicznie i tych Secret Service pilnowało szczególnie skrupulatnie. Pamiętał na przykład starszego jegomościa ubranego wyłącznie w muszki, które rozmieszczał na sobie w paru strategicznych miejscach. Jednak nie wszyscy demonstranci nadawali się do domu wariatów i takiego właśnie postanowił teraz odwiedzić. Zatrzymał się przed jednym z namiotów.

— Oliver? — zawołał. — Tu Alex Ford. Jesteś tam?

— Go tu nie ma — usłyszał pogardliwe prychnięcie.

Spojrzał na kobietę trzymającą papierowy kubek z kawą.

— Adelpia, co słycać?

— Lekarze bez moralności dzieci w całym kraju zabijają, to słycać.

Wiedział, że kobieta podchodzi do swej misji z prawdziwym zaangażowaniem, i pomyślał, że pewnie byłaby nawet zdolna posunąć się do ostateczności. Musiał jednak przyznać, że jej pasja budzi respekt.

— Tak, słycałem. — Zawiesił głos, by podkreślić swój szacunek dla jej starań, po czym dodał: — A gdzie Oliver?

— Ci mówiłam, go tu nie ma. Gdzieś sobie poszedł.

— Nie wiesz gdzie?

Alex znał domowe adresy Stone'a i Adelphii, ale nie chciał się z tym zdradzać. Miał już okazję przekonać się, że Adelpia jest typem dość paranoidalnym.

— Jego opiekunką ja nie jestem — mruknęła i odwróciła się plecami.

Alex uśmiechnął się. W czasach gdy pełnił jeszcze służbę w ochronie prezydenta, zawsze odnosił wrażenie, że ta kobieta czuje coś do Stone'a. Większość agentów ochrony uznawała Olivera Stone'a za nieszkodliwego dziwaka, który z jakichś niepojętych powodów przybrał nazwisko słynnego reżysera filmowego, i przestała się nim zajmować. Jednak Alex poświęcił mu nieco więcej uwagi i doszedł do wniosku, iż jest to człowiek myślący i dobrze zorientowany w bieżącej polityce i gospodarce światowej, a jego znajomość rzeczy często przewyższa wiedzę niektórych tumanów z drugiej strony ulicy. Stone był szczególnie dobrze zorientowany w szczegółach różnych spisków, które w swoim czasie udało się wykryć, i to stało się przyczyną nadania mu przez część agentów ksywy „Spiskulec”. I naprawdę świetnie grał w szachy.

— Jak go zobaczysz — krzyknął za oddalającą się Adelphią — to mu powiedz, że pytał o niego agent Ford. Chyba mnie pamiętasz, co? — Kobieta nie zareagowała, jakby go w ogóle nie usłyszała. Cała Adelpia.

Ruszył w kierunku miejsca, gdzie zostawił samochód, i po drodze natknął się na scenę, która zwróciła jego uwagę. Na przeciwległym narożniku dostrzegł dwóch mężczyzn, białego i czarnego, którzy kręcili się przy bankomacie ustawionym w przejściu między budynkami. Obaj mieli na sobie kombinezony z napisem „Serwis” na plecach, a obok stała furgonetka z wymalowaną na boku nazwą firmy i numerem telefonu.

Alex ukrył się w cieniu i zadzwonił z komórki pod numer widoczny na samochodzie. Usłyszał nagrany komunikat informujący o godzinach pracy firmy i paru innych szczegółach. Alex przeszedł przez ulicę, rzucił okiem do wnętrza furgonetki, po czym wyciągnął odznakę Secret Service i podszedł do mężczyzn.

— Cześć, chłopaki. Robicie serwis?

Niższy z mężczyzn przyjrzał się odznace i kiwnął głową.

— No, tak nam wyszło.

Alex obrzucił bankomat wprawnym spojrzeniem i dostrzegł to, co podejrzewał.

— Rozumiem, że jesteście tu służbowo — rzucił.

— A jak. Dumni członkowie ekipy serwisowej czterysta pięćdziesiąt trzy — odparł niższy ze śmiechem. — Przynajmniej płacą nam za tę gównianą szycję podwójne nadgodziny.

No i nie ma rady, trzeba się wychylić.

Wyciągnął pistolet i wycelował w mężczyzn.

— Otwórzcie — rozkazał.

— Jesteś pan z Secret Service — powiedział czarny ze złością. — Co się pan wtrącasz do bankomatów?

— Nie muszę ci się tłumaczyć, ale ci odpowiem, że Secret Service powstała kiedyś właśnie po to, żeby chronić walutę Stanów Zjednoczonych. — Alex skierował lufę prosto w głowę czarnego. — Otwieraj!

W środku tkwiła co najmniej setka kart.

Alex wygłosił formułkę o prawach aresztantów, założył obu plastikowe kajdanki i zadzwonił po policję. W oczekiwaniu na przyjazd patrolu czarny nie przestawał mu się przyglądać.

— Robimy to od dawna — powiedział w końcu. — Jakżeś pan na to wpadł?

— W szczelnie tkwi skaner. Wychwytuje PIN, a wy klonujecie kartę. A poza tym banki są cholernie skąpe. Nie ma mowy, żeby któryś zgodził się płacić serwisantom podwójne nadgodziny za pracę w nocy.

Przekazał złodziejasków policji i ruszył w dalszą drogę do samochodu. Nawet ta nieoczekiwana i pomyślnie zakończona przygoda nie odwróciła jego myśli od Kate Adams, która za dnia służyła sprawiedliwości, a wieczorami nalewała do kieliszków i kufli. I która wydawała się blisko zaprzyjaźniona z niejakim Tomem Hemingwayem o stalowym uścisku dłoni, zatrudnionym w jakiejś supertajnej agencji.

Pozostawało mieć nadzieję, że jutrzejszy dzień będzie lepszy.

ROZDZIAŁ. 8

Stone, Milton, Reuben i Caleb szli dróżką ciągnącą się w poprzek Wyspy Theodore'a Roosevelta. Dla upamiętnienia prezydenta nazywanego Ujeżdźaczem imię jego nadano wyspce leżącej na środku Potomacu. Wkrótce dotarli do polany z wielkim pomnikiem patrona wyspy, przedstawiającym Roosevelta z jedną ręką uniesioną jak do przysięgi, jakby dziewięćdziesiąt lat po śmierci szykował się do ponownego zaprzysiężenia na urząd prezydenta. Otoczenie pomnika było pieczołowicie wyłożone kamienną kostką i składało się z dwóch łukowatych mostków przerzuconych nad sztucznymi kanałami i dwóch ogromnych fontann rozmieszczonych po bokach.

Oliver Stone usiadł przed pomnikiem po turecku, reszta poszła w jego ślady. Stone był zawsze gorącym wielbicielem Theodore'a Roosevelta i właśnie dlatego ich tu przyprowadził, choć z formalnego punktu widzenia ich obecność tu była wykroczeniem, bo po zmroku wyspa była zamknięta dla zwiedzających. Uroczystym głosem Stone wygłosił formułkę:

— Zwyczajne zebranie Klubu Wielbłądów uważam za otwarte. W związku z brakiem porządku obrad zgłaszam wniosek, by nasze zebranie poświęcić zrelacjonowaniu obserwacji poczynionych od ostatniego zebrania, a następnie zajmujemy się wolnymi wnioskami. Czy ktoś popiera mój wniosek?

— Popieram — powiedział Reuben bez wahania.

— Kto jest za, proszę podnieść rękę.

Wszystkie ręce się uniosły i wniosek przeszedł. Stone otworzył notes wyjęty z plecaka, Reuben wygrzebał z kieszeni kilka zmiętoszonych kartek, Milton wyciągnął laptop. Potem wyjął z kieszeni buteleczkę płynu antyseptycznego i dokładnie przetarł dłonie. Stone czytał notatki, przyświecając sobie latarką ołówkową, Reuben robił to w migocącym świetle zapalniczki.

— Brennan wyjechał dziś wieczorem — odczytał Stone. — Towarzyszył mu Carter Gray.

— Oni są jak bracia syjamscy — mruknął Reuben ze złością.

— Jak J. Edgar Hoover i Clyde Tolson — parsknął Caleb i zdjął melonik.

— Powiedziałbym, że raczej jak Lenin i Trocki — burknął Reuben.

— Czy to znaczy, że nie ufasz Grayowi? — zapytał Stone.

— Jak można ufać jakiemuś kutasowi, który lubi, jak go nazywają carem? — prychnął Reuben. — A co do Brennana, to mogę powiedzieć tyle, że powinien być wdzięczny Bogu za terrorystów. Bez nich już by pewnie stał w kolejce po zasiłek dla bezrobotnych.

— Widzę, że znów studiujemy gazety. — Stone się uśmiechnął.

— Czytam, żeby się pośmiać, jak wszyscy.

Stone zamyślił się.

— James Brennan jest sprawnym i wybitnie inteligentnym politykiem. A co ważniejsze, potrafi budzić ludzkie zaufanie. Jednak tkwią w nim jakieś ciemne moce. Realizuje potajemne plany, o których nikt nic nie wie.

— Coś mi się widzi — wtrącił Reuben, wlepiając wzrok w Stone'a — że bardziej to pasuje do Cartera Graya niż do prezydenta.

— Zebrałem dane — wtrącił Milton podnieconym głosem — o kilku spiskach w skali globalnej, które w ogóle nie trafiły do mediów.

— A ja — dodał Reuben, zerkając do notatek — osobiście odnotowałem trzy przypadki, kiedy obecny przewodniczący Izby Reprezentantów dopuścił się niewierności wobec swojej całkiem atrakcyjnej małżonki.

— Odnotowałeś osobiście? — zdziwił się Caleb, przyglądając mu się podejrzliwie.

— Mam dwóch bliskich znajomych — burknął Reuben — którzy są dobrze zorientowani i o takich sprawach mnie na bieżąco informują. Mimo tych wszystkich afer, jakie jego rozpuśtni poprzednicy wywołali, nasz szanowny kongresman najwyraźniej wtyka fiuta, gdzie go wtykać nie powinien. — Machnął kartkami. — Mam tu wszystko, czarno na białym.

— Jakich bliskich znajomych? — zainteresował się Caleb.

— Wysoko postawionych, którzy wolą zostać anonimowi, jak już musisz wiedzieć — zaperzył się Reuben i wepchnął do kieszeni kompromitujące notatki o zdradzie.

— Tak, tak — przerwał niecierpliwie Milton — ale dajcie mi wreszcie powiedzieć, czego się dowiedziałem.

Przez następne dwadzieścia minut rozwodził się o podejrzanych powiązaniach między Koreą Północną a Wielką Brytanią w dziedzinie światowego terroryzmu oraz o zamachu na euro i jena planowanym przez grupę spiskowców z Jemenu, która cieszy się poparciem ważnego członka rodziny królewskiej w Arabii Saudyjskiej.

— Uważam te odkrycia za dowód rzeczowy na bliskie nadejście ogólnoświatowej apokalipsy — zakończył.

Członkowie Klubu Wielbłądów słuchali z lekką oszołomieni. Zwykle zresztą bywało tak przy kolejnych rewelacjach przekazywanych przez Milтона.

W końcu Reuben nie wytrzymał.

— No, ale ta historia ze spiskiem Korei Północnej i Wielkiej Brytanii jest chyba trochę naciągana, nie sądzisz? Bo przecież ci cholerni Koreańcy są śmiertelnie poważni, a Angole, cokolwiek by o nich mówić, poczucie humoru mają niezłe.

Stone spojrzał na Caleba.

— A ty masz coś ciekawego?

Caleb przez chwilę się zastanawiał.

— Najedliśmy się strachu, jak nam się zawieruszyła Holenderska Biblia.

Wszyscy spojrzeli na niego z zaskoczeniem.

— No, wiecie! Nasza Holenderska Biblia! — powtórzył z naciskiem Caleb. — Z ręcznie barwionymi ilustracjami Romeyna De Hooghe, którego uważa się za najwybitniejszego holenderskiego mistrza ilustracji z końca siedemnastego i początku osiemnastego wieku. Ale wszystko dobrze się skoń-

czyło. Okazało się, że wcale nie zginęła, tylko błędnie ją skatalogowano.

— No to dzięki Bogu — mruknął Reuben z udaną troską w głosie. — Bo co byście bez niej poczęli?

Niezbyt zachwycony dotychczasowym przebiegiem zebrania, Stone zwrócił się do Reubena:

— A poza tym rozpustnym kongresmanem masz coś jeszcze naprawdę ciekawego?

— Dawno wypadłem z obiegu. — Reuben wzruszył ramionami. — Ludzie mają krótką pamięć.

— Więc może byśmy przeszli do czegoś bardziej konkretnego?

Reszta spojrzała na niego wyczekująco.

Stone zaczerpnął głęboko powietrza. Tyle jego urodzin obyło się bez jakichkolwiek obchodów, że przez chwilę musiał się zastanowić, ile ma właściwie lat. Sześćdziesiąt jeden. Mam sześćdziesiąt jeden lat, przypomniał sobie. Założył Klub Wielbłądów wiele lat temu po to, by monitorować postępowanie ludzi będących u władzy i podnosić larum, gdyby robili coś nie tak, co niestety nie było niczym niezwykłym. Od dawna prowadził obserwację budynku przy Pennsylvania Avenue 1600 i notował wszystko, co mu wpadło w oko. Robił to w interesie wartości, które w odczuciu wielu przestały już cokolwiek znaczyć. Wartości takich, jak prawda czy poczucie odpowiedzialności.

Zaczynał jednak wątpić, czy to wszystko ma sens.

Mimo to podjął temat.

— Zauważyliście, co się dzieje w tym kraju? — Spojrzał po przyjacielach, ale żaden się nie odezwał. — Chcą nam wmówić, że jesteśmy teraz lepiej chronieni. Tyle że lepsza ochrona nie zawsze idzie w parze z większą wolnością.

— Oliver, czasem trzeba poświęcić wolność na ołtarzu bezpieczeństwa — wtrącił Caleb, bawiąc się swym wielkim zegarkiem z dewizką. — Nie twierdzę, że to mi się podoba, ale co nam innego pozostaje?

— Pozostaje nam żyć bez strachu — odparł Stone. — Szczególnie takiego, który bierze się z sztucznego rozdmuchiwania zagrożeń. A to specjalność takich ludzi jak Carter Gray.

— Co do Graya, to w pierwszym roku jego działalności zdawało się, że go zetrą, na proch. Ale jakoś się z tego wykaraskał — przyznał ponuro Reuben.

— Co tylko potwierdza moją tezę — wszedł mu w słowo Stone. — Bo nie wierzę, że ktoś może być aż tak dobry albo mieć aż tyle szczęścia. — Przerwał, starając się dobrać właściwe słowa. — Moim zdaniem Carter Gray stanowi zagrożenie dla przyszłości tego kraju. I dlatego, przechodząc teraz do wolnych wniosków, pytam, co możemy z tym fantem zrobić?

Wszyscy trzej patrzyli na niego tępym wzrokiem. W końcu Caleb zdobył się na odwagę.

— Mhmm, znaczy co?

— Znaczy, co Klub Wielbłądów może zrobić, żeby pozbyć się Cartera Graya ze stanowiska szefa wywiadu?

— Mamy obalić Cartera Graya?! — wykrzyknął Caleb.

— Właśnie.

— No to całe szczęście — powiedział Reuben tonem pełnym sarkazmu. — Bo już się bałem, że masz dla nas jakieś trudne zadanie.

— Historia pełna jest przykładów, kiedy słabi obalają silnych — zauważył Stone.

— To prawda, tyle że w prawdziwym życiu w dziewięciu przypadkach na dziesięć *to Goliat daje* wycisk Dawidowi, a *nie* odwrotnie — mruknął Reuben ponuro.

— Zatem jaki ma sens dalsze istnienie naszego klubu? — rzekł Stone. — Spotykamy się co tydzień, wymieniamy notatkami, uwagami i pogłoskami. I co z tego?

— Przecież co nieco nam się udało — wtrącił Caleb. — Chociaż nikt nam nigdy za to nie podziękował. Dzięki naszym staraniom na jaw wyszła prawda o skandalu w Pentagonie. A zaczęło się od strzępu rozmowy usłyszanej przez pomocnika kucharza Białego Domu, który ci o niej powiedział. I nie zapominaj o tym krecie w NSA, który zmieniał treść raportów z nasłuchu. No i jeszcze mistyfikacja w DIA wygrzebana przez Reubena.

— Ale wszystko to było dawno temu — odparł Stone. — I dlatego raz jeszcze pytam: jaki sens ma istnienie naszego klubu teraz?

— Może taki, jak wielu innych klubów — zastanowił się Reuben. — Tyle że nie mamy własnej siedziby, baru z drinkami i towarzystwa pięknych kobiet. Ale czego się spodziewać, skoro nie płacimy składek? — dodał z uśmiechem.

Nim Stone zdążył odpowiedzieć, ich uwagę przyciągnął hałas dochodzący zza drzew. Stone przyłożył palec do ust i zaczął nasłuchiwać. Dźwięk powtórzył się i tym razem nie było już wątpliwości: warkot silnika łodzi płynącej tuż obok wyspy. W milczeniu zebrali swoje rzeczy i zanurzyli się w otaczające ich zarośla.

ROZDZIAŁ 9

Oliver Stone odsunął gałązkę zasłaniającą mu pole widzenia i spojrzął w stronę placyku przed pomnikiem Roosevelta. Jego towarzysze leżeli obok w zaroślach.

Z jednej ze żwirowych ścieżek wyszło dwóch mężczyzn niosących coś na plastikowej plandecie. Jeden z mężczyzn był szczupłym, wysokim blondynem, drugi niskim, dość tęgim szatynem. Złożyli swój ładunek na ziemi i wtedy Stone zobaczył, że na plandecce leży ktoś z rękami i nogami skrepowanymi taśmą. Zsunęli go z plandeki na ziemię i przyświecając sobie latarkami, bardzo uważnie, centymetr po centymetrze, sprawdzili otoczenie. Na szczęście Stone w porę zauważył, że sięgają po latarki, i zdążył dać znak towarzyszom, by przypadli do ziemi i ukryli twarze.

Upewniwszy się, że nikogo nie ma, mężczyźni zajęli się więźniem. Jeden z nich usunął mu z ust knebel i schował do kieszeni.

Z ust leżącego wydobyło się parę nieartykułowanych dźwięków, przypominających mamrotanie kogoś kompletnie pijanego.

Niższy z mężczyzn wyjął z kieszeni rewolwer, drugi usunął w tym czasie więzy z rąk i nóg ofiary. Pierwszy wyjął z płóciennej torby niemal pustą butelkę i wetknął ją w bezwładne dłonie nieprzytomnego. Potem resztką płynu z butelki spryskał mu ubranie i usta.

Reuben już się szykował, by wyskoczyć z kryjówki, ale Stone uspokajająco położył mu rękę na ramieniu. W kaburze

przy pasie drugiego z mężczyzn tkwił pistolet i jasne było, że członkowie Klubu Wielbłądów nie mają żadnych szans, a jeśli zostaną odkryci, czeka ich śmierć.

Tymczasem pierwszy z mężczyzn naciągnął na dłonie gumowe rękawiczki i przyklęknął koło ofiary. Uniósł prawą dłoń leżącego i owinął jego palce wokół rękojeści broni. Być może dotknięcie zimnego metalu spowodowało, że więzień otworzył nagle oczy. Wbił wzrok w drugiego z mężczyzn i z jego ust dobył się rozpaczliwy jęk.

— Przepraszam! Błagam, nie! Przepraszam!

Niski wetknął lufę w usta ofiary i docisnął ją do podniebienia. Leżący zaczął się dławić i wtedy niski nacisnął spust. Rozległ się huk wystrzału, na którego dźwięk wszyscy członkowie Klubu Wielbłądów zamknęli oczy.

Otworzywszy je po chwili, ze zgrozą patrzyli, jak bandyci układają rewolwer i butelkę obok ciała, jeden z nich wyjmując z plecaka plastikową torbę i rzuca ją obok ciała, a do kieszeni wiatrówki denata wsuwa złożony kawałek papieru.

Na zakończenie bandyci raz jeszcze rozejrzeli się po zaroślach, co spowodowało, że członkowie klubu jeszcze bardziej się w nich rozplaszczyli. Chwilę później obaj zniknęli z pola widzenia. Gdy tylko ucichł odgłos kroków, wszyscy czterej wydali z siebie westchnienie ulgi. Oliver pierwszy podniósł się z miejsca i z palcem na ustach powiódł towarzyszy na polanę.

Reuben przyklęknął obok ciała i ze smutkiem pokręcił głową.

— Przynajmniej się nie męczył — powiedział cicho. — Choć nie zmienia to faktu. — Spojrzał na leżącą obok ciała pustą butelkę. — Dewar's. Wygląda na to, że najpierw spili biedaka tak, żeby nie mógł się bronić.

— Ma jakieś dokumenty? — spytał Stone.

— To miejsce przestępstwa — powiedział Caleb drżącym głosem. — Nie powinniśmy niczego dotykać.

— Caleb ma rację. — Reuben kiwnął głową i spojrzał na Milтона, którego dopadł nagły atak OCD i który teraz stał, gwałtownie wymachując rękami. Reuben westchnął i zwrócił się do Stone'a: — Oliver, powinniśmy stąd spieprzać, i to jak najprędzej.

Stone przyklęknął obok.

— Reuben — powiedział z naciskiem — byliśmy świadkami

egzekucji upozorowanej na samobójstwo. Mamy do czynienia z profesjonalnymi zabójcami i dlatego chciałbym wiedzieć, kim była ofiara i co takiego wiedziała, że musiała zginąć.

Owinął sobie dłoń chusteczką, obszukał kieszenie denata i z jednej z nich wyciągnął portfel. Otworzył go i wzrok wszystkich czterech powędrował ku prawu jazdy wetkniętemu w kieszonkę z przezroczystego plastiku. Reuben wyjął zapalniczkę i przyświecił, by można było odczytać dane denata.

— Patrick Johnson. Zamieszkały w Bethesda — przeczytał.

Odłożył portfel na miejsce, obszukał pozostałe kieszenie i znalazł kartkę zostawioną przez mordercę. W migocącym świetle zapalniczki cicho odczytał jej treść.

„Przepraszam. To mnie już przerosło. Nie potrafię dalej z tym żyć. To jedyne wyjście. Przepraszam. Bardzo przepraszam”. List był podpisany: Patrick Johnson.

Z szacunku dla zmarłego Caleb zdjął powoli z głowy melonik i bezgłośnie zmówił modlitwę.

— Pismo jest bardzo staranne — zauważył Stone. — Policja pewnie uzna, że napisał to, zanim się wprowadził w stan samobójczego upojenia.

— Tuż przed śmiercią też powiedział, że przepraszam — przypomniał Reuben.

Stone pokręcił przecząco głową.

— Myślę, że wtedy przepraszal za coś innego. Ten list to tylko zasłona dymna. Typowy pożegnalny list samobójcy.

Stone schował list na miejsce i wtedy wyczuł w kieszeni ofiary coś jeszcze. Wyciągnął niewielki czerwony znaczek do klapy i uważnie mu się przyjrzał.

— Co to jest? — spytał Reuben.

— A jak oni tu wrócą? — powiedział Caleb zduszonym szeptem.

Stone odłożył znaczek do kieszeni i dotknął ubrania Johnsona.

— Jest cały przemoczony — zauważył.

— A co myślisz o tym? — zapytał Reuben, wskazując na plastikową torbę.

Stone przez chwilę milczał.

— Chyba się domyślam, po co ta torba i dlaczego jest cały mokry — powiedział cicho. — Ale Caleb ma rację. Powinniśmy się stąd zwijać.

Ruszyli i dopiero po chwili zorientowali się, że Milton z nimi nie idzie. Zawrócili i znaleźli go przykucniętego z ręką wyciągniętą nad ciałem i głośno liczącego.

— Milton, naprawdę musimy już iść — przynaglił go Caleb.

Pogrążony w szoku Milton nie przestawał liczyć.

— Och, na litość boską! — wybuchnął Reuben. — No to usiądźmy i liczmy, aż tamci wrócą i wszystkich nas załatwią.

Stone uspokajająco dotknął jego ramienia, potem podszedł do Miltona i przyjrzał się twarzy Patricka Johnsona. Miał młodą twarz, choć śmierć zaczęła już odciskać na niej swoje piętno. Stone przyklęknął i położył dłoń na ramieniu Miltona.

— Milton — rzekł łagodnie. — Już nic nie możemy dla niego zrobić. A ulgę, jaką daje ci liczenie i całe poczucie bezpieczeństwa, utracisz, jeśli ci dwaj tu wrócą. — Zawiesił głos i ostrzejszym tonem dodał: — Oni są uzbrojeni, Milton, a my nie.

Milton przerwał swój rytuał, stłumił szloch i powiedział łamiącym się głosem:

— Nie lubię przemocy, Oliver. — Przygarnął do piersi plecak i wskazując na ciało, dodał: — To mi się bardzo nie podoba.

— Wiem, Milton. Żadnemu z nas to się nie podoba.

Wstali, Reuben westchnął z ulgą, po czym wszyscy czterej ruszyli w stronę łodzi.

Warren Peters zatrzymał się w pół kroku i zamarł.

— O jasna cholera! — sapnął.

— Co jest? — spytał Tyler Reinke, rozglądając się niespokojnie. — Policja?

— Nie, ale o mało nie daliśmy dupy. — Zgarnął dłonią trochę ziemi i kamyków. — Jak go moczyliśmy, woda splukała mu zelówki do czysta. Ale jeżeli przyszedł przez las, to musiał je ubłocić. FBI by tego nie przegapiło.

Zawrócili i szybkim krokiem wrócili do ciała. Peters przyklęknął i wtarł w zelówki butów denata garść ziemi.

— Dobrze, że pomyślałeś — pochwalił go Reinke.

— Wolę nawet nie myśleć, co by było, gdybym na to nie wpadł — mruknął pod nosem Peters. Dokończył dzieła i już

miał się podnieść, gdy nagle coś zwróciło jego uwagę. — Kurwa mać! — warknął przez zaciśnięte zęby i pokazał palcem kieszeń ofiary, z której wystawał rożek kartki z pożegnalnym listem. — Schowałem to głęboko, żeby za bardzo nie rzucało się w oczy. To dlaczego teraz wystaje? — Wepchnął kartkę z powrotem i spojrzął pytająco na kompana.

— Może jakieś zwierzę się nim zajęło?

— Przez parę minut? A jeśli nawet, to dlaczego zwierzę miałoby ruszać papier, a nie jego?

Podniósł się, wyciągnął z kieszeni latarkę i zaczął przyglądać się brukowi pod nogami.

— Pewnie coś ci się z tą kartką pomyliło — powiedział Reinke uspokajająco. — Musiałeś ją wsadzić płycej, niż ci się zdawało.

Peters wciąż jeszcze wpatrywał się w bruk, gdy nagle zamarł.

— Co znowu? — spytał Reinke ze zniecierpliwieniem.

— Cicho, słyszysz?.

Reinke zamilkł, zaczął się wsłuchiwać i zawołał:

— Ktoś tam biegnie. Tamtędy! — Wskazał ścieżkę odchodzącą w kierunku przeciwnym do tego, skąd przyszli.

Obaj wyszarpnęli broń i pędem ruszyli w kierunku odgłosów.

ROZDZIAŁ 10

Stone i pozostali zdążyli właśnie wskoczyć do łodzi i wypłynąć na Mały Kanał. Mgła zgęstniała na tyle, że utrzymywanie kierunku było mocno utrudnione. Odpłynęli nie więcej niż trzy metry, gdy z zarośli wypadli tamci dwaj i natychmiast ich dostrzegli.

— Trzymaj głowę jak najniżej i wiosłuj ile masz sił! — krzyknął Stone w stronę Reubena, choć ten wcale nie potrzebował zachęty. Dzięki jego szerokim barom i atletycznym ramionom niewielka łódka zaczęła szybko oddalać się od brzegu.

— Uważajcie, żeby nie pokazać twarzy — ostrzegł Stone pozostałych dwóch. — Caleb, zdejmij ten melonik.

Wszyscy trzej skulili głowy, a Caleb ściągnął z głowy melonik i wcisnął między dygocące kolana. Od wejścia do łodzi Milton znów liczył. Mężczyźni na wyspie skierowali na nich broń, jednak mgła utrudniła dokładne celowanie i wystrzelone pociski plusnęły w wodę dobre trzydzieści centymetrów od łodzi.

— Wiosłuj, Reuben, wiosłuj — jęknął przerażony Caleb, kuląc się jeszcze bardziej.

— A co ja, do cholery, robię? — sapnął Reuben, po którego twarzy płynęły już strużki potu.

Ich prześladowcy nie dali za wygraną i jeszcze dwukrotnie wystrzelili. Jeden z pocisków trafił nawet w łódź, a odłupana drzazga boleśnie zraniła Stone'a w prawą dłoń. Strużka krwi

pociekła mu po palcach i zaczęła skapywać na wewnętrzną stronę burty. Bez namysłu obwiązał sobie dłoń tą samą chustką, której użył przy obszukiwaniu ciała Patricka Johnstonego.

— Oliver! — krzyknął rozpaczliwie Milton.

— Nic mi nie jest — uspokoił go Stone. — Tylko się nie ruszaj.

Dwaj rewolwerowcy uznali widać, że ich wysiłki na nic się już nie zdadzą, bo nagle przestali strzelać i pędem zawrócili w głąb wyspy.

— Pobiegli po swoją łódź — domyślił się Stone.

— No to mamy problem — mruknął Reuben. — Mają silnik, a my nie. Robię, co mogę, ale dużo pary w kotle już mi nie zostało.

Stone pociągnął Caleba za rękaw.

— Caleb, łap jedno wiosło, ja wezmę drugie.

Reuben ustąpił im miejsca i obaj z całą siłą zaczęli wiosłować.

Gdyby nie to, co się stało, po dopłynięciu do końca kanału skręciliby na północ i wrócili do miejsca, skąd rozpoczęli wyprawę. Teraz jednak chcieli jak najszybciej dopłynąć do brzegu, a to oznaczało kurs na wschód. Opłynęli zachodni cypel wyspy i skręcili w stronę Georgetown.

— O, cholera! — jęknął Reuben, który usłyszał dźwięk silnika i spojrzął ku wyspie. — Wiosłujcie, jakby was wszyscy diabli gnali. Rzeczywiście nas gonią.

Widząc, że zaczynają słabnąć, odepchnął ich, znów chwycił wiosła i zaczął nimi pracować z całą swą imponującą siłą.

— Chyba nas doganiają — rzucił Caleb zduszonym głosem.

Pocisk przeleciał mu tuż obok głowy i Caleb bez namysłu legł obok skulonego na dnie Miltona.

Padł następny strzał i na dno łodzi rzucił się Stone. Chwilę później usłyszeli okrzyk bólu Reubena.

— Reuben? — Stone uniósł głowę, by spojrzeć na przyjaciela.

— Nic się nie stało. Tylko draśnięcie, ale zapomniałem, jak to może boleć — powiedział Reuben ze złością. — Już nas mają, Oliver. Łajdaki zaliczą tej nocy pięć trupów.

Stone popatrzył na blade światła Georgetown. Mimo iż w tym miejscu rzeka nie była zbyt szeroka, z powodu mgły nie mieli szans, by ktoś na brzegu dojrzał, co się dzieje na wodzie.

Spojrzał na zbliżającą się łódź. Była już tak blisko, że można było rozróżnić sylwetki obu zabójców. Pomyślał o wydarzeniach sprzed kilkunastu minut i o tym, jak brutalnie rozprawili się z nieszczęsnym Patrickiem Johnsonem. Niemal czuł, jak wkładają mu w usta lufę i ciągną za spust.

Ścigająca ich łódź raptownie skręciła i zaczęła się oddalać.

— Co jest, do jasnej... — zaczął Reuben.

— To chyba łódź patrolowa. Słuchajcie — szepnął Stone. Przyłożył sobie dłoń do ucha i zaczął nasłuchiwać.

— Policja! — wykrzyknął Caleb z ulgą w głosie. — Szybko! Zróbmy coś, żeby nas zauważyli.

— Nie — syknął Stone. — Niech wszyscy zachowają kompletną ciszę. Reuben, przestań wiosłować.

Reuben spojrzał na przyjaciela zdziwiony, ale posłusznie odłożył wiosła i zamarł w bezruchu.

— Będziemy mieli szczęście, jeśli nas nie staranują — szepnął cicho.

Teraz już wszyscy usłyszeli jęklive dudnienie potężnego silnika i po chwili zobaczyli we mgle światła sterburty policyjnej łodzi patrolowej, która przepłynęła niecałe dziesięć metrów od nich. Policjanci z pewnością nie usłyszeli silnika łodzi bandytów, bo zagłuszył go ich własny silnik, ani nie dojrzeli pozbawionej wszelkich świateł łodzi wiosłowej. Wszyscy członkowie Klubu Wielbłądów wstrzymali oddech i w milczeniu obserwowali łódź patrolową, która powoli sunęła przed ich oczami. Gdy ostatecznie rozplynęła się we mgle i mroku, pierwszy przerwał ciszę Stone:

— Dobra, Reuben, ruszajmy do brzegu.

Caleb wyprostował się i spojrzał na Stone'a.

— Dlaczego nie chciałeś zaalarmować policji?

Stone przez długą chwilę nie odpowiadał i odezwał się dopiero, gdy ich oczom ukazał się wyraźny zarys brzegu.

— Siedzimy w cudzej łodzi i płyniemy nią gdzieś, gdzie nie powinniśmy płynąć. Na Wyspie Roosevelta leżą zwłoki zastrzelonego człowieka. Jeśli zeznamy, że byliśmy świadkami morderstwa, tym samym przyznamy, że byliśmy na wyspie. Możemy też zeznać, że było tam dwóch bandziorów, którzy próbowali nas potem zabić, ale nie mamy na to żadnego dowodu.

Milton gwałtownie się wyprostował.
— Ale ty i Reuben zostaliście zranieni.
— Ja mam tylko drobne skaleczenie, a ręka Reubena jest draśnięta, więc nie mamy dowodu, że do nas strzelano. Policja może dojść do wniosku, że trup został przywieziony na wyspę łodzią i że można to było łatwo zrobić naszą. A w pobliżu nie będzie innej, bo nim wszystko wyjaśnimy, tamta łódź dawno zniknie. Należymy do ludzi, których policja nie darzy zbytnim zaufaniem. Więc jak myślicie, do jakiego najbardziej logicznego wniosku dojdą, kiedy usłyszą naszą opowieść?
Stone spojrzął po nich, czekając na reakcję.
— Zamkną nas i zgubią klucz od celi — mruknął Reuben, odrywając sobie kawałek koszuli i obwiązując skaleczoną rękę. — Tylko ciekawi mnie, jakim cudem ci dwaj bandyci tak szybko się zorientowali, że jesteśmy na wyspie.
— Musieli coś usłyszeć — powiedział Stone. — Albo z jakiegoś powodu wrócili do ciała i stwierdzili, że coś jest nie tak. Może niedokładnie odłożyłem list albo znaczek.
— Nie odpowiedziałeś mi, co to był za znaczek — przypomniał Caleb.
— Odznaka, jaką zwykle noszą w klapie agenci Secret Service.
— Myślisz, że mógł być agentem? — spytał Reuben.
Dopływali już do brzegu
— Nie wiem, ale pewnie coś go z nimi łączyło.
Wysiedli na ląd, wciągnęli łódź i ukryli ją w otworze starego kanału ściekowego w murze.
— I co teraz? — spytał Reuben, gdy wyszli na opustoszałą uliczkę w Georgetown.
— Trzeba się dowiedzieć, kim był zamordowany — rzekł Stone, odliczając na palcach. — Trzeba się też dowiedzieć, dlaczego ktoś chciał się go pozbyć. I kim są mordercy.
Reuben spojrzął na niego z niedowierzaniem.
— A ja myślałem, że pomysł obalenia Cartera Graya to trudne zadanie. Jezu, Oliver, zdajesz sobie sprawę, co ty mówisz?
— Owszem — odparł Stone obojętnie.
— A po co w ogóle mamy się w to wszystko mieszać? — zdziwił się Caleb.

Stone wlepił w niego spojrzenie.

— Ci, którzy tak zabijają, lubią też wszystko po sobie posprzątać. A to znaczy, że staną na głowie, żeby nas znaleźć i też sprzątnąć. Nie możemy pójść na policję z przyczyn, które już wyjaśniłem. I dlatego zdecydowanie uważam, że powinniśmy...

— Dopaść ich, zanim oni dopadną nas — dokończył Reuben.

Stone bez słowa ruszył przed siebie, reszta członków Klubu Wielbłądów podążyła za nim.

ROZDZIAŁ 11

Van wyjechał zza zakrętu i oczom pasażerów ukazała się tablica z napisem ułożonym z odblaskowych trzydziestocentymetrowych liter:

WITA BRENNAN, STAN PENSYLWANIA
RODZINNA MIEJSCOWOŚĆ
PREZYDENTA JAMESA H. BRENNANA

Napis uzupełniony był drewnianą płaskorzeźbą twarzy Brennana, której podobieństwo zostało dobrze uchwycone. Mężczyzna siedzący po stronie pasażera spojrzął na swych dwóch towarzyszy i uśmiechnął się. Potem uniósł rękę, wycelował i z wymaginanego pistoletu oddał trzy strzały prosto w głowę najpotężniejszego polityka na świecie.

Van wjechał do centrum miasteczka. Dzięki swym pięćdziesięciu tysiącom obywateli i położeniu, czyniącym z miasteczka sypialnię dla pobliskiego Pittsburgha, Brennan liczyło na szybki rozwój. Dodatkowe miejsca pracy w nowo powstających firmach i rozkwitającym budownictwie pozwalały mieć nadzieję, że marzenia te się ziszczą. Znaczący wpływ miał na to fakt, iż tu urodził się urzędujący i cieszący popularnością prezydent.

Nawet stojąca w centrum miasteczka stara nieużywana wieża ciśnień nie uszła uwagi głosicieli świetności miasteczka, którzy początkowo postanowili umieścić na niej wielki portret Bren-

nana i ozdobić go wizerunkiem pieczęci prezydenckiej. Gdy zwrócono im uwagę, że pomysł jest niezgodny z prawem i w dodatku w złym guście, postanowili pomalować wieżę w pasy i gwiazdy flagi amerykańskiej, co miało symbolizować zjednoczenie miasta z wielkim człowiekiem. Zainteresowanie trzech pasażerów vaną osobą szefa państwa było równie żywe, choć brało się z zupełnie innych przyczyn.

Dotarli do bloku mieszkalnego stojącego jedną przecznicę od głównej ulicy miasta. Wszyscy trzej byli rośli i jednocześnie smukli w sposób typowy dla ludzi nieprzywykłych do zachodniej diety, obfitującej w tłuszcze nasycone i cukier. Dwaj z nich byli Arabami, trzeci Irańczykiem, ale wszyscy trzej pozbyli się zewnętrznych oznak świadczących o bliskowschodnim pochodzeniu. Zgolili brody i dzięki zewnętrznym atrybutom w postaci workowatych dżinsów, swetrów, sportowych butów i luzackiego sposobu bycia wtopili się w miejscową brać studencką. Oficjalnie byli wolnymi słuchaczami wydziału inżynierskiego w miejscowym college'u. W rzeczywistości byli świetnie wyszkolonymi specjalistami od zagadnień związanych z ciśnieniem barometrycznym, kompensacją wpływu wiatru, współczynnikiem oporu i sprężystością powietrza. Nieobca im była także nieco bardziej ezoteryczna wiedza w rodzaju zjawiska Coriolisa czy precesji żyroskopowej.

Dwaj pochodzili z Afganistanu i zbliżali się do czterdziestki, choć wyglądali dużo młodziej. Trzeci miał dopiero trzydzieści lat i został specjalnie ściągnięty z Iranu. Ich koledzy i wykładowcy na uczelni wierzyli, że pochodzą z Indii i Pakistanu. Wszyscy trzej byli muzułmanami i wiedzieli, iż większość ludzi z tej części świata terminami Bliski i Środkowy Wschód obejmuje obszar zamieszkały przez trzy miliardy wyznawców hinduizmu i islamu i takie niuanse jak odmienna narodowość czy pochodzenie etniczne nie mają dla nich znaczenia. Ich obecność w Brennan nie była czymś niezwykłym. W ciągu ostatniej dekady do Stanów Zjednoczonych napłynęła masa mieszkańców Bliskiego Wschodu, którzy osiedlili się głównie w wielkich metropoliach lub w ich pobliżu. Także w Brennan wiele nowo powstałych firm należało do przybyszów z Arabii Saudyjskiej, Pakistanu czy Indii.

W mieszkaniu ktoś już był, jednak nie odwrócił nawet głowy, by spojrzeć na wchodzących. Stał przy oknie, wpatrzony przez lornetkę w widok za szybą.

Miał około sześćdziesiątki, ale był równie szczupły i żyłasty, jak jego młodszy koledzy. Był białym Amerykaninem, choć z okazjiwanego mu szacunku wynikało, że jest ich przywódcą. Wszyscy trzej nazywali go kapitanem Jackiem, które to imię wybrał sobie sam na cześć ulubionego gatunku alkoholu. Jego prawdziwego imienia nie znali i nigdy nie mieli poznać. Kapitan Jack mieszkał w wynajętym domu przy szosie prowadzącej z Brennan do Pittsburga. Oficjalnym powodem pobytu w miasteczku było poszukiwanie lokali dla firm, które miał zamiar założyć. Stanowiło to doskonały pretekst do odwiedzania różnych wolnych nieruchomości w okolicy.

Kapitan Jack patrzył na stojący po drugiej stronie ulicy Szpital Miłosierdzia. Mieścił się on w zbudowanym wkrótce po drugiej wojnie światowej białym przysadzistym pawilonie, który pod względem architektonicznym niczym specjalnym się nie wyróżniał. Był to jedyny szpital w okolicy i z tego względu stanowił przedmiot zainteresowania kapitana Jacka.

Na tyłach budynku znajdował się podjazd z pochylnią, ale było tam dość ciasno, a od drzwi do stanowiska rejestracji prowadził długi korytarz, więc nawet karetki dostarczały pacjentów do wejścia od frontu, gdzie z boku schodków znajdował się podjazd dla pacjentów na wózkach. Ten fragment topografii szpitala był dla kapitana Jacka niezwykle ważny. Na tyle ważny, że kazał zarejestrować na taśmie wideo całodobowy ruch przyjazdów i odjazdów. Dysponował też szczegółowymi planami poszczególnych pięter szpitala, dzięki czemu znał wszystkie wejścia i wyjścia — zarówno oczywiste, jak i prawie potajemne.

Stojąc przy oknie, patrzył, jak z karetki wyciągają pacjenta na noszach i wjeżdżają z nim do środka przez drzwi frontowe. Trajektoria wręcz idealna, pomyślał kapitan Jack. Zawsze preferował stanowiska strzeleckie położone wyżej.

Usiadł i zaczął przyglądać się swoim towarzyszom. Jeden siedział wpatrzony w ekran laptopa, dwaj pozostali zajęci byli czytaniem instrukcji obsługi.

— Aktualna sytuacja? — spytał.

— Przełączyliśmy się na inną witrynę czatową — odparł Irańczyk i rzucił okiem na kartkę przyklepioną kawałkiem taśmy do ekranu laptopa. — Dzisiejszy temat to *Przeminęło z wiatrem*.

— Nie należy do moich ulubionych — mruknął oschle.

— A o co w ogóle chodzi z tym wiatrem? — zdziwił się jeden z Afgańczyków.

Wybrali witrynę internetową, na której trwał czat na temat pięćdziesięciu najlepszych filmów w historii amerykańskiego kina. Uznali za bardzo mało prawdopodobne, by agentom sił porządkowych chciało się monitorować czyjeś cybernetyczne wypociny o filmach, dzięki czemu ich szyfr mógł być stosunkowo prosty. A jutro i tak wybiorą inny film.

— Wszyscy pilnują harmonogramu? — upewnił się kapitan Jack, skrobiąc się po krótko przystrzyżonej brodzie.

W Brennan działało kilka grup operacyjnych. Amerykańskie siły porządkowe uznałyby je oczywiście za komórki terrorystyczne, ale dla kapitana Jacka była to tylko kwestia nomenklatury. Równie dobrze komórkami terrorystycznymi można by nazywać działające za granicą amerykańskie grupy operacyjne, których celem było szykanowanie miejscowej ludności. Nikt nie wiedział o tym lepiej od niego, bo był członkiem wielu takich grup. Jednak by dotrzeć do prawdy, należało najpierw przebić się przez zewnętrzną skorupę komunałów o patriotyzmie. A prawda była taka, że zadania, jakimi zajmował się na co dzień, warto wykonywać tylko dla tych, którzy gotowi byli najwięcej zapłacić. Ta prosta korekta jego dotychczasowego podejścia w kapitalny sposób uprościła mu życie.

Irańczyk odczytał głosy uczestników czatu. Robił to tak często, że potrafił z pamięci rozkodowywać zaszyfrowane wiadomości.

— Wszyscy się zgłosili i wszystko idzie zgodnie z planem — rzekł i po chwili dodał z niedowierzaniem: — Nawet kobieta się wywiązuje. Bardzo dobrze.

— Ahmad, kobiety są dużo zdolniejsze, niż jesteście gotowi lo przyznać — powiedział Amerykanin z uśmiechem. — Im szybciej się z tym pogodzicie, tym lepiej na tym wyjdziecie.

— Za chwilę pewnie się dowiem, że mężczyźni to słabsza pleć — mruknął Ahmad.

— Cieszę się, że nareszcie zaczynasz coś rozumieć.

Kapitan Jack spojrzął na obu Afgańczyków. Byli Tadżykami i przed dołączeniem do ich grupy należeli do Sojuszu Północnego. Odezwał się do nich w ich rodzimym języku dari — afgańskim dialekcie perskiego.

— U was wciąż sprzedaje się córki do zamążpójścia?

— Oczywiście — odrzekł jeden z nich. — A cóż innego można z nimi robić?

— Czasy się zmieniają, przyjacielu. Nie żyjemy już w czter nastym wieku.

— Nie mamy nic przeciw nowoczesnym kobietom — wtrącił drugi z Afgańczyków. — Tylko muszą być posłuszne mężczyznom. Jeżeli są, nie ma problemu. Są wtedy wolne.

Tak pojmowana wolność to sprawa dość wątpliwa, pomyślał kapitan Jack.

Wiedział, że gdy w Afganistanie kobieta występuje o rozwód, traci wszystko łącznie z dziećmi. Na kobiecie wiarołomnej — nawet jeśli jej mąż zostawił ją wcześniej dla innej — wykonuje się egzekucję, i to często rękami członków jej rodziny. O wszystkim w ich życiu decydują mężczyźni: czy pójść do szkoły, czy podejmą pracę poza domem, kogo poślubią. Zasady te nie zostały wprowadzicie narzucone przez talibów czy strażników islamu, ale zostały przez nich w pełni zaakceptowane. A biorą się ze starodawnych afgańskich zwyczajów plemiennych.

— Ale to nie dotyczy tylko kobiet — ciągnął pierwszy z Afgańczyków. — Ja też muszę być posłuszny ojcu, nawet jeśli się z nim nie zgadzam. Jego decyzja jest dla mnie ostateczna. To kwestia szacunku i honoru.

I tak jest w istocie, pomyślał kapitan Jack. I życzę powodzenia każdemu, kto spróbuje zmienić sposób myślenia, który obowiązuje w społeczności afgańskiej od tysięcy lat.

Kapitan Jack wstał z miejsca.

— Do pojawienia się ekipy przygotowawczej zostało już niewiele czasu — powiedział.

— Zdążymy, nawet jeśli trzeba będzie pracować dzień i noc — zapewnił go Ahmad.

— Pamiętaj, że chodźcie na zajęcia.

— Tylko jako wolni słuchacze.

— W Brennan, w stanie Pensylwania — wtrącił jeden

z Afgańczyków. — Zdawało mi się, że tylko despoci każą nazywać miejscowości swoim imieniem.

— Brennan im tego nie kazał. — Kapitan Jack się uśmiechnął. — Sami to sobie wymyślili. W końcu mamy demokrację.

— Ale to nie znaczy, że Brennan jest choć trochę mniejszym dyktatorem, prawda? — zauważył drugi z Afgańczyków.

Uśmiech zniknął z twarzy kapitana Jacka.

— Jest mi to zupełnie obojętne. Musicie pamiętać, że będziemy mieć tylko jedną szansę.

Korytarzem Szpitala Miłosierdzia szedł jeden z lekarzy z izby przyjęć w towarzystwie pracownika administracji szpitalnej. Lekarz dopiero niedawno podjął tu pracę, co dyrekcja placówki powitała z radością, jako że szpital od dawna cierpiał na braki kadrowe. Przechodząc obok uzbrojonego ochroniarza, lekarz z niepokojem potrząsnął głową.

— Uzbrojona ochrona? Czy to naprawdę konieczne?

— Niestety tak. — Pracownik administracji wzruszył ramionami. — W ciągu ostatnich sześciu miesięcy mieliśmy dwa włamania do szpitalnej apteki. Nie możemy sobie pozwolić na następne.

— Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział, zanim podjąłem tu pracę?

— No cóż, nie jest to coś, czym lubimy się chwalić.

— Myślałem, że Brennan to spokojne miasteczko.

— Oczywiście, że tak. Ale wiesz, narkomani są wszędzie. Możesz być spokojny. Przy uzbrojonych ochroniarzach nic się tu już nie zdarzy.

Lekarz obrzucił spojrzeniem stojącego nieruchomo pod ścianą ochroniarza. Jego mina nie świadczyła o tym, że podziela przekonanie swego kolegi z administracji.

Dopiero gdy obaj skryli się za załomem korytarza, ubrany w uniform ochroniarza Adnan ar-Rimi poruszył się. Od czasu swej „śmierci” na polach Wirginii przeszedł znaczną metamorfozę w wyglądzie zewnętrznym.

Ruszył na dalszy obchód szpitala. Po ulicach Brennan kręciło się ostatnio wiele takich żywych trupów.

ROZDZIAŁ 12

Na przedmieściu Brennan stał przydrożny, dość zapuszczony ciąg handlowy, w którym znajdował się lombard, kilka rodzinnych sklepików z różnych branż, biuro poręczyciela sądowego i bar z pieczonymi kurczakami. Wszystkie pozostałe lokale stały puste z wyjątkiem jednego, którego okna wciąż były zasłonięte, bo nie ukończono jeszcze remontu wnętrza. W rzeczywistości prace remontowe nawet się nie zaczęły, bo ich rozpoczęcia wcale nie planowano.

W pokoiku na zapleczu, oddzielonym od reszty przepierzeniem z dykty, przebywało dwóch Arabów i ktoś trzeci. Jeden z Arabów był mechanikiem wyspecjalizowanym w budowie aparatury medycznej, drugi chemikiem, ale umiejętności obu wykraczały daleko poza ich wąskie specjalizacje. Trzeci z mężczyzn — eksצלonek amerykańskiej Gwardii Narodowej — przyglądał się niespokojnie przedmiotom rozłożonym na długim stole pod ścianą. Były wśród nich klucze, elektryczne śrubokręty, zwoje przewodów i liczne znacznie bardziej skomplikowane narzędzia. Były gwardzista przeniósł pełen niepokoju wzrok na zakończenie swej prawej ręki, gdzie niegdyś znajdowała się dłoń. Teraz na kikucie tkwił odlew z zaczepem ze srebrzystego metalu, zakończony metalowymi prętami.

— Spokojnie — odezwał się chemik, kładąc mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

Mechanik wyjął z podłużnego pudełka jakiś przedmiot i unióś go. Przedmiot ów wyglądał jak ludzka dłoń.

— Zrobiona jest z silikonu. Skopiowaliśmy układ twoich żył i dopasowaliśmy barwę do koloru skóry, łącznie z kolorem włosów. Zaczep i wewnętrzny szkielet doczepiony do twojego nadgarstka ma poprowadzone przewody, które zapewnią ci możliwość poruszania i zginania wszystkich pięciu palców. Starsze modele umożliwiały tylko poruszanie kciukiem, palcem wskazującym i serdecznym. Udało się też zminiaturyzować układ elektryczny na tyle, że najnowsza sztuczna dłoń ma wielkość zbliżoną do naturalnej dłoni ludzkiej. — Przyłożył swoją dłoń do protezy. — Jak widzisz, jest raptem dwa centymetry dłuższa od mojej.

Mężczyzna skinął głową i uśmiechnął się. Można było niemal czytać w jego myślach. Proteza rzeczywiście przypominała prawdziwą dłoń.

— Twój staw nadgarstkowy i mięśnie nadgarstka są dobrze zachowane, a to nam bardzo pomoże. Zapewni elektrodom zatopionym w wewnętrznym szkielecie dobry styk z mięśniami.

— Czyli wychodzi na to, że mi się udało — powiedział mężczyzna z goryczą.

Założyli mu silikonową dłoń na metalowy szkielet i zamocowali. Potem pokazali kilka podstawowych ćwiczeń.

— Naprężenie mięśni kciuka w górę — wyjaśnił mechanik — spowoduje otwarcie dłoni. Zwolnienie spowoduje zamknięcie. Przećwicz to.

Mężczyzna kilkanaście razy powtórzył ćwiczenie pod czujnym okiem obu Arabów. Każdy kolejny raz dawał mu poczucie lepszego opanowania ruchów.

Chemik z uznaniem pokiwał głową.

— Bardzo dobrze. Już załapałeś. Ale musisz jeszcze poćwiczyć. Niedługo stanie się to czymś naturalnym. Będziesz to robił odruchowo.

Mężczyzna przejechał po protezie metalowym hakiem, którym zakończona była jego lewa ręka.

— A w dotyku jest jak prawdziwa? — zapytał. — Bo nie mogę sam ocenić.

— Ktoś, komu podasz rękę, pozna, że nie jest prawdziwa —

odparł mechanik. — Choćby po gładkości i niższej ciepłocie. Ale pod innymi względami będzie jak prawdziwa.

Wyglądało, że wyjaśnienie to rozczarowało mężczyznę, bo przestał się wpatrywać w swoją nową dłoń.

— Nigdy już nie będziesz miał takich dłoni jak kiedyś — rzekł chemik z brutalną szczerością. — Ale jest to na pewno lepsze od tego, co miałeś do tej pory. A jeśli zechcesz, zrobimy ci taką samą na drugą rękę.

Mężczyzna uniósł lewą rękę z hakiem i pokręcił przecząco głową.

— Chcę ją zostawić tak, jak jest. Chcę pamiętać o tym, co mnie spotkało.

— Masz swój mundur? — upewnił się mechanik.

Mężczyzna kiwnął głową i wstał z krzesła. Ani na chwilę nie przestał ćwiczyć dłoni.

— Też pamiątka, choć niezbyt miła.

— Jaki miałeś stopień?

— Sierżant Gwardii Narodowej. — Kolejny raz otworzył i zamknął dłoń. — A jak już będzie po wszystkim?

— Zgodnie z umową zajmiemy się tobą—odparł mechanik.

— Miło, że ktoś się wreszcie mną zajmie.

— Kontakt z nami jak zawsze.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Fajnie jest czuć, że znów to można zrobić — powiedział były gwardzista.

Po jego wyjściu obaj Arabowie wrócili do pracy. Na stole leżało jeszcze jedno pudło z arabskimi napisami. Jeden z mężczyzn otworzył je i wyjął stalowy pojemnik owinięty w plastikową folię. W pojemniku tkwiła buteleczka wypełniona płynem. Wyjął ją i podniósł do światła.

Wiedział dobrze, że za trzy najgroźniejsze substancje na świecie FBI uważa — licząc od najbardziej śmiertelnej — pluton, jad kielbasiany i rycynę. Ciecz znajdująca się w buteleczce nawet się do nich nie umywała, ale na swój sposób też była bardzo groźna.

Proteza, którą właśnie założyli ekskgwardziście, miała wewnątrz specjalną poduszczkę. Naciśnięcie mikroskopijnego przycisku na zewnętrznej powierzchni protezy z jednoczesnym zgięciem przegubu w bardzo szczególny sposób powodowało,

że poduszka się otwierała, a jej zawartość sączyła przez sztuczne pory.

Nie przerywając pracy, chemik powiedział:

- Strasznie zgorzkniały ten gwardzista.
- A ty na jego miejscu byś nie był? — spytał mechanik.

ROZDZIAŁ 13

Tom Hemingway siedział w swym skromnym mieszkanku w pobliżu Wzgórza Kapitolńskiego. Zdążył już zdjąć garnitur, włożyć szorty i T-shirt i zostać bosy. Mimo iż było już bardzo późno, wcale nie czuł zmęczenia. Prawdę powiedziawszy, w żyłach buzowała mu adrenalina. Właśnie przed chwilą dostał wiadomość, że Patrick Johnson nie żyje, ale nie czuł żadnych wyrzutów sumienia. Frajer sam był sobie winien. Tyle że zabójstwo odbyło się przy naocznych świadkach, którym udało się umknąć, a to mogło wszystko zmienić.

Poszedł do sypialni, otworzył skrytkę w podłodze, wyjął z niej teczkę i usiadł przy kuchennym stole. W teczce były fotografie kilkudziesięciu osób, samych muzułmanów. Władze nazwałyby ich wszystkich wrogami Ameryki. Skompletowanie tych fotografii zajęło Hemingwayowi dwa lata. Doprowadził do tego, że wszyscy z nich — z jakichś powodów będący na bakier z prawem — zostali przez niego pozornie uśmierceni.

Ojciec Hemingwaya, czcigodny Franklin T. Hemingway, był mężem stanu w czasach, gdy pojęcie to jeszcze coś znaczyło. Piastował stanowisko ambasadora w najtrudniejszych rejonach świata i nim zabrała go przedwczesna śmierć, uważany był zarówno za jednego z najwybitniejszych w swoim pokoleniu orędowników pokoju, jak i wyjątkowo oddanego i szlachetnego członka służby cywilnej kraju.

Tom Hemingway pogodził się w końcu z brutalną śmiercią ojca, choć wiedział, że nigdy nie przejdzie nad nią do porządku

dziennego. Wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. Kochał i szanował ojca, uczył się od niego uczciwości i wrażliwości. Wielu ambasadorów „kupowało” stanowiska za sówite datki na kampanię prezydencką, potem zaś nie chciało im się nawet poznać języka i kultury krajów, do których wyjeżdżali. Franklin Hemingway przeciwnie — z całą rodziną zgłębiał język i historię kraju, w którym przychodziło mu pracować. Dzięki temu Tom Hemingway doskonale znał kraje muzułmańskie i azjatyckie i rozumiał ich obyczaje. Prawdę mówiąc, w Ameryce trudno byłoby znaleźć człowieka, który dorównywałby mu wiedzą na ten temat.

Nie poszedł jednak w ślady ojca i nie) rozpoczął kariery dyplomatycznej, gdyż uważał, że się do tego nie nadaje. Wybrał pracę w służbach wywiadowczych. Zaczął od Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, potem przeszedł do CIA, cały czas pnąc się po szczeblach kariery. Pracc^ w tych instytucjach uważał za zajęcie ważne czy wręcz nobilitujące i rzucił się w jej wir z zamiarem przestrzegania zasad etycznych, którym hołdował ojciec.

Wkrótce stał się superagentem, którego wysyłano do punktów zapalnych kuli ziemskiej, powierzając mu najtrudniejsze zadania. Z wielu zamachów udało mu się ledwo ująć z życiem, jednocześnie samemu dokonał wielu udanych zamachów w imieniu swego rządu. Uczestniczył w przygotowaniu zamachów stanu, których celem było obalenie legalnie wybranych rządów. Kierował akcjami, które burzyły kruchy spokój i porządek w krajach Trzeciego Świata, ponieważ tak rozumiano tworzenie najkorzystniejszej atmosfery dla interesów Stanów Zjednoczonych. Robił wszystko, co mu kazano, i to z entuzjazmem.

Aż wreszcie dotarło do niego, że nic z tego wszystkiego nie wynika. Pełna poświęceń i szczytnych haseł praca okazywała się lipą, oszustwem służącym interesom, a nie krajowi. W efekcie jego działań sytuacja nie tylko nie ulegała poprawie, ale wręcz się pogarszała. Nigdy wcześniej świat nie znalazł się tak blisko samozagłady.

Przyczyn było wiele, poczynając od dramatycznych niedoborów wody, ropy i gazu, stali, węgla i innych surowców naturalnych. Bogate kraje w rodzaju Stanów Zjednoczonych,

Japonii czy Chin zużywały lwią część tych cennych surowców, zostawiając biednym nędzne resztki. Ale problem nie polegał tylko na historycznym i wielce złożonym konflikcie między „mieć” i „nie mieć”. Rzeczą dotyczyła fundamentalnej kwestii ignorancji i braku tolerancji. Tom Hemingway uważał ignorancję i nietolerancję za coś w rodzaju sióstr syjamskich. Niemal zawsze występowały razem i niemal nigdy nie miało się do czynienia z ignorancją, by za chwilę nie zetknąć się z jej wredną siostrą nietolerancją.

W wieku czterdziestu lat ojciec Hemingwaya pomógł zaprowadzić pokój w rejonach, które od stuleci znały tylko wojnę. Mając tyle samo lat, jego syn przyczynił się do burzenia pokoju w wielu regionach świata i doprowadzał je do ruiny. Uświadomienie sobie tego głęboko nim wstrząsnęło.

Po skrupulatnym rozważeniu wszelkich możliwości w jego głowie zaczął kielkować plan działania. Poznawszy zamiary Toma, wielu uznałoby go za naiwnego marzyciela i starałoby się go od nich odwieść, dowodząc, że świata nie da się w ten sposób zmienić. Ale byłiby to ci sami, którzy pod hasłem pomocy dla ludzi w wielu rejonach świata dokonywali w nich jednocześnie aktów brutalnej przemocy, powołując się przy tym na tak prymitywne wartości jak pieniądze czy władza. I w dodatku z góry zakładali, że ludzie tak brutalnie krzywdzeni mają to wszystko potulnie przyjmować i nawet nie próbować walczyć o swoje. Czyli kto tu jest naiwny?

Pełnione przez niego oficjalne funkcje stanowiły doskonały pretekst do częstych podróży na Bliski Wschód. Podczas nich mozolnie zbierał brakujące fragmenty układanki i nawiązywał kontakty z ludźmi, od których mógł oczekiwać pomocy. Nader często ich reakcją była niechęć i sceptycyzm, w końcu jednak natknął się na kogoś — starego przyjaciela ojca, którego darzył głębokim szacunkiem — kto zgodził się mu pomóc. Człowiek ten nie tylko skontaktował go z właściwymi ludźmi, ale pomógł też w zbieraniu funduszy potrzebnych na przeprowadzenie skomplikowanej operacji. Hemingway ani przez chwilę nie wątpił, że u podstaw decyzji tego człowieka leżą względy osobiste. Wiedział jednak, że sam urodzony przecież i wychowany w Ameryce, mimo dogłębnej znajomości regionu, jego języka i kultury, nie mógłby zorganizować akcji na taką

skale. I jeśli nawet jego plan był odrobinę naiwny, potrafił zapewnić mu powodzenie.

Często żałował, że nie ma koło niego ojca, do którego mógłby zwrócić się o radę, choć z góry wiedział, co by od niego usłyszał: „Nie masz racji. Nie rób tego”. Ale on i tak by to zrobił.

Czym więc naprawdę się kierował? Często zadawał sobie to pytanie, trudząc się nad realizacją planu. I w różnych chwilach odpowiedzi były też różne. W końcu doszedł do wniosku, że nie robi tego ani dla dobra własnego kraju, ani dla dobra Bliskiego Wschodu. Robi to dla całego świata, który bardzo szybko zaprzepaszczał ostatnią szansę. I może trochę dla uczczenia pamięci ojca, który przez całe życie był człowiekiem pokoju, a który umarł gwałtowną śmiercią tylko dlatego, że ludzie nie chcieli się porozumieć.

Zatem pewnie wszystko to jest bardzo proste i zarazem bardzo złożone.

ROZDZIAŁ 14

Ciało Patricka Johnsona znalazła następnego ranka grupa piątoklasistów ze szkoły podstawowej w Marylandzie, która wraz z nauczycielami zjawiała się na wyspie, by na miejscu dowiedzieć się więcej o Theodorze Rooseveltcie. Niestety wiedza, którą przy tej okazji nabyli, znacznie różniła się od założonego planu lekcji.

Tego samego ranka Alex Ford jechał do pracy swym rozklekotanym służbowym fordem crown victoria, zastanawiając się, co go dziś spotka. Praca w waszyngtońskim biurze zapewniała pracownikom dużą różnorodność zadań. Kierujący pracą WFO specjalny agent dowodzący, zwany w skrócie SAD-em, wyznawał zasadę, iż najwartościowsi są tacy agenci, którzy mają doświadczenie we wszystkich dziedzinach znajdujących się w kręgu zainteresowań służby. Alex w zasadzie uważał takie podejście za słuszne. W rezultacie tylko w tym jednym tygodniu dwukrotnie uczestniczył w inwigilacji, zaliczył kilka godzin transportu więźniów, zajmował się ochroną paru zagranicznych dygnitarzy i raz pełnił służbę w zespole ochrony bramy, który funkcjonował przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Działający w ramach zespołu ochrony wywiadowczej Secret Service, zespół ochrony bramy powiadamiano zawsze, gdy tylko ktoś niezapowiedziany podchodził do Białego Domu, pukał do bramy i żądał widzenia z prezydentem, co zdarza się znacznie częściej, niż się ludziom zdaje. Na przykład regularnie

co pół roku zjawiał się pewien mężczyzna, który oświadczał strażnikom, że dom jest jego własnością, oni zaś są intruzami. Agenci wiedzieli z doświadczenia, że tego rodzaju zachowania nasilają się podczas pełni Księżyca. Wszelkie dziwaczne wyskoki pod bramą Białego Domu kończyły się interwencją agentów Secret Service i skutkowały badaniem psychiatrycznym, a w zależności od oceny sytuacji często także zamknięciem w więzieniu lub szpitalu Świętej Elżbiety.

Alex zaparkował samochód, wszedł do budynku WFO, kiwnął głową biodrzastej strażniczce w holu, przejechał identyfikatorem przez szczelinę przy windzie i pojechał na trzecie piętro, gdzie mieściły się biura stołecznej grupy operacyjnej. Podobnie jak większość starszych agentów zatrudnionych w biurze, Alex część swego czasu poświęcał pracy w tej grupie. Mając za zadanie ściganie niezliczonych oszustw finansowych, grupa utrzymywała ścisłą współpracę z policją stanową Wirginii

i Marylandu, a także innymi federalnymi służbami do walki z przestępczością. I to można było zaliczyć do plusów. Minusem było to, że przestępcy wykazywali taką aktywność, iż grupie brakowało czasu na ich porządne rozpracowanie.

Secret Service zajmowało trzy piętra budynku i Alex udał się na swoje miejsce pracy na trzecim piętrze. Czekał na niego e-mail od Jerry'ego Sykesa pełniącego funkcję ASAD-a, czyli asystenta specjalnego agenta dowodzącego. Miał się stawić u Jerry'ego na piątym piętrze zaraz po przyjeździe.

Troszkę go to zaniepokoiło. Czyżby aresztując tych dwóch złodziejasków pod bankomatem, naruszył czyjeś prawa obywatelskie?

Pojechał windą na piąte piętro i na korytarzu kiwnął kilku znajomym na powitanie. Minął wiszącą na ścianie tablicę personelu, na której widniały fotografie wszystkich agentów WFO. Były przyklejone na magnesy i rozmieszczone zgodnie z aktualnym przydziałem służbowym. Był to bardzo dogodny, choć może niezbyt nowoczesny sposób sprawdzenia, kto się czym aktualnie zajmuje. Tablicę uzupełniał elektroniczny wykaz zajmowanych stanowisk, bo trafiali się zartownisie, którzy od czasu do czasu zamieniali fotografie miejscami, i nagle agent przydzielony do sekcji kryminalnej odnajdował swojapodobiznę przy biurku w krainie bezsenności, jak zwano dział rekrutacji.

Niektóre fotografie wisiały przypięte do góry nogami, co sygnalizowało, że agent opuszcza WFO i przechodzi do innej służby. Wiele zdjęć oznaczono czerwoną lub niebieską kropką i nie miało to nic wspólnego z tym, czy delikwent jest republikaninem czy demokratą, choć niektórzy takie właśnie znaczenie kropek wmawiali odwiedzającym ich członkom rodzin. Kolor kropki oznaczał po prostu, czy agent mieszka w Wirginii, czy w Marylandzie.

Na widok Aleksa Sykes podniósł się zza biurka.

— Siadaj, Alex — powiedział, wskazując krzesło.

Alex usiadł i rozpiął guzik u marynarki.

— Podpadłem czy to spotkanie towarzyskie? — spytał i na wszelki wypadek się uśmiechnął.

Na szczęście Sykes odpowiedział uśmiechem.

— Słyszałem o twojej bohaterskiej postawie wczoraj w nocy. Kochamy takich agentów, którzy pracują za darmo po godzinach. Możesz to robić częściej.

— Cóż, nie obraziłbym się za podwyżkę dla zmanifestowania tej miłości.

— Możesz pomarzyć. Ale za to mam dla ciebie zupełnie nowy prezencik, coś naprawdę ekstra. — Położył dłoń na teczce leżącej na biurku. — Podrzucili to z centrali szefowi, a on mnie.

Alex spojrzał na Sykesa niepewnie.

— Jerry, ja naprawdę mam co robić. Póki ludzie będą używać pieniędzy, poty inni będą próbowali je im ukraść albo coś zachachmęcić.

— Możesz sobie odpuścić. Co powiesz na nagłą śmierć?

— Nie przypominam sobie, żeby nasz zakres obowiązków obejmował przypadki nagłych zgonów — powiedział Alex z namysłem.

— To zobacz, co jest napisane na twojej oznace, i nagłówek na czeku z wypłatą. Widnieje tam wyraźnie napisane: Służba Bezpieczeństwa, a nie jak dawniej Departament Skarbu, a to znaczy, że wpakowano nam do worka mnóstwo nowych prezentów. — Sykes opuścił wzrok na teczkę. — Na Wyspie Roosevelta znaleziono dziś rano niejakiego Patricka Johnsona z raną postrzałową w ustach. Obok trupa leżał rewolwer i butelka po whisky, w kieszeni tkwił pożegnalny list samobójcy.

— A ten Patrick Johnson to...?

— Pracownik N-TAC-u* — N-TAC oznaczało Narodowe Centrum Oceny Zagrożeń. — Czyli innymi słowy jeden / naszych. Stąd twój udział.

— Ale po ostatnich zmianach N-TAC już nam nie podlega. Podlega bezpośrednio NCW. Zresztą jak prawie wszystko.

— To prawda, ale wciąż jeszcze maczamy palce w jego działalności, a Johnson, przynajmniej formalnie, był wspólnym funkcjonariuszem Secret Sewice i NCW.

— Strzał w usta po pijaku, obok butelka i rewolwer, w kieszeni list pożegnalny... To po co to dochodzenie?

— Wygląda to na samobójstwo i pewnie nim jest. Ale ponieważ popełniono je na terenie federalnym, a on był urzędnikiem federalnym, dochodzenie prowadzi FBI wspólnie z policją parkową. A nam zależy, żeby ktoś pilnował naszych interesów. Jeśli to było samobójstwo, to nie będzie kłopotu. Ale jeśli coś innego, chcemy o tym wiedzieć od razu, żeby móc się temu przyjrzeć. I masz tego dopilnować.

— Ale dlaczego na Wyspie Roosevelta? Miał hopla na punkcie Teddy'ego?

— To już ty to musisz ustalić. Tylko nie daj się Biuru wymanewrować.

— Powiedz mi, Jerry, skąd nagle taki zbytek łaski? Czy to nie powinno trafić do wydziału śledczego?

— Powinno. Ale ja cię lubię — powiedział Jerry z sarkastycznym uśmiechem. — A poza tym po latach objania się w ochronie potrzeba ci trochę prawdziwej roboty.

— Zabawne, bo dokładnie to samo mi powiedzieli, kiedy przechodziłem do ochrony.

— A czy ktoś mówi, że życie jest sprawiedliwe?

— W każdym razie nikt z tych, którzy noszą odznakę — odparował Alex.

Sykes nagle spoważniał.

— Widziałeś tych smarkaczy, którzy się tu kręcą? Są dobrzy, inteligentni i zaharowują się na śmierć, tylko że średnia ich służby nie przekracza sześciu lat. Ty masz za sobą trzy razy tyle. A skoro już mowa o młodzieży, weź z sobą tę Simpson. Smarkata musi się trochę otrząsać.

* National Threat Assessment Center.

— To ciekawe — mruknął Alex. — Czy Simpson ktoś popiera na górze?

— A czemu pytasz? — spytał Sykes obojętnie, choć Alex był gotów przysiąc, że po jego twarzy przemknął cień uśmiechu.

— Bo jakoś główniane roboty jej się nie imają.

— Wiem tylko tyle, że Simpson jest krewną jakiejś grubej ryby i pewnie dlatego jest troszkę lepiej traktowana. Ale nie czepiaj się jej. Masz tu dokumentację. Miejsce przestępstwa czeka. Idź i łap złoczyńców. — Alex wstał z miejsca i Sykes dodał jeszcze: — Na sprawę nałożono dziewięćdziesięciodniowy termin zakończenia śledztwa. Codziennie oczekujemy od ciebie szczegółowych e-maili z opisem postępów. I żebyś nie był zaskoczony, bo wszystkie trafią wprost do SAD-a, a od niego do centrali.

— Okej.

— I jak powiedziałem, Alex, to ekstrasprawa, więc odpowiednio ją potraktuj.

— Wiem, co jest grane, Jerry.

Alex wrócił do siebie, rozwiesił marynarkę na oparciu krzesła i zabrał się do przeglądania teczki. Od razu na samym początku natknął się na fotografię Patricka Johnsona, którą z całą pewnością zrobiono za jego życia. Do fotografii dołączono odręczną notkę z informacją, że Johnson był zaręczony. Podano też nazwisko i numer telefonu jego narzeczonej. Alex był pewien, że informacja o śmierci Johnsona już do niej trafiła. Historia kariery zawodowej Johnsona należała do dość typowych.

Był zatrudniony w N-TAC, stanowiącym obecnie wydział Narodowego Centrum Wywiadu, zwanego przez wszystkich NCW. Mówiąc wprost, N-TAC zajmowało się zbieraniem danych i budowaniem strategii, na podstawie których siły policyjne starały się zapobiegać wszelkim aktom przemocy, od zamachu na prezydenta aż po ataki terrorystyczne czy powtórkę masakry w szkole w Columbine. Wszystkim agentom Secret Service zawsze zależało na zapobieganiu, nie aresztowaniu. Aresztowanie zamachowca zwykle oznaczało, że osoba oddana pod ich opiekę już nie żyła.

Alex pamiętał szum, jaki wywołała wiadomość, że NCW ma zamiar przyłączyć N-TAC do swego imperium wywiadowczego.

Secret Service podjęło wówczas gwałtowny kontratak, ale w końcu prezydent stanął po stronie Graya i to przeważało szalę. Jednak ze względu na bardzo specyficzny charakter relacji z prezydentem szefom Secret Service udało się zachować szcążkowy wpływ na N-TAC i z tego właśnie powodu Johnson był formalnie wspólnym pracownikiem obu agencji, choć właściwie tylko formalnie.

Alex przejrzał resztę zawartości teczki, odnotowując w pamięci jeszcze parę szczegółów. Wstał, włożył marynarkę i po drodze do wyjścia wstąpił jeszcze po Simpson.

Jackie Simpson była drobną brunetką o oliwkowej cerze, dość ostrych rysach twarzy i przyciągających uwagę dużych, niebieskich oczach. Wprawdzie w Secret Service pracowała od niedawna, w pracy śledczej nie była nowicjuską, bo poprzednie osiem lat spędziła w szeregach policji. Wystarczyło usłyszeć jedno wypowiedziane przez nią zdanie, by nie mieć wątpliwości, że pochodzi z Południa. W jej przypadku oznaczało to Alabamę. Ubrana była w ciemny spodnium przepasany paskiem, z którego w okolicach lewej dłoni zwisał pistolet. Alex uniósł brwi na widok jej blisko ośmiocentymetrowych obcasów, mimo których wciąż była o piętnaście centymetrów niższa od niego. A potem jego wzrok powędrował ku jej kieszonce na piersi, z której wystawał rożek czerwonej chustki, ukłon w stronę mody, za który można zapłacić życiem. Alex wiedział, że jej pistolet też jest odstępstwem od reguły, na co ktoś musiał wyrazić zgodę. Zasadą w Secret Service było, że wszyscy agenci posługiwali się identyczną bronią, dzięki czemu w razie potrzeby mogli się dzielić amunicją.

Jak większość rozpoczynających karierę, Jackie tryskała pełną entuzjazmu energią, która często brała górę nad poczuciem taktu. Na wieść o przydzieleniu jej nowego zadania zareagowała okrzykiem: „To pysznie”.

— Dla Patricka Johnsona takie pyszne to nie było — mruknął Alex.

— Nie to miałam na myśli.

— To się cieszę. Chodźmy.

Nie oglądając się, szybkim krokiem poszedł przodem. Simpson podreptała za nim.

ROZDZIAŁ 15

Opiekunka o imieniu Dżamila zmieniała pieluszkę najmłodszemu z chłopców, potem przystąpiła do niełatwego zadania nakarmienia obu starszych braci malucha, z których jeden miał dwa, a drugi trzy lata. Potem trochę się z nimi pobawiła, w końcu ułożyła ich do snu. Następnie wyciągnęła z torby przyniesiony z domu dywanik modlitewny i przystąpiła do przygotowań do modłów zwanych *sałat*. W tym celu dokonała *wudu*, czyli obmycia twarzy, głowy, dłoni i ramion do łokci oraz stóp do kostek. Zostając boso, Dżamila zwróciła się twarzą ku *qibla*, czyli w stronę Mekki, i zmówiła modlitwę. Rytuał ten wykonywała pięć razy dziennie, zaczynając dwie godziny przed wschodem słońca i kończąc wieczorem, w chwili gdy zapadający mrok zamieniał się w czerń nocy. Obecne modły — dziś drugie — odbywały się w południe, w chwili gdy słońce zaczyna schodzić z zenitu.

Kilka minut po skończeniu modłów na dół zesła matka chłopców, Lori Franklin, i z dumą rozejrzała się po swym pięknym domu. Potem przeszła do pokoju dzieciennego i rzuciła okiem na trójkę dzieci leżących w oddzielnych łóżeczkach i pogrążonych w głębokim śnie. Lori miała niewiele ponad trzydzieści lat i była atrakcyjną kobietą o szczupłej sylwetce, dobrze wykształconych krągłościach i wyrobionych mięśniach. W ręce trzymała niewielką torbę.

— Jedzie pani do klubu, proszę pani? — spytała Dżamila.

— Tak, Dżamilo. Partyjka tenisa, potem zobaczymy. — Za-

śmiała się lekko i z satysfakcją wciągnęła powietrze, tak jak to często robią młodzi i dobrze sytuowani. Podeszła do synów. — Widzę, że już się uporałaś z całą hordą.

— To nie horda, proszę pani. To grzeczni chłopcy, którzy bardzo lubią się bawić i jeszcze bardziej spać.

— Grzeczni są przy tobie. Bo przy mnie i trzech nianiach, które tu były przed tobą, wcale nie byli tacy grzeczni. Dzięki łobie znów zaczęłam normalnie żyć, nawet jeśli bez męża, bo pracuje na okrągło. Z mężczyznami nie da się wytrzymać, Dżamilo. Tylko że bez ich zarobków też nie.

— W moim kraju, proszę pani, mężczyzna jest panem domu — powiedziała Dżamila, zbierając do kartonowego pudła rozrzucone zabawki. — Obowiązkiem kobiety jest pomagać mężowi, utrzymywać w domu porządek i opiekować się dziećmi. Ale trzeba mieć za męża człowieka, którego się szanuje i którego życzenia można spełniać z przekonaniem. Mąż nie jest panem kobiety. Tylko Bóg jest panem.

— Och, tu u nas mężczyźni też są królami — parsknęła Amerykanka, ze śmiechem przewracając oczami. — Przynajmniej we własnym mniemaniu. Dałam George'owi taką rodzinę, jaką chciał mieć. I jego życzenia też spełniam, kiedy naprawdę tego chce. To nie taki zły układ.

— Nie będzie pani dziś po południu? — wtrąciła szybko Dżamila, jakby chcąc zmienić temat. Czasem uwagi chlebodawczyni wydawały jej się nadmiernie szczere.

— Wróć tak, żeby przygotować kolację. George znów gdzieś wyjechał. Ale tobie już wolno jeść za dnia, prawda? Post się skończył?

— Tak, ramadan już się skończył.

— Nigdy nie mogę zapamiętać tych dat.

— Bo one się zmieniają. Ramadan świętujemy w dziewiątym miesiącu roku muzułmańskiego. To wtedy Mahometowi objawił Koran Archanioł Gabriel. Ale muzułmanie posługują się kalendarzem księżycowym, więc co roku ramadan przypada trochę wcześniej. Moi rodzice obchodzili ramadan zimą, a także w miesiącach letnich.

— Ja bym tam nie chciała obchodzić Bożego Narodzenia w lipcu. I wprost nie pojmuję, jak można tak pościć. Przecież to musi być niezdrowe.

— Przeciwnie, to bardzo zdrowe. A kobiety z dzieckiem albo karmiące są zwolnione od postu. *Sawm*, czyli, jak to się mówi?... głodówka, oczyszcza ciało ze złych myśli. To czas odnowy i skupienia. Bardzo to lubię i wcale nie czuję głodu. Przed świtem zjadam *sahur*, a po zachodzie słońca mogę zjeść normalny posiłek. To wcale nie takie wielkie poświęcenie. — Dżamila nie dodała, że jeden typowy amerykański posiłek odpowiada jej trzem. — A potem, na zakończenie ramadanu uczujemy. Nazywamy to małym świętem przerwania postu — *id al-fitr*. Wkładamy nowe ubrania, częstujemy się jedzeniem, odwiedzamy przyjaciół i rodzinę. Jest wtedy bardzo radośnie.

— Cóż, ja nadal uważam, że to niezdrowe — powiedziała Lori Franklin, wyglądając przez okno. — Pięknie dzisiaj, więc może wzięłabyś chłopców do parku. Niech się trochę wyszaleją. Dzięki temu, gdy wrócę, w domu będzie trochę spokojniej.

— Bardzo chętnie, proszę pani. Bardzo lubię jeździć.

— W twoim kraju kobietom nie wolno prowadzić samochodów, prawda?

Dżamila zawahała się.

— To prawda, że w Rijadzie kobietom nie wolno prowadzić, ale to tylko miejscowy przepis, który z islamem nie ma nic wspólnego.

Franklin spojrzała na nią ze współczuciem.

— Nie musisz się tłumaczyć. Wiem, że nie mogłaś tam robić wielu rzeczy. Oglądam wiadomości i wiem. Małżeństwa z przymusu i wielożeństwo. Musiałaś chodzić z zasłoniętą twarzą i nosić takie luźne ubiory, żeby ukryć ciało. I brak dostępu do wykształcenia. W ogóle nie miałaś żadnych praw.

Dżamila spuściła oczy, by Franklin nie dojrzała czającej się w nich pogardy. Po chwili je podniosła i zmusiła się do uśmiechu.

— To, o czym pani mówi — rzekła pogodnym tonem — to nie islam, który ja znam i który zna większość muzułmanów. Kobiet muzułmańskich nikt nie przymusza do małżeństwa. Małżeństwo jest kontraktem zawierany między mężczyzną i kobietą, a także między ich rodzinami. A jeśli broń Boże dochodzi do rozwodu, to kobieta ma prawo do znacznej części majątku mężczyzny. Gwarantuje jej to prawo, rozumie pani. Mężczyzna może mieć więcej żon, ale tylko wtedy, kiedy

potrafi wszystkim zapewnić utrzymanie na takim samym poziomie. Dlatego, jeśli mężczyzna nie jest bardzo bogaty, /ostaje mu tylko jedna żona. A islam mówi, że wszyscy powinni się uczyć, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Ja otrzymałam bardzo dobre wykształcenie. Zaczerpnęła powietrza i mówiła dalej.

— A jeśli chodzi o ubiory, to Koran wcale nie narzuca, że ma się nosić to czy tamto. Mówi tylko, że mężczyźni i kobiety powinni się ubierać skromnie i przyzwoicie. Bóg jest miłością. Wie, że jak ktoś w niego wierzy, sam dokona właściwego wyboru. Niektóre kobiety wybierają zasłonę na twarz i suknię *abaya* podobną do waszej peleryny, inne nie.

— No więc tu jest zupełnie inaczej, Dżamilo. W Ameryce można robić wszystko, na co ma się ochotę. Wszystko. Dlatego to jest taki wspaniały kraj.

— Tak, słyszałam. Ale czy robienie wszystkiego, na co ma się ochotę, jest zawsze takie dobre?

— Ależ oczywiście! — wykrzyknęła Franklin, po czym z filuternym uśmiechem dodała: — Zwłaszcza jak cię nie przyłapią.

— Wierzę pani na słowo — rzekła Dżamila, choć widać było, że myśli zupełnie inaczej.

— Kobiety naprawdę rządzą tym krajem, Dżamilo. Tylko przed mężczyznami udajemy, że jest inaczej.

— Ale kobietom w Ameryce aż do dwudziestego wieku nie wolno było głosować, czy nie tak?

Uwaga ta nieco zaskoczyła Franklin i spowodowała, że na chwilę zamilkła. Ale zaraz lekceważąco machnęła ręką.

— To już historia. Można powiedzieć, że nadrobiliśmy stracony czas. A im szybciej kobiety muzułmańskie zdadzą sobie z tego sprawę, tym lepiej.

Dżamila puściła tę uwagę mimo uszu. Otrzymała wyraźne instrukcje, by o takich sprawach nie rozmawiać z Amerykanką, tyle że czasami bywało to silniejsze od niej.

— Bardzo bym chciała, żebyś się namyśliła i przeprowadziła do nas na stałe. W domu jest mnóstwo miejsca.

— Dziękuję, ale na razie wolę nie zmieniać naszej umowy.

— Okej, jak sobie życzysz. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby cię utracić.

Potem posłała z dala całusy śpiącym dzieciom i wyszła. Odjeżdżając, spojrzała obojętnie na biały van stojący pod domem. Jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy, że to trochę dziwne, iż kobieta, która przed przyjazdem do Stanów nigdy nie prowadziła samochodu, stawiała się do pracy z własnym vanem i ważnym prawem jazdy w kieszeni. Ale Franklin miała dość spraw na głowie, żeby się przejmować takimi drobiazgami.

Tak naprawdę wcale nie wybierała się ani na tenisa, ani na karty w klubie. W torbie miała koszulkę o zapierającej dech, kuszącej przejrzystości, na sobie majteczki od kompletu. Nie włożyła stanika, bo do zajęć, jakie zaplanowała na to popołudnie, był jej zupełnie zbyteczny. Musiała się martwić tylko o to, jak powstrzymać młodego kochanka, żeby nie porwał na niej wszystkiego na strzępy.

Dżamila podeszła do okna i patrzyła, jak Amerykanka odjeżdża małym, sportowym mercedesem. Któregoś dnia, kiedy George Franklin zrobił sobie wolne, żeby pobyc trochę z synami, Dżamila pojechała ukradkiem za Lori do country klubu i widziała, jak jej pani wsiada do samochodu mężczyzny, który był jej mężem. Potem pojechała za nimi do motelu. Była pewna, że teraz też tak postąpi. W końcu trudno jest grać w tenisa bez rakiety, a rakieta Lori wisiała nietknięta na kołku w garażu.

Już po paru tygodniach pobytu w Stanach Dżamila doszła do wniosku, że mężczyźni w Ameryce na pewno nie są królami. Są głupcami. A ich kobiety to dziwki.

Gdy jej podopieczni obudzili się, zawiozła ich do parku, gdzie od razu oddali się z zapałem zabawie. Z uśmiechem patrzyła, jak najstarszy z trójki znajduje niewyczerpane źródło radości w bieganiu wokół swych braci. Dżamila pragnęła mieć własnych synów, i to wielu. Uśmiech zamarł jej jednak na ustach, gdy uprzytomniła sobie, że prawdopodobnie nie dożyje chwili, kiedy będzie mogła zostać matką.

Nakarmiła chłopców kanapkami przyniesionymi z domu, potem przez chwilę uganiała się za najstarszym, starając się odebrać mu telefon komórkowy i kluczyki do samochodu. Zawsze je podkładał, gdy tylko zostawiła otwartą torebkę w zasięgu jego rąk. Nie miała mu tego za złe — wszystkie dzieci są ciekawskie. Załadowała całą trójkę do vana, gdzie

malcy natychmiast usnęli. Potem wyciągnęła dywanik i klęcząc obok samochodu, oddała się swym popołudniowym modłom. Rytualne ablucje wykonała, korzystając z rondla i butelki z wodą, które zabrała z domu.

Wraz ze śpiącymi chłopcami objechała potem całe Brennan. Jak to często zdarzało się w tych stronach, miasteczko powstało i przetrwało jedynie dzięki temu, że dawno temu bogowie od kolei żelaznej postanowili zrobić tu przystanek. Pociągi jeżdżące tą trasą przewoziły czasem pasażerów, ale głównie służyły do transportu węgla i koks do hut stali i portów na Wschodnim Wybrzeżu. Teraz Brennan stawało się powoli snobistyczną podmiejską sypialnią Pittsburgha. Miasteczko mogło się poszczycić uroczą staroświeckimi sklepami i restauracjami, domami, które przeżywały drugą młodość, i lśniącym nowością country klubem.

W drodze Dżamila często przystawała i robiła zdjęcia małym aparatem cyfrowym wielkości jej palca wskazującego, nagrywając komentarz na małe dyktafon. Mówiła przy tym o sprawach, które w żaden sposób nie powinny interesować przybyłej z dalekiego kraju niani trzech uspiionych malców. Najwyraźniej jednak było inaczej. Potem wyjechała z centrum i kolejne zdjęcia zrobiła na obrzeżach miasteczka. Można by sądzić, iż szczególnie interesuje ją układ komunikacyjny dróg.

W końcu podjechała pod wspaniałą rezydencję Franklinów ze ścianami obłożonymi polnymi kamieniami, która stała cofnięta z dala od drogi i od której odgradzał ją mur z takich samych kamieni. Piękny dom, myślała, tylko o wiele za duży. W Ameryce wszystko jest za duże: od posiłków przez samochody i domy, aż po ludzi. Jedyne, co tu nie jest za duże, to te ich stroje. W ciągu paru minionych miesięcy Dżamila naoglądała się więcej sterczących nieskromnie pośladków, piersi i brzuchów niż w ciągu całego swego dotychczasowego życia. I czuła z tego powodu obrzydzenie.

Zdecydowanie wolała *dzilbę* i *chimar* do okrycia ciała i choćby nawet trzy żony, z którymi przyszłoby jej rywalizować, niż taką „wolność”, jak tu.

Spojrzała na śpiące dzieci i zmarszczyła twarz. Tak, brzydziła się swej amerykańskiej rodziny, jej pieniędzy i pozbawionego miłości związku. Brzydziła się nawet tych małych dzieci na

tylnym siedzeniu, bo wiedziała, że pewnego dnia dorosną i uznają, że jako Amerykanie mają prawo do rządzenia światem. Włączyła bieg i ruszyła.

Dziś wieczór zaloguje się na swym laptopie do witryny filmowej. O ile jej pamięć nie myli, dzisiejszy czat dotyczyć będzie filmu zatytułowanego *Zabić drozda*. Trochę dziwny tytuł jak na film, ale nie od dziś wiadomo, że Amerykanie w ogóle są dziwni. Są dziwni, agresywni i — co najgorsze — kompletnie nieprzewidywalni.

ROZDZIAŁ 16

Oliver Stone wrócił do swojej dozorcówki i spróbował usnąć, ale emocje towarzyszące tej nocy zupełnie mu na to nie pozwalały. Rozpalił niewielki ogień, by choć trochę złagodzić panujący chłód, i do świtu próbował czytać, lecz w głowie bezustannie kotłowały mu się myśli o śmierci Patricka Johnsona. A właściwie morderstwie. Potem zrobił sobie kawę i przyrządził coś w rodzaju śniadania. Kilka dalszych godzin spędził na cmentarzu, oddając się swym obowiązkom. Wyrывał chwasty, kosił trawę, usuwał śmieci i czyścił stare nagrobki, przez cały czas nie mogąc uwolnić się od myśli, jak blisko on i jego przyjaciele otarli się o śmierć. Myśli takie nieraz go już nachodziły i nauczył się z nimi radzić. Tym razem nie chciały go jednak opuścić.

Po pracy wrócił do dozorcówki i wziął prysznic. Potem, spoglądając na swe odbicie w lustrze, podjął decyzję. Nie mógł jej jednak sam wcielić w życie, nie dysponując niezbędnymi do tego celu narzędziami. Wiedział też, że Caleb i Reuben są o tej porze w pracy, a na Milтона nie można było liczyć, że zrobi to jak należy.

Zostało mu tylko jedno wyjście. Ruszył do chińskiej dzielnicy, zwanej jak wszędzie Chinatown.

Adelphia? — zawołał półgłosem. Od jego wyjścia z domu minęło czterdzieści pięć minut i stał teraz pod jej mieszkaniem nad pralnią chemiczną. — Adelphia? — powtórzył. Pomyślał,

że może już wyszła, lecz wtedy właśnie usłyszał kroki i w drzwiach stanęła Adelpia. Była ubrana w czarne spodnie i luźny sweter, włosy miała zebrane z tyłu głowy w kok. Spojrzała na niego z ponurym zdziwieniem.

— Skąd wiesz, gdzie mieszkam? — burknęła.

— Sama mi powiedziałaś.

— Aha. — Wykrzywiła twarz. — To jak tam twoje spotkanie?

— Prawdę mówiąc, było parę niespodzianek.

— Czego chcesz, Oliver?

Stone odchrząknął i zaczął łagodnie:

— Myślałem o tym, co powiedziałaś o moim wyglądzie.

Więc przyszedłem spytać, czy mogłabyś mnie ostrzec. Mogłbym oczywiście spróbować sam, ale boję się, że wyjdzie mi jeszcze gorzej niż teraz.

— Nie tak źle wyglądasz. — Wymknęło jej się mimo woli, nim zdążyła pomyśleć o odpowiedzi. Zakasłała, jakby próbując ukryć zmieszanie, potem spojrzała na niego ze zdziwieniem. — To ty co ja mówię słuchasz?

Kiwnął głową.

— I nowe ubranie też sobie kupię — dodał. — To znaczy w tym sensie nowe, że dla mnie będzie nowe. I buty.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

— A broda? To co tam masz, że wyglądasz jak, jak to się mówi?... jak łachudra.

— Tak, brody też się pozbędę. Ale brodę mogę sam zgolić.

Machnęła lekceważąco ręką.

— Nie, ja zgolę. Dużo razy marzyłam, żebyś pozbył tą brodę. — Kiwnęła na niego ręką. — Chodź, wejdz, zrobimy od razu, żebyś się nie rozmyślił.

Idąc za nią, Stone rozglądał się ukradkiem po wnętrzu. Mieszkanie było czyste i zaskakująco przyzwoicie umeblowane. Zdziwiło go to, bo jego zdaniem Adelpia była osobą zbyt impulsywną i rozbitą psychicznie, żeby ją było stać na taki ład.

Zaprowadziła go do łazienki i wskazała ręką sedes.

— Siadaj.

Usiadł, a ona zajęła się przygotowaniem potrzebnych narzędzi. Ze swego miejsca miał widok na przedpokój i wiszącą

w nim półkę z książkami, z których kilka było w jakimś obcym języku. Nie potrafił go rozpoznać, choć w swoim czasie dużo jeździł po świecie.

— Znasz te wszystkie języki, Adelphio? — spytał, wskazując na książki.

Przestała grzebać w szufladzie i spojrzała na niego nieufnie.

— A po co takie książki trzymać, jakbym nie mogła czytać? Czy ja takie duże mieszkanie mam, że niepotrzebne rzeczy mogę trzymać?

— Rozumiem.

Okryła go prześcieradłem i zawiązała supeł na karku.

— Jak krótko ostrzyc chcesz?

— Uszy zakryte i szyja odkryta, byłoby fajnie.

— Jesteś pewny?

— Absolutnie.

Zabrała się do strzyżenia. Potem przeczesała mu włosy, przyglądała na żel kilka uparcie sterczących kosmyków i zaatakowała nożyczkami jego gęstą brodę. Szybko się przez nią przedała, potem wzięła do ręki jakiś nowy przedmiot.

— Używam tego do nóg — wyjaśniła, unosząc damską maszynkę do golenia. — Ale do twojej gęby w sam raz.

Spojrzał na siebie w małym lusterku podanym przez Adelphię i niemal sam się nie rozpoznał. Potarł sobie skórę na brodzie, której od lat już nie oglądał. Pozbywszy się gęstych, skołtunionych kędziorów na głowie i twarzy, z zaskoczeniem stwierdził, że ma wysokie, pokryte bruzdami czoło i gładką, szczupłą szyję.

— Ładną twarz teraz masz — rzekła Adelphia z przekonaniem. — A szyja to jak dupcia niemowlaka. To ja takiej szyi nie mam. Moja jak u starej baby jest. Jak u indyka.

— Myślę, Adelphio, że masz bardzo ładne rysy — powiedział, nie przestając się przyglądać swemu odbiciu. Dlatego nie zauważył, jak się zaczerwieniła i szybko odwróciła wzrok.

— Wczoraj wieczór gościa masz.

— Gościa? Kogo? — spytał, podnosząc na nią wzrok.

— Taki w garniturze. Nazywa się Fort, czy jakoś tak. Dokładnie nie pamiętam. Mówił, żeby ci powiedzieć, że był.

— Fort?

— Widziałam, jak rozmawiał z tamtymi. Z tymi po drugiej stronie. Ty go znasz, Oliver. Od tajniaków.

— Z Secret Service? Chodzi ci o Forda? Agenta Aleksa Forda?

Adelphia wycelowała w niego palec.

— Zgadza się. Taki duży. Większy, od ciebie.

— Powiedział, czego chce?

— Tylko że chce „cześć” powiedzieć.

— O której to było?

— Czy ja wyglądam na taką, co patrzy na godzinę? Mówię ci, że „cześć” powiedział. — Zawahała się. — Chyba koło północy tak było, jak on przyszedł. I nic więcej ja nie wiem.

W głowie nachalnie brzęczała mu ta ostatnia wiadomość. Wstał pospiesznie z miejsca i odwiązał prześcieradło.

— Chciałbym ci zapłacić — zaczął, ale ona niecierpliwie machnęła ręką. — To może chociaż jakoś inaczej mogę ci się zrewanżować?

Obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

— Możesz coś zrobić — mruknęła i zamilkła. Spojrzał na nią pytająco. — Możesz cafe ze mną wypić. Kiedy ważnego spotkania w środku nocy nie masz — dodała, wykrzywiając się.

Trochę go to zaskoczyło, jednak szybko uznał, że kawa i pogawędka z nią w niczym mu nie zaszkodzą.

— Jasne, Adelphio. Chyba już pora, żebyśmy zaczęli robić takie rzeczy.

— No to w porządku jest. — Wyciągnęła ku niemu rękę. Z zaskoczeniem stwierdził, że ma długie i mocne palce.

Idąc ulicą, zaczął się zastanawiać nad niespodziewaną wizytą. Ze wszystkich agentów Secret Service najbardziej lubił Aleksa Forda, więc jego nagłe pojawienie się też mogło być zupełnym zbiegiem okoliczności.

Poszedł do najbliższego sklepu ze starzyzną i za pieniądze od Reubena kupił dwie pary drelichowych spodni, parę solidnych butów, skarpetki, koszule, sweter i wypłowiałą granatową dwurzędową marynarkę. Sprzedawca, którego znał doskonale, bezpłatnie dorzucił mu jeszcze dwie pary zupełnie nowych slipek.

— Oliver, wyglądasz, jakby ci ubyło mnóstwo lat — zauważył.

— I tak się czuję. Naprawdę.
Wrócił z zakupami do parku Lafayette, by przebrać się w namiocie. Nie zdążył jednak wejść do środka, bo powstrzymał go stanowczy okrzyk.
— A ty, koleś, gdzie się, do cholery, pchasz? — Stone uniósł głowę i zobaczył agenta w mundurze Secret Service, który stał, wlepiając w niego wzrok. — Ten namiot jest już zajęty, więc spadaj.
— Proszę pana, to mój namiot.
Strażnik podszedł bliżej.
— Stone? To naprawdę ty?
— Z trochę mniejszą ilością włosów na głowie i brodzie — odparł Stone z uśmiechem — ale tak, to naprawdę ja.
Strażnik pokiwał głową z niedowierzaniem.
— To skąd ty wracasz? Od Elizabeth Arden?
— Co za jedna ta Elizabeth? — usłyszeli kobiece głosy.
Odwrócili się i zobaczyli idącą ku nim Adelphię, która z rozeźloną miną wpatrywała się w Stone'a. Miała na sobie wciąż te same ciuchy co wcześniej i tylko włosy miała teraz rozpuszczone do ramion.
— Trzymaj na wodzy demony podejrzliwości, Adelphio — powiedział strażnik z rozbawieniem. — To tylko taki salon, gdzie ludzie robią się na bóstwo. Moja żona raz się tam wybrała i powiem ci, że jak na pieniądze, które tam wydała, to już wolę, żeby została taka, jaka jest. — Parsknął śmiechem i oddalił się. Adelphia podeszła bliżej.
— Chcesz teraz cafe wypić i pogadać? — spytała.
— Chętnie, tylko przedtem muszę się z kimś spotkać. Może jak wrócę.
— Zobaczymy — odparła, wyraźnie zawiedziona. — Ja też swoje sprawy mam. Się mi nie chce na ciebie cały czas czekać. Mam pracę.
— Oczywiście — powiedział Stone, ale kobieta zdążyła się już obrócić i ruszyć szybkim krokiem.
Stone wśliznął się do namiotu i przebrał w kupione rzeczy. Resztę schował do plecaka i ruszył przez park; tak długo się rozglądał, aż w koszu na śmieci znalazł to, czego szukał: dzisiejszą gazetę. Nie było w niej ani słowa o zwłokach znalezionych na Wyspie Roosevelta. Pewnie stało się to zbyt

późno, by wiadomość trafiła do porannego wydania. Odnalazł budkę i zadzwonił do biura Caleba w budynku Jeffersona w kompleksie Biblioteki Kongresu.

— Caleb, słyszałeś coś? Bo w gazecie nic jeszcze nie ma.

— Od rana o tym mówią. Ale mówią tylko, że Wyspa Roosevelta jest zamknięta dla turystów ze względu na toczące się śledztwo, którego szczegółów nie znają. Mógłbyś do mnie przyjść koło pierwszej? Moglibyśmy spokojnie porozmawiać.

Stone potwierdził.

— Podjąłeś środki ostrożności? — upewnił się.

— Tak, reszta też. Reuben jest w pracy, ale dzwonił w czasie przerwy. Rozmawiałem też z Miltonem. Nie rusza się z domu. Jest naprawdę przerażony.

— Strach jest w tej sytuacji naturalną reakcją. — A potem szybko dodał: — Aha, Caleb, w pierwszej chwili możesz mnie nie poznać. Trochę zmieniłem wygląd. Uznałem to za konieczne, bo w pierwszej kolejności mnie ci ludzie mogli zauważyć.

— Rozumiem.

Stone zawahał się i niepewnym tonem dorzucił:

— Prezentuję się teraz całkiem nieźle, więc czy moglibyśmy się spotkać w czytelnicy, a nie przed budynkiem? Zawsze marzyłem, żeby zajrzeć do środka, tylko nie chciałem, no wiesz, narobić ci wstydu.

— Oliver, nawet mi to do głowy nie przyszło. Oczywiście, że możemy.

W drodze do Biblioteki Kongresu nie przestawał myśleć o zabójcach Patricka Johnsona. Szybko się zorientują, że naoczni świadkowie nie poszli na policję. A to może ich zachęcić do podjęcia działań, które doprowadzą do likwidacji Klubu Wielbłądów.

ROZDZIAŁ 17

Alex zjechał z Washington Parkway w miejscu, gdzie zaczyna się pięć ostro pod górę nad Potomakiem, i wjechał na parking dla odwiedzających Wyspę Roosevelta. Z parkingu na wyspę prowadziła długa kładka dla pieszych.

Stało już mnóstwo policyjnych radiowozów i nieoznakowanych samochodów służb federalnych, wśród których rozpoznał samochód z biura waszyngtońskiego koronera i furgonetkę laboratorium medycyny sądowej FBI. Wiedział, że za chwilę obrzuci go nieufnymi spojrzeniami wielu funkcjonariuszy mundurowych i ubranych po cywilnemu.

— Straszny tłum — zauważyła Simpson.

— Mhm, czeka nas niezła zabawa, jak FBI i policja parkowa wezmą się za łby, żeby pokazać, kto tu jest ważniejszy. Miejska policja ma w tej walce z góry przechłapano.

Weszli na kładkę i wylegitymowali się policjantowi stojącemu u wejścia.

— Secret Service? — zdziwił się policjant, wyraźnie zбитy z tropu.

— Z polecenia prezydenta. Ścisłe tajne — rzucił Alex i ruszył, nie czekając na reakcję.

Ścieżki były oznakowane taśmą policyjną i bez trudu dotarli na miejsce przestępstwa. Już z daleka słyhać było strzępy rozmów i kakofonię melodyjek telefonów komórkowych. Alex był dumny z tego, że jego telefon po prostu zwyczajnie dzwonił.

Wyszli na wybrukowany plac przed pomnikiem Roosevelta

i Alex rozejrzał się, starając się rozszyfrować głównych rozgrywających.

Przedstawiciele policji miejskiej i policji parkowej łatwo było poznać nie tylko po mundurach, ale i pełnym rezerwy zachowaniu. Członkowie ekip techników laboratoryjnych też byli łatwi do rozpoznania. Parę osób po cywilnemu kręcące się wśród nich i zachowujące tak, żeby nie było wątpliwości, kto tu rządzi, niewątpliwie reprezentowało Biuro. Dwóch mężczyzn po cywilnemu nie potrafił jednak rozszyfrować.

Alex postanowił zacząć od najstarszego rangą mężczyzny w mundurze policji parkowej. Doświadczenie mu podpowiadało, że ludzi w mundurach lepiej mieć po swojej stronie.

— Alex Ford, Secret Service — przedstawił się. — A to agentka Simpson.

Policjant podał im rękę.

— I co tu mamy? — spytał Alex, wskazując głową ciała.

— Prawdopodobnie samobójstwo. — Policjant wzruszył ramionami. — Wygląda na to, że facet strzelił sobie w usta. Ale póki nie zrobią sekcji, to nic pewnego nie wiadomo. Nastąpiło już całkowite stężenie pośmiertne. Nie możemy mu nawet otworzyć ust, bo moglibyśmy schrzanić wyniki autopsji.

— Ci tam, to FBI? — spytał Alex, wskazując głową dwóch cywili obok ciała.

— Ciekawe, jak na to wpadłeś? — mruknął policjant, uśmiechając się krzywo.

— Bo im wystają z kieszeni czapki supermana — powiedział Alex i wywołał tą uwagą chichot rozmówcy. — A tamci? — dodał, wskazując dwóch mężczyzn stojących z boku i rozmawiających ścisłymi głosami.

— Od Cartera Graya z NCW. Pewnie przyjechali sprawdzić, czego Al-Kaida chce od Roosevelta.

Alex uśmiechnął się.

— Czy mogę liczyć, że prześlecie mi kopię raportu z oględzin miejsca przestępstwa? — powiedział. — Mam strasznie upierdliwego szefa.

— Jasne. Tyle że jak dotąd cała sprawa nie jest zbyt ciekawa. W kieszeniach portfel z dokumentami i liścik samobójczy, obok ciała rewolwer z jednym wystrzelonym nabojem. I w dodatku wygląda na to, że facet wyłopał wcześniej prawie

litr whisky. Jeszcze nią śmierdzi. Na broni i butelce są odciski, a splota była zarejestrowana na niego. Sprawdzimy te odciski, żeby się upewnić, że pasują do denata.

— A ślady prochu na dłoni? — wtrąciła Simpson.

— Jak dotąd nie znaleźliśmy. Ale broń wygląda na zupełnie nową i zadbaną. A strzelanie z rewolweru może nie zostawić śladów prochu.

— Jakies ślady walki? — spytał Alex.

Policjant pokręcił przecząco głową.

— Jeszcze jedno — odezwała się Simpson. — Przyjechał tu samochodem?

— Na parkingi żaden samochód nie stoi — odparł policjant.

— Więc mógł go zastrzelić ktoś inny, a potem odjechać. Ale jeśli to naprawdę samobójstwo, to jak się tu dostał?

— Z północnego krańca parkingu prowadzi kładka dla pieszych, która przechodzi nad Parkway i łączy się z Traktem Pamięci i mostem łańcuchowym — wyjaśnił policjant. — A mostem biegnie ścieżka rowerowa, która kończy się na parkingu przed wyspą. Ale nie sądzimy, żeby tamtędy tu dotarł. Gdyby tak było, pewnie ktoś by go zauważył. — Zawahał się. — Jest jeszcze jedna możliwość. Jego ubranie jest zupełnie mokre. Dużo bardziej niż tylko od rosy.

Chwilę trwało, nim to dotarło do Aleksa.

— Co? Myślicie, że mógł tu przyplłynąć wpław?

— Na to wygląda.

— Ale dlaczego? Jeśli już był w wodzie i chciał sobie odebrać życie, to czy nie było prościej w niej zostać i tyknąć sobie Potomacu?

— Jeśli przepłynął Mały Kanał od strony Wirginii, to daleko nie miał — zauważył policjant.

— To prawda. — Alex kiwnął głową. — Tylko jeśli chciał się dostać na wyspę od tamtej strony, to zamiast się taplać w Małym Kanale, dlaczego nie skorzystał z kładki nad nim? A skoro był tak urżnięty, pewnie i tak by nie dopłynął.

— Chyba że się urżnął dopiero tutaj — podsunął gliniarz. — No i jest jeszcze coś.

Zawołał jednego z techników, a ten podszedł i podał mu jakiś przedmiot.

— Znaleźliśmy jeszcze to — rzekł policjant, unosząc plas-

tikową torebkę na dowody rzeczowe, w której widać było torbę foliową.

Oboje w milczeniu przyjrzeni się zawartości.

— Włożył w to spluwę, żeby mu amunicja nie zamokła w wodzie — domyślił się Alex.

— Też tak przypuszczamy. Rewolwer dwudziestkadwójka z nabojami w otulinie.

— Rozumiem też, że zostawił jakiś pożegnalny list, tak?

Policjant wyciągnął notes.

— Przepisałem dokładnie całą treść — powiedział i odczytał notatkę, którą Simpson skrupulatnie przepisała do notesu.

— Mógłbym zobaczyć oryginał? — spytał Alex.

— A wy skąd? — usłyszeli za plecami ostry głos.

Alex odwrócił głowę i zobaczył niewysokiego, przysadzistego mężczyznę w garniturze od Brooks Brothers, białej koszuli z eleganckim krawatem i lśniących czystością półbutach z wydłużonymi noskami.

Alex wyciągnął odznakę i przedstawił siebie i partnerkę, ale mężczyzna ledwo spojrział na ich odznaki.

— Agent specjalny Lloyd, FBI. Mamy tu ludzi z NCW, którzy już pilnują interesów Secret Service.

Alex nie dał się zbić z tropu.

— Mam swoje rozkazy, agencie Lloyd. I szczerze powiem, że Secret Service woli samo pilnować swoich interesów. Z pewnością FBI rozumie, że śmierć kogoś zatrudnionego w N-TAC to sprawa bardzo delikatna. Zwłaszcza że należymy teraz do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a nie podlegamy Departamentowi Skarbu. — Alex wiedział, że hasło Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego robi na stróżach prawa dużo większe wrażenie niż Departament Skarbu. Nie mówiąc o tym, że czterystukilogramowy goryl, jakim było FBI, musi mieć respekt przed czterystupięćdziesięciokilogramowym gorylem, za jakiego uważano Agencję Bezpieczeństwa.

Przez chwilę wydawało się, że Lloyd wybierze agresywną konfrontację, jednak widać się rozmyślił, wzruszył tylko ramionami i mruknął:

— Dobra, jak chcecie się bawić w Sherlocka Holmesa, to proszę. Ciało jest tam. Tylko nie zamażcie jakichś śladów.

— 'Bardzo dziękuję, agencji Lloyd. Pytałem właśnie o oryginał tej samobójczej notatki.

Lloyd skinął na jednego z funkcjonariuszy FBI i ten po chwili przyniósł liścik.

— Sprawdź mu ubranie i całą resztę na odciski palców — dodał Lloyd — ale nie sądzę, żeby znaleźli coś ciekawego. To samobójstwo.

— Z tkaniny kiepsko się zdejmują odciski — odezwała się Simpson — ale z jego kurtką powinno być dużo łatwiej. Zwłaszcza że była wilgotna, a pogoda ostatniej nocy sprzyjała zachowaniu odcisków. Wasi ludzie mają tu Superfume? Bo do zdejmowania odcisków palców z takich powierzchni nic nie przebije cyjanu.

— Nie mam pojęcia — mruknął Lloyd.

— Właściwie chyba byłoby lepiej zabrać jego ubranie do laboratorium. Można by je sprawdzić w komorze termicznej albo okadzić Megafume. Wiem, że w laboratorium FBI mają taki sprzęt. — Pokazała ruchem głowy kartkę. — Wystarczy coś takiego wsadzić do komory termicznej, spryskać ninhydriną i wszystko od razu wyjdzie.

— Dzięki za dobre rady. — Lloyd się skrzywił, choć wyraźnie jej wiedza trochę mu zaimponowała.

Alex też spojrział na nią z uznaniem, potem przeniósł wzrok na Lloyda.

— Trzeba będzie sprawdzić, czy to na pewno jego pismo.

— Zdaję sobie sprawę.

— Mogę poprosić nasze laboratorium, żeby to sprawdzili. I przy okazji sprawdzą też odciski palców.

— Laboratoria FBI są najlepiej wyposażone.

— Ale nasze nie jest tak przeciążone. A gramy w tej samej drużynie, agencji Lloyd.

Uwaga Aleksa musiała dotrzeć do bardziej podatnego na współpracę zakamarka zadziornej osobowości agenta FBI, bo po chwili zastanowienia powiedział zupełnie innym tonem:

— Dzięki, agencie Ford.

— Mam na imię Alex. A to jest Jackie — rzekł Alex, pokazując głową Simpson.

— Miło mi, Don. Chętnie skorzystam z twojej propozycji. Rzeczywiście laboratorium FBI jest zawałone sprawami zwią-

zanymi z terroryzmem. Tylko będziesz musiał oficjalnie pokwitować przekazanie dowodu rzeczowego. Koroner ma na tym punkcie fioła.

Alex podpisał pokwitowanie i przez przezroczystą osłonkę przyjrzał się listowi, potem przekazał go Simpson.

— Są jakieś podejrzenia co do powodów samobójstwa? — spytał. — Bo słyszałem, że niedługo miał się żenić.

— Dla wielu już samo to mogłoby być wystarczającym powodem — mruknął policjant i z wyjątkiem Simpson wszyscy parsknęli śmiechem. Za to ona skrzywiła się tak, jakby miała za chwilę wyciągnąć pistolet i powiększyć liczbę ofiar na wyspie.

— Jeszcze za wcześnie, żeby coś powiedzieć — rzekł Lloyd. — Uruchomimy śledztwo, ale wszystko wskazuje, że Johnson sam się zabił.

— Nie znaleźliście żadnych innych śladów? — spytała Simpson.

— Może nawet jakieś były — odparł policjant — tylko że potem przemaszerował tędy tabun uczniaków. Rano było dość mgliście i prawie wleźli na ciało. Śmiertelnie się przerazili. A poza tym na kostce i tak nic nie widać.

— Wiemy, którą przyszedł? — zapytał Alex.

— Prawdopodobnie tą ścieżką — odparł policjant, pokazując w lewo. — Jeśli rzeczywiście przepłynął Mały Kanał wpraw, to po wyjściu z zarośli trafiłby właśnie na nią.

— Przepatrujemy brzegi w poszukiwaniu jego samochodu — dodał Lloyd. — Mieszkał w Bethesda. Musiałby więc najpierw przyjechać i zaparkować gdzieś w pobliżu, a dopiero potem popłynąć na wyspę. Jak znajdziemy samochód, to będziemy mogli ustalić, w którym miejscu wszedł do wody.

Alex popatrzył w kierunku brzegu od strony Wirginii.

— Panowie, jeśli chciał przepłynąć Mały Kanał, jedynym logicznym miejscem na postawienie samochodu jest parking przed wyspą.

— Ale tam go nie ma. — Policjant wzruszył ramionami. — Chyba że ktoś go przywiózł i potem odjechał. Tylko że to się nie trzyma kupy.

— Zwykle kręci się tu policyjna łódź patrolowa — zauważyła Simpson.

Lloyd kiwnął głową.

— I wczoraj w nocy też tędy płynęli. Ale mgła była tak gęsta, że właściwie nic nie było widać. W każdym razie żadnych pływaków.

— Od jak dawna nie żyje? — spytał Alex.

— Koroner uważa, że od około dwunastu godzin.

— Mamy jakąś teorię, dlaczego wybrał akurat Wyspę Roosevelta?

— Jest tu cicho i spokojnie, a jednocześnie zewsząd blisko. Mógł też być fanem Roosevelta — odparł Lloyd. Spojrzał w stronę agentów NCW, zmarszczył brwi i wrócił wzrokiem do Aleksa. — Mamy zamiar odwiedzić NCW i trochę ich popytać. Może się dowiemy, dlaczego Johnson chciał się zabić. Ale jak się czegoś dowiemy, to ci tam — kiwnął głową w stronę agentów NCW — mogą popaść w jeszcze większą paranoję.

— Chodzi ci o to, że Johnson mógł w NCW zajmować się czymś, czym nie powinien? — zdziwił się Alex.

— Trudno wyczuć. Zwłaszcza że nie bardzo wiem, czym oni się tam w ogóle zajmują — rzucił Lloyd, odwrócił się na pięcie i odszedł.

— Witamy na pokładzie — mruknął pod nosem Alex, skinął na Simpson i oboje podeszli do ciała. — Takie widoki cię nie ruszają?

— Pracowałam w wydziale zabójstw policji stanowej w Alabamie. Widziałam mnóstwo ran postrzałowych i trupów.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że Alabama to taki krwawy stan.

— Chyba żartujesz. W Alabamie jest więcej broni niż w całej amerykańskiej armii.

Alex przykucnął, przyjrzał się zwłokom i dotknął ręki. Rękaw kurtki był zupełnie mokry, a całe ciało ogarnęło już stężenie pośmiertne.

Na uszach, nosie i wokół ust widać było ślady zakrzepłej krwi.

— Naruszona podstawa — domyśliła się Simpson. — Krew sączy się ze zgruchotanej podstawy czaszki. Koroner prawdopodobnie znajdzie pocisk w pobliżu sklepienia czaszki albo w okolicach potylicy. Mamy do czynienia z kalibrem dwadzieścia dwa, więc żeby uzyskać dobrą trajektorię strzału, musiał wsadzić lufę bardzo głęboko w usta.

— Rękaw jest cały zbryzgany krwią, natomiast na prawej

dłoni ma tylko niewielką plamkę — zauważył Alex. — To trochę dziwne.

— Ale jeśli pocisk zostaje wewnątrz czaszki, to krwawienie czasem bywa mniejsze.

— Pewnie masz rację.

Alex odwrócił głowę i zawołał przez ramię:

— Gdzie znaleźliście rewolwer i list?

— Rewolwer leżał po prawej, jakieś piętnaście centymetrów od ciała. List był w prawej kieszeni wiatrówki! — krzyknął jeden z policjantów.

Alex podniósł się i aż zagryzł wargi, by nie zawyć z bólu. Przy raptownych ruchach odczuwał często nieznośne bóle w karku. Simpson obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

— Wszystko w porządku? — spytała.

— Stara kontuzja od jogi. To co ci podpowiada instyngt gliniarza od zabójstw w Alabamie?

— Że wstępna diagnoza przyczyn śmierci najczęściej okazuje się trafna.

— Nie o to pytam. Co ci mówi wewnętrzne przeczucie?

— Że zanim uznamy tę sprawę za zamkniętą, trzeba się będzie dowiedzieć jeszcze wielu rzeczy — odparła bez wahania. — Bo nie byłby to pierwszy przypadek, kiedy pierwsze wnioski okazują się fałszywe. — Obrzuciła spojrzeniem agentów NCW. — A coś mi mówi, że na ich współpracę nie mamy co liczyć.

Alex podążył za jej wzrokiem. Wiedział, że jeśli jest agencja bardziej okryta mgłą tajemnicy niż CIA lub NSA, to jest nią właśnie NCW. Mógł sobie łatwo wyobrazić ustawianie przez nią blokad na drogach pod hasłem ochrony bezpieczeństwa narodowego, a wtedy wszystko inne schodzi na plan dalszy. I choć musiał przyznać, że Secret Service też się tą taktyką czasem posługiwała, znacznie bardziej ufał, iż nie robi tego z nadużyciem danej jej władzy. Miał poważne wątpliwości, czy NCW potrafi zapanować nad swymi ludźmi.

— A co ty myślisz? — spytała Simpson.

Alex przez dłuższą chwilę stał z wzrokiem wbitym w ziemię, potem spojrzał na nią.

— Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało egoistycznie, ale boję się, że będzie z tym mnóstwo zawracania głowy. I to akurat w momencie, kiedy jest mi to najmniej potrzebne.

Już się szykowali do opuszczenia wyspy, gdy podeszli do nich dwaj agencji NCW.

— O ile nam wiadomo, jesteście z Secret Service — odezwał się wyższy z nieb.

— Zgadza się — odparł Alex. — Agent Ford i agentka Simpson z WFO.

— Nazywam się Tyler Reinke, a to jest Warren Peters, obaj z NCW. Ponieważ Johnson pracował dla obu naszych agencji, powinniśmy chyba nawiązać współpracę.

— Niewiele jeszcze wiemy, ale nie mam nic przeciwko dzieleniu się naszą wiedzą. Pod warunkiem jednak, że w zamian też coś dostaniemy — odparł Alex.

— Tylko tak to sobie wyobrażamy. — Reinke uśmiechnął się.

— Świetnie. Możecie nam zorganizować spotkanie z kolegami z pracy Johnsona?

— Myślę, że tak — wtrącił Peters. — Znacie kogoś w NCW?

— Po raz pierwszy spotykam kogoś, kto otwarcie przyznaje, że tam pracuje.

Reinke i Peters skrzywili się, tak jakby ta uwaga osobiście ich dotknęła.

— Proszę, moja wizytówka — rzekł Alex. — Dajcie znać, kiedy uda wam się coś zorganizować. — Wskazał na list Johnsona w plastikowej torebce. — My zajmiemy się porównaniem charakteru pisma. Trzeba się upewnić, że to on napisał.

— W tej sprawie chciałem właśnie coś zaproponować — powiedział Peters. — Mamy u nas świetnych grafologów, którzy mogą się z tym szybko uporać.

— U nas też to nie potrwa długo — zapewnił go Alex.

— Ale w NCW mamy mnóstwo próbek pisma Johnsona. Po prostu proponuję pomoc, żeby to przyspieszyć. Współpraca między służbami to dziś klucz do sukcesu, prawda?

— Ten list jest dowodem rzeczowym w śledztwie w sprawie nagłej śmierci — wtrąciła Simpson. — Myślę, że gdyby to trafiło do was, koroner mógłby mieć zastrzeżenia. Co innego FBI czy Secret Service, bo obie są agencjami ochrony prawa.

— My też — prychnął Reinke. — Już rozmawiałem z koronerem i podkreśliłem, że chodzi o ochronę interesów bezpieczeństwa narodowego. Nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy

to przejęli. Oczywiście pod warunkiem, że weźmiemy na siebie odpowiedzialność za zabezpieczenie tego dowodu.

— Pewnie nieźle się spietrał, kiedy mu wyjechaliście z bezpieczeństwa narodowym. — Alex uśmiechnął się i po chwili zastanowienia dodał: —No dobra. Tylko jak najszybciej dajcie znać. I sprawdźcie też pod kątem odcisków palców.

Peters i koroner wypełnili i podpisali odpowiedni formularz i agent NCW ostrożnie wziął do ręki torebkę z listem.

— Chyba sam Gray się w to włączy — powiedział. — Pewnie już wkroczył na wojenną ścieżkę.

— Wyobrażam sobie — rzekł Alex.

Obaj agenci NCW odeszli i Simpson spojrzała na Aleksa.

— I co o tym myślisz?

— Myślę, że to kutasy, którzy wrzucą moją wizytówkę do najbliższego kosza na śmieci.

— To dlaczego im oddałeś ten list?

— Bo teraz w ich posiadaniu jest dowód rzeczowy śledztwa w sprawie nagłej śmierci, a to nam daje doskonały pretekst do odwiedzenia NCW i rozejrzenia się na miejscu.

ROZDZIAŁ 18

Carter Gray wstał o wpół do siódmej i trzy kwadranse później wchodził już do gmachu NCW. Hol wejściowy obwieszony był czarno-białymi fotogramami, obok których musiał przejść każdy z pracowników. Na jednym z nich widać było płonące wieże World Trade Center, a na sąsiednim wymowny obraz ruin i pustki po zawalonych wieżach. Trzeci ukazywał uszkodzony budynek Pentagonu z dziurą wybitą przez pasażerski samolot American Airlines. Kolejny przedstawiał krater na polu Pensylwanii, który stał się miejscem ostatniego spoczynku nieszczęsnych pasażerów samolotu United Airlines. Na następnym widać było osmoloną i popękaną ścianę Białego Domu w miejscu, gdzie uderzyły w nią dwa pociski rakietowe, które przebiły ją na wylot i wpadły do sali wschodniej siedziby prezydenckiej. Kolejny ukazywał zrujnowany budynek po zamachu bombowym w Oklahoma City.

Uchwycone przez fotografów dramatyczne sceny ciągnęły się wzdłuż całej jednej ściany, po czym zakręcały i kończyły się na przeciwległej. Na niej wisiała ostatnia fotografia, robiąca na wielu naprawdę piorunujące wrażenie. Niemal wszystkie ofiary miały mniej niż szesnaście lat i straciły życie w wyniku ataku bombowego przeprowadzonego przez czterech terrorystów-samobójców. Zdetonowali oni swe ładunki równocześnie na uroczystym przyjęciu na cześć grupy najlepszych uczniów szkół amerykańskich, podczas ich wycieczki za granicę. Wyjazd do Francji stanowił nagrodę w konkursie na najlepsze wyniki

w nauce i wybitne osiągnięcia w aktywności na rzecz miejscowych społeczności. Zamiast w blasku chwały, laureaci wrócili do domów w trumnach.

— Nie wolno nam nigdy o tym zapomnieć — powtarzał swym ludziom Gray. — I zróbcie wszystko, co w waszej mocy, by już nigdy się to nie powtórzyło.

W NCW prowadzono nieoficjalną statystykę niedoszłych ofiar i majątku uratowanego dzięki wykryciu w porę potencjalnych aktów terroru w Stanach Zjednoczonych i za granicą. Aktualna liczba uratowanych osób wynosiła 93 tysiące Amerykanów i 31 tysięcy obcokrajowców, a wartość uratowanego majątku szacowano na blisko 100 miliardów dolarów. Liczby te znane były jedynie szefostwu amerykańskich służb wywiadowczych i opinia publiczna nie miała o nich pojęcia. Gdyby się rozniosło, jak wiele zamachów udaremniono dosłownie w ostatniej chwili, pewnie nikt nie odważyłby się wyjść z domu.

Gray wjechał windą na to samo najwyższe piętro co wczoraj, ale tym razem wszedł do innego pomieszczenia. Wokół prostokątnego stołu konferencyjnego siedziało pięciu mężczyzn i dwie kobiety. Gray bez słowa usiadł i otworzył leżący przed nim laptop.

— Jakie wyniki po wczorajszej rozmowie? — zapytał.

— Al-Umari odmówił — zameldował jeden z asystentów.

— Specjalnie mnie to nie dziwi.

— A co z jego synem, panie sekretarzu? Mamy go zwinąć?

— Nie, niech zostanie z matką. Dziecko powinno mieć choć jednego rodzica.

— Tak jest, panie sekretarzu. — Asystent kiwnął głową. Wiedział, że właśnie otrzymał polecenie wykonania kary śmierci na nieszczęsnym Al-Umarim.

— Macie tydzień, żeby dzięki wszelkim dostępnym środkom wyciągnąć z Al-Umariego maksimum przydatnej wiedzy wywiadowczej.

— Tak zrobimy — powiedziała jedna z kobiet.

— A Ronald Tyrus, ten nasz rodzimy neofaszysta? — spytał Gray.

— Już go zaczęliśmy przesłuchiwać.

— Co z resztą?

— Kim Fong potwierdził zamiary na transport partii mate-

riału wybuchowego nowej generacji. Podobno nie do wykrycia przez lotniskowe urządzenia. Twierdzi, że towar ma trafić do Los Angeles w przyszłym tygodniu.

— Prześledźcie drogę do nabywcy. Chcę dostać zamieszanych w to naukowców, urządzenia produkcyjne i tych, którzy to finansują. Całą menażerię. A pozostali?

— Żaden nie zgodził się na współpracę. — Asystent zamilkł na chwilę. — Zastosować zwykłą strategię wyjściową?

Wszyscy obecni już wcześniej współpracowali z Grayem i czuli wobec niego respekt zmieszany z lękiem. Wspólnie podejmowali i wcielali w życie decyzje, które często były nielegalne i nieetyczne. Od lat ci świetnie wykształceni i wyszkoleni agenci obojga płci wykonywali jego polecenia, wyłuskując i zabijając ludzi uznanych za wrogów Stanów Zjednoczonych. Robili to skrupulatnie i bez wahania, bo na tym polegała ich praca. A jednak każdy kolejny wyrok śmierci, choć nie był niczym nowym, zawsze wywoływał wśród nich pewne poruszenie.

— Nie — powiedział Gray. — Puśćcie ich, ale miejcie na oku. I niech się rozejdzie po cichu, że mieli kontakt z władzami.

— W rezultacie zginą z ręki własnych ludzi — zauważyła druga z kobiet.

Gray skinął głową.

— I sfilmujcie ich. Taki materiał przyda nam się do wywierania nacisku. Jeśli nawet nie przeciągną innych na naszą stronę, śmierć terrorysty z rąk innego terrorysty zawsze znajdzie drogę do głównych wiadomości telewizyjnych. Okej, przegląd aktualnej sytuacji.

Ostatnie słowa były skierowane do najmłodszego uczestnika odprawy, który jednak pod wieloma względami przewyższał doświadczeniem znacznie starszych kolegów. Tom Hemingway miał równie zadbane wygląd, jak poprzedniego wieczoru w barze PAF. Był wschodzącą gwiazdą NCW i głównym ekspertem od Bliskiego Wschodu. Był też dobrze zorientowany w sprawach Dalekiego Wschodu, jako że pierwsze dwadzieścia lat życia spędził w tamtych rejonach u boku ojca, który był ambasadorem Stanów Zjednoczonych najpierw w Chinach, potem w Jordanii, następnie krótko w Arabii Saudyjskiej i ponownie w Chinach.

Dzięki podróżom ojca Tom Hemingway był jednym z nielicznych pracowników amerykańskiego wywiadu znającym dialekt mandaryński, a także hebrajski, arabski i farsi. Przeczytał Koran w oryginale i w Stanach nie miał sobie równych pod względem znajomości świata muzułmańskiego, nie licząc oczywiście jego nieżyjącego ojca. Te zalety, a także nieprzeciętny umysł i tężyzna fizyczna i wyraźne zacięcie do szpiegowskiego rzemiosła pomogły mu w błyskotliwej karierze w kręgach wywiadowczych i znalezieniu się w ekskluzywnym gronie najbliższych współpracowników Cartera Graya.

Hemingway nacisnął klawisz w swoim laptopie i ekran zawieszony na ścianie ożył, ukazując szczegółowy obraz satelitarny Bliskiego Wschodu.

— Jak tu pokazano — rozpoczął relację — pracownikom CIA i NCW działającym w terenie udało się odnieść sukcesy w Iranie, Libii, Syrii, Bahrajnie, Iraku, Zjednoczonych Emiratach i Jemenie, a także w nowo powstałej Republice Kurdyjskiej. Przeniknęli do kilkudziesięciu znanych organizacji terrorystycznych i współpracujących z nimi komórek. Kontakty te rokują duże nadzieje na przyszłość.

— Zawsze lepiej, jeśli agenci nie są blondynami o niebieskich oczach, którzy nie znają słowa po arabsku — zauważył sucho jeden z obecnych.

— Przez dziesiątki lat nie mieliśmy innych — odciął się Gray. — A i tak nam wciąż brakuje ludzi ze znajomością tamtejszych języków.

— Bo Kabul czy Tikrit nie cieszą się ostatnio popularnością wśród naszego personelu — wtrącił ktoś.

— Jakie mamy aktualnie straty? — zapytał Gray.

— Średnio dwóch ludzi miesięcznie — odparł Hemingway. — To bardzo wysoka średnia, ale oczywiście im większe zyski, tym wyższe koszty.

— Raz jeszcze z całą stanowczością podkreślam — powiedział Gray — jak ważne jest zapewnienie tym ludziom bezpiecznego powrotu.

Siedzący wokół stołu pokiwali głowami, jednak bez specjalnego entuzjazmu. Wszyscy wiedzieli, że bliskowschodni terroryści nie patyczkują się z podejrzanymi o szpiegostwo. Najczęściej dokonywali egzekucji przez ścięcie, filmując

i udostępniając nagranie świata, co miało zniechęcać innych do pójścia w ich ślady. Strategia ta okazywała się wielce skuteczna.

— Dzień w dzień tracimy kilkunastu żołnierzy — ciągnął Hemingway. — A w związku z utworzeniem nowego frontu na granicy syryjskiej liczba ta jeszcze wzrośnie. Jednocześnie ruchy niepodległościowe w Czeczenii, Kaszmirze, Tajlandii i na Mindanao sprzyjają gwałtownemu rozprzestrzenianiu się radykalnej ideologii muzułmańskiej. Afryka to oddzielny poważny problem. Na znacznym terytorium północnej Nigerii obowiązuje szariat. Cudzołóstwo karane jest ukamienowaniem kobiety, drobne kradzieże obcinaniem kończyn. Rekrutacja i szkolenie terrorystów odbywa się głównie przez Internet. Do zamaskowania swej działalności posługują się skradzionymi tożsamościami i innymi tego typu sztuczkami, a finansowanie odbywa się za pomocą systemu nieformalnych przekazów gotówkowych, zwanych *hawala*. Brak jest centralnego kierownictwa operacji, na które można by przeprowadzić zbrojny atak. Wszystko odbywa się na zasadzie tajnych operacji.

— Choć w Iraku funkcjonuje przecież demokratycznie wybrany rząd — wtrącił jeden z uczestników. — Nie oglądając się na samobójcze zamachy bombowe i świszczące wokół kule, ludzie poszli jednak do urn i oddali głosy. Spójrzmy też, jakie zmiany na lepsze zachodzą w Libanie, Kuwejcie, Afganistanie i Maroku. Demokracja powoli rozprzestrzenia się w całym regionie. To prawdziwy cud, z którego my i społeczność muzułmańska możemy być dumni.

Hemingway spojrział na Graya.

— Doprowadzenie do wyborów w Iraku kosztowało nasz kraj pięćset miliardów dolarów i na tym nie koniec. Przy tego rodzaju kosztach w ciągu pięciu lat zbankrutujemy. A gdy Kurdowie ogłosili niepodległość, reakcja Bagdadu nie była zbyt przychylna. Również rewolta sunnitów przeciw dominacji szyitów może być bliżej, niż nam się zdaje. A w tym samym czasie aktywiści partii Baas na wygnaniu i obcy wichrzyciele nasilają wrogie działania. W dodatku coraz głośniej się mówi, że rząd iracki zwróci się wkrótce do rządu Stanów Zjednoczonych o wycofanie wojsk z Iraku. Podobno uzgodnili z Baas bezkrwawy przewrót. Aktywistom Baas pozwoli to podjąć ostateczną rozprawę z ugrupowaniami popierającymi

rządy w stylu talibów. W rezultacie sytuacja w Iraku ulegnie dalszej destabilizacji, a na horyzoncie pojawią się hordy świeżo wyszkolonych terrorystów gotowych nas zaatakować. Oto co sobie zafundujemy za ceną krwi naszych żołnierzy i miliardy dolarów.

— Zdaję sobie z tego sprawę — wtrącił Gray. — Wiedzieliśmy, że kiedyś ten dzień nadejdzie. Niestety nie możemy się już wycofać. Sytuacja jest zbyt niepewna.

Hemingway rozłożył ręce.

— Tak się dzieje, gdy ma się do czynienia z krajem sztucznie stworzonym przez mocarstwo kolonialne, które w jedne granice wpełchnęło na siłę trzy zupełnie odmienne i wrogie sobie społeczności. Demokracja typu Jedna miara dla wszystkich" nie sprawdza się, gdy ma się do czynienia z tak odmiennymi kulturami. Demokracja typu zachodniego opiera się na rozdziale państwa od Kościoła. Dla muzułmanów jest to rzecz trudna do przełknięcia. I dlatego tylko Mali i Senegal uważane są za dwa prawdziwie wolne kraje muzułmańskie.

— Tom, nie my decydujemy o polityce zagranicznej naszego rządu — rzekł Gray cicho. — My tylko możemy porządkować powstający bałagan i minimalizować straty. Indie i Pakistan?

Hemingway zaczerpnął głęboko powietrza.

— Sytuacja ulega systematycznemu pogorszeniu. Według aktualnych ocen w razie wojny atomowej między tymi krajami w pierwszym dniu zginie dwadzieścia pięć milionów ludzi, śmiertelnie rannych będzie dalsze dwadzieścia milionów. Byłaby to katastrofa na olbrzymią skalę, a reszta świata nie mogłaby zareagować. A zbliżenie, zarówno gospodarcze, jak i militarne, między Indiami i Chinami z każdym dniem przybiera na sile. To wywołuje ogromny niepokój.

— Egipt? — rzucił Gray.

— Na granicy wybuchu, podobnie jak Indonezja i Arabia Saudyjska. Od czasu masakry w świątyni Hatszepsut turystyka w Egipcie prawie zamarła. A kłopoty gospodarcze zawsze są okazją do buntu.

Gray odchylił się do tyłu.

— Trudno się dziwić, że ludzie nie chcą być rozstrzelani czy zarżnięci podczas urlopu.

— No i jeszcze Korea Północna — dodał Hemingway.

— Szalencie u steru. — Gray pokiwał głową. — Trzecia co do wielkości armia na świecie, arsenał atomowy z raketami zdolnymi dolecieć do Seattle, główny produkt eksportowy to fałszywa waluta amerykańska. W ciągu dwudziestu czterech godzin chcę mieć na biurku zaktualizowane szczegółowe scenariusze wydarzeń. Jedźmy dalej, narkoterroryzm?

Hemingway nacisnął inny klawisz i na ekranie zmienił się obraz.

— W zaznaczonych krajach Bliskiego Wschodu miejscowi terroryści utrzymują dużo bardziej sformalizowane kontakty z dalekowschodnimi kartelami narkotykowymi, a niekiedy wręcz przejmują ich interesy. Produkcja narkotyków w republikach środkowoazjatyckich stanowi najszybciej rozwijającą się gałąź gospodarki, a ponieważ te dawne republiki radzieckie od lat stanowiły wysypisko toksycznych odpadów nuklearnych, możemy wkrótce znaleźć się w sytuacji, że bliskowschodni terroryści będą w Stanach oferować radioaktywną heroinę czy crack.

— Co stanowi paradoks — wtrącił któryś z mężczyzn — bo przecież muzułmanie nie biorą do ust alkoholu, nie mówiąc już o narkotykach.

Hemingway pokręcił przecząco głową.

— Nieraz zdarzyło mi się lecieć w towarzystwie Saudyjczyków. Ledwie koła samolotu oderwą się od ziemi, znika *hidżab* i leje się woda.

— Tom, dzięki za raport. Czy ostatni wykaz celów jest w miarę dokładny?

— Tak, panie sekretarzu. Oparty jest na bardzo wiarygodnych danych.

— Z doświadczenia wiem, że to termin często mylony z niewiarygodnymi danymi — mruknął Gray. — Jak zwykle należy naszym ludziom ze szczebla operacyjnego zapewnić maksymalną swobodę działania, tak by mogli reagować na różne taktyczne posunięcia przeciwnika. Powinni zawsze stosować manewr wyprzedzający. A jeśli po tamtej stronie /ostaną jakieś niedokończone sprawy, my się tym zajmiemy.

Wszyscy obecni zrozumieli słowa Graya jednoznacznie: my się ich pozbedziemy, więc możecie się nie martwić o konsekwencje prawne czy polityczne.

Potem Gray zażądał raportu o sytuacji na krajowym froncie terrorystycznym, gdzie działały grupy tak zwanej milicji i sekty religijne.

Następny z kolei był przegląd najważniejszych tematów z prasy.

Jeszcze przez dwie godziny omawiali i rozbiegali na czynniki pierwsze dalsze potencjalne zagrożenia. Mieli przy tym świadomość, że wystarczy, iż kolejny budynek wyleci w powietrze, przywódca jakiegoś kraju zostanie obalony czy jeszcze jeden samolot pasażerski rozerwie się na strzępy, a ich całą mozolną analizę sytuacji światowej będzie można wyrzucić do kosza.

Gray właśnie szykował się do zakończenia odprawy, gdy jedna z uczestniczek, chwilę wcześniej wywołana, wróciła na salę z teczką dokumentów pod pachą.

Gray poświęcił pełne dwie minuty na przestudiowanie czterech kartek papieru. Gdy uniósł wreszcie głowę, widać było, że ich lektura nie wprawiła go w dobry humor.

— To sprawa z wczorajszej nocy. Od ósmej czterdzieści pięć trwa śledztwo prowadzone przez policję i FBI, a ja się dopiero teraz o tym dowiaduję?

— Chyba nie od razu doceniono wagę tej sprawy.

— Patrick Johnson...? — zawiesił głos.

— Pracował jako analityk w...

— To wiem! — prychnął Gray niecierpliwie. — To wynika z raportu, który mi właśnie wręczyłaś. Pytam, czy jego śmierć, wszystko jedno z jakiego powodu, ma coś wspólnego z jego pracą?

— FBI prowadzi w tej sprawie dochodzenie.

— To mnie nie satysfakcjonuje — burknął Gray. — Mamy tam na miejscu kogoś od nas? Bo raport jakoś dziwnie milczy na ten temat.

— Mamy.

— W ciągu godziny chcę mieć na biurku cały życiorys Patricka Johnsona. Zabieraj się do roboty.

Kobieta wybiegła z sali. Gray wyszedł za nią i kawałek dalej wszedł do kolejnej sali konferencyjnej, gdzie czekali już na niego delegaci CIA, NSA i Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Następną godzinę Gray spędził na słuchaniu ich sprawozdań i zadawaniu pytań, które dla jednych były tylko niewygodne, ale w innych budziły strach.

Następnie przeszedł do swojego gabinetu — niewielkiego pokoju wciśniętego między dwa znacznie większe pomieszczenia, w których mieściły się centra zarządzania kryzysowego i w których niemal bez przerwy panował ożywiony ruch. W jego gabinecie brak było jakichkolwiek akcentów osobistych, nawet tak typowych, jak fotografie uwieczniające momenty chwały użytkownika gabinetu. Grayowi szkoda było czasu na rozpamiętywanie minionych chwil triumfu. Usiadł za biurkiem i przez chwilę wpatrywał się w pustą ścianę, gdzie powinno znajdować się okno. Osobiście skreślił okna z projektu architektonicznego gmachu NCW. Jego zdaniem stanowiły słaby punkt ułatwiający szpiegowanie i rozpraszały uwagę pracowników. Decyzja nie należała do łatwych, bo był miłośnikiem spacerów na świeżym powietrzu, a skazywał się w ten sposób na pracę w miejscu pozbawionym okien i światła słonecznego. Cóż za ironia losu, myślał niekiedy z ponurym rozbawieniem, że najpotężniejsza agencja wywiadowcza świata nie może nawet wyjrzeć przez okno.

Odezwał się brzęczyk w komputerze, nacisnął klawisz i zabrał się do studiowania akt Patricka Johnsona.

ROZDZIAŁ 19

Dział ksiąg rzadkich w budynku Jeffersona Biblioteki Kongresu zawiera ponad 800 tysięcy cennych woluminów. Dla wielu bibliofilów perłą tej kolekcji skarbów literatury światowej jest zbiór starodawnych ksiąg i druków podarowany bibliotece przez Lessinga J. Rosenwalda. Znalazło się wśród nich wiele pozycji klasyfikowanych jako inkunabuły, czyli dzieła powstałe przed 1501 rokiem, bez wykorzystania wynalazku Gutenberga. Kolekcja Rosenwalda wraz z wieloma innymi przechowywana jest w magazynach przylegających do czytelni ksiąg rzadkich, w której odwiedzającym bibliotekę wolno czytać, a czasem nawet dotykać bezcennych skarbów będących bardziej dziełami sztuki niż zwykłymi księgami.

Choć czytelnia jest ogólnodostępna, obowiązują w niej bardzo ściśle przestrzegane rygory bezpieczeństwa. Całość jest non stop monitorowana przez kamery wyposażone w rejestratory czasu. Personel czujnie obserwuje czytelników i to, w jaki sposób obchodzą się z księgami, których nie wolno pod żadnym pozorem wносить z czytelni, chyba że zostają oficjalnie wypożyczone innej instytucji lub wyrazi na to zgodę sam główny bibliotekarz Kongresu.

Wielu najcenniejszych pozycji nie wolno nawet pobrać z magazynu do czytelni, chyba że uzasadniają to jakieś specjalne okoliczności. W tych wyjątkowych sytuacjach pracownik biblioteki osobiście przewraca stronicę, gość zaś ogląda je z bezpiecznej odległości kilkunastu centymetrów.

Do czytelnicy nie wolno wnosić teczek i toreb, w których można by ukryć cenne tomy. Zabronione są też wszelkie długopisy i pióra, którymi można by je poplamić. W tej świątyni ksiąg dozwolone są jedynie ołówki i luźne kartki papieru, co nie przeszkadza, że gdy ktoś zbliża ołówek na mniej niż trzydzieści centymetrów do bezcennego skarbu, u dyżurnych bibliotekarzy wywołuje to nerwowe wstrzymywanie oddechu.

Oliver Stone wszedł na pierwsze piętro i wkroczył do pomieszczeń czytelnicy przez ogromne, obite skórą i wykończone mosiądzem drzwi z niewielkimi okrągłymi okienkami. Ciężkie wewnętrzne drzwi z brązu, których trzy tłoczone skrzydła miały zdaniem niektórych symbolizować etapy historii druku, były otwarte na oścież. W godzinach zamknięcia czytelnicy drzwi te ryglowano i wtedy wraz z drzwiami wejściowymi tworzyły zaporę nie do przebycia dla potencjalnego złodzieja, nawet gdyby udało mu się wcześniej pokonać liczne zabezpieczenia elektroniczne i uzbrojoną straż na dole. Pomieszczenie czytelnicy należy do najpiękniejszych w całej Bibliotece Kongresu. Wzorowano je na filadelfijskiej Sali Niepodległości o charakterystycznej dla czasów króla Jerzego prostocie mającej tworzyć atmosferę spokoju, która sprzyja studiowaniu i kontemplacji. Cel ten widać został osiągnięty, bo tuż po wejściu do środka Stone poczuł spływający na niego cudowny spokój.

Caleb Shaw siedział przy biurku na końcu sali. Specjalizował się w kilku okresach antykwarycznych i w czytelnicy był ekspertem służącym radą i pomocą zarówno zwykłym czytelnikom, jak i naukowcom prowadzącym prace badawcze. Dojrawszy z daleka przyjaciela, wstał od biurka i ruszył przez salę, dopinając guziki wełnianego blezera. W czytelnicy było bardzo chłodno.

— Oliver, miałeś rację. Nawet nie wiem, czybym cię poznał — powiedział, przypatrując się zmienionemu wyglądowi przyjaciela.

— I dobrze się z tym czuję, wierz mi. — Zerknął na jedną z kamer. — Dobrze was tu pilnują.

— Muszą. Nasze zbiory są bezcenne, jedyne takie na świecie. Nie uwierzyłybyś, jakie środki ostrożności tu się stosuje, żeby nie dopuścić, by coś zginęło. Jeśli zawieruszy się jakaś książka,

to póki się nie odnajdzie, nikomu nie wolno wyjść. Pracownik odpowiedzialny za zakup nowych pozycji nie może wejść do bazy danych i samemu dokonać wpisu do katalogu. Z kolei osobie upoważnionej do robienia wpisów nie wolno robić zakupów.

— Dlatego że kupujący mógłby nabyć nową pozycję i spowodować, że „zniknęłaby” z bazy danych, a potem ją sprzedać i nikt by się nawet nie zorientował, czy tak?

— Właśnie. Słuchaj, ale miałem dziś dzień. Zjawił się starszy pan, ale nie jakiś znany nam naukowiec, tylko po prostu ktoś z ulicy. Wszedł i poprosił o Williama Blake'a. Williama Blake'a, wyobrażasz sobie! „Obojętne co”, oświadczył. Od razu zapaliła mi się w głowie czerwona lampka. Równie dobrze mógłbyś zażądać naszej mormońskiej biblii, bo wtedy też rozdzwoniłyby się wszystkie alarmy. Nikomu nie wolno dotknąć Blake'a bez zgody naszych najwyższych szefów i mogę cię zapewnić, że dają ją niezwykle rzadko.

— Blake jest taki cenny?

— Cenny to niewłaściwe słowo. Prędzej już święty.

— I co zrobiliście?

— Zaczęliśmy z nim rozmawiać i wtedy się okazało, że prawdopodobnie jest potomkiem któregoś z krewnych Blake'a. Przynieśliśmy więc kilka prac z „iluminacją”, wiesz, z jego rycinami. Oczywiście nie pozwoliliśmy mu ich dotknąć, bo niewiele osób wie, jak się obchodzić ze starodrukami. Ale wszystko dobrze się skończyło. Widać było, że ten pan był tym wszystkim bardzo poruszony. W pewnym momencie nawet myślałem, że się rozpłacze. Ale wiele naszych ksiąg to prawdziwe cuda. Chyba dlatego tak lubię tu pracować.

Całą opowieść Caleb wyrzucił z siebie podnieconym głosem człowieka zakochanego w swej pracy i pragnącego zarazić słuchacza entuzjazmem.

Zjechali windą pracowniczą do podziemi i weszli w system tuneli łączących budynki Jeffersona, Adamsa i Madisona, które składają się na kompleks Biblioteki Kongresu. Dotarli do kafeterii w podziemiu budynku Madisona, gdzie kupili kanapki, i wyszli z jęzikiem na zewnątrz. Na tarasie przed budynkiem Madisona od strony Independence Avenue stało kilka drewnianych stołów piknikowych. Po drugiej stronie ulicy widniała

potężna bryła budynku Jeffersona, a tuż za nią strzelała w górę kopia Kapitolu.

— Niezły widok, co? — rzekł Stone.

— Boję się, że większość go nawet nie dostrzega.

Stone skończył jeść i nachylił się do przyjaciela.

— Masz coś o Patricku Johnsonie?

— Sprawdziłem rządową bazę danych, ale nic nie znalazłem. Nie mam dostępu do zastrzeżonych zasobów bazy, więc nie mogę jej dokładnie przeszukać. Na podstawie tego czerwonego znaczka stwierdziłeś, że mógł pracować w Secret Service. A jeśli tak, to jest poza moim zasięgiem. Obawiam się, że stróże prawa i bibliotekarze nie posługują się tą samą bazą danych.

— Jest coś nowego. Pamiętasz Aleksa Forda, tego agenta z Secret Service, z którym jestem zaprzyjaźniony? Wczoraj wieczorem był u mnie w namiocie.

— Wczoraj wieczorem? Myślisz, że to może mieć jakiś związek?

— Nie sądzę, bo był tam jeszcze przed morderstwem. Ale to mnie zaniepokoiło.

Odezwął się brzęczyk, Caleb wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i odebrał. Przez chwilę słuchał, a na jego twarzy pojawiło się podniecenie.

— To był Milton — rzucił, rozłączywszy się. — Udało mu się włamać do bazy danych Secret Service.

Stone wytrzeszczył oczy.

— Już mu się udało? Tak szybko?

— Komputery nie mają dla Milтона tajemnic. Gdyby się wdał w nielegalne działania w Internecie, mógłby zbić fortunę. Trzy lata temu włamał się do serwera Pentagonu, bo chciał się upewnić, czy wojskowi nie planują ataku jądrowego na któreś z naszych miast, żeby to potem zrzucić na terrorystów i wykorzystać jako pretekst do wojny z islamem.

— To rzeczywiście zakrawa na pomysł naszego Milтона. I czego się dowiedział?

— Johnson pracował w zarządzaniu danymi w NCW.

— W NCW? U Cartera Graya?

— Właśnie.

Stone podniósł się od stołu.

— Chciałbym, żebyś zadzwonił do Reubena i Milona i uprzedził ich, że mają być gotowi do wyjścia wieczorem. I będzie nam potrzebny twój samochód. Podjedź po mnie tam, gdzie zwykle. Z Reubenem spotkamy się u Milona. Stamtąd będziemy mieli najbliżej.

— Najbliżej dokąd?

— Do Bethesda. Tam mieszkał Patrick Johnson.

— Oliver, tam będzie pełno policji. Przecież prowadzą śledztwo w sprawie morderstwa.

— Nie — poprawił go Stone. — Na razie jest to śledztwo w sprawie nagłej śmierci i policja pewnie skłania się ku wersji samobójstwa. A jeśli rzeczywiście tam będzie, to może uda nam się podsłuchać coś ciekawego. Aha, i weź z sobą Goffa.

Caleb patrzył z niedowierzaniem za oddalającym się przyjacielem. Goff był jego psem, zdążył już jednak przywyknąć do niezwykłych prośb Olivera. Wstał, wyrzucił talerzyki do kubła ze śmieciami i ruszył w drogę powrotną do świata rzadkich ksiąg.

ROZDZIAŁ 20

Prosto z Wyspy Roosevelta Tyler Reinke i Warren Peters pojechali do siedziby NCW. Zostawili „samobójczy” list Johnsona w laboratorium z dyspozycją porównania z próbkami pisma Patricka Johnsona i sprawdzenia pod kątem odcisków palców. Uczulili laboranta, że sprawa odcisków jest bardzo ważna, bo mogą one pomóc wykluczyć samobójstwo. Tak mu powiedzieli, choć oczywiście nie o to im chodziło. Jeśli któryś z przypadkowych świadków wczorajszego zabójstwa dotykał listu i zostawił na nim odcisk, a odcisk ten udałoby się znaleźć w jakiejś bazie danych, bardzo by to im ułatwiło odnalezienie go.

Potem pojechali do Georgetown, zostawili samochód i poszli piechotą w stronę rzeki.

— Nie poszli z tym na policję — powiedział Peters. — Gdyby poszli, to już byśmy o tym wiedzieli.

— Dzięki temu zyskamy trochę czasu — dodał Reinke.

— Ciekawe, ile widzieli?

— Na wszelki wypadek przyjmijmy najgorszy scenariusz i założmy, że widzieli tyle, że mogliby nas zidentyfikować w trakcie policyjnego okazania.

Peters chwilę się zastanawiał.

— Dobrze. I założmy też, że nie zgłosili tego na policję dlatego, że ich obecność na wyspie była związana z czymś nielegalnym. Albo że z innych powodów boją się to zrobić.

— Byłeś na dziobie pontonu. Udało ci się im przyjrzeć?

— Przez tę cholerną mgłę niewiele widziałem. Gdybym ich dobrze widział, nie byłoby problemu.

— A tej ich łodzi?

— Stara, drewniana, na tyle długa, żeby pomieścić co najmniej czterech.

— I tylu ich było?

— Widziałem dwóch, może trzech. Nie jestem pewien. Któregoś mogłem trafić, bo chyba usłyszałem jakiś krzyk. Jeden z nich był dość stary. Pamiętam długą, siwą brodę. I łachmany zamiast ubrania.

— Jakiś bezdomny?

— Możliwe. Tak, to rzeczywiście możliwe.

— A teraz mamy jeszcze na głowie policję, FBI i Secret Service.

— Wiedzieliśmy, że tak będzie — rzekł Peters. — Nagła śmierć zawsze powoduje wszczęcie dochodzenia.

— Ale nie wiedzieliśmy, że będą naoczni świadkowie. A co myślisz o tym całym Fordzie?

— Nie jest smarkaczem, więc pewnie umie sobie radzić. Później zajmijmy się nim i tą jego partnerką. Bardziej mnie niepokoją ci z Biura.

Dotarli do brzegu rzeki.

— Wiemy, że płynęli w tę stronę — powiedział Reinke. — Byłem tu dziś rano, ale nic nie znalazłem. Ta łódź musi tu gdzieś być. Pójdę w lewo, ty idź w prawo. Daj znać, jeśli coś zobaczysz.

Rozeszli się w przeciwnych kierunkach.

Narzeczona Patricka Johnsona przestała szlochać na tyle, że mogła odpowiedzieć na kilka podstawowych pytań zadanych jej przez Aleksa i Simpson, którzy siedzieli naprzeciwko zrozpaczonej kobiety w jej mieszkaniu* FBI już ją przesłuchiwało, ale Alex wątpił, by agent Lloyd był delikatny. Sam postawił na łagodność.

Annę Jeffries mieszkała w dwupokojowym mieszkaniu w Springfield, gdzie za czynsz w wysokości tysiąca osmiuset dolarów miesięcznie można było znaleźć niewielkie mieszkanie z jedną sypialnią i jedną łazienką. Była średniego wzrostu, dość

pulchna, z nieco puciołowatą twarzą o drobnych rysach. Miała długie ciemne włosy i zęby lśniące nienaturalną bielą.

— Zamierzaliśmy się pobrać pierwszego maja przyszłego roku — oświadczyła. Ubrana była w wygnieciony dres, włosy miała w nieładzie, twarz bez makijażu, koło nóg leżał stos zużytych chusteczek higienicznych.

— I nie słyszała pani, żeby miał jakieś problemy? — spytał Alex.

— Żadnych — odparła. — Byliśmy z sobą bardzo szczęśliwi. W pracy też mi świetnie idzie. — Powiedziała to tak, że wszystkie trzy stwierdzenia zabrzmiały jak pytania.

— A czym się pani zajmuje?

— Jestem dyrektorką rozwoju w grupie opieki medycznej non-profit na Starym Mieście w Alexandrii. Jestem tam od dwóch lat i to świetna praca. Pat też kochał swoją pracę.

— To znaczy, że o niej rozmawialiście? — spytał Alex.

Jeffries odjęła od twarzy kolejną chusteczkę.

— Właściwie to nie. To znaczy wiedziałam, że pracuje w Secret Service czy czymś takim. I wiedziałam, że nie jest agentem jak wy. Ale nigdy mi nie mówił ani co robi, ani gdzie to robi. Zawsze zbywał to tym starym żartem, wiecie: „Jakbym ci powiedział, tobym cię od razu musiał zabić”. Boże, cóż to za idiotyczna gadka.

Chusteczka znów powędrowała do jej twarzy, a oczy wypełniły się łzami.

— Tak, to niemądre powiedzenie — potwierdził Alex. — Zapewne wie pani, że narzeczonego znaleziono na Wyspie Roosevelta.

Jeffries głęboko westchnęła.

— Byliśmy tam na pierwszej randce. Zrobiliśmy sobie piknik. Do dziś dokładnie pamiętam, co jedliśmy i jakie wino piliśmy.

— Więc może popełnił samobójstwo w miejscu waszej pierwszej randki? — odezwała się Simpson. — Mogłoby to mieć jakieś symboliczne znaczenie — dodała, wymieniając z Aleksem spojrzenia.

— Nie mieliśmy żadnych problemów! — wykrzyknęła, domyślając się intencji zawartej w pytaniu.

— Może z pani punktu widzenia nie mieliście — rzekła Simpson twardo. — Czasem jest tak, że myślimy, że kogoś

dobrze znamy, a wcale tak nie jest. Ale faktem jest, że na tej butelce po whisky i na rękojeści rewolweru znaleziono jego odciski palców.

Jeffries wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

— Słuchajcie, to nieprawda, że Pat miał jakieś podwójne życie i że coś przede mną ukrywał.

— Każdy coś ukrywa. A odebranie sobie życia w miejscu pierwszej randki, no cóż... To nie wygląda na przypadek.

— Ale nie u Pata. — Jeffries odwróciła się gwałtownie i wbiła wzrok w Simpsona. — Nie ukrywał nic takiego, przez co musiałby odbierać sobie życie.

— Gdyby pani o tym wiedziała, to już by nie było czego ukrywać, prawda? — zauważyła Simpson.

— W liście pożegnalnym napisał, że przeprasza — wtrącił Alex, rzucając Simpsona karcące spojrzenie. — Wie pani może za co?

Jeffries opadła z powrotem na fotel.

— FBI nic mi o tym nie mówiło.

— Nie mieli takiego obowiązku, ale pomyślałam, że może wolałaby pani wiedzieć. Podejrzewa pani, co mógł mieć na myśli?

— Nie.

— Był czymś przygnębiony? Zauważyła pani jakąś zmianę w jego nastroju?

— Niczego takiego nie zauważyłam.

— Broń, z której się zastrzelił, to rewolwer Smith & Wesson, kalibru dwadzieścia dwa. Był na niego zarejestrowany. Widziała go pani u niego?

— Nie, ale wiedziałam, że kupił broń. W okolicy, gdzie mieszkał, doszło do kilku włamań i kupił ją do obrony. Osobiście nienawidzę broni palnej i chciałam po ślubie namówić go, żeby się jej pozbył.

— Kiedy ostatni raz pani z nim rozmawiała?

— Wczoraj po południu. Obiecał, że jeżeli tylko mu się uda, to jeszcze zadzwoni. Ale już nie zadzwonił.

Twarz jej się skurczyła i wyglądało, że za chwilę znów wybuchnie płaczem, więc Alex pospiesznie wtrącił:

— Nie wie pani, nad czym ostatnio pracował? Może coś wspomniał, choćby tylko mimochodem?

— Już mówiłam. Nie opowiadał mi o swojej pracy.
— Jakież kłopoty finansowe albo z byłą dziewczyną? Tego typu rzeczy.

Pokręciła przecząco głową.

— A co pani robiła wczoraj między jedenastą wieczorem a drugą w nocy? — spytała Simpson.

Jeffries spojrzała na nią z pretensją.

— Czy pani coś sugeruje?

— Myślę, że pytanie jest zupełnie proste.

— Powiedzieliście, że Pat się zastrzelił, więc jakie to ma znaczenie, gdzie ja wtedy byłam?

Alex postanowił przejąć inicjatywę. Mocno go irytowała technika przesłuchiwania stosowana przez Simpsona.

— Formalnie rzecz biorąc, mamy na razie do czynienia z gwałtowną śmiercią, a to może oznaczać wszystko: od samobójstwa po morderstwo. Próbujemy ustalić szczegóły dotyczące osób mających związek z ofiarą. To samo pytanie zadamy jeszcze bardzo wielu osobom, więc proszę nie doszukiwać się żadnych podtekstów.

Zawzięty wyraz twarzy Annę Jeffries nieco złagodniał.

— Wyjechałam z pracy około wpół do siódmej. Jak zwykle o tej porze były straszne korki. Przejechałam paru kilometrów zajęło mi godzinę i dziesięć minut. Zadzwoiłam w parę miejsc, coś zjadłam i wróciłam na Stare Miasto, żeby wpaść do krawcowej, która mi szyje suknię ślubną. — Przerwała i z jej gardła wyrwał się szloch. Alex podał jej świeżą chusteczkę i przysunął bliżej szklankę z wodą, którą sobie wcześniej przygotowała. Pociągnęła łyk i podjęła opowieść. — Wyszłam od niej około wpół do dziesiątej. Akurat wtedy zadzwoniła do mnie przyjaciółka, która mieszka na Starym Mieście, więc umówiliśmy się na drinka w pubie na Union Street. Spędziłyśmy tam blisko godzinę, gadając o wszystkim i o niczym. Potem wróciłam do domu i około północy byłam już w łóżku.

— Jak się nazywa ta przyjaciółka? — spytała Simpson i zapisała nazwisko.

Oboje wstali już z miejsc, szykując się do wyjścia, ale Jeffries powstrzymała ich ruchem ręki.

— A jego... jego ciało? Nikt mi nie powiedział, gdzie ono jest.

— Myślę, że przewieźli je do miejskiej kostnicy — odparł Alex cicho.

— Czy mogę... go zobaczyć?

— Nie musi pani tego robić. Dokonano już identyfikacji zwłok — oświadczyła Simpson.

— Nie o to mi chodzi. Chciałabym... po prostu chciałabym go zobaczyć. — Zamilkła i po chwili dodała: — Czy jest strasznie zmasakrowany?

— Nie — odrzekł Alex. — Zobaczę, co da się zrobić. A przy okazji, jego najbliższa rodzina gdzieś tu mieszka?

— Nie, mieszkają w Kalifornii. Już z nimi rozmawiałam. Rodzice i brat Pata mają tu przylecieć. — Spojrzała na niego przez łzy. — Byliśmy z sobą naprawdę bardzo szczęśliwi.

— Nie wątpię — zapewnił ją Alex, ruszając za Simpson do drzwi.

Po wyjściu na ulicę zatrzymał się i stanął do niej twarzą.

— To ma być, do cholery, skuteczna technika przesłuchiwania?

— Grałam złego gliniarza, ty dobrego. — Wzruszyła ramionami. — I zupełnie nieźle nam to wyszło. Przypuszczalnie mówi prawdę. I naprawdę nic nie wie.

Alex już się szykował do riposty, ale w tym momencie zadzwonił jego telefon.

Przez chwilę słuchał, potem spojrzał na Simpson.

— Jedziemy — mruknął, ruszając przodem.

— Gdzie jedziemy? — spytała, niemal za nim biegnąc.

— Zadzwonił Lloyd z FBI. Mówi, że chyba wiedzą, za co Patrick Johnson przeproszał.

ROZDZIAŁ. 21

Gdy stanęli przed domem Patricka Johnsona w Bethesda, zaskoczyły ich dwie rzeczy. Po pierwsze, nigdzie nie dostrzegli śladu policji. Na ulicy nie stał ani jeden radiowóz, dom nie był oznakowany żółtą taśmą policyjną. Zaparkowane na podjeździe dwa chevrolety suburban stanowiły jedyny widoczny sygnał, że ktoś jest w domu.

Po drugie, sam dom.

Alex stanął na chodniku, oparł dłonie na biodrach i zaczął mu się przyglądać. Był to dość typowy dom jednorodzinny, niezbyt wielki, ale wolno stojący na dość obszernej działce w eleganckiej okolicy. Do kipiącego życiem centrum Bethesda można było dojść spacerkiem.

— Biorąc pod uwagę oficjalne zarobki Johnsona — powiedział w zamyśleniu — spodziewałem się zobaczyć dwupokojowe mieszkanko podobne do klitki jego narzeczonej. A on, kurczę, miał nawet własne podwórko. I to z trawnikiem!

— Kiedy mnie przenieśli do WFO — Simpson pokręciła głową — i kiedy nie miałam zielonego pojęcia o cenach nieruchomości w rejonie Waszyngtonu, pojeździłam trochę po okolicy i dla ciekawości popytałam o ceny. Ta chałupa jest warta milion dolców, i to lekko licząc.

Wewnątrz czekał na nich agent Lloyd.

— Skąd on miał forszę na coś takiego? — rzucił Alex.

— I to nie tylko na dom — Lloyd pokiwał głową. — W garażu stoi nowiutkie infiniti QX56. Taka zabawka kosztuje

ponad pięćdziesiąt kawałków. I znaleźliśmy też jego drugi samochód. Zostawił go na brzegu rzeki po stronie Wirginii i stamtąd poszedł ostatni raz popływać. Lexus sedan za następne czterdzieści kawałków.

— Sprzedawał tajemnice? — zastanowiła się Simpson.

— Nie. Myślimy, że miał pewniejsze źródło nielegalnych dochodów.

— Narkotyki? — domyślił się Alex.

— Chodźcie na górę i sami oceńcie.

Ruszyli schodami na piętro.

— Widzę, że Biuro zmieniło podejście do znakowania terenu śledztwa. — Alex uśmiechnął się.

— Dostaliśmy w tej sprawie specjalne wytyczne.

— Niech zgadnę. W sprawę zamieszane jest NCW i najważniejsza z wszystkiego jest dyskrecja.

Lloyd nie potwierdził, ale też się uśmiechnął.

W głębi garderoby przy sypialni znajdowały się składane schodki prowadzące do klapy zamykającej wejście na strych. Na podłodze garderoby leżała sterta paczuszek opakowanych w przezroczystą folię.

— Koka? — spytała Simpson.

Lloyd potrząsnął głową.

— Nie, heroina. Dziesięciokrotnie lepsze przebicie niż na koce.

— I jego narzeczona nic o tym nie wiedziała? To jak ona to sobie wyobrażała? Skąd ta cała forsa?

— Jeszcze jej o to nie spytałem, bo przesłuchiwałem ją przed znalezieniem tego towaru. Ale zapytam — powiedział Lloyd.

— Jak wam się udało tak szybko odnaleźć te prochy? — zapytał Alex.

— Kiedy zobaczyliśmy ten dom, zajrzeliśmy do rejestru nieruchomości i sprawdziliśmy hipotekę. Kupił go w zeszłym roku za milion czterysta tysięcy, z czego połowę wyłożył w gotówce ze źródła, którego nie udało nam się ustalić. Brał samochody na raty, po czym błyskawicznie je spłacał, znów korzystając z nieujawnionego konta bankowego. W tym momencie wiedziałem, że to musi być spadek, narkotyki albo sprzedaż tajemnic. Najłatwiej było zacząć od narkotyków, więc

pożyczyłem z DEA psa, przywiozłem go tutaj i gdy tylko zbliżył się do garderoby, myślałem, że się na śmierć zaszczeka. Ale nie znaleźliśmy nic, póki nie pomyśleliśmy o tej klapie na strych. Wtedy podsadziliśmy psa na górę i bingo! Miał je poutykane za belkami, pod izolacją termiczną dachu.

— Cóż, można powiedzieć, że z dwojga złego lepiej, że handlował prochami niż swoim krajem — zauważyła cierpko Simpson.

— Nawet nie jestem pewien, czy w ogóle miał dostęp to tajemnic zasługujących na handel — odparł Lloyd. — Teraz nie musimy już nawet tego sprawdzać, ale i tak będzie z tego smród jak cholera. Już widzę ten tytuł na pierwszej stronie „Postu”: „Carter Gray, car wywiadu czy car narkotyków?”.

Alex odniósł wrażenie, że jego kolega z FBI z radością wygrzebuje brudy, jakimi będzie można obrzucić jedyną agencję federalną, która pod względem budżetu i znaczenia mogła rywalizować z jego własną.

— No i teraz pytanie brzmi: czy Johnson zabił się sam, bo był dealerem narkotykowym planującym małżeństwo z uczciwą kobietą i to go nagle przerosło, czy załatwili go kumple od narkotyków i tylko upozorowali samobójstwo?

— Osobiście postawiłbym na to pierwsze — rzekł Lloyd. — Zastrzelił się tam, gdzie kiedyś odbył pierwszą randkę z narzeczoną. Kompani od narkotyków po prostu wywaliliby mu dziurę w głowie w samochodzie albo w łóżku podczas snu. Cała ta mistyfikacja z pozorowaniem morderstwa na samobójstwo jest dla takich ludzi zbyt wyrafinowana.

Alex przez chwilę się nad tym zastanawiał.

— A znaleźliście coś jeszcze, co by się łączyło z narkotykami? Wykaz transakcji, listę odbiorców, jakieś pliki w komputerze, coś w tym rodzaju?

— Wciąż jeszcze szukamy. Ale wątpię, żeby był aż tak nieostrożny, by trzymać coś takiego. Jeśli coś znajdziemy, damy ci znać, żebyś mógł sobie zamknąć sprawę.

Idąc do samochodu, Simpson spojrzała na Aleksa.

— Iw ten sposób kończy się sprawa, z którą miałeś mieć mnóstwo zavraccania głowy. Gratuluję.

— Dzięki — rzucił Alex krótko.

— Tylko że handlarz narkotyków w NCW i tak narobi dużo smrodu.

— Tak to czasem bywa.

— Wracamy do WFO?

Kiwnął potakująco głową.

— Wyślę wstępny e-mail do szefów, a potem dodam szczegóły, kiedy nasz przyjaciel Lloyd wypełni pozostałe wolne pola. A my wracamy do tropienia oszustów i stania pod drzwiami, przez które zawsze ktoś może do nas strzelić.

— Brzmi fascynująco.

— Mam nadzieję, że mówisz poważnie, bo cię to czeka przez wiele lat.

— Nie narzekam. Sama wstąpiłam do służby. Nikt mnie tu na siłę nie pchał.

Alex pomyślał, że jej głos nie brzmi jednak zbyt pewnie.

— Jackie, zazwyczaj nie wtrącam się w cudze sprawy, ale posłuchaj szczerą radę kogoś z Secret Service, kto doświadczył wszystkiego na własnej skórze.

— Słucham.

— Nie wymiguj się od głównianych zadań bez względu na to, kto za tobą stoi na górze. Bo po pierwsze, będziesz dzięki temu lepszą agentką. A po drugie, kiedy będziesz rozstawać się ze służbą, zostanie ci choć jeden przyjaciel.

— Doprawdy? Któż taki? — burknęła poirytowanym tonem.

— Ja.

ROZDZIAŁ 22

Na lądowisku na terenie NCW Gray wsiadł do śmigłowca Sikorsky VH-60N. Identycznym modelem zwanym Marine Jeden latał prezydent, choć w najbliższych latach miano go zastąpić nowym modelem budowanym specjalnie przez koncern Lockheed Martin. Śmigłowcem tym Gray najczęściej latał do Białego Domu na spotkania z Brennanem, co skłoniło grupę anonimowych żartownisiów do ochrzczenia go mianem Marine Jeden-i-pół. W sposobie korzystania ze śmigłowców przez Brennana i Graya istniała jednak zasadnicza różnica. Lot prezydenta z Bazy Sił Powietrznych Andrews, Camp David czy skądkolwiek odbywał się zawsze w konwoju trzech identycznych śmigłowców. Dwa pozostałe były atrapami służącymi do zmylenia ewentualnego zamachowca, który w ten sposób miał jedną szansę na trzy, by rakieta ziemia—powietrze trafić we właściwy cel. Gray zawsze latał w pojedynkę. W końcu członków gabinetu było wielu, prezydent tylko jeden.

Tradycyjnie jedynym helikopterem, któremu wolno było lądować na terenie Białego Domu, był Marine Jeden i dopiero Brennan dał osobistą zgodę na korzystanie z tego środka transportu przez Graya, co zresztą wywołało gorące protesty Secret Service. Zaoszczędziło to Grayowi długich i uciążliwych codziennych podróży z okręgu Loudoun, a czas cara wywiadu był bardzo cenny. Mimo to wciąż dawało się słyszeć gniewne pomruki agentów Secret Service. Uważali, że nic nie ma prawa

lecieć w kierunku posesji przy Pennsylvania Avenue 1600, jeśli na pokładzie nie ma prezydenta.

Przy szybkości przelotowej stu pięćdziesięciu węzłów podróż przeszła szybko i bez przygód, choć Gray był tak zatopiony w myślach, że nie zwracał na nic uwagi. Ruszył przez trawnik otaczający Biały Dom ze świadomością, że antysnajperzy porozmieszczani na okolicznych dachach korzystają z okazji, by dla wprawy celować teraz prosto w jego wysokie czoło. Wszedł do zachodniego skrzydła i na powitanie kiwnął głową kilku znajomym. Do roku 1902 mieściły się tu szklarnie i dopiero Teddy Roosevelt uznał, że do właściwego pełnienia obowiązków wodza narodu trzeba mu trochę prywatności z dala od licznej czeready dzieci i ich czworonożnych ulubieńców. Jego następcą, korpulentny William Taft, jeszcze bardziej rozbudował zachodnie skrzydło, a mieszczący się w nim Gabinet Ovalny stał się głównym miejscem urzędowania wszystkich kolejnych prezydentów.

Wizyta Graya została wcześniej zgłoszona i zaakceptowana, ponieważ nikt — łącznie z pierwszą damą — nie miał prawa wejść do Gabinetu Ovalnego bez zapowiedzi. Prezydent zawsze przyjmował Graya w Gabinetu Ovalnym, a nie w przylegającej doń sali Roosevelta, gdzie zazwyczaj spotykał się ze swymi gośćmi i pracownikami.

Brennan uniósł głowę znad ważącego ponad pół tony biurka, które wykonano z drewna odzyskanego z brytyjskiego statku *Resolute**, który amerykańscy wielorybnicy znaleźli uwięziony w lodach i porzucony przez załogę. Na koszt rządu amerykańskiego statek wyremontowano i w geście dobrej woli odesłano do Wielkiej Brytanii. W dowód wdzięczności królowa Wiktoria podarowała prezydentowi Rutherfordowi B. Hayesowi biurko, które od tej pory nazywane jest Biurkiem Stanowczości i stanowi miejsce pracy wszystkich kolejnych prezydentów. Jediną przerwą był okres, gdy zabrano je do Smithsonian Institution.

Gdy tylko Gray wszedł do zachodniego skrzydła, nastawił uszu. Czytał komentarze, jakie w związku ze śmiercią Patricka Johnsona natychmiast pojawiły się w Sieci. Dzisiejsze popo-

* *Resolute* (ang.) — stanowczy, nieugięty.

łudnie przyniosło kolejną ich porcję, z których najnowsze przeglądał już na pokładzie śmigłowca. Dotarła do niego też informacja z FBI o odnalezieniu w domu Johnsona skrytki z narkotykami, a także wiadomość o włączeniu w sprawę Forda i Simpson z Secret Service. Na dźwięk nazwiska Simpson pozwolił sobie na rzadki u niego uśmiech. W razie potrzeby mógł to być jego as w rękawie.

Jak przystało na rasowego szefa wywiadu, Gray miał swoje uszy i oczy także w Białym Domu. Informatorzy zdążyli go już uprzedzić, że Brennan bardzo się przejął sprawą Johnsona i jej ewentualnym wpływem na przebieg kampanii wyborczej, której celem było wybranie urzędującej głowy państwa na drugą kadencję. I dlatego postanowił przejąć inicjatywę.

Ledwie zdążyli usiąść, Gray przystąpił do rzeczy.

— Panie prezydencie, zanim przejdziemy do spraw bieżących, chciałbym poruszyć kwestię niefortunnej sprawy śmierci Patricka Johnsona na Wyspie Roosevelta.

— Dziwi mnie, Carter, że w tej sprawie nie zadzwoniłeś do mnie wcześniej.

W tonie słychać było rozdrażnienie, które Gray rozumiał, ale które go nie uradowało.

— Chciałem ustalić wszystkie podstawowe fakty, zanim z tym do pana przyjdę. Nie chciałem niepotrzebnie zawracać panu głowy.

— Nie byłbyś dziś jedyny — prychnął Brennan.

To jest mój prezydent, ja mu tylko służę, upomniał się Gray.

Przekazał krótką relację, informując o szczegółach, które zapewne były prezydentowi już i tak znane. Gdy dotarł do znalezienia skrytki z narkotykami, Brennan powstrzymał go ruchem ręki.

— Czy ktoś inny też jest w to zamieszany? — spytał ostro.

— To ważne pytanie, panie prezydencie, ale niestety jak dotąd nie mam na nie zadowalającej odpowiedzi. Osobiście zaangażuję się w wewnętrzne śledztwo w tej sprawie i dopilnuję, żeby włączyło się w nie FBI. — Dopuszczenie Biura do wewnętrznych spraw NCW było dla Graya trudne do zaakceptowania, uznał jednak, że lepiej będzie, jeśli zrobi to sam, niż gdyby miał mu to narzucić ktoś inny.

— Carter, jeśli FBI ma się w to włączyć, musisz dać im zupełnie wolną rękę. Żadnego zamiatania pod dywan.

— Inaczej sobie tego nie wyobrażam. Tylko w tej chwili wygląda na to, że sprawa nie ma dalszego ciągu. To znaczy, jeśli Johnson handlował narkotykami, robił to całkowicie niezależnie od swojej pracy w NCW.

Prezydent pokręcił głową.

— Za wcześnie na tego rodzaju twierdzenia. A czym on się właściwie zajmował?

— Nadzorował elektroniczną kartotekę wywiadowczą, która między innymi zawiera informacje na temat podejrzanych o terroryzm. Informacje te dotyczą zarówno pojedynczych ludzi, jak i organizacji — aktywnych lub zlikwidowanych. Johnson brał udział w tworzeniu tego systemu.

— Wartego kupienia?

— Trudno sobie wyobrazić, jak by to można zrobić. To kompilacja podstawowych informacji. Wiele z nich można znaleźć na ogólnodostępnych stronach w Sieci. Uzupełniają je tajne dane w rodzaju odcisków palców czy kodów DNA, jeśli nimi dysponujemy. Ale kartoteka zarządzana przez Johnsona nie zawierała żadnych danych wywiadowczych, dzięki którym wyłapywaliśmy podejrzanych.

Prezydent pokiwał głową, oparł się plecami o fotel i pomasażował kark. Tkwiąc za biurkiem od siódmej rano, wtoczył program czternastogodzinnego dnia pracy w osiem godzin, a wciąż jeszcze miał przed sobą całe popołudnie pracy i oficjalną kolację wieczorem. Rano czekała go podróż na Środkowy Zachód w ramach kampanii prezydenckiej, w której zwycięstwo miał już pewne, i tylko obsesyjny strach przed przegraną nie pozwalał mu ani na chwilę odpuścić.

— Nie owijając w bawełnę, Carter, jestem z tej sprawy bardzo niezadowolony. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję, jest jakiś pieprzony skandal.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, panie prezydencie, żeby do tego nie dopuścić.

— Jedno na pewno możesz zrobić lepiej: dobierać sobie personel — prychnął prezydent ze złością.

— Absolutnie się z tym zgadzam. — Gray kiwnął głową i po chwili milczenia dodał: — Nie możemy dopuścić, żeby ta

sprawa przeszkodziła nam w realizacji naszych podstawowych zadań.

Brennan wyglądał na zaskoczonego.

— Możesz powtórzyć?

— Jak pan wie, media mają zwyczaj robić z igły widły. To świetny sposób, żeby zwiększać nakład, ale niekoniecznie dobry dla bezpieczeństwa narodowego.

— Dotykasz spraw objętych pierwszą poprawką, Carter — powiedział Brennan i wzruszył ramionami. — To rzecz święta.

— I nie mam zamiaru tego zmieniać — rzekł Gray, pochylając się do przodu. — Ale możemy coś zrobić w sprawie przecieków, a także wpływać na treść i moment publikacji takich informacji. W chwili obecnej media wiedzą mniej więcej tyle samo co my. Opublikują to, po czym NCW wyda oficjalne oświadczenie w tej sprawie. Jak dotąd wszystko się zgadza, tylko myślę, że nie leży w naszym interesie, żeby coś takiego miało zaszkodzić całej misji NCW.

Zamilkł na chwilę, po czym wygłosił kwestię, którą ćwiczył podczas całego lotu śmigłowcem:

— Istnieje tylko kilka tematów, które mogą dla pana stanowić polityczne zagrożenie. Ale pańscy rywale są już tak zdesperowani, że uchwycą się każdej szansy, żeby pana zaatakować. W swej desperacji mogą tę sprawę uznać za taką właśnie szansę. Takie postępowanie zdarzało się w przeszłości. Czyli mówiąc wprost, nie możemy dopuścić do tego, żeby wykorzystali tę sprawę do pokonania pana w listopadzie. Bo jakakolwiek jest prawda, nie jest ona tak ważna, by miała panu uniemożliwić wybór na drugą kadencję.

Brennan przez chwilę dumiał nad słowami Graya, w końcu skinął głową.

— No dobrze, wspólnie weźmiemy media na krótką smycz. W końcu chodzi o sprawy związane z bezpieczeństwem narodowym. A gdybyś dostał się pod ostrzał ze strony FBI czy kogoś innego, daj mi znać. — Przerwał, po czym swym najgładszym barytonem dodał: — Masz rację, nie pozwolimy, żeby przez jakiegoś głupka handlującego na boku narkotykami narażone zostało bezpieczeństwo naszego narodu.

— Właśnie. — Gray uśmiechnął się. Bogu niech będą dzięki, że niedługo wybory.

Brennan podszedł do biurka i nacisnął przycisk interkomu.

— Powiedz Deckerowi, żeby do mnie przyszedł.

Gray wyglądał na zaskoczonego.

— Decker? — zdziwił się.

— Musimy porozmawiać o Iraku. — Brennan kiwnął głową.

Chwilę później zjawił się sekretarz obrony Decker. Miał około pięćdziesiątki, krótko ostrzyżone siwe włosy, przystojną twarz i szczupłą sylwetkę, którą zapewniało mu przebieganie ośmiu kilometrów dziennie, i to bez względu na to, w jakim akurat kraju świata się znajdował. Jako wdowiec był w Waszyngtonie uważany za jedną z najbardziej pożądanych partii. Mimo iż sam nigdy nie służył w wojsku, karierę zawodową rozpoczął od pracy w przemyśle zbrojeniowym. Piął się po szczeblach, zbijając po drodze okazały majątek, aż wreszcie zajął się polityką. Jego awans na arenie publicznej okazał się równie szybki i spektakularny, a karierę rozpoczął od stanowisk sekretarza stanu do spraw marynarki wojennej i zastępcy sekretarza obrony. Był człowiekiem inteligentnym, elokwentnym, bezwzględny i ambitny, z którym powszechnie się liczone — jednym słowem typowym produktem waszyngtońskiej administracji. Gray go nie cierpiał. Jako sekretarz obrony i szef Pentagonu Decker zarządzał sektorem konsumującym lwią część funduszy państwowych przeznaczonych na działalność wywiadowczą, czyli formalnie pozostających w gestii Graya. W rezultacie, mimo iż Decker zachowywał pozory gotowości do współpracy i publicznie wygłaszał gładkie formułki, Gray wiedział, że po cichu próbuje podważać jego decyzje i przy każdej okazji wbija mu szpile. Decker był również jego głównym konkurentem w bojach o miejsce w prezydenckiej limuzynie.

Teraz też rozpoczął rozmowę z typową dla siebie swadą.

— Przywódcy iraccy dali nam niedwuznacznie do zrozumienia, że chcą, byśmy się wkrótce całkowicie wycofali. Istnieją jednak bardzo konkretne powody, które komplikują podjęcie takiej decyzji. I nie chodzi mi tylko o powstanie Republiki Kurdyjskiej. Mam na myśli to, że ani iracka armia, ani siły bezpieczeństwa nie są jeszcze do tego przygotowane. I pod pewnymi istotnymi względami mogą nigdy takiego stanu nie osiągnąć. Ale mieszkańcy Iraku są coraz bardziej zmęczeni

naszą obecnością. Na domiar złego Irakijczycy oficjalnie poparli twarde stanowisko swojego najnowszego sojusznika, Syrii, w sprawie ostatecznej zagłady Izraela. Jest to oczywiście stanowisko, z którym się absolutnie nie zgadzamy, ale trudno nam z nim walczyć, bo prezentuje je demokratycznie wybrany rząd Iraku.

— Wszystko to wiemy, Joe — wtrącił niecierpliwie Gray. — Jak również to, że działacze partii Baas podjęli rozmowy z rządem na temat powrotu do władzy w zamian za zaprzestanie akcji terrorystycznych.

Brennan pokiwał głową.

— Jak w tej sytuacji wychodzić z Iraku? W żadnym razie nie chcielibyśmy, by Irak dogadał się z Syrią, a do władzy doszli poplecznicy Husajna. W sytuacji, gdy Grupa Szarijatu i Hezbollah mają główne siedziby na terytorium Syrii, można oczekiwać szybkiego rozszerzenia się ich wpływów na Irak i dalej. — Brennan mówił o dwóch znanych antyizraelskich organizacjach terrorystycznych. — A pamiętajmy, że w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku Francja odkroiła kawałek nadmorskiego terytorium Syrii i stworzyła na nim Liban. Od tamtej pory Syria tylko marzy, żeby odzyskać te ziemie i w tym celu może połączyć siły z Irakiem. A kolejnym celem mogą stać się Wzgórza Golan, co rozpęta wojnę z Izraelem i jeszcze bardziej zdestabilizuje cały region Bliskiego Wschodu.

— Cóż, panie prezydencie — zauważył Gray — gdyby jakiś kraj zjawił się nagle u nas, odebrał nam całą Nową Anglię i na podstawie jednostronnej decyzji postanowił tam utworzyć nowe państwo, też nie bylibyśmy zachwyceni.

— Pomijając już partię Baas — wtrącił Decker — w zgromadzeniu ustawodawczym Iraku coraz ważniejszą rolę zaczynają odgrywać frakcje muzułmańskich ekstremistów. Jeśli uda im się przejąć władzę, staną się znacznie większym zagrożeniem dla Stanów Zjednoczonych niż Saddam Husajn w swym najgorszym okresie. Ale pamiętajmy, że przyrzekliśmy narodowi irackiemu, że gdy tylko ich własne siły bezpieczeństwa okrzepną, a rząd zwróci się do nas o opuszczenie Iraku, niezwłocznie to zrobimy. A ten moment szybko się zbliża.

— Joe, przejdź wreszcie do sedna — burknął Gray.

Decker spojrzał na prezydenta niepewnie.

— Jeszcze nie przedyskutowałem tego do końca z prezydentem — rzekł i odchrząknął. — Chodzi o to, że usuwając ze zgromadzenia ustawodawczego pewne ekstremistyczne ugrupowania, moglibyśmy przechylić szalę na stronę rządu irackiego, co przyniosłoby korzyści Stanom Zjednoczonym i jednocześnie zapobiegłoby powrotowi aktywistów partii Baas do władzy. No i oczywiście musimy pamiętać o ropie, panie prezydencie. Cena benzyny dochodzi już do trzech dolarów za galon. Musimy się podeprzeć irackimi złożami.

— Usuwając? Czyli co: zabijając? — obruszył się Brennan. — Już nie robimy takich rzeczy. To bezprawie.

— Bezprawiem jest zabójstwo przywódcy obcego rządu, panie prezydencie — poprawił go Gray.

— Otóż to — potwierdził Decker. — A mówimy o ludziach zupełnie innego kalibru. Dla mnie nie różni się to niczym od wyznaczenia ceny za głowę Bin Ladena.

— Ale mówimy o demokratycznie wybranych członkach irackiego zgromadzenia ustawodawczego — zaperzył się Brennan.

— Wywrotowcach, którzy bezkarnie mordują umiarkowanych członków zgromadzenia. Mówimy jedynie o wyrównaniu sił na boisku, panie prezydencie — powiedział Decker. — Jeśli czegoś nie zrobimy, za chwilę umiarkowanych w ogóle już nie będzie.

— Joe, jeśli zrobimy coś takiego, wybuchnie wojna domowa — wtrącił Gray.

— Zorganizujemy to tak, by wyglądało, że to frakcja umiarkowanych wzięła odwet na ekstremistach. My będziemy stać z boku. Mam z ich strony obietnicę pełnej współpracy.

— Ale jeśli wybuchnie wojna domowa... — zaczął Brennan.

— To w sposób oczywisty uzasadni konieczność utrzymania naszych wojsk w Iraku na czas nieokreślony — wpadł mu w słowo Decker, wyraźnie z siebie zadowolony. — Natomiast jeśli dopuścimy do władzy ludzi z Baas, szybko rozprawią się z całą opozycją i do Iraku powróci dyktatura w stylu Husajna. Nie możemy do tego dopuścić. Oznaczałoby to, że wyrzuciliśmy w błoto ogromne pieniądze i niepotrzebnie poświęciliśmy życie naszych żołnierzy. A gdyby do czegoś takiego doszło w Iraku, talibowie mogliby spróbować odzyskać Afganistan.

Brennan spojrzął na Graya.

— Co o tym sądzisz?

Prawdę mówiąc, Gray był wściekły, że sam nie wpadł na to wcześniej. Decker go najwyraźniej przechytrzył. *A to mały skurwiel.*

— Nie byłby pan pierwszym prezydentem tego kraju, który wyraził zgodę na taką akcję — przyznał niechętnie.

Brennan nie wyglądał na przekonanego.

— Muszę to jeszcze przemyśleć — powiedział niepewnie.

— Ależ oczywiście, panie prezydencie — pospiesznie dodał Decker. — Tylko że mamy trochę mało czasu. A jak pan doskonale wie, gdyby doszło do tego, że w Iraku i Afganistanie powstaną rządy wrogie Stanom *Zjednoczonym*, amerykańska opinia publiczna urządzi nam piekło. — Zamilkł na chwilę, po czym dodał cicho: — A nie tego pan oczekuje i nie na to pan zasługuje.

Gray patrzył na minę Brennana i mimo całej swej niechęci do Deckera musiał przyznać, iż jego konkurent rozegrał to perfekcyjnie.

Po wyjściu Deckera Brennan odchylił się w fotelu i zdjął okulary, których używał do czytania.

— Zanim przejdziemy do dalszych spraw, Carter, chcę cię o coś zapytać. Jedenastego września wybieram się do Nowego Jorku. Chcę w miejscu pamięci wygłosić przemówienie. — Gray czuł, do czego zmierza prezydent, ale zachował milczenie. — Może byś mi towarzyszył? W końcu nikt inny nie zrobił więcej niż ty, żeby coś takiego już nigdy się nie powtórzyło.

Odrzucenie zaproszenia prezydenta Stanów Zjednoczonych do towarzyszenia mu w oficjalnej uroczystości było czymś niespotykanym, jednak Gray szczerze nie znosił pompy i łzawej tradycji kojarzonej z tą datą.

— To bardzo zaszczytna propozycja, panie prezydencie, ale zaplanowałem prywatne nabożeństwo tu na miejscu.

— Wiem, że dla ciebie to szczególnie bolesna data, Carter, ale wolałem zapytać. Jesteś pewien?

— Absolutnie, panie prezydencie. I dziękuję.

— Nie ma sprawy. — Brennan zrobił przerwę. — Słyszałeś, że nazwali moim imieniem moje rodzinne miasto?

— Tak, panie prezydencie. Gratuluję.

— To jedna z tych sytuacji — rzekł Brennan z uśmiechem — kiedy jest ci równocześnie miło i głupio. Moje ego nie napęczniało aż tak bardzo, bym nie wiedział, że nadzieje ojców miasta na dodatkowe korzyści co najmniej dorównują chęci uhonorowania miejscowego chłopaka, któremu się powiodło. Wybieram się na tę uroczystość, żeby wygłosić mowę okolicznościową. Może chcesz mi towarzyszyć?

Święta zasada obowiązująca w Waszyngtonie głosiła, że prezydentowi się nie odmawia, a już na pewno nie robi się tego dwa razy z rzędu.

— Dziękuję. Z największą przyjemnością.

Prezydent postukał okularami w teczkę z sondażami.

— Wygląda na to, że zostanę tu jeszcze przez cztery lata.

— Powiedziałbym, panie prezydencie, że jest to bardziej niż prawdopodobne.

— Carter, chcę, żebyś był ze mną szczery. Zostanie to tylko między nami. — Gray w milczeniu skinął głową. — Mimo twoich niewątpliwych sukcesów w zakresie umacniania bezpieczeństwa tego kraju, czy naprawdę wierzysz, że świat jest teraz bezpieczniejszy, niż gdy obejmowałem urząd?

Gray nie spieszył się z odpowiedzią, starając się wyczuć, jakiej odpowiedzi szef od niego oczekuje. Nie wyczytał jednak nic z jego twarzy i musiał szczerze odpowiedzieć.

— Nie, nie jest. Prawdę mówiąc, może jest nawet jeszcze bardziej niespokojny.

— Moi eksperci twierdzą, że przy obecnym tempie zużycia w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat świata mogą wyczerpać się zasoby ropy i gazu. Czyli koniec z komunikacją lotniczą, jeździ garstka samochodów na prąd, miasta padają z braku energii. Całe nasze obecne życie — sposób porozumiewania się, pracy, podróży, zdobywanie pożywienia — ulegnie radykalnym zmianom. A państwu zabraknie środków na utrzymywanie arsenału atomowego i innych typów uzbrojenia.

— Wszystko to jest całkiem realne.

— Tak, tylko jak zapewnimy sobie bezpieczeństwo bez zasobów militarnych?

Gray się zawahał.

— Obawiam się, panie prezydencie, że na to pytanie nie mam gotowej odpowiedzi — powiedział cicho.

— Myślę — dodał równie cicho Brennan — że różnica między zwykłym prezydentem a prezydentem wybitnym polega na umiejętności wykorzystania możliwości.

— Zrobił pan bardzo dużo, panie prezydencie. Powinien pan być z siebie dumny.

W rzeczywistości Gray uważał, że Brennan nie dokonał niczego szczególnego, ale oczywiście nie zamierzał mu tego mówić.

Gdy godzinę później opuszczał zachodnie skrzydło, jego myśli po raz pierwszy od dawna nie obracały się wokół metod eliminowania wrogów Ameryki i starań o to, by szef był z niego zadowolony. Wchodząc po schodkach do śmigłowca, myślał o purpurze. Purpura była ulubionym kolorem jego córki do szóstego roku życia, po czym nagle zamieniła się w kolor pomarańczowy. Gdy spytał, skąd taka zmiana, stanęła przed nim z rączkami na biodrach i podbródkiem wojowniczo wysuniętym do przodu i oświadczyła, że pomarańczowy jest doroślejszy. Po dziś dzień mimowolnie uśmiechał się na wspomnienie tej sceny.

Warren Peters odnalazł w końcu łódź tam, gdzie ją ukryli członkowie Klubu Wielbłądów. Natychmiast zawiadomił Tylera Reinkego, który po chwili do niego dołączył.

— Jesteś pewien, że to ta? — zapytał, przyglądając się łodzi.

— Na burcie są ślady krwi — potwierdził Peters. — Miałem rację. Któregoś z nich trafiłem.

— Jeśli zabierali stąd łódź i potem ją tu odstawili, ktoś mógł ich zauważyć.

Peters pokiwał głową i zapatrzył się w wodę.

— To prawda, ale może jest łatwiejszy sposób na ich znalezienie. Johnson miał w kieszeni dokumenty.

— Miał, i co z tego?

— Może zapamiętali jego adres i będą chcieli dowiedzieć się czegoś na miejscu.

— To by nam zaoszczędziło mnóstwa zachodu. — Reinke pokiwał głową. — Wybierzmy się tam dziś wieczorem.

ROZDZIAŁ 23

Dobierając starannie słów i maksymalnie klucząc, tak by nie wzbudzić gniewu przełożonych, Alex sklecił raport i wysłał go pocztą elektroniczną do Jerry'ego Sykesa. Nadrobił przy okazji parę zaległości i postanowił na tym skończyć i zniknąć, zanim wcisną mu nadgodziny. Nie miał ochoty spędzać kolejnego wieczoru na przyglądaniu się, jak jakiś król czy premier pałaszuje sałatkę z krabów.

W korytarzu natknął się na jednego z kolegów, który przed wejściem do sali przesłuchań, gdzie czekał na niego podejrzany, stał przy szafce, chowając w niej broń.

— Cześć Alex! Dorwałeś jakichś nowych rabusiów bankomatowych? — spytał z uśmiechem. Wiadomość o wyczynie Aleksa rozeszła się po WFO w tempie, jakie zapewnia nieformalna sieć nagłaśniająca z centralą przy dystrybutorze wody.

— Niestety. Nie trafił mi się nikt równie głupi.

— Słyszałem, że z Simpson tworzycie świetną parę — powiedział agent, z trudem opanowując śmiech.

— Mieliśmy swoje momenty.

— Wiesz kto to jest J-Lo?

— Kto by nie wiedział.

— No to ty masz teraz J-Si.

— J-Si? A co to znaczy?

— Jackie Simpson. Co, nie wiedziałeś, że zadajesz się ze sławą? Przecież wokół głowy ma aureolę. Z góry spływa na tę małą kowbojkę z Południa niebiański blask. Mówią, że na

pięćset metrów oślepia. Dziwię się, że jeszcze w ogóle coś widzisz.

Agent oddalił się, krztusząc się ze śmiechu.

Los zrządził, że Alex natknął się na nią w drodze do wyjścia.

— Wybierasz się do domu? — zapytał.

— Nie, idę poszukać sobie jakichś przyjaciół. Bo jakoś nie mogę nikogo znaleźć.

Chciała go wyminąć, ale Alex położył jej dłoń na ramieniu.

— Słuchaj, to, co ci powiedziałem, to tylko konstruktywna krytyka, nic więcej. Kiedy sam tu zaczynałem i byłem zupełnie zielony, dużo dałbym za takie rady.

Przez chwilę zdawało się, że Simpson go uderzy, jednak z wyraźnym trudem się opanowała.

— Doceniam twoje dobre intencje, ale przyjmij do wiadomości, że z kobietami jest inaczej. Secret Service to w dalszym ciągu świat mężczyzn.

— Nie przeczę, Jackie. Chodzi mi tylko o to, że pozwalając się traktować inaczej, nie pomagasz sobie w karierze.

Twarz Simpson spłonęła rumieńcem.

— Nic nie poradzę, że ludzie traktują mnie w białych rękawiczkach.

Alex pokręcił przecząco głową.

— Mylisz się. Możesz temu zaradzić. A właściwie nie tyle możesz, ile musisz coś z tym zrobić. — Zamilkł i po chwili dodał: — A kto jest twoim aniołem stróżem? — Simpson wyraźnie nie kwapiła się z odpowiedzią, więc powtórzył z naciskiem: — No dalej, wyduś to z siebie. Jak będę chciał, to sam się dowiem.

— Proszę bardzo! — prychnęła. — Moim ojcem jest senator Roger Simpson.

Alex pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Przewodniczący senackiej komisji służb specjalnych. Niezła szycha.

W ułamku sekundy jej wściekła twarz znalazła się tuż przy jego twarzy, a obcasy niemal rozdeptały mu mokasyny.

— Mój ojciec nigdy nie użyłby swoich wpływów, żeby mi w czymś pomóc. I dla twojej informacji, bycie jego jedynym dzieckiem wcale nie jest łatwe. O wszystko musiałam walczyć. Do dziś mam sińce i odciski z tamtych czasów.

Alex zrobił krok do tyłu i wyciągnął rękę.

— Tego miasta nie zbudowano na faktach. Opiera się na wyobrażeniach. A ludzie sobie wyobrażają, że bardziej niż innym udaje ci się migać od gównianych obowiązków. Ale to nie wszystko.

— Och, czyżby?

Wskazał na jej żakiet.

— Zwykle masz w kieszonce czerwoną chusteczkę.

— I co z tego?

— Dla każdego agenta Secret Service to jak czerwona płachta na byka. Nie tylko przyciągasz uwagę, choć jesteś członkiem służby dumnej z tego, że jeśli akurat nie ochrania prezydenta, cały czas pozostaje w cieniu, ale robisz z siebie idealny cel dla każdego, kto chciałby do ciebie strzelić. Więc jesteś przez to nie tylko cudakiem, ale durnym cudakiem.

Zaciskając zęby, spojrzała na wystający czerwony rąbek, który stał się nagle piętnującą szkarłatną literą.

— I jeszcze ta twoja splota — ciągnął Alex. — To nietypowy model. Kolejny dowód na to, że uważasz się za kogoś innego, czyli lepszego od reszty. A to ci nie zjednuje sympatii kolegów.

— To prezent od taty z okazji wstąpienia do policji.

Alex zauważył, że im jest bardziej zdenerwowana, tym jej południowy akcent staje się wyraźniejszy.

— To go sobie schowaj w szafce na pamiątkę, a noś standardową broń agenta Secret Service.

— I wtedy już wszystkie moje problemy znikną?

Powiedziała to z taką zajadłością, że Alex poczuł chęć, by ją ostatecznie pognać.

— Nie, wtedy będziesz miała takie same problemy jak wszyscy. Zanotuj to sobie w głowie pod hasłem „Życie jest wredne”. Podobnie jak ty.

Obrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Miał na dziś dość żółtodziobów. Zresztą bar PAF wyraźnie go przyzywał.

Wszedł do pubu w chwili, gdy Kate Adams obejmowała dyżur w barze po całym dniu w Departamencie Sprawiedliwości. Alex ruszył ku niej zdecydowanym krokiem człowieka gnanego

poczuciem misji, ona zaś zauważyła go już od drzwi i nim usiadł na stołku, czekało już na niego martini z trzema dorodnymi oliwkami.

— Czy tylko mi się zdaje, czy jesteś lekko wkurzony? — spytała z uśmiechem, który spowodował, że natychmiast się rozluźnił.

Czuł płynący nad mahoniowym blatem miodowo-kokosowy /apach, nie był jednak pewien, czy to szampon, którym myła włosy przed wyjściem z domu, perfumy czy może mieszanina obu. Czymkolwiek był, bardzo mu się podobał.

— Jak zwykle sprawy zawodowe. Ale to minie. — Pociągnął łyk z kieliszka, rozgryzł jedną z oliwek i uzupełnił garścią orzeszków z miseczki na barze. — A co u ciebie? Często cię odwiedza twój przyjaciel, superszpieg Tommy?

Uniosła brwi na znak zdziwienia.

— Hemingway? Nie nazwałabym go przyjacielem. — Spojrzał na nią z tak wyraźnym niedowierzaniem, że odstawiła wycierany właśnie kieliszek i nachyliła się ku niemu. — Masz może jeszcze jakieś inne pytania, agencie Ford?

— Właściwie to nie moja sprawa. — Alex wzruszył ramionami.

— Dziewczyna może sobie flirtować i nic z tego nie wynika.

— Bardzo mnie to cieszy. — Uśmiechnął się i pociągnął kolejny łyk.

— Ale musisz przyznać, że jest bardzo atrakcyjny. Przystojny, zna kawał świata, wybitnie inteligentny. Po prostu chodząca doskonałość.

Miał już na końcu języka złośliwą ripostę, gdy dotarło do niego, że Kate go tylko podpuszcza i świetnie się przy tym bawi.

— No, to prawda. Nawet się zastanawiałem, czy nie zaproponować mu randki.

Znów się nachyliła, złapała go za krawat i przyciągnęła ku sobie tak raptownie, że aż chlupnął drinkiem na blat.

— Ponieważ jakoś nie możesz się sam na to zdobyć — powiedziała — zrobię to za ciebie. Chcesz się ze mną umówić?

Alex poczuł, jak ze zdumienia otwierają mu się usta. Na szczęście udało mu się je zaraz zamknąć.

— Proponujesz mi randkę?

— Nie, temu facetowi za tobą. Tak, proponuję ci randkę.

Alex nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć na boki i upewnić się, że nie bierze udziału w jakimś numerze z ukrytą kamerą i za chwilę tłum widzów nie ryknie śmiechem.

— Naprawdę, mówisz poważnie?

Kate jeszcze mocniej zacisnęła mu krawat.

— Kiedy flirtuję, to flirtuję. Kiedy składam propozycję, to zupełnie co innego.

— Tak. Chcę się z tobą umówić.

— No widzisz? I nie było takie trudne, prawda? Więc skoro udało nam się to uzgodnić, może przejdźmy do negocjacji w sprawie daty. Ponieważ wykazujesz pewne trudności w kontaktach towarzyskich, może ja zacznę. Zakładam, że nie tylko pijesz, ale i jesz. Co powiesz na kolację?

— No i teraz mnie zagięłaś. Byłem pewien, że dla bezpieczeństwa zaproponujesz lunch.

— Minęły czasy, kiedy szukałam bezpieczeństwa — mruknęła. Puściła krawat i wolnym ruchem przejechała po nim dłonią w dół do końca.

Alex odchylił się do tyłu, tak że połowa zawartości kieliszka rozlała mu się na rękaw marynarki. Nawet tego nie zauważył.

— Kolacja bardzo mi odpowiada — powiedział prawie wyraźnie, choć język trochę mu się plątał.

— Fajnie, to ustalmy jeszcze datę i godzinę. Wolę kuć żelazo, póki gorące. Masz czas jutro wieczorem?

Nawet gdyby jutro wieczorem miał wartę honorową przy łożu śmierci prezydenta i tak stanąłby na głowie, żeby się z niej wymigać.

— Bardzo chętnie.

— Powiedzmy o wpół do siódmej. Zarezerwuję dla nas stolik. Chyba że sam chcesz to zrobić.

— Nie, zarezerwuj.

— Wolisz się spotkać na miejscu czy przyjedziesz po mnie do domu?

— Mogę przyjechać.

— Boże, agencie Ford, jak łatwo się z tobą dogadać. Nie masz pojęcia, jaka to dla mnie ulga po całym dniu wyklócania się z prawnikami. Z prawnikami nie można się dogadać w żadnej sprawie.

— Tak, słyszałem.

— Przyjedź po mnie około szóstej, zgoda?

Zapisała adres i numer telefonu na kartce i przesunęła ku niemu po blacie. On jej dał służbową wizytówkę, na której na odwrocie dopisał telefon i adres domowy.

— Podoba ci się w Manassas? — spytała, odczytując adres.

— Przede wszystkim podoba się tam mojemu portfelowi. — Rzucił okiem na kartkę z adresem i przyjrzał się jej podejrzliwie. — R Street? Georgetown?

— Powściągnij swoje apetyty, kolego. Nie jestem dziedziczką fortuny, która dla umartwienia pracuje incognito w Departamencie Sprawiedliwości. Mieszkam na tyłach pałacu w domku, gdzie kiedyś była wozownia. Właścicielką całości jest starsza dama. Wdowa, która chce mieć kogoś w pobliżu. Bardzo miła staruszka. A właściwie to prawdziwy wulkan.

— Nie musisz mi się tłumaczyć.

— Co oczywiście nie znaczy, że tego nie oczekujesz. — Nalała mu świeżego drinka. — Na koszt firmy, bo pierwszego głównie porozlewałaś — dodała, podając mu ścierkę.

— Skorzystam z twojej chęci wyznań i spytam, gdzie ta twoja „chodząca doskonałość” pracuje i czym się wspólnie zajmujecie?

Kate położyła palec na ustach.

— Tajemnica adwokacka, sam rozumiesz. Ale nie zdradzając tajemnic państwowych, powiem tyle, że na prośbę jego agencji prowadzę przejście przez nią pewnego starego obiektu. Ale nie sądzę, żeby coś z tego wyszło. To co cię tak wkurzyło w pracy?

— Mało ci klientów, którzy ci się wyplakują na ramieniu?

— Jesteśmy już oficjalnie umówieni na randkę. Więc, jak to mówią, skoro się rzekło „a”, trzeba też powiedzieć „b”.

— No, dobra. — Uśmiechnął się. — Mamy w pracy taką nieopierzoną smarkulę, z którą przyszło mi prowadzić śledztwo. Panią ma bardzo ważnego tatusia, który pociąga za sznurki na górze. A ja staram się jej wytłumaczyć, że w ten sposób nie zdobędzie sobie wielu przyjaciół.

— I to do niej nie trafia?

— Jeśli w najbliższym czasie nie trafi, to wytoczę cięższą artylerię.

— A w jakiej sprawie to śledztwo?

— Tym razem ja się muszę powołać na tajemnicę zawodową. — W tej samej chwili coś przykuło jego uwagę na ekranie plazmowego telewizora na ścianie za barem.

Na pierwszym planie widać było fragment Wyspy Roosevelta, a siedząca w studio prezenterka o wystającej szczęce czytała z telepromptera wiadomość o tajemniczym samobójstwie. Aleksa zainteresowało, że ani słowem nie wspomniała, iż w sprawę zamieszane jest Secret Service, natomiast szeroko opowiedziała o skrytce z heroiną w domu Patricka Johnsona.

— To właśnie nad tym pracujesz. — Kate kiwnęła głową.

— Co?

— Wolę mieć nadzieję, że tylko dlatego przestałam nagle istnieć.

— Och, przepraszam — rzucił zmieszany. — Tak, nad tym. Ale nic więcej nie powiem.

Oboje wpatrywali się w telewizor, z którego nagle popłynął znajomy głos.

Głos przekazywał oficjalny komunikat NCW na temat okoliczności śmierci Patricka Johnsona i nie należał do Cartera Graya. Pewnie, by nie nadawać szczególnej rangi zwykłemu samobójstwu, zamiast niego na ekranie pojawił się Tom Hemingway. Wystąpił w imieniu agencji ze swobodą i gracją, jakiej można się było spodziewać po chodzącej doskonałości.

Alex spojrział na Kate, którą wyraźnie zatkało.

— Mam cię! — powiedział, uśmiechając się triumfalnie.

ROZDZIAŁ 24

Caleb podjechał pod Biały Dom swym zabytkowym stalowoszarym chevroletem malibu z obłuzowaną rurą wydechową. Zabrał Olivera Stone'a i ruszyli do domu Milтона Farba na obrzeżu Marylandu, gdzie miał na nich czekać Reuben. Stone usiadł z przodu z psem Caleba o imieniu Goff na kolanach. Goff był niedużym mieszkańcem o nieznanym pochodzeniu, któremu nadano imię na cześć pierwszego szefa działu ksiąg rzadkich, Fredericka Goffa. Gdy podjechali pod skromny, ale bardzo zadbanej dom Milтона, Reuben poderwał się ze schodków na ganek i wsiadł z tyłu. Jak zwykle ubrany był w dżinsy, mokasyny i pogniecioną flanelową koszulę w czerwonej kratę. Z tylnej kieszeni spodni wystawały mu robocze rękawice, w ręku miał kask ochronny.

— Dostałem nadgodziny przy załadunku — wyjaśnił. — Nie miałem czasu wrócić do domu i przebrać się. — Spojrzał z zaskoczeniem na przycięte włosy i ogoloną twarz Stone'a. — Nie mów mi, że postanowiłeś zostać wzorem cnót obywatelskich.

— Próbuję zachować incognito i życie. Milton gotowy?

— Nasz przyjaciel trochę się spóźni — odparł Reuben i mrugnął porozumiewawczo.

— A co się stało?

— Ma gościa. Pamiętasz, jak nam mówił? Ma nową przyjaciółkę.

— Widziałeś ją? — spytał Caleb z wyraźnym ożywieniem. — Może i dla mnie znajdzie koleżankę. — Mimo iż był zatwardziałym kawalerem, wciąż szukał okazji.

— Rzuciłem na nią okiem. Jest od Milтона dużo młodsza i całkiem niebrzydka. Mam nadzieję, że się biedak zbytnio nie zaangażuje. Już trzy razy dałem się zaciągnąć do ołtarza i czwarty raz nie dam, chyba że mnie wcześniej spiją w trupa. Cholerne baby. Nie mogę z nimi wytrzymać, a one nijak nie mogą wytrzymać ze mną.

— Twoja trzecia żona była zupełnie udana — zauważył Stone.

— Oliver, ja nie twierdzę, że kobiety są do niczego nieprzydatne. Ja tylko uważam, że długotrwałych związków nie buduje się na więzach prawnych. Instytucja małżeństwa zepsuła w moim życiu tyle, że można by obdzielić paru ludzi.

— Czyli wyznajesz zasadę, że wystarczy zakazać małżeństw, a liczba rozwodów od razu spadnie, tak?

— To też — mruknął Reuben ponuro.

Drzwi domu Milтона otwały się i wszyscy trzej unieśli głowy.

— Naprawdę niebrzydka — powiedział Caleb, wyciągając szyję zza Stone'a, by się lepiej przyjrzeć.

Milton i jego towarzyszka musnęli się ustami, kobieta zeszła ze schodków i podeszła do żółtego porsche zaparkowanego tuż przed chevroletem Caleba.

— Ciekaw jestem, jak ona sobie radzi z OCD Milтона — rzekł Caleb w zamyśleniu. Wszyscy trzej mieli za sobą setki godzin wyczekiwania, aż Milton skończy swój kolejny rytuał, jednak zdążyli się już do tego przyzwyczaić i dziwaczne zachowanie stanowiło po prostu część jego osobowości. Wszyscy mają jakieś dziwactwa, a Milton bardzo skrupulatnie stosował się do wszystkich zaleceń lekarzy. Po wielu latach leczenia, licznych sesjach terapeutycznych i sporadycznych pobytach w szpitalu Milton wiódł teraz w miarę normalne życie przerywane tylko krótkimi atakami OCD, które go dopadały przy zamykaniu drzwi, siadaniu, myciu rąk lub szczególnie silnych stresach.

— Myślę, że nie będzie miała problemu — bąknął Reuben, wskazując na nią głową.

Na ich oczach kobieta zaczęła stepować na chodniku, potem przeszła do miarowego stukania w boczną szybę samochodu, któremu towarzyszyło odliczanie i mruczenie czegoś pod nosem. Potem otworzyła drzwi, ostukała fotel kierowcy i dopiero wtedy wsiadła. Ruszyła z piskiem opon tak ostro, że po sześciu sekundach musiała mieć już setkę na liczniku, po czym z takim samym piskiem zahamowała przed skrzyżowaniem. Po chwili znów usłyszeli głośne wycie silnika z turbodoładowaniem, które tak im się wwierciło w mózg, że Caleb boleśnie się skrzywił.

— Gdzie on ją, do diabła, znalazł? Na torze Formuły Jeden? — mruknął Caleb, gapiąc się na obłoczek dymu, który wciąż jeszcze wisiał nad śladami spalonej gumy na asfalcie.

— Nie. Powiedział, że ją poznał na terapii w klinice — przypomniał Reuben. — Była też na leczeniu OCD.

Milton zamknął frontowe drzwi, wykonał swój krótki rytuał i z plecakiem w rękę usiadł z tyłu obok Reubena.

— Jest na co popatrzeć — powitał go Reuben. — Jak ma na imię?

— Chastity* — odrzekł Milton.

— Chastity? — parsknął Reuben. — No, to dla twojego dobra mam nadzieję, że nie trzyma się swojego imienia w praktyce.

Ruch był dość duży i nim dotarli do miejscowości, gdzie mieszkał Patrick Johnson, zrobiło się już całkiem ciemno. (l)iverowi to zupełnie nie przeszkadzało, bo w ciemnościach czuł się najpewniej.

Wjechali na uliczkę Johnsona i Stone zaczął odczytywać kolejne numery domów.

— Dobra, Caleb — powiedział po chwili. — Za tą przecznicą, po lewej. Zaparkuj gdzieś tutaj.

Caleb zjechał do krawężnika i stanął.

— I co dalej? — spytał, patrząc niespokojnie na przyjaciela.

— Na razie siedzimy i czekamy. Chcę się najpierw rozejrzeć, zobaczyć, kto się tu kręci. — Stone wyciągnął lornetkę i zaczął patrzeć w głąb ulicy. — Zakładając, że te dwa suburbany należą do Biura, przypuszczam, że dom Johnsona to ten trzeci po lewej.

Chastity (ang.) — czystość, niewinność.

— Niezła chałupa — zauważył Reuben, podążając za wzrokiem przyjaciela.

Przez cały czas Milton siedział ze wzrokiem wbitym w ekran laptopa.

— Podają — odezwał się — że w jego domu znaleziono magazyn heroiny. I że na Wyspie Roosevelta odbył swoją pierwszą randkę z narzeczoną. Snują przypuszczenia, że popełnienie samobójstwa właśnie tam miało znaczenie symboliczne, bo nie umiał pogodzić swego podwójnego życia ze zbliżającym się ślubem.

— Jakim cudem wchodzisz do Internetu w samochodzie? — zdziwił się Caleb.

— Mam łącze bezprzewodowe — odparł Milton. — Do łączenia nie potrzebuję żadnych hot spotów. Mówię ci, Caleb, naprawdę powinieneś dać mi się podszkolić w technice dwudziestego pierwszego wieku.

— Korzystam z komputera w pracy — obruszył się Caleb.

— Ale pewnie wyłącznie jak z maszyny do pisania. Nawet nie masz własnego adresu e-mailowego. Tylko ten ogólny biblioteczny.

— Do moich listów wolę używać papieru, długopisu i znaczków pocztowych — rzekł Caleb z godnością.

— Jesteś pewien, braciszku Caleb, że nie masz na myśli inkaustu i gęsiego pióra? — Reuben uśmiechnął się.

— Iw przeciwieństwie do tych matałów z Internetu — ciągnął rozszluszczony Caleb — używam pełnych zdań i, Panie Boże wybacz, znaków interpunkcji. Czy to taka zbrodnia?

— Nie, Caleb, to nie zbrodnia — powiedział Stone pojednawczo. — Ale proponuję, żebyśmy się teraz skupili na naszym dzisiejszym zadaniu.

— Wiesz, tak sobie pomyślałem — zaczął Reuben — że po takiej instytucji jak NCW można by się spodziewać, że dość dokładnie prześwietli swoich kandydatów i wykryje ich narkotykowe powiązania.

— Pewnie kiedy zaczynał, był jeszcze czysty, a ubabrał się dopiero później — zauważył Milton. — Przypomnijcie sobie Aldricha Amesa. Miał wielki dom, jeździł jaguarem, a w CIA nikt nawet nie wpadł na to, żeby go zapytać, skąd ma pieniądze.

— Tyle że najwyraźniej Johnson sprzedawał narkotyki, a nie

lajemnice państwowe — przypomniał Caleb. — Naraził się swoim partnerom od biznesu narkotykowego i go zabili. Wydaje się to dość oczywiste.

— Czy według ciebie ci dwaj dżentelmeni wyglądali na handlarzy narkotyków? — spytał Stone.

— Nie znam osobiście żadnego handlarza narkotyków, więc l rudno mi powiedzić.

— A ja paru znam — wtrącił Reuben. — I wbrew temu, co niektórzy wszystkowiedzący sądzą, nie wszyscy są młodymi, czarnymi gangsterami ze spluwami zatkniętymi za spodnie od więziennych drelichów.

— Wcale tak nie twierdzą — powiedział Stone — ale zastanówmy się nad faktami. Przywieźli go na miejsce pierwszej randki z narzeczoną. Już samo to świadczy, że musieli mieć o nim informacje. No, chyba że miał zwyczaj dzielić się ze swymi kompanami intymnymi szczegółami swojego romansu. Przywieźli go motorówką z tak cichym silnikiem, że usłyszeliśmy ich dopiero, kiedy dopływali do wyspy. W tego rodzaju sprzęt mogą inwestować handlarze narkotyków gdzieś w Ameryce Południowej, gdzie mają dużo więcej wody do pokonania. Ale tu, w mieście?

— A skąd możemy wiedzieć — wtrącił Reuben — jak nowoczesną techniką posługują się teraz nasi handlarze?

Stone pominął tę uwagę milczeniem i mówił dalej.

— Ponadto mordercy przeprowadzili rekonesans terenu w dość wojskowym stylu i posłużyli się techniką zabijania lypową dla zawodowych morderców. Doskonale wiedzieli, co ich może zdradzić, i odpowiednio się zabezpieczyli. Pamiętali nawet, żeby przynieść z sobą plastikową torbę dla zachowania pozorów, że tam schował broń podczas przepływania rzeki.

— To prawda. — Caleb kiwnął głową. — Ale nawet handlarze narkotyków nie chcą iść do więzienia.

Stone i tę uwagę pominął milczeniem.

— A kiedy się zorientowali, że mieli świadków zabójstwa, nawet przez sekundę się nie wahali. Działali w sposób typowy dla zawodowych zabójców i bardzo wątpię, by byli handlarzami narkotyków.

Stone zamilkł i podniósł lornetkę do oczu. Reszta w milczeniu trawiła jego słowa.

Pierwszy przerwał ciszę Caleb.

— A czym zajmuje się Chastity? — spytał, zwracając się do Milтона.

— Jest księgową. Pracowała w wielkiej firmie, ale ją zwolnili z powodu OCD. Ma teraz własną firmę i pomaga mi przy mojej firmie internetowej. W sprawach finansów jestem beznadziejny. Prowadzi księgowość i zajmuje się marketingiem. Jest naprawdę świetna.

— Nie wątpię — powiedział Reuben z przekonaniem. — Takie spokojne, zapracowane kobitki są najlepsze. Myślisz, że to łagodne ciche myszki, a one trach, i cię zaskakują. Kiedyś spotykałem się z taką jedną. Kulturalna, dobrze wychowana, spódnice za kolana, ale Bóg mi świadkiem, to co ona potrafiła zrobić ustami, to...

— Zwolnienie Chastity z pracy z uwagi na stan zdrowia było nie do przyjęcia — wtrącił szybko Stone. — Chyba że jej to przeszkadzało w pełnieniu obowiązków.

— Skąd, z pracą nie miała problemu. Powiedzieli jej, że ich kompromituje wobec klientów, co było kompletną bzdurą. Dwóch spośród właścicieli jej nie lubiło, z tego jeden dlatego, że nie chciała się z nim przespać. Poszła do sądu i dostała ogromne odszkodowanie.

— I taki właśnie kraj znamy i kochamy. — Reuben pokiwał głową. — Stany Zjednoczone Adwokatów. Ale nie pozwól, żeby ładna i bogata ci się wymknęła. Nie mówię, broń Boże, żebyś się od razu żenił. Ale jeśli w tych oświeconych czasach mężczyzna może utrzymywać kobietę, to nie ma też przeszkód, żeby kobieta utrzymywała mężczyznę.

— Kupuje mi różne rzeczy — przyznał Milton cicho.

— Naprawdę? — zainteresował się Reuben. — Jakiego rodzaju?

— Oprogramowanie do komputera, ubrania, wino. Świetnie zna się na winach.

— A co z ubrania?

— Rzeczy osobiste — odparł Milton, zarumienił się i natychmiast pochylił głowę nad klawiaturą laptopa. Reuben chciał to jeszcze ciągnąć, ale Stone spiorunował go wzrokiem.

Zapadła cisza i tym razem przerwał ją Stone.

— Dobra, to posłuchajcie teraz, jakie mam dla was zadania.

Przedstawił im swój plan, wcisnął na głowę stary kapelusz wyjęty z plecaka, przypiął smycz do obroży Goffa i wysiadł z samochodu. W kieszeni miał drugi telefon komórkowy Milтона. Zgodnie z planem Reuben i Caleb mieli zostać w samochodzie i cały czas pilnie się rozglądać. Milton miał przejść na drugą stronę ulicy i ruszyć w stronę domu Johnsona z zadaniem obserwowania wszystkich okazujących nadmierne zainteresowanie Stone'em. Oliver wybrał do tego Milтона, bo tylko on z ich czwórki cały czas leżał na dnie łodzi i zabójcy w żadnym razie nie mogli go rozpoznać. Gdyby zauważył coś podejrzanego, miał od razu zawiadomić telefonicznie Stone'a.

Stone ruszył wolnym krokiem, zatrzymując się po drodze, by zgarnąć do woreczka pamiątkę zostawioną przez Goffa pod drzewem.

— Dobry pies. — Poklepał go. — Bardzo uwiarygodniłeś naszą przykrywkę.

Dotarł do domu Johnsona i niemal zderzył się z wychodzącym ze środka mężczyzną, ubranym w wiatrówkę z napisem FBI na plecach, który wynosił pudło oklejone żółtą taśmą policyjną.

— Straszna tragedia, proszę pana — powiedział Stone tonem zachęty do pogawędki.

Agent całkowicie go zignorował, bez słowa wyminał i podał pudło kobiecie czekającej w jednym z suburbanów. Stone zatrzymał się, pozwalając Goffowi obwąchać drzewo rosnące przed domem, i pospiesznie obrzucił wzrokiem dom i jego najbliższe otoczenie. Potem ruszył dalej i po chwili przeszedł obok samochodu zaparkowanego przy krawężniku. Auto miało włączony silnik. Mimo kompletnego zaskoczenia udało mu się zachować kamienną twarz na widok mężczyzny siedzącego za kierownicą.

Tyler Reinke obrzucił Stone'a obojętnym spojrzeniem i powrócił do obserwacji domu Johnsona. Najwyraźniej nie rozpoznał w nim człowieka, którego poprzedniej nocy omal nie zabił. Stone podziękował w duchu swej przezorności, która skłoniła go do radykalnej zmiany wyglądu. Teraz trzeba było jeszcze sprawdzić, co porabia drugi mężczyzna.

Poszedł dalej, skręcił w pierwszą przecznicę w lewo i natychmiast zadzwonił do Caleba, żeby go poinformować o sytuacji. Potem zadzwonił do Milтона, który po chwili do niego dołączył.

— Jesteś pewien, że to ten? — zapytał Milton.

— Bez cienia wątpliwości. Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie się podziewa ten drugi.

Zadzwoniła komórka i odezwał się w niej pełen emocji głos Caleba.

— Reuben właśnie wypatrzył tego drugiego.

— Gdzie?

— Stoi pod domem Johnsona i rozmawia z tym z FBI.

— Przyjedźcie tu po nas — polecił Stone i wytłumaczył Calebowi, gdzie się znajdują. — Tylko nie jedźcie na wprost. Nie chcę, żebyście się kręcili koło domu i ich samochodu. Skręć w pierwszą w lewo, potem w pierwszą w prawo. Spotkamy się na rogu.

Czekając w umówionym miejscu, Stone przyglądał się, jak Milton schyla się, podnosi z jezdni przyniesioną przez wiatr gazetę, skrupulatnie ją składa i wrzuca do kosza na śmieci.

— Milton, czy wczoraj w nocy wyjąłeś list Johnsona z kieszeni?

Milton nie odpowiedział od razu, ale wyraz zmieszania na jego twarzy wystarczył za odpowiedź.

— Skąd o tym wiesz?

— Tamci szybko wpadli na to, że ktoś był na wyspie. Nie sądzę, żeby nas zobaczyli. Myślę, że z jakiegoś powodu wrócili do ciała i zauważyli, że ktoś dotykał listu albo że go gdzie indziej schował.

— Ja... ja...

— Chciałeś się tylko upewnić, wiem — rzekł Stone łagodnie, choć w głowie czuł zamęt. Wiedział, że odciski palców na wilgotnym papierze świetnie się przechowują. Tylko czy odciski palców Milтона są w jakiejś bazie danych? Jednak nie chciał o to teraz pytać, by nie doprowadzić do ataku paniki u i tak już mocno poruszonego przyjaciela.

Caleb podjechał swym stalowozarym zabytkiem i obaj z Miltonem wsiedli do środka. Caleb pojechał jeszcze kawałek dalej, znalazł wolne miejsce na obstawionej samochodami ulicy i zaparkował.

— Będziemy ich śledzić? — zapytał Reuben.

— Samochód Caleba niestety rzuca się w oczy — odparł Stone. — A jeśli zauważą, że za nimi jedziemy i spiszą numer

rejestracyjny, to nim Caleb zdąży wrócić do domu, już tam na niego będą czekać.

— Boże święty! — jęknął Caleb i kurczowo zacisnął dłonie na kierownicy. Po jego minie można by przypuszczać, że za chwilę zwymiotuje.

— To co zrobimy? — Reuben się zasępił.

— Mówiłeś, że któryś z nich rozmawiał z kimś z FBI. Ale ludzie z FBI nie wdają się w rozmowy ze zwykłymi przechodniami. Wiem, bo sam tego doświadczyłem. Czyli to może znaczyć, że ci dwaj też są ze służby.

— A to by znaczyło, że mogą być z NCW — wtrącił Milton. — Johnson tam pracował.

— Też mi to przyszło do głowy — mruknął Stone. — Czyli Carter Gray.

— Czyli ktoś, na kogo trzeba cholernie uważać — powiedział ponuro Reuben.

— O, rany! — syknął Caleb, wpatrując się w lusterko wsteczne. — Jedzie jakiś samochód. To mogą być oni.

— Nie rozglądajcie się — poecił Stone ostro. — Caieb, nabierz powietrza i uspokój się. Reuben, zsuń się trochę niżej, żebyś wyglądał na mniejszego. — Sam zdjął kapelusz i osunął się na fotelu tak nisko, że zupełnie zniknął z pola widzenia. — Caleb, mogą dojrzeć twoje tablice rejestracyjne?

— Nie, samochody przed nami i za nami są za blisko.

— Świetnie. Jak przejadą, odczekaj chwilę, wyjedź i ruszaj w drugą stronę. Milton, ty z tyłu jesteś dla nich prawie niewidoczny. Chcę, żebyś na nich popatrzył i sprawdził, czy patrzą w naszą stronę. I dobrze im się przyjrzyj.

Caleb zaczerpnął głęboko powietrza i na wstrzymanym oddechu czekał, aż tamci powoli przejadą.

— Caleb, nie patrz na nich — upomniał go Stone ze swojej kryjówki.

Samochód dojechał do skrzyżowania i skręcił w lewo.

— Milton, i co? — spytał Stone.

— Nie patrzyli na nas.

— W porządku. Caleb, ruszaj.

Caleb powoli wyjechał na jezdnię, dojechał do skrzyżowania i skręcił w prawo.

— Niech wszyscy pilnie się rozglądają, czy się znów nie

pokażą — zarządził Stone, gramoląc się z powrotem na fotel. — I co zauważyłeś? — dodał, zwracając się do Milтона.

Milton podał dość dokładne rysopisy obu mężczyzn i wyrecytował zapamiętany numer rejestracyjny z Wirginii.

Reuben spojrział na Stone'a.

— Myślę, że teraz powinniśmy już pójść na policję. Nasze relacje będą się pokrywały. Muszą nam uwierzyć.

— Nie! — rzucił ostro Stone. — Musimy ich dopaść, zanim oni dopadną nas.

— Ale jak? — jęknął Reuben. — Szczególnie jeśli ci mordercy reprezentują władze.

— Zgodnie z zasadą Klubu Wielbłądów. Docierając do prawdy.

— Można by zacząć od sprawdzenia numeru rejestracyjnego — wtrącił Milton. — To nie były tablice rządowe. Więc może nam się poszczęści i okaże się, że to prywatny samochód któregoś z nich.

— Znasz kogoś w wydziale komunikacji, kto mógłby to zrobić? — spytał Reuben.

Milton zrobił urażoną minę.

— Reuben, jeżeli umiałem włamać się do bazy danych Pentagonu, wydział komunikacji nie powinien stanowić większego problemu.

ROZDZIAŁ 25

W podziemiach gmachu NCW znajdowała się sala gimnastyczna wyposażona we wszystkie najnowsze urządzenia odnowy biologicznej, z których z braku czasu niemal nikt nie korzystał. Tym razem jednak w bocznej salce ktoś był.

Tom Hemingway ubrany w luźne spodenki gimnastyczne i podkoszulek siedział na podłodze boso z zamkniętymi oczami. Po pewnym czasie wstał i przyjął postawę wojownika walki wschodnich. Ktoś patrzący z boku mógłby oczekiwać, że za chwilę zacznie ćwiczyć kung-fu czy karate. Tenże ktoś zapewne zdziwiłby się, słysząc, że kung-fu w dosłownym tłumaczeniu znaczy sprawność osiągniętą przez wytężoną pracę. W tym sensie o dobrym baseballiście można by powiedzieć, że ma dobre kung-fu.

Istnieje aż czterysta odmian wschodnich sztuk walki, które wywodzą się z krajów innych niż Chiny. Za czysto chińskie odmiany można uznać tylko trzy: Hsing-I Chuan, Pa-Kua Chang i Tai Chi Chuan. Podstawowa różnica między owymi czterystoma i trzema polega na używaniu siły, ponieważ w chińskich odmianach walki uczestniczy całe ciało atakującego, dzięki czemu wykorzystana zostaje jego cała energia kinetyczna. Z grubsza rzecz biorąc, jest między nimi taka różnica, jak między wymierzeniem komuś klapsa i walnięciem w niego rozjeżdżonym samochodem. Cios wymierzony przez sprawnego specjalistę z jednej z trzech tak zwanych sztuk walki wewnętrznej potrafi rozerwać narząd wewnętrzny ofiary i ją zabić.

Podczas pobytu w Chinach Hemingway zaczął ćwiczyć sztukę walki wewnętrznej, by na przekór swym blond włosom i niebieskim oczom lepiej zintegrować się z otoczeniem. Wprawdzie podjął naukę wszystkich trzech odmian, największą biegłość osiągnął w szkole ShanXi walki Hsing-I.

Przed przystąpieniem do ćwiczeń Hemingway spędził niemal godzinę w bezruchu na medytacjach. Pozwala to ćwiczącemu uzyskać stan intuicyjnej reakcji na otoczenie, w którym potrafi wyczuć czyjąś obecność na długo, zanim go zobaczy. Umiejętność ta bardzo przydała się Tomowi podczas operacji w terenie, które prowadził w czasach pracy w CIA, i nieraz uratowała mu życie dzięki temu, iż potrafił stwierdzić czyjąś obecność nie tylko za pomocą pięciu zwykłych zmysłów.

Po wielu latach ćwiczeń jego stawy, ścięgna, więzadła i mięśnie nabrały niezwyklej siły i sprężystości. Dziesiątki lat ćwiczeń kręgosłupa doprowadziły do tego, że wszystkie kręgi były doskonale ustawione. Dla zwykłych zjadaczy chleba jego poczucie równowagi było wręcz niepojęte. Zdarzyło się kiedyś, że przez sześć godzin stał bez ruchu na deszczu i wietrze na kilkucentymetrowym gzymsie wieżowca, dwadzieścia jeden piętér nad ziemią, podczas gdy kolumbijski szwadron egzekucyjny przetrząsał budynek, szukając go. Palce miał tak silne, że witając się z kimś, musiał się bardzo pilnować, a i tak często słyszał narzekania na swój miażdżący uścisk.

Staął w pozycji bambusa będącej punktem wyjścia do walki Hsing-I. Technika bambusa odwołuje się do czystej fizyki i pozwala na pełne wykorzystanie ogromnego potencjału tkwiącego w Hsing-I. Hemingwayowi zdarzyło się już zabijać sprawnych fizycznie mężczyzn jednym precyzyjnie zadanyim ciosem w technice bambusa.

Potem wziął do rąk dwa zakrzywione miecze, tradycyjną broń *nejia* używaną w walce wewnętrznej Pa-K.ua. Były jego ulubionym rekwizytem do ćwiczeń. Przemknął wokół całej salki, ani na chwilę nie przestając precyzyjnie ciąć mieczami na boki, czemu towarzyszyły zaskakująco drobne krocuki i potężna siła odśrodkowa charakterystyczna dla walki Pa-Kua.

Po skończeniu ćwiczeń wziął prysznic i włożył zwykłe biurowe ubranie. Podczas ubierania machinalnie dotknął tatuażu umieszczonego na wewnętrznej stronie prawej ręki. Tatuaz

składał się z czterech słów po chińsku, które w tłumaczeniu znaczyły: „Najwyższa lojalność w służbie kraju”. Z hasłem związana była opowieść, która go niegdyś zafascynowała.

Za czasów południowej dynastii Song żył słynny generał o imieniu Yuch Fei służący pod rozkazami marszałka polowego, który w pewnej chwili postanowił przejść na stronę wroga. Zdegustowany zdradą dowódcy Fei wycofał się z pól bitewnych i powrócił do domu. Czeka jąca nań matka uświadomiła mu jednak, iż pierwszym obowiązkiem żołnierza jest służba krajowi, i odesłała go z powrotem z tymi właśnie czterema słowami wytatuowanymi na plecach na wieczną pamiątkę. Hemingway słyszał tę opowieść jako mały chłopiec i nigdy jej nie zapomniał. Tatuaż na jego ręce wiązał się z pewną wyjątkowo uciążliwą misją w imieniu CIA, kiedy był o krok od wycofania się. Zmobilizował się, dał sobie zrobić tatuaż i wykonał zadanie.

Hemingway wrócił do swojego skromnego mieszkania na Wzgórzu Kapitolińskim i wszedł do kuchni, by zaparzyć ulubioną czarną herbatę wulong. Zrobił jej cały dzbanek, wraz z dwiema filiżankami postawił na tacy i zaniósł do pokoju.

Nalał herbaty do obu filiżanek i powiedział głośno:

— Zimna wulong nie jest już taka dobra.

W sąsiednim pokoju dał się słyszeć szmer i wyłonił się z niego mężczyzna.

— Dobra, to powiedz mi teraz, co mnie zdradziło? Niczym nie pachnę. Zdjąłem buty. Od pół godziny prawie nie oddycham. Więc co, do cholery?

— Roztaczasz wokół siebie potężną aurę, która jest nie do ukrycia — powiedział Hemingway z uśmiechem.

— Tom, czasem naprawdę mnie przerażasz. Autentycznie. — Kapitan Jack odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się, potem wziął z rąk Hemingwaya filiżankę. Usiadł, pociągnął łyk herbaty i wskazał głową wiszący na ścianie obraz z chińskim pejzażem. — Ładny.

— Oglądałem ten widok na własne oczy. Ojciec kolekcjonował prace tego malarza i rzeźby z czasów dynastii Shang.

— Ambasador Hemingway był niezwykłym człowiekiem. Nigdy nie spotkałem go osobiście, ale dużo o nim słyszałem.

— Był prawdziwym mężem stanu. — Hemingway pokiwał głową, sącząc herbatę. — Niestety dziś jest to gatunek na wymarciu.

Kapitan Jack przez chwilę w milczeniu przyglądał się gospodarzowi.

— Próbowałem czytać te poezje, które mi poleciłeś — powiedział w końcu.

Hemingway uniósł głowę znad filiżanki.

— Zbiór Czerwonego Pieprzu? I co o tym myślisz?

— Że muszę popracować nad moim chińskim.

— To cudowny sposób komunikowania się—rzekł Hemingway z uśmiechem. — Trzeba tylko się w to wgrzyźć.

Kapitan Jack odstawił filiżankę na stolik.

— Więc coś tak ważnego się wydarzyło, że musieliśmy się spotkać osobiście?

— Carter Gray wybiera się na uroczystość w Brennan.

— O cholera, to rzeczywiście na rozmowę w cztery oczy. I jak chcesz to rozegrać?

— Strategia końcówki była wciąż dość problematyczna. Mimo wszelkich zabiegów wciąż mieliśmy do czynienia z dużym stopniem niepewności. Ale teraz, dzięki obecności Graya, zyskamy pewność.

— W jaki sposób?

Hemingway przedstawił swój plan i widać było, że zrobił wrażenie na gościu.

— Myślę, że to rzeczywiście może się udać. Więcej, uważam, że to świetny plan. Świetny i śmiały.

— Jeśli się powiedzie.

— Nie bądź taki skromny, Tom. Powiedzmy sobie szczerze: to akcja, która wstrząśnie światem. — Zamilkł i po krótkiej przerwie dodał: — Tylko nie zlekceważ starego. Carter Gray więcej zdążył zapomnieć o rzemiośle szpiegowskim, niż my obaj zdołaliśmy się nauczyć.

Hemingway otworzył teczkę, wyjął z niej płytę DVD i rzucił ją w stronę rozmówcy.

— Myślę, że to ci się może przydać — powiedział.

Kapitan Jack złapał płytę i spojrzał na Hemingwaya.

— Przepracowałem w Firmie ponad dwadzieścia lat, z tego znaczną część za czasów Graya. A ty?

— Dwanaście, ale w całości w terenie. Przedtem jeszcze dwa lata w NSA. Przyszedłem do NCW rok po objęciu przez Graya stanowiska sekretarza.

— Słyszałem, że szykują cię tam na następcę. Zainteresowany?

Hemingway przecząco pokręcił głową.

— Nie widzę w tym przyszłości.

— Czyli co? Powrót do CIA?

— CIA to anachroniczna instytucja.

— Zgoda! Ale CIA zawsze będzie, nawet po tej całej aferze z iracką bronią masowej zagłady, której nie znaleziono.

— Tak sądzisz? — zdziwił się Hemingway.

— Kiedy na wszelkie możliwe sposoby walczyłem z komunizmem, popierając krwawych dyktatorów, albo organizowałem zaopatrywanie w crack lokalnych społeczności kolorowych, bo potrzebne były fundusze na nielegalne operacje za granicą, albo walczyłem z demokratycznymi rządami w innych krajach, bo nie chciały popierać amerykańskiego biznesu, zawsze podejrzewałem, że muszą istnieć jakieś lepsze sposoby na osiągnięcie celu. Ale już dawno przestałem się łudzić.

— W tej walce nie da się osiągnąć celu przy pomocy żołnierzy i szpiegów — powiedział Hemingway. — To nie takie proste.

— Zatem nie da się tego w ogóle zrobić — rzucił kapitan Jack ostro. — Bo tylko w taki sposób kraje umieją rozsądzać swoje spory.

— Dostojewski napisał kiedyś, że „nie ma nic łatwiejszego, niż potępić złoczyńcę, i nic trudniejszego, niż go zrozumieć”.

— Obaj spędziliśmy na Wschodzie mnóstwo czasu, ale czy naprawdę uważasz, że uda ci się zrozumieć mentalność „złoczyńcy” w postaci bliskowschodniego terrorysty?

— A skąd wiesz, że mówię o „złoczyńcach”? Na pewno nie mamy czystych rąk w stosunku do innych krajów. Szczerze mówiąc, wiele problemów, z jakimi się dziś borykamy, stworzyliśmy sami.

— I dlatego w dzisiejszych czasach istnieje tylko jedna rozsądna motywacja — pieniądze. Jak ci już mówiłem, na niczym innym mi nie zależy. Wrócę sobie na moją uroczą wysepkę i nosa z niej więcej nie wyściubię. Dla mnie to będzie koniec.

— Jesteś brutalnie szczery — powiedział Hemingway.
— Wolałbyś, żebym ci wmawiał, że moje szlachetne motywacje nie dają mi spać i zmuszają do działania na rzecz lepszego świata?
— Nie, wolę brutalną szczerą.
— A dlaczego ty to robisz?
— Dla osiągnięcia czegoś lepszego niż to, co mamy teraz.
— Więc jednak jesteś idealistą? Mówię ci, Tom, jeszcze tego pożałujesz. Albo zginiesz.
— Nie jestem ani idealistą, ani fatalistą. Chcę po prostu urzeczywistnić pewną ideę.
Kapitan Jack pokręcił głową ze smutkiem.
— Walczyłem w życiu już o wszystko, i to po obu stronach barykady. Zawsze będą się toczyć jakieś boje. Kiedyś chodziło o żyzną ziemię i czystą wodę, potem o metale szlachetne i dlatego, że „mój Bóg jest lepszy od twojego Boga”. Nie ma znaczenia, czy wywodziś swoją wiarę od Jeremiasza i Jezusa, Allaha i Mahometa, czy Brahmę i Buddy. Zawsze znajdzie się ktoś, kto ci powie, że się mylisz, i będzie gotów przekonywać cię o tym siłą. Ja osobiście wierzę w kosmitów i do diabła z wszystkimi ziemskimi bogami. We wszechświecie złożonym z biliona planet nie jesteśmy aż tacy ważni. A istota ludzka jest zepsuta do szpiku kości.
— Budda wznosił się ponad materializm, a Jezus był mistrzem wybaczenia wrogom. Gandhi zresztą też.
— Jezusa zdradzono i ukrzyżowano, Gandhiego zamordował Hindus, który nie mógł się pogodzić z jego tolerancją wobec muzułmanów — przypomniał kapitan Jack.
— Pamiętam, jak ojciec mi opowiadał — mówił Hemingway, chodząc po pokoju — jak to Anglicy zasiedli do wyrysowania granic nowych, niepodległych Indii. Starali się wprawdzie odseparować wyznawców hinduizmu od muzułmanów, ale posłużyli się przy tym starymi, nieaktualnymi mapami. Z powodu idiotycznego błędu Angolii trzeba było przesiedlić dwanaście milionów ludzi. Podczas zamieszania, jakie temu towarzyszyło, straciło życie pół miliona ludzi. A wcześniej sztucznie sklecono w jedną całość Irak, co stanowiło początek wielu problemów, z jakimi mamy dziś do czynienia. I takich przykładów jest wiele. Takich, gdy silniejsze kraje narzucają swoją

wolę słabszym i umywają ręce od odpowiedzialności za problemy, które swoim postępowaniem stwarzają.

— Czyli potwierdzasz moją tezę, Tom. Ludzie są zepsuci do szpiku kości.

— Uważam, że nie potrafimy uczyć się na błędach.

— I myślisz, że znalazłeś odpowiedź? — Kapitan Jack wstał z miejsca i ruszył do drzwi. — Wątpię, żebyśmy się jeszcze kiedyś spotkali, chyba że będziesz miał ochotę zamieszkać na małej wysepce na Pacyfiku. Jeśli tak, będziesz mile widziany. Chyba że staniesz się ściganym zbiegiem. Bo wtedy, przyjacielu, będziesz musiał radzić sobie sam.

ROZDZIAŁ 26

Po wyjściu z pubu Alex wstąpił do baru restauracyjnego, gdzie wcisnął się na stół przy kontuarze między dwóch rosnących gliniarzy z policji miejskiej. Włączył się do rozmowy kolegów z bratniej służby i wysłuchał najświeższych ploteczek z ulic. Najbardziej spodobało mu się ostrzeżenie: „Za wszelką cenę wynieś się z miasta podczas Halloween”. Najchętniej wskoczyłby na kontuar i obwieścił głośno wszem wobec, że przed chwilą piękna kobieta zaproponowała mu randkę. Musiał jednak zadowolić się cheeseburgerem z porcją frytek i kawałkiem placka z jagodami, który popił czarną kawą. Potem wrócił do biura, by sprawdzić pocztę elektroniczną.

Sykes jak dotąd nie zareagował na jego raport, choć z systemu uzyskał elektroniczne potwierdzenie, iż raport został przez adresata odebrany. Pokręcił się po korytarzach WFO w nadziei, że może natknąć się na Sykesa i dowie, czy będzie brał udział w dalszym śledztwie. W swojej karierze napisał już tysiące raportów, ale ten miał trafić wprost do centrali, co nie było czymś zwyczajnym dla takich jak on szaraków, których nikt nie uczył, jak postępować i czego się wystrzegać w kontaktach z najwyższym szefostwem agencji. Jak człowiek ma świadomość, że wzrok głównego szefa będzie się wwierał w jego żałosne wypociny, włoski na karku zaczynają stawać dęba.

Przeszedł obok tablicy przydziałów służbowych i stwierdził, iż podobizny jego i Simpsona przeniesiono do kolumny „Zadania specjalne”. Przyglądając się kobiecej twarzy o oliwkowej cerze,

przypomniał sobie kąśliwą uwagę na jej temat: „J-Si”. Może najlepiej, żeby wróciła do Alabamy. Tatuś pewnie byłby zachwycony.

Posiedział jeszcze trochę przy biurku, ale w końcu uznał, że jeśli Sykes będzie chciał się z nim skontaktować, to sam go znajdzie.

Wyszedł na ulicę i wciągnął do płuc potężny haust zimnego, wieczornego powietrza. Uśmiechnął się do swych myśli o Kate Adams i ruszył ulicą sprężystym krokiem, jakim nie poruszał się już od bardzo dawna. Przemknęło mu przez głowę, żeby może wrócić już do domu, jednak czuł potrzebę pogadania z kimś. Tyle że jego wszyscy kumple z Secret Service byli żonaci, a to oznaczało, że albo są teraz na służbie, albo spędzają rzadkie wolne chwile w towarzystwie rodzin. Z młodymi, nieżonatymi pistoletami z WFO zupełnie nie znajdował wspólnego języka.

To mu przypomniało, że za trzy lata, które na pewno szybko zlecą, będzie musiał podjąć kilka ważnych decyzji. Czy przejść na emeryturę, czy zatrudnić się w jakiejś innej agencji? Mógłby wtedy utrzymywać się z emerytury, a zarobki z nowej pracy odkładać. Takie dorabianie na boku nie kolidowało z przepisami i wielu pracowników służb federalnych stosowało je, by podreperować swój fundusz emerytalny. Stanowiło sposób na wyrównanie strat poniesionych podczas lat pracy w sektorze publicznym, gdzie wynagrodzenia były zawsze poniżej rynkowej wartości pracy.

Znaczna część jego dorosłego życia jawiła mu się jak jedno zamazane pasmo nakładających się zdarzeń: wgrzyzania się w specyfikę pracy w Secret Service, użerania się z rzeźmieszkami w obszarach działania ośmiu różnych biur terenowych i pracy w ochronie, kiedy czas upływał na ciągłych podróżach lotniczych z miasta do miasta i z kraju do kraju. Przez te wszystkie lata tak intensywnie zajmował się sprawami innych, że nie starczało mu czasu, by zająć się sobą. I teraz, gdy nadszedł już najwyższy czas, żeby pomyśleć o przyszłości, opadła go nagle niemoc. Bo od czego zacząć? Co ma z sobą zrobić? Czuł, że powoli ogarnia go panika, której nie da się stłumić jednym czy drugim martini.

Stał właśnie na skrzyżowaniu sparalizowany myślą o tym, co

zrobić z resztą swego życia, gdy z odrętwienia wyrwał go dzwonek telefonu. W pierwszej chwili nazwisko i numer na wyświetlaczu nic mu nie powiedziały i dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że Annę Jeffries to narzeczona zastrzelonego Patricka Johnsona.

— Halo?

— Myślisz, że bym nie wiedziała, że człowiek, za którego wychodzę, człowiek, z którym mam spędzić resztę życia, to jakiś cholerny dealer narkotyków? — rozległ się w słuchawce tak głośny krzyk, że musiał ją odsunąć od ucha.

— Pani Jeffries...

— Pozwę was do sądu. Pozwę do sądu FBI i Secret Service. I ciebie osobiście. I tę cholerną pinde, twoją partnerkę.

— Zaraz, chwileczkę. Rozumiem pani zdenerwowanie, ale...

— Zdenerwowanie? Zdenerwowanie nie mieści się nawet w tej samej galaktyce z tym, co teraz czuję. Nie dość, że musieli Pata zamordować, to teraz jeszcze odbierają mu jego dobre imię.

— Pani Jeffries, wykonuję tylko swoje obowiązki...

— Zostaw te swoje żałosne gadki dla mojego adwokata — krzyknęła i rozłączyła się.

Alex schował telefon i głęboko zaczerpnął powietrza. Ciekawe, do kogo teraz dzwoni? Do „Washington Post”? Do programu *60 minutes*? Do wszystkich jego szefów, obecnych i byłych? Wybrał prywatny numer komórkowy Jerry'ego Sykesa, ale zgłosiła się tylko poczta głosowa, więc w miarę dokładnie zrelacjonował rozmowę z rozwścieczoną narzeczoną Johnsona. Cóż, zrobił, co było w jego mocy, ale smród pewnie i tak się rozejdzie.

Teraz już na pewno nie chciał wracać do domu. Chciał się przejść i przemyśleć sprawę.

Jak to się często zdarzało, nogi same go zaniósły w okolice Białego Domu. Skinął głową kilku znajomym w mundurach i przystanął obok chevroleta suburban, w którym siedział kolega po cywilnemu, sącząc czarną kawę. Znali się jeszcze z biura terenowego w Louisville, w którym obaj zaczynali, tyle że ich drogi potem się rozeszły.

Kolega poinformował go, że Potus wydaje dziś wieczór oficjalne przyjęcie, rano cała banda wyrusza na Środkowy

/achód w ramach kampanii wyborczej, po czym wszyscy wracają na uroczystości rocznicowe 11 września w Nowym Jorku.

— Lubię, jak prezydenci nie próżnują — mruknął Alex. Niektórzy szefowie państwa rzeczywiście ciężko tyrali. Pracowali po dwanaście godzin dziennie, potem przebierali się w smokingi i ruszali do waszyngtońskiego kontredansa, by w końcu wrócić do domu i do wczesnych godzin rannych wisieć na telefonie. Ale byli też i tacy, którzy lubili się objąć i wcześniej kończyli pracę. Alex nigdy nie uważał prezydentury /a zajęcie, w którym wolno się objąć.

Przeszedł na stronę parku Lafayette i z zaskoczeniem dostrzegł światło w namiocie Stone'a. Może wreszcie znajdzie kogoś, z kim będzie mógł pogadać.

— Oliver? — zawołał cicho, stając obok oświetlonego namiotu.

Pałatka u wejścia namiotu odchyliła się i w otworze pojawiła się twarz, której nie poznał.

— Przepraszam, szukam...

— Agent Ford — rzekł Oliver Stone, wysuwając się na zewnątrz.

— Oliver? To ty?

Stone uśmiechnął się i potarł gładko ogolony podbródek.

— Od czasu do czasu człowiekowi potrzebna jest odmiana — powiedział.

— Byłem tu wczoraj wieczorem.

— Adelpia mi mówiła. Brakuje mi naszych partii szachów.

— Boję się, że nie byłem dla ciebie zbyt wymagającym przeciwnikiem.

— W ciągu tych paru lat bardzo się pan podciągnął — zapewnił go Stone.

W czasach gdy Alex należał do ekipy strzegącej siedziby prezydenta, odwiedzał Stone'a, gdy tylko pozwalały mu na to liczne obowiązki. Ich znajomość zaczęła się od rutynowej kontroli terenów wokół Białego Domu. W tamtych czasach Alex uważał, że każdy, kto bez odznaki Secret Service w kłapie przebywa w promieniu kilometra od Białego Domu, jest potencjalnym wrogiem. Stone się do nich zaliczał.

To, co go jednak naprawdę zaintrygowało w człowieku podającym się za Olivera Stone'a, to jego brak przeszłości. Wprawdzie dotarli do niego pogłoski, iż Stone pracował kiedyś w jakiejś rządowej agencji, ale przeczesał każdą dostępną mu bazę danych i nic nie znalazł. Nie szukał oczywiście pod hasłem „Oliver Stone”, bo wiedział, że to pseudonim, natomiast podstępnie zdobył jego odciski palców i przepuścił je przez AFIS, gigantyczną zautomatyzowaną bazę daktyloskopijną FBI. Wynik poszukiwania był negatywny. Potem zrobił to samo z wojskowymi bazami danych, własną bazą Secret Service i z wszystkimi innymi, jakie mu przyszły do głowy. Wszystkie próby dały dokładnie ten sam wynik: zero. Z punktu widzenia kartotek agencji rządowych Stanów Zjednoczonych Oliver Stone po prostu nie istniał.

Pojechał nawet kiedyś za nim do jego dozorcówki na cmentarzu. Porozumiał się potem z władzami kościoła, do którego należał cmentarz, ale te odmówiły wszelkich informacji na temat ich dozorczy cmentarnego, a Alex nie miał pretekstu, by próbować wywrzeć na nie nacisk. Kilkakrotnie obserwował Stone'a przy pracy na cmentarzu i miał nawet ochotę przeszukać dozorcówkę pod jego nieobecność, jednak ze Stone'a biła taka duma i szczerość, że w końcu zrezygnował.

— Więc w jakiej sprawie pan mnie szukał? — zapytał Stone.

— Po prostu przechodziłem. Adelpia powiedziała, że jesteś na jakimś spotkaniu.

— Lubi koloryzować. Pojechałem na Mail spotkać się z kolegami. Lubimy sobie tam pospacerować nocą. — Zamilkł na chwilę, po czym dodał: — A co słyszał w WFO?

— Fajnie jest znów zajmować się konkretnymi sprawami.

— Słyszałem, że zabili jednego z waszych.

— Patricka Johnsona. — Alex kiwnął głową. — Pracował w Narodowym Centrum Oceny Zagrożeń. Zostało teraz wchłonięte przez NCW, ale zajmuję się tym, bo Johnson był niejako naszym wspólnym pracownikiem.

— Pan się tym zajmuje? — zdziwił się Stone. — Chce pan powiedzieć, że to pan prowadzi tę sprawę?

Alex przez moment się zawahał. Właściwie nie było powodu, żeby miał się wypierać związków z tą sprawą. Nie była przecież utajniona.

— Kazali mi się temu przyjrzeć, ale wygląda, że sprawa jest już zakończona.

— Nic nie słyszałem.

— W domu Johnsona znaleźli skrytkę z heroiną. Uważa się, że załatwili go jego kumple od narkotyków.

Nie chciał nic mówić o telefonie od Annę Jeffries, bo ta sprawa nie trafiła jeszcze do opinii publicznej.

— A co pan o tym myśli? — zapytał Stone.

— Kto to wie? — Alex wzruszył ramionami. — Zresztą my tylko kibicujemy FBI.

— Ale przecież zabito człowieka.

Alex spojrział na Stone'a pytająco.

— Tak? Wiem o tym.

— Od lat pana obserwuję, agencie Ford. Jest pan spozstrzegawczy, skrupulatny i dobrze pan skojarzył. Myślę, że powinien pan to wykorzystać w tej sprawie. Jeżeli ten człowiek zajmował się czymś ważnym dla bezpieczeństwa kraju, dodatkowa para oczu na pewno się przyda.

— Sam się nad tym zastanawiałem, Oliver. Bo jeśli to nie narkotyki...?

— Otóż to! Bo jeśli nie narkotyki, to co? Myślę, że należałoby mocno popracować nad znalezieniem odpowiedzi na to pytanie. Może odpowiedź tkwi w tym, czym się zajmował? Nie uważa pan, że podrzucenie narkotyków to łatwy sposób odwrócenia uwagi?

Alex nie wyglądał na zbyt przekonanego.

— To bardzo mało prawdopodobne — powiedział. — A poza tym powiem ci szczerze, że NCW to zbyt duże kłębowisko zmij, żeby ktoś, kto za trzy lata wybiera się na emeryturę, chciał w nie wdepnąć.

— Trzy lata to nie tak długo, agencie Ford. W każdym razie dużo krócej niż to, co już pan ma za sobą w służbie dla kraju. A niestety, słusznie czy niesłusznie, człowieka najczęściej zapamiętują po tym, jak kończy karierę.

— Tylko jeśli teraz się na tym potknę, to może się okazać, że już nie będę miał czego kończyć.

— Ale warto też pamiętać, że sam zainteresowany też najlepiej zapamiętuje końcówkę swojej kariery. A pan będzie miał jeszcze kilkadziesiąt lat, żeby to rozpamiętywać i być może żałować. A to strasznie długo.

Alex zostawił Stone'a i wolno ruszył w stronę samochodu. To, co powiedział ten dziwak, właściwie miało sens. Pewne okoliczności związane ze śmiercią Patricka Johnsona nie były jasne. Znaleziona skrytka z narkotykami była zbyt dobrym wytłumaczeniem jego śmierci; trochę innych szczegółów też nie pasowało. Musiał przyznać, że podszedł do tej sprawy bez większego entuzjazmu i chętnie oddał inicjatywę ludziom z FBI, gotów przyjąć ich wnioski za własne.

Poza tym Stone miał rację jeszcze w jednym. Po swoim wypadku Alex został w Secret Service dlatego, że nie chciał kończyć kariery przejściem na rentę inwalidzką. Potraktowanie dużej sprawy kryminalnej z obojętnością i przymykaniem na wszystko oczu też nie stanowiło wymarzonego sposobu zakończenia kariery. W grę wchodziła jego duma zawodowa. A skoro amerykańscy prezydenci nie powinni się obijać w pracy, agenci Secret Service tym bardziej.

Oliver Stone patrzył chwilę za odchodzącym Alekssem, po czym ruszył w drogę powrotną do swej dozorczówni. Z komórki zostawionej mu przez Milтона zadzwonił do Caleba i opowiedział o spotkaniu.

— Nie mogłem nie wykorzystać takiego zbiegu okoliczności — wyjaśnił.

— Ale i tak mu nie powiedziałaś, że byliśmy świadkami zabójstwa, prawda?

— Agent Ford jest funkcjonariuszem federalnym. Gdybym mu powiedział, musiałby postąpić zgodnie z regulaminem. Moja nadzieja w tym, że uda mu się dogrzebać w NCW do czegoś, co dla nas byłoby nieosiągalne.

— Ale czy nie narażasz go na niebezpieczeństwo? Bo skoro NCW załatwia własnych ludzi, zabicie agenta Secret Service też nie będzie dla nich trudne.

— Agent Ford ma głowę na karku. Ale rzeczywiście trzeba będzie przyjąć na siebie rolę aniołów stróżów, nie sądzisz?

Rozłączył się i żołądek przypomniał mu, że nie jadł dziś kolacji. Poszedł do kuchni i przyrządził porcję zupy, którą zjadł, siedząc przed rozpalonym ogniem w kominku. Niezależnie od pory roku od cmentarza zawsze wiało chłodem.

Potem zasiadł na swym starym fotelu i wziął do ręki książkę wybraną z bardzo bogatej kolekcji, którą udało *mu się* skompletować dzięki Calebowi. Tylko to mu już zostało: kilku przyjaciół, trochę książek, garść wspomnień.

Jak zwykle rzucił okiem na kasetkę zawierającą album z fotografiami i choć wiedział, że nie powinien tego robić, odłożył książkę i przez następną godzinę nurzał się w przeszłości. Najwięcej czasu spędził nad zdjęciami córki. Na jednym z nich stała z bukietem stokrotek, swych ulubionych kwiatków. Uśmiechnął się na wspomnienie, że wymawiała je stokotki. Na innym zdjęciu zdmuchiwała świece na tortie. Tort nie był urodzinowy. Po upadku na potłuczone szkło musiano jej założyć parę szwów na dłoni i tort był nagrodą, bo bardzo dzielnie to zniosła. Skaleczenie zostawiło we wnętrzu jej prawej dłoni bliznę w kształcie półksiężyca. Całował tę bliznę zawsze, kiedy ją przytulał. Miał tak niewiele związanych z nią wspomnień, że desperacko czepiał się każdego.

W końcu wrócił myślami do ich ostatniej nocy. Dom stał samotnie na prawdziwym odludziu. Jego ówczesny pracodawca bardzo przy tym obstawał, ale dopiero po napaści Stone zrozumiał dlaczego.

Pamiętał skrzypnięcie otwieranych drzwi. Odcięci od jednego dziecka, ledwo zdążyli z żoną wymknąć się przez okno, gdy rozpoczęła się cicha strzelanina. Stone pamiętał, że oczami wyobraźni widział potężne tłumiki nakręcone na lufy pistoletów. *Puh-puh-puh*. Pociski bzycały im koło głowy jak uparte komary. Potem *usłyszał krzyk żony* i było po wszystkim. *Już nie żyła*. Później jeszcze zabił dwóch napastników z ich własnej broni, następnie ukrył się w bezpiecznym miejscu.

Tej nocy po raz ostatni widział żonę i córkę. Następnego dnia ich dom został całkowicie wybebeszony, a wszystkie ślady morderczego ataku zatarte tak, jakby nigdy do niego nie doszło. Wszelkie podejmowane w ciągu kolejnych lat próby odnalezienia córki spełzły na niczym. Jego Beth. Naprawdę miała na imię Elizabeth, ale oboje z żoną mówili na nią Beth. Była śliczną dziewczynką i oczkiem w głowie ojca. Jego jedyną córką, którą na zawsze utracił podczas tamtej straszliwej nocy kilkadziesiąt lat temu.

Kiedy wreszcie poznał całą prawdę, ogarnęła go przemożna

chęć zemsty. Jednak potem wydarzyło się coś, co myśli o zemście raz na zawsze oddaliło. Przeczytał w gazecie o gwałtownej śmierci pewnego ważnego człowieka w dalekim zamorskim kraju. Okoliczności jego śmierci nigdy nie zostały w pełni wyjaśnione. Człowiek ów zostawił żonę i dzieci, a Stone nie miał wątpliwości, że śmierć nosi piętno jego dawnego pracodawcy. Cała sprawa miała też szczególnie osobisty wydźwięk dla niego samego.

I wtedy zdał sobie sprawę, że nawet śmierć żony i utrata jedyne dziecko nie dają mu prawa do zemsty. Zbyt liczne i ciężkie były jego własne grzechy przeszłości, które popełniał pod cienką i kruchą osłonką patriotyzmu. Uświadomienie sobie tego właściwie pozbawiło go prawa do szukania odwetu za zbrodnię popełnioną na jego rodzinie.

Zapadł się wtedy pod ziemię, podróżując po świecie pod rozlicznymi przybranymi nazwiskami. Nie było to trudne, bo jego rząd doskonale go w tej sztuce wyszkolił. Po wielu latach włóczęgi przystąpił do realizacji jedyne scenariusza, jaki mu jeszcze pozostał. Stał się Oliverem Stone'em, człowiekiem cichego protestu, poświęcającym czas na obserwację i analizę istotnych zdarzeń w życiu Ameryki, na które inni nie zwracali uwagi. Ale nie mogło to oczywiście zrównoważyć cierpienia, jakie odczuwał po stracie dwóch najważniejszych osób w życiu. Wiedział, że ten ciężar przyjdzie mu dźwigać po kres swoich dni.

Gdy w końcu usnął w fotelu przy dogasającym ogniu, okładka albumu długo jeszcze lśniła od jego łez.

ROZDZIAŁ 27

Dżamila obudziła się w swym mieszkanku na przedmieściach Brennan o piątej rano i chwilę później przystąpiła do pierwszych modłów tego dnia. Po obmyciu się, zdjęciu butów i przykryciu głowy rozpoczęła muzułmański rytuał wstawania, siadania, bicia pokłonów i kładzenia się na modlitewnym dywaniku. Modlitwę rozpoczęła od wyrecytowania *shahady*, najważniejszego wyznania wiary muzułmańskiej: *La ilaha UlaAllah*, czyli „Nie ma boga nad Boga”. Potem wyrecytowała pierwszą surę, która rozpoczynała Koran. Modliła się w zupełnej ciszy i tylko jej wargi poruszały się, bezgłośnie wypowiadając kolejne słowa modlitwy. Po skończeniu *salat* przebrała się i zasiadła do śniadania.

Rozglądając się po skromnej kuchence, Dżamila przypomniała sobie wczorajszą rozmowę z Lori Franklin. W rozmowie tej okłamała swoją pracodawczynię, ale Amerykanka nie miała szans, żeby ją na tym kłamstwie przyłapać. Z jej oficjalnych dokumentów wynikało, że jest Saudyjką, co łącznie z tym, że jest kobietą, pomogło jej bez trudności wjechać do Ameryki, i to w czasach zaostrzonej kontroli po zamachach z 11 września. W rzeczywistości Dżamila urodziła się w Iraku i była sunnitką, podobnie jak ponad osiemdziesiąt procent wszystkich muzułmanów na świecie, choć akurat w Iraku stanowią oni mniejszość. Niegdyś rozbieżności między odłamami sunnitów i szyitów sprowadzały się głównie do osoby następcy proroka Mahometa, jednak dzielące je obecnie różnice były znacznie liczniejsze i głębsze.

Szyici uważają, że czwarty sprawiedliwy kalif Ali Ibn Abi Talib, zięć Mahometa i jednocześnie jego brat stryjeczny, jest prawowitym następcą proroka, związanym z nim więzami krwi. Odbywają z tego powodu regularne pielgrzymki do błękitnego meczetu w Mazar-i Sharif, gdzie znajduje się grobowiec Alego. Sunnici z kolei wierzą, że Mahomet nie wyznaczył swego następcy, w związku z czym sami wybierali kalifów, którzy po śmierci proroka mieli kontynuować jego dzieło. Wprawdzie zarówno szyici, jak i sunnici zgadzają się, że żaden z następców Mahometa nie osiągnął takiego znaczenia jak prorok, ale to, iż trzech spośród czterech kalifów umarło gwałtowną śmiercią świadczy najlepiej o ogromnych emocjach, jakie ta sprawa budziła w społeczności muzułmańskiej.

Pod świeckimi rządami Saddama Husajna kobietom takim jak Dżamila wolno było prowadzić samochód, podczas gdy w Arabii Saudyjskiej jest to zabronione. Saudyjczycy ściśle przestrzegają surowych zasad szarijatu, czyli prawa muzułmańskiego. Zasady te nakazują kobietom całkowite zakrywanie ciała w każdych okolicznościach, zabraniają udziału w wyborach, a nawet wychodzenia z domu bez pisemnej zgody męża. Przestrzegania tych zasad skrupulatnie pilnuje nieustępliwa i uzbrojona w pejcze policja religijna.

W centrum Rijadu znajduje się też sławetne miejsce zwane „Placem rach-ciach”, gdzie w każdy piątek ci, którzy złamali reguły szarijatu, poddawani są publicznej karze. Dżamila raz uczestniczyła w tym przerażającym spektaklu, obserwując ze zgrozą, jak pięciu skazanym obcinają ręce, a dwóm innym — głowy. Dużo łagodniejszą formą kary bywa *falladża*, czyli chłosta wymierzana w podeszwy stóp w sposób niezostawiający wprawdzie śladów, ale tak bolesny, że ofiara nie jest w stanie odejść o własnych siłach.

Mimo to świat na ogół patrzył w drugą stronę. Działo się tak od chwili, gdy król Ibn Saud — władca, który podbił Arabię i nadał jej swoje imię — zaangażował ekipę geologów do wody, ci zaś zamiast wody znaleźli ropę naftową. Dzięki posiadaniu jednej czwartej ogólnoswiatowych złóż czarnego złota ukrytych pod piaskami Arabia Saudyjska stała się ulubieńcem wszystkich wysoko uprzemysłowionych krajów świata, zaś Saudyjczycy mogli od tej pory robić u siebie wszystko, co

im się żywnie podobało, nie musząc się obawiać jakichkolwiek reperkusji.

Jednak to, co Dżamila opowiedziała Franklin, nie we wszystkim było kłamstwem. Jako mieszkanka Bagdadu i sunnitka jak Saddam Husajn rzeczywiście mogła się ubierać według własnego uznania i faktycznie odebrała staranne wykształcenie, ale i tak nienawidziła życia pod rządami irackiego dyktatora. Wielu spośród jej przyjaciół i członków rodziny „zniknęło” tylko dlatego, że odważyli się głośno skrytykować despotycznego władcę. Podczas inwazji amerykańskiej na Irak modliła się, by padł reżim Husajna, i jej modły zostały wysłuchane. Początkowo ona i jej przyjaciele z radością powitali nadejście Amerykanów i ich sojuszników, traktując ich jak bohaterów przywracających Irakowi wolność. Potem jednak sprawy szybko przybrały inny obrót.

Któregoś dnia Dżamila wróciła z targu i zastała swój rodzinny dom obrócony w kupę gruzu w wyniku pomyłkowego ataku z powietrza. Zginęła cała jej najbliższa rodzina, łącznie z dwoma młodszymi braćmi. Po tej tragedii przenieśli się do Mosulu i zamieszkała u dalszej rodziny. Wkrótce potem bojownicy przeciwko obecności Amerykanów w Iraku zdetonowali samochód-pułapkę i zginęła i ta rodzina Dżamili.

Przenieśli się wtedy do Tikritu, gdzie zamieszkała w domu kuzyna, ale działania wojenne i stamtąd ją wypędziły. Od tamtej pory stała się bezdomna, dołączając do rosnącej liczby Irakijczyków wiodących praktycznie koczowniczy tryb życia. Ludzie ci bezustannie przenosili się z miejsca na miejsce, uciekając przed walkami toczonymi z Amerykanami i ich sojusznikami przez rosnącą rzeszę powstańców. W jednej z takich koczowniczych grup natknęła się na mężczyznę głośno oskarżającego Amerykanów o hołdowanie współczesnej odmianie imperializmu, w której chodzi jedynie o bezcenną ropę. Człowiek ten dowodził, iż obowiązkiem wszystkich muzułmanów jest stawiać czynny opór wrogom islamu.

Jak większość muzułmanów, Dżamila знаła dotąd tylko jedną formę dżihadu — tak zwany większy dżihad, polegający

na toczeniu walki z samym sobą o bycie lepszym i wierniejszym wyznawcą islamu. Jednak człowiek ów mówił wyraźnie o jakimś innym dżihadzie. „Mniejszym dżihadem” nazywał świętą wojnę z wrogami islamu, odwołując się przy tym do koncepcji zrodzonej wśród wyznawców islamu w siódmym wieku. Początkowo Dżamila odrzucała nawoływania owego człowieka, jako nieodpowiedzialne mrzonki, jednak w miarę jak jej osobista sytuacja coraz bardziej się pogarszała, zaczęła z większą uwagą słuchać jego i jemu podobnych. To, co mówili, w połączeniu z okropnościami, jakich sama była świadkiem, zaczynało przemawiać do młodej kobiety, która straciła wszystko. Wkrótce jej apatia i smutek ustąpiły miejsca nowemu uczuciu — gniewowi.

Później Dżamila trafiła do Pakistanu, potem do Afganistanu, gdzie poddano ją szkoleniu w umiejętnościach, o których wcześniej nawet by nie pomyślała. W czasie pobytu w Afganistanie nosiła burkę, trzymała język za zębami i słuchała mężczyzn. Po wizycie na targu jej szata mocno pęczniała, bo ukrywała pod nią wszystkie zakupy. Jej afgańska burka miała otwór na twarz przesłonięty siatką, której zadaniem było uniemożliwić kobiecie rozglądanie się na boki. Jeśli chciała na coś spojrzeć, musiała zwrócić głowę. Jak jej wytłumaczono, pozwalało to mężowi ściśle kontrolować przedmiot zainteresowań żony. Nawet po obaleniu talibów zwyczaj noszenia takich burek był przez wielu podtrzymywany. Ale nawet te kobiety, które odważyły się zrzucić burki, wcale tak naprawdę nie były wolne. Dżamila widziała, jak ich mężowie, bracia, a nawet synowie ściśle kontrolują wszystkie aspekty ich życia.

Po wielu miesiącach szkoleń wyruszyła wraz z grupą sobie podobnych do Stanów Zjednoczonych. Wszystkie legitymowały się fałszywymi dokumentami i wszystkie paliła żądza odwetu na wrogu, który zniszczył ich całe dotychczasowe życie. Dżamilę nauczono, że wszystko, co amerykańskie, jest złe, że zachodni styl życia i zachodnie wartości stoją w całkowitej sprzeczności z wiarą muzułmańską, i że naczelnym celem Amerykanów jest całkowite zniszczenie islamu. Jak więc nie walczyć z takimi potworami?

Jej pierwsze tygodnie w Ameryce upłynęły na monotonnej

egzystencji i podglądaniu zdumiewających obyczajów. Całymi tygodniami jej jedynym zadaniem było przekazywanie wiadomości, ale pozwalało to przyglądać się Ameryce — jej największemu wrogowi. Chodziła po sklepach w towarzystwie pewnej Afganki, którą szokowały nawet wizerunki ludzi na opakowaniach towarów. Pod rządami talibów tego rodzaju obrazki były surowo zakazane.

Stwierdziła, że Amerykanie to rośli ludzie z ogromnym apetytem i jeszcze większymi samochodami. Dżamila nigdy wcześniej nie widziała tak olbrzymich samochodów. W sklepach było pełno wszystkiego, a ludzie ubierali się w najdziwniejsze rzeczy. Kobiety i mężczyźni nie wstydzili się obejmować na ulicy, a niektórzy nawet publicznie się całowali w obecności obcych. I wszystko wokół pędziło tak szybko, że z trudem mogła nadążyć. Czuła się, jakby ją przeniesiono gdzieś w daleką przyszłość. Wszystko to ją przerażało, ale budziło też dziwną ciekawość.

A potem odłączono ją od grupy, z którą przybyła do Ameryki, przeniesiono do innego miasta, gdzie przeszła kolejne szkolenie. Nadano jej zupełnie nową tożsamość, otrzymała też fałszywe referencje od poprzednich pracodawców. Wtedy też przekazano jej specjalny van, którym teraz jeździła, i wysłano do Brennan, gdzie podjęła pracę u Franklinów w charakterze niani. Lubiła tę pracę i z prawdziwą przyjemnością spędzała czas w towarzystwie chłopców, jednak w miarę upływu czasu coraz bardziej tęskniła za krajem. Ameryka po prostu nie była miejscem dla niej.

Zawsze marzyła o chwili, gdy odbędzie *hadżdż*, pielgrzymkę do najświętszego miejsca islamu — Mekki — miejsca narodzin Mahometa. Jako dziecko słuchała opowieści starszych, którzy odbyli tę najważniejszą podróż w życiu każdego muzułmanina. Wyobrażała sobie, jak wraz z innymi stoi w kręgu otaczającym Wielki Meczet, czyli Al-Masdzid al-Haram w Mekce, i odmawia modlitwy.

Potem pielgrzymka przenosiła się do Al-Muzdalify, gdzie odbywały się nocne modły i gdzie zbierano dwadzieścia jeden kamyków do symbolicznego ukamienowania szatana w Minie. W Minie mijały kolejne dwa lub trzy dni na różnych uroczystościach, po czym pielgrzymi wracali do Mekki. Od tego

momentu do nazwiska można było dodać tytuł *hadździ*, co symbolizowało odbycie pielgrzymki.

Jako małą dziewczynkę, Dżamilę najbardziej pociągały opowieści o rozkoszach związanych z radosnym czterodniowym okresem na zakończenie pielgrzymki, które zwano *id al-adha*, czyli Świętem Ofiar lub Wielkim Świętem. Cieszyła się także, że będzie jej wolno namalować na drzwiach wejściowych środek transportu, którym udała się na pielgrzymkę do Mekki. Był to stary egipski obyczaj, z którego czasem korzystali muzułmanie w innych krajach. Jednak Dżamili nie udało się przed wybuchem wojny w jej kraju pojechać do Mekki i teraz miała wątpliwości, czy jeszcze kiedykolwiek jej się to uda. Szczerze mówiąc, wątpiła, by udało jej się wrócić do ojczyzny inaczej niż w trumnie.

Spakowała rzeczy potrzebne do pracy i zeszła na dół. Jak zwykle zerknęła na przestrzeń ładunkową z tyłu vana, gdzie mieściło się dodatkowe wyposażenie, jakie producentom pojazdu nie przyszłoby nawet do głowy.

W biurze agenta nieruchomości, mieszczącym się w centrum Brennan, kapitan Jack sfinalizował transakcję kupna nowej nieruchomości — warsztatu naprawczego samochodów. Dystyngowany „biznesmen” w eleganckim dwuczęściowym garniturze odebrał klucze, podziękował dotychczasowemu właścicielowi i jego agentowi i odjechał swym luksusowym kabrioletem audi. Obaj pożegnali go uśmiechami i życzeniami powodzenia, po czym usiedli, by podzielić się pieniędzmi.

Wam też życzę szczęścia, chciałby im powiedzieć, i całemu Brennan też, bo na pewno wszystkim wam się przyda.

Parę minut później kapitan Jack zaparkował przy krawężniku, otworzył swego iPAQa, wszedł do Sieci i dołączył do uczestników czatu. Dzisiejszym tematem był *Czarnoksiężnik z krainy Oz*. Pamiętał ten film z dzieciństwa. Pamiętał też, że w odróżnieniu od większości widzów współczuł losowi uwięzionych latających małp. Wysłał zakodowaną wiadomość o spotkaniu w parku.

Warsztat samochodowy miał odegrać jedną z kluczowych ról w całej operacji i udział kobiety stawał się bardzo istotny. Jeśli nie stanie na wysokości zadania, wszystkie wysiłki mogą pójść na marne. Pewnych spraw nie da się odczytać z bez-

płciowych e-maili. Na przykład tego, czy ktoś ma w sobie dość zapału, by wykonać zadanie. I wtedy najlepiej ocenić to samemu.

Dzień był pochmurny i dość chłodny, w parku było więc niemal pusto. Kapitan Jack siedział na ławce, czytając gazetę i sącząc kawę. Zanim wysiadł z samochodu, przez pół godziny uważnie obserwował okolicę. Wiedział, że prawdopodobieństwo, by ktoś go śledził, jest bliskie zeru, zdawał sobie jednak sprawę, że w jego branży nie da się długo przeżyć, nie dmuchając na zimne. Wystarczy się potknąć o drobny, ale istotny szczegół.

Pierwsze strony pełne były niesłuchanie ważnych wiadomości. Ku zaskoczeniu wszystkich po wczorajszym nagłym spadku notowania na giełdzie poszły w górę. Gazeta aż kipiała od komentarzy na temat rozgrywek futbolu amerykańskiego, nazywając je „Wojną na boisku”. Cóż, mogli je tak nazywać tylko ci, którzy nie zaznali prawdziwej wojny. Kapitan Jack wyczytał też szokującą wiadomość, że jeden z gwiazdorów filmowych właśnie zostawił żonę dla innej gwiazdy filmowej. Potem natknął się na równie sensacyjną wiadomość, że jakiegoś gwiazdora rocka przyłapano podczas koncertu, że śpiewa z playbacku. Oraz że w wybuchu samochodu-pułapki w niekończącej się serii wzajemnych zamachów zginęło trzech Izraelczyków, a władze Izraela zapowiedziały natychmiastowy odwet. Kapitan Jack nie miał wątpliwości, że słowa dotrzymają. Wiedział, że z Izraelczykami nie ma żartów. Kapitan Jack był człowiekiem bardzo odważnym i brał udział w niejednej bitwie, ale nawet on z Izraelczykami wolał nie zadzierać.

Na jednej z dalszych stron znalazł niewielką notatkę o milionach ludzi, którzy w Afryce wciąż umierają na AIDS. Potem rzucił okiem na inną na temat milionów tracących życie w tamtejszych wojnach domowych. Jeszcze inna donosiła, że połowa ludzkości żyje w całkowitej nędzy. Codziennie umierają tysiące dzieci dlatego, że nie mają co włożyć do ust.

Kapitan Jack odłożył gazetę. Nie uważał się za moralistę, w życiu zabił już wielu ludzi i jeśli naprawdę istnieje niebo i piekło, nie miał wątpliwości, gdzie spędzi resztę wiecz-

ności. Ale, na litość boską, śpiewanie z playbacku na pierwszej stronie?

Usłyszał głosy dzieci, ale nawet nie odwrócił głowy. Potem dotarły do niego dźwięki kołyszącej się huśtawki i miarowe skrzypienie. Uśmiechnął się w duchu do głośnych okrzyków dziecięcego zachwytu.

W końcu głosy dzieci ucichły. Płynęły kolejne minuty, w czasie których dobiegł go dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi samochodu, potem słuchał zbliżających się kroków. Kroki były równe, miarowe, stawiane bez pośpiechu. Usłyszał lekkie skrzypnięcie ławki tuż za sobą, gdy ten ktoś usiadł. Natychmiast podniósł do oczu odłożoną gazetę.

— Myślę, że w tym roku Steelersi mogą zdobyć mistrzostwo.

— Nie, ja postawiłam na Patriotów.

— Jest pani pewna?

— Jestem zupełnie pewna tego, co mówię. Gdybym nie była pewna, tobym nic nie mówiła.

Padło hasło i odzew i kapitan Jack mógł przystąpić do dzieła.

— U Franklinów wszystko w porządku? — zapytał.

— Tak, doskonale — odrzekła Dżamila.

— Wszystko zgodnie z przewidywaniami? Żadnych niespodzianek?

— Prowadzą bardzo uregulowane życie. On cały czas pracuje. Ona cały czas baluje.

Dosłyszał sarkazm w jej głosie.

— Tak myślisz?

— Nie, wiem. — Zamilkła i po chwili dodała. — Amerykanie mnie brzydzą.

— Naprawdę?

— To nieczyste wieprze. Są źli, wszyscy bez wyjątku!

Powiedział coś po arabsku, co ją zmroziło.

— Posłuchaj mnie uważnie — rzekł z naciskiem. — Jest trochę złych Amerykanów i jest trochę złych muzułmanów. Ale większość pragnie żyć w pokoju i w miarę szczęśliwie. Chcą mieć domy, rodziny, modlić się do Boga i umierać z godnością.

— Rujnują mój kraj! Upierają się, że Irak współpracuje z Al-Kaidą i z talibami. To czyste szaleństwo. Husajn i Bin Laden to śmiertelni wrogowie, wszyscy to wiedzą. Piętnastu

z dziewiętnastu porywaczy z jedenastego września było Saudyjczykami. A mimo to czołgi amerykańskie nie jeżdżą po ulicach Rijadu, tylko Bagdadu.

— I obalają człowieka, któremu pomagali utrzymać się przy władzy, tak, wiem. Ale Irak nie jest właścicielem kawałka Ameryki, tak jak Arabia Saudyjska. A poza tym zawsze wielkie „cywilizacje” rządzą rzeź tym, którzy im stają na drodze. Porozmawiaj sobie o tym z Indianami. A jakbyś chciała się dowiedzieć czegoś o okrucieństwach muzułmanów wobec innych muzułmanów, to spytaj Kurdów.

— Mówisz mi takie rzeczy. Teraz mi takie rzeczy mówisz! Ale dlaczego? Dlaczego?

Głos kapitana Jacka był nadal spokojny, ale pojawiła się w nim twardość.

— Dlatego że nie wolno ci mylić złości z pasją, bo to mogłoby zaprzepaścić wszystkie nasze dotychczasowe wysiłki. Masz się skupiać, nie nienawidzić. Nienawiść popycha człowieka do czynów irracjonalnych. A ja nie toleruję działań irracjonalnych, rozumiesz?

Zapadła cisza.

— Pytam, czy mnie rozumiesz?

— Tak — odparła w końcu Dżamila.

— Nasz plan uległ zmianie. Jest teraz nieco bardziej zwarty. Posłuchaj mnie bardzo uważnie. A potem powtarzaj go, aż zapamiętasz w najdrobniejszych szczegółach.

Kiedy skończył przekazywać nowe szczegóły, Dżamila kiwnęła głową.

— Rzeczywiście, tak jak mówiłeś, teraz jest prostszy. Tak właśnie chciałam wejść do domu Franklinów.

— Prawda. Ale trzeba wszystko przewidzieć. Jeśli w tym dniu plany Franklinów ulegną zmianie — co może się zdarzyć, bo w końcu prezydenci nie przyjeżdżają tu co dzień — ktoś będzie cię asekurował. Pamiętasz hasło?

— Nadciąga burza — odparła Dżamila. — Ale nie sądzę, żeby to było konieczne.

— Jeśli okaże się konieczne, to tak będzie. — Powiedział /, naciskiem po arabsku.

Zawahała się.

— A jeśli naprawdę nadciągnie burza? — spytała cicho.

— To wtedy zrobisz to, po co cię tu sprowadzono. A jeśli cię złapią, czekać cię będzie nagroda. *Jakfida'iego*.

Dżamila uniosła wzrok ku jaśniejszej plamie na zachmurzonym niebie i uśmiechnęła się. Jeszcze nikt nigdy nie nazwał jej *fida'iem*.

Wciąż jeszcze siedziała wpatrzona w niebo, gdy kapitan Jack bez słowa podniósł się i oddalił.

Wiedział już wystarczająco dużo.

ROZDZIAŁ 28

— Myślałam, że ta sprawa jest już zamknięta — powiedziała Jackie Simpson, gdy ruszyli samochodem Aleksa spod budynku WFO.

— Niczego takiego nie powiedziałem.

— Biuro znalazło narkotyki, ty napisałeś raport i powiedziałeś, że wracasz do tropienia oszustów i sterczenia pod drzwiami. Pamiętam dobrze, bo przy okazji udzieliłeś mi też paru świetnych rad w sprawie mojej dalszej kariery.

— Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie Annę Jeffries. Oświadczyła, że te narkotyki to kompletna bzdura. Zagroziła, że nas pozwie do sądu.

— To ona plecie bzdury. Nie może nas pozwać za wypełnianie obowiązków. Przecież, do cholery, nie podrzuciliśmy tych prochów.

Alex spojrział na nią z ukosa.

— A jeśli zrobił to ktoś inny?

Odwzajemniła się spojrzeniem pełnym powątpiewania.

— Ktoś podrzuca narkotyki? Ale po co?

— Właśnie tego musimy się dowiedzieć. Bo od samego początku coś tu nie gra.

— Wszystko gra, jeśli przyjmiesz do wiadomości, że Patrick Johnson zrobił kupę forsy na handlu narkotykami, że miał się ożenić i że nie umiał tych spraw pogodzić.

— Jeśli nie umiał tego pogodzić, to dlaczego w ogóle chciał się żenić?

— Może wbrew pozorom panna Annę jest superbabą w łóżku i postanowiła mu nie dawać bez obrączki na palcu. Więc jej najpierw obiecał, a potem opadły go wątpliwości. Czuł się złapany w potrzask i uznał, że jedynym wyjściem będzie kulka w łeb.

— Kpisz sobie, tak?

— Chyba nie wiesz zbyt dużo o kobietach.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To, że bycie tylko narzędziem do zaspokajania męskich chuci staje się po pewnym czasie dość męczące. Kobiety szukają stałych związków potwierdzonych czymś na palcu. Mężczyźni wołają podboje.

— Dzięki za taki stereotypowy podział ludzkości. To bardzo pouczające.

— No to masz inną hipotezę: Johnson zajmował się handlem narkotykami, ale w związku z planowanym małżeństwem postanowił się wycofać. Tylko że narkotyki to nie zwykły biznes, z którego można się tak łatwo wycofać. Więc jego kolesie w prezencie ślubnym zamiast dać mu toster, wpakowali mu kulkę w łeb.

— I robią to na wyspie, gdzie odbył swoją pierwszą randkę z narzeczoną? Niby skąd mieliby o tym wiedzieć?

— Może od Annę Jeffries, tej samej paniusi, która teraz podnosi krzyk, że jej kochaś nie miał nic wspólnego z narkotykami.

— Myślisz, że nas okłamuje?

— Albo jest kompletną idiotką, albo musiała wiedzieć o narkotykach.

— Więc skoro jej to nie przeszkadzało, to dlaczego miałby się zabijać?

— Może to on chciał się wycofać, a ona sobie tego nie życzyła.

Alex pokręcił głową.

— I co, w zмовie z jego kumplami od narkotyków zabija swojego narzeczonego?

— To równie prawdopodobna teoria jak twoja.

— Nie sądzę, żeby Annę Jeffries umiała odróżnić kilo heroiny od kilograma cukru, nawet gdybyś kazała jej to łyknąć.

— Dobra, jak tam chcesz — mruknęła Simpson, składając ręce na piersiach. — To gdzie teraz jedziemy?

- Pamiętasz tych dwóch z NCW, których spotkaliśmy na wyspie? Reinkego i Petersa? Dzwoniłem do nich. Powiedzieli, że analiza grafologiczna jest gotowa, więc pomyślałem, że pojedziemy po wynik, odbierzemy list Johnsona, a przy okazji trochę powęszymy.

— Powęszymy? — parsknęła. — Czy wiesz, że kiedy prezydent odwiedza NCW, to jego ochroniarzy z Secret Service nie wpuszczają do niektórych części budynku, bo ich certyfikat dostępu jest zbyt niskiego stopnia?

— Tak, wiem. I zawsze mnie to wkurza.

— To czego chcesz tam szukać?

— Mamy obowiązek ustalić, czym zajmował się denat.

— I gdzie się podział ten, co to nie chciał sobie komplikować ostatnich trzech lat przed emeryturą?

Alex zatrzymał się pod światłami i odwrócił do niej.

— Jeśli miałbym brać to pod uwagę, powinienem od razu oddać odznakę. A ponieważ nie mam ochoty tego zrobić, to...

— To nagle poczułeś w sobie szlachetne powołanie?

— Szczerze mówiąc, uprzytomnił mi to wczoraj pewien stary znajomy.

Światło zmieniło się na zielone i ruszyli w dalszą drogę. Spojrzał na nią ukradkiem i dopiero w tym momencie zauważył broń pod jej rozpiętym żakietem.

— Wzięłaś SIG-a?

— Tamten był trochę za ciężki — odparła, nie odwracając głowy.

W jej kieszonce nie było też czerwonej chusteczki.

Zapadło milczenie i Simpson odezwała się dopiero, gdy jadąc szosą nr 7 wjechali do okręgu Fairfax.

— Wczoraj wieczorem byłem z ojcem na kolacji.

— I jak tam pan senator?

— Oświecony.

Alex pomyślał, że najrozsądniej będzie to przemilczeć.

Podjechali do głównej bramy i Alex ze zdumieniem rozejrzał się po ciągnącym się za nią terenie NCW.

— Jaki oni do cholery mają budżet?

— Utajniony, podobnie jak my — odparła Simpson.

Załatwienie formalności z wejściem na teren trwało niemal godzinę, po czym i tak, mimo gorących protestów, musieli zostawić broń w depozycie. Od bramy towarzyszyło im dwóch uzbrojonych strażników z dobermanem na smyczy, który co chwila z zaciekawieniem obwąchiwał nogawkę Aleksa.

— Pamiętaj, kolego, że gramy w tej samej drużynie — rzucił Alex pogodnie, jednak u żadnego ze strażników nie wywołało to nawet cienia uśmiechu.

Zaprowadzili ich do niewielkiej sali i kazali czekać. Czekanie zdawało się ciągnąć bez końca.

— Czy tylko mi się zdaje, czy po drodze przekroczyliśmy granicę jakiegoś innego kraju? — mruknął ponuro Alex. Zgniół kartkę papieru w kulkę, wykonał rzut za trzy punkty do kosza na śmieci i chybił.

— Ty tu chciałeś przyjechać, nie ja — mruknęła jego partnerka. — Mam pełną szafę spraw do załatwienia. Mogłabym teraz siedzieć w biurze i rozwijać swoją karierę.

Alex nie zdążył zareagować na zaczepkę, bo drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył Tyler Reinke, a tuż za nim Warren Peters.

— Kopę lat — rzekł Alex, demonstracyjnie spoglądając na zegarek. — Cieszę się, że się jednak spotykamy.

— Przepraszamy, że musieliście czekać — powiedział Reinke obojętnie. Wyciągnął z kieszeni kartkę i wszyscy zasiedli wokół stołu pośrodku pokoju.

— Charakter pisma listu odpowiada pismu Johnsona — oświadczył Reinke. — Nie ma co do tego wątpliwości. — Przesunął po stole ekspertyzę grafologiczną, by mogli sami się przekonać.

— Czyli bez sensacji. — Alex kiwnął głową. — A gdzie list?

— W laboratorium.

— Aha — powiedział i wyczekująco zawiesił głos, jednak żaden z nich się nie odezwał. — Chciałbym go dostać z powrotem.

— Jasne, nie ma sprawy. — Peters wzruszył ramionami.

— Tylko że to może trochę potrwać — dodał Reinke.

— To świetnie się składa, bo w tym czasie chętnie rzucimy

okiem na biurko Johnsona i zamienimy parę słów z jego kolegami. Chcielibyśmy wiedzieć, czym się ostatnio zajmował.

Obaj obrzucili go chłodnymi spojrzeniami.

— Obawiam się, że to niemożliwe — rzekł Peters.

— Panowie, to jest śledztwo w sprawie śmierci w niejasnych okolicznościach. Oczekujemy od was minimum współpracy.

— W ramach współpracy właśnie zrobiliśmy dla was analizę grafologiczną. A poza tym nie ulega wątpliwości, że popełnił samobójstwo. FBI też tak uważa.

— Pozory mogą mylić — powiedział Alex twardo. — A obejrzenie miejsca pracy ofiary to standardowy wymóg każdego śledztwa.

— Wydział, w którym pracował Johnson, jest ściśle tajny i dostęp do niego wymaga certyfikatu bezpieczeństwa najwyższego stopnia — oświadczył Reinke z naciskiem. — Nie ma tu żadnych wyjątków. Wasze certyfikaty nie wystarczają. Już to sprawdziłem.

Alex pochylił się do przodu i wbił wzrok w Reinkego.

— Przez pięć lat ochraniałem prezydentów Stanów Zjednoczonych. Byłem członkiem wspólnej grupy operacyjnej do walki z terroryzmem w czasach, kiedy ty podszcypywałeś w szkole cheerleaderki. Ochraniałem posiedzenia szefów połączonych sztabów, na których omawiano tak tajne sprawy wagi państwowej, że na samą myśl sfajdalilibyście się w te wasze spodnie od Brooks Brothers.

— Wasze certyfikaty bezpieczeństwa nie wystarczają — powtórzył Reinke.

— No to mamy poważny problem. Bo mam obowiązek prowadzić w tej sprawie śledztwo. Więc albo się dogadamy, albo pójdziemy na udry.

— To znaczy? — zapytał Peters.

— To znaczy, że albo mi umożliwicie wizytę w biurze Johnsona i rozmowę z jego kolegami z takim certyfikatem, jaki mam, albo wystąpię o oficjalny nakaz rewizji.

Reinke pokręcił z uśmiechem głową.

— W tym kraju nie ma takiego sądu, który wystawiłby nakaz rewizji w tym gmachu.

— Rozumiem, że zagrywacie kartą o nazwie „bezpieczeństwo narodowe”, czy tak? — rzucił rozsierdzony Alex.

— W Secret Service gracie nią bez przerwy — odparował Peters.

— Ale nie w takich sprawach. I pozwólcie sobie przypomnieć, że podlegamy teraz Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, nie mięczakom z Departamentu Skarbu.

— Zgadza się. A jej szef podlega bezpośrednio Carterowi Grayowi.

— Gówno prawda. Obaj są członkami gabinetu w randze sekretarzy.

— Moglibyście skończyć to przechwalanie, który ma dłuższego fiuta? — wtrąciła Simpson ze złością. — Zachowujecie się jak smarkacze.

Drzwi otworzyły się i na widok wchodzącego Reinke i Peters zerwali się na równe nogi.

W drzwiach stał Carter Gray, mierząc wszystkich uważnym spojrzeniem. Chwilę później, ku zdumieniu Aleksa szef NCW podszedł do Simpson, objął ją i cmoknął w policzek.

— Jackie, jak zawsze ślicznie wyglądasz. Co u ciebie?

— Bywało lepiej — odparła i wykrzywiła się w stronę Aleksa. Potem spojrzała na Graya i dodała: — To mój partner, Alex Ford.

— Miło mi, Alex — Gray kiwnął głową.

— Dziękuję, panie sekretarzu.

— Byłam wczoraj z tatą na kolacji — dodała Simpson.

— Musimy koniecznie znów zapolować na jelenie z senatorem. Ostatnim razem położyłem sześciolatka. A od tamtej pory już nic.

— Powiem tacie.

— Czym możemy wam służyć?

Odpowiedziała, że chcieliby zajrzeć do biura Patricka Johnsona.

— Poinformowałem ich, panie sekretarzu, że nie mają odpowiedniego certyfikatu bezpieczeństwa — pospiesznie wtrącił Reinke.

— Domyślam się. — Gray spojrzał na Simpson. — Chodźcie ze mną, Jackie. Osobiście was tam zaprowadzę. Wy jesteście

już wolni — rzucił w stronę Reinkego i Petersa, którzy bez słowa pospiesznie opuścili salę.

Na korytarzu Alex nachylił się do ucha Simpson i szepnął:

- Rany, nic mi nie mówiłaś, że znasz Cartera Graya.
- Bo nie pytałeś.
- A skąd go znasz?
- To mój ojciec chrzestny.

ROZDZIAŁ 29

W tym samym czasie, gdy Alex i Simpson toczyli swe boje w NCW, Oliver Stone siedział w parku koło Białego Domu nad partią szachów. Jego przeciwnikiem był Thomas Jefferson Wyatt, zwany przez wszystkich T.J., stary kumpel Olivera, od blisko czterdziestu lat zatrudniony w kuchni Białego Domu.

T.J. należał do parafii Kościoła Zjednoczonych Metodystów będącej właścicielem cmentarza góry Syjon i to on pomógł Oliverowi znaleźć pracę dozorca.

Jeśli tylko pogoda na to pozwalała, wolne od pracy dni Wyatt chętnie spędzał na grze w szachy ze Stone'em. Prawdę mówiąc, właśnie od gry w szachy zaczęła się ich przyjaźń.

Stone zrobił zaskakująco nieprzemyślany ruch i odwet przeciwnika był bezlitosny: Wyatt zabił mu królową.

— Dobrze się czujesz, Oliver? — spytał, zdejmując figurę z szachownicy. — Rzadko ci się trafiają takie błędy.

— Mam parę spraw na głowie i trochę jestem rozkojarzony. — Oparł się o ławkę i spojrzał na przyjaciela. — Wygląda, że twój szef zostanie na następne cztery lata.

— Jak się na to patrzy z kuchni — Wyatt wzruszył ramionami — to jeden prezydent nie różni się specjalnie od drugiego. Republikanin czy demokrata, jeść i tak musi. Ale nie zrozum mnie źle. Ten jest akurat w porządku. Traktuje nas dobrze, okazuje szacunek. Chłopakom z Secret Service też, a nie wszyscy tak robią. A przecież można by pomyśleć, że tym, którzy nadstawiają za ciebie karku, należy się trochę szacun-

ku. — Wyatt pokręcił ze smutkiem głową. — Oglądałem takie rzeczy, że rzygać się chciało.

— A skoro mowa o Secret Service, widziałem się wczoraj z agentem Fordem.

Rysy Wyatta wyraźnie złagodniały.

— To fajny facet. Opowiadałem ci, jak po śmierci Kitty dostałem zapalenia płuc. Ile razy był w mieście, zawsze wpadał do mnie z wizytą.

— Tak, pamiętam.

Stone zrobił ruch gońcem.

— Widziałem wczoraj Graya. Lądował na trawniku przed Białym Domem — powiedział.

— Chłopaki z Secret Service bardzo tego nie lubią. Uważają, że jedyny helikopter, jaki ma prawo tu lądować, to Marinę Jeden z szefem na pokładzie, i na tym koniec.

— Gray ma taką pozycję, że może ustalać własne reguły. Wyatt uśmiechnął się pod nosem, pochylił do przodu i powiedział ściszym głosem:

— Jak ci opowiem jedną plotkę o nim, to się skichasz.

Stone pochylił głowę nad szachownicą. Ich partie szachowe bywały czasem okraszane niewinnymi opowiastkami. Większość służby zatrudnionej w Białym Domu pracowała tam od lat i znana była zarówno z sumiennego wypełniania obowiązków, jak i — co dla pierwszej rodziny w kraju było pewnie jeszcze ważniejsze — absolutnej dyskrecji. Musiało minąć wiele lat, nim Wyatt poczuł się na tyle swobodnie w towarzystwie Stone'a, by zacząć mu opowiadać okruchy z życia Białego Domu.

— Prezydent zaproponował Grayowi wyjazd do Nowego Jorku na obchody rocznicy jedenastego września. Wiesz, okolicznościowe przemówienie prezydenta na miejscu katastrofy. — Wyatt przerwał i odprowadził wzrokiem jakiegoś przechodnia.

— No i co? — spytał Stone.

— No i Gray mu odmówił.

— To dość bezczelne, nawet jak na Graya.

— Wiesz, jak było z jego żoną i córką, nie?

— Tak, wiem. — Stone poznał Barbarę Gray wiele lat temu. Pamiętał, że cieszyła się powszechnym szacunkiem jako osoba

pełna ciepła i zrozumienia, uczuć, które jej mężowi były zupełnie obce. Zrobiła na nim od razu dobre wrażenie i jeśli miał jej coś do zarzucenia, to gust w doborze życiowego partnera.

— A potem go zaprosił, żeby z nim pojechał do tego miasteczka w Pensylwanii, które przemianowali na Brennan.

— I co, pojedzie?

— Dwa razy się prezydentowi nie odmawia, nie?

— Pewno, że nie.

Zamilkli i Wyatt skupił się na szachownicy, po czym przesunął wieżę pod konia Stone'a.

Zastanawiając się nad następnym ruchem, Stone powiedział:

— Zdaje się, że Gray ma teraz własne problemy. Ten Patrick Johnson, którego znaleźli martwego na Wyspie Roosevelta, pracował u niego w NCW.

— A tak. To też narobiło trochę szumu w Domu.

— Prezydent się przejął?

— Prezydent i Gray są z sobą bardzo blisko. Więc jak jakieś gówno leci na Graya, musi też obryzgać prezydenta. A on nie jest frajerem. Prezydent może być lojalny, ale nie głupi. — TJ. rozejrzał się boki. — Nie mówię ci tu bajek dla grzecznych dzieci. Wszyscy to wiedzą.

— Pewnie wspólnie ostro popracowali nad mediami, bo w porannych wiadomościach prawie nic o tym nie mówili.

— Wiem tyle, że późnym wieczorem prezydent poprosił o kanapki i kawę. W kampanii wyborczej została mu tylko ostatnia prosta i nie chce się na niej wywrócić. A o trupa cholernie łatwo się potknąć.

Mimo iż skończyli grę i Wyatt już sobie poszedł, Stone nie ruszał się z miejsca. Czyli Gray wybiera się do Brennan w Pensylwanii. To ciekawe, pomyślał. Od początku uważał, że ojcowie miasta trochę szarżują z tym pomysłem, ale najwyraźniej im się opłaciło.

Już miał wstać, gdy dostrzegł idącą w jego kierunku Adelphię z dwoma kubkami kawy w dłoniach. Usiadła i podała mu jeden.

— To teraz możemy cafe wypić i pogadać — oświadczyła twardo. — Chyba że masz znów jakieś spotkanie, na które iść musisz — dodała z parsknięciem.

— Nie, nie, Adelphio, nie mam. I dzięki za kawę. —
Zamilkł
i po chwili dodał: — A skąd wiedziałaś, że tu jestem?
— Jakby wielki sekret to był. Jak się w szachy chce zagrać,
to gdzie można pójść? Tu zawsze przychodzisz. Z tym czarnym
z Białego Domu.
— Nie wiedziałem, że tak łatwo mnie rozszyfrować —
powiedział lekko urażonym tonem.
— Mężczyźni, ich zawsze można rozszyfrować. Smakuje ci
cafe?
— Bardzo dobra. — Pociągnął łyk. — Tylko wiesz, kawa
kosztuje.
— Ja sto razy cafe co dzień nie piję.
— Ale masz na to pieniądze?
Adelphia spojrzała wymownie na jego nowy ubiór.
— No i co. A ty też masz.
— Ja mam pracę. I przyjaciele mi pomagają.
— Mnie nikt nie pomaga. Sama na wszystko zarabiam.
Stone z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że nigdy wcześniej
jej o to nie pytał.
— A co ty właściwie robisz?
— Szwaczką w pralni jestem. Pracuję, jak mi się chce.
Dobrze mi płacą. I pokój też mam od nich tanio. Mogę sobie
cafe kupić, kiedy tylko mi się zachce.
— To fajnie umieć szyć — rzekł Stone, choć widać było, że
myślami jest już gdzieś daleko.
Zamilkli, przyglądając się spacerowiczom w niewielkim
parku.
W końcu Adelphia pierwsza przerwała ciszę.
— A w tym meczu w szachy ty zwycięzcą byłeś?
— Nie. Przegrałem trochę na własne życzenie, trochę
/ powodu umiejętności mojego przeciwnika.
— Mój ojciec w szachy bardzo dobry był. On był, jak to się
mówi...? — Zawahała się, szukając angielskiego odpowiedni-
ka. — Mój ojciec, on był, jak się mówi „wielki mistrz”?
Te dwa słowa Adelphia powiedziała po polsku.
— Wielki czempion? Nie, już wiem, chodzi ci o arcymistrza.
To duża sprawa.
Przyjrzała mu się podejrzliwie.
— Ty po polsku mówisz?

— Troszeczkę.
— Byłeś w Polsce?
— Bardzo dawno temu — odparł, siorbiąc wolno kawę i przyglądając się drżącym na wietrze listkom. — Domyślam się, że jesteś Polką — dodał. Adelpia nigdy wcześniej nie wspominała mu o swojej narodowości.
— Urodziłam się w Krakowie, ale potem rodzice do Białegostoku się przenieśli. Ja wtedy małym dzieckiem byłam, to też się przeniosłam.
— Oba te miasta Stone kiedyś odwiedził, ale nie miał zamiaru się do tego przyznawać.
— Właściwie znam tylko Warszawę i, jak mówiłem, byłem tam bardzo dawno temu. Jeszcze cię pewnie nie było na świecie.
— Ha, to bardzo ładnie, że tak mówisz. Nawet jeśli kłamiesz! — Odstawiła kawę na ławkę i przyjrzała mu się uważnie. — Dużo młodziej teraz wyglądasz.
— To dzięki tobie i twoim umiejętnościom fryzjerskim.
— A twoi przyjaciele, oni myślą tak samo?
— Moi przyjaciele? — powtórzył i przyjrzał jej się podejrzliwie.
— Ja ich widziałam.
— Nie przestawał się w nią wpatrywać.
— Tych, którzy przychodzą tu do mnie do parku, tak?
— Nie, tych, co te spotkania masz. Ja ich widziałam.
— Starał się nie okazać, jak bardzo go to zaskoczyło.
— To znaczy, że chodziłaś za mną na moje spotkania? Mam nadzieję, że się zbytnio nie wynudziłaś. — *Co ona mogła widzieć lub słyszeć?*
— Posłała mu niepewne spojrzenie i jakby czytając w jego myślach, oświadczyła:
— Może coś słyszałam, może nie słyszałam.
— I kiedy to było?
— Aha, więc nareszcie mnie słuchać zacząłeś. — Przynęła się bliżej i poklepała go po dłoni. — Ty się nie martw, Oliver. Ja nie jestem szpicel. Widzę różne rzeczy, ale nic nie słyszę. A co widzę, zawsze trzymam dla siebie. Zawsze.
— Tyle że nie robimy nic takiego, co by warto podglądać albo podsłuchiwać.

— Bo chodzi o prawdę, Oliver? — Uśmiechnęła się. — Jak w tym waszym haśle, chodzi wam o prawdę? Ja to widzę. Ty jesteś taki człowiek, co mu o to chodzi.

— Obawiam się, że z biegiem lat moje szanse na poznanie prawdy coraz bardziej maleją.

Adelphia podniosła głowę i spojrzała na postać wlokącą się przez park. Każdy, kto przez ostatnie dziesięć lat chodził po ulicach Waszyngtonu, musiał natknąć się na ten żaloszny widok. W miejscu, gdzie powinny być ramiona, widać było krótkie kikuty obleczone skórą. Nogi mężczyzny były tak potwornie powykręcane, że trudno było pojąć, jak w ogóle udaje mu się na nich utrzymać. Pod okrywającymi go łachmanami był półnagi, nawet zimną. Na nogach nie miał butów, stopy pokryte były skorupą blizn i ran, a oba duże palce wykręczone pod dziwacznymi kątami. Oczy miał zupełnie martwe, z ust stale zwisała mu strużka śliny. Nikomu nigdy nie udało się z nim porozmawiać, sądzono więc, że nie umie mówić. Na sznurku obwiązany wokół szyi zwisał niewielki woreczek, a na podartej koszuli widniało tylko jedno słowo napisane niewprawną, jakby dziecięcą ręką: „Pomocy”.

Stone wielokrotnie wspomagał go pieniędzmi. Wiedział o nim tyle, że śpi na kracie wentylacyjnej w pobliżu budynku Departamentu Skarbu. Wielokrotnie w ciągu minionych lat próbował mu pomóc, jednak umysł nieszczęśnika był kompletnie wyłączony. Nie słyszał też, by któraś z agencji rządowych próbowała coś dla niego zrobić.

— O mój Boże, ten biedak, ten bardzo wielki biedak. Serce mi pęka, jak on tak cierpi — jęknęła Adelphia. Zerwała się / . miejsca, podbiegła do kaleki, wyciągnęła parę dolarów i wcisnęła do woreczka na jego piersi. Nieszczęśnik wydał z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk i pokuśtykał ku grupce spacerowiczów, którzy też natychmiast sięgnęli po portfele i portmonetki.

Adelphia zawróciła i ruszyła z powrotem, gdy nagle zagroził jej drogę potężnie zbudowany mężczyzna.

— Nie wyglądam jak ten łachmaniarz — mruknął ponuro — ule jestem głodny i muszę się napić. — Włosy opadały mu strąkami na twarz i choć był ubrany w miarę normalnie, Nmierdziało od niego na odległość.

— Więcej nie mam — powiedziała Adelpchia wystraszonym głosem.

— Kłamiesz! — wrzasnął, wykręcając jej rękę i przyciągając ku sobie. — Dawaj kasę!

Nie zdążyła nawet pisnąć, bo Stone był już obok.

— Puść ją, ale już! — rzucił.

Mężczyzna był od niego dobre dwadzieścia pięć lat młodszy i znacznie wyższy.

— Spieprzaj, stary. To nie twoja sprawa — warknął.

— Ta kobieta jest moją przyjaciółką.

— Powiedziałem, spieprzaj! — warknął groźniej i zamachnął się tak celnie, że trafił Stone'a prosto w podbródek. Stone runął na ziemię, trzymając się za twarz.

— Oliver! — krzyknęła Adelpchia.

Ludzie w parku też zaczęli już krzyżeć, ktoś ruszył biegiem w stronę ulicy, głośno wzywając policję.

Stone zaczął gramolić się na nogi, ale mężczyzna wyciągnął z kieszeni nóż sprężynowy i skierował go ku Adelpchii.

— Dawaj kasę, dziwko, bo cię potnę tak, że popamiętasz.

I w tym momencie Stone skoczył. Mężczyzna puścił Adelpchię i zatoczył się do tyłu, wypuszczając z ręki nóż. Opadł na kolana, przez chwilę było widać, jak każdy mięsień w jego ciele drga spazmatycznie, po czym, wijąc się z bólu, runął na wznak na trawę.

Stone podniósł z trawy nóż i ujął go w dziwaczny sposób. Potem schylił się i jednym ruchem rozciął kołnierz koszuli tak, że ukazała się gruba szyja napastnika i pulsująca na niej tętnica. Czubek noża zawisł tuż nad nią i przez chwilę zdawało się, że jednym ruchem poderżnie rzezimieszkowi gardło. Jego twarz przybrała wyraz, jakiego od trzydziestu lat nikt na niej nie widział. Potem równie szybko twarz mu złagodniała i Stone spojrział na Adelpchię, która stała, wlepiając w niego wzrok i ciężko dysząc. Pewnie sama nie wiedziała, który z dwóch mężczyzn budzi w niej większe przerażenie.

— Oliver? — powiedziała zduszonym głosem. — Oliver?

Stone upuścił nóż na trawę, podniósł się i otrzepał kolana.

— O Jezu, ty krwawisz — wykrzyknęła Adelpchia. — Krew ci leci!

— Nic mi nie jest — powiedział cicho, wycierając rękawem

zakrwawione usta. Co nie było prawdą, bo cios bardzo go zabolął, w głowie mu huczało i miał wrażenie, że lada chwila zwymiotuje. Włożył palce do ust i wyciągnął zupełnie obluzowany ząb.

— Wcale, że nieprawda — powiedziała Adelphia, uważnie go obserwując.

Podbiegła ku nim jakaś kobieta.

— Policja już tu idzie — zawołała. — Nic wam nie jest?

Stone odwrócił głowę i spojrzał na błyskający światłami radiowóz, który właśnie podjeżdżał do krawężnika. Szybko zwrócił twarz ku Adelphi.

— Na pewno potrafisz sama wszystko opowiedzieć policji. — Wymamrotał to dość niewyraźnie, bo warga mocno mu już spuchła.

Potem obrócił się na pięcie i lekko się zataczając, pokuśtykał przez park. Zawołała za nim, ale nawet się nie odwrócił.

Zjawili się policjanci i zaczęli zadawać pytania, ale Adelphia nie potrafiła przestać myśleć o tym, co chwilę wcześniej widziała. Wystawiony palec wskazujący Olivera Stone'a, który wbił się w bok napastnika w okolicy żeber. Jeden szybki cios spowodował, że wielki mężczyzna padł na ziemię jak podcięty.

A w dodatku ten chwyt noża wywołał w niej szczególnie przykre wspomnienie. Tylko raz w życiu widziała, by ktoś tak trzymał nóż. Wiele lat temu w Polsce zrobił to agent KGB, który przyszedł po jej wuja, bo ten publicznie krytykował Sowieców. Nigdy już nie zobaczyła wuja żywego. Jego zmasakrowane zwłoki znaleziono potem w nieużywanej studni w wiosce trzydzieści kilometrów dalej.

Adelphia rozejrzała się po parku i aż ją zamurowało.

Oliver Stone po prostu zniknął.

ROZDZIAŁ 30

— Tutaj pracował Patrick Johnson — rzekł Carter Gray, zataczając ręką półkole.

Alex powoli oswajał się z pomieszczeniem, w którym się znaleźli. Miało wielkość chyba połowy boiska futbolowego i składało się z ogromnej pustej przestrzeni pośrodku, otoczonej ciągiem boksów. Na każdym biurku widać było płaski monitor ciekłokrystaliczny, gdzieś z oddali dochodziło buczenie serwerów. W boksach siedzieli pracownicy obojga płci w nienaganych strojach biurowych i sprawiali wrażenie całkowicie pogrążonych w pracy. Część kręciła się po sali i korytarzach ze słuchawkami na głowach, rozmawiając żargonem, którego nawet Alex, mimo wielu lat spędzonych w służbie federalnej, nie potrafił zrozumieć. Emanowała z nich niemal namacalna ważność, i sprawy, które omawiali, musiały być bardzo pilne.

Gray poprowadził ich do narożnika sali i na mijanych po drodze monitorach Alex zauważył kilka twarzy o bliskowschodnich rysach, obok których z boku ekranu przesuwały się kolumny tekstu. Nigdzie nie było ani skrawka papieru.

— Pracujemy tu bezpapierowo — wyjaśnił Gray i uwaga ta kompletnie wytrąciła Aleksa z równowagi. Czy do umiejętności Graya należy też czytanie w myślach? — W każdym razie tak jest w tym dziale. Sam nadal lubię wziąć coś do ręki.

Zatrzymał się przy jednym z boksów, który był nieco większy i obudowany wyższymi ściankami niż inne. W większości

boksów ścianki działowe sięgały do pasa; tu miały około metra osiemdziesięciu wysokości.

— Tu pracował Johnson — powiedział Gray.

— Rozumiem, że był tu kimś w rodzaju kierownika — zauważyła Simpson.

— Tak. Jego zadanie polegało na nadzorowaniu banku danych podejrzanych o terroryzm. Kiedy przejęliśmy kontrolę nad N-TAC, ich personel i kartoteki przeszły do nas. Zresztą doskonale tu pasowały. Ale oczywiście nie chcieliśmy pozbawiać Secret Service dostępu do ich danych i dlatego tacy jak Johnson byli pracownikami obu agencji.

Gray powiedział to takim tonem, by nie było wątpliwości, na jak wielkie ustępstwo poszedł. Alex wiedział, że był to może sympatyczny, lecz zupełnie pusty gest, ponieważ Secret Service nie miała żadnej kontroli nad tego rodzaju „wspólnymi” pracownikami. Jego wzrok powędrował ku jednemu osobistemu akcentowi na biurku: oprawionemu w ramkę zdjęciu Anne Jeffries. Była umalowana i wyglądała naprawdę bardzo atrakcyjnie. Ciekawiło go, czy siedzi teraz w jakiejś kancelarii i konferuje z adwokatem. Chwilę później dołączył do nich ktoś jeszcze.

Tom Hemingway z uśmiechem przywitał się z Alekssem.

— Cóż, agencie Ford, w ten sposób diabli wzięli moje incognito.

— Chyba tak — potwierdził Alex i skrzywił się, czując miazdzący uścisk.

— Znacie się? — zdziwił się Gray i unióś lekko brwi.

— Przez Kate Adams, panie sekretarzu. Tę prawniczkę r Departamentu Sprawiedliwości, z którą współpracowałem.

— Jackie Simpson, Secret Service — powiedziała Simpson, robiąc krok do przodu.

Tom Hemingway.

— Bardzo mi miło, Tom.

Patrzyła z uznaniem na przystojnego agenta i odwróciła Wzrok dopiero pod karcącym spojrzeniem Aleksa.

Właśnie pokazałem im miejsce pracy Patricka Johnsona i wyjaśniłem, czym się u nas zajmował — rzekł Gray. — Prowadzą śledztwo w sprawie jego śmierci z ramienia Secret Service.

— Jeśli pan chce, panie sekretarzu, mogę ich przejąć. Wiem, że ma pan spotkanie.

— Tom i tak wie o komputerach dużo więcej niż ja. — Gray skinął przyzwalająco głową. Nie była to prawda, ale Gray nie lubił ujawniać, ile umie. Wiedział, że nadmierna pewność siebie może łatwo okazać się słabością. — Jackie, nie zapomnij powtórzyć ojcu, co powiedziałem o polowaniu — rzucił na odchodnym.

— To co was właściwie interesuje? — spytał Hemingway.

— Głównie chcielibyśmy się dowiedzieć, nad czym tu pracował — rzekł Alex. — Sekretarz Gray mówił, że nadzorował zbieranie informacji o podejrzewanych o terroryzm.

— Zgadza się. To było jedno z jego zadań. Chyba najtrafniej będzie porównać funkcję jego i pozostałych administratorów baz do pracy szefów kontrolerów ruchu lotniczego. Tak jak tamci, mieli za zadanie pilnować, żeby wszystko przebiegało gładko. Kartoteki stale się uaktualnia i uzupełnia o nowe dane wywiadowcze. Podjęliśmy się zasadniczego uporządkowania całego banku danych, bo do tej pory takie instytucje jak FBI, DEA, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ATF, CIA, DIA miały oddzielne bazy danych. W rezultacie wiele danych się powtarzało, pojawiało się dużo nieścisłości, a w dodatku nie było sposobu, żeby jedna agencja mogła w pełni korzystać z danych zawartych w bazie innej agencji. To właśnie stanowiło jedną z przyczyn, które umożliwiły atak jedenastego września. Teraz dane są przechowywane tutaj, a wszystkie agencje mają do nich stały, dwudziestoczworogodzinny dostęp.

— Czy trzymanie wszystkich danych w jednym miejscu nie jest trochę ryzykowne? — spytał Alex.

— Mamy oczywiście kopie zapasowe, które trzymamy oddzielnie — uspokoił go Hemingway.

— I gdzie one są?

— Niestety, jest to informacja ściśle tajna.

No cóż, można się było spodziewać.

— I pamiętaj też, że nasz system nie zastępuje AFIS-u — przypomniał Hemingway, mając na myśli należący do FBI system identyfikacji daktyloskopijnej przestępców. — Nas interesują wyłącznie terroryści, a nie pedofile czy bankowi

rabusie. Kupiliśmy też kilka prywatnych firm, które miały własne systemy zbierania i przetwarzania danych.

— NCW kupiło prywatne firmy? — zdziwił się Alex.

Hemingway przytaknął głową.

— Instytucje państwowe nie muszą na nowo wymyślać prochu, skoro wcześniej zrobił to już sektor prywatny. Oprogramowanie pozwala ściągać biliony bajtów danych z różnych baz i na ich podstawie tworzyć profile podejrzanych i modele ich zachowań, które następnie wykorzystujemy w prowadzonych postępowaniach. Nasi agenci wyposażeni są w palmtopy, które zapewniają im natychmiastowy dostęp do baz. Dzięki jednej transmisji danych mogą uzyskać kompletną informację na temat podejrzanego. Aż niewiarygodne, jak to działa.

— A jak to możliwe, że przy ciągłym dodawaniu nowych danych daje się efektywnie administrować tak olbrzymimi bazami? — spytał Alex.

— Kiedy zwały się nam jednocześnie bazy danych z wszystkich agencji, powstały dość znaczne opóźnienia. Prawdę mówiąc, mieliśmy wtedy trochę kłopotów i system parę razy nam się zatkał. Ale teraz wszystko idzie jak w zegarku. Właśnie zadaniem Johnsona i paru jego kolegów było pilnowanie, żeby wszystko działało i żeby wprowadzane dane były wolne od błędów. To bardzo żmudne zajęcie.

— I pewnie czasochłonne?

— Pośpiech na nic się nie zda, jeśli wprowadzane dane zawierają błędy — rzekł Hemingway. — Wprawdzie staramy się, aby dane były aktualne i dokładne, jednak nikt nie jest doskonały.

— Moglibyśmy zobaczyć jakąś przykładową kartotekę? — spytała Simpson.

— Oczywiście.

Hemingway zasiadł przy biurku Johnsona i włożył dłoń do czytnika biometrycznego. Potem nacisnął kilka klawiszy i na ekranie ukazała się fotografia mężczyzny, jego odcisk palca i dane osobowe.

Alex patrzył na swoją twarz i przesuwający się obok niej szczegółowy życiorys, zaczynający się niemal od opuszczenia matczynej macicy.

— Karany za spożycie alkoholu jako niepełnoletni — odczytała Simpson jeden z punktów.

— To miało być wymazanie z moich akt — oburzył się Alex.

— Jestem pewien, że w twoich oficjalnych dokumentach tego nie ma — powiedział Hemingway. — A tak przy okazji, jak twój kark? Bo wygląda to na paskudny uraz.

— Macie też moje akta medyczne? Gdzie się, do cholery, podziała ochrona danych?

— Pewnie nie wczytałeś się dokładnie w nową ustawę o patriotyzmie. — Hemingway znów nacisnął kilka klawiszy i na ekranie pojawił się nowy zestaw danych. — Często bywasz w pubie PAF. — Pokazał palcem wykaz płatności kartą kredytową. — Niewątpliwie ma na to wpływ obecność uroczej Kate Adams.

— Czyli ile razy użyję karty kredytowej, wy o tym wiecie?

— Dlatego ja zawsze płacę gotówką — rzekł Hemingway z uśmiechem wyższości.

Wpisał na klawiaturze kilka kolejnych poleceń i na ekranie pojawiła się podobizna Jackie Simpson, jej zdygitalizowany odcisk palca i podstawowe dane osobowe. Pokazała palcem jeden z wierszy.

— Tu jest błąd. Urodziłam się w Birmingham, nie w Atlancie.

— No proszę, nawet NCW nie jest nieomylny — powiedział Hemingway. — Dopilnuję, żeby to zostało poprawione.

— Macie tu też jakichś przestępców czy ograniczacie się do szpiegowania gliniarzy? — spytał Alex z ironią w głosie.

Po naciśnięciu kolejnych klawiszy na ekranie pojawiła się nowa twarz.

— Nazywa się, a właściwie nazywał się Adnan ar-Rimi. Zabity w Wirginii przez innego terrorystę. Na ekranie od razu widać, że osobnik nie żyje. Świadczy o tym ten symbol trupiej czaszki z pieszczelami w prawym górnym rogu. Trochę to pretensjonalne i nawet nie wiem, kto to pierwszy wymyślił, ale wizualnie określa aktualny status podejrzanego. — Hemingway otworzył dodatkowe okienko. — Tu mamy jego odcisk palca. Dzięki posiadaniu odcisków palców mogliśmy go jednoznacznie zidentyfikować.

— Czy Johnson miał dostęp do informacji, które mogłyby się komuś przydać?

— Myślę, agencie Ford, że każdy zatrudniony w NCW ma dostęp do pewnego zasobu wiedzy, cennego dla ludzi wrogo nastawionych do naszego kraju. Dlatego każdego kandydata do pracy bardzo dokładnie prześwietlamy i sprawdzamy całą jego przeszłość.

— To rozumiacie. — Simpson kiwnęła głową.

— Ale czy ostentacyjne bogactwo Johnsona nie włączyło u was żadnych dzwonek alarmowych?

— Powinno — odparł Hemingway ze smutkiem. — I na pewno polecą za to głowy.

— Ale nie twoja? — upewnił się Alex.

— Nie, to nie była moja działka — odrzekł Hemingway.

— No to masz szczęście. Zatem uważasz, że jeśli nie narkotyki stanowiły źródło jego bogactwa, to i tak jest mało prawdopodobne, żeby był nim handel tajemnicami?

— Mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Tylko że w jego domu przecież znaleziono narkotyki.

— Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy porozmawiali z kilkoma jego kolegami?

— Mogę wam to zorganizować, tylko niestety rozmowa będzie musiała być kontrolowana.

— Kurczę, zupełnie jak w pierdlu, chociaż jesteśmy przecież prawomyślni.

— Podobnie jak my — odciął się Hemingway.

Następną godzinę poświęcili na rozmowy z trzema kolegami Johnsona, jednak jak się okazało, żaden z nich nie znał go bliżej. Odebrali swą broń z depozytu i Hemingway odprowadził ich do wyjścia.

— Powodzenia — zdążył jeszcze powiedzieć, nim zamknęły się za nimi automatyczne drzwi.

— Jasne, na pewno, i wielkie dzięki za pomoc. — Alex się skrzywił.

Ruszyli do bramy w towarzystwie dwóch strażników w mundurach wojskowych, obydwoj byli uzbrojeni w automatyczne karabiny M16.

— Może któryś chciałby mnie trzymać za rękę, bo może mi coś nagle odbić? — powiedział Alex z niesmakiem.

— Całkowita strata czasu. — Simpson westchnęła, gdy wsiedli do samochodu.

— Tak jak dziewięćdziesiąt procent czasu w każdym śledztwie. Powinnaś to sama wiedzieć — warknął Alex ze złością.

— Co się tak wściekasz?

— Chcesz mi powiedzieć, że to, co tam widzieliśmy, ciebie nie wkurzyło? Cholera, tylko czekałem, jak na ekranie pojawi się reportaż z mojego pierwszego razu!

— Ja tam nie mam nic do ukrycia. — Simpson wzruszyła ramionami. — A dlaczego byłeś taki niemiły dla Toma?

— Byłem niemiły dla Toma, bo tak się składa, że sukinsyna nie lubię.

— Rozumiem, czyli to pewnie tłumaczy też twój stosunek do mnie.

Alex nie chciał się wdawać w kolejną sprzeczkę. Za to nacisnął pedał gazu tak mocno, że na nieskazitelnie czystym asfalcie podjazdu do domu Wielkiego Brata NCW zostały wyraźne czarne ślady spalonej gumy.

ROZDZIAŁ 31

Parę minut po odjeździe Aleksa i Simpson Hemingway spotkał na korytarzu Reinkego i Petersa i lekko skinął im głową. Po kwadransie wyjechał z NCW, dziesięć minut później to samo zrobili Reinke i Peters.

Wszyscy trzej spotkali się w Galerii Tyson's II, dużym i eleganckim centrum handlowym. Kupili po kawie na wynos i ruszyli wolnym krokiem pasażem handlowym centrum. Wcześniej użyli aparatu antypodsłuchowego, by się upewnić, że są czysti, a po drodze zachowywali maksymalną ostrożność, wielokrotnie sprawdzając, czy nikt za nimi nie jedzie. Jednym z podstawowych przykazań każdego szpiega jest ciągle sprawdzanie, czy nie jest się obserwowanym przez własną agencję.

— Próbowaliśmy ich nie dopuścić do biura Johnsona — powiedział Peters. — Ale potem zjawił się Gray.

— Wiem. — Hemingway kiwnął głową. — Dlatego się włączyłem. Byłoby fatalnie, gdyby Gray nagle się tym zainteresował.

— A Ford i Simpson?

— Jeśli zaczną zbyt wtykać nos, mamy sposoby, żeby ich zniechęcić. Na notce samobójczej były odciski palców.

— Udało się je zidentyfikować?

— Tak.

— I kto to był?

— Zajrzyj do kieszeni.

Dopił kawę i wyrzucił papierowy kubek do kosza. Peters

sięgnął do kieszeni i wyciągnął skrawek papieru, który Hemingway musiał mu tam niepostrzeżenie wsunąć. Były na nim tylko dwa słowa: Milton Farb.

— Wiele lat temu — powiedział Hemingway — pracował w NIH jako specjalista od systemów komputerowych. Miał jakieś kłopoty z głową i trafił potem do kilku zakładów dla psychicznie chorych. Jest w książce telefonicznej, więc ustalenie adresu nie było trudne. Przesłałem ci już e-mailem jego zaszyfowaną kartotekę. Weź go pod obserwację, a pewnie doprowadzi cię do reszty, Ale bez porozumienia ze mną nie podejmuj żadnych działań. Może da się uniknąć zbędnego przelewu krwi. — Poszedł dalej, Reinke i Peters zawrócili i ruszyli w przeciwnym kierunku. Poczuli nowy przyływ energii.

Carter Gray wrócił do swego gabinetu, wykonał kilka telefonów — w tym jeden do Białego Domu — po czym wziął udział w serii krótkich konferencji. Następnie usiadł przy biurku i przystąpił do pracy, która miała mu zająć kilka kolejnych godzin. Ile razy prezydent udawał się w podróż, w której Gray nie mógł mu towarzyszyć, ani nie mogli się spotkać w jakimś umówionym miejscu, szef NCW zdawał raport podczas codziennych wideokonferencji. Przygotowanie się do takiej zakodowanej transmisji zajmowało Grayowi z reguły kilka godzin, choć wiedział, że naprawdę istotne sprawy dałoby się streścić w kilku zdaniach:

„Panie prezydencie, świat, jaki znamy, zdąży prostą drogą ku przepaści. W dużej mierze sami jesteśmy temu winni i nie możemy nic zrobić, żeby temu zapobiec. Jeśli jednak będziemy nadal wydawać setki miliardów dolarów na rozbudowę systemów bezpieczeństwa wewnętrznego, w zasadzie mogę gwarantować bezpieczeństwo większości Amerykanów. Musimy jednak mieć świadomość, że nasze kosztowne systemy mogą być pokonane przez niewielką garstkę ludzi, jeśli ludzie ci będą mieć dość odwagi, szczęścia i plutonu. W takim wypadku wszelkie gwarancje tracą ważność i wszyscy możemy zginąć. Jakież pytania, panie prezydencie?”

Zamiast szykować się do wideokonferencji, Gray wolałby

teraz wsiąść do samochodu i udać się na przejażdżkę. Wiedział jednak, że nie wolno mu tego zrobić. Podobnie jak prezydentowi, także sekretarzowi do spraw wywiadu nie wolno było samemu siadać za kierownicę. Jego osoba była zbyt istotna dla bezpieczeństwa narodowego, by podejmować takie ryzyko. Choć i tak najbardziej ze wszystkiego marzył o polowaniu. Skoro nie mógł zapolować z dubeltówką w kniei, postanowił rozpocząć innego rodzaju polowanie, w którym był równie biegły.

Wpisał na klawiaturze laptopa nazwisko i już po pięciu minutach miał wszystkie żądane informacje. Wiedział, że na sprawność personelu NCW zawsze może liczyć.

Pomysł, by w NCW zgromadzić wszystkie bazy danych o ludziach podejrzewanych o terroryzm, był jednym z lepszych, jakie udało mu się przepchnąć. Dzięki temu nie tylko zawarte w nich dane były dokładniejsze, ale zapewniało to NCW zdecydowaną przewagę nad pozostałymi agencjami wywiadowczymi. Jeśli na przykład CIA potrzebowała teraz jakiejś informacji, musiała sięgnąć do jednej z baz administrowanych przez NCW, a to pozwalało mu mieć natychmiastowy wgląd w to, czym Firma się aktualnie interesuje. Działo to doskonale i pod płaszczykiem sprawniejszej organizacji umożliwiało szpiegowanie pokrewnych agencji wywiadowczych.

Podzielił ekran na pola i ściągnął na nie obrazy i pliki tekstowe. Patrząco na niego z ekranu wiele męskich twarzy. Większość miała bliskowschodnie rysy i kartoteki w bazie danych NCW, zawierające liczne szczegóły, łącznie z odciskami palców. Cechą wspólną było to, że wszyscy już nie żyli, a wielu padło z rąk innych terrorystów. Na liście znajdowali się między innymi technicy i chemicy, będący jednocześnie ekspertami od materiałów wybuchowych, a także Adnan ar-Rimi, nieustraszony bojownik, którego w ogniu walki nigdy nie zawodziły nerwy. Sześciu innych straciło życie, gdy w ich furgonetce eksplodowały przewożone materiały wybuchowe. Nigdy nie udało się ustalić, czy wybuch był dziełem przypadku, czy czyjeś świadomego działania. W każdym razie siła wybuchu była tak potężna, że zamiast ciał pozbierano jedynie ich poszczególne fragmenty. Poza jakimś Muhammadem az-Zawahirim żaden z zabitych nie znajdował się na liście najgroźniejszych ter-

rorystów, jednak Ameryka i tak mogła się tylko cieszyć, że już ich nie ma wśród żywych.

Gray nie mógł wiedzieć, że zdjęcia Ar-Rimiego i pozostałych zostały subtelnie spreparowane i nie były podobiznami ludzi, którzy naprawdę ponieśli śmierć. Na przykład umieszczone w bazie zdjęcie Ar-Rimiego było w rzeczywistości cyfrową kompilacją podobizny prawdziwego Ar-Rimiego i twarzy nieboszczyka, którego zidentyfikowano jako Ar-Rimiego. Zrobiono to na wszelki wypadek, tak by zdjęcia w bazie upodobnić do być może istniejących gdzieś wcześniejszych fotografii ofiar i w ten sposób rozwiązać ewentualne wątpliwości. Operacja ta była niezwykle czasochłonna i wymagała dużych umiejętności, ale uzyskane wyniki świadczyły, iż warto było. Żadnego z tych ludzi nie udało się teraz zidentyfikować na podstawie zdjęć w kartotece NCW.

Innym sprytnym posunięciem było pozbawianie denatów twarzy, które pozwoliłyby na identyfikację. Podmieniono natomiast odciski palców, które stanowią daktyloskopijny podpis, pozwalający na jednoznaczną identyfikację ofiary. Wszystkim przecież wiadomo, że odciski palców na pewno nie kłamią. Tyle że w erze cyfrowej nic już nie jest pewne.

Gray czuł jednak przez skórę, że coś tu nie jest w porządku.

Zamknął plik na ekranie i postanowił przejść się po terenie NCW. Miał nadzieję, że choć tyle mu wolno.

Idąc ścieżką, uniósł głowę i spojrzał na lecącego nisko boeinga 747 Lufthansy, który kierował się ku waszyngtońskiemu lotnisku Dullesa. To pchnęło jego myśli ku przeszłości.

W początkach swej kariery w CIA przeszedł szkolenie w supertajnym i już nieistniejącym ośrodku szkoleniowym w Wirginii, położonym dwie godziny jazdy na zachód od Waszyngtonu. Ośrodek był ukryty wśród otaczających go lasów i w wewnętrznym żargonie CIA nosił kryptonim Rejon 51 A, co miało dowodzić pewnego poczucia humoru wśród szefostwa Agencji. W prywatnych rozmowach nazywano go „Morderczą Górą”.

Od wielu lat w Rejonie 51A nie prowadzono już żadnych szkoleń i niedawno NCW wystąpiło o przekazanie ośrodka, gdyż zamierzano tam urządzić miejsce przesłuchań podejrzewanych o terroryzm. Departament Sprawiedliwości dowie-

dział się jednak o zakusach NCW i cała sprawa zaczęła się ślimaczyć. Dodatkowo zaszkodziła pomysłowi atmosfera wokół bazy Guantanamo na Kubie, skandal w więzieniu Abu Ghraib w Iraku i wpadka z więzieniem w kopalni soli w Afganistanie. W rezultacie szanse na ponowne uruchomienie ośrodka spadły niemal do zera.

Gray zbytnio się tym nie przejmował. Istniało wystarczająco dużo miejsc poza granicami kraju, które można było do tych celów wykorzystać. Torturowania więźniów zabraniało zarówno prawo amerykańskie, jak i międzynarodowe. Gray wielokrotnie musiał zeznawać przed komisjami Kongresu, zapewniał je wtedy o ścisłym przestrzeganiu prawa przez amerykańskie służby wywiadowcze, i niemal każde słowo w jego zeznaniach było kłamstwem. Czy szafujący wzniosłymi i szlachetnymi hasłami członkowie Kongresu, z których żaden nie znał słowa po arabsku i bez pomocy asystenta nie umiał podać stolicy Omanu czy Turkmenii, naprawdę myśleli, że świat może tak funkcjonować?

Wywiad to bardzo brudna robota, w której ludzie wciąż kłamią i wciąż giną. To, iż prezydent Stanów Zjednoczonych poważnie rozważał możliwość wydania zgody na zabijanie legalnie wybranych przedstawicieli innego kraju, najlepiej świadczyło o tym, jak złożona bywa światowa polityka.

Gray wrócił do siebie. Chciał jeszcze raz przyjrzeć się tym wszystkim „trupom”, które w jego przyszłych losach mogą odegrać istotną rolę. I niech Bóg ma w swej opiece Amerykę, jeśli będzie musiał się do tego uciec.

ROZDZIAŁ 32

Po powrocie do WFO Alex wysłał do Jerry'ego Sykesa e-mail z nową, skorygowaną wersją raportu. Tym razem adresat zareagował niemal natychmiast. Co więcej, rozmawiając przez telefon, nie tylko nie wezwał Aleksa do siebie ani nawet do gabinetu SAD-a, ale polecił natychmiast udać się do centrali i zameldować u samego dyrektora Secret Service.

Przecucie mówiło Aleksowi, że nie wróży to nic dobrego. Centrala mieściła się blisko budynku WFO i bez trudu można było pójść tam pieszo, co też zrobił. Podczas krótkiego spaceru na świeżym powietrzu miał okazję jeszcze raz zastanowić się nad tym, co powinien zrobić po zakończeniu pracy w Secret Service. Zwłaszcza że to zakończenie mogło nastąpić dużo wcześniej, niż planował. O całe trzy lata.

Z aktualnym dyrektorem Secret Service miał okazję zetknąć się zaledwie dwa czy trzy razy. Odbyło się to przy okazjach natury towarzyskiej i kilka minut pogawędki przebiegło w całkiem sympatycznej atmosferze. Czuł, że czekająca go rozmowa już taka nie będzie.

Kilka minut później wkroczył do przestronnego gabinetu dyrektora. Na miejscu był już Jerry Sykes, który siedział na kanapie w takiej pozie, jakby chciał się w nią wcisnąć w całości. Obok niego przycupnęła Jackie Simpson, co było całkowitym zaskoczeniem.

— Zamknijcie za sobą drzwi, Ford — rzucił Wayne Martin, dyrektor Secret Service.

Zamknijcie drzwi? To zdecydowanie źle wróży, pomyślał. Wykonał polecenie i usiadł, zostawiając Martinowi inicjatywę. Dyrektor Secret Service był silnie zbudowanym mężczyzną o wyraźnej słabości do koszul w paski i wielkich spinek do mankietów. Doszedł do stanowiska szefa, pnąc się kolejno po szczeblach kariery. Był też jednym z agentów, którzy obezwładnili Johna Hinckleya po zamachu na Reagana. Stał na środku gabinetu, przeglądając teczkę z dokumentami. Aleksowi wystarczył jeden rzut oka, by domyślić się, że szef studiuje jego akta personalne. Czyli gorzej niż źle.

Martin zamknął teczkę i przysiadł na krawędzi biurka.

— Agencie Ford, przejdę od razu do rzeczy, bo czy mi uwierzycie, czy nie, mam dziś dużo spraw na głowie.

— Tak jest, panie dyrektorze — powiedział odruchowo Alex.

— Niedawno miałem telefon od prezydenta. Zadzwoił z pokładu Air Force One. Siedział w samolocie, którym leciał na ważne mityngi w ramach kampanii wyborczej, a mimo to znalazł czas, żeby zadzwonić w waszej sprawie. Dlatego was tu wezwałem.

Alex poczuł się, jakby cała krew z niego odpłynęła.

— Prezydent dzwonił do pana w mojej sprawie?

— Macie może ochotę zgadnąć, o co mu chodziło?

Alex rzucił spojrzenie na Sykesa, jednak ten siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę. Simpson wprawdzie patrzyła na niego, ale w jej wzroku nie wyczytał, by miała chęć mu pomóc.

— O Patricka Johnsona? — powiedział to tak niepewnie, że sam ledwie to usłyszał.

— Bingo! — wykrzyknął Martin i tak grzmotnął pięścią w biurko, że wszyscy aż podskoczyli. — Skoro wam tak świetnie idzie, Ford, to może zgadniecie też, co takiego zrobiliście, że aż wymagało to telefonu prezydenta Stanów Zjednoczonych, co?

Aleksowi zupełnie zaschło w ustach, ale dyrektor najwyraźniej oczekiwał odpowiedzi.

— Prowadziłem śledztwo w sprawie śmierci Patricka Johnsona. Takie dostałem służbowe polecenie.

Nie czekając nawet na koniec zdania, Martin przecząco pokręcił głową.

— W tej sprawie śledztwo prowadzi FBI. O ile mi wiadomo,

dostaliście polecenie, żeby się temu przyglądać i pilnować interesów naszej agencji. Powiedziano wam także, że nasz związek z tą sprawą bierze się stąd, że zmarły był formalnie wspólnym pracownikiem naszym i NCW. Formalnie, bo w rzeczywistości w całości podlegał kontroli i jurysdykcji NCW. Czy też może jesteście innego zdania?

Tym razem Alex nawet nie próbował szukać wzroku Sykesa.

— Nie, panie dyrektorze.

— Doskonale. Cieszę się, że udało nam się coś ustalić. Idźmy dalej. W domu Johnsona FBI znajduje narkotyki i idąc dalej tym tropem, dochodzi do wniosku, że pan Johnson handlował narkotykami i czerpał z tego procederu znaczne zyski oraz że praca w NCW nie miała żadnego związku z jego śmiercią. Wiedzieliście o tym?

— Tak jest, panie dyrektorze.

— No to doskonale.

Martin podniósł się z biurka i Alex poczuł, że zaraz się zacznie. I nie zawiódł się.

— Skoro tak — wybuchnął Martin — to może mi łaskawie powiecie, co do jasnej cholery miała znaczyć wasza wizyta w NCW i przesłuchiwanie samego Cartera Graya? — Całą tę kwestię Martin tak wykrzyczał, że przypominał sierżanta podczas musztry rekrutów.

Kiedy Aleksowi wrócił głos, powiedział cicho:

— Uznałem, że dla dobra sprawy powinienem odwiedzić również NCW. W ich laboratorium dokonano analizy grafologicznej notatki, więc...

— Przesłuchiwaliście Cartera Graya czy nie?

— Nie przesłuchiwałem, panie dyrektorze. Zjawił się niespodziewanie i sam zaproponował, że nas zaprowadzi do biura Johnsona. Do tego momentu rozmawiałem tylko z dwoma szeregowymi pracownikami, którzy nie byli nastawieni do nas zbyt przyjaźnie.

— Groziliście wystąpieniem o nakaz rewizji pomieszczeń NCW?

Serce Aleksa niemal przestało bić.

— To była tylko rutynowa uwaga, która miała...

Martin znów huknął dłonią w biurko.

— Groziliście czy nie?

Czoło Aleksa pokryły krople potu.

— Tak jest, panie dyrektorze.

— Czy w trakcie tego najścia dowiedzieliście się czegoś istotnego? Znaleźliście może dymiący pistolet? Natknęliście się na dowody świadczące o udziale sekretarza Graya w jakimś niecnym spisku?

Choć nie miał wątpliwości, że pytania są czysto retoryczne, czuł się w obowiązku odpowiedzieć.

— Nie dowiedzieliśmy się niczego szczególnie przydatnego dla śledztwa. Ale chcę raz jeszcze podkreślić, że sekretarz Gray sam zaproponował, że nas oprowadzi. I trwało to tylko kilka minut.

— Pozwólcie, Ford, że coś wam wyjaśnię na temat reguł politycznych, jakie obowiązują w naszej branży. Otóż sekretarz Gray nie wpadł na was, ot tak przypadkiem. Został o celu waszej wizyty powiadomiony i dlatego przyszedł. Powiedział prezydentowi, że czuł się w obowiązku tak postąpić, bo bał się, że jeśli do prasy przedostanie się wiadomość, iż NCW utrudnia prowadzenie śledztwa w sprawie kryminalnej, zaszkodzi to jemu i jego agencji. Jak zapewne wiecie, prezydent i sekretarz Gray są sobie szczególnie bliscy. A więc jeśli coś szkodzi NCW i sekretarzowi Grayowi, szkodzi również prezydentowi. Jak dotąd wszystko jasne?

— Tak jest, panie dyrektorze.

— A czy macie też świadomość, że z inicjatywy sekretarza Graya w NCW już wszczęto wewnętrzne dochodzenie w sprawie Johnsona, w którym weźmie też udział FBI?

— Nie, panie dyrektorze. O tym nie wiedziałem.

Ale wyglądało na to, że Martin go nie słucha. Podniósł /. biurka kartkę papieru.

— W waszym pierwszym raporcie uznaliście, że Johnson najprawdopodobniej handlował narkotykami, w związku z czym śledztwo zostawiacie FBI. I na tym koniec. Wysłaliście ten raport do przełożonego wczoraj wieczorem. I nagle dziś rano zjawiacie się w NCW i zaczynacie zadawać pytania, które stoją w jawnej sprzeczności z waszymi słowami. Zatem moje pytanie brzmi: cóż się takiego wydarzyło między wysłaniem pierwszego raportu wczoraj wieczorem a dzisiejszą poranną wizytą w NCW, co spowodowało tak radykalną zmianę waszego myślenia?

Martin patrzył na niego takim wzrokiem, że Alex nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż szef zna odpowiedź na to pytanie. Zerknął na Simpson, ta jednak siedziała ze spuszczoną głową i wpatrywała się w swoje czółenka na wysokich obcasach. To dlatego ją tu sprowadzili. Cholera!

Przeniósł wzrok na dyrektora.

— Czekam na odpowiedź — upomniał go Martin.

Alex odchrząknął, starając się zyskać na czasie.

— Poddali analizie grafologicznej tę notatkę, panie dyrektorze, więc chciałem zapoznać się z wynikiem.

Martin obrzucił go tak zjadliwym spojrzeniem, że Alex poczuł nagle wilgoć pod pachami.

— Nie próbuj ze mną pogrywać, synu — powiedział cichym, spokojnym głosem, który w uszach Aleksa zabrzmiał znacznie groźniej niż wcześniejsze wrzaski. Potem przeniósł wzrok na Simpson. — Agentka Simpson powiedziała nam, iż wasz stary znajomy przekonał was, że powinniście się tą sprawą bliżej zająć. — Zamilkł i po chwili dodał: — Co to za jeden, ten znajomy?

Przykład na to, jak jednym drobnym chłapięciem ozorem można sobie spaprać życie. Alex poczuł, że jego myśli krążą między pytaniem, skąd weźmie na spłatę rat hipotecznych po dyscyplinarnym zwolnieniu z służby, a tym, jak mógłby zabić Jackie Simpson i wywinąć się od kary śmierci.

— Nie przypominam sobie takiej rozmowy z agentką Simpson, panie dyrektorze.

— Ta rozmowa odbyła się dziś rano. Zastanawiam się, czy potrzebni nam są agenci o tak krótkiej pamięci. Dlatego proponuję, żebyście się jednak skupili i spróbowali sobie przypomnieć. I miejcie na uwadze, że chodzi o dwie kariery zawodowe, z których jedna dopiero się zaczyna. — Ponownie obrzucił Simpson spojrzeniem.

— Tożsamość tej osoby nie ma znaczenia, panie dyrektorze. Sam też doszedłem do wniosku, że powinienem kontynuować śledztwo, bo pewne sprawy mi się nie zgadzają. To moja decyzja. Agentka Simpson nie miała z nią nic wspólnego. Wykonywała jedynie moje polecenia i robiła to niechętnie. Dlatego jestem gotów ponieść wszelkie konsekwencje.

— Więc nie odpowiecie mi na moje pytanie?

— Z całym szacunkiem, panie dyrektorze, gdybym miał choć cień wątpliwości, czy ma to jakiś związek z całą sprawą, odpowiedziałbym.

— I nie pozwolicie, żebym sam to mógł ocenić?

Z wielu powodów Alex nie miał ochoty mówić dyrektorowi Secret Service, że owym starym znajomym, który zmobilizował go do podjęcia śledztwa na nowo, jest dziwak, który każe się nazywać Oliver Stone, pomieszkuje w namiocie w parku przed Białym Domem i jest zwolennikiem różnych teorii spiskowych. Nie wydawało mu się to nazbyt rozsądne.

Przygryzł nerwowo wargi.

— Panie dyrektorze, z całym szacunkiem, ale powiedziano mi to w zaufaniu, a ja, przeciwnie niż niektórzy, nie zawodzę zaufania, którym mnie obdarzono. — Mówiąc to nie spojrział na Simpson, ale wiedział, że nie musi. — Tak więc proszę całą odpowiedzialnością obarczyć tylko mnie.

Martin usiadł na swoim fotelu i odchylił się do tyłu.

— Macie za sobą długą i udaną karierę, agencie Ford.

— Też chciałbym w to wierzyć.

Alex czuł, jak w oczekiwaniu na ostateczny cios serce zaczyna mu bić coraz szybciej.

— Ale ludzie najlepiej zapamiętują końcówkę kariery.

Omam nie parsknął śmiechem. Dokładnie to samo powiedział mu wczoraj Oliver Stone, choć oczywiście w zupełnie innym kontekście.

— Też tak słyszałem, panie dyrektorze. — Zamilkł i po chwili ciągnął: — Rozumiem, że zostaną przeniesiony do innego biura terenowego. — Było regułą, że gdy agent podpadał swym zwierzchnikom, wysyłano go do innego, znacznie gorszego biura w terenie. Choć tym razem mogło być jeszcze gorzej. Odmowa wykonania polecenia samego dyrektora mogła skutkować natychmiastowym zwolnieniem ze służby.

— Resztę dnia macie wolne. Począwszy od jutra, zostajecie przeniesieni z WFO z powrotem do ochrony prezydenckiej. Jak posterczycie pod jednymi czy drugimi drzwiami, może nabierzecie rozsądku. Uczciwie przyznaję, że sam nie wiem, co

z wami zrobić. Część mnie chciałaby dać wam kopa i od razu pozbyć się was ze służby. Ale wiem też, że macie za sobą wiele lat uczciwej służby i byłoby szkoda spuścić je jak w kiblu. — Uniósł ostrzegawczo palec. — Tylko żeby nie było żadnych nieporozumień. Pod żadnym pozorem nie wolno wam się zbliżać do sprawy Patricka Johnsona, nawet jeśli wasz stary znajomy będzie was do tego namawiać. Czy to jest jasne?

— Absolutnie, panie dyrektorze.

— To wynoście mi się stąd w cholere.

ROZDZIAŁ 33

Dżamila zajęta była kąpielą niemowlaka, Lori Franklin poszła pobawić się z dwoma starszymi synkami na dobrze wyposażony plac zabaw za domem. Ubierając małego po kąpielu, Dżamila patrzyła na całą trójkę przez okno pokoju dzieciennego. Jej zdaniem Lori nie poświęcała swym dzieciom odpowiednio dużo czasu. Ale nawet ona musiała przyznać, że gdy się nimi zajmowała, robiła to z pełnym zaangażowaniem. Czytała im, rysowała z nimi i cierpliwie uczestniczyła w zabawach swych trzech synów, którzy rośli w oczach i z dnia na dzień się zmieniali. Widać było, że Lori Franklin uwielbia swoich chłopców. Teraz właśnie popychała huśtawkę ze średnim, jednocześnie trzymając na barana najstarszego. Potem wszyscy troje zaczęli się gonić wokół placu, co skończyło się kotłowaniną rąk i nóg na ziemi. Radosne piski i śmiechy docierały aż do uszu Dżamili, która *po paru* sekundach walki z sobą też parsknęła śmiechem na widok tego rodzinnego szczęścia. Synowie. Marzyła, żeby mieć wielu synów, którzy na jej oczach wyrastaliby na silnych i dzielnych mężczyzn i którzy na starość zaopiekowałiby się matką.

Dżamila szybko odwróciła głowę od okna i śmiech zamarł jej na ustach. Ludzie nigdy nie powinni przyjmować tego, co mają, za coś oczywistego. Nigdy! A zwłaszcza Amerykanie, którzy mają wszystko.

Później, gdy obie zajęte były w kuchni przygotowywaniem

obiadu, Franklin w pewnej chwili zamknęła drzwi lodówki i spojrzała na Dżamilę ze zdziwieniem.

— Dżamila, w lodówce jest koszerne jedzenie.

— Tak, proszę pani — odparła Dżamila, wycierając dłonie w kuchenny ręcznik. — Kupuję w sklepie. Za własne pieniądze. To dla mnie.

— Nie o to mi chodzi, Dżamilo. Płacimy za twoje utrzymanie. Ale przecież musisz wiedzieć, że koszerne jedzenie jest...no, dla Żydów.

— Ja to wiem, proszę pani.

Franklin obrzuciła ją zdziwionym spojrzeniem.

— Czy ja tu czegoś nie rozumiem? Muzułmanka jedząca żydowskie jedzenie?

— Żydzi są ludem wymienionym w Księdze, to znaczy w Koranie. Tak samo jak chrześcijanie, proszę pani. A Jezus uważany jest za bardzo ważnego proroka islamu, ale nie za boga. Bóg jest tylko jeden. I tylko Mahomet przekazał ludziom prawdziwe słowo Boże. Ale Dawid i Ibrahim, którego wy nazywacie Abrahamem, są też ważnymi prorokami dla islamu. My ich za to szanujemy. I to właśnie Ibrahim i jego syn Ismail wzniesli Kabę i zapoczątkowali tradycję *hadżdż*, pielgrzymek do Mekki.

Franklin obrzuciła ją niechętnym spojrzeniem.

— Dzięki za wykład z teologii, ale co to ma wspólnego z jedzeniem?

— Muzułmanie muszą jeść to, co jest *halal*, czyli zgodne z prawem, a unikać tego, co jest *haram*, czyli niezgodne z prawem. To wynika z Koranu, szczegółowych *fatw* i innych zasad islamu. Nie wolno nam pić alkoholu ani jeść mięsa świń, psów i małp, ani żadnych innych zwierząt, które nie zginęły z ręki człowieka. Wolno nam jeść mięso tylko takich zwierząt, które mają racice i przeżuwają pokarm, i tylko takie ryby, które mają płetwy i łuski, tak jak Żydom. Żydzi szykują dla siebie jedzenie w sposób możliwy do zaakceptowania przez muzulmanów. Na przykład usuwają z mięsa całą krew. Muzułmanom nie wolno pić krwi ani jeść niczego, co zawiera krew. I Żydzi nie zabijają zwierząt prądem elektrycznym ani przez gotowanie, choć podczas zabijania nie wymawiają trzykrotnie: *Allah akbar*, co znaczy Bóg jest wielki. My, muzulmanie, przed przystą-

pieniem do jedzenia oddajemy cześć Bogu, trzykrotnie wypowiadając Jego imię! Ale jeśli nie można zdobyć pożywienia *halal*, Bóg nie chce, żeby jego lud głodował. Wystarczy nad posiłkiem wypowiedzieć imię boże i jedzenie staje się *halal*. Nie wszyscy muzułmanie jedzą żydowskie jedzenie, ale jeśli nie mogę zdobyć pożywienia *halal*, jem koszerne. Lori Franklin zmarszczyła twarz.

— Cóż, muszę przyznać, że tego nie rozumiem. W pierwszej lepszej gazecie można znaleźć co najmniej jedną wiadomość o wzajemnym mordowaniu się gdzieś na świecie Żydów i muzułmanów. Wiem, że to nie takie proste, ale można by sądzić, że skoro jecie to co oni, a oni występują w waszej Biblii, to moglibyście się jakoś dogadać.

— Nasze różnice nie dotyczą jedzenia — zachnęła się Dżamila. — Mogę pani bardzo dużo opowiedzieć o...

— Tak, wiem, ale nie chcę się teraz nad tym rozwodzić. Po obiedzie muszę spotkać się z George'em. Zapomniał zabrać z domu bilety na wieczorny samolot. Wciąż o czymś zapomina. Człowiek oczekiwałby po bankowcu od inwestycji, że będzie miał trochę lepszą pamięć.

Po obiedzie Franklin udała się na spotkanie z mężem, Dżamila wsadziła dzieci do vana i pojechała do parku. W drodze wróciła myślami do niedawnej przeszłości.

Podczas szkolenia w Pakistanie poznała wielu młodych mężczyzn, którzy prowadzili coś, co nazywali dziennikiem ofiary. Wiedziała, że Zachód nazywa je pamiętnikami samobójców. Czytywała doniesienia prasowe o odnalezieniu takich pamiętników po samobójczej śmierci młodych bojowników islamu. Często się wtedy zastanawiała, jak będzie wyglądać jej ostatni dzień życia. Układała sobie w głowie, o czym będzie myśleć, gdy nadejdzie jej czas, i jak się wtedy zachowa. Miała wiele pytań i kilka dręczących ją wątpliwości. Czy wykaże się odwagą? Wyobrażała sobie, że zachowa dumną postawę i stoicki spokój, ale czy rzeczywiście tak będzie? Czy natychmiast po śmierci trafi do raju? Czy ktoś będzie ją opłakiwał? Jednocześnie myśli te wywoływały w niej coś na kształt poczucia winy, bo sama miłość do Boga powinna jej wystarczyć, tak jak wystarczała wszystkim muzułmanom.

W normalnych okolicznościach byłoby nie do pomyślenia,

by kobiety mogły być u boku mężczyzn członkiniami komórek terrorystycznych. Sprawami takimi rządziły bardzo surowe prawa i zwyczaje plemienne, które zabraniały niespokrewnionym kobietom i mężczyznom uczestniczenia we wspólnych zajęciach. Szybko się jednak okazało, że mężczyźni z krajów muzułmańskich są w Ameryce bardzo skrupulatnie sprawdzani, podczas gdy na kobiety patrzy się raczej przez palce. To spowodowało, że liczba kobiet zaangażowanych w działalność terrorystyczną raptownie wzrosła.

Dżamila zaprzyjaźniła się z pewnym mężczyzną, z którym odbywała szkolenie. Ahmad był Irańczykiem, co początkowo wzbudziło jej podejrzliwość, jako że nigdy jej kraju nie łączyły przyjazne stosunki z Iranem. Jednak jego opowieści o życiu w Teheranie znacznie odbiegały od tego, czego ją uczono w Iraku.

— Ludzie chcą być szczęśliwi — mówił. — A nie mogą być szczęśliwi, skoro nie są wolni. Można kochać i szanować Allana i jednocześnie nie pozwalać, żeby ktoś wiecznie wtrącał się do twojego życia i kazał ci robić to czy tamto. — Opowiadał jej, że Iranom wolno prowadzić samochody, głosować, a nawet zajmować miejsca w parlamencie; że nie muszą zakrywać całych twarzy, a jedynie włosy i ciało, i że ostatnio zaczęły nawet używać kosmetyków. Powiedział jej także, że w Iranie kwitnie nielegalny przemysł anten satelitarnych i — co ją jeszcze bardziej zdumiało — kobiety i mężczyźni siadają razem w samochodach i słuchają przez radio muzyki. Jeśli znało się odpowiednie miejsca i wiedziało, jak się zachować, można było obejść surowe prawa i rządy mułłów. Powiedział jej, że człowiek ma tam szansę na normalne życie, nawet jeśli nie potrwa ono zbyt długo. Dżamila z ogromną uwagą słuchała tych jego opowieści.

Powiedział jej także, że jej imię — znaczące po arabsku „piękna” — bardzo do niej pasuje. Bardzo, bardzo. Powiedział to z pełnym szacunkiem i przekonaniem, odwracając przy tym wzrok. Uwaga ta bardzo ją uszczęśliwiła. Otworzyła przed nią nowe perspektywy na przyszłość, o jakich nawet nie myślała. Jednocześnie dużo też mówił o zbliżającej się śmierci i o tym, że w swym dzienniku zapisał dokładną datę i godzinę, kiedy odda życie Bogu. Odmówił tylko wyjawienia jej tej daty.

Dżamila nie wiedziała, czy udało mu się spełnić to życzenie. Nie wiedziała też, gdzie go posłano po szkoleniu. Przeglądała gazety, szukając jego nazwiska, fotografii i wiadomości o śmierci, ale na nic się nie natknęła. Czasem się zastanawiała, czy i on robi to samo i też szuka w gazetach wiadomości o jej śmierci.

Ahmad był początkującym poetą, który skrycie marzył o tym, że jego wiersze ukażą się kiedyś drukiem, tak by mogli je przeczytać inni muzułmanie. Jego wiersze przepełniała rozpacz i Dżamila wiedziała, że brała się ona z cierpień i gwałtów od lat będących przekleństwem Iranu. Jedne z ostatnich słów, jakie od niego usłyszała, brzmiały: „Gdy się traci wszystko poza życiem, życie nie staje się przez to cenniejsze. Dopiero złożenie życia w ofierze nadaje mu szczególnej mocy. Człowiek nie ma przed sobą wspanialszego celu niż oddanie swego życia Bogu”. Nigdy tych słów nie zapomniała. Jej własnemu życiu nadawały sens i moc.

W Koranie powiedziano, że każdy — zarówno mężczyzna, jak i kobieta — kto przeżył swe życie uczciwie i bogobojnie, zostanie przyjęty do raju. Dżamili wytłumaczono jednak, że dla muzułmanina jedyną gwarancją na szybkie dostanie się do raju jest męczeńska śmierć w świętej wojnie za islam. Jeśli to prawda, a miała nadzieję, że tak, i codziennie się o to modliła, gotowa była z radością się poświęcić. Bo przecież życie potem na pewno będzie lepsze. Była pewna, że Allah nie dopuściłby, by mogło być inaczej.

Czasem Dżamila wyobrażała sobie spotkanie z poetą Ahmadem w raju, gdzie oboje mogliby już zawsze zażywać wiecznego spokoju. Była to jedna z nielicznych myśli, które wciąż jeszcze przywoływały uśmiech na jej usta. Tak, Dżamila bardzo chciałaby go jeszcze kiedyś spotkać. I nieważne, czy za życia, czy po śmierci. To zupełnie nie miało znaczenia.

ROZDZIAŁ 34

Stone wrócił piechotą do swojej dozorcówki, umył się, przyłożył sobie lód do twarzy i położył się na łóżku w nadziei, że trochę mu zejdzie opuchlizna. Potem z telefonu Milтона zadzwonił do Reubena i Caleba i wyznaczył im spotkanie na wieczór. Do Milтона nie udało mu się dodzwonić.

Później zabrał się do pracy na cmentarzu i pomógł kilku odwiedzającym odnaleźć poszukiwane groby. Dawno temu kościół sporządził spis wszystkich pochowanych tu osób, ale wykaz gdzieś zaginął, więc Stone w ciągu dwóch lat pracy spisał nazwiska z wszystkich nagrobków i stworzył własną, dokładną listę pochowanych. Sam się też awansował na nieformalnego przewodnika po cmentarzu góry Syjon i wycieczkom odwiedzającym cmentarz opowiadał jego historię.

Po zaprowadzeniu gości do grobów wrócił do pracy. Czuł, jak mu cała twarz płonie, bardziej jednak ze wstydu niż z odniesionych obrażeń. To, co zrobił, było bezdennie głupie. Zwłaszcza że Adelpia była świadkiem całego zdarzenia. Wciąż jeszcze czuł ciężar tego noża w ręku. Strasznie się wygłupił.

W końcu postanowił pojechać metrem do Milтона. Przede wszystkim pragnął się dowiedzieć, czy przyjacielowi udało się zidentyfikować rejestrację tamtego samochodu. Ale chciał się też upewnić, że wszystko u niego w porządku. Wiedział, że ci, z którymi mają do czynienia, potrafią z równą łatwością zidentyfikować jego odciski palców.

W drodze do stacji metra Foggy Bortom usłyszał za plecami

dźwięk klaksonu. Odwrócił głowę i zobaczył agenta Forda, który swym fordem crown victoria zjechał do krawężnika i opuścił szybę.

— Podwieźć cię? -*- zapytał, a zauważywszy sińce na twarzy przyjaciela, dodał: — Co ci się, u diabła, stało?

— Przewróciłem się.

— Ale dobrze się czujesz?

— Bardziej ucierpiało moje ego niż twarz.

Wsiadł do samochodu i Alex ruszył. Zapadło milczenie i dopiero po chwili Stone się odezwał.

— Myślałem o naszej wczorajszej rozmowie. Jak panu idzie to śledztwo?

— Idzie mi tak świetnie, że mnie właśnie z niego wykopali i odesłali z powrotem do ochrony.

— Agencie Ford...

— Oliver, znamy się już tyle lat, że mógłbyś już chyba mówić mi po imieniu.

— Zatem Alex, mam nadzieję, że to nie przez moją radę wpadłeś w tarapaty.

— Jestem już dużym chłopcem. A w dodatku twoja rada była słuszna. Tyle że nie znałem wszystkich faktów i teraz za to płacę.

— Jakich faktów?

— Niestety, nie mogę ci powiedzieć. A przy okazji, dokąd teraz idziesz?

— Jadę odwiedzić przyjaciół.

— Mam nadzieję, że to ludzie dobrze ustawieni. Bo takich nigdy nie za wiele.

— Obawiam się, że takich w ogóle nie znam.

— Ani ja. Ale za to nagle się okazuje, że moja początkująca partnerka, przy czym słowa „partnerka” używam w bardzo luźnym znaczeniu, ma takich właśnie przyjaciół. Dzisiaj na przykład dowiedziałem się, że jej ojcem chrzestnym jest sam Carter Gray.

— A kto jest twoją partnerką?

— Jackie Simpson.

Stone aż zeszywniał.

— Córnka Rogera Simpsona?

— A ty skąd to wiesz?

— Wspominałeś coś o dobrze ustawionych przyjaciółach, a trudno o kogoś lepiej ustawionego niż Roger Simpson. Bardzo dawno temu pracował w CIA.

— Nie wiedziałem. To pewnie tłumaczy jego zainteresowanie działalnością wywiadu.

Stone siedział wpatrzony w boczną szybę. Nie odwracając głowy, zapytał:

— Ile ona ma lat?

— Kto, Jackie? Trzydzieści parę.

— I dopiero zaczyna pracę w Secret Service?

— Przedtem pracowała w policji w Alabamie.

— I jaka ona jest?

— W tej chwili tkwi na czele listy moich osobistych wrogów. Praktycznie to ona na mnie doniosła.

— Miałem na myśli to, jak wygląda.

— A dlaczego chcesz wiedzieć?

— Tak, z ciekawości.

— Drobną, ciemnowłosa, niebieskie oczy, jak się wkurzy, to cholernie zaciąga. Nie opieprza się i wali prosto z mostu, co jej leży na wątrobie. Delikatny kwiatusek to z niej nie jest.

— Rozumiem. Ładna?

— A co, chcesz się z nią umówić? — parsknął Alex.

— Starsi mężczyźni zawsze interesują się młodymi kobietami — powiedział Stone z uśmiechem.

— Ładna — mruknął Alex i wzruszył ramionami. — O ile przymkniesz oko na jej zادیorność.

Ciemnowłosa, błękitnooka, zادیorna.

— Spotkałeś kiedyś osobiście Cartera Graya? — spytał Stone.

— Właśnie dzisiaj.

— I co o nim myślisz?

— Robi duże wrażenie.

— I dlatego masz kłopoty? Potknąłeś się o Graya?

— Powiedzmy, że wydawało mi się, że jeśli pozwolę dwóm agentom NCW oddelegowanym do sprawy zająć się analizą notki samobójczej, to ich podejść. Miało to dać mi pretekst, żeby ich odwiedzić i trochę się rozejrzeć. Jak się okazało, dostałem za to po głowie. I należało to przewidzieć.

Stone nie słuchał już ostatnich słów, bo jego uwagę w całości zawładnęła wiadomość, że list Johnsona trafił do NCW. Więc były na nim odciski palców Milтона czy ich nie było?

— Hmm... a ci dwaj agenci z NCW byli chętni do współpracy?

— Niespecjalnie. Powiem ci szczerze, że nienawidzę wszystkich szpiclów. I obojętne czy działają w imieniu Narodowego Centrum Wywiadu, Centralnej Agencji Wywiadowczej czy Agencji Wywiadu Obrony. Nigdy ci taki nie powie prawdy, nawet gdyby zależało od tego życie jego własnej matki.

— Nie, nie powie — powiedział Stone w zadumie.

W połowie drogi do celu Stone poprosił, by Alex zatrzymał się i go wysadził.

— Mogę cię zawieźć na miejsce — zaproponował Alex. — Dyrektor dał mi wolne na resztę dnia, żebym miał czas przemyśleć swoje grzechy.

— Muszę się przejść.

— Powinieneś iść z tą szczęką do lekarza.

— Pójdę.

Ledwie Alex odjechał, Stone wyciągnął telefon i zadzwonił do Milтона. Był trochę rozczarowany, że zaprzyjaźniony agent Secret Service już się sprawą nie zajmuje, z drugiej strony pocieszające było to, że Aleksowi już nic nie grozi. Czego nie można było powiedzieć o członkach Klubu Wielbłądów.

Myśli przerwał mu głos Milтона.

— Halo?

— Milton, gdzie ty się podziewasz?

— U Chastity.

— Od jak dawna tam jesteś?

— Od rana, a bo co?

— Jak wychodziłeś z domu, nie zauważyłeś, żeby ktoś się tam kręcił?

— Nie.

— Nie wracaj do domu. Spotkajmy się gdzieś na mieście. — Stone szybko się zastanowił. — Na Union Station. Dasz radę dojechać tam w pół godziny?

— Chyba tak.

— Będę czekał obok księgarni. Udało ci się zidentyfikować ten numer rejestracyjny?

— Bez problemu. Mam nazwisko i adres. Nazywa się...

— Powiesz mi, jak się zobaczymy. Milton, posłuchaj mnie teraz uważnie. Musisz się na sto procent upewnić, że nikt za tobą nie idzie.

— A czego się dowiedziałeś? — spytał Milton z niepokojem.

— Powiem ci, jak się zobaczymy. Aha, jeszcze jedno. Sprawdź, czego uda ci się dowiedzieć o Jackie Simpson, córce senatora Simpsona. Pracuje w Secret Service.

Stone rozłączył się i kolejno zadzwonił do Reubena i Caleba. Przekazał im najnowsze wiadomości, poszedł do najbliższej stacji metra i kilka minut później wkroczył do księgarni B. Daltona w ogromnym holu Union Station. Stał, kartkując kolejne książki i zerkając co chwila na wyjście z metra, gdzie spodziewał się ujrzeć Milтона.

Milton nadszedł z zupełnie innej strony i Stone spojrział na niego pytająco.

— Chastity mnie podwiozła — wyjaśnił. — Co ci się stało z twarzą?

— Nieważne. Chastity też tu jest?

— Nie. Powiedziałem, żeby wróciła do domu.

— Czy jesteś absolutnie pewien, że nikt za wami nie jechał?

— Przy jej sposobie jazdy nikt nie ma szans za nią się utrzymać — parsknął.

Stone poprowadził przyjaciela do znajdującego się naprzeciwko baru kanapkowego. Kupili po kawie i usiedli przy stoliku w samym rogu salki.

Milton wyjął telefon komórkowy i nacisnął jakiś przycisk.

— Gdzie dzwonicz? — spytał Stone.

— Nigdzie. W telefonie mam dyktafon. Właśnie sobie przypomniałem, że w jednej sprawie mam potem zadzwonić do Chastity, więc nagrywam wiadomość. Ten, który ci dałem, też ma taką funkcję. I aparat cyfrowy. — Milton powiedział parę słów do telefonu i odłożył go na stół.

— To jak on się nazywa? — zapytał Stone.

— Tyler Reinke. Mieszka niedaleko Purcellville. Mam jego dokładny adres.

— Znam tamte strony. Dowiedziałeś się, gdzie pracuje?

— Sprawdziłem wszędzie, gdzie udało mi się dotrzeć. A potrafię dotrzeć do wielu różnych miejsc. Nigdzie nic nie znalazłem.

— To może znaczyć, że pracuje w NCW. Myślę, że nawet tobie nie udałoby się złamać ich zabezpieczeń.

— Możliwe.

— Dowiedziałeś się czegoś o Jackie Simpson?

— Nawet dość dużo. Zrobiłem ci wydruk. — Przesunął po stoliku kartonową teczkę.

Stone otworzył ją i przyjrzał się laserowemu wizerunkowi kobiecej twarzy. Alex miał rację, pomyślał. Z jej twarzy było widać, że jest zdziorna. Wydruk zawierał też jej prywatny adres w pobliżu siedziby WFO. Ciekawe, czy chodzi pieszo do pracy. Zamknął teczkę i schował do plecaka. Potem poinformował Milтона, że notka samobójcza Johnsona trafiła do NCW i że mogły na niej być jego odciski palców.

Milton westchnął głęboko.

— Wiedziałem, że nie należało tego dotykać — jęknął.

— Czy twoje dane mogą wciąż jeszcze być w bazie NIH?

— Pewnie tak. A w dodatku w Secret Service zdjęli mi odciski palców po tym, jak wysłałem ten dumny list do Reagana. Strasznie mnie wtedy wnerwiły jego cięcia budżetowe na ochronę zdrowia psychicznego.

— Chciałem na dziś wieczór zwołać spotkanie u Caleba i omówić naszą sytuację, ale teraz już nie jestem pewien, czy to bezpieczne.

— To gdzie się spotkamy?

Dokładnie w tym momencie zabrzączał telefon Stone'a. Dzwonił Reuben, który zaczął opowiadać podnieconym głosem.

— Poszedłem z jednym starym kumplem na piwo. Byliśmy razem w Wietnamie i po powrocie razem zaczynaliśmy w wywiadzie obrony. Dowiedziałem się, że właśnie odszedł z DIA i przeszedł na emeryturę, więc pomyślałem, że jest okazja, żeby się spotkać na drinku i trochę go podpytać. Opowiedział mi na przykład, jak wszyscy w DIA się wściekli, kiedy NCW zażyczyło sobie, żeby przekazać te czki wszystkich znanych im terrorystów. To samo zrobili z dokumentacją CIA. Gray wiedział, że jak przejmie kontrolę nad przepływem informacji, to będzie trzymał w garści całą resztę.

— Czy to znaczy, że wszystkie agencje muszą prosić NCW o informacje?

— Tak. I w dodatku dzięki temu NCW wie, kto nad czym aktualnie pracuje.

— Reuben, ale przecież z mocy prawa NCW i tak ma nadzór nad wszystkim.

— Cholera, Oliver, a kogo obchodzi prawo? Wyobrażasz sobie, że CIA powie komuś prawdę o tym, co naprawdę robią?

— Nie — przyznał Stone. — Ich etyka zawodowa nie pozwala na mówienie prawdy. Nie wspominając o tym, że prawda nie ma tradycji w historii tej służby. Szpiedzy zawsze kłamią.

— Dzisiejsze spotkanie u Caleba nadal aktualne? — spytał Reuben.

— Nie jestem pewien, czy u Caleba... — głos mu nagle zamarł. — Caleb — powtórzył cicho.

— Oliver? — odezwał się Reuben. — Jesteś tam?

— Oliver? Coś się stało? — spytał z niepokojem Milton.

— Reuben, gdzie teraz jesteś? — rzucił szybko Stone.

— W budzie, którą nazywam moim zamczyskiem. A bo co?

— Możesz mnie zabrać z Union Station i zawieźć do schowka?

— Pewno, ale nie odpowiedziałeś na pytanie. Czy spotkanie u Caleba aktualne?

— Nie, myślę, że lepiej będzie spotkać się... — Stone rozejrzał się wokół. — Spotkajmy się tu, na Union Station.

— Na Union Station? — powtórzył Reuben. — To niezbyt dyskretne miejsce.

— Nie powiedziałem, że tu będzie zebranie.

— Zaczynasz coś pleść — burknął szorstko Reuben.

— Wszystko ci później wyjaśnię. Na razie przyjedź jak najszybciej. Będę czekał przed wejściem. — Rozłączył się i spojrzał na Milтона.

— Po co chcesz tam jechać? — spytał Milton.

— Muszę coś stamtąd zabrać. Coś, co może wreszcie nada temu wszystkiemu sens.

ROZDZIAŁ 35

— Chyba nie ma nikogo — powiedział Tyler Reinke. Siedział w samochodzie, obserwując dom Milтона i przeglądając teczkę z jego dokumentami. — Jak ktoś grozi, że zatruje pralinki prezydentowi Reaganowi, to nic dziwnego, że się potem może pożegnać z karierą zawodową — dodał z przekąsem. — Może dlatego nie poszedł na policję, że był już notowany.

— Ja bym tylko chciał wiedzieć, co on, u diabła, robił w środku nocy na Wyspie Roosevelta — mruknął Peters.

— Proponuję, żebyśmy jeszcze trochę odczekali i weszli do środka. Jeżeli się ukrywa, to jest szansa, że znajdziemy w domu coś, co pomoże nam go odnaleźć.

— Ale przedtem przejedźmy się jeszcze raz do Georgetown. Może znajdziemy kogoś, kto tamtej nocy zauważył coś ciekawego — zaproponował Peters.

— A jak już tam będziemy, nie zawadzi jeszcze raz obejrzeć tę łódź — zgodził się Reinke.

Kapitan Jack poprawił kapelusz na głowie, potarł palcem herbacianą różę sterczącą w butonierce i rozejrzał się po swym świeżym nabytku. Warsztat był przestronny i miał trzy pełnowymiarowe stanowiska naprawcze, z których tylko jedno było aktualnie zajęte. Stał na nim samochód, przy którym uwijali się jego „mechanicy”. Irańczyk Ahmad wygramolił się z kanału i otarł czoło.

— Jak idzie? — zapytał kapitan Jack.

— Zgodnie z planem. Rozmawiałeś z kobietą?

— Sprawa załatwiona — odparł kapitan Jack. — I nie zadawaj więcej takich pytań, Ahmad — dodał, obrzucając Irańczyka kamiennym spojrzeniem. Irańczyk w milczeniu skinął głową i ponownie wsunął się do kanału. Chwilę później ciszę warsztatu zakłócił świdrujący gwizd narzędzi elektrycznych i kapitan Jack wyszedł na zalany słońcem dziedziniec.

Ahmad odczekał jeszcze kilka chwil, potem wysunął się z kanału, szybkim krokiem podszedł do stołu i z ukrytej pod stertą narzędzi zaoliwionej szmaty wyciągnął długi nóż. Wsunął nóż pod wykładzinę w bagażniku i dokładnie ją wygładził.

Kapitan Jack pojechał swoim audi do mieszkania naprzeciwko Szpitala Miłosierdzia. Do środka wpuścił go jeden z Afgańczyków.

— Broń już jest? — zapytał kapitan Jack.

— Tak jak chciałeś. Przenieśliśmy wszystko sztuka po sztuce w papierowych torbach sklepowych.

— Pokażcie.

Mężczyzna poprowadził go do narożnika pokoju, w którym stał telewizor z ogromnym ekranem. Wspólnie go odsunęli, Afgańczyk śrubokrętem podważył narożnik wykładziny i ich oczom ukazała się goła podłoga z paneli, których kilka wycięto i zastąpiono arkuszem dykty. Pod dyktą była wnęka, w której na sznurach przeciągniętych co kilkanaście centymetrów między belkami stropowymi leżały dwa karabiny snajperskie z potężnymi lunetami.

— Słyszałem o M-50, ale jeszcze nigdy ich nie używałem — zauważył kapitan Jack.

— Optyka jest cyfrowa, więc na celu nie ma plamki. W komorze mieści się dwudziestą ednomilimetrową nabój z wbudowanymi czujnikami otoczenia i multitermicznym odczytem. — Afgańczyk przyklęknął i pokazał coś palcem — Ma też wbudowany system kompensacji nerwoskurczu mięśni.

— Nigdy nie było mi to potrzebne — mruknął kapitan Jack.

— Cały jest pokryty najnowszą odmianą camofleksu, więc wystarczy nacisnąć ten przycisk i od razu przybiera barwę otoczenia. Lufa jest wykonana w technologii nanometrycznej,

dzięki czemu kąt odchylenia strzału wynosi jedną stutysięczną minuty na tysiąc metrów. Dokładność znacznie przekraczająca nasze potrzeby, ale trudno. Mamy też dwa MP-5 z zapasem około dwóch tysięcy pocisków.

W początkach swej kariery kapitan Jack popełnił fatalny błąd, ustawiając najpierw parametry wysokości nad poziomem morza, a potem wprowadzając poprawkę na ciśnienie barometryczne wzięte z prognozy pogody. Snajper powinien zawsze uwzględniać rzeczywiste ciśnienie niezależnie od ustawienia wysokości. Ponieważ zimne powietrze jest gęściejsze od ciepłego, a także prędkość rozchodzenia się dźwięku w zimnym powietrzu jest niższa, ma to istotne znaczenie w przypadku korzystania z naddźwiękowej amunicji. Z powodu jego błędu cel zamachu odniósł ranę, która nie okazała się śmiertelna, co w sytuacji, gdy celem jest szef obcego państwa, stanowi rezultat absolutnie niesatysfakcjonujący.

— Gdzie schowaliście amunicję? — spytał.

Afgańczyk podszedł do telewizora i zdjął z niego tylną osłonę. Wewnątrz znajdowało się kilkadziesiąt pełnych magazynków do MP-5 i kilkanaście pudełek amunicji do M-50.

— Jak widzisz, telewizji dużo nie oglądamy — dodał całkiem zbyteczny komentarz.

— A gdzie wasze dwa karabiny i amunicja? Bo one są najważniejsze.

— W innym miejscu pod podłogą. Są gotowe do użycia. Mamy ponad pięćdziesiąt godzin treningu za sobą. Nie bój się, nie spudłujemy.

— Prognoza na dzień akcji wygląda korzystnie, ale w tych stronach pogoda potrafi się raptownie zmieniać.

Afgańczyk wzruszył ramionami.

— Strzelanie na taką odległość to pestka. Bez problemu trafiałem w cel ustawiony trzy razy dalej, w nocy i przy ostrzale przeciwnika z naprzeciwka.

Kapitan Jack wiedział, że słowa Afgańczyka nie są pustymi przechwałkami, co zresztą było jednym z powodów, dla których przydzielił mu to zadanie.

— Ale nigdy nie robiłeś tego w takich warunkach — powiedział. — Pole ostrzału i tor pocisku będą trochę inne.

— Możesz mi wierzyć, o wszystkim pamiętam.

Kapitan Jack przeszedł do łazienki i przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. Zdjął kapelusz i spojrzał na gęste, czarne, przetykane siwizną włosy, takie same wąsy i krótką brodę. Zdjął barwione szkła i z lustra spojrzął na niego błękitne oczy. Z boku długiego i mięsistego nosa ciągnęła się niewielka blizna. Jego włosy i broda były sztuczne, podobnie jak blizna i kolor oczu. W rzeczywistości był łysy, miał piwne oczy i nie miał żadnych znaków szczególnych. Jego nos był wprawdzie długi, ale dość wąski.

Nałożył ponownie okulary i kapelusz. Zdarzyło mu się nieraz zniknąć i często robił to, wykonując zadania dla innych, w tym także dla rządu Stanów Zjednoczonych. Kiedy indziej bywał wolnym strzelcem i służył temu, kto najwięcej płacił. Tym razem, tak jak powiedział Hemingwayowi, kolejne zniknięcie miało być ostatnim w jego karierze.

Wsiadł do samochodu i pojechał do miejsca planowanych uroczystości pod miastem. Do centrum było stąd zaledwie dziesięć minut drogi, ale w ciągu dziesięciu minut dużo może się wydarzyć.

Kapitan Jack nie zatrzymał się przy miejscu uroczystości. Wolno pojechał dalej, wyławiając wzrokiem kolejne punkty odniesienia, które już dawno wbił sobie do głowy. Cały teren uroczystości ogrodzony był białym wiejskim płotem, w którym umieszczono tylko jedną bramę dla samochodów i wiele przejść dla pieszych. Wjazd dla pojazdów wyznaczały dwa dwumetrowe słupy z cegieł i wiadomo było, że prezydencka kawalkada dwukrotnie między nimi przejedzie. Słupy stały tak blisko siebie, że Bestia będzie musiała się wręcz przeciskać.

Potoczył wzrokiem po obrastających plac krzakach i drzewach i w myślach rozmieścił w nich prezydenckich anty snajperów. Ciekawe, ilu ich będzie? Kilkunastu? Dwudziestu paru? W dzisiejszych czasach trudno to ustalić, nawet mając do dyspozycji najlepszy wywiad. Będą ubrani w kamuflażowe kombinezony i tak dobrze wtopią się w tło, że prędzej się na nich nadepnie, niż zauważy. Tak, część jego ludzi na pewno polegnie na tym polu chwały. Ale przynajmniej ich śmierć będzie natychmiastowa i bezbolesna. Trafienie dalekosiężnym pociskiem naddźwiękowym, zwłaszcza w głowę, oznacza momentalną śmierć, która następuje szybciej niż reakcja

ludzkiego mózgu. Ale śmierć fedainów nie będzie już ani tak szybka, ani na pewno nie bezbolesna.

Kapitan Jack wyobraził sobie scenę przyjazdu prezydenckiej kawałkady i wyjście prezydenta z Bestii. Na pewno pomacha ręką, uściśnie kilka dłoni, poklepie parę osób po plecach, kilka innych uściska, potem przy dźwiękach pieśni *Hail to the Chief* zostanie wprowadzony na kuloodporne i bomboodporne podium.

Zwyczaj grania tej pieśni w chwili wkraczania prezydenta USA do jakiegoś pomieszczenia pierwsza wprowadziła żona prezydenta Jamesa Polka, która nie mogła ścierpieć, że jej drobny i niepozorny mąż bywa często kompletnie ignorowany w momencie pojawienia się na sali. Dlatego Sarah Polk zarządziła, że każdorazowo na powitanie wchodzącego prezydenta ma zabrzmieć hymn prezydencki. Wszyscy późniejsi prezydenci utrzymali zwyczaj wprowadzony przez żądną splendoru kobietę.

Pochodzenie pieśni, będącej hymnem prezydenckim, było zdaniem kapitana Jacka jeszcze zabawniejsze. Muzykę skomponowano do poematu sir Waltera Scotta *Pani jeziora*, opowiadającego o kłesce naczelnika szkockiego klanu, którego w wyniku zdrady jego najzagorzalszy wróg, król Jakub V, skazuje na śmierć. Paradoksalnie więc pieśń, którą honorowano prezydenta Stanów Zjednoczonych, nawiązywała do śmierci przywódcy innego państwa. Pod koniec piątej zwrotki poeta stawia pytanie, które zdaniem kapitana Jacka wszyscy politycy chcący się ubiegać o urząd powinni głęboko przemyśleć. Pytanie to brzmiało: „O, któżby chciał być twoim królem?”.

— Nie ja — mruczał wtedy pod nosem. — Na pewno nie ja.

Weteran Gwardii Narodowej rozsiadł się na krześle i pod czujnym wzrokiem obu mężczyzn przyjrzał swojej nowej dłoni.

— Skoro mamy już w środku poduszeczkę, to teraz poćwiczmy ruchy — powiedział mechanik.

Amerikanin poruszył dłonią i nadgarstkiem w sposób, jakiego go nauczono, ale nic się nie wydarzyło.

— Wszystko jest kwestią wprawy. Niedługo będziesz w tym mistrzem.

Dwie godziny później postęp był rzeczywiście widoczny. Mężczyźni zrobili sobie przerwę, usiedli i zaczęli rozmawiać.

— Byłeś kierowcą ciężarówki, tak? — zapytał chemik.

Weteran przytaknął i uniósł hak i sztuczną dłoń.

— Z tym odpada, bo musiałem też zajmować się rozładunkiem.

— Jak długo służyłeś w Iraku, zanim to się stało?

— Osiemnaście miesięcy. Zostały mi tylko cztery miesiące do końca, tak przynajmniej myślałem. Bo potem dostaliśmy rozkaz przedłużający nasz pobyt o następne dwadzieścia dwa miesiące. Cztery lata! Zanim się to wszystko zaczęło, mieszkałem w Detroit, miałem żonę i dzieci i nieźle mi się powodziło. Potem nagle się okazało, że za własne pieniądze muszę kupić sobie bieliznę ochronną i GPS, bo Wujka Sama na to nie stać, a mina pod Mosulem zabrała mi obie ręce i kawał klatki piersiowej. Po czterech miesiącach w szpitalu wróciłem do domu i wtedy się okazało, że żona wystąpiła o rozwód, do pracy nie mogę wrócić i praktycznie jestem bezdomny. — Przerwał i pokręcił głową. — Brałem udział w pierwszej wojnie nad Zatoką Perską i przeżyłem wtedy całe to gówno, jakim nas Saddam obrzucał. Po wyjściu z wojska wstąpiłem do Gwardii Narodowej, żeby mieć z czego żyć, póki nie stanę na nogi. Odbyłem służbę w Gwardii, złożyłem rezygnację i podjąłem pracę jako kierowca ciężarówek. I po latach do moich drzwi nagle puka armia i oświadcza, że moja rezygnacja ze służby nie została nigdy „oficjalnie” przyjęta. Odpowiedziałem im nie za grzecznie, żeby się ode mnie odpieprzyli, a oni mnie dosłownie siłą wyciągnęli z domu. A półtora roku potem robi się bum i szlag trafia moje ręce i całe moje życie. I wszystko to robi mi własny kraj.

— To masz teraz okazję, żeby mu odpłacić — powiedział mechanik.

— Właśnie, mam. — Były gwardzista kiwnął głową i wygiął dłoń.

Adnan ar-Rimi przemierzał korytarze Szpitala Miłosierdzia, uważnie rozglądając się i notując w pamięci szczegóły. Potem zawrócił do głównego wejścia akurat w chwili, gdy do środka

wwożono na wózku starszą kobietę, podłączoną do przenośnej kroplówki.

Adnan wyszedł na zewnątrz i wciągnął w płuca ciepłe powietrze. Na lewo od wejścia znajdowała się pochylnia służąca do wwożenia pacjentów na wózkach i noszach. Na wprost wejścia były schodki prowadzące na chodnik. Schodków było czternaście i Ar-Rimi powoli zszedł po nich i zawrócił, licząc w myślach mijające sekundy. Siedem sekund w normalnym tempie; biegiem pewnie o połowę krócej.

Wrócił do budynku, od niechcienia muskając dłonią broń przy pasie. Był to stary rewolwer kalibru .38 —jego zdaniem typowe amerykańskie gówno, ale jedyne, czym dysponowała zatrudniająca go firma ochroniarska. Wiedział, że i tak nie ma to żadnego znaczenia, jednak broń zawsze była dla niego czymś bardzo ważnym. Właściwie przez całe jego życie od sprawnej broni zależało, czy przeżyje.

Poszedł wolnym krokiem w stronę dyżurki pielęgniarek i stanął przy czwartym kafelku liczonym od środka, potem zawrócił i pomaszerował z powrotem do wejścia. Gdyby ktoś go obserwował, zapewne uznałby, że robi obchód w ramach swych obowiązków. Policzył w myślach kroki, kiwając po drodze głową dwóm mijanym pielęgniarkom. Przy drzwiach wejściowych skręcił w prawo i cały czas licząc kroki, poszedł korytarzem w stronę wyjścia awaryjnego. Pchnął drzwi zamykające wyjście na schody, policzył stopnie na dwóch ciągach schodów prowadzących w dół i znalazł się w podziemnym korytarzu biegnącym wzdłuż zachodniego skrzydła budynku. Korytarzem tym dochodziło się do odnogi wiodącej w prawo, którą można było dotrzeć do wyjścia na tyłach szpitala. Ze względu na lekki spadek i niewydolną kanalizację nawet niewielki deszcz powodował, że korytarz stał w wodzie. Stanowiło to kolejny powód do korzystania z wejścia od frontu.

Adnan zatrzymał się i odtworzył sobie w głowie sekwencję zdarzeń, jakie miały się tu rozegrać. Potem podszedł do podwójnych drzwi w ścianie korytarza, otworzył je, wszedł do środka, a następnie zamknął. Znajdował się w pomieszczeniu nastawni szpitalnej mieszczącej także zapasowy generator prądu. Zatrudniająca go firma ochroniarska z grubsza przeszkoliła go w funkcjonowaniu urządzeń w nastawni, tak by

wiedział, jak się zachować w razie awarii. Wiedzę tę uzupełnił, przeczytawszy szczegółowe instrukcje obsługi wszystkich znajdujących się tu urządzeń, choć naprawdę interesowało go tylko jedno z nich. Znajdowało się na ścianie naprzeciwko generatora. Otworzył skrzynkę kluczem z pęku przy pasie i przyjrzał się umieszczonym w niej przełącznikom. Był pewien, że bez trudu sobie z nimi poradzi.

Zamknął na klucz drzwi do nastawni, wrócił na parter i kontynuował obchód. Miał zamiar powtarzać tę procedurę codziennie, aż do dnia akcji.

Wkrótce jego zmiana dobiegła końca i Adnan poszedł do szatni, przebrał się w cywilne ubranie, potem wsiadł na rower i pojechał do mieszkania znajdującego się jakieś trzy kilometry od szpitala. Przygotował sobie posiłek złożony z chrupkiego pieczywa, daktyli, bobu, oliwek i kawałka mięsa *halal*, które usmażył w maleńkiej kuchni.

Rodzina Adnana pochodziła z Arabii Saudyjskiej i zajmowała się hodowlą bydła i uprawą daktyli, co w kraju, w którym ziemię uprawną stanowią zaledwie jeden procent powierzchni, stanowi nie lada wyczyn. Potem jednak nadeszły ciężkie czasy, ojciec Adnana zmarł i cała rodzina przeniosła się do Iraku, gdzie zajęli się uprawą pszenicy i hodowlą kóz. Jako najstarszy syn Adnan pełnił już funkcję głowy rodziny i zajmował się zabijaniem zwierząt, tak by mięso mogło być uznane za zdatne do spożycia zgodnie z wymogami islamu, co stanowiło dodatkowe źródło zarobku rodziny.

Siedząc teraz z filiżanką herbaty w dłoni i gapiąc się w okno, Adnan cofnął się myślami do tamtych wspomnień. Oстрыm jak brzytwa nożem odbierał życie kozom, owcom, kurczakom i bydłu. Zasady islamu wymagały, by w chwili podrzynania gardła wypowiadać imię Allaha. Adnan dodatkowo pilnował, by nie przerwać rdzenia kręgowego, i to z dwóch powodów: po pierwsze, śmierć była wtedy dla zwierzęcia mniej bolesna, i po drugie, konwulsyjne drgawki nie ustawały od razu, co ułatwiało proces wytoczenia całej krwi, czego wymagało muzułmańskie prawo. Ono też nakazywało, by przeznaczone na rzeź zwierzę nie było świadkiem śmierci innego zwierzęcia, a przed zarżnięciem miało być dobrze nakarmione i wypoczęte. Było to znacznie bardziej humanitarne niż masowe głuszenie i rażenie

prądem, jakie stosowano w rzeźniach amerykańskich. Tak, pomyślał, Amerykanie to prawdziwi eksperci od szybkiego i masowego zabijania.

Pijąc wolno herbatę, Adnan cofnął się myślami do przeszłości. Uczestniczył w trwającej całą dekadę wojnie iracko-irańskiej, podczas której muzułmanie zabijali tysiące innych muzułmanów, tocząc z sobą najbardziej bezlitosne walki wręcz, jakie zna historia wojen. Po zakończeniu działań wojennych życie Adnana wróciło do normy. Ożenił się, spłodził dzieci i robił wszystko, by nie narazić siebie i swej rodziny ogarniętemu megalomanią Saddamowi Husajnowi i jego siepaczom.

Potem przyszedł 11 września i inwazja na Afganistan, w której wyniku talibowie zostali szybko pokonani. Adnan nie miał w tej sprawie żadnych zastrzeżeń. Ameryka została zaatakowana i miała prawo oddać. Jak większość Irakijczyków, Adnan nie popierał rządów talibów. Życie w Iraku toczyło się dalej i nawet w warunkach międzynarodowego embarga nałożonego na jego kraj Adnan jakoś wiązał koniec z końcem. Ale potem Stany wypowiedziały Irakowi wojnę i jak większość rodaków Adnan z przerażeniem czekał na bomby i rakiety, które miały im spaść na głowy. Wysłał żonę wraz z całą rodziną w bezpieczne miejsce, sam jednak pozostał na miejscu, bo jego przybrana ojczyzna stawała się celem ataku innego państwa.

Gdy w końcu amerykańskie samoloty nadleciały, Adnan z przerażeniem patrzył, jak Bagdad stopniowo zamienia się w jedno gigantyczne morze ognia. Amerykanie nazywali to niezamierzonymi zniszczeniami, lecz dla Adnana oznaczały one brutalną śmierć setek mężczyzn, kobiet i dzieci ginących we własnych domach. Potem pojawiły się czołgi, a wraz z nimi amerykańskie wojsko. Adnan od początku nie miał wątpliwości co do końcowego rezultatu tej wojny. Amerykańska przewaga była miażdżąca. Amerykanie dysponowali bronią mogącą zabijać z odległości półtora tysiąca kilometrów, a Adnan nigdy nie walczył inaczej jak pistoletem, nożem i gołymi rękami. Mówiło się też, że Amerykanie mają takie rakiety, które w ciągu paru minut od wystrzelenia z terytorium Stanów Zjednoczonych mogą obrócić w perzynę cały Bliski Wschód. Myśl ta przerażała Adnana. Wiedział, że z takim szatanem nie da się walczyć.

Po obaleniu Husajna zaświtała nowa nadzieja, która jednak szybko przemieniła się w rozpacz, bo kraj zalała fala agresji i śmierci, a społeczeństwo obywatelskie przestało po prostu istnieć. I gdy obecność wojsk amerykańskich nabrała cech prawdziwej okupacji, Adnan uznał, że poczucie obowiązku wskazuje mu tylko jedną drogę. Podjął więc walkę przeciwko Amerykanom, zabijając przy okazji wielu swych współobywateli. Doprowadzało go to do rozpacz, ale potrafił znaleźć dla siebie usprawiedliwienie. W przeszłości musiał zabijać Irańczyków podczas wojny między ich krajami. Teraz zabijał Arabów i Amerykanów. Własnoręcznie zabił też wiele zwierząt. Miał poczucie, jakby całe jego życie upływało na zadawaniu śmierci innym.

A teraz zostało mu tylko własne życie. Żona i dzieci już nie żyli. Zginęli też jego rodzice, bracia i siostry. Tylko on jeden wciąż jeszcze pozostawał na świecie, podczas gdy wszyscy jego bliscy od dawna przebywali w raju.

I oto znalazł się w Stanach Zjednoczonych, jaskini wroga. Został mu jeszcze jeden, ostatni wysiłek w życiu, które upłynęło na walce i ciągłym odpieraniu ataków. Czuł zmęczenie, zupełnie jakby przeżył osiemdziesiąt lat, choć miał ich o połowę mniej. Jego umysł i ciało nie chciały znosić tego dłużej.

Dopił do końca herbatę, jednak nie odwracał wzroku od okna, za którym grupka dzieci szalała na osiedlowym placu zabaw. Widział wśród nich czarne, białe i oliwkowe zabarwienia skóry, co im nie przeszkadzało we wspólnej zabawie. W tym wieku różne kolory skóry i różnice kulturowe jeszcze nic nie znaczą. Zaczną jednak znaczyć bardzo dużo, gdy tylko te dzieci dorosną. Wiedział, że tak będzie. Zawsze tak było i będzie.

ROZDZIAŁ 36

— Życzył pan sobie mnie widzieć, panie sekretarzu — powiedział Tom Hemingway, stając w drzwiach gabinetu Graya. Mówiło się, że w całym gmachu NCW gabinet ten jest jedynym pomieszczeniem wolnym od podsłuchu elektronicznego.

Siedzący za biurkiem Gray przywołał go ruchem ręki.

— Zamknij drzwi, Tom.

W ciągu następnej pół godziny dyskutowali nad przewidywanym rozwojem wydarzeń międzynarodowych, omówili aktualną sytuację w kilku zapalnych punktach na świecie. Gray wysłuchał informacji na temat kluczowych operacji wywiadowczych na Bliskim i Dalekim Wschodzie, po czym przeszli do innych spraw.

— Jak skończyła się dzisiejsza wizyta ludzi z Secret Service? — zapytał Gray.

— Udzieliłem im maksymalnej pomocy, panie sekretarzu. W każdym razie pomocy w naszym rozumieniu. Mam nadzieję, że słusznie postąpiłem, uwalniając pana od nich.

— Słusznie. A ci dwaj, którzy z nimi wcześniej rozmawiali?

— Warren Peters i Tyler Reinke. To dobrzy pracownicy. Zostali wyznaczeni do pilnowania interesów NCW w toczącym się śledztwie. O ile wiem, pomogli Secret Service zbadać jakieś ślady zebrane na miejscu.

— Rozmawiałem o Fordzie i Simpson z prezydentem. Myślę, że już tu więcej nie wrócą.

— O ile wiem, Simpson jest pańską chrześniaczką?

— Tak. To jedyna córka Rogera Simpsona. Byłem zaszczycony, kiedy zwrócił się do mnie z tą propozycją. Choć wcale nie jestem pewien, czy dobry ze mnie ojciec chrzestny.

— Wygląda, że nieźle sobie radzi.

— Naprawdę kocham ją jak własną córkę. — Jakby się zawstydził tym osobistym wyznaniem, bo szybko odchrząknął i zmienił temat. — Wdrożyliśmy wewnętrzne dochodzenie w sprawie śmierci Johnsona. Włączy się w to FBI.

— Myślę, że to słuszna decyzja. — Hemingway kiwnął głową. — Nie wierzę, żeby coś wykazało, ale lepiej się upewnić.

Gray obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

— A czemu myślisz, że dochodzenie nic nie wykaże?

— Dom i samochody, na które go nie stać, i znalezione w domu narkotyki. Sprawa wydaje się oczywista. I nie będzie to pierwszy taki przypadek.

— Ale pierwszy u nas — powiedział Gray z naciskiem. — Znałeś go dobrze?

— Tak jak wszystkich administratorów danych. U wszystkich miał opinię doskonałego pracownika.

— A co ty byś o nim powiedział?

Hemingway przez chwilę się zastanawiał.

— Na podstawie moich dość luźnych kontaktów powiedziałbym, że jego ambicje przerastały możliwości.

— To dość wnikliwa uwaga na, jak powiadasz, luźne kontakty.

— Ale da się to powiedzieć o połowie naszego personelu. Bo tak naprawdę wszyscy marzą, żeby się znaleźć na pańskim miejscu, a jednocześnie wiedzą, że to się nigdy nie spełni. Taka świadomość jest przygnębiająca.

Gray poprawił się na fotelu.

— Dokładnie przejrzałem akta Johnsona. Nie znalazłem w nich nic, co mogłoby sugerować, że dał się kupić. Zgadzasz się? — Hemingway przytaknął ruchem głowy. — Tyle że pewnie to samo dałoby się powiedzieć o niemal wszystkich, których udało się przekupić i namówić do zdrady kraju. Myślę, że to się raczej wiąże z psychiką niż stanem konta bankowego.

— Są u nas pracownicy, którzy Johnsona znali dużo lepiej niż ja.

— Już z nimi rozmawiałem — rzekł Gray. — Rozmawiałem

też z tą jego narzeczoną. Wierzy święcie, że sprawa narkotyków to bzdura.

— To rozumiałe, że próbuje go bronić.

— Tom, o ile pamiętam, integrację wszystkich baz danych wywiadowczych zakończono cztery miesiące temu, czy tak?

— Tak, z jedną tylko uwagą, że dopiero niedawno przeprowadziliśmy integrację baz TSA* z ich biura badań i koordynacji operacji. Opóźnienie wynikało z powodu jakichś trudności formalnoprawnych, między innymi ze strony Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

— Czy prócz tego mieliśmy jeszcze jakieś inne kłopoty?

— Nie. Ale na pewno pamięta pan, że dane z TSA miały dla nas kluczowe znaczenie. Dotyczyły takich akcji jak Program Bezpieczeństwa Lotów, Program Rejestracji Podróżnych i US VISIT. Dla nas szczególnie istotny był program US VISIT, bo zawierał szczegółowe dane na temat wszystkich obcokrajowców odwiedzających Stany, a także ich zdigitalizowane odciski palców i zdjęcia. Tyle że zmobilizowało to działaczy ACLU do oskarżenia rządu o metody Wielkiego Brata i wystąpienia z pozwami do wszystkich sądów w kraju, które były gotowe je przyjąć. Ale te dane powinny były do nas trafić i w końcu tak się stało. Przedtem posługiwało się nimi kilkanaście różnych wydziałów, co powodowało całkowity brak koordynacji oraz nakładanie się i powielanie danych. W rezultacie były w dużym stopniu bezużyteczne.

— Cóż, tego rodzaju niedociągnięcia walenie się przyczyniły do tego, co się stało jedenastego września — rzekł Gray.

— A skoro o tym mowa, podobno prezydent zaprosił pana do udziału w jutrzejszych uroczystościach rocznicowych w Nowym Jorku.

— Biurowy system zbierania plotek działa sprawniej niż najlepsza siatka szpiegowska. Tak, zaprosił, i tak, odmówiłem. Jak co roku chcę uczcić pamięć wszystkich ofiar tamtych wydarzeń w samotności.

— Słyszałem też, że wybiera się pan do Brennan w Pensylwanii.

* TSA (Transport Safety Administration) — Urząd Bezpieczeństwa Transportu.

Gray skinął głową, potem otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej książkę.

— Tom, jak dobrze znasz Biblię?

Tom przywykł do raptownych zmian tematów rozmów z Grayem.

— Przeczytałem wersję króla Jakuba. A także Koran, Talmud i Księgę Mormonów.

— To dobrze. I jaką wspólną cechę w nich znajdujesz?

— Przemoc — odparł Hemingway bez namysłu. — Na ogół twierdzi się, że Koran propaguje przemoc, a o chrześcijanach nikt tego nie mówi. Ale o ile dobrze pamiętam, w Księdze Powtórzonego Prawa pełno jest ognia i siarki. Co chwila jest tam mowa o pokaraniu nagłą śmiercią tego czy tamtego.

— Ale przynajmniej jest w tym konsekwentna. A Koran wyraźnie zabrania wiernym odbierania sobie życia, czego nie da się nijak pogodzić z koncepcją samobójczych zamachów. Nie tylko nie obiecuje raju, ale samobójcom wręcz grozi wiecznym potępieniem w piekle.

— Ale Koran mówi o tym wtedy, gdy przyczyna samobójstwa nie dotyczy Boga. Groźba potępienia nie dotyczy tych, którzy umierają za sprawę wiary. A poza tym w Koranie i późniejszych pismach, a także w tamtejszych prawach i zwyczajach jest tak dużo mowy o zabijaniu niewiernych, że zabicie przy tej okazji siebie można bez trudu uznać za w pełni uzasadnione. A o tych, którzy giną za sprawę wiary, mówi się, że naprawdę wcale nie umierają, a ich bliscy nie powinni ich opłakiwać. Na tym polega podstawowa różnica między islamem i chrześcijaństwem

— To prawda. Ale jednocześnie obie religie łączy coś jeszcze.

— Mianowicie?

Gray odłożył Biblię na biurko.

— Zmartwychwstanie po śmierci.

ROZDZIAŁ 37

Przestronny dom wynajęty przez kapitana Jacka na przedmieściu Brennan był dość oddalony od głównej drogi i reszty domów w okolicy. Znajdowała się w nim spora sala projekcyjna, z której kapitan Jack miał właśnie zamiar skorzystać.

Włożył otrzymaną od Hemingwaya płytę DVD do odtwarzacza, ale go nie włączył, tylko czekał, aż wszyscy zaproszeni zajmą miejsca. Widzowie, którzy przyszli na seans, nie przynieśli jednak z sobą torebek z prażoną kukurydzą i nikt nie roznosił napojów chłodzących. Dzisiejszy pokaz miał zupełnie inny charakter.

Kapitan Jack przez chwilę wodził wzrokiem po sali, przyglądając się swojej ekipie. Składała się z dobrych, zdolnych ludzi. Wszystkich zahartowało życie pozbawione chwil szczęścia i wygod, będących dla innych czymś normalnym. Takich jak pełny talerz, czysta woda, łóżko do spania czy brak ciągłego strachu przed gwałtowną śmiercią. Na sali siedzieli specjaliści od materiałów wybuchowych i produkcji bomb, snajperzy i inni eksperci od broni palnej, fedaini, technicy, szpiedzy i samochodziarze. Wśród obecnych nie było Dżamili, bo jej misja miała zupełnie odmienny charakter, a ponadto kapitan Jack nie był pewien reakcji mężczyzny na wiadomość, że tak kluczowy fragment całej operacji zależy od kobiety. Tylko kilka osób w ekipie wiedziało o jej roli i Amerykanin uznał, że dla dobra wszystkich lepiej będzie, jeśli tak zostanie.

Wygląd zewnętrzny uczestników spotkania uległ istotnym

zmianom. Zapuścili dłuższe włosy lub je krócej ostrzygli. Zgolili brody, utyli lub schudli. Wszyscy byli ubrani jak zwykli Amerykanie. Niektórzy założyli okulary, inni ufarbowali włosy. Wprawdzie w bazie danych NCW nie było ani jednej aktualnej podobizny żadnego z nich, cała operacja była zbyt ważna, by ryzykować wpadkę przez jakiś drobny, ale istotny szczegół. Mimo zmian w ich wizerunkach w bazie NCW nadal istniała realna groźba, iż jakiś pracownik amerykańskich służb wywiadowczych, który zetknął się z nimi dawno temu, mógłby ich jednak rozpoznać.

Kapitan Jack wyszedł przed audytorium i rozpoczął odprawę. Zwracając się kolejno do wszystkich po imieniu, polecił, by składali raport o aktualnym stanie przygotowań. Miało to służyć utrwalaniu wzajemnego zaufania i tworzeniu atmosfery koleżeństwa.

Kapitan Jack, Tom Hemingway i ktoś trzeci osobiście dokonali selekcji uczestników spośród grona kandydatów zaproponowanych przez tego ostatniego, którego pierwsi dwaj darzyli pełnym zaufaniem. Odrzucili wtedy kandydatury najbardziej zawziętych i pełnych nienawiści fundamentalistów muzułmańskich, uznając, że w czekającym ich zadaniu najważniejsze będzie umiarkowanie.

Porywacze z 11 września wywodzili się z różnych środowisk. Czternastu spośród piętnastu porywaczy towarzyszących „pilotom” na pokładach samolotów przybyło z Arabii Saudyjskiej. Pochodzili ze średniozamożnych rodzin, które nigdy nie przejawiały nadmiernej aktywności politycznej czy religijnej. Mimo to ci młodzi ludzie opuścili swe domy i rodziny, przeszli przeszkolenie w szeregach Al-Kaidy, stali się zwolennikami fundamentalizmu i dżihadu, i wykonali postawione im zadania z wojskową precyzją. Zrobili to zapewne w nadziei, iż w ten sposób szybko zasłużą na miejsce w raj. Porywacze z 11 września nie musieli jednak podejmować żadnych decyzji, bo wszystko zostało zaplanowane za nich. Operacja w Brennan miała zupełnie inny charakter i każdy z uczestników mógł swymi decyzjami w zasadniczy sposób wpłynąć na jej przebieg.

Dlatego Hemingway i kapitan Jack dobierali ludzi starszych i dość wykształconych, którzy do tej pory wiedli normalne życie. Ludzie ci nie odbyli przeszkolenia w Al-Kaidzie i nie

poświęcili swego życia idei dżihadu z przyczyn zwykle kojarzonych z jego bojownikami. I wprawdzie wielu z nich miało za sobą potyczki z organami porządku publicznego w Ameryce i Europie — co spowodowało, że ich odciski palców i fotografie trafiły do kartotek policyjnych i że trzeba było zmieniać ich podobizny w bazie NCW — żaden nie zaliczał się do kategorii przestępców, których twarze trafiają na pierwsze strony gazet. Najmłodszy miał trzydzieści, a najstarszy pięćdziesiąt dwa lata, przy średniej wieku dla całej grupy wynoszącej czterdzieści jeden lat. Wprawdzie wszyscy już zabijali, żaden się do tego nie palił. Każdy stracił w działaniach wojennych i innych konfliktach zbrojnych w swych krajach co najmniej trzech członków najbliższej rodziny. Sześciu straciło całe rodziny. Do udziału w akcji zgłosili się na ochotnika z przyczyn innych niż te, które stanowią typową motywację bliskowschodnich terrorystów. Do tego stopnia innych, iż we własnym mniemaniu byli żołnierzami, a nie terrorystami. O takich właśnie „żołnierzy świętej sprawy” od początku chodziło Hemingwayowi.

— I nigdy nie zapominajcie — mówił kapitan Jack — że podczas gdy my tu siedzimy i omawiamy naszą akcję, w jakimś w innym miejscu siedzi znacznie liczniejsza grupa ludzi, którzy planują, jak nam w tym przeszkodzić. Ludzi ci są świetni w tym, co robią, zatem my musimy być jeszcze lepsi. Musimy być doskonali. — Przerwał i potoczył wzrokiem po słuchaczach, każdemu zaglądając w oczy. — Wystarczy jedna nedoróbka, by cała konstrukcja runęła. Czy wszyscy mają tego świadomość?

Każdy z osobna pokiwał głową.

Kapitan Jack raz jeszcze powrócił do omówienia przebiegu całej uroczystości. Armia funkcjonariuszy Secret Service i miejscowej policji miała do dyspozycji ściągę w postaci szczegółowo rozpisanego scenariusza prezydenckiej wizyty. Kapitan Jack i jego ludzie nie mogli sobie pozwolić na luksus robienia notatek. Jedna zapodrziana karteczka mogłaby mieć katastrofalne skutki i dlatego wszystko musieli znać na pamięć. Zależnie od trudności omawianego fragmentu akcji kapitan Jack mówił to po arabsku, to po angielsku.

— Zanim prezydent się tu zjawi, do Brennan przyjedzie ekipa Secret Service i zaczną planować wszystkie szczegóły

wizyty, w tym trasy, którą pojedzie kawalkada prezydencka, będąca najbardziej rozbudowaną i najlepiej zorganizowaną kawalkadą pojazdów na świecie. Typowy orszak prezydencki liczy dwadzieścia siedem pojazdów, na które składają się: miejscowa eskorta policyjna, furgon telekomunikacyjny, mikrobus dla prasy, mikrobus dla VIP-ów, ambulans, transporter z oddziałem antyterrorystów i dwie Bestie. W jednej jedzie prezydent, w drugiej agenci Secret Service. Wszystkie drogi prowadzące z lotniska na miejsce uroczystości zostaną wcześniej dokładnie sprawdzone i w dniu wizyty zamknięte dla ruchu.

Prezydent wejdzie na podium z prawej strony i z tej samej z niego zejdzie. W czasie przemówienia będzie stał za kuloi bomboodporną szklaną osłoną zwaną „błękitną gęsią”. Na drzewach wokół terenu rozmieszczeni zostaną antynajperzy. Gdy tylko prezydent ruszy się z miejsca, natychmiast otoczy go szczelny kordon agentów. Przestrzeń w bezpośrednim pobliżu prezydenta nazywana jest „strefą śmierci” i mogę was zapewnić, że agenci Secret Service traktują tę nazwę bardzo dosłownie. Spodziewane są ogromne tłumy widzów i we wszystkich wejściach na teren ustawione będą magnetometry. Mamy dokładnie takie same i przetestowaliśmy je przy maksymalnej czułości detekcji. — Zawiesił głos i dodał: — Strzelcy, możecie przez nie przejść bez żadnych obaw.

Musicie też pamiętać, że agenci Secret Service będą zwracać szczególną uwagę na tłum widzów. Będą szukać osób odstających wyglądem i zachowaniem od reszty. Takich, które nie włączają się w obchody i które nie będą miały żadnych znajomych. Ponieważ wszyscy jesteście z Bliskiego Wschodu, będziecie pod szczególną obserwacją. Agenci dysponują szczegółowymi informacjami o zabójcach, w tym nawet pozornie nieistotnymi drobiazgami. Jak wiecie, Amerykanie w swoich bazach komputerowych nie mają już waszych prawdziwych podobizn, a poza tym wszyscy znacząco zmieniliście wygląd zewnętrzny, więc ryzyko identyfikacji jest minimalne. Ale to wcale nie znaczy, że możecie być nieostrożni. Z tego względu każdy z was dostanie dokładne wytyczne co do stroju i sposobu zachowania się podczas uroczystości. Macie obowiązek bezwzględnie się do nich zastosować. Wchodząc na teren, macie sprawiać wrażenie lekarzy, prawników, nauczycieli, handlow-

ców, właścicieli sklepów i innych szanowanych członków społeczności waszego nowego kraju. — Kapitan Jack przerwał i znów potoczył wzrokiem po słuchaczach.

Wideo, jakie za chwilę zobaczycie, stanowi dowód na to, jak poważnie Secret Service traktuje swoje obowiązki.

Nacisnął przycisk na pilocie i ekran ożył. Film od Hemingwaya był ogólnie dostępną prezentacją Secret Service i technik stosowanych w ochronie, a także rzadko pokazywanych zapisów dokonanych prób zamachów i jeszcze mniej znanych scen ze szkolenia agentów Secret Service w ośrodku szkoleniowym Beltsville, w Marylandzie. To właśnie tam agenci uczyli się kaskaderskiej jazdy samochodami i obezwładniania celów ręczną bronią, i tak długo ćwiczyli odruchy i techniki ochrony, iż w miejsce nerwowych reakcji pojawiały się całkowicie podświadome zachowania.

Widzowie z zapartym tchem oglądali zdjęcia wykonane podczas zamachów na życie prezydentów Geralda Forda i Ronalda Reagana. Zamachu na prezydenta Kennedy'ego nie pokazano, ponieważ prezydenci nie poruszają się już otwartymi limuzynami, a wszystkie błędy popełnione w Dallas przez agentów Secret Service i nadgorliwych polityków zostały dawno temu wyeliminowane.

— Jak widzicie — odezwał się kapitan Jack — w obu wypadkach zachowanie agentów jest identyczne. Prezydenta szczelnie otacza kordon ludzkich ciał i prezydent zostaje natychmiast dosłownie wyniesiony z miejsca zamachu. Reagana przetransportowano do prezydenckiej limuzyny, która w ciągu paru sekund odjechała. Jedenastego września, kiedy wydawało się, że jeden z samolotów leci na Biały Dom, agenci Secret Service natychmiast ewakuowali wiceprezydenta z jego gabinetu. Mówi się, że póki nie znalazł się w bezpiecznym miejscu, jego stopy ani na chwilę nie dotknęły ziemi. Reakcja jest błyskawiczna i musicie o tym pamiętać. Szybkość tej reakcji jest ćwiczona podczas szkolenia i wszystko dzieje się zupełnie odruchowo. Następuje natychmiastowa, podświadoma reakcja bez straty czasu na zbędne myślenie. Nic nie jest w stanie przełamać ich odruchów. A najważniejszym z wszystkich wyuczonych odruchów jest ratowanie życia prezydenta. Dla osiągnięcia tego są gotowi poświęcić wszystko inne, łącznie

z własnym życiem. Tego możecie być pewni. Nie ulega wątpliwości, że nie dorównujemy im pod względem siły ognia, liczebności, wyszkolenia czy urządzeń technicznych. Natomiast potrafimy rozgryźć ich uwarunkowania psychologiczne. To, kim i czym są, i wykorzystać tę wiedzę z korzyścią dla nas. Prawdę mówiąc, poza elementem zaskoczenia jest to jedyna przewaga, jaką nad nimi mamy. Ale jeśli tego dnia osiągniemy perfekcję w działaniu, w zupełności nam to wystarczy.

Zatrzymał projekcję i powtórzył ostatni fragment filmu klatka po klatce jak grę komputerową, by mogli wszystko dokładnie zapamiętać. Potem nastąpiły liczne pytania, co Amerykanin zawsze uważał za dobry znak.

Następnie na ekranie ukazał się plan miejsca uroczystości. Posługując się laserowym wskaźnikiem, kapitan Jack przejechał kawałek po kawałku cały teren i omówił wszystkie strategiczne punkty, wejścia i wyjścia dla publiczności oraz miejsca parkowania Bestii i innych kluczowych pojazdów prezydenckiej kawalkady.

— Pamiętajcie, że prezydencką limuzynę parkują zawsze tak, żeby można natychmiast bez przeszkód odjechać. To bardzo ważny punkt naszego planu.

Wszystkim uczestnikom akcji, którzy podczas uroczystości mieli znajdować się na placu, przydzielił numery identyfikacyjne. Te same numery zaznaczono na planie rzuconym na ekran, dzięki czemu każdy mógł poznać i zapamiętać swoją pozycję. Potem pokazał wskaźnikiem ambulans.

— Ambulans musi być za wszelką cenę unieszkodliwiony — oświadczył. — Ci z was, którzy są za to odpowiedzialni, muszą tego dopilnować.

Następny obraz na ekranie ukazał szczupłego, siwowłosego mężczyznę w okularach.

— Prezydent podróżuje zawsze w towarzystwie osobistego lekarza, którego tu widzicie. To doktor Edward Bełamy. Będzie stał na podium niedaleko prezydenta. On musi paść pierwszy. Tu nie może być żadnej niedoróbki.

Na ekranie ukazał się obraz sznura. Kapitan Jack dotknął ekranu palcem i wolnym, precyzyjnym ruchem powiódł nim po sznurze, jak chirurg ciągnący skalpel po ciele pacjenta.

— Dla Secret Service to jest największy koszmar i gdyby tylko mogli, na pewno by tego zabronili. Ale wiadomo, że dla

polityka ściskanie dłoni i całowanie dzieci stanowi podstawą jego egzystencji — powiedział. — Dlatego właśnie tu, przy sznurze odgradzającym publiczność, jest najbardziej narażony. Działa to jednak w obie strony, bo w tych momentach czujność ochrony sięga szczytu.

Następnie na ekranie pojawiło się zdjęcie weterana Gwardii Narodowej, któremu ludzie kapitana Jacka założyli nową dłoń. Był w pełnym umundurowaniu, a ponieważ zdjęcie wykonano jakiś czas temu, obie jego ręce zakończone były hakami.

— Na miejscu nie będziemy mieli z sobą żadnej łączności elektronicznej, bo ochrona oplecie cały teren siatką zakłóaczy i przechwytywaczy fal radiowych. Dlatego musimy polegać tylko na wzroku i słuchu. — Wskazał ręką na ekran. — Ten człowiek będzie naszym punktem odniesienia. Będzie ubrany dokładnie tak, jak na zdjęciu. Ale wśród publiczności znajdują się też inni widzowie w mundurach, więc nie wolno wam się pomylić. Każdy z was otrzyma kopię tego DVD i przenośny odtwarzacz. Codziennie przez cztery godziny macie to oglądać, żeby wbić sobie w pamięć każdy szczegół dotyczący jego i całej dzisiejszej prezentacji. Tego człowieka od razu musicie wyłowić z tłumy i do końca nie stracić go z oczu. Organizatorzy postanowili uhonorować wszystkich obecnych na miejscu niepełnosprawnych weteranów i zagwarantować im miejsca w pierwszym rzędzie widzów za sznurem. To bardzo szlachetne z ich strony. I niewątpliwie bardzo pomocne w realizacji naszych planów.

Obrzucił spojrzeniem siedzących na sali mechanika i chemika, którzy wyposażyli byłego gwardzistę w nową dłoń.

— Zapewniono mnie, że reakcja nastąpi w ciągu niecałych dwóch minut. — Obaj mężczyźni kiwnęli głowami i kapitan Jack kontynuował: — Gdy tylko tak się stanie, przechodzimy do natychmiastowej realizacji następującej sekwencji czynności. — Zaczął wyliczać kolejne punkty, pstrykając palcami dla lepszego efektu. — Strzelcy seria pierwsza. Potem fedaini A i B. Następnie strzelcy seria druga. Po nich fedaini C i D. Potem strzelcy seria trzecia. Kończą fedaini i strzelcy seria czwarta. Jak wiecie, każda seria ma wyznaczone oddzielne cele. Jeśli zdarzy się, że któryś z nich w danej serii nie zostanie trafiony, należy go dodać do następnej serii. Każdy wyznaczony

cel musi zostać unieszkodliwiony. Wszyscy agenci ochrony będą mieli na sobie białą kuloodporną najnowszej generacji, podobnie zresztą jak policja, więc należy o tym pamiętać przy celowaniu. Czy to jasne?

Przerwał i znów potoczył wzrokiem po obecnych. Miał zamiar powtarzać ten zabieg przez cały dzisiejszy wieczór. Kolejno każdy, na którego padał jego wzrok, uroczyście potakiwał głową. Następnie od początku powtórzył cały scenariusz akcji, potem zrobił to po raz trzeci, i na koniec polecił, by wszyscy kolejno go wyrecytowali, uwzględniając przy tym numer sekwencji, w której każdy z nich uczestniczy.

— Ze względu na niewielki zasięg waszej broni, wszyscy strzelcy stoją najdalej w trzecim rzędzie za sznurem, większość ma pozycje w drugim. Waszym obowiązkiem jest zjawić się na miejscu w wyznaczonych grupach na tyle wcześnie, by nie było problemu z zajęciem przewidzianych pozycji.

Kapitan Jack zamilkł i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ciszy w swoich ludzi. To, co teraz miał im do powiedzenia, stanowiło właściwie sedno całej sprawy.

— Musicie mieć świadomość, że niemal natychmiast po oddaniu strzału każdy z was prawie na pewno poniesie śmierć od kul antysnajperów. Gęstość tłumu stanowić będzie częściową ochronę, ale prawdopodobnie niewystarczającą. Według naszych informacji antysnajperzy posługiwać się będą standardowymi karabinkami snajperskimi Remington siedemset na pociski kalibru trzysta osiem. Amerykańscy strzelcy wyborowi, którzy będą do was strzelać, potrafią trafić w dwudziestopięciocentymetrowe kółko z odległości kilometra.

Po sali rozszedł się szmer podziwu dla umiejętności strzeleckich ich oponentów. W kontekście tego, co im właśnie powiedział, była to ciekawa reakcja. Nie mógł pozwolić, by w chwili próby mogli wybierać między życiem a śmiercią. Chciał, by tak jak ich rywale z Secret Service działali odruchowo i bez chwili zastanowienia. I każdy musiał się pogodzić z myślą, że ceną za udział w tym wiekopomnym wydarzeniu ku chwale islamu będzie złożenie w ofierze swego życia.

— Jak wiecie, kula, która was trafi, przeniesie was natychmiast do raju. I swym czynem w pełni na to zasłużycie. — Ten fragment wygłosił po arabsku.

Potem kapitan Jack skierował wzrok na fedainów. Nadał im ten tytuł z szacunku dla ich roli. Po arabsku słowo to brzmi *fida'i* i pierwotnie oznaczało poszukiwacza przygód, awanturnika. Współcześnie określano nim zazwyczaj arabskich męczenników. Było zupełnie możliwe, że wszyscy spiskowcy obecni na placu mogą ponieść śmierć, i w tym sensie tytuł ten powinien przysługiwać wszystkim. Sęk w tym, iż było z góry wiadomo, że niektórzy z nich muszą zginąć i dlatego reszta nie miała żalu o wyróżnienie ich tym specjalnym tytułem.

Po zakończonej odprawie kapitan Jack zaprowadził wszystkich do podziemia, gdzie mieściło się zbudowane przez poprzedniego właściciela domu duże dźwiękoszczelne pomieszczenie, w którym miał studio nagrań. Sala ta była dodatkowym powodem, który zdecydował o wyborze tego domu, choć broń, którą się posługiwali, i tak nie była zbyt głośna. W pomieszczeniu urządzono strzelnicę i teraz wszyscy dostali do rąk broń i amunicję. Przez następne dwie godziny ćwiczyli strzelanie do tarcz. Kapitan Jack dodatkowo utrudnił im zadanie, nieoczekiwanie włączając obraz i głośny dźwięk z magnetowidu. Wiadomo było, że w czasie akcji będzie panował ogromny zgiełk.

Mimo iż Adnan ar-Rimi nie miał uczestniczyć w akcji na placu, stawił się na odprawę. Należał do tych uczestników akcji, którzy koniecznie chcieli poznać wszystkie szczegóły. W swoim czasie walczył u boku kapitana Jacka na Bliskim Wschodzie i kapitan ufał mu na tyle, na ile był gotów zaufać komukolwiek.

Adnan stał za Irańczykiem Ahmadem, który wraz z dwoma Afgańczykami mieszkał naprzeciwko Szpitala Miłosierdzia i którego zadaniem było przygotowanie samochodu w warsztacie. Ahmad również nie miał uczestniczyć w uroczystości na placu, ale podobnie jak Adnan uparł się, że chce wziąć udział w dzisiejszej odprawie. Mruczał teraz coś pod nosem, co zwróciło uwagę Adnana. Irańczyk nie okazał zdziwienia i odezwał się do Ahmada po arabsku.

— Moim językiem jest farsi — burknął Ahmad. — Jeśli masz mi coś do powiedzenia, powiedz to w farsi.

Adnan zamilkł. Nie spodobało mu się, że ten młodzieniec upiera się przy swoim języku. Adnan już dawno doszedł do

wniosku, że Irańczycy to zupełnie specyficzny gatunek muzułmanów. Odszedł na bok, nie przestając rozglądać się i nasłuchiwać, ale myślami wciąż powracał do Irańczyka i złości w jego głosie.

Pół godziny po wyjściu ostatniego gościa kapitan Jack wsiadł do samochodu i pojechał do Pittsburgha. Człowiek, z którym był umówiony, już na niego czekał w holu najdroższego hotelu w mieście. Mężczyzna wyglądał na nieco wymęczonego długim lotem. Pojechali na górę do apartamentu, z którego roztaczał się wspaniały widok na wieżowce w centrum miasta.

Mimo iż przyjezdny mówił biegle po angielsku, rozmowę rozpoczął w rodzinnym koreańskim. Kapitan Jack odpowiedział mu w tym samym języku.

Gawędząc ze swym północnokoreańskim gościem, kapitan Jack przypomniał sobie, co powiedział kiedyś człowiek, którego podziwiał: „Poznaj swego wroga i poznaj siebie samego, a w stu bitwach nigdy nie będziesz w niebezpieczeństwie”. Słowa te napisał chiński generał Sun Tzu w swej książce *Sztuka wojny*. Mimo iż od tamtej pory minęły wieki, rada wciąż była aktualna.

ROZDZIAŁ 38

Stone i Milton ze zdumieniem wlepili wzrok w motocykl, który zajechał pod wejście do budynku Union Station. Reuben przesunął na czoło gogle i potarł przekrwione oczy.

— ' Reuben, a gdzie się podział twój pick-up? — zapytał Stone.

— Możesz mi nie wierzyć, ale znalazłem to cacko na złomowisku. Cały rok zabrało mi doprowadzenie go do porządku.

— I co to jest?

— Motocykl z przyczepą Indian Chief z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego — oświadczył z dumą Milton.

— A ty skąd to, u diabła, wiesz? — zdumiał się Reuben i przyjrzał mu się podejrzliwie.

— Sześć i pół roku temu przeczytałem artykuł w „Antique Motorcycle Magazine” w poczekalni u dentysty. Robił mi korony.

— Korony? — zdziwił się Reuben.

— Mhm, zabezpiecza się ząb kawałkiem gumy i boruje tak, żeby usunąć warstwę emalii i zostawić mniej więcej dwumilimetrowy słupek zębiny, ale tak żeby nie odsłonić nerwu. A potem na to nakłada się na stałe porcelanową koronę. Całkiem fajnie to wygląda. Widzisz? — Otworzył usta i pokazał palcem

— Dzięki doktorze Farb za wykład z cholemej dentystyki — burknął Reuben.

— I mówię ci, Reuben, prawie wcale nie ma przy tym krwi — powiedział Milton, który widać nie dosłyszał sarkazmu w głosie przyjaciela.

Reuben westchnął zrezygnowany i obrzucił czułym spojrzeniem swój pomalowany w różowo-zielono-czerwoną jodełkę motocykl z przyczepą.

— Silnik tysiąc centymetrów, wymieniony napęd i magneto. Przyczepa nie jest oryginalna. To kopia zrobiona z włókna szklanego, ale dzięki temu nie rdzewieje i jest dużo lżejsza. Większość części kupiłem na eBay, a od kolegi dostałem kawałek skóry, którym pokryłem siedzenie w przyczepie. I w dodatku przyczepa jest z lewej, co jest niezwykle rzadkie. Za ten motor mógłbym teraz dostać minimum dwadzieścia kawałków, a cały remont kosztował mnie najwyżej dwa tysiące. Tylko nie myśl, że mam zamiar go sprzedać. Ale nigdy nic nie wiadomo.

Podał Oliverowi czarny kask z doczepionymi do niego goglami.

— To gdzie ja mam usiąść? — spytał niepewnie Stone.

— Jak to gdzie? Jasne, że tam, w przyczepie. A ty myślałeś, że co to jest? Pieprzona donica na kwiatki?

Stone nałożył kask i opuścił gogle na oczy. Potem otworzył maleńkie drzwiczki i wcisnął się do środka. Dla kogoś o jego wymiarach w przyczepie było bardzo ciasno.

— No to w drogę — rzucił Reuben.

— Zaraz, czekaj! — wykrzyknął Stone. — Czy nie powinienem czegoś wiedzieć o jeździe motocyklem?

— Tak. Jeśli koło przyczepy znajdzie się w powietrzu, możesz się zacząć modlić.

Reuben kopnął w rozrusznik i silnik zaskoczył od pierwszego razu. Kilkakrotnie dodał gazu, pomachał ręką Miltonowi i wyruszył spod Union Station.

Pojechali Constitution Avenue na zachód, minęli pomnik ofiar wojny wietnamskiej, przed którym Reuben jako weteran tej wojny z szacunkiem zasalutował, objechali dookoła pomnik Lincolna, przejechali Memoriał Bridge na drugą stronę rzeki i wjechali na terytorium Wirginii. Potem skręcili na południe w George Washington Parkway, którą miejscowi zwali w skrócie GW Parkway. Wszędzie po drodze czuli na sobie zaciekawione spojrzenia innych użytkowników drogi.

Stone zauważył, że jeśli skręci nogę pod odpowiednim kątem, może ją niemal całkiem wyprostować. Rozsiadł się wygodniej i spojrzął na ciągnącą się po lewej stronie rzekę Potomac, na której jakaś motorówka wyprzedziła właśnie dwie ścigające się z sobą łodzie wiosłowe. Słońce przygrzewało, pęd powietrza przyjemnie chłodził i orzeźwiał i przez chwilę Stone przestał myśleć o zagrożeniach wiszących nad Klubem Wielbłądów.

Reuben pokazał ręką tablicę przy drodze i przekrzykując warkot silnika, zawołał:

— Pamiętasz, jak przez kilka lat było tu napisane: Park pamięci Lady Bird Johnson?

— Tak. Aż im w końcu ktoś powiedział, że ona wcale nie umarła — odkrzyknął Stone. — Wtedy go przemianowali na park pamięci LBJ, który na ich szczęście już nie żył.

— Kocham sprawność naszego rządu — parsknął Reuben. — Już po jakichś dziesięciu latach zorientowali się, co jest grane. Na szczęście nie płacę podatków, boby mnie chyba szlag trafił.

Potem zagapili się na samolot podrywający się z pasa startowego krajowego lotniska Reagana. Samolot wystartował na północ, wykonał długi łagodny łuk i ostatecznie skierował się tak jak oni na południe. Parę minut później minęli rogatki Starego Miasta Alexandria, jednego z bardzo ważnych z powodów historycznych miejsc w Ameryce. Miasto szczyciło się nie jednym, ale aż dwoma rodzinnymi domami Roberta E. Lee, generała armii konfederatów, a także kościołem Chrystusa Pana, w którym jedną z ławek wysiadywały pośladki samego George'a Washingtona. Miasto aż kipiało od zamożności, starych, ale pięknie odrestaurowanych domów, uroczych wąskich uliczek wybrukowanych kocimi łbami, cudownych sklepów i eleganckich restauracji, a także licznych atrakcji na wolnym powietrzu i przyciągającego swym urokiem nadbrzeżnego bulwaru. Mieścił się tam także federalny sąd upadłościowy.

Przejeżdżając obok budynku sądu, Reuben rzucił z niesmakiem:

— Cholerna buda. Dwa razy mnie tu dopadli.

— Caleb ma znajomych, którzy mogą ci doradzić w sprawach finansowych. Chastity też by ci się mogła przydać.

— Nie wątpię, że słodka Chastity nawet bardzo by mi się przydała, ale boję się, że Milton mógłby mieć coś przeciw — odkrzyknął Reuben i łobuzersko zmrużył oko. — A poza tym, Oliyer, nie potrzebuję rady w sprawie pieniędzy, które mam. Potrzebna mi pomoc, jak ich zdobyć więcej.

Skręcili w lewo i wjechali w boczną uliczkę prowadzącą ku rzece, kończącą się ślepo na Union Street. Reuben znalazł wolne miejsce przy krawężniku i Stone powoli i z trudem wygramolił się z przyczepy.

— Co ci się, u diabła, porobiło z twarzą? — spytał Reuben, który dopiero teraz zauważył sińce na twarzy przyjaciela.

— Przewróciłem się.

— Gdzie?

— W parku. Grałem w szachy z T.J., potem piłem kawę z Adelphią i wstając, potknąłem się o korzeń.

Reuben chwycił przyjaciela za ramię.

— Adelphią! — parsknął. — Oliver, ta baba to wariatka. Masz szczęście, że ci do tej kawy nie wrzuciła jakiejś trucizny. Zapamiętaj moje słowa: któreś nocy polezie za tobą do chałupy i poderżnie ci gardło. — Zamilkł i po chwili dodał: — Albo jeszcze gorzej: spróbuje cię uwieść. — Wzdrygnął się, zapewne na myśl o Adelphii w roli uwodzicielki.

Minęli pub Union Street, przeszli na drugą stronę ulicy i podeszli do sklepu w pobliżu narożnika. Szyld nad drzwiami głosił „Libri Quattuor Sentetiarum”.

— Skąd, do cholery, taka nazwa? — mruknął Reuben, wskazując na szyld. — Wiem, że już tu dawno nie byłem, ale czy to się kiedyś nie nazywało „Książki u Douga”.

— Tamta nazwa nie trafiała do grupy docelowej zamożnych klientów, więc ją zmienili.

— Li-bri Quat-tuor Sente-tiarum? Rzeczywiście wali po oczach. A co to znaczy?

— Po łacinie „Cztery księgi zdań”. Tak się nazywał dwunastowieczny manuskrypt Petera Lombarda, który pocięto i użyto do oprawienia wydanych w tysiąc pięćset dwudziestym szóstym kazań świętego Tomasza z Akwinu w sprawie listów Pawła. Niektórzy badacze literatury uważają dzieło Tomasza za najcenniejszą księgę na świecie. Ale dzieło, w które je

oprawiono, może się okazać jeszcze cenniejsze. Więc to bardzo trafna nazwa dla księgarni z rzadkimi książkami.

— Imponujesz mi, Oliver. Nawet nie wiedziałem, że znasz łacinę.

— Bo nie znam. Wiem to wszystko od Caleba. Nawiasem mówiąc, to on wymyślił tę nazwę. Jak wiesz, poznałem go kiedyś z właścicielem księgarni. Pomyślałem, że wiedza Caleba na temat rzadkich dzieł może mu się przydać. Początkowo tylko mu doradzał w konkretnych sprawach, teraz jest już współwłaścicielem.

Wkroczyli do środka, a ich wejście zaanonsował brzęk dzwonnka zawieszzonego na masywnych łukowatych dębowych drzwiach. Wewnętrzne ściany zbudowane były po części z gołych cegieł, po części z polnych kamieni, sufit zaś podtrzymywały nadjedzone przez robactwo drewniane belki. Ściany obstawiono ozdobnymi regałami i przeszklonymi szafami z pieczołowicie opisanymi starodrukami, między którymi wisiało kilka gustownych olejnych obrazów.

W oddzielnym pomieszczeniu za barkiem kawowym stała ładna młoda pracownica i szykowała poczęstunek dla grupki spragnionych klientów. Napis na ścianie apelował do klientów o niewnoszenie napojów do działu starodruków.

Z zaplecza wyłonił się niski, łysiejący mężczyzna ubrany w granatową dwurzędówkę, jasne spodnie i biały golf. Opaloną twarz rozjaśniał mu uśmiech, ramiona miał rozłożone w powitalnym geście.

— Witam, witam w Libri Quattuor Sentetiarum — wygłosił z wyuczoną radosną emfazą. Potem stanął jak wryty, obrzucił spojrzeniem Reubena i przeniósł wzrok na Stone'a.

— Oliver?

— Cześć, Douglas — rzekł Stone, wyciągając rękę. — Pamiętasz Reubena Rhodesa?

— Douglas — mruknął Reuben pod nosem. — A gdzie się podział Doug?

Douglas serdecznie uściśnął Stone'a i podał rękę Reubenowi.

— Oliver, wyglądasz jakoś... no, jakoś zupełnie inaczej. Fajnie, ale całkiem inaczej. Podoba mi się twój nowy styl. Więcej, bardzo mi się podoba. Bardzo sztywnie. *Bellissimo!*

— Dzięki. Caleb mi mówił, że dobrze wam idzie.

Douglas chwycił Stone'a za łokieć i pociągnął w bok.

— Caleb to klejnot, skarb, prawdziwy cud.

— No proszę! A ja myślałem, że to zwykły mol książkowy — parsknął Reuben.

Niezrażony Douglas ciągnął głosem pełnym zachwytu.

— Naprawdę nie wiem, jak ci mam dziękować, że mnie poznałeś z Calebem. Biznes idzie jak burza. Jak burza! Zaczynałem od sprzedaży porno komiksów z samochodowego bagażnika, a teraz spójrz! Mam apartament na Starym Mieście, dziesięciometrowy jacht, letni domek na Dewey Beach i nawet wykupiłem fundusz emerytalny.

— I wszystko dzięki potędze słowa pisanego. — Stone uśmiechnął się. — Niebawem.

— A te porno komiksy jeszcze ci zostały? — zainteresował się Reuben.

— Mm, Douglas, chciałbym zajrzeć do mojego schowka, który Caleb mi tu wydzielił — powiedział Stone cicho.

Twarz Douglasa wyraźnie pobladła i widać było, że nerwowo przełyka ślinę.

— Tak oczywiście, oczywiście. Bardzo proszę. A jeśli czegoś byście chcieli, to dajcie znać. Mamy dziś pyszną cappuccino i świeżutkie rożki. Na koszt firmy, oczywiście.

— Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Douglas raz jeszcze uściskał Stone'a i pobiegł powitać klientkę, która właśnie weszła do księgarni. Mimo upalnej pogody ubrana była w futro do kostek.

Reuben rozejrzał się po półkach pełnych książek.

— Pewno większość tych autorów umarła bez grosza przy duszy, a on z ich krwawicy kupuje sobie apartamenty, jachty i fundusze emerytalne.

Stone puścił uwagę mimo uszu. Otworzył niewielkie drzwiczki na korytarzu prowadzącym na zaplecze i ruszył pierwszy po wąskich schodach wiodących w dół. Dotarł korytarzykiem do starych drewnianych drzwi z tabliczką „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”, zamknął je, gdy weszli, i skręcił w lewo w następny korytarz. Korytarz ten kończył się łukowatymi drzwiami, które Stone otworzył staroświeckim kluczem wyjętym z kieszeni. Za drzwiami znajdowało się niewielkie pomieszczenie wyłożone bardzo starym drewnem. Zapalił światło

i podszedł do wielkiego kominka na jednej ze ścian. Reuben patrzył, jak Oliver klęka, sięga ręką do środka i pociąga za metalową rączkę zwisającą na kawałku drutu. Dało się słyszeć wyraźne szczęknięcie i uchylił się przylegający do kominka fragment ściany.

— Można tylko podziwiać te księżę dziuple — mruknął Reuben, chwytając za odstający kawałek ściany i ciągnąc ku sobie.

Ich oczom ukazała się komórka głębokości około dwóch i pół metra, szerokości niecałych dwóch metrów i wysokości wystarczającej, by nawet Reuben mógł się w niej wyprostować. Stone wyjął z kieszeni małą latarkę i wszedł do środka. Wszystkie trzy ściany zastawione były półkami, na których leżały równo poukładane albumy i notesy, kilka metalowych kasetek i mnóstwo kartonowych pudeł oklejonych taśmą.

Stone zabrał się do przeglądania albumów i notesów. Widać Reubena naszły jakieś wątpliwości, bo po chwili spytał:

— A właściwie dlaczego nie trzymasz tego wszystkiego u siebie w domu?

— Bo tu jest instalacja alarmowa. Mojego domu strzegą tylko nieboszczyki.

— A skąd wiesz, że jak cię tu nie ma, to kolega Douglas nie przychodzi tu i nie grzebie w twoich rzeczach?

— Uprzedziłem go — odparł Stone, nie przerywając szperania wśród staroci — że zainstalowałem tu pułapkę na włamywaczy i że poza mną nikt nie może tu wejść bez narażenia się na gwałtowną śmierć.

— Myślisz, że ci uwierzył?

— To nie ma większego znaczenia. Jest zbyt wielkim tchórzem, żeby chcieć samemu się o tym przekonać. Poza tym na moją prośbę Caleb dał mu do zrozumienia, że zanim mnie wypuścili ze szpitala dla psychicznie chorych kryminalistów, byłem maniakałnym zabójcą. A wypuścili mnie wyłącznie z powodu jakichś błędów w papierach. Myślę, że dlatego mnie tak zawsze obściskuje przy powitaniu. Albo chce mi dać do zrozumienia, że jest po mojej stronie, albo sprawdza, czy nie mam przy sobie broni. O, jest!

Stone wyciągnął oprawiony w skórę album i otworzył. Kolejne karty pełne były pieczołowicie powklejanych wycinków

z gazet. Stone zabrał się do ich przeglądania, Reuben czekał, wierząc się niecierpliwie. W końcu Stone zamknął album i zdjął z półki jeszcze dwa wielkie notesy. Za nimi schowana była niewielka skórzana saszetka, którą wraz z albumem schował do plecaka.

Gdy w drodze do wyjścia przechodzili przez sklep, ta sama ładna młoda pracownica ubrana na czarno podała Reubenowi trzy rożki.

— Reuben jestem — powiedział, prężąc się i wciągając brzuch.

— No i bardzo dobrze — odrzekła, odwróciła się i pospieszyła do swych obowiązków.

— Coś mi się widzi, że wpadłem tej dzierlatce w oko — powiedział Reuben z dumą, gdy szli już do motocykla.

— No! I pewno dlatego tak jej się spieszyło, bo chciała o wszystkim opowiedzieć przyjaciółkom.

ROZDZIAŁ. 39

Podejmowanie decyzji o tym, jak się ubrać na kolację z Kate Adams, zajęło Aleksowi niemal całą godzinę. Było to mocno stresujące i męczące sześćdziesiąt minut, które mu uświadomiły, od jak dawna nie umawiał się na prawdziwą randkę. Zdecydował się w końcu na białą koszulę, granatową dwurzędową marynarkę, spodnie w kolorze khaki i mokasyny. Uczesał się, zgolił z twarzy popołudniowy zarost, ubrał się, rozgryzł dwie miętówki dla odświeżenia oddechu i uznał, że już nic więcej nie da się zrobić z patrzącym na niego z lustra nie pierwszej świeżości ponurakiem.

Nasilenie ruchu w rejonie Waszyngtonu osiągnęło stan krytyczny, w którym do jazdy nie ma już ani dobrej pory, ani kierunku, i Alex zaczął się denerwować, że może się spóźnić. Potem jednak sytuacja uległa poprawie, gdy dotarł do miejsca wypadku na autostradzie 1-66, za którym otworzyła się przed nim niemal pusta droga. Wjechał z autostrady na Key Bridge, przejechał na drugą stronę Potomacu, skręcił w prawo w M Street i Trzydziątą Pierwszą wjechał w zabudowania szacownego Georgetown. Miasteczko nazwano tak na cześć brytyjskiego króla i pewne jego fragmenty do dziś zachowały królewską dostojność z tamtych czasów, co wielu uważało za przejaw czystego snobizmu. Jedynie centralne odcinki M Street i Wisconsin Avenue miały zdecydowanie nowoczesny, by nie powiedzieć luzacki charakter i pełne były modnie ubranych młodych ludzi, którzy tłoczyli się na wąskich chodnikach,

rozmawiali przez telefony komórkowe i wzajemnie się przekrzykiwali. Spokojna willowa dzielnica, do której chwilę później dojechał, zamieszkała była przez spadkobierców słynnych i bogatych rodów, i wytatuowana i okolczykowana młodzież nigdy się tu nie zapuszczała.

Mijając kolejne, imponujące przepychem rezydencje, Alex zaczynał się czuć coraz bardziej nieswojo. W ramach obowiązków służbowych zdarzało mu się strzec ważnych i bogatych notabli, jednak Secret Service zawsze z dumą podtrzymywała wizerunek elitarnej służby o plebejskiej duszy. Alex doskonale do tego modelu pasował i zdecydowanie wolał zjeść coś na szybko na stołku barowym w IHOP-ie niż w wielogwiazdkowej restauracji w Paryżu. Ulica kończyła się ślepo na R Street, w pobliżu ogromnej rezydencji Dumbarton Oaks. Skręcił w lewo i pojechał wzdłuż R, póki nie znalazł szukanego adresu.

Kurczę, rzeczywiście nic nie przesadziła z tym pałacem, mruknął pod nosem, przypatrując się ogromnej budowli z cegieł z dachem pokrytym dachówką. Wjechał na okrągły podjazd, wysiadł i rozejrzał się. Idealnie utrzymany teren wokół domu ozdobiony był krzewami przyciętymi na jednakową wysokość i kształt i wielobarwnymi letnimi kwiatami posadzonymi na klombach. Gęsty mech porastał kamienną ścieżkę prowadzącą do łukowatej drewnianej bramki, zamykającej dostęp do podwórza za domem. Choć pewnie w takich pałacach mówi się na to „tylny dziedziniec”, przemknęło mu przez głowę.

Rzucił okiem na zegarek i stwierdził, że jest dziesięć minut przed czasem. Może Kate jeszcze nie wróciła? Już miał wsiąść z powrotem i zrobić kółko ulicami, gdy usłyszał śpiewne wołanie wyraźnie adresowane do niego.

— Ju-huu! Ty jesteś ten ktoś z Secret Service? — Odwrócił się i zobaczył zdążającą ku niemu starą, przygarbioną kobietę z zawieszonym na ręce koszem ciętych kwiatów. Na głowie miała kapelusz przeciwsłoneczny z szerokim rondem, spod którego wymykały się kosmyki śnieżnobiałych włosów. Ubrana była w luźne drelichowe beżowe spodnie i wypuszczoną na nie koszulę dżinsową z długimi rękawami. Większą część jej twarzy zasłaniały ogromne okulary słoneczne. Była jakby zapadnięta w sobie ze starości i Alex ocenił jej wiek na dobrze po osiemdziesiątce.

— Dzień dobry pani.

— Naprawdę jesteś wysoki i przystojny. Masz też broń? Bo z Kate to ci się może przydać.

Alex rozejrzał się niespokojnie. Przyszło mu na myśl, że może Kate robi mu jakiś kawał i staruszka została specjalnie zaangażowana do odegrania takiej roli, jednak wokół było pusto.

— Nazywam się Alex Ford.

— Jesteś z tych Fordów?

— Niestety, proszę pani, żaden fundusz powierniczy na mnie nie czeka.

Ściągnęła z dłoni rękawiczkę, schowała do kieszeni spodni i podała mu rękę. Alex zrobił to samo, ale kobieta nie zwolniła uścisku i pociągnęła go w stronę domu.

— Kate jeszcze niegotowa. Chodź, wypijesz drinka i pogadamy.

Alex dał się poprowadzić, bo właściwie nie bardzo wiedział, jak się zachować. Staruszka roztaczała wokół siebie silnie korzenną woń przypraw i jeszcze silniejszą odżywkę do włosów.

Dotarli do domu, weszli do środka i dopiero wtedy puściła jego rękę.

— Gdzież się podziały moje maniery — powiedziała zatroskanym głosem. — Nazywam się Lucille Whitney-Houseman.

— Z tych Whitney-Housemanów? — spytał z uśmiechem.

Zdjęła okulary i obrzuciła go kokieterijnym spojrzeniem.

— Mój ojciec, Ira Whitney, nie wymyślił opakowań do wyrobów mięsnych. On tylko zbił na nich majątek. A jeśli chodzi o mojego drogiego męża, Berniego, niechaj spoczywa w spokoju — zwróciła wzrok ku górze i przeżegnała się — no cóż, jego rodzina dorobiła się na whiskey, i to nie całkiem legalnie. Bernie był najpierw prokuratorem, potem został sędzią federalnym. Więc możesz sobie wyobrazić, że nasze spotkania w gronie rodzinnym bywały bardzo ciekawe.

Zaprowadziła go do ogromnego salonu i ruchem ręki pokazała, że ma usiąść na wielkiej kanapie pod ścianą. Włożyła przyniesione kwiaty do kryształowego wazonu i spojrzała na Aleksa.

— A jak już mowa o whiskey, czym lubisz się truć? — Podeszła do kredensu, który otworzyła. Jego zawartość wystarczyłaby do dobrego zaopatrzenia średniej wielkości pubu.

— Mmm, pani... jak należy do pani mówić? Z podwójnym nazwiskiem?

— Mów mi Lucky. Wszyscy tak mnie nazywają, bo rzeczywiście przez całe życie dopisywało mi szczęście.

— Poproszę tylko o szklankę wody sodowej, pani Lucky. Spojrzała na niego ponuro.

— Umiem przyrządzać wiele koktajli, młody człowieku, ale woda sodowa nie jest jednym z nich — rzekła z naganą w głosie.

— Mmm, więc rum z colą, proszę.

— Należę ci jacka z colą, kochasiu, z akcentem na jacka.

Przyniosła mu drinka i usiadła obok ze szklanką w dłoni.

— To gibbon — powiedziała, unosząc szklankę w geście toastu. — Zakochałam się w tym po zobaczeniu Cary Granta w *Północ, północny zachód*. Pił to w pociągu. Zdrówko!

Stuknęli się szklankami, Alex pociągnął łyk i zakrztusił się. Drink miał moc czystej whisky. Rozejrzał się po salonie, w którym mógłby się pewnie zmieścić cały jego dom, tylko meble były z innej bajki.

— Od dawna zna pani Kate? — zapytał.

— Jakież siedem lat, ale mieszka u mnie dopiero od trzech. Jest cudowna. Inteligentna i śliczna, prawdziwa perełka. Ale pewnie niepotrzebnie ci to mówię, bo sam wiesz. A te jej mleczne wymionka są takie, że palce lizać.

Omal się nie zakrztusił.

— Słucham?

— Nie podniecaj się, młodzieńcze. Tak się nazywa jeden koktajl, który przyrządza. Baileys plus krowki rozpuszczone w wódzie. W końcu pracuje jako barmanka.

— Tak, prawda.

— Więc jesteś jednym z tych, którzy ochraniają prezydenta?

— Ściśle mówiąc, będę od jutra — potwierdził Alex.

— Znałam osobiście wszystkich prezydentów, począwszy od Harry'ego Trumana — powiedziała z zadumą. — Przez trzydzieści lat głosowałam na republikanów, potem przez następne dwadzieścia na demokratów, ale jestem już w tym wieku, że przejrzałam na oczy, więc jestem za niezależnymi. Ale Ronalda Reagana uwielbiałam. Jaki był z niego czaruś. Kiedyś na jednym balu tańczyliśmy z sobą. Ale muszę przyznać, że ze wszystkich prezydentów, których poznałam, najbardziej

lubiłam Jimmy'ego Cartera. To był naprawdę przyzwoity człowiek; prawdziwy dżentelmen, nawet jeśli w sercu płonęły mu żądze. A nie o każdym da się to powiedzieć, prawda?

— Chyba nie. Prezydenta Brennana też pani zna?

— Poznaliśmy się, ale na pewno mnie nie pamięta. Już od dawna przestałam się liczyć w środowisku polityków. Choć trzeba przyznać, że w swoim najlepszym okresie miałam co nieco do powiedzenia. A pod tym względem Georgetown było najlepszym miejscem na ziemi. Kate Graham, Evangeline Bruce, Pamela Harrington — wszystkie je znałam. Te nasze przyjęcia. Decyzje polityczne, które podejmowałyśmy dla kraju przy stole z drinkiem i papierosem w dłoni. Choć często panie były odseparowane od panów. Ale nie zawsze. — Przerwała i wlepiła wzrok w Aleksa, unosząc cieniutkie kreski brwi, które wyglądały jak namalowane. — Bo seksu też było dużo — powiedziała, ścisząc głos. — Nie żadnych orgii czy czegoś w tym rodzaju, kochasiu, nie myśl sobie. Mówimy o członkach gabinetu, o ludziach publicznych, a po orgii ciężko rano wstać i pójść na kilkanaście godzin do pracy. Toteż takie rzeczy w ogóle nam nie były w głowie, w ogóle.

Alex nagle zdał sobie sprawę, że słucha jej opowieści z szeroko rozdziawionymi ustami, które w dodatku otwierają mu się coraz szerzej, i szybko je zamknął.

— Kate mieszka w dawnej wozowni, tak?

— Chciałam, żeby się tu przeniosła. W domu jest osiem sypialni, ale odmówiła. Twierdzi, że lubi mieć własny kąpiel. Wszystkie kobiety to lubią. I może sobie wychodzić i wracać, kiedy jej się żywnie podoba. — Klepnęła go w udo. — Więc to twoja pierwsza randka z nią, co? To urocze. Gdzie się wybieracie?

— Nie jestem pewien. Kate wybrała miejsce.

Znów złapała go za rękę i zajrzała mu prosto w oczy.

— Dobra, kochasiu, pozwól, że dam ci pewną radę. Nawet nowoczesne kobiety lubią, żeby od czasu do czasu mężczyzna za nie decydował. Dlatego następnym razem sam wybierz miejsce. I bądź w tej sprawie twardy. Kobiety nienawidzą niezdecydowanych mężczyzn.

— Ale skąd mam wiedzieć, w jakich sprawach mam decydować?

— Znikąd. W pewnym momencie zawalisz sprawę jak inni.
Alex odchrząknął.

— A ona często się umawia? — spytał niepewnie.

— Aha, kochasiu, czyli chcesz mnie podpytać o Kate, tak?
No więc przyprowadza tu kogoś najwyżej raz na parę miesięcy.
I nikt się tu jeszcze nie zadomowił, ale niech cię to nie
zniechęca. Zwykle to są jacyś gogusiowaci prawnicy, lobbyści
albo rządowi ważniacy. Ty jesteś pierwszym facetem z gnatem,
którego tu zaprosiła — dodała tonem zachęty. — Bo nosisz
przy sobie spluwę, nie? — upewniła się z wyraźną nadzieją
w głosie.

— A lepiej, żebyśmy nosił?

— Kochasiu, dla groźnego mężczyzny wszystkie cywilizo-
wane kobiety wyskakują z majtek. To jest silniejsze od nas.
Uśmiechnął się, odchylił marynarkę i pokazał jej pistolet.
Klasnęła głośno w dłonie.

— Boże, jakie to podniecające!

— Hej, Lucky, zostaw mojego faceta w spokoju.
Oboje odwrócili głowy i ujrzeli stojącą w drzwiach uśmiech-
niętą Kate. Miała na sobie czarną plisowaną spódniczkę do
połowy uda, białą bluzkę rozpiętą pod szyją i sandałki. Alex
zdał sobie nagle sprawę, że nigdy wcześniej nie widział jej nóg.
Do pracy w barze zawsze nosiła spodnie. Podeszła do kanapy,
objęła Lucky i pocałowała ją w policzek.

— Zabawiałam twojego kawalera, kochanie, żebyś miała
czas zrobić się na bóstwo — rzekła Lucky. — Co nie znaczy, że
musiałaś się specjalnie wysilać. To jest niesprawiedliwe, Kate.
Nawet najlepszy na świecie chirurg plastyczny nie zrobiłby mi
takich kości policzkowych jak twoje.

— Ty kłamczucho. Mężczyzn aż zatykało na widok Lucky
Whitney. I wciąż tak jest.

Lucky spojrzała na Aleksa i powiedziała zalotnie:

— Cóż, muszę przyznać, że ten młody człowiek też już
pokazał mi swoją rurę. A założę się, że ty jej jeszcze nie
widziałaś.

— Swoją rurę? — powiedziała Kate niepewnie. — Nie,
jeszcze nie widziałam.

Alex zerwał się na równe nogi, robiąc to tak gwałtownie, że
kilka kropli z jego szklanki chlapanęło na kanapę.

— Chodzi o mój pistolet! Pokazałem pani pistolet!

— Zgadza się! Tak to nazwał. Pistolet. — Kiwnęła głową z szelmowskim uśmiechem. — To gdzie się wybieracie na kolację?

— Do Nathana — odparła Kate.

— Do Nathana? — powiedziała Lucky, unosząc brwi. Potem spojrzała na Aleksa i dodała: — Do Nathana zabiera tylko tych, którzy naprawdę mają szansę.

ROZDZIAŁ 40

— Reuben! — zawołał Stone z fotela w przyczepce. — Mamy jeszcze trochę czasu. Moglibyśmy zatrzymać się w Arlington?

Reuben popatrzył w stronę najstłynniejszego w kraju cmentarza wojskowego, na którym leżą żołnierze polegli za ojczyznę, i kiwnął głową.

Chwilę później weszli na teren główną bramą dla odwiedzających i minęli pomnik ku czci kobiet w służbie wojskowej. Przystanęli koło grobowców Kennedych, które przyciągają największą liczbę turystów odwiedzających Arlington i pod tym względem wyprzedzają nawet zmianę warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza.

Poszli dalej i zatrzymali się przy trawniku otaczającym Arlington House. Kiedyś dom ten należał do Roberta E. Lee, jednak gdy w wojnie domowej Lee opowiedział się po stronie konfederatów i stanął na ich czele, dom skonfiskowano i przejęto na własność federalnego rządu unionistów.

— Czy to nie tu właśnie znalazłeś mnie naćpanego do nieprzytomności? — zapytał Reuben, patrząc w stronę jednej z kwater.

— To było już bardzo dawno temu — powiedział Stone, podążając za jego wzrokiem. — Udało ci się z tego wykaraskać. Przewalczyłeś swoje demony, Reuben.

— Bez ciebie by się nie udało. — Zamilkł i zapatrzył się na rząd białych nagrobków. — Strasznie się wtedy nawaliłem. Pół

mojej kompanii poległo w Wietnamie. Albo na miejscu, albo później od czynnika pomarańczowego, a wojsko nawet nie chciało tego potwierdzić. A potem to samo powtórzyło się jako syndrom Zatoki Perskiej. Pamiętam, że chciałem tu przyjść i wyć, aż ktoś usłyszy.

— Pewnie dobrze się stało, że straciłeś przytomność. Tamtego dnia był tu sekretarz obrony, więc mogło się to źle skończyć.

Reuben przyjrzał się przyjacielowi podejrzliwie.

— Nigdy cię właściwie nie spytałem. Co ty tu wtedy robiłeś?

— To samo co wszyscy. Przyszedłem uczcić czyjaś pamięć.

Stone zatrzymał się przy jednej z kwater i w myśli policzył rzędy nagrobków, potem jego wzrok spoczął na jednym ze środkowych. Znieruchomiał z rękami splecionymi na piersiach i wpatrzył się w białe płyty rozświetlone promieniami zachodzącego słońca. Reuben ukradkiem spojrzął na zegarek, ale nie odważył się zakłócić chwili skupienia przyjaciela.

Zakłóciło ją chwilę później pojawienie się grupki mężczyzn. Stone odprowadził ich wzrokiem *do* najnowszego fragmentu cmentarza, na którym wciąż jeszcze trwały prace wykończeniowe. Był to nowo dodany do cmentarza teren poświęcony ofiarom ataku z 11 września, na którym w zagajniku pamięci stał pomnik z nazwiskami ofiar ataku na Pentagon.

Stone aż zeszywniał na widok mężczyzny w otoczeniu uzbrojonych ochroniarzy. Reuben też uniósł głowę.

— Carter Gray — mruknął.

— Pewnie przyszedł do żony — powiedział cicho Stone. — Zanim jutro zwałą się tu tłumy.

Carter Gray zatrzymał się przy grobie Barbary, ukląkł i w zagłębieniu położył mały bukiet kwiatów. Rocznicą jej śmierci wypadła następnego dnia, ale Gray wiedział, że jutro będą tu tłumy, i jak Stone słusznie się domyślił, nie chciał dzielić swego smutku z obcymi.

Podniósł się z klęczek i zapatrzył w miejsce, gdzie pochowano ciało jego żony. Ochrona dyskretnie odsunęła się na bok.

Barbara Gray zakończyła służbę wojskową w stopniu generała brygady, stanowiącym zwieńczenie jej długiej i pełnej

sukcesów kariery, która przeszła do historii amerykańskiej wojskowości dzięki wielu pierwszym dokonaniom wśród kobiet w mundurach. Była też jedną z najbardziej zagorzałych bojowniczek o to, by członkiniom WASP*, Kobiecej Służby w Lotnictwie z okresu II wojny światowej, przysługiwał pochówek na cmentarzu w Arlington z pełnymi honorami wojskowymi. Przywileju tego pozbawiono je z uwagi na grupową demobilizację po zakończeniu wojny, wskutek której w chwili śmierci były osobami cywilnymi. W rezultacie w czerwcu 2002 weszły w życie nowe przepisy, które dopuszczają pochówek członkiń niektórych formacji wojskowych — w tym także członkiń WASP — z wprawdzie niepełnymi, ale jednak wojskowymi honorami. Barbara Gray już tego niestety nie dożyła.

Rankiem 11 września 2001 przebywała w budynku Pentagonu, gdzie uczestniczyła jako cywilny konsultant w spotkaniu z dwoma oficerami sił zbrojnych w chwili, gdy samolot American Airlines uderzył w budynek i zmiotł pomieszczenie, w którym się właśnie znajdowała. Straszliwą ironią losu było to, że jej jedyna córka Maggie, prawniczka zatrudniona w jednej z agencji rządowych, chwilę wcześniej przyjechała do Pentagonu, by spotkać się matką. W żarze wybuchu jej ciało praktycznie uległo kremacji.

Stojąc ze wzrokiem wbitym w grób żony, Gray raz jeszcze powrócił myślami do wydarzeń tamtego poranka, który na zawsze wrył mu się w pamięć. I jak zawsze poczuł wyrzuty sumienia, że go wtedy przy niej nie było. Gray miał się spotkać z żoną i córką w gmachu Pentagonu, skąd wszyscy troje zamierzali wyruszyć na dawno zaplanowany rodzinny urlop. Korki po drodze spowodowały, że spóźnił się dwadzieścia minut i gdy wreszcie dotarł na miejsce, okazało się, że już nie ma rodziny.

Gdy oderwał wreszcie wzrok od skrawka poświęconej ziemi i podniósł głowę, zwrócił uwagę na dwóch mężczyzn, którzy wyraźnie mu się przyglądali. Tego rosteo chyba nigdy wcześniej nie widział, ale w wyglądzie niższego było coś znajomego. Chwilę potem obaj się odwrócili i zaczęli oddalać, on zaś

* WASP — Women's Air Force Service Pilots. Angielskie słowo *wasp* oznacza również osę.

powrócił myślami do żony. Spędził przy grobie następne dziesięć minut, potem jednak dręcząca go ciekawość wzięła górę i przeszedł do miejsca, gdzie stali tamci dwaj. Zorientował się, że kwatery mieści dobrze mu znane groby. Zaczął odczytywać kolejne nazwiska na rzędzie nagrobków i przy którymś z kolei zmarł.

Moment później ochroniarze pognali za swym szefem, który ruszył biegiem dróżką wśród grobów. Jednak nim dobiegł do bramy, musiał stanąć i zgięty wpół zaczął ciężko dyszeć. Ochroniarze otoczyli go kołem i zaczęli się niespokojnie dopytywać, czy coś mu się stało. Gray nie odpowiedział, bo właściwie nawet ich nie słyszał.

W głowie dźwięczało mu nazwisko, które wyczytał na nagrobku i które spowodowało, że rzucił się w bezładną pogoń. Gray zdawał sobie sprawę, że w trumnie złożonej pod nagrobkiem z tym nazwiskiem leży ciało innego człowieka. Wiedział, że mistyfikacji dokonano, by zatrzeć ślady, ale wiedział też, że nazwisko na nagrobku nie zostało zmyślane i że nosił je kiedyś człowiek, który istniał naprawdę i który poniósł śmierć w służbie ojczyzny. Przynajmniej tak wszyscy dotąd sądzili.

— John Carr — wymówił cicho nazwisko, którego od kilkudziesięciu lat nikt głośno nie wymieniał.

John Carr, najbardziej perfekcyjna maszyna do zabijania w ludzkim ciele, z jaką miał kiedykolwiek do czynienia.

U Nathana nie było jeszcze tłoku, więc Aleksa i Kate posadzono przy narożnym stoliku koło baru i przyjęto zamówienie na drinki.

— Niezła rozrabiała z tej twojej Lucky — powiedział Alex. — Jak na nią wpadłaś?

— Zanim trafiłam do sprawiedliwości, miałam prywatną praktykę. Po śmierci jej męża prowadziłam sprawy spadku i funduszu powierniczego po zmarłym. Zaprzyj aźniłyśmy się i w końcu mi zaproponowała, żebym u niej zamieszkała. Początkowo odmawiałam, ale ona wciąż do tego wracała, a pod moimi drzwiami nie stał żaden pan Wyśniony. Ale płacę czynsz za tę wozownię — dodała pośpiesznie. — Lucky to niezwykła postać. Należy do tych, co to wszędzie byli i wszystkich znają.

Ale jest też wyjątkowo samotna. Starość jest bardzo trudna dla kogoś takiego jak ona. Wciąż jeszcze jest pełna życia i chce robić wszystko, co robiła kiedyś. Tylko że już nie może.

— Z tego, co widziałem, to nieźle się stara. A co cię skłoniło, żeby zrezygnować z praktyki i pójść na państwowy garnuszek?

— Nic szczególnie oryginalnego. Wypaliłam się w ciągłej pogoni za godzinami do zafakturowania. I nie da się odmienić świata, specjalizując się w prawie spadkowym.

— A cóż takiego robisz w Departamencie Sprawiedliwości, co może odmienić świat?

— Zajmuję się dość nowym tematem. Po Gitmo Bay, dręczeniu jeńców w Abu Ghraib, kopalni soli i innymi tego typu aferami, w Departamencie Sprawiedliwości powstał nowy wydział, którego zadaniem jest monitorowanie przestrzegania praw obywatelskich więźniów politycznych i obcych kombatantów, a także prowadzenie śledztw w razie jakichś nieprawidłowości.

— *No, to sądząc po tym, co piszą w gazetach, na bezczynność się nie uskarżasz.*

— Kiedy w zasadzie Stany mają chlubne tradycje w traktowaniu jeńców wojennych i więźniów określanych mianem obcych kombatantów. Ale w miarę przeciągania się wojny z terroryzmem nasi mają coraz większe ciągoty, by obniżyć standardy postępowania do poziomu drugiej strony. W końcu są tylko ludźmi i można zrozumieć, że w pewnej chwili zaczynają traktować terrorystów jak kogoś, komu nie przysługują żadne prawa.

— Ale to nie usprawiedliwia łamania prawa.

— Nie, to prawda. I to jest właśnie pole działania dla ludzi takich jak ja. W ciągu ostatnich dwóch lat sześciokrotnie wizytowałam różne strefy działań wojennych. Niestety sytuacja nie ulega znaczącej poprawie.

— Wygląda, że kontratak podjęty ostatnio przez Cartera Graya był całkiem skuteczny.

Kate oparła się plecami o krzesło i pociągnęła łyk czerwonego wina.

— Mam w tej sprawie dość mieszane uczucia — rzekła w zadumie. — Rozumiem go jako człowieka i współczuję

z powodu straty, jaką poniósł jedenastego września. Ale myślę, że to dlatego wrócił na stanowisko w agencji rządowej i nie jestem pewna, czy to dobrze dla kraju.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wiem, że ma na swoim koncie spektakularne sukcesy, i czasem się zastanawiam, czy nie stosuje równie spektakularnych metod. Na przykład, mieliśmy duże kłopoty ze sprawą więźniów przetrzymywanych za granicą.

— Podobno zrobiła się z tego wielka polityczna awantura.

— I jak się zastanowić, trudno się temu dziwić. Podejrzanych o terroryzm przetrzymuje się między Stanami i innymi krajami, lub odwrotnie, bez jakichkolwiek podstaw prawnych i bez zapewnienia przedstawicielom Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dostępu do więźniów. W przypadku przetrzymania więźniów do innych krajów wymaga się od nich ustnego zapewnienia, że nie będą wobec więźniów stosowane tortury. Problem w tym, że nie ma żadnego sposobu na zweryfikowanie prawdziwości tych zapewnień. Co więcej, często jest oczywiste, że tortury są stosowane. Ale to jeszcze nie wszystko. Skoro stosowanie tortur jest w Stanach prawnie zabronione, niektórzy uważają, że NCW czy CIA świadomie trzymają więźniów za granicą po to, by torturami wydobyć z nich istotne informacje. Posuwają się nawet do tego, że skłaniają do wysuwania zmyślonych oskarżeń, by na ich podstawie można było podejrzanych aresztować, przesłuchiwać i w trakcie przesłuchań torturować. A takie postępowanie kłóci się z pryncypiami państwa amerykańskiego.

— Cóż, po mojej wizycie u nich jestem skłonny uwierzyć, że są zdolni prawie do wszystkiego.

— Domyślam się zatem, że nie odnotowałeś znaczącego postępu w śledztwie.

Alex przez moment się zawahał, uznał jednak, że winien jest jej szczerść, i pokrótce opowiedział o nieprzyjemnej „pogawędce” z dyrektorem Secret Service, odsunięciu go od śledztwa i przeniesieniu z powrotem do biura ochrony.

— Bardzo ci współczuję — powiedziała, kładąc mu dłoń na rękach.

— Kochana, sam jestem sobie winien. Gray porusza się na szczytach władzy i nie może sobie pozwolić, żeby jego ludzie mu bruździli. Po prostu byli ode mnie lepsi. — Pociągnął łyk

z kieliszka. — Twoje martini też są dużo lepsze — dodał z uśmiechem.

Stuknęli się kieliszkami.

— Od razu wiedziałam, że coś mi się w tobie podoba. — Kiwnęła głową.

Jego twarz spoważniała.

— Należało trzymać się pierwotnego planu i spokojnie odbębnić ostatnie trzy lata z mojej dwudziestki. Przetawić ster na automatycznego pilota i nie kołysać łódką.

— Nie wydajesz mi się kimś zdolnym do bezwolnego dryfowania — rzekła Kate.

— Słuchaj, dajmy już spokój tym służbowym tematom — powiedział, wzruszając ramionami. — Opowiedz mi coś o sobie. W końcu do tego służą pierwsze randki.

Usiadła wygodniej i zaczęła skubać leżący przed nią kawałek chleba.

— Jestem jedynaczką. Rodzice mieszkają w Kolorado. Złośliwcy mówili o nas, że jesteśmy w prostej linii spokrewnieni z rodziną Adamsów z Massachusetts, ale ja tak nie uważam. Moim marzeniem było zostać światowej klasy gimnastyczką. I z myślą o tym harowałam jak szalona. A potem w ciągu jednego roku urosłam ponad piętnaście centymetrów i diabli wzięli moje marzenie. Po szkole średniej postanowiłam zostać krupierką w Las Vegas. Nie pytaj dlaczego. Tak sobie postanowiłam i już. Skończyłam z wyróżnieniem kurs i ruszyłam na podbój Miasta Grzechu. Ale długo tam nie wytrzymałam. Miałam problem z urzniętymi graczami, którym się wydawało, że wolno im łapać mnie za tyłek, kiedy tylko im się zachce. Kiedy paru z nich musiało sobie wprawić nowe zęby, dyrekcja kasyna grzecznie zaproponowała, żebym może wróciła na wschód. Zapisałam się do college'u i postanowiłam zarobić na naukę pracą w barze i nawet jak już później rozpoczęłam studia prawnicze, nie przestałam nalewać do kieliszków. Ale tu przynajmniej od urzniętych klientów oddziela mnie solidny drewniany blat. I jak się wcześniej domyśliłeś, grałam też na fortepianie. Dawaniem lekcji gry też sobie w czasie studiów dorabiałam. Właściwie nie musiałabym już pracować w barze, ale po prostu to lubię. To takie okno na świat, a w barze PAF spotyka się wielu ciekawych ludzi.

— Gimnastyczka, krupierka, barmanka, pianistka i bojowniczką o prawdę i sprawiedliwość. Nieźle jak na jedną osobę.

— Czasem odnoszę wrażenie, że to źle o mnie świadczy. A jak z tobą?

— Bez rewelacji. Dzieciństwo spędziłem w Ohio jako najmłodszy z czwórki rodzeństwa i jedyny chłopak. Tata za dnia był sprzedawcą części samochodowych, wieczorami przeistaczał się w nowe wcielenie Johnny'ego Casha.

— Naprawdę?

— W każdym razie takie miał ambicje. Myślę, że był właścicielem największej kolekcji pamiątek po Cashu poza terenem Nasłwille. Ubierał się zawsze na czarno, szatańsko grał na gitarze akustycznej i zupełnie nieźle na dudach. Nauczyłem się grać na gitarze i grywaliśmy w duecie. Kiedyś nawet pojechaliśmy w trasę i objechaliśmy wszystkie najlepsze speluny w dolinie Ohio. Furory nie zrobiliśmy, ale najgorzej też nie było. A potem zemścił się jego nałóg, bo palił cztery paczki dziennie. W ciągu sześciu miesięcy zmarł na raka płuc. Mama mieszka w wiosce emeryckiej na Florydzie. Siostry rozjechały się po całym kraju.

— To skąd ci przyszedł do głowy pomysł odgrywania żywej tarczy?

Alex pociągnął kolejny łyk i twarz mu się wydłużyła.

— W wieku dwunastu lat obejrzałem film Zaprudera o zamachu na Kennedy'ego. Pamiętam, jak wtedy pomyślałem, że coś takiego nie powinno się już nigdy zdarzyć. Zawsze mam przed oczyma obraz agenta Clinty Hilla, który rzuca się na prezydencką limuzynę i wpycha panią Kennedy z powrotem na siedzenie. Wielu myślało wtedy, że też uczestniczyła w spisku na życie prezydenta, albo ją potępiano za to, że rzekomo starała się uniknąć pobrudzenia krwią własnego męża. W rzeczywistości była w szoku i starała się sięgnąć po fragment czaszki męża, który kula wyrwała mu z głowy.

Dopił drinka do końca i podjął opowieść.

— Poznałem potem Clinty Hilla osobiście na jakiejś imprezie dla personelu Secret Service. Był już wtedy starszym panem na emeryturze. Ale wszyscy chcieli mu uścisnąć dłoń. Powiedziałem mu, jaki to dla mnie zaszczyt, że mogę go poznać. Był jedynym z całego otoczenia prezydenta, który od razu zarea-

gowałna to, co się stało. Pomógł pani Kennedy usiąść i zasłonił ją własnym ciałem od strony zamachowca. Zapewniłem go, że mam nadzieję, że jeśli się znajdę w podobnej sytuacji, też potrafię się tak zachować. I wiesz, co mi wtedy odpowiedział? Spojrzał na nią i stwierdził, że siedzi wpatrzona w niego, niemal wstrzymując oddech.

— Co ci odpowiedział?

— Powiedział: „Synu, nie próbuj mnie naśladować, bo ja swojego prezydenta nie ochroniłem”.

Zapadło długie milczenie i w końcu przerwał je Alex.

— Aż nie wierzę, że siedzę tu z tobą sam na sam i truję o takich ponurych sprawach. Naprawdę taki nie jestem.

— Biorąc pod uwagę to, co dzisiaj przeszedłeś, dziwię się, że w ogóle tego nie odwołałeś.

— Kate, myśl o tym, że spędzimy razem wieczór, pomogła mi przeżyć dzisiejszy dzień.

Szczerść tego nagłego wyznania zaskoczyła nawet jego, bo szybko spuścił wzrok i wpatrzył się w leżącą na dnie kieliszka samotną oliwkę.

Kate wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

— To cię teraz jeszcze bardziej zawstydzę i powiem, że to najmiłsza rzecz, jaką mi ktoś kiedykolwiek powiedział.

Rozmowa zesłała na bardziej błahe tematy i czas im szybko upłynął. W drodze do wyjścia Aleksa aż zamurowało na widok wkraczającego właśnie do restauracji senatora Rogera Simpsona wraz z żoną i córką Jackie.

Spróbował nawet zrobić unik, ale Jackie już go dojrzała.

— Cześć, Alex — rzuciła.

— Witam, agentko Simpson — rzekł sucho.

— To są moi rodzice.

Roger Simpson i jego żona wyglądali bardziej na rodzeństwo niż na małżeństwo. Oboje byli wysocy i jasnowłosi i ich drobna, ciemnowłosa córka zupełnie do nich nie pasowała.

— Witam pana, panie senatorze, witam panią — powiedział Alex, skłaniając głowę. Roger Simpson obrzucił go tak wrogim spojrzeniem, że Alex pomyślał, iż Jackie musiała ojcu opowiedzieć własną, mocno podkoloryzowaną wersję wydarzeń. — To jest Kate Adams.

— Miło mi państwa poznać. — Kate uśmiechnęła się.

— Cóż, agentko Simpson, proszę na siebie uważać. Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze kiedyś spotkali.

Bez słowa pożegnania ruszył do wyjścia, Kate pospieszyła za nim.

Gdy tylko znaleźli się na chodniku, Alex wybuchnął.

— No, nie do wiary! Żeby z wszystkich knajp w tym cholernym mieście akurat musieli wybrać...

Przerwał, bo drzwi restauracji otworzyły się i stanęła w nich Jackie Simpson.

— Alex, moglibyśmy chwilę porozmawiać? — Spojrzała niepewnie na Kate. — W cztery oczy?

— Uważam, że nie mamy sobie nic do powiedzenia — odburknął.

— Tylko chwilę. Proszę.

Spojrzał na Kate, która wzruszyła ramionami, przeszła kilka kroków i stanęła przed wystawą sklepu z odzieżą.

Simpson podeszła bliżej.

— Słuchaj, wiem, że jesteś na mnie wściekły. I myślisz, że to ja cię zakapowałam.

— Jak na razie trafiasz same dziesiątki.

— A to wcale tak nie było. Jak tylko Gray nas opuścił, musiał od razu zadzwonić do mojego taty. Nawet jeszcze przed telefonem do prezydenta. Ojciec zadzwonił i mnie strasznie opieprzył. Powiedział, że nie mogę pozwolić, by jakiś oszołom rujnował mi karierę, zanim się na dobre zaczęła.

— A skąd dyrektor wiedział o „starym znajomym“?

Twarz Simpson żałośnie się wyciągnęła.

— Wiem, to było głupie. Ale ojciec potrafi być upierdliwy. Wyciągnął to ze mnie siłą. — Westchnęła. — Mój tata jest jednym z najbardziej pewnych siebie ludzi, jakich w życiu spotkałem. A moja mama była kiedyś Miss Alabamy, co w tamtych stronach czyni z niej świętą. Więc praca na stanowisku zwykłego śledczego w miejscowej policji nie zaspokajała ich ambicji. Chcieli, żebym się zajęła biznesem albo polityką. Ale ja się uparłam, że chcę być gliniarzem. Wtedy zaczęli mnie cisnąć, żebym się przynajmniej przenieśli do innej służby. I tylko po to, żeby się ode mnie odczepili, zgłosiłam się do Secret Service. Tata pociągnął za jakieś sznurki i zostałam przydzielona do WFO. Teraz jego marzeniem

jest, żebym została pierwszą w historii kobietą — dyrektorem Secret Service. A ja zawsze chciałam być tylko dobrym gliniarzem. Ale dla nich to było za mało.

— Więc całe życie będziesz robić to, co ci każą?

— To nie takie proste. Ojciec przywykł do tego, że ludzie go słuchają. — Przerwała i podniosła na niego wzrok. — Ale to już oczywiście mój problem. Tobie chciałam tylko powiedzieć, że jest mi naprawdę bardzo przykro z powodu tego, co się stało. I mam nadzieję, że będę miała okazję ci to wynagrodzić.

Odwróciła się na pięcie i odeszła, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Podeszła Kate, której pokrótce zreferował treść rozmowy, po czym dodał:

— I kiedy już ci się zdaje, że kogoś rozgryzłeś i masz pełne prawo go znienawidzić, ten ktoś się zjawia i wszystko ci wywraca. — Spojrzał na drugą stronę ulicy i twarz mu się rozjaśniła. — Proszę, powiedz, że masz ochotę na lody.

Spojrzała na lodziarnię po drugiej stronie i uśmiechnęła się.

— Okej, tylko muszę cię uprzedzić: jadam zawsze podwójną porcję i z nikim się nie dzielę.

— I takie kobiety lubię.

ROZDZIAŁ 41

Po powrocie na Union Station Stone i Reuben odnaleźli Caleba i Milтона w księgarni Daltona. Caleb kartkował któreś z dzieł Dickensa, Milтона pochłonęły pisma komputerowe.

Wszyscy czterej zeszli do metra i pojechali do stacji Smithsonian, gdzie ruchomymi schodami wyjechali na Mail.

— Tylko miejcie oczy i uszy otwarte — uprzedził ich Stone.

Przeszli obok słynnych pomników, wokół których kłębiły się tłumy turystów z aparatami fotograficznymi i kamerami wideo. Wreszcie członkowie Klubu dotarli do parku FDR, który stosunkowo niedawno wzbogacono o pomnik byłego prezydenta. Zajmujący znaczną przestrzeń pomnik składał się z szeregu rzeźb symbolizujących dokonania jedyne go prezydenta w historii Stanów Zjednoczonych, który pełnił swój urząd przez cztery kadencje. Stone poprowadził przyjaciół do ustronnego zakątka schowanego przed wzrokiem turystów za smętnym symbolem Wielkiego Kryzysu w postaci odlanej z brązu kolejki po chleb.

Stone przez chwilę rozglądał się wokół, w końcu pokręcił głową z niezadowoleniem i poprowadził przyjaciół z powrotem do metra. Pojechali do stacji Foggy Bottom, wyszli na powierzchnię i ruszyli ulicą przed siebie. Na skrzyżowaniu Dwudziestej Siódmej i Q Street Stone się zatrzymał. Po drugiej stronie widać było bramę wejściową na cmentarz góry Syjon, gdzie Stone pracował jako dozorca.

— O nie, Oliver — zaprotestował Reuben. — Tylko nie jeszcze jeden cholerny cmentarz.

— Martwi nie podsłuchują — rzekł Stone sucho. Otworzył bramę i poprowadził przyjaciół do swojej dozorcówki. Weszli do środka i spojrzeli na niego wyczekująco. — Zdobyłem pewne informacje, które mają istotne znaczenie dla naszego śledztwa w sprawie morderstwa Patricka Johnsona. Dlatego formalnie otwieram nadzwyczajne zebranie Klubu Wielbłądów i jako punkt porządku obrad zgłaszam temat mordujących się ostatnio terrorystów. Czy ktoś popiera mój wniosek?

— Popieram — powiedział Caleb bez zastanowienia, choć jednocześnie spojrzął na resztę z zaskoczeniem.

— Kto jest za, proszę podnieść rękę.

Wszyscy podnieśli ręce i wniosek przeszedł jednogłośnie. Stone otworzył album zabrany ze schowka w księgarni.

— W ciągu minionych osiemnastu miesięcy wielu terrorystów rzekomo zginęło z rąk innych terrorystów. Uznałem to za zjawisko na tyle ciekawe, że zacząłem zbierać wszystkie informacje na ten temat. Ostatni taki przypadek dotyczył niejakiego Adnana ar-Rimiego.

— Pamiętam, że coś o tym czytałem — wtrącił Milton. — Ale dlaczego to nazywasz rzekomym ginięciem?

— Za każdym razem twarz ofiary była całkowicie lub częściowo zmasakrowana po strzale lub wybuchu. Identyfikacji zwłok dokonywano na podstawie odcisków palców, DNA czy czegoś w tym rodzaju.

— Ale to przecież normalna procedura — odezwał się Reuben. — Za moich czasów w DIA robiliśmy tak samo, tyle że wtedy nie było jeszcze testów DNA.

— Wiemy też od Reubena — ciągnął Stone — że NCW kontroluje wszystkie bazy danych zawierające kartoteki terrorystów. Przy identyfikacji zabitych terrorystów korzystano z danych zawartych w bazach nadzorowanych przez Patricka Johnsona. — Zamilkł na chwilę. — A jeśli pan Johnson coś przy tych bazach majstrował?

Zapadła długa cisza, którą w końcu przerwał Milton.

— Chcesz powiedzieć, że Johnson mógł fałszować dane?

— Nazywajmy rzeczy po imieniu. Mógł na przykład wprowadzać do kartotek odciski palców prawdziwych ofiar zabójstw,

zastępując nimi odciski palców terrorystów oficjalnie uznawanych za martwych.

Caleb spojrział na Stone'a z wyraźnym strachem.

— Chcesz powiedzieć, że ktoś taki jak Adnan ar-Rimi w rzeczywistości nie zginął i tylko w aktach amerykańskiego wywiadu jest...

— Martwy — dokończył za niego Stone. — Cała jego przeszłość zostaje zatarta, a on może sobie jechać, gdzie zechce, i robić, co mu się żywnie podoba.

— Trochę to przypomina spiłowanie numerów seryjnych broni — wtrącił Reuben.

— Właśnie.

— Ale chwileczkę, Oliver — powiedział Reuben. — Bazy danych mają przecież wiele różnych zabezpieczeń. Jeśli dobrze pamiętam, żaden wpis w bazie DIA nie mógł zostać zmieniony bez odpowiedniej, wielostopniowej autoryzacji.

Stone popatrzył na Caleba.

— W dziale ksiąg rzadkich Biblioteki Kongresu też istnieje podobny system. Z oczywistych względów osoba odpowiedzialna za zakup nowych pozycji nie może ich wprowadzać do bazy katalogowej i vice versa. To właśnie nasunęło mi tę myśl i wzbudziło podejrzenia. Bo przecież można kupić obu: tego, który zbiera dane wywiadowcze, i tego, który je wprowadza do bazy. A jeśli w dodatku jeden z nich zajmuje wysokie stanowisko? Bardzo wysokie?

— Sugerujesz — parsknął Reuben — że sam Carter Gray jest w to zamieszany? Daj spokój! Cokolwiek byśmy o Grayu powiedzieli, nie sądzę, by można było kwestionować jego lojalność wobec kraju.

— Nie twierdzę, Reuben, że to jest takie proste. Ale jeżeli nawet nie Gray, to może ktoś inny z kierownictwa, kogo udało się przekabacić.

— To już prędzej — zgodził się Reuben.

— No dobrze — odezwał się Milton. — Ale jeśli nawet to prawda, to dlaczego zabito Johnsona?

— Jeśli ci dwaj zabójcy Johnsona są z NCW — odparł Stone — to biorąc pod uwagę, jak żył ze skromnej państwowej pensji, można sobie wyobrazić dwa scenariusze. Pierwszy, że ten, kto go skaptował do fałszowania danych, zaczął się bać, że

jego afiszowanie się bogactwem spowoduje wszczęcie dochodzenia, i postanowił się go pozbyć i podrzucić mu narkotyki. Drugi, że Johnsona poniosła chciwość, zażądał więcej pieniędzy i został wyeliminowany.

— I co teraz zrobimy? — zapytał Milton.

— Przede wszystkim nie damy się zabić — rzekł Reuben. — Bo jeżeli Oliver ma rację, to paru bardzo niebezpiecznych facetów zrobi wszystko, żeby nas uciszyć.

— I w dodatku niemal na pewno znają już dane osobowe i adres Milтона — dodał Stone. — Dlatego proponuję, żebyśmy uprzedzili tych, którzy nas szukają.

— W jaki sposób? — spytał Caleb.

Stone zamknął notes.

— Dysponujemy adresem domowym Tylera Reinkego. Proponuję zacząć od niego.

— Chcesz, żebyśmy się im wystawili na strzał? — wykrzyknął Reuben.

— Nie. Ale nie ma powodu, żebyśmy nie mogli ich sami wziąć na celownik.

Alex i Kate doszli z lodami w dłoniach do miejsca, gdzie kilkaset lat wcześniej George Mason uruchomił przeprawę promową na drugą stronę rzeki. Kate pokazała ręką trzy głazy pośrodku rzeki, ledwo wystające nad powierzchnię wody. Znajdowały się na wysokości uniwersytetu w Georgetown, nieco na północ od Key Bridge.

— Nazywają to Wysepką Trzech Sióstr — powiedziała. — Legenda mówi, że w tym miejscu utonęły trzy zakonnice, których łódkę wywróciły rzeczne wiry. Wtedy z wody wynurzyły się te trzy głazy, by upamiętnić ich śmierć i ostrzec innych.

— Nurt w Potomacu jest zwodniczo spokojny — potwierdził Alex. — Tyle że w naszych czasach i tak już nikt się tu nie kąpie. Przy większych opadach zazwyczaj wylewają kanały ściekowe.

— Kiedy budowali autostradę 1-66, mieli w planach zbudowanie w tym miejscu odnogi z mostem. Miał się nazywać mostem Trzech Sióstr, ale wydarzyło się tak wiele dziwnych

wypadków, że w końcu dali spokój. Niektórzy twierdzili, że zadziałały duchy tych trzech zakonnic.

— Wierzysz w takie bajki? — zdziwił się Alex.

— Różne dziwne rzeczy się zdarzają. Wystarczy przyjrzeć się niektórym teoriom spiskowym krążącym po mieście. Większość to bzdury, ale niektóre się sprawdzają.

— Znam nawet jednego takiego, który je głosi. Nazywa się Oliver Stone. Facet jest naprawdę błyskotliwy, ale idzie przez życie własną ścieżką, która troszkę odstaje od głównej drogi.

— Oliver Stone? Chyba żartujesz.

— Rzecz jasna naprawdę się tak nie nazywa. Myślę, że to jego osobisty żart z tych, którzy go mają za świra. A najciekawsze jest to, że facet w ogóle nie ma przeszłości. W każdym razie nie udało mi się niczego znaleźć. Może się przed czymś ukrywa albo od czegoś ucieka.

— Wygląda mi na takiego, który zafascynowałby Lucky.

— A ona wciąż jeszcze rzuca majtkami w groźnych mężczyzn?

— Słucham?

— Nieważne — mruknął, biorąc do ust kolejną łyżeczkę lodów i spoglądając w kierunku Wyspy Roosevelta. Kate podążyła za jego wzrokiem.

— No to jak? — powiedziała w końcu. — Wydusisz to w końcu z siebie? Barmanki to świetne słuchaczki.

Alex wskazał ręką ławkę nad brzegiem rzeki i oboje usiedli.

— Oto co mnie nurtuje: facet płynie wpław na wyspę po to, żeby się zastrzelić. Czy to brzmi prawdopodobnie?

— Ale naprawdę był na tej wyspie na pierwszej randce z narzeczoną.

— Fakt. Ale dlaczego dostaje się na nią wpław? Dlaczego nie może po prostu podjechać samochodem albo przyjść pieszo? Przecież nad drogą jest kładka dla pieszych, która prowadzi do samego parkingu przy wyspie. Podobnie zresztą jak ścieżka rowerowa. Wystarczyłoby przeskoczyć przez bramkę, przejść pomostem na wyspę, urznąć się i strzelić sobie w łeb bez potrzeby taplania się w Potomacu. Znaleźli jego samochód daleko w górze rzeki, co oznacza, że musiał przepłynąć kawał drogi w ubraniu i butach, i w dodatku z bronią w plastikowej

torbie. Przecież nie był z niego żaden Mark Spitz czy Michael Phelps.

— Ale na pistolecie były jego odciski palców — przypomniała Kate.

— To prawda, a owinięcie czyjejś dłoni wokół rękojeści pistoletu i pociągnięcie wtedy za spust wcale nie jest takie łatwe. — Alex pokiwał głową. — Zresztą jeśli chcesz kogoś zabić, to nie wciskasz mu do ręki nabitej broni. Chyba że go wcześniej spijesz do nieprzytomności. I od początku niepokoiły mnie podeszwy jego butów — dodał, pokazując na własne buty.

— To znaczy?

— Były nieźle ubłocone. Nic dziwnego, bo przedzierał się przez krzaki, natomiast zabrakło śladów błota na kostce brukowej. A przecież trochę gliniastej ziemi z jego butów powinno tam zostać. Ponadto jego ubranie było za czyste. Gdyby się przedzierał przez krzaki, do ubrania musiałyby przylgnąć jakieś listki czy kawałki gałązek. A na jego ubraniu niczego takiego nie było. Gdyby przyплыł na wyspę wplyw, żeby dojść do ścieżki, musiałby się przedrzeć przez zagon jezyn.

— To rzeczywiście trochę się nie trzyma kupy — przyznała Kate.

— A ten liścik samobójczy w kieszeni? Papier był ledwie wilgotny, a atrament nawet się nie rozmazał.

— Mógł go mieć w tej samej torbie co pistolet.

— To dlaczego go tam nie zostawił? Po co go wyjmował i wkładał do ociekającej wodą kieszeni kurtki, w której atrament może się rozmazać i uczynić treść zupełnie nieczytelną? Wprawdzie Johnson był cały mokry, ale gdyby naprawdę przyплыł na wyspę wplyw, powinien być znacznie bardziej przemoczony i utyłany. Pamiętaj, że Potomac w tym rejonie jest strasznie brudny.

— Ale jednak był mokry.

— Tak, ale gdybyś chciała stworzyć pozory, że facet przepłynął kawał drogi, to co byś z nim zrobiła?

— Zanurzyłabym go w wodzie — odpowiedziała po chwili namysłu.

— Właśnie, zanurzyłabyś go w wodzie. I pozostaje jeszcze kwestia motywu. Nikt, z kim rozmawiałem, nie miał pojęcia, że Johnson handlował narkotykami. A narzeczona tak się

wściekła, że zagroziła mi sądem, jeśli odważę się o tym wspomnieć.

— Zawsze uważałam, że agenci Secret Service są bardzo spostrzegawczy.

— Daj spokój. Przecież nikt nie twierdzi, że jesteśmy lepsi od FBI. Oni też to na pewno zauważyli. Myślę tylko, że idą potężne naciski z góry, żeby tej sprawy zbyt nie rozgrzebywać.

— Zatem jeśli został sprowadzony na wyspę siłą, a ci, którzy to zrobili, nie chcieli, by ktoś ich przy tym zauważył, jak to zrobili?

W tym momencie rzeką przepłynęła policyjna łódź patrolowa, a oni spojrzeli po sobie i jednocześnie wykrzyknęli:

— Łódź!

— Tylko że łodzi nie da się tak łatwo ukryć — dodał Alex w zadumie.

Kate rozejrzała się w obie strony po rzece.

— Jeśli jesteś gotów — powiedziała — to ja też.

Wyrzucili do kosza puste kubki po lodach i zeszli nad wodę.

Zajęło im to całą godzinę, ale w końcu Kate wypatrzyła dziób łodzi wystający z rury kanalizacyjnej.

— Świetny wzrok — pochwalił ją Alex.

Zsunęła ze stóp sandałki, on zdjął buty i skarpetki, podwinął nogawki spodni i oboje weszli do wody, co wywołało żywe zainteresowanie pary przechodniów. Podeszli do starej wiosłowej łodzi i Alex zaczął się jej przypatrywać. W pewnym momencie pochylił głowę i przyjrzał się bacznie bocznej ścianie kadłuba.

— To mi wygląda na ślad po kuli — powiedział.

— A to mogą być ślady krwi — dodała Kate, pokazując ciemne plamy na wewnętrznej stronie burty.

— Czyli znów nic nie pasuje. Chyba że zabili Johnsona w łodzi i już martwego zawieźli na wyspę. Tamtej nocy było bardzo mgliście, więc pewnie można by coś takiego zrobić bez przyciągania czyjejś uwagi.

— I co teraz zrobimy z tym wszystkim? — spytała Kate.

Alex wyprostował się i zaczął głośno myśleć.

— Bardzo bym chciał się dowiedzieć, czy to krew Patricka Johnsona, czy kogoś innego. Ale jeśli dyrektor się dowie, że

znów węższą wokół tej sprawy, to wyląduję w naszym biurze na Syberii. I to pod warunkiem, że mnie wcześniej własnymi rękami nie udusi.

— Jak chcesz, to ja powęszę — zaproponowała Kate.

— Nie. Nie chcę, żebyś się w to mieszała. Niektóre myśli, jakie mi w związku z tą sprawą chodzą po głowie, są naprawdę przerażające. Więc na razie zostawimy to w spokoju.

ROZDZIAŁ 42

Kapitan Jack wziął do ręki otrzymaną wiadomość. Była zaszyfrowana, ale szyfr miał w głowie i bez trudu ją odczytał. Wiadomość była dość niepokojąca.

Miałem dziś spotkanie z Grayem. Wiem, że zaglądał do jakichś kartotek, ale nie wiem do których, bo włączył blokadę dostępu. Wspomnił coś o zmartwychwstaniu. Wiem, że to samo mówił do paru innych członków kierownictwa. Najwyraźniej maca, kto połknie haczyk. Dlatego tę wiadomość wysyłam kurierem. Realizuj wcześniejszy plan. Będę pilnował spraw z tego końca. Od teraz komunikacja przez Charlie Jeden.

Problem z komunikowaniem się przy wykorzystaniu nowoczesnej techniki polega w dzisiejszych czasach na tym, że praktycznie nie da się utrzymać tego w tajemnicy. Wszędzie są szpiegowskie satelity, co oznacza, że wszelkie łącza przewodowe i bezprzewodowe — faksy, telefony stacjonarne i komórkowe, komputery i e-maile — można kontrolować. Nic więc dziwnego, że terroryści polegali głównie na odręcznie pisanych notatkach, które przynosili kurierzy. Paradoksalnie, burzliwy rozwój nowoczesnych technik komunikacyjnych zmuszał do powrotu do metod z epoki kamienia łupanego. Kod Charlie Jeden oznaczał po prostu odręczne pisanie zaszyfrowanych wiadomości na kartkach papieru, przekazywanie ich za pośred-

nictwem zaufanych kurierów i palenie ich natychmiast po przeczytaniu.

W Brennan miała się niedługo zjawić ekipa przygotowawcza Secret Service. Potem prezydent przyleci Air Force One do Pittsburgha, skąd najsprawniejsza na świecie kawalkada samochodowa wyruszy w krótką podróż do Brennan. Tam już na nią będzie czekał oddział czterdziestokilkuletnich indywidualistów i jedna młoda kobieta. Ale kapitan Jack był gotów ręczyć za swych ludzi. Wyjął zapalniczkę i zamienił kartkę z wiadomością w kupkę popiołu.

Po odprawieniu ostatnich modłów dnia Dżamila stanęła przed lustrem w łazience i przyjrzała się swemu odbiciu. Dziś były jej dwudzieste czwarte urodziny, pomyślała jednak, że wygląda dużo starszej. Ostatnie lata nie były dla niej zbyt łaskawe. Wielokrotnie brakowało jej jedzenia i czystej wody i zbyt wiele nocy spędziła pod gołym niebem. A nic na świecie nie postarza człowieka szybciej niż padające wokół bomby i pociski. Teraz miała przynajmniej co jeść. Wielokrotnie mówiono jej, że Ameryka jest krajem opływającym w dostatki. Uważała, że ludzie mają tu tak dużo wszystkiego, że aż trudno się z tym pogodzić. Mówiono jej wprawdzie, że w Ameryce są też ludzie bezdomni i głodne dzieci, ale jakoś nie mogła w to uwierzyć. Uważała, że to niemożliwe i że to tylko amerykańska propaganda szerzona po to, by u innych budzić współczucie. Na myśl o tym zakłęta po arabsku. Współczuć im?

Miała dwadzieścia cztery lata i tkwiła sama gdzieś na końcu świata, z dala od swego miejsca na ziemi. Cała jej rodzina zginęła. Poczła rosnącą w gardle, dławiącą kulę i chwilę później zaczęła szlochać. Szybko zmoczyła ręcznik i położyła go sobie na twarz, czekając, aż łzy wsiąkną w chłodny materiał.

Trochę się uspokoiła, chwyciła torebkę i kluczyki od vana i wyszła, zatraskując za sobą drzwi. Nie zapomniała sprawdzić, czy są dobrze zamknięte.

Powiedziano jej, że ktoś z ludzi kapitana Jacka zawsze będzie miał na oku jej van, gdziekolwiek by go zostawiła. Nie mogli pozwolić, żeby go ktoś teraz ukradł. Było już za mało czasu na zdobycie drugiego takiego samego.

Dziwny człowiek z tego kapitana. Amerykanie mówiący płynnie po arabsku stanowili rzadkość. A on znał nie tylko język, ale i zwyczaje i historię krajów islamu lepiej niż niektórzy muzułmanie. Dżamilę uprzedzono, że cokolwiek jej każe zrobić, musi to wykonać. Początkowo wydawało jej się czymś niestosownym, że ma wykonywać polecenia Amerykanki. Jednak poznawszy go osobiście, nie mogła mu odmówić aury władczości.

Wieczorne jazdy stały się dla Dżamili codziennym rytuałem. Pomagały jej otrząsnąć się z całego dnia pracy w charakterze opiekunki trzech pełnych życia chłopców oraz wbijać do pamięci trasy i skróty dróg dojazdowych, co było niezbędne do wykonania zadania. Pojechała do centrum i minęła budynek Szpitala Miłosierdzia. Adnan ar-Rimi nie pełnił w tym momencie służby, ale nawet gdyby tak było, Dżamila i tak by o tym nie wiedziała. Podobnie jak nie miała żadnego powodu, by spojrzeć w prawo na blok mieszkalny, w którym w ramach prowadzonych przygotowań w jednym z mieszkań wycelowano w szpital dwa dokładnie zakamuflowane karabiny snajperskie M-50.

Później przejechała obok warsztatu samochodowego i dla wprawy skręciła w wąski przesmyk obok podnoszonych bram garażowych z okienkami zamalowanymi na czarno. Dzisiejsza jej trasa wiodła na południowy kraniec śródmieścia, gdzie należało skręcić na zachód i wjechać w główną drogę wylotową z Brennan. Po trzydziestu minutach jej rola dobiegnie końca. Modliła się do Allaha, by natchnął ją swą mądrością i odwagą.

Nie zatrzymując się, dotarła do miejsca uroczystości. Wiedziała tylko tyle, że niedługo prezydent tego kraju przemówi tu do zgromadzonego tłumu mieszkańców. Poza tym ten porośnięty trawą pusty plac nic dla niej nie znaczył.

Dalsza trasa przywiodła ją do domu Lori i George'a Franklinów, jej chlebodawców. Dla kogoś lubiącego tradycyjną architekturę amerykańską był to bardzo piękny dom. Ale Dżamili najbardziej podobało się w nim podwórze z tyłu. Porastała je gęsta trawa, po której można było biegać, i drzewa, na które można się było wspinać. Pełno tu też było różnych kryjówek, z których chłopcy korzystali podczas zabaw. Pamiętając swe dzieciństwo spędzone w pustynnym klimacie, musiała

przynać, że Ameryka to naprawdę piękny kraj. W każdym razie na zewnątrz.

W drodze powrotnej raz jeszcze przejechała koło domu Franklinów. Odruchowo spojrzała na okna dwóch sypialni na górze, gdzie spali wszyscy trzej chłopcy. Czuli się coraz bardziej z nimi związana. Byli miłymi dziećmi, choć wiedziała, że kiedyś wyrosną z nich ludzie nienawidzący islamu i wszystkiego, w co sama gorąco wierzyła. Gdyby tylko mogła w pełni przejąć nad nimi opiekę, pokazać wielkość prawdziwej wiary. Wtedy pojęliby, że różnice między nimi są nieistotne. Dżamila zatrzymała samochód i zaczęła nad tym dumać. Od tylu lat wbijano jej do głowy, że Ameryki i islamu nie da się pogodzić. I chyba rzeczywiście tak jest. Nie zapominaj, że rujną twój kraj, pomyślała. Że są pełnym agresji narodem z armią, której nie da się pokonać. I zawsze zabierają to, co jest im potrzebne: czy to będzie ropa naftowa, czy ludzkie życia. Choć gdy się tak patrzyło na te ciche, spokojne domy wokół, aż trudno było w to uwierzyć. Bardzo trudno.

Alex rozglądał się po domu Kate Adams i dochodził do wniosku, że bardzo mu się tu podoba. W środku nie panował przesadny porządek, tu i ówdzie leżały jakieś rupiecie. Ucieszył go ten fakt, bo sam nie należał do pedantów i nie wyobrażał sobie związania się z kimś, kto nim był. I wszędzie były książki, co uznał za dobry znak. W czasach szkolnych nie należał do miłośników czytania, ale od wstąpienia do Secret Sendce zaczął z zapałem odrabiać zaległości. Długie godziny spędzane na pokładach samolotów stanowiły doskonałą okazję. I w dodatku najwyraźniej nie była snobką, czytającą tylko uznane dzieła literackie. Na półkach leżało wiele klasyki, ale nie brakowało też pozycji czysto rozrywkowych.

Na ścianach i stolikach widniały liczne fotografie rodzinne i Alex spędził dłuższą chwilę, przyglądając się, jak tyczkowata, nieśmiała dziewczynka zamieniała się stopniowo w urodziwą, pewną siebie kobietę.

W narożniku salonu zajmującego niemal cały parter stał nieduży fortepian.

Kate zeszła z góry boso, przebrana w dzinsy i sweterek.

— Przepraszam — powiedziała — ale po całym dniu w sukience i na obcasach zaczynam się dusić.

— Nie daj się zwieść moim supergarniturom po tysiąc dolców i wystrzałowej reszcie. Też wolę dzinsy i T-shirty.

Parsknęła śmiechem.

— Piwo?

— Idealne do spłukania smaku po miętowo-kawowych lodach.

Wyciągnęła z lodówki dwie corony, pokroiła limonkę i usiedli na kanapie zwróconej ku oknu na podwórze.

— To co będziesz teraz robił? — spytała, podciągając nogi pod siebie.

— Sam nie wiem. — Wzruszył ramionami. — Oficjalnie mam przydział do ochrony Białego Domu i powinienem być za to wdzięczny. Wprawdzie w trakcie śledztwa nie popełniłem żadnego wykroczenia, ale podczas rozmowy z dyrektorem nie wykonałem jego bezpośredniego polecenia, żeby wyjawić czyjeś nazwisko. Sam nie mogę uwierzyć, że zrobiłem coś takiego.

— Więc starym znajomym, o którym wspominałeś, był ten Oliver Stone?

Obrzucił ją tak zdumionym spojrzeniem, że wystarczyło za odpowiedź.

— Jak, u diabła, na to wpadłeś?

— Nie jesteś w tym towarzystwie jedyny, kto potrafi kojarzyć fakty.

— Na to wygląda. — Pociągnął łyk piwa i rozparł się na miękkim oparciu kanapy. — Uważam, że mam w tej chwili związane ręce. Nawet nie mogę im powiedzieć o tej łodzi, bo musiałbym się przyznać, że postąpiłem wbrew wyraźnemu zakazowi dyrektora. Gdyby się o tym dowiedział, już by było po mnie. Nie mogę ryzykować.

— Rozumiem twój dylemat. — Odstawiła piwo na stolik przy kanapie, muskając przy tym lekko jego ramię. Jej dotyk poraził go jak wyładowanie elektryczne.

Kate usiadła do fortepianu i zaczęła grać utwór, w którym rozpoznał *Rapsodię na temat Paganiniego*. Już po pierwszych taktach było jasne, że jest świetną pianistką. Po kilku minutach przysiadł się do niej i zaczął wystukiwać prosty akompaniament.

— To Ray Charles — powiedziała. — Myślałam, że jesteś gitarzystą.

— Mój staruszek mawiał, że jak się zacznie od fortepianu, to potem można grać prawie na wszystkim.

— Czy to w *Na Unii ognia* Clint Eastwood jest grającym na fortepianie agentem Secret Service?

— Mhm, a partneruje mu Renę Russo.

— Przykro mi, ale nie jestem Renę Russo.

— A ze mnie żaden Clint Eastwood. Ale dla twojej informacji, Russo nawet się do ciebie nie umywa.

— Łgarz.

— Ani też nie wyskakuję z ciuchów na pierwszej randce jak Clint Eastwood — dodał z uśmiechem.

— Szkoda — parsknęła.

— Ale niekoniecznie obowiązuje to na drugiej.

— Ach, więc jesteś pewny, że będzie druga?

— Daj spokój, przecież noszę spluwę. Według Lucky to pewniak.

Przesunął palcami po klawiaturze i ich dłonie się zetknęły. Pocałunek, który nastąpił, spowodował, że wcześniejsze wyładowanie wydało się mizerną namiastką. Pocałowała go jeszcze raz i wstała.

— Wiem, że to pewnie trochę nie fair, ale twoja zasada pierwszej randki ma chyba sens. — Powiedziała to bez większego przekonania, odwróciła wzrok i dodała: — Nie daje się wszystkiego za pierwszym razem, bo drugi raz mogą się nie zgłosić.

Położył jej rękę na ramieniu.

— Zgłoszą się, Kate, kiedy tylko zechcesz.

— To może jutro. Jeśli dam radę doczekać.

Alex odpalił swego starego cherokee i ruszył spod domu w radosnym podnieceniu. Wyjechał na ulicę, skręcił w Trzydziestą Pierwszą i rozpoczął długi i kręty zjazd do centrum Georgetown. Pierwszy sygnał kłopotów nastąpił, gdy lekkie naciśnięcie hamulca nie dało żadnego efektu, drugim było zapadnięcie się pedału hamulca aż do podłogi. Droga coraz ostrzej biegła w dół i cherokee cały czas nabierał szybkości. Na

domiar złego po obu stronach stały rzędem zaparkowane samochody, a asfaltowa jezdnia wiła się wśród nich jak wąż. Szarpał kierownicę i próbował hamować biegami, ale efekt był bardzo mizerny. Nagle dostrzegł światła jadącego z naprzeciwka samochodu.

— Kurwa! — wykrzyknął i szarpnął kierownicę ostro w prawo. Udało mu się wcisnąć między dwa zaparkowane samochody i użyć pnia potężnego drzewa w miejsce nieczynnych hamulców. Uderzenie było na tyle silne, że poduszka powietrzna wystrzeliła i na moment go ogłuszyła. Wypłatał się z poduszki, odpiął pas i wygramolił się z samochodu. Na wargach czuł smak krwi i twarz go paliła, zapewne od gorącego gazu w poduszce.

Usiadł na krawężniku, starając się uspokoić oddech i nie zwymiotować. Czuł, jak do gardła podchodzi mu mieszanina lodów i piwa.

Chwilę później zorientował się, że ktoś się nad nim pochyla, i już chciał powiedzieć, że nic mu nie jest, gdy zamarł. Poczuł, że w kark wciska mu się twardy, zimny przedmiot. Odruchowo zamachnął się i grzmotnął w czyjeś kolano, które ugięło się pod ciosem.

Usłyszał okrzyk bólu, ale gdy spróbował wstać, ktoś wymierzył mu potężny cios w głowę. Potem usłyszał oddalające się szybko kroki i pisk opon ostro ruszającego samochodu. Chwilę później okazało się, co spłoszyło napastnika. Zobaczył światła samochodu i zaraz potem usłyszał głosy otaczających go ludzi.

— Nic się panu nie stało? — zapytało kilka głosów naraz.

Alex siedział bez ruchu, wciąż jeszcze czując zimny dotyk lufy rewolweru na karku, i dopiero po chwili go olśniło. Hamulce!

Zerwał się z miejsca, rozepchnął stojących nad nim ludzi i nie zwracając uwagi na łupanie w głowie, wygrzebał z samochodu latarkę i oświetlił wnękę przedniego lewego koła. Cała była zbryzgana płynem hamulcowym. Ktoś uszkodził hamulce w jego samochodzie. Ale to można było zrobić tylko na podwórzu pod domem Kate. Kate!

Sięgnął do kieszeni po telefon komórkowy, jednak go nie znalazł. Szarpnął drzwi rozbitego cherokee i zobaczył telefon na podłodze. Był przełamany na pół, zapewne od uderzenia.

Wydał z siebie okrzyk wściekłości. Ludzie, którzy przyszedli mu pomóc, zaczęli się już powoli wycofywać, wyraźnie zaniepokojeni jego dziwnym zachowaniem.

Chwilę później poła marynarki mu się odchyliła i zauważono jego pistolet.

— On ma broń! — wrzasnął ktoś i to wystarczyło, by wszyscy się rozpierzchni jak stadko spłoszonych gołębi.

Zaczął za nimi biec.

— Potrzebny mi telefon! Dajcie mi telefon! — krzyczał.

Ale już nie było nikogo.

Zawrócił i biegiem ruszył pod górę. Z rany na głowie sączyła mu się krew, skapując na koszulę. Ręce i nogi miał takie, jakby należały do kogo innego. Nie przestawał jednak biec pod górę, choć zdawało mu się, że jego płuca za chwilę eksplodują. Dobiegł do R Street, skręcił w lewo i jeszcze przyspieszył, odnajdując dodatkowy zapas energii. Było to jak włączenie nowego biegu, o którego istnieniu nawet nie wiedział. Zobaczył przed sobą sylwetkę domu i wyszarpnął z kabury *pistolet*

Zwolnił i nisko pochylony wśliznął się na podjazd przed domem. Światła w dużym domu były pogaszone. Wszedł po cichu na kamienną ścieżkę prowadzącą na podwórze i do stojącej w głębi wozowni. Bramka w ogrodzeniu była zamknięta na klucz, wdrapał się więc na płot, zeskoczył na trawnik po drugiej stronie i przykucnął, by rozejrzeć się i uspokoić oddech. W głowie mu huczało, w uszach słyszał tak głośne dzwonienie, że nie był pewien, czy cokolwiek usłyszy. Przecisnął się skulony przez zarośla i podszedł bliżej budynku wozowni. W jednym z okien na górze paliło się światło. Trzymając SIG-a w wyciągniętej ręce, kilka razy głęboko odetchnął, chcąc się nieco uspokoić.

Ruszył wolniutko przed siebie, starając się przebić wzrokiem tonącą w mroku gęstwinę zarośli. Bo jeśli ktoś w nich teraz siedzi i płamką celownika obmacuje mu głowę... A potem nagle zapaliło się światło na parterze i pojawiła się widoczna przez okno sylwetka Kate. Miała włosy związane w koński ogon i była ubrana w długi T-shirt. Przesunął się jeszcze trochę bliżej, oderwał wzrok od Kate i omiół nim budynek i stojący za nim rząd dorodnych cyprysów. Gdyby był snajperem

mierzącym do kogoś w wozowni, właśnie tam szukałby kryjówki.

Raz jeszcze odetchnął głęboko i włączył w sobie wyćwiczone odruchy ochroniarza. Oznaczało to, iż jego wzrok omiatał równomiernie i powoli całe chronione pole z punktem centralnym w osobie Kate. Mówi się o agentach Secret Service, że kiedy wpadną w taki zawodowy trans, potrafią zliczyć uderzenia skrzydełek kolibra. Jest to oczywista bzdura, ale Aleksowi i tak chodziło tylko o to, by nikt nie skrzywdził kobiety za oknem, a do tego potrzebne było tylko jedno: zauważyć broń, zanim ktoś z niej wystrzeli. Miał za sobą wiele lat doświadczeń i praktycznie wszystkie sprowadzały się tylko do tego. Panie Boże pozwól, by mi teraz tego doświadczenia nie zabrakło.

I wtedy zobaczył to na drugim końcu podwórza, nieco wprawo, za ogromnym rododendronem: niemal niezauważalne lśnienie celownika. Bez chwili wahania uniósł broń i strzelił. Odległość jak na pistolet była dość znaczna, ale nie chodziło mu o trafienie snajpera. Chciał go tylko stąd wykurzyć.

Celował w miejsce tuż nad celownikiem. Natychmiast po jego strzale błysnęła lufa karabinu, która szarpnięta w górę wypaliła. Alex jednym ciągiem wpakował w to samo miejsce kolejne sześć strzałów i sekundę później usłyszał krzyk Kate. Lufa zniknęła i dobiegł go tupot oddalających się biegiem nóg. Spudłował, ale osiągnął swój cel. Tyle że łajdakowi udało się ująć z życiem.

Alex ruszył biegiem w stronę wozowni. Wpadł do środka i usłyszał ponowny krzyk Kate. Przestała krzyczeć dopiero na jego widok. Podbiegł do niej, chwycił ją wpół, przewrócił na podłogę i osłonił całym sobą.

— Nie ruszaj się, pod domem jest snajper — syknął jej do ucha. Podczołgał się do ściany, sięgnął do wyłącznika i zgasił światło. Potem przeczłgał się do niej.

— Nic ci nie jest? — spytał. — Nie jesteś ranna?

— Nie — szepnęła i dotknęła jego twarzy. — Boże, ty krwawisz?

— Ale nie od kuli. Ktoś mi zrobił z głowy kowadło.

— Kto?

— Nie wiem. — Złapał oddech i oparł się plecami o kuchen-

kę. Nie wypuszczał z dłoni pistoletu i ani na chwilę nie odrywał wzroku od drzwi.

Kate podczołgała się do kuchennego blatu i sięgnęła po rolkę papierowych ręczników.

— Kate, do cholery — warknął. — Nie ruszaj się. On tam może jeszcze być.

— Ale ty krwawisz — odpowiedziała równie ostro. Znow się uniosła i zmoczyła pod kranem kilka kawałków ręcznika. Potem obmyła mu twarz i obejrzała ranę na głowie. — Aż się nie chce wierzyć, że nie straciłeś przytomności.

— Strach świetnie zabezpiecza przed utratą świadomości.

— Nawet nie słyszałam, kiedy podjechałeś pod dom.

— Mój cherokee chwilowo nie nadaje się do jazdy. Przecięty przewód hamulcowy. Miałem niezłą jazdę w dół Trzydziestej Pierwszej. Jak kolejką górską w wesołym miasteczku.

— To jak się tu dostałeś?

— Przybiegłem.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Biegłeś! Całą drogę?

— Pomyślałem, że jedynym miejscem, gdzie mogli grzebać w hamulcach, było podwórko pod twoim domem. Więc... więc musiałem się tu dostać. Musiałem się upewnić, że nic ci nie jest!

Powiedział to wszystko pełnym napięcia głosem.

Przestała wycierać mu krew z twarzy i jej wargi zaczęły gwałtownie drgać. Potem objęła go i wtuliła twarz w jego szyję. Alex też ją objął i przytulił.

To się dopiero nazywa pierwsza randka!

ROZDZIAŁ 43

Członkowie Klubu Wielbłądów dotarli piechotą do stacji Foggy Bottom i wrócili metrem na Union Station, gdzie w kafeterii na dolnym poziomie zjedli późną kolacją i jeszcze trochę pogadali. Potem poszli na parking dworcowy po swoje pojazdy. Stone zdecydował, że pojedzie w przyczepce motocykla Reubena.

— Dobra — powiedział do Caleba i Milтона, którzy wsiedli do malibu. — Jedźcie obaj do Caleba. Myślę, że nic wam tam nie grozi, ale bądźcie czujni.

— Zaraz — obruszył się Caleb. — A ty z Reubenem, gdzie się wybierasz?

— Reuben odwiezie mnie do domu — odparł Stone niepewnie.

Caleb wbił wzrok w przyjaciela.

— Kłamiesz! Jedźcie do PurcelMlle, tam gdzie mieszka ten człowiek.

— Ten cały Tyler Reinke — dodał Milton, też świdrując Stone'a spojrzeniem.

— Wybieracie się do niego — ciągnął Caleb — a nas chcecie się pozbyć, bo boicie się, że będziemy wam przeszkadzać.

— Weźcie pod uwagę, że ty i Milton nie macie żadnego doświadczenia w tego rodzaju sprawach. Natomiast Reuben i ja...

— Nic mnie to nie obchodzi — zaperzył się Caleb. — My też jedziemy.

— Niestety nie mogę się na to zgodzić — rzekł Stone spokojnie. — Jeśli nas przyłapią, dostaną nas tylko dwóch, a nie wszystkich czterech.

— Niestety to ja nie mogę się na to zgodzić — oświadczył Caleb z godnością. — Jesteśmy dorośli, Oliver. I też jesteśmy pełnoprawnymi członkami Klubu Wielbłądów. Więc jak się nie zgodzisz, pojedę za wami i przez całą drogę będę trąbił. A chcę cię uprzedzić, że mój klakson jest groźny jak diabli.

— A ja już wyszukałem jego dom na planie w komputerze — dodał Milton. — Będzie bardzo trudno go znaleźć bez dokładnych wskazówek, które już mam w kieszeni.

Stone spojrział na Caleba, potem na Milтона, wreszcie na Reubena, który wzruszył ramionami i mruknął:

— Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich.

W końcu Stone kiwnął głową, choć zrobił to z wyraźną niechęcią.

— Czy wobec tego nie powinniśmy pojechać samochodem? — spytał Caleb.

— Nie — odparł Stone, spoglądając na motocykl. — Całkiem polubiłem jazdę tym wehikułem. Poza tym motor może się nam do czegoś przydać.

Wyruszyli z miasta na zachód i po przekroczeniu granicy Wirginii skręcili w szosę numer 7, prowadzącą na północny zachód. Jadąc przez Leesburg, minęli skręt do siedziby NCW, o czym informował drogowskaz ustawiony na skrzyżowaniu. Wypisano na nim nazwę centrum wywiadowczego i odległość w milach. Stone'a nigdy nie przestały zdumiewać tablice informacyjne i drogowskazy do takich instytucji jak NSA, CIA czy do innych równie tajnych agencji. Pewnie nawet takie instytucje bywają odwiedzane przez gości z zewnątrz, ale jak się to ma do ich tajności?

Dom Reinkego mieścił się na zupełnym odludziu. Po zjechaniu z szosy numer 7 przez dobre pół godziny kręcili się po wąskich wiejskich drogach, aż wreszcie Milton wypatrzył szukany drogowskaz. Dał znak Calebowi, by zjechał na bok, Reuben stanął za nim. Obaj ze Stone'em podeszli do samochodu.

— Dom jest jakieś trzysta metrów dalej — rzekł Milton. —

Przeszukałem cały kwadrat i okazuje się, że to jedyny dom w okolicy.

— Cholerne pustkowie — zauważył Reuben, rozglądając się niespokojnie.

— Mordercy znani są z tego, że nie lubią towarzystwa — mruknął Stone.

— To jaki mamy plan? — zapytał Caleb.

— Chciałbym, żebyście ty i Milton zostali w samochodzie i...

— Oliver! — wtrącił Caleb głosem pełnym oburzenia.

— Daj mi skończyć. Chcę, żebyście obaj zostali tu w samochodzie, ale najpierw wszyscy przejedziemy się i sprawdzimy, czy jest ktoś w domu. Jeżeli ktoś jest, damy spokój. Jeżeli nie, ty i Milton wróćcie tutaj i staniecie na czatach. Milton, czy to jedyna droga, jaka prowadzi do tego domu?

— Tak.

— Będziemy się porozumiewać przez komórki. Jak zobaczycie, że ktoś nadjeżdża, dajecie nam natychmiast znać, a my podejmujemy odpowiednie kroki.

— Co zrobicie? — spytał Caleb. — Włamiecie się do domu?

— Oliver, pamiętaj, że pewnie ma tam alarm — dodał Reuben.

— Zdziwiłbym się, gdyby nie miał.

— No to jak się dostaniemy do środka? — Reuben się zaszepił.

— Zostaw to mnie.

W domu nie paliło się ani jedno światło. Wyglądało, że w środku nie ma nikogo, bo nigdzie nie dostrzegli samochodu, a dom nie miał garażu. Caleb i Milton zawrócili do szosy i stanęli samochodem tak, by mieć na oku skręt w drogę prowadzącą do budynku. Stone i Reuben pojechali kawałek dalej, ukryli motocykl w zaroślach i wrócili pieszo.

Budynek był stary, piętrowy, licowany deskami pomalowanymi obłazącą białą farbą. Stone poprowadził Reubena od tyłu, gdzie drzwi były wprawdzie masywne, ale tuż obok nich znajdowało się okno. Stone zajrzał do środka i gestem przywołał Reubena.

Na ścianie naprzeciwko drzwi znajdowała się błyszcząca nowością kasetka z ekranikiem świecącym zielonkawym blaskiem.

— Rzeczywiście ma alarm — mruknął Reuben. — I co teraz?

Stone przytknął twarz do szyby i przyjrzał się ekranikowi.

— Musimy też założyć, że ma czujniki ruchu. To trochę sprawę komplikuje — rzekł.

Nagle dostrzegli dwa szmaragdowe błyski i coś śmignęło w ich stronę z głębi domu, walnęło z hukiem w szybę i odbiło się. Obaj odskoczyli do tyłu i Reuben już miał rzucić się do ucieczki, gdy usłyszał uspokajający głos Stone'a.

— Reuben, spokojnie. To tylko kot pana Reinkego.

Reuben, dysząc ciężko, zawrócił, podszedł do okna i zajrzał do środka. Na podłodze tuż pod oknem siedział pręgowany na czarno kot z białym futerkiem na piersiach i wlepionymi w nich, jarzącymi się zielono ślepiami. Pomieszczenie, do którego zagłądali, było kuchnią. Kot musiał pewnie siedzieć na kuchennym blacie i stamtąd dojrzał intruzów.

— Cholerny kocur — warknął Reuben. — A właściwie załóżę się, że to kotka.

— Dlaczego tak myślisz?

— Bo tylko cholerne baby próbują mnie zawsze przyprawić o atak serca, dlatego!

— Tylko że obecność tego zwierzaka bardzo nam wszystko upraszcza — stwierdził Stone.

— A to dlaczego?

— Bo systemy alarmowe z czujnikami ruchu niezbyt tolerują obecność kotów.

Reuben pstryknął palcami.

— Czyli że muszą być wydzielone korytarze dla zwierząt — sapnął radośnie.

— Właśnie.

Stone wyciągnął z kieszeni czarną saszetkę zabraną ze schowka w księgarni. W środku znajdował się profesjonalny przyborek włamywacza.

Reuben przez chwilę wpatrywał się w zestaw narzędzi, potem spojrzął na przyjaciela.

— Ja nic nie chcę o tym wiedzieć — burknął.

Otwarcie okna kuchennego trwało nie więcej niż dziesięć sekund.

— Skąd wiedziałeś, że w oknie nie ma czujnika alarmowego? — spytał Reuben.

— Bo instalowanie czujników w oknach i czujników ruchu to przesada — odparł Stone. — Poza tym w takich starych

domach są gipsowe ściany, a w nich bardzo trudno poprowadzić instalację. Wątpię, by naszego pana Reinkego stać było na coś takiego. A przed otwarciem okna sprawdziłem, czy nie ma czujnika bezprzewodowego.

— Słuchaj — powiedział Reuben twardo. — Ja naprawdę chciałem się kiedyś dowiedzieć, skąd ty się, do cholery, znasz na takich rzeczach jak bezprzewodowe czujniki okienne.

Stone obrzucił go niewinnym spojrzeniem.

— Do biblioteki wszystkich wpuszczają.

Weszli do środka i kot natychmiast się wyprężył i otarł im o nogi, domagając się pogłaskania.

— Zanim się stąd ruszymy, musimy najpierw zlokalizować czujnik ruchu. Potem puścimy kota przodem i pójdziemy za nim — powiedział Stone. — Przygotuj się, że trzeba będzie się czołgać.

— Pięknie! Od razu przypomni mi się Wietnam. — Reuben się skrzywił.

Pół godziny wcześniej Warren Peters i Tyler Reinke wyważyli tylne drzwi domu Milтона, wśliznęli się do środka i zamknęli je za sobą. Sprawa nie była prosta, bo Milton miał po sześć zamków w każdych drzwiach, a wszystkie okna były zabite gwoździami na stałe, co zapewne nie wywołałoby zachwyty strażaków. Szukając śladów systemu alarmowego, sprawdzili wcześniej główną skrzynkę zasilającą przy wejściu do domu, jednak niczego nie znaleźli.

Reinke lekko utykał na kolano stłuczone przez Forda, a w rękawie kurtki Petersa widniała dziura od kuli, która — wystrzelona przez tegoż Forda — o mało nie dosięgła celu. Natknęli się na Forda i Adams w Georgetown, gdzie pojechali, by raz jeszcze przyjrzeć się łodzi, i stwierdzili, że tamci ich w tym wyprzedzili.

Byli wściekli, że nie udało im się załatwić żadnego z tych dwojga, i Milton Farb mógł się uważać za szczęściarza, że nie zastali go w domu.

Wyciągnęli latarki i zaczęli przeszukiwać dom. Dom Farba nie był zbyt przestronny, ale po brzegi wypełniony książkami i kosztownym sprzętem komputerowym i wideo, z którego Milton korzystał przy projektowaniu witryn internetowych.

Było tu też coś, czego żaden z nich się nie spodziewał: system bezpieczeństwa z czujnikami na podczerwień zakamuflowanymi pod postacią zwykłych listew oświetleniowych pod sufitem. Listwy takie znajdowały się we wszystkich pomieszczeniach, dzięki czemu ich poczynania były cały czas rejestrowane. Wysłany też został bezgłośny sygnał alarmowy do firmy ochroniarskiej, z którą ze względu na kilka wcześniejszych włamań Milton miał stałą umowę na monitorowanie. System zasilany był z sieci, ale miał dodatkowy akumulator na wypadek awarii zasilania. Milton dawno już zrezygnował z syren alarmowych, bo w tych stronach policja reagowała dość ospale i włamywacze zawsze zdążyli uciec przed jej przyjazdem.

W miarę przeszukiwania domu rosło zdumienie obu agentów NCW.

— Ten facet to jakiś pieprzony świr — powiedział Peters, rozglądając się po kuchni. Puszki z konserwami w spiżarni stały w równym szeregu i wszystkie były opisane ręcznie wykonanymi etykietami. Sprzęty kuchenne rozmieszczono na ścianie w idealnym porządku, od najmniejszego do największego. To samo dotyczyło rondli i patelni, które rozwieszono na wielkiej listwie nad kuchenką. Nawet rękawice kuchenne były idealnie wyrównane, podobnie jak talerze w szafkach. Całość była jednym wielkim hołdem dla nieposkromionej pedanterii.

To samo powtórzyło się w szafach i szufladach w sypialni Milтона na górze.

Reinke wyszedł z łazienki, kręcąc z niedowierzaniem głową.

— Nie uwierzysz — parsknął. — Ten palant poodrywał z rolki pojedyncze listki i ułożył je w wiklinowym koszyku obok kibla z pisemną instrukcją, jak należy z nimi postępować. Co innego można zrobić z papierem toaletowym, jak nie wrzucić go do sra i spuścić wodę?

— To teraz chodź tu i powiedz mi, czy widziałeś, żeby ktoś rozwieszał skarpetki na wieszakach — odkrzyknął Peters, zaglądając do szafy w sypialni.

Chwilę później obaj przyglądali się ze zdumieniem rzędowi skarpetek i złożonych na trzy majtek rozwieszonych w idealnym porządku na drewnianych wieszakach. Obok wisiały koszule zapięte na wszystkie guziki łącznie z mankietami, które pogrupowano według pór roku. Reinke i Peters nie musieli się

nawet tego domyślać, bo Milton podzielił szafę na cztery sektory, które oznaczył obrazkami zimy, lata, wiosny i jesieni.

Nie znalazłszy nic ciekawego w sypialni, obaj agenci NCW przenieśli się do drugiej sypialni na górze, która służyła właścicielowi za gabinet do pracy. Ich uwagę natychmiast przyciągnęło biurko, na którym każdy przedmiot ułożony był dokładnie pod kątem prostym do swego sąsiada.

I dopiero tu, w tym istnym muzeum porządku, jakim był cały dom, znaleźli coś, co mogło im się przydać — stojące na półce za biurkiem pudełko z napisem „Kwity”. Również w nim panował idealny ład i wszystkie rachunki i paragony ułożone były kolejno datami i podzielone według typów zakupów. Reinke wyłowił z pudełka pokwitowanie zapłaty kartą kredytową z dopisanym na nim nazwiskiem.

— Chastity Hayes — przeczytał. — Założę się, że to jego dziewczyna.

— Jeżeli ktoś taki jak on w ogóle może mieć dziewczynę.

Kierowani wspólną myślą poświecili latarkami na ścianę. Fotografie były na niej rozmieszczone w niezwykle przemyślny sposób. Peters rozpoznał go pierwszy.

— Słuchaj, to jest podwójna helisa. Łańcuch DNA. Ten facet jest kompletnie walnięty.

Światło latarki Reinkego przesunęło się po jednym ze zdjęć i wróciło.

— „W dowód miłości, Chastity” — przeczytał dedykację na fotografii atrakcyjnej młodej kobiety w skąnym kostiumie kąpielowym, która przesyłała całusa fotografowi, zapewne Miltonowi. — To jest jego dziewczyna? Jakim cudem taki pieprzony frajer znajduje sobie, taką łaskę? — dodał ze zdumieniem.

— Pewno ma silnie rozwinięty instynkt macierzyński — mruknął Peters. — Niektóre baby lubią się bawić w mamusie.

Wyciągnął z kieszeni urządzenie elektroniczne o wyglądzie nieco większego BlackBerry* i wpisał na klawiaturze „Chastity Hayes”. Po minucie na wyświetlaczu pojawiły się trzy znale-

* BlackBerry — podręczne urządzenie elektroniczne, łączące w sobie funkcje telefonu komórkowego, poczty elektronicznej, przeglądarki internetowej i elektronicznego notatnika.

ziona odpowiedzi. Zawężił pole wyszukiwania do rejonu Waszyngtonu i została już tylko jedna Chastity Hayes, księgowa i właścicielka domu w Chevy Chase, w Marylandzie. Informacja zawierała również dane na temat jej wykształcenia, przebytych chorób, historii zatrudnienia i stanu majątkowego. Czytając przesuwające się w małym okienku dane, Reinke zwrócił Petersowi uwagę na jedną z linijek.

— Była przez jakiś czas w wariatkowie. Założę się, że tak jak Farb ma OCD.

— Przynajmniej już wiemy, gdzie mieszka. A jeśli Farba nie ma tutaj... — raz jeszcze spojrzął na fotografię ślicznej Chastity — to przypuszczalnie jest teraz u niej. Bo na jego miejscu ja bym się od niej w ogóle nie ruszał.

Nagły hałas, jaki dobiegł z dołu, spowodował, że obaj zamarli w bezruchu. Potem usłyszeli czyjeś kroki, głośny jęk i głuchy łomot.

Wyszarpnęli pistolety i ostrożnie ruszyli schodami w dół.

Po dotarciu do kuchni zobaczyli, co spowodowało hałasy. Na podłodze leżał rozciągnięty jakiś mężczyzna, nie dając oznak życia. Ruszyli ku niemu, ale powstrzymał ich widok jego uniformu.

— To ochroniarz — szepnął Reinke. — Musieliśmy uruchomić jakiś alarm.

— Dobrze, ale kto go tak, cholera, załatwił?

Rozejrzeli się nerwowo po kuchni.

— Spieprzajmy stąd — bąknął Reinke.

Wymknęli się przez tylne drzwi i po chwili dotarli do samochodu zaparkowanego przecznicę dalej.

— To jak, wybieramy się do niej dziś wieczorem? — odezwał się Peters.

— Nigdzie się nie wybieracie — usłyszeli za plecami głos, na którego dźwięk aż podskoczyli.

Obrócili głowy i zobaczyli Toma Hemingwaya, który wysunął się zza oparcie foteli. Jego ponura mina nie wróżyła nic dobrego.

— Już i tak macie na koncie wyjątkowo nieudaną noc.

— Śledziłeś nas? — spytał Peters cicho, nieco łamiącym się głosem.

— A jak ci się zdaje? Co miałem zrobić po tych waszych ostatnich wpadkach?

— To ty załatwiłeś tego ochroniarza. Nie żyje? — zapytał Reinke.

Hemingway pominął pytanie milczeniem.

— Pozwólcie, że raz jeszcze podkreślę wagę zadania, jakie przed nami stoi. Kawałek dalej na północ cała armia ludzi wypruwa sobie flaki, pracując dla mnie. A mają do zrobienia dużo więcej niż wy. I w odróżnieniu od nich wy za swoją pracę dostajecie wysokie pensje. A jak dotąd, żaden z nich nie popełnił najmniejszego błędu. — Popatrzył na Petersa i Reinkego w taki sposób, że obaj wstrzymali oddech. — Może dzisiejsze wydarzenia były tylko ciągiem nieszczęśliwych zbiegów okoliczności, ale jeśli tak, to wyczerпалиście swój limit i więcej nie będę tego tolerować.

— To co mamy teraz zrobić? — spytał Reinke nerwowo.

— Wracajcie do domu i odpocznijcie. Przyda się wam to. — Wyciągnął ku nim rękę. — Dajcie mi to pokwitowanie z jej nazwiskiem.

— A skąd ty... — zaczął Reinke, jednak Hemingway zmroził go spojrzeniem, więc bez słowa wyciągnął kwitek. Parę sekund później Hemingwaya już nie było.

Dwaj mężczyźni na przednich siedzeniach odetchnęli z ulgą.

— Ten facet na maksa mnie przeraża — jęknął Peters.

— W czasach pracy w CIA był prawdziwą legendą — rzekł Reinke. — Nawet gangi narkotykowe w Kolumbii bały się go jak ognia. Nigdy nikt nie wiedział, skąd się zjawi i gdzie zniknie. Widziałem kiedyś, jak ćwiczył w naszej sali gimnastycznej — dodał po chwili. — Ciało ma jak wyrzeźbione z granitu i jest szybki jak kot. Na moich oczach gołymi rękami rozwałił dwa trzydziestokilogramowe worki treningowe. Zabrani mu nawet używania nóg w ćwiczeniach z workami, bo rozwałił je jednym kopnięciem.

— To co teraz robimy? — zapytał Peters.

— Słyszałeś, co powiedział. Trzeba odpocząć. Dziś już trzy razy się nam nie powiodło, nie będziemy próbować po raz czwarty. Możesz przespać się u mnie.

ROZDZIAŁ 44

Po tym, co się wydarzyło na cmentarzu Arlington, Gray udał się prosto do siedziby CIA w Langley. W budynku znajdowały się specjalne pomieszczenia, do których dostęp mieli tylko dawni i aktualny dyrektor agencji, przy czym każdy mógł zajrzeć tylko do dokumentacji dotyczącej operacji podjętych za jego kadencji. Dokumenty przechowywano w skarbcach obudowanych pancernymi skrytkami. Z uwagi na ściśle tajny charakter trzymanej tu dokumentacji były to najlepiej strzeżone pomieszczenia w całym kompleksie w Langley.

Gray przyłożył dłoń do czytnika biometrycznego przy drzwiach skarbcza noszącego jego nazwisko. Drzwi się odsunęły, Gray wszedł do środka i wyjął pęk kluczy. Interesowała go zawartość skrytki numer 10.

Otworzył skrytkę, wyciągnął kasetkę i usiadł przy biurku, w jakie wyposażony był każdy skarbiec.

Dokumentacja oznaczona była kryptonimem „J.C.” — inicjałami mogącymi dotyczyć wielu różnych osób, z Jezusem Chrystusem włącznie. Nie chodziło jednak o Syna Bożego, a o bardzo twardo stąpającego po ziemi agenta Johna Carra.

Czytając o wyczynach Carra w służbie CIA, Gray nie mógł się powstrzymać, by od czasu do czasu nie pokręcić z niedowierzaniem głową. Ten człowiek dokonywał rzeczy niemożliwych i mimo to uchodził z życiem. Wprawdzie można było twierdzić, że od tamtych czasów świat stał się bardziej niebez-

pieczny, jednak zadania zlecane agentom CIA w zasadzie wciąż były podobne.

Gray dotarł do końca dokumentacji zawierającej opis kariery Johna Carra w CIA, która zakończyła się pogrzebem na cmentarzu Arlington z pełnymi honorami wojskowymi, mimo iż ściśle rzecz biorąc, Carr od lat nie miał z wojskiem nic wspólnego i nie zginął w mundurze wojskowym. Po pogrzebie wszystkie dane na temat jego przeszłości uległy zatarciu we wszelkich kartotekach w całych Stanach Zjednoczonych. Na polecenie najwyższych władz CIA Gray dopilnował tego osobiście.

I choć John Carr nie spoczywał w tym grobie, oficjalnie został uznany za zmarłego. Wprawdzie pierwszy zamach pozbawił życia tylko jego żonę, ale drugi rzekomo zakończył się sukcesem. Nie udało się tylko odnaleźć ciała, zakładano więc, iż trafiło do żołądków ryb w głębinach oceanu. Więc może teraz wyciągam zbyt pochopne wnioski? — pomyślał Gray. Człowiek, którego widział na cmentarzu, był szczupły i dość wąty, więc czy mógłby to być budzący grozę John Carr? Wprawdzie lata robią swoje, ale Gray zakładał, że kogoś takiego starość po prostu się nie ima. Facet stał tuż obok grobu Carra, a potem po prostu się rozplynał.

Gray poczuł, jak przyspiesza mu tętno na myśl, że mógł stać tak blisko człowieka, którego zdradziła ojczyzna. I niejednego z wielu, ale kogoś uznawanego w tamtych latach za perfekcyjną maszynę do zabijania w służbie Stanów Zjednoczonych. To znaczy był nią do chwili, póki — jak to zwykle z takimi bywa — nie stał się zagrożeniem dla rządu.

Gray schował kasetkę do skrytki i z ciężkim sercem wyszedł z przechowalni tajemnic. Wyglądało to na strach przed trupem, który w jakiś niepojęty sposób mógł się znów pojawić wśród żywych.

Wróciwszy do domu, udał się do sypialni, jak zwykle zapalił świece i zapatrzył się w fotografie stojące na kominku. Wiedział, że za parę minut wybijie dwunasta i znów nastanie 11 września. Usiadł w fotelu przy łóżku i wziął do ręki Biblię. Został po katolicku ochrzczony, mając siedem lat przystąpił do pierwszej komunii, w wieku trzynastu przyjął bierzmowanie i nawet służył do mszy jako ministrant. Jednak od czasu wejścia

w dorosłość jego stopa ani razu nie powstała w kościele, chyba że wiązało się to z jakimiś oficjalnymi obowiązkami. W swoim zawodzie nie widział miejsca dla religii. Jego żona była natomiast gorliwą katoliczką i ich córka Maggie została przez nią wychowana w głębokiej wierze.

Teraz, gdy ich nie było wśród żywych, Gray często brał do ręki Biblię. Nie chodziło mu przy tym o własne zbawienie. Traktował Biblię jak sztandar, którym mógł powiewać nad swą poległą rodziną, choć musiał też przyznać, że czytane słowa dawały mu pewną pociechę. Przeczytał na głos fragmenty Listu Świętego Pawła do Koryntian i Leviticus, po czym przeszedł do psalmów. Było już dobrze po północy, ukląkł więc przed fotografiami i odprawił ciche modły, bardziej przypominające rozmowę z poległą rodziną. Niemal zawsze podczas tego rytuału przychodził moment załamania i wtedy zaczynał płakać. Uważał, że płynące mu po twarzy łzy są w pełni uzasadnione i że na swój sposób koją jego ból. Jednak tym razem usiadł ponownie w fotelu i z Biblią w dłoniach wrócił myślami do grobu z pustą trumną. To w końcu John Carr żyje czy nie?

Tom Hemingway przyszedł do domu, z kwitkiem z nazwiskiem Hayes ukrytym głęboko w kieszeni. Jak zwykle przyrządził sobie filiżankę herbaty i sącząc ją, stał boso przy oknie i patrzył w zadumie na otoczenie Kapitolu. Wprawdzie w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin dużo się wydarzyło, jednak z jego punktu widzenia nie było się z czego cieszyć.

Ta żałosna para nieudaczników zaważyła sprawę aż dwukrotnie i teraz pewnie zarówno Alex Ford, jak i Kate Adams udadzą się do swoich szefów i zażądadzą dochodzenia w sprawie zamachów na ich życie. Do tego jeszcze Gray zaczął nagle robić aluzje do przywracania do życia martwych, co zdaniem Hemingwaya stanowiło wyraźny sygnał, że zastanawia się nad terrorystami rzekomo zabitymi przez swych towarzyszy. Spowodowało to, że w popłochu wysłał notatkę do kapitana Jacka.

Odwrócił się od okna i spojrzał na portret wiszący na ścianie. Rzucało się w oczy doskonale uchwycone podobieństwo do jego ojca, szacownego Franklina T. Hemingwaya, ambasadora

w kilku najtrudniejszych dyplomatycznie regionach świata. Ale nawet dla niego ostatnia placówka w Chinach okazała się zbyt trudna i kula zamachowca zakończyła karierę człowieka, który całe swe życie poświęcił zabieganiu o pokój.

Syn nie podążył śladami ojca głównie dlatego, iż uważał, że brakuje mu cech i zdolności potrzebnych prawdziwemu mężowi stanu. A w tamtych czasach był po prostu zbuntowanym młodzieńcem i wprawdzie ów buntowniczy nastrój z biegiem lat uległ znacznemu stonowaniu, to tak naprawdę nigdy go całkowicie nie opuścił. I nie widział ku temu potrzeby. Na pogrzebie ojca wielu sławnych ludzi z całego świata wielokrotnie powtarzało, że wszystkim będzie brakowało Franklina Hemingwaya, wybitnego bojownika o światowy pokój. Tom odczuwał brak swego przewodnika równie silnie dzisiaj jak wówczas, gdy kula zamachowca odebrała mu życie. W jego odczuciu czas niczego nie leczył. Odwrotnie, wzmagał tylko ból, który nosił w sobie od chwili, gdy usłyszał, że serce tego dzielnego i tak drogiego mu człowieka przestało bić.

ROZDZIAŁ. 45

Wnętrze domu Reinkego było nader skromne. Czołgając się na brzuchu, Reuben i Stone odwiedzili kolejno wszystkie pomieszczenia, szukając czegoś ciekawego, i w każdym spotykali ich zawód. Przeczolągali się obok drzwi wejściowych, gdzie mieściła się druga stacyjka alarmu, i podążyli za spasionym kocurem na górę.

Dopiero w sypialni natknęli się na coś, co zwróciło uwagę Reubena.

— Nasz pan Reinke pilotuje śmigłowce — powiedział, biorąc do ręki fotografię stojącą na stoliku przy łóżku. Był na niej Reinke za sterami smukłego, czarnego helikoptera.

— Ma jakieś dystynkcje? — zapytał Stone, zajęty poszukiwaniami w innym miejscu sypialni.

— Żadnych — odrzekł Reuben i odstawił fotografię na miejsce. Pamiętał, by wcześniej rogiem kapy z łóżka zetrzeć z niej swoje odciski palców.

Stone myszkował we wnętrzu szafy i po chwili wyciągnął z niej niewielką kasetkę.

— Jego finanse — oznajmił, widząc pytające spojrzenie Reubena.

Wyciągnął plik papierów i zaczął je kolejno przeglądać.

— Jest coś ciekawego?

Stone uniósł jedną z kartek.

— Wyciąg z banku na jakieś inne, czyli pewnie fałszywe

nazwiisko, bo adres jest ten sam. Niestety obawiam się, że w sprawach finansowych mam mizerną wiedzę.

— Daj, niech się temu przyjrzę. — Reuben przez dłuższą chwilę wczytywał się w wyciągi bankowe i odręczne notatki tkwiące w kasetce. — Wygląda na to, że Reinke, jeśli to rzeczywiście są jego wyciągi, niedawno zakupił długoterminową opcję na margin.

— Długoterminowa opcja na margin? Co to takiego?

— Margin oznacza, że zaciągnął kredyt na kupno opcji, którą ma prawo sprzedać przy pewnym określonym poziomie ceny. Z tych papierów wynika, że praktycznie zastawił dom w nadziei, że indeks S&P* poleci w dół. Więc to trochę tak, jakbyś sprzedawał przy spadku i odkupywał przy wzroście, czyli odwrotnie niż zwykle. Ale w tym wypadku na takiej transakcji można zarobić duże pieniądze. Natomiast wielkość inwestycji znacznie przewyższa możliwości finansowe kogoś żyjącego z państwowej pensji i dlatego stosuje się margin.

— Nie miałem pojęcia, że się tak znasz na finansach.

— Człowiek musi sobie od czasu do czasu poszaleć. A poza tym możesz mi wierzyć, że nie mam zamiaru do końca życia tyrać w dokach i czekać, aż mi kręgosłup wysiadzie.

— Ale skąd on może wiedzieć, że ten indeks poleci w dół? Bo co innego mieć poufne wiadomości o jednej firmie, a co innego o całym rynku finansowym. — Stone przez chwilę milczał. — Ale wiadomo też, że rynki finansowe niemal zawsze lecą w dół po jakiejś katastrofie.

— Masz na myśli coś takiego jak trzęsienie ziemi?

— Ale również katastrofy wywoływane przez człowieka. Pamiętam, że po jedenastym września musieli zamknąć giełdę i odczekać, aż ludzie trochę się uspokoją. Jakby tego nie zrobili, rynek pewnie by się załamał. A kiedy ją po paru dniach otworzyli, akcje i tak spadały. Bezduszni spekulanci, którzy wiedzieliby o tym wcześniej, mogliby zbić majątek.

* S&P (Standard & Poor) — instytucja o globalnym zasięgu, która specjalizuje się w ocenie rynków finansowych.

— No to może Reinke wie o jakiejś nadciągającej katastrofie? — zastanowił się Reuben z troską w głosie.
— Albo sam ją pomaga wywołać.

Gdy w swej kryjówce w krzakach zauważyli zbliżający się samochód, Milton od razu zadzwonił do Reubena. Ściśle mówiąc, spróbował zadzwonić, bo nie uzyskał połączenia. Spojrzał na wyświetlacz i serce mu zamarło.

Wpatrując się w zbliżające się światła, Caleb ponaglił go niecierpliwie:

— No, dzwoń!

— Nie mam zasięgu.

— Co?

— Brak sygnału. Widocznie jesteśmy w martwym polu. Nie mam połączenia.

Caleb dramatycznym gestem pokazał nadjeżdżający samochód.

— Ale tam może jechać morderca! — wykrzyknął.

— Caleb, nic nie mogę zrobić.

— Niech szlag trafi tę całą nowoczesną zarazę — prychnął Caleb ze złością. — Zawsze zawodzi, kiedy jej najbardziej potrzeba. — Samochód skręcił z szosy i wjechał w drogę prowadzącą do domu Reinkego. — To samochód Reinkego. Poznaję go.

— Wiem. Też go poznałem. To co teraz zrobimy?

— Na pewno nie będziemy się użerać z durną techniką, żeby on w tym czasie zabił Olivera i Reubena. Trzymaj się!

Milton zaparł się o deskę rozdzielczą, Caleb dodał gwałtownie gazu i samochód z impetem wyskoczył z kryjówki. Z piskiem opon wjechali na szosę, Caleb wcisnął gaz do dechy i niemal na dwóch kołach skręcił w drogę prowadzącą do domu Reinkego.

Wjechawszy na drogę, Caleb nacisnął klakson. Okazało się, że to, co wcześniej mówił Oliverowi, wcale nie było przesadą, bo rzeczywiście dźwięk klaksonu był przeraźliwie głośny, przypominał ludzkie zawodzenie i zarazem gwizd parowozu.

Reinke rzucił okiem przez ramię na wyprzedzający go z wyciem samochód i wzruszył ramionami.

— Jakieś małaolaty urządzają sobie wyścigi — powiedział do Petersa. — Bez przerwy się tak zabawiają.

Na dźwięk klaksonu Stone i Reuben skoczyli do okna sypialni, wyrzeli na zewnątrz i zobaczyli zajeżdżający pod dom samochód.

— Cholera, to Reinke — syknął Reuben.

— I to z kolegą — dodał Stone, patrząc na wysiadających. Chwilę wcześniej mignęło mu też malibu Caleba, które przemknęło drogą i zniknęło za domem. — Mieli zadzwonić, a nie ścigać się z nimi i wyć jak potępieńcy — dodał ze złością.

Zbiegli po schodach i dosłownie w ostatniej sekundzie Stone przypomniał sobie o alarmie, przytrzymał Reubena za koszulę, zanim ten zdążył wleźć w pole zamontowanego przy drzwiach czujnika ruchu. Czołgając się do kuchni, usłyszeli szcęk zamka w drzwiach frontowych. Dotarli do niej w chwili, gdy drzwi się otworzyły i rozległo się ostrzegawcze pikanie systemu alarmowego. Podnieśli się z podłogi, nasłuchując, jak ktoś wprowadza na klawiaturze numer kodu i pikanie ustaje.

— Okej — szepnął Stone. — Alarm wyłączony, można otworzyć drzwi.

Reuben zrobił to jak najciszej, choć słyhać już było kroki zmierzające w ich kierunku. Wypadli na zewnątrz, zamknęli za sobą drzwi i pędem okrążyli róg domu.

I w tym momencie z impetem wpadli na Warrena Petersa, który akurat postanowił przeciągnąć za dom opróżniony pojemnik na śmieci.

— Co, do kurwy... — zdążył jeszcze wykrzyknąć, ale w tym momencie potężna pięść Reubena wylądowała na jego szczęce i zwała go z nóg. Obaj ruszyli pędem w stronę motocykla i zdążyli już wsiąść i uruchomić silnik, gdy hałasy wywabiły z domu Reinkego.

Dojrawszy Stone'a i Reubena, puścił się biegiem w ich kierunku, jednocześnie sięgając ręką pod marynarkę. Stanowili łatwy cel i nie mógł chybić. Nie wziął jednak pod uwagę starego, zdezelowanego malibu z oszalałym ze strachu specjalistą od rzadkich ksiąg za kierownicą i zapamiętane liczącym geniuszem komputerowym z OCD w roli pasażera. Samochód, niemal frunąc w powietrzu, wypadł z zakrętu i runął wprost na niego.

— Jezus, Maria! — wykrzyknął Milton na widok Reinkego, który rozpląszczył się na przedniej szybie, stoczył po masce i padł jak wór na trawnik. Po tym okrzyku Milton od nowa podjął rytuał liczenia.

W międzyczasie Peters zdążył się już pozbierać, jednak Caleb, w którego wstąpił duch bojowy, bez namysłu wrzucił wsteczny bieg, wcisnął do końca pedał gazu i ruszył do tyłu z takim impetem, że fontanna żwiru spod kół była niczym seria wystrzelona z karabinu maszynowego.

Widząc szarżujący na niego samochód, Peters wrzasnął, zdążył raz wystrzelić i rzucił się w bok. Unosił właśnie ponownie pistolet, gdy zobaczył pędzący na niego motocykl. Reuben prowadził, Stone siedział wychylony z kaskiem ochronnym w garści. Zamachnął się i wyrznął nim w głowę Petersa, który padł na ziemię jak ścięty.

Minęło dobre dziesięć minut, zanim Reinke i Peters zaczęli dawać pierwsze oznaki życia, jednak po członkach Klubu Wielbłądów zniknął już wszelki ślad.

ROZDZIAŁ. 46

Reakcja władz na to, co się przydarzyło Aleksowi Fordowi i Kate Adams, nie napawała zbytnim optymizmem. Zdaniem policji przewód hamulcowy sam się obłuzował, co w tak wiekowym samochodzie nie było niczym niezwykłym. Poza relacją Forda nie było też żadnych innych dowodów na to, że ktoś chciał strzelać do Kate Adams. W płocie znaleziono tylko dwa wystrzelone pociski i oba pochodziły z broni Aleksa. Żadnych innych śladów nie odkryto.

Następnego dnia rano Alex zjawił się w gabinecie Jerry'ego Sykesa, by wysłuchać oficjalnej wersji wydarzeń ostatniej nocy.

Sykes przestał krążyć po gabinecie i wlepił w niego wzrok.

— Ludzie, którzy chcieli ci pomóc po twoim „wypadku”, zeznali, że zachowywałeś się bardzo dziwnie i po chwili zacząłeś uciekać. Alex, ta cała historia nie bardzo mi do Ciebie pasuje. Czy w Twoim życiu dzieje się coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć?

— Jeśli nie liczyć tego, że ktoś chce mnie ukatrupić, to absolutnie nic — odparł Alex ponuro.

Sykes opadł na fotel i podniósł do ust kubek z kawą.

— Ale dlaczego, na miłość boską, miałby Cię ktoś zabijać?

— Jakiś oprych przystawił mi spluwę do głowy, ale nie zdążyłem go o to zapytać.

— Tylko jakoś nikt poza Tobą nie widział tego oprycha. I dlatego powtórzę pytanie: co się takiego stało między wczoraj a dzisiaj, że ktoś chciałby Cię wysłać na tamten świat?

Alex się zawahał. Chętnie powiedziałby Sykesowi o znalezieniu łodzi, ale bał się, że przyznanie się do niewykonania polecenia dyrektora na dobre zakończy jego karierę.

— Mam za sobą kupę lat uczciwej służby. Dlaczego miałbym nagle zmyślać takie bzdury?

— I o to właśnie chodzi. Masz na swoim koncie wiele lat pracy. Wczoraj dyrektor był wobec ciebie naprawdę wielkoduszny, bo przecież mógł cię z miejsca wylać. Cholera, powiem ci szczerze, że ja na jego miejscu pewnie bym tak zrobił. Więc nie marnuj takiej szansy, bo na drugą nie masz już co liczyć.

— Okej, ale czy możesz dać chociaż kogoś do pilnowania domu Kate Adams? Tego lśnienia celownika nie wymyśliłem.

Sykes rozparł się w fotelu.

— Zadzwoń na policję i poproszę, żeby ich radiowóz częściej tam zaglądał. Ale nic więcej. I uznaj to za gest dobrej woli. — Rzucił okiem na zegarek. — Zaraz mam spotkanie. O ile wiem, ty też masz służbę.

— Owszem. W Białym Domu — powiedział Alex ponuro.

— Nie w Białym Domu, ale przed Białym Domem. Żeby wrócić do środka, będziesz się musiał jeszcze napocić.

O świcie Klub Wielbłądów odbył nadzwyczajne zebranie w mieszkaniu Caleba. Pierwszym punktem porządku było przekazanie wyrazów uznania szanownemu koledze bibliotekarzowi i dzielnemu kierowcy za okazaną odwagę. Z ich przekazaniem musieli się jednak wstrzymać, bo Caleb wciąż jeszcze siedział w łazience, gdyż na myśl o tym, że otarł się dzisiaj o śmierć, dostawał kolejnych ataków mdłości.

Gdy dołączył wreszcie do reszty, Stone wygłosił krótkie oświadczenie.

— Chciałbym oficjalnie zaprotokołować fakt, iż dzięki swej niezwyklej odwadze i pomysłowości Caleb Shaw zasłużył na wyrazy gorącej wdzięczności ze strony wszystkich członków Klubu Wielbłądów.

Wszyscy po kolei uścisnęli dłoń pobladłego, ale uśmiechniętego Caleba.

— Sam nie bardzo wiem, co mnie naszło — powiedział. — Wiedziałem tylko, że muszę coś zrobić. Takiego przerażenia

nie czułem od dnia, kiedy mi dali potrzymać egzemplarz *De la Democratie en Amerique* Tocqueville'a w oryginalnej papierowej okładce.

Reuben wzdrygnął się ostentacyjnie.

— Na samą myśl o wzięciu Tocqueville'a do ręki dostaje gęziej skórki — mruknął.

— Musimy jednak przyjąć, że od tej chwili Reinke i Peters nas namierzili — powiedział Stone.

— No nie wiem. Jak czekaliśmy na nich przy szosie, to zdjęłem tablice rejestracyjne — powiedział Caleb, zupełnie zaskakując tym kolegów. — Kiedy Milton tak łatwo poradził sobie z ich numerem, zląkłem się, że oni zrobią to samo ze mną — dodał tonem usprawiedliwienia.

W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy Milтона.

— Tak? — odezwał się, chwilę słuchał i rozłączywszy się, spojrzął na pozostałych. — Ktoś włamał się do mnie do domu i napadł na ochroniarza, który się zjawił na miejscu.

— Coś zginęło?

— Wygląda na to, że nie. Ale w całym domu mam rozmieszczone kamery, które udają oprawy oświetleniowe i o których nie wie nawet firma ochroniarska.

— Ciekawe, co się nagrało — zainteresował się Stone.

— Musiałbym pojechać do domu i sprawdzić. Nagrywarka DVD jest schowana za lodówką.

— Warto zaryzykować. Bo jeśli to był Reinke i ten jego koleżka, mielibyśmy w ręku ważny dowód.

Reuben objął Caleba potężnym ramieniem i powiedział z uśmiechem:

— Nie ma sprawy. Jeśli ci dwaj się wychylą, to znów ich załatwimy, prawda kolego killer?

Pierwszy dzień służby w prezydenckiej ochronie był dla Aleksa dość stresujący. Wszyscy wokół zdawali się wiedzieć, że przeniesienie do niej starego, doświadczonego agenta było degradacją. Natomiast służba na zewnątrz Białego Domu miała tę dobrą stronę, że mógł bez przeszkód patrolować park Lafayette.

Stone'a znów nie było, natknął się natomiast na Adelphię.

Kręciła się nerwowo po środkowej części parku i co chwila zerkąła na namiot Stone'a.

— Witaj, Adelphio — powiedział Alex pogodnie. — Właśnie rozglądam się za Oliverem.

Ku jego zaskoczeniu w odpowiedzi Adelpia wybuchła płaczem. Nigdy przedtem nie widział u niej łez.

— Adelphio, co się stało?

Zakryła twarz dłońmi i nie przestawała szlochać.

Alex podszedł bliżej.

— Adelphio, co ci jest? Ktoś ci coś zrobił? Może jesteś chora?

Pokręciła przecząco głową, potem głęboko westchnęła i odjęła dłonie od twarzy.

— Wszystko dobrze — powiedziała. — W porządku jest.

Alex podprowadził ją do ławki i usiadł obok.

— Kiedy właśnie widzę, że wcale nie jest w porządku. Powiedz mi, co się stało. Może będę mógł ci pomóc.

Adelpia kilka razy szybko odetchnęła i znów rzuciła spojrzenie w stronę namiotu Stone'a.

— Ja do pana nie kłamię. U mnie wszystko w porządku, agent Fort.

— Nazywam się Ford. Ale skoro u ciebie wszystko w porządku, to dlaczego... — Podążył za jej wzrokiem ku namiotowi Stone'a. — Chodzi ci o Olwera? Coś się jemu stało?

— Tego to ja nic nie wiem.

— Nic nie rozumiem. To dlaczego płaczesz?

Wbiła w niego tak zboląły wzrok, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widział. Znikło gdzieś jej zwykle zadziorne i pełne nieufności spojrzenie. Teraz w jej oczach dostrzegł przygnębienie.

— On panu ufa. Oliver mi powiedział. On mi mówił: agent Fort to dobry człowiek.

— Ja też go lubię i szanuję. Kiedy go ostatnio widziałem, całą twarz miał poobijaną. Czy ma to może jakiś związek z tobą?

Adelpia kiwnęła głową i opowiedziała o zdarzeniu w parku.

— A potem wyjął ten palec — wyciągnęła w górę środkowy palec — i go wsadził temu drugiemu w bok. A wtedy tamten wielki byk, on upadł jak niemowlę. — Nerwowo wciągnęła powietrze. — I wtedy Oliver, on podniósł nóż i go tak złapał —

wzdrygnęła się — no tak, jakby on dobrze umiał z tym nożem. I wtedy ja myślę, on zaraz utnie tamtemu gardło, o tak. — Machnęła płasko dłonią i obrzuciła Aleksa spojrzeniem pełnym smutku, ale i ulgi. — Ale nie uciął. Poszedł sobie, jak przyszła policja. Oliver, on nie lubi policji.

— I od tamtej pory go nie widziałaś?

Pokręciła przecząco głową.

Alex oparł się plecami o oparcie ławki i zamyśliła

— Hej, Ford! — Alex podniósł głowę i ujrzał po drugiej stronie ulicy kierownika zmiany. — Może raczysz dołączyć do reszty, jeśli oczywiście nie sprawi ci to większego kłopotu — wrzasnął przełożony.

Alex zerwał się na nogi.

— Jak zobaczysz Olivera, powiedz mu, że chcę z nim porozmawiać — rzucił.

Adelphia spojrzała na niego niepewnie.

— Nie powiem mu, że mi coś powiedziałaś, obiecuję. Ale muszę się z nim zobaczyć.

W końcu kiwnęła głową i Alex pospiesznie ruszył na drugą stronę ulicy.

Zbliżał się termin wizyty prezydenta i kapitan Jack miał dużo zajęć. Praca w warsztacie nad przygotowaniem pojazdu przebiegała zgodnie z harmonogramem i jego załoga była już gotowa. Nie odwiedził już więcej stanowiska snajperskiego, nie chcąc ryzykować, że ktoś zauważy jego zbyt częste wizyty w mieszkaniu. Spędził natomiast trochę czasu z Ar-Rimim i jego kolegą ze szpitala, korzystając z ich godzin wolnych od pracy. Nie zasygnalizowali mu żadnych trudności.

Wczoraj w nocy, po cowieczornym objeździe Brennan, ponownie spotkał się z Dżamilą. Wciąż nękały go wątpliwości, czy kobieta zdoła zapanować nad emocjami, ale było już zbyt późno, by szukać kogoś innego. Dlatego też poświęcił trochę czasu, by raz jeszcze uzmysłwić jej, jak bardzo zależy od niej powodzenie całej akcji, jak wielu mężczyzn poświęci podczas niej życie i jak to poświęcenie pójdzie na marne, jeśli ona zawiedzie.

Przed dniem akcji miał umówione jeszcze dwa spotkania. Pierwsze z nich ustalił na dziś wieczór, zanim pojawi się ekipa

przygotowawcza Secret Service, której przyjazd zaplanowano na jutro rano. Potem czekało go jeszcze jedno spotkanie z partnerem z Korei Północnej, z którym — podobnie jak podczas ostatniej odprawy — chciał r;iz jeszcze omówić wszystkie niezbędne szczegóły.

Carter Gray wyraźnie zaczynał coś węszyć. Prawdę mówiąc, kapitan Jack był nawet trochę zdziwiony, że stary lis potrzebował tak dużo czasu, by zacząć coś podejrzewać. Podczas przygotowań do akcji wykorzystali wszelkie dostępne kontakty w świecie islamu, jednak kapitan Jack uważał, że w ostatecznym rozrachunku operacja okaże się niewypałem. Tyle że nie potrafił przekonać o tym Toma Hemingwaya. Wynikało to z głównej słabości Hemingwaya, jaką była jego wiara w dobro tkwiące w ludziach. Uważał to za kardynalny błąd, bo z jego doświadczenia wynikało, iż w ludziach, od których coś zależy, nie ma odrobiny dobra. We wszystkich przeprowadzanych przez siebie misjach zawsze zostawiał margines bezpieczeństwa i w tym wypadku było tak samo. Dzięki swej naczelnej maksymie był znów na właściwej drodze. Bo naprawdę zawsze i wszędzie liczą się tylko pieniądze.

W pomieszczeniu sklepowym wydzierżawionym na peryferiach miasta mechanik i chemik raz jeszcze objaśnili weteranowi Gwardii Narodowej wszystkie szczegóły dotyczące funkcjonowania jego nowej protezy.

Zdążył już biegle opanować posługiwanie się nią i zademonstrował im teraz całą serię chwytów, wygięć i pozostałych ruchów. Potem bezbłędnie wykonał ćwiczenie z poduszczką z wodą. Na koniec podziękował i wyszedł.

Obaj mężczyźni spakowali brezentową torbę i wyruszyli do centrum, gdzie odwiedzili kilka sklepów przy głównej ulicy miasta. W każdym zostawili drobną pamiątkę. Dzięki tym pamiątkom miasto Brennan miało na trwałe przejść do historii, choć w sposób zapewne mocno odbiegający od ambicji jego mieszkańców.

ROZDZIAŁ 47

Po południu Alex dowiedział się, że przydzielono go do ekipy przygotowawczej, która wyjeżdża do Brennan w związku z tamtejszymi uroczystościami. To go szczerze zmartwiło, bo oznaczało, iż na jakiś czas będzie musiał rozstać się z Kate, ale jego sytuacja nie pozwalała mu na żadne fochy. Emerytura i odprawa na koniec służby zawisły na włosku. Prawdę mówiąc, czuł, że przypadną mu teraz w udziale najbardziej wyboiste odcinki drogi wiodącej Brennana ku reelekcji. I nim dotrze do mety, wycisną go jak cytrynę.

Spotkali się z Kate w restauracji przy Dupont Circle. Otrząsnęła się już z przeżyć minionej nocy i teraz chciała tylko dojść prawdy. Wywołało to u Aleksa podziw, ale też go przeraziło.

— Kate, świetnie rozumiem, co czujesz, ale nie daj się ponieść uczuciom. Ci ludzie mają broń i najwyraźniej nie wahają się jej użyć.

— Tym bardziej należy ich wykurzyć z naszych ulic — powiedziała z zawziętością w głosie. — To kiedy wyjeżdżasz do Brennan?

— Jutro o świcie. Lot będzie krótki, ale pracy mnóstwo. Ekipy przygotowawcze wykonują najcięższą pracę, która ma zapewnić prezydentowi bezpieczeństwo. Ale martwię się, że nie będzie mnie przy tobie.

Położyła dłoń na jego rękę.

— Myślę, że wczoraj w nocy dałeś z siebie wszystko.

Młody kelner akurat w tym momencie pochylił się nad stołem, by postawić talerze zjedzeniem. Widać mylnie zainteresował słowa Kate, bo uśmiechnął się i porozumiewawczo mrugnął do Aleksa.

— Wydarzyło się coś nowego? — spytała Kate, zabierając się do jedzenia.

— Tylko jedno — odparł i opowiedział o spotkaniu z Adelphią.

— Mówiłeś, że nie udało ci się dowiedzieć niczego o przeszłości tego Oliyera. Ale z tego, co opowiada Adelpia, wynika, że ma jakąś przeszłość, i to dość ciekawą.

Alex pokiwał głową i zamyślił się.

— Co byś powiedziała, gdybyśmy po kolacji przeszli się na Pennsylvania Avenue?

— Słyszałam, że to bardzo ciekawe miejsce. Myślisz, że uda ci się załatwić, żeby mnie wpuścili?

— W obecnym stanie rzeczy wątpię, żeby nawet mnie chcieli wpuścić do środka. Miałem na myśli park po drugiej stronie ulicy.

Trzy kwadranse później dotarli do parku Lafayette.

— Wygląda na to, że go nie ma — zauważył Alex, spoglądając na ciemny namiot Stone'a. Jego podejrzenia potwierdziły się, gdy odchylił połę namiotu.

— Ale mówiłeś, że znasz też jego drugi adres.

— To prawda.

Dwadzieścia minut później Alex zaparkował pod bramą cmentarza góry Syjon.

W stróżówce paliło się światło.

— On tu mieszka? — zdziwiła się Kate. — Na cmentarzu?

— A czego się spodziewałaś? Apartamentu przy Galerii MCI?

Brama była zamknięta, ale Alex podsadził Kate, a potem sam przelaźł przez ogrodzenie.

Gdy zapukali, Stone otworzył drzwi i spojrzał na nich ze zdumieniem.

— Alex? — powiedział i przyjrzał się jego towarzyszcze.

— Cześć, Oliver. To moja przyjaciółka, Kate Adams. Jest

prawniczką w Departamencie Sprawiedliwości i jednocześnie najlepszą barmanką, jaką można sobie wymarzyć.

— Bardzo miło panią poznać — bąknął Stone i podał jej rękę. Potem odwrócił głowę i obrzucił Aleksa pytającym spojrzeniem.

— Postanowiliśmy wpaść z wizytą.

— Rozumiem. To zapraszam. — Nie spytał, skąd Alex zna jego adres.

Wprowadził ich do środka i zajął się przyrządzeniem kawy, oni zaś z ciekawością rozejrzeli się po wnętrzu. Kate zdjęła z półki jedną z książek i zaczęła ją kartkować.

— Przeczytałeś je wszystkie, Oliver? — spytała.

— Tak, choć większość nie więcej niż dwa razy. Niestety zawsze brakuje czasu, żeby czytać tyle, ile by się chciało.

Spojrzała kątem oka na Aleksa.

— Sołżenicyn. To nie taka łatwa lektura.

— W college'u przeczytałem chyba bryk ze streszczeniem na jego temat. — Alex kiwnął głową.

Uniosła książkę.

— Tak, ale to oryginał, i to po rosyjsku?

Stone wyszedł z kuchni z dwoma kubkami kawy.

— Podoba mi się tu u ciebie — powiedziała Kate. — Tak sobie wyobrażam mieszkanie profesora wyższej uczelni.

— To prawda. Bałagan, kurz, nic nie leży na swoim miejscu i wszędzie stopy starych książek. — Stone spojrzął na Aleksa. — Podobno jesteś w ekipie do Brennan.

Alex spojrzął na niego ze zdumieniem.

— A skąd, do cholery, wiesz takie rzeczy?

— Praca w Białym Domu potrafi być bardzo nużąca i ludzie skracają sobie czas pogaduszkami. A głos bardzo się niesie, wystarczy słuchać. Tylko że w dzisiejszych czasach niewiele już to robi.

Usiedli koło kominka i Kate uśmiechnęła się do Stone'a.

— Alex mi mówił, że jesteś niezwykłym człowiekiem. I widzę, że na jego opiniach o ludziach mogę polegać.

— Zapewniam panią, że to Alex jest kimś specjalnym.

— Proszę, mów mi po imieniu. Mam na imię Kate.

— Tak specjalnym, że jeszcze trochę i zostanę specjalnym pompierzem na pierwszej lepszej stacji benzynowej — parsknął Alex, przyglądając się Stone'owi. — Wygląda, że już się goi.

— Bo to nie było nic wielkiego. Odrobina lodu wystarczyła. Bywało już gorzej.

— Naprawdę? Chciałbyś mi o tym opowiedzieć?

— Myślę, że śmiertelnie by cię to zdruzgotało.

— Ale spróbuj — powiedział Alex z naciskiem.

Z ulicy dobiegły ich jakieś hałasy. Wszyscy troje wstali i wyjrżeli przez drzwi. Pod bramą cementarza stała Adelpia, wykrzykując imię Stone'a.

— Adelpia? — Stone podszedł do bramy i ją otworzył.

Usiedli w czwórkę przy kominku i Stone przedstawił Adelpię.

Kate wyciągnęła rękę, jednak Adelpia kiwnęła tylko głową. Była wyraźnie zmieszana tym, że Stone nie jest sam.

— Nie wiedziałem, że znasz mój adres — powiedział Stone.

— Wiesz, gdzie ja mieszkam, to odwrotnie musi też być — burknęła ze złością.

Stone zamilkł jak skarcone dziecko i zaczął przyglądać się swoim dłoniom.

— Oliver właśnie wspomniał, że twarz już mu się wygoiła — rzucił szybko Alex. Miał nadzieję, że to trochę ją rozluźni.

Jednak Adelpia nie podjęła tematu i zapadła niezręczna cisza, przerwana w końcu przez Kate.

— Spotkałam kiedyś jednego z adwokatów ACLU, którzy prowadzili sprawę usunięcia was z parku Lafayette. Opowiadał, że musieli stoczyć ciężkie boje.

— Mówiono, że Secret Service strasznie się na nas zawzięło. Twierdzili, że to tylko ze względów bezpieczeństwa — wtrącił Stone.

— Prawa ludzi, one zawsze w końcu wygrają—oświadczyła niespodziewanie Adelpia. — Ludzie mają dobre prawa. Dlatego ten kraj jest taki wielki. — Stone pokiwał głową. — No. Mój przyjaciel Oliver, to on ma taką tablicę. Tam jest napisane: „Żądam prawdy”.

— Wszyscy jej pragniemy — rzekła Kate z uśmiechem.

— Ale czasem prawda, ona musi wyjść z człowieka ze środka — powiedziała Adelpia z przekonaniem, kładąc rękę na piersi. — Ten, co chce prawdy, też musi mówić prawdę, nie? — Potoczyła wzrokiem po obecnych.

Stone najwyraźniej nie był zachwycony kierunkiem, w jakim rozwija się rozmowa.

— Prawda miewa wiele różnych postaci — odparł z namysłem. — I czasem zdarza się, że prawda patrzy komuś prosto w twarz, a on i tak tego nie dostrzega. — Zdecydowanym ruchem podniósł się z miejsca. — Przepraszam, ale muszę teraz coś załatwić.

— Jest już bardzo późno — zdziwił się Alex.

— Właśnie. Jest późno, a ja nie oczekiwałem dziś gości.

Nie było wątpliwości co do intencji mówiącego, wszyscy wstali więc z miejsc i ruszyli do wyjścia, pospiesznie się żegnając.

Alex i Kate zaproponowali, że podwiozą Adelphię do domu.

— On ma jakiś kłopot — powiedziała Adelphia z tylnego siedzenia. — Ja wiem, co mówię.

— Dlaczego tak myślisz? — spytał Alex.

— On dzisiaj w parku ze swoim kolegą był, tym wielkim. Motocyklem przyjechał. W bocznym wózku. — Ostatnie słowa dodała tonem nagany, jakby popełnił jajcieś przestępstwo.

— Z wielkim? Ach, chodzi ci pewnie o Reubena — domyślił się Alex.

— Tak, Reuben. Ja jego lubię nie za bardzo. On ma takie... jak to się mówi? Takie rozbiegane spodnie.

— Chodzi ci o rozbiegane oczy — domyślił się Alex.

— Nie. Mówię o rozbieganych spodniach.

— Rozumiem, Adelphio. I wiem dokładnie, o czym mówisz — wtrąciła Kate.

Adelphia posłała jej ciepłe spojrzenie.

— Ale wciąż nam jeszcze nie powiedziałaś, na jakiej podstawie twierdzisz, że Oliver ma kłopoty — przypomniał Alex.

— Na każdej. On taki jak zawsze nie jest. Coś go bardzo mocno martwi. Próbuję z nim rozmawiać, ale on nic mi nie chce mówić. Wcale nie chce!

Alex spojrzął na nią, zaskoczony jej podniesionym, pełnym emocji głosem, który obudził w nim nagłe podejrzenie.

— Adelphio, czy jest coś jeszcze, co przed nami ukrywasz?

Przez chwilę wyglądała na zaskoczoną, zaraz jednak zrobiła obrażoną minę.

— Co pan mówi? Że ja kłamię?
— Nie, nie to miałem na myśli.
— Ja nie jestem kłamca. Ja chcę zrobić dobrze, nic więcej.
— Ależ ja nie...
— Więcej nic nie powiem — przerwała mu. — Więcej kłamstw nie powiem!
Stali właśnie pod światłami i Adelpiia szarpnęła nagle klamkę, otworzyła drzwi i wyskoczyła z samochodu.
— Adelpiia! — zawołał za nią Alex.
— Daj jej trochę ochłonać — odezwała się Kate. — Na pewno niedługo sama się zgłosi.
— Nie mam czasu czekać. Jutro rano wyjeżdżam.
— Ale ja od jutra zaczynam urlop.
— Co? Kiedy się zdecydowałaś?
— Po wczorajszej nocy postanowiłam trochę odsapnąć, więc wzięłam tydzień urlopu. Może cię odwiedzę w Brennan. Słyszałam, że wypada się tam pokazać.
— Podejrzewam, że to jakaś wiocha, tyle tylko, że urodził się w niej prezydent.
— I może znajdę też czas, żeby bliżej poznać twojego Stone'a i jego przyjaciół.
Spojrzał na nią nagle przestraszony.
— Kate, to chyba nie jest najlepszy pomysł.
— Albo mogę zacząć szukać tych, którzy chcieli nas zabić. Wybieraj.
Uniósł dłoń na znak, że się poddaje.
— Okej, okej. Zajmij się Oliverem i jego kompanami. Ślawetny wybór mniejszego zła.
— Tak jest, sir — powiedziała służbiście i zasalutowała.

ROZDZIAŁ 48

Ekipa przygotowawcza Secret Service wylądowała w Pittsburghu o siódmej rano. Z samolotu wysypała się armia specjalistów, którzy bezzwłocznie ruszyli w drogę do Brennan. Prezydent co roku odbywał setki podróży i przed każdą z nich do miejscowości leżących na trasie zjeżdżała identyczna armia agentów, która łącznie poświęcała tysiące godzin na sprawdzenie najdrobniejszych szczegółów. Jedynym ich celem było upewnienie się, że z punktu widzenia ochrony wizyta będzie jak najnudniej sza.

Ponieważ z racji kampanii wyborczej prezydent dużo podróżował i przenośił się ze stanu do stanu, zaangażowanych było wiele ekip przygotowawczych jednocześnie, co mocno przetrzebiło zasoby ludzkie Secret Service. Normalnie ekipa miała do dyspozycji tydzień na wykonanie wszystkich prac, jednak ze względu na liczbę wizyt zaplanowanych w ramach kampanii szefowie Secret Service musieli dokonać podziału na kategorie i miejscowościom stanowiącym niewielkie potencjalne zagrożenie przydzielić mniej czasu na przygotowania. W miejscowościach o wyższym stopniu zagrożenia przygotowaniom nadal poświęcano zwyczajowy tydzień. Wizytę w Brennan w Pensylwanii zaliczono do grupy niższego ryzyka, i to / kilku różnych powodów. Dla Forda i jego kolegów oznaczało to oczywiście, że czynności normalnie zajmujące tydzień będą musieli zmieścić w kilku dniach.

Agenci założyli bazę w najlepszym hotelu w mieście,

w którym wynajęto całe jedno piętro. Na cześć prezydenta bazy nadano kryptonim od jego imienia, nazywając ją *Sir James*, co wywołało lawinę żarcików wśród agentów, którzy przymykali się tylko w obecności szefów. Pokój wyznaczony na centrum dowodzenia całkowicie opróżniono z mebli i bardzo dokładnie sprawdzono pod kątem obecności urządzeń podsłuchowych. Od tej chwili obowiązywał bezwzględny zakaz wchodzenia, który dotyczył wszystkich pracowników hotelu, łącznie z obsługą kelnerską i sprzątaczkami. Miało tak być do końca pobytu ekipy Secret Service.

Pierwszego dnia agenci Secret Service spotkali się z szefostwem miejscowej policji. Alex w milczeniu obserwował szefa ekipy, który po rozdaniu broszur informacyjnych oświadczył:

— I pamiętajcie, że być może w jakimś pomieszczeniu parę kroków stąd debatuje teraz grupa ludzi, których cele są dokładnie sprzeczne z naszymi.

Podczas swej kariery Alex wielokrotnie słyszał podobne ostrzeżenia. Rozejrzał się dyskretnie po sali, czując, że nie zrobiło ono na nikim większego wrażenia, lecz jego wieloletnie doświadczenie mówiło, że niczego nie wolno z góry wykluczać. Wszyscy agenci Secret Service to z natury rzeczy paranoicy i wprawdzie Brennan nie wyróżniało się niczym, co mogłoby świadczyć o potencjalnym zagrożeniu, zawsze przy takich okazjach przypomniano, że nikt też nie przewidział zamachu na Boba Kennedy'ego w hotelowej kuchni. Jamesa Garfielda dopadnięto na dworcu kolejowym, Williama McKinleya zabito przy sznurze oddzielającym witającą go publiczność i zrobiono to z broni ukrytej pod bandażem, Lincolna zastrzelono w teatrze, JFK zaś w otwartej limuzynie. Ale nie na mojej wachcie, powtarzał sobie zawsze Alex.

Nie na mojej wachcie.

Omówiono trasy przejazdu z lotniska na miejsce uroczystości i przedyskutowano potencjalne miejsca zagrożeń na każdej z nich. Potem obecni podzielili się na mniejsze grupy robocze i Alex zadał przedstawicielom miejscowej policji wiele standardowych pytań: Czy odnotowano ostatnio wzrost sprzedaży broni? Czy nie zaginęły policyjne mundury? Czy ze strony miejscowych zdarzają się groźby pod adresem prezydenta? Gdzie znajdują się najbliższe szpitale i bezpieczne domy?

Potem wszyscy pojechali na plac uroczystości, Alex obszedł cały teren i pomógł wybrać stanowiska dla antysnajperów. Obejrzał też dokładnie plac pod kątem tak zwanych ciągów śmierci. Należało myśleć kategoriami zamachowców. Gdzie, jak i kiedy może uderzyć zabójca?

Podium było już gotowe i ekipa wykonawców zajmowała się instalacją oświetleniową i nagłaśniającą, a także montażem dwóch gigantycznych ekranów telewizyjnych, które miały umożliwić zebranej publiczności oglądanie twarzy prezydenta w zbliżeniu, choć tylko przetworzoną cyfrowo.

Dla doświadczonego oka Aleksa cały teren wyglądał na „możliwy do opanowania” z punktu widzenia wymogów bezpieczeństwa. Istnienie tylko jednego wjazdu i wyjazdu dla prezydenckiej kawalkady miało z oczywistych względów swoje dobre i złe strony. Wiadomo było jednak, że prezydent nie zabawi tu długo. Najwyżej dwie godziny.

W drodze powrotnej do centrum Alex rozglądał się po miasteczku. W szeregach Secret Service od lat mawiano, że najlepszym momentem na obrabowanie banku jest pobyt w mieście prezydenta, ponieważ każdy gliniarz w promieniu trzydziestu kilometrów myśli wtedy wyłącznie o wizycie i nie ma głowy do pilnowania czyichś pieniędzy. Alex odniósł wrażenie, że powiedzenie to wyjątkowo dobrze tu pasuje, bo nigdzie po drodze nie zauważył ani jednego policjanta.

Po powrocie do hotelu postanowił trochę pobiegać. Przez cały okres nauki w college'u żył ze stypendium lekkoatletycznego i mimo kłopotów z kręgosłupem korzystał z każdej nadarzającej się okazji, by pobiegać. Było to już jedno z ostatnich ćwiczeń, jakie pomagały mu utrzymać względną kondycję fizyczną. Ruszył główną ulicą na wschód, przebiegł obok budynku szpitala, skręcił w lewo i nieco przyspieszył. Wyprzedził go van, ale nie było żadnego powodu, by miał zwrócić na niego szczególną uwagę, więc też tego nie zrobił. Zresztą i tak twarz kobiety za kierownicą nic by mu nie powiedziała. Dżamila wioząca trójkę chłopców też nawet nie spojrzała w jego kierunku.

Potem przebiegł obok warsztatu samochodowego z przyciemnionymi szybami w oknach, w którym trwała wyężona praca nad gruntowną przebudową pojazdu. Gdyby znał plany spisku,

mógłby teraz wdrzeć się do środka i aresztować wszystkich obecnych. Nie znał ich jednak i beztrąsko pobiegł dalej. Szczerze mówiąc, śródmięście Brennan specjalnie go nie interesowało, wiedział bowiem, iż prezydent w ogóle się tu nie zjawi. Uroczystości związane z nadaniem nowej nazwy miasteczku były jedynym punktem programu wizyty.

Po powrocie do hotelu wziął prysznic i zgłosił się na ochotnika do prac nocnych. Miał nadzieję, że takim postępowaniem zaskarbi łaskę przełożonych.

W czasie gdy Alex zajmował się pracami przygotowawczymi, Kate też nie próżnowała. Wstała bardzo wcześnie i zjadła śniadanie w towarzystwie Lucky. Podczas jedzenia poprosiła starszą panią o przysługę, a Lucky chętnie się zgodziła.

Potem wróciła do siebie, usiadła przy niewielkim biurku i zaczęła obmyślać plan rozgryzienia Olivera Stone'a. Alex powiedział, że przepuścił jego odciski palców przez wszelkie dostępne bazy danych i nic nie znalazł. Zdaniem Kate mogło to oznaczać jedno z dwóch: albo Stone nigdy nie oddawał się zajęciom wymagającym pobrania odcisków palców, albo jego dane usunięto z baz tak dokładnie, że poprzednie wcielenie Olivera Stone'a przestało praktycznie istnieć. Zrobiła listę spraw do sprawdzenia, potem nakreśliła sobie w punktach strategię postępowania, tak jak to robiła podczas przygotowań do rozpraw sądowych. Zadowolona z wyniku wzięła szybki prysznic i wyszła z domu.

Nieco później zaparkowała samochód możliwie najbliżej bramy cmentarza góry Syjon i zaczęła czekać. Już około siódmej trzydzieści Stone wyszedł z dozorcówki i ruszył ulicą w stronę centrum. Kate skuliła się w samochodzie, by jej nie zauważył. Gdy już niemal zniknął jej z pola widzenia, stało się coś nieoczekiwanego. Spoza samochodów zaparkowanych na Q Street wyłoniła się Adelpia i ruszyła jego śladem. Kate przez chwilę się wahała, potem uruchomiła silnik, szybko zrównała się z Adelpia i opuściła szybę w oknie.

W pierwszym odruchu Adelpia udała, że jej nie poznaje. Kate nie dała się jednak zbyć i w końcu kobieta niechętnie skinęła głową.

— A tak, to ty, już poznaję — mruknęła i ukradkiem spojrzała w kierunku Stone'a, który prawie zniknął już w oddali.

— Spieszysz się gdzieś? — spytała Kate.

— Nigdzie nie spieszę — burknęła Adelpia opryskliwie. — Mogę sobie nic robić.

— To może dasz się zaprosić na kawę? Alex mi mówił, że lubisz kawę.

— Mogę sobie sama cafe kupować. Zarabiam pieniądze. Nie potrzebuję łaski.

— To z mojej strony tylko gest sympatii. Wiesz przecież, że przyjaciele tak robią. Jak wtedy w parku, kiedy zaatakował cię włóczęga, a Oliver ci pomógł.

Adelpia spojrzała na nią nieufnie.

— A ty skąd to wszystko tak wiesz?

— Adelpio, nie tylko ty się martwisz o Olivera. Alex też się o niego martwi. A ponieważ musiał wyjechać z miasta, próbuję mu trochę pomóc. Dlatego proszę cię, chodź i wypij ze mną filiżankę kawy. Proszę.

— A po co ty tak agentowi Fort pomagasz? — spytała podejrzliwie.

— Między nami kobietami? Bo mi na nim zależy. Tak jak tobie zależy na Oliverze.

Po tych słowach Adelpia raz jeszcze spojrzała za Oliverem, pociągnęła parę razy nosem, ale w końcu wsiadła i pozwoliła się zaprosić do najbliższego Starbucka.

— To co ty właściwie robisz? — spytała Adelpia, gdy usiadły przy stoliku.

— Pracuję w Departamencie Sprawiedliwości.

— I tym się zajmujesz? Robieniem sprawiedliwości?

— Mam nadzieję, że tak. W każdym razie staram się.

— Bo w moim kraju od kilku lat... nie, od kilkadziesiąt lat nie ma sprawiedliwości. Mamy tylko Sowietów, którzy nam mówią, co mamy robić. Czy możemy oddychać, czy nie możemy, oni nam mówią. To jest piekło.

— To na pewno było straszne.

— A potem ja przyjeżdżam do tego kraju, mam pracę, dobrze mi się powodzi.

Kate zawahała się, ale ciekawość wzięła górę.

— To dlaczego trafiłaś do parku Lafayette?

Na twarzy Adelphii pojawił się wyraz zaciętości, jednak rysy szybko jej złagodniały.

— Nikt przedtem o to nie pytał — powiedziała z drżeniem w głosie. — Dopiero ty teraz. Tyle lat i dopiero ty teraz pytasz.

— Wiem, że prawie mnie nie znasz, więc nie musisz odpowiadać.

— I to bardzo dobrze. Bo ja nie chcę o tym rozmawiać. Nie chcę.

Przez chwilę w milczeniu popijały kawę. W końcu pierwsza odezwała się Adelpia.

— Ty masz rację, bardzo o Olivera się martwię. On ma duży kłopot. Ja wiem.

— A skąd to wiesz?

Adelpia sięgnęła do rękawa i wyciągnęła chusteczkę, którą otarła sobie oczy.

— Niedawno widziałam telewizję. Ja nigdy nie patrzę na telewizję i nigdy nie czytam gazet. Wiesz, dlaczego ja nigdy to nie robię? — Kate pokręciła przecząco głową. — Bo to same kłamstwa. Wszystko kłamstwa.

— Ale powiedziałaś, że niedawno oglądałaś telewizję.

— Tak, wiadomości, jak były. I wtedy to widziałam.

— Cóż takiego widziałaś?

Na twarzy Adelphii pojawił się nagle strach, jakby uznała, że i tak za dużo powiedziała.

— Nie, ja nie mogę to powiedzieć. Ja nie chcę to powiedzieć. Ty jesteś prawnik. Ty pracujesz dla rządu. Ja nie chcę, coby Oliver miał kłopoty.

— Myślisz, że Oliver zrobił coś złego?

— Nie! Ja wcale nie myślę nic takiego. Mówię ci, Oliver to dobry człowiek.

— Świetnie, czyli nie ma się czym martwić. Nic mu ze strony rządu nie grozi. Ani z mojej.

Adelpia wciąż jednak milczała.

— Adelpio, jeżeli naprawdę martwisz się o Olivera, pozwól, że mu pomogę. Nie możesz przecież za nim chodzić i wciąż go pilnować.

W końcu Adelpia westchnęła i klepnęła Kate w rękę.

— Jest, jak mówisz. No to ci powiem. — Zebrała się w sobie i zaczęła. — Na telewizję patrzę i widzę, jak znajdują ciało na wyspie na rzece.

— Na Wyspie Roosevelta? — upewniła się szybko Kate.

— Na tej.

— Ale co to ma wspólnego z Oliverem?

— No więc widzisz... Ja chce wypić cafe z Oliverem, ale on musi iść na zebranie.

— Na zebranie? Jakie zebranie?

— Ach, to samo ja mówię. Jakie zebranie w środku nocy? Ale on i tak idzie. No to ja jestem zła. Woli zebranie, a nie cafe? Więc ja pokazuję, że sobie idę, ale widzę, jak on wsiada do taxi. To ja też wsiadam do taxi. Mam pieniądze, mogę też jechać taxi.

— Naturalnie, naturalnie. I co było dalej?

— Jadę za nim do Georgetown. On wysiada, to ja wysiadam. On idzie do rzeki, to ja idę do rzeki. A potem widzę tych jego koleśków, co ich spotyka. I widzę, co oni robią.

— Co robią? — Kate powiedziała to tak głośno, że Adelpia aż podskoczyła.

— Oni wsiadają do łodzi i zaczynają płynąć na wyspę, to robią.

— A co ty wtedy zrobiłaś?

— Biorę taxi i wracam. Nie chce mi się czekać. I pływać na wyspę też mi się nie chce. Wracam taxi. Kupuję sobie cafe i wtedy spotykam agenta Forta, jak on przychodzi do Olivera. A potem patrzę na telewizję i widzę ciało na wyspie — dodała łamiącym się głosem.

— Jesteś pewna, że to był ten sam wieczór?

— Oni mówią na telewizji. Ten sam wieczór.

— Adelpio! Przed chwilą powiedziałaś, że nie wierzysz, by Oliver zrobił coś złego. A teraz mówisz, że widziałaś, jak popłynęli na wyspę, na której kogoś zabito.

— Oni mówią, że był zabity rewolwerem. Oliver nie ma rewolweru.

— Tego nie możesz być pewna. A co z resztą? Z tymi jego kolegami?

— Ja znam tych kolegów — parsknęła Adelpia. — Jeden

jest wielki, bo ci inni, to jak wystraszone myszki. Drugi pracuje w bibliotece. On kocha książki. On mi nawet trochę książek przyniósł. A ten trzeci to tylko wszystko sprawdza.

— Co to znaczy „wszystko sprawdza”?

— No wiesz, wszystko liczy i mamroce pod nosem, i gwizdże, i stęka. Ja nie wiem co, ale Oliver mówi, co to jest. On na to mówi OD czy jakoś tak.

— Może OCD?

— O właśnie.

— Wiesz, jak się nazywają ci jego koledzy?

— O tak, to ja wiem. Ten od książek, to on się nazywa Caleb Shaw. Czasem się ubiera w takie stare rzeczy. Oliver mówi, że to jego hobby. A ja mówię, że to wariat.

— A pozostali?

— Ten, co sprawdza, to on jest Milton Farb. On jest mądry. On mi mówi takie rzeczy o świecie, co ja nie wiem.

— Wspomniałaś też jakiegoś wielkiego?

— Tak, rozbiegane spodnie. On się nazywa Reuben, Reuben Rhodes.

— Skoro żaden z nich nie zabił tego człowieka, to co twoim zdaniem zdarzyło się wtedy na wyspie?

— No nie wiesz? — prychnęła Adelpia i ściszyła głos. — Oni wtedy widzą, kto to robi. Widzą mordercę.

Kate oparła się plecami o oparcie. Od razu jej przyszło do głowy, że musi natychmiast zawiadomić o wszystkim Aleksa, potem jednak opadły ją wątpliwości. Bo zapewne wtedy będzie chciał wszystko rzucić i natychmiast wracać, a to narazi go na jeszcze większe kłopoty w pracy. Poza tym nie miała pewności, czy opowieść Adelphii jest prawdziwa. Coś jej nagle przyszło do głowy.

— Adelpio, czy zechciałabyś ze mną pojechać i coś obejrzeć?

— Gdzie pojechać? — spytała nieufnie.

— Niedaleko. Obiecuję, że to długo nie potrwa.

Adelpia z wyraźną niechęcią się zgodziła i Kate ruszyła na parking przy nabrzeżu w Georgetown.

— Czy potrafisz opisać tę łódź, którą wtedy popłynęli? — spytała, gdy wysiadły.

— Stara i długa, tak ze cztery metry. Cała zgniła jest. Oni ją

zabierają z placu ze starociami, tam, w tamtą stronę — dodała, wyciągając rękę.

Kate podprowadziła ją do brzegu rzeki.

— Zaczekaj tu — powiedziała. Zeszła po kamieniach nad samą wodę i podeszła do wylotu rury kanalizacyjnej. — Jakbyś się teraz trochę wychyliła, to ją zobaczysz. — Rozgarnęła zarośla, by Adelpia mogła dojrzeć wystający dziób łodzi. — Czy to ta łódź?

— Tak, to ta łódź.

O Chryste Panie!

ROZDZIAŁ 49

Oliver Stone sterczał pod eleganckim mieszkalnym wysokociowcem i obserwował wychodzących ludzi z aktówkami. Wszyscy byli schludnie ubrani i zapewne spieszyli się do pracy. W końcu zjawiała się też ona. Zamiast aktówki miała niedużą torebkę zawieszoną na ramieniu. Przechodząc obok, Jackie Simpson nawet na niego spojrzała. Odczekał chwilę i ruszył jej śladem. Stawiał znacznie dłuższe kroki od niej, musiał więc ustawicznie zwalniać. Dwukrotnie był bliski zaczepienia jej i dwukrotnie powstrzymało go coś, co nigdy wcześniej nie stanowiło dla niego problemu: brak zdecydowania i pewności siebie. Jednak gdy po drodze zatrzymała się, by kupić gazetę, i rozsypała drobne, podbiegł, by jej pomóc pozbierać monety do wyciągniętej dłoni. Zdarzenie to omal nie pozbawiło go oddechu, więc gdy mu podziękowała, zdołał się tylko uśmiechnąć, ona zaś bez słowa poszła dalej.

Gdy dotarła do WFO, zatrzymał się i obserwował, jak wchodzi do budynku.

Drobna, z oliwkową cerą, zadziorna. Znał kiedyś taką.

Zawrócił i ruszył do metra. Czekąco go teraz bardzo ważne spotkanie. W umówionym miejscu wyszedł z metra na ulicę i stwierdził, że pozostali członkowie Klubu już na niego czekają.

Ustalili wcześniej, że najlepiej będzie, jeśli Milton pójdzie do domu po nagranie w asyście ludzi z firmy ochroniarskiej, która odebrała sygnał o włamaniu. Milton zadzwonił wcześniej

do firmy, umówił się pod domem z dwoma ochroniarzami i wszedł z nimi do środka. Reszta członków Klubu Wielbłądów przyglądała się temu z samochodu Caleba.

Pół godziny później Milton wyszedł z domu i wsiadł do samochodu.

— Udało się? — zapytał Stone.

Milton kiwnął głową i wyciągnął z plecaka płytę DVD.

— Coś się nagrało — odrzekł — więc myślę, że to.

Wsunął dysk do laptopa i po chwili na ekranie ukazało się mroczne wnętrze domu Milтона. Wszyscy z napięciem wpatrzyli się w obraz.

— Jest! — syknął Stone i pokazał palcem sylwetkę wyłaniającą się zza narożnika.

— To Reinke! — wykrzyknął Caleb.

— A tuż za nim jego wspólnik — dodał Reuben. — Ten, którego załatwiłeś kaskiem.

Patrzyli dalej, przyglądając się, jak para intruzów myszkuje po domu.

— Fuj, Milton — prychnął z udanym oburzeniem Reuben. — Ależ z ciebie niechluj!

— Co on tam wyjął? — zainteresował się Caleb.

Milton cofnął nagranie i obejrzelni ten fragment jeszcze raz.

— Wygląda na pudełko z kwitami — powiedział niepewnie Milton. — Ale nie widzę, co z niego wyjął.

— Patrzcie, teraz wchodzi ten ochroniarz — odezwał się Stone.

Widać było, jak mężczyzna w uniformie ostrożnie się przesuwa, po czym nagle coś wystrzeliwuje z ciemności i zwała go z nóg.

— Co to, u diabła, było? — zdumiał się Reuben.

— Mężczyzna w masce — odrzekł Stone. — Przynajmniej jeden miał tyle oleju w głowie, żeby nie pokazywać twarzy.

— Ale to nie był ani Reinke, ani ten drugi — zauważył Milton.

— Co oczywiście znaczy, że był ktoś jeszcze — rzekł Stone z namysłem. — To nagranie stanowi wystarczający... — Nie zdążył dokończyć, bo w tym momencie odezwał się telefon komórkowy Milтона.

— O, cześć, Chastity — powiedział Milton radośnie, ale niemal natychmiast twarz mu stężała. — Co? O mój Boże! Co ty opowiadasz?

Stone wydarł telefon z ręki Miltona.

— Halo, Chastity!

Jednak zamiast niej usłyszał męski głos, który powiedział:

— Myślę, że możemy to uznać za remis. Jeśli wy nie zrobicie ruchu, to my też nie.

Połączenie zostało przerwane.

Stone spojrzął na roztrzęsionego Miltona, którego oczy zasły łzami.

— Przykro mi, Milton.

Niemal cały następny dzień Kate spędziła przy komputerze, wyszukując informacji na temat Miltona Farba, Reubena Rhodesa i Caleba Shawa. Weszła też na strony Google i zdobyła trochę informacji na temat wyczynu Miltona w quizie *Jeopardy!* Oliver Stone wciąż pozostawał czystą kartą. Z opowieści Adelphii uwierzyła w jedno: wszyscy czterej wiedzieli, kto zabił Patricka Johnsona, a dziura po kuli i ślady krwi na burcie łodzi świadczyły, iż niewiele brakowało, by przypłacili to życiem.

Uzbrojona w zebraną wiedzę udała się na cmentarz góry Syjon i szczęśliwie zastała Stone'a przy pracy.

— Cześć, Oliver. Kate Adams. Poznaliśmy się wczoraj.

— Pamiętam — rzucił sucho.

— Wszystko w porządku? Bo wyglądasz na dość zmartwionego.

— Nic ważnego.

— Jak wiesz, Aleksa nie ma w mieście, więc mam nadzieję, że nie uznasz tego za nagabywanie, ale chciałabym zaprosić cię dziś wieczór na kolację.

— Na kolację? — Stone powiedział to takim tonem, jakby odezwała się w zupełnie nieznanym mu języku.

— U mnie w domu. To znaczy niezupełnie u mnie, bo mieszkam na zapleczu w wynajętej wozowni. Dom i cała reszta należy do Lucille Whitney-Houseman z Georgetown. Słyszałeś o niej?

— Nie miałem przyjemności — odparł, a ona odniosła wrażenie, że myślami jest gdzie indziej.

— Chcę też zaprosić Adelphię i twoich przyjaciół.

Stone wrzucił do skrzynki garść wyrwanych chwastów.

— To bardzo miłe, ale niestety obawiam się... — Przerwał i spojrzał na nią badawczo. — Jakich moich przyjaciół?

— No przecież wiesz. Reuben Rhodes, Caleb Shaw i Milton Farb. Zaczęłam niedawno kolekcjonować stare książki i myślę, że rozmowa z Calebem może być fascynująca. I jestem wielką fanką *Jeopardy!*, chociaż tej serii, w której występował Milton, chyba nie widziałam. A praca Reubena w DLA tyle lat temu musi stanowić pasjonujący temat do rozmowy. No i oczywiście ty sam... — Zamilkła na dłuższą chwilę. — Przy stole będzie na pewno bardzo ciekawie. Takie przyjęcia należą do tradycji Georgetown. Przynajmniej tak twierdzi Lucky, to znaczy pani Whitney-Houseman.

Ostatnią kwestię wypowiedziała pospiesznie, by nie dopuścić go do głosu i jednocześnie wystarczająco pobudzić jego ciekawość.

Zapadło trwające dobrą minutę milczenie. Stone klęczał, nie przerywając pracy i wyraźnie dumając nad tym, co przed chwilą usłyszał.

— Z doświadczenia wiem, że kiedy ktoś zadaje sobie trud, żeby wyszperać aż tyle informacji o innych — odezwał się w końcu — to zwykle jest ku temu jakiś powód, którego na pierwszy rzut oka czasem nie widać.

— Byłabym skłonna się z tym zgodzić.

— Niemniej, dzisiejszy wieczór nie jest dla nas najdogodniejszy. Dostaliśmy właśnie... niedawno dotarła do nas pewna zła wiadomość.

— Przykro mi to słyszeć. Aleksowi i mnie też się przytrafiły pewne przykrości. Ktoś próbował nas zabić. Ciekawe, że stało się to tuż po tym, kiedy odnaleźliśmy pewną starą łódź schowaną w burzowcu w Georgetown, w której jest dziura po kuli i ślady krwi.

— Tak, rozumiem. — Kamienny spokój, z jakim przyjął te rewelacje, tylko zwiększył jej podziw dla niego i dodatkowo pobudził ciekawość. — To może jednak powinniśmy zjeść tę kolację. Zawiadomię kolegów.

— Około siódmej byłoby świetnie. Podać ci adres?
— Tak. Pani Whitney-Houseman rezyduje zapewne w tych stronach, gdzie zwykli śmiertelnicy rzadko bywają.
Podała mu adres.
— Wstąpię jeszcze do Adelphii, bo ją też chcę zaprosić. Mam nadzieję, że będzie mogła zabrać się z tobą i twoimi przyjaciółmi?
— Kate, naprawdę nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.
— A ja akurat myślę, że jest świetny — odparła twardo.
— Dlaczego tak myślisz?
— Bo wydaje mi się, że przyda ci się teraz jak najwięcej przyjaciół.

Caleb, Milton i Adelpia zajęchali do rezydencji Lucky samochodem Caleba, w którym po ostatnich wyczynach pod domem Reinkego kopciła rura wydechowa i mocno skrzypiały resory. Reuben i Stone przyjechali za nimi motocyklem.

Kate widać na nich czekała, bo od razu otworzyła bogato zdobione drzwi wejściowe.

— Fajny motor — powiedziała do Reubena, który miał na sobie postrzępioną skórzaną kurtkę, wygniecione spodnie w kolorze khaki, koszulę i mokasyny. Dla podkreślenia uroczystego charakteru okazji uzupełnił strój niebieską chustą, którą owinął sobie wokół szyi jak fular.

Reuben z uznaniem przyjrzał się młodej kobiecie. Ubrana była w czarne spodnie, czarne czółenka i białą bluzkę, na szyi miała pojedynczy sznur pereł. Blond włosy upięła w kok, co dodatkowo uwydatniało jej długą, smukłą szyję.

— Kiedyś zabiorę cię na przejażdżkę — odparł. — Możesz mi wierzyć, że ta przyczepka dużo ostatnio przeszła.

Adelpia skinęła głową i sztywnym krokiem weszła do środka. Tuż za nią podążał Milton ubrany w elegancką zieloną, dwurzędową marynarkę, krawat w paski i nienagannie wyprasowane spodnie. W ręku miał nieduży bukiet kwiatów, który wręczył Kate.

— Ty jesteś Milton, prawda? Bardzo dziękuję, są śliczne — powiedziała Kate i od razu dostrzegła wzbierające mu w oczach łzy.

Następny szedł Caleb, który tym razem zrezygnował ze stroju z czasów Abrahama Lincolna. Stone mu to wyperswadował, bo gospodyni nie powinna myśleć, że ma do czynienia z niebezpiecznym szaleńcem. By jednak zaznaczyć swą odmienność, przypiął ogromny zegarek kieszonkowy z dewizką.

— Miło mi cię poznać, Caleb — powiedziała Kate z uśmiechem. — Zapraszam do środka.

Pochód gości zamykał Oliver Stone. Ubrany był w jedno z ostatnio nabytych ubrań, a w ręku dzierżył kask motocyklowy.

— Zechciałabyś zapoznać mnie z programem wieczoru — powiedział na powitanie.

Spojrzała na niego z filuternym błyskiem w oku.

— W ten sposób popsuliśmy całą zabawę — rzekła z uśmiechem.

— W naszej sytuacji trudno mówić o zabawie.

— To prawda. Ale myślę, że wieczór okaże się interesujący.

Lucky czekała na nich z dzbankiem sangrii. Ruszyła wśród gości, nalewając wina i szczebiocąc, i widać było, że jest w swoim żywiole. Na beztróskim popijaniu i gawędzeniu upłynęła im pierwsza godzina, po czym zasiedli do stołu.

Reuben i Caleb jedli dużo i z apetytem, za to Stone, Adelpia i Milton ledwo dziobnęli swe porcje. Potem przenieśli się do biblioteki, gdzie podano kawę. Lucky poczęstowała wszystkich cygarami, ale tylko Reuben skorzystał z okazji.

— Lubię patrzeć na palących mężczyzn — powiedziała, siadając obok Reubena i klepiąc go po umięśnionym ramieniu. — Wyglądasz mi na takiego, który nosi przy sobie rurę.

Reuben spojrzał na nią speszony, ale Kate od razu przejęła pałeczkę i skierowała rozmowę na sprawy dotyczące wywiadu.

— No to wam teraz powiem — oświadczył Reuben — że najlepsze tajne zabezpieczenia mogą diabli wziąć przez burczenie w brzuchu.

— Jak to? — zdziwiła się Kate.

— A tak to. O zbliżającym się bombardowaniu w Afganistanie czy Iraku wiedziałem wcześniej, niż ktokolwiek inny.

— Byłeś tam z ramienia DIA?

— A skąd. Już mnie wtedy dawno wylali ze służby. Pracowałem w zamówieniach na telefon w pizzerii Domino. I jak tylko miały polecieć bomby, ostro rosła liczba zamówień

z Pentagonu. Więc wasz pokorny sługa wiedział o zbliżającym się bombardowaniu wcześniej niż Dan Rather czy Tom Brokaw, a może nawet sam prezydent.

W tym czasie Caleb z towarzyszącą mu Lucky ruszył na oględziny biblioteki, zabudowanej masywnymi regałami pełnymi książek. Przy każdym nowym znalezisku jego twarz promieniała radością.

— O, to naprawdę cenny egzemplarz *Moby Dicka*. A to pierwsze angielskie wydanie *Psa Baskerville'ów*. Piękne. A tamto, to chyba *Zapiski o stanie Wirginia* Jeffersona z tysiąc siedemset osiemdziesiątego piątego roku. Tak, zgadza się. W naszych zbiorach też to mamy. Lucky, naprawdę powinnaś sobie sprawić kasetki ochronne, które przycinają komputerowo na dokładny wymiar książki.

Lucky z zachwytem wsłuchiwała się w każde jego słowo.

— Ojej, kasetki przycięte komputerowo! Ależ to naprawdę podniecające. Mógłbyś mi coś takiego załatwić?

— Będę zaszczycony.

Reuben nalał sobie kawy i wzmocnił ją czymś z piersiówki wyjętej z tylnej kieszeni spodni.

— W temacie podniecania — oznajmił — nasz brat Caleb to prawdziwy ekspert.

— Lucky — wtrąciła szybko Kate — przeniesiemy się teraz do mnie. Chciałabym coś omówić z naszymi przyjaciółmi.

— Oczywiście, kochanie — powiedziała Lucky, poklepując Caleba po ramieniu. — Ale najpierw muszą mi obiecać, że jeszcze tu wrócą.

— Na mnie możesz liczyć — oświadczył Reuben, unosząc kieliszek. — Nie przeszkodzi mi w tym nawet cały oddział sił specjalnych.

Kate wyprowadziła gości na zewnątrz i poszli do wozowni, gdzie zasiedli na obszernej kanapie i dwóch fotelach rozstawionych wokół stołu.

— Zakładam, że poinformowałeś panów o naszej rozmowie i znalezieniu łodzi — zwróciła się do Stone'a niemal urzędowym tonem.

— Poinformowałem — odparł Stone, mierząc wzrokiem Adelphię. — A także o tym, że z jakiegoś powodu uważasz, że popłynęliśmy tą łodzią na wyspę.

— Nie uważam, tylko wiem. A teraz chciałabym się jeszcze dowiedzieć, co tam zobaczyliście.

— Nie ma żadnych dowodów na to, że cokolwiek widzieliśmy — odparł obojętnie. — Nawet jeśli Adelpia twierdzi, że poszła za nami na brzeg i widziała, jak odpływamy na wyspę, to jeszcze nie znaczy, że byliśmy świadkami śmierci tamtego człowieka.

— Ja jednak jestem przekonana, że byliście. I myślę też, że ten, kto zabił Patricka Johnsona, zauważył waszą obecność i dlatego musieliście uciekać. To by tłumaczyło ślad po kuli i krew na łodzi. Natomiast nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie poszliście z tym od razu na policję i nie złożyliście doniesienia.

— Łatwo ci tak mówić — wybuchnął Reuben — bo wiesz, że tobie by uwierzyli. Ale spójrz na nas. Jesteśmy bandą obdartusów o niezbyt chlubnej przeszłości.

— A więc przyznajesz, że byliście świadkami morderstwa?

Caleb już otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Stone nie dopuścił go do głosu.

— Niczego nie przyznajemy — oświadczył twardo.

— Oliver, chcę wam tylko pomóc. I nie zapominaj, że ktoś chciał zabić Aleksa i mnie tuż po tym, gdy natknęliśmy się na tę łódź.

Reuben spojrział na Stone'a z zaskoczeniem.

— Nic nam o tym nie mówiłeś — rzekł z wyrzutem.

— Ale co z Chastity? — nie wytrzymał Milton. — Przecież porwali Chastity.

Wszyscy na niego spojrzeli i zobaczyli, że po drgających policzkach spływają mu łzy.

— Jeśli kogoś porwano, to trzeba natychmiast zawiadomić policję — powiedziała Kate.

— Kiedy to nie takie proste — wtrącił Caleb, obrzucając spojrzeniem Stone'a, który siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym w podłogę. — Nie możemy pójść na policję.

Kate też spojrzała na Stone'a.

— Oliver — rzekła cicho. — Jeśli połączymy siły, to może uda nam się coś zdziałać.

— No, to prawda — wtrącił Reuben. — W końcu pracuje w Departamencie Sprawiedliwości. Bo my sami możemy tylko dostać kopa w dupę.

— Już najwyższy czas, żeby zacząć działać wspólnie — dodał Caleb.

Stone wciąż jednak milczał.

— No dobra — powiedział Reuben, odkładając cygaro. — Skoro naszemu drogiemu przywódcy nagle odjęło mowę, niniejszym otwieram nadzwyczajne zebranie Klubu Wielbłądów. I zgłaszam wniosek, żebyśmy o wszystkim opowiedzieli Kate. Czy ktoś popiera mój wniosek?

— Popieram — odezwał się natychmiast Caleb.

— Kto jest za? — spytał Reuben, nie spuszczając wzroku z Stone'a.

Wniosek został przegłosowany.

— Klub Wielbłądów przemówił — oświadczył uroczyście Reuben.

— Co za Klub Wielbłądów? — zdziwiła się Kate.

— Pozwólcie, że ja jej odpowiem — przemówił w końcu Stone.

ROZDZIAŁ 50

— Co zrobiłaś? — wrzasnął.

Było rano i gdy zadzwoniła na jego komórkę, Alex w pokoju hotelowym właśnie szykował się do wyjścia, przypinając uprząż z bronią.

— No sam widzisz. Dlatego wolałam odczekać z tym telefonem do rana, bo czułam, że będziesz się wściekał.

— A czego się, u diabła, spodziewałaś? Że ci powiem: „Świetnie się sprawiłaś i bardzo się cieszę, że nie jesteś trupem”?

— Przecież ci mówiłam, że zajmę się Oliverem i jego kolegami. A ty powiedziałaś okej.

— Ale nie miałem pojęcia, że byli naocznymi świadkami zamordowania Johnsona, a przecież powiedziałem ci wyraźnie, żebyś od tej sprawy trzymała się z daleka.

— Ja też nie wiedziałam, że są z tym jakoś powiązani. Więc teraz spokojnie mnie wysłuchaj, bo mam ci mnóstwo do powiedzenia. — Przez kilka następnych minut szczegółowo zrelacjonowała mu rewelacje usłyszane minionej nocy od Stone'a.

Gdy skończyła, Alex pokręcił głową z niedowierzaniem.

— No dobrze, więc jeszcze raz. Byli świadkami morderstwa i nie poszli z tym na policję, bo bali się, że policja może ich o to podejrzewać?

— Wydaje mi się, że Oliver niezbyt kocha policję. Może ma to jakiś związek z jego przeszłością.

— Iw dodatku wysłedzili jednego z morderców, pojechali do jego domu i o mało sami nie zginęli?

— Tak.

— Iw czasie gdy włamywali się do domu mordercy, ci sami ludzie włamali się do domu Milтона Farba, a oni mają to nagrane na taśmie?

— I zaraz potem tamci ludzie porwali dziewczynę Milтона, więc oni znów nie mogą pójść z tym na policję.

— Podali ci nazwiska tych morderców?

— Zdaje się, że znają nazwisko tylko jednego.

— Ale mają ich obu na taśmie. Rozpoznałaś któregoś?

— Nie pokazali mi tego nagrania.

— A to dlaczego?

— Bo chcą je najpierw pokazać tobie.

— Cudownie, tylko że ja jestem cztery godziny drogi od was i mam mnóstwo pracy, a jutro zjawi się tu prezydent.

— Uparli się, Alex. Próbowałam, ale nic nie wskórałam. Oświadczyli, że pokażą to tylko tobie. Pamiętaj, że pracuję w Departamencie Sprawiedliwości i prawie mnie nie znają. To i tak sukces, że tyle z nich wyciągnęłam. Oliver darzy zaufaniem ciebie, nie mnie.

Alex przeczesał sobie włosy palcami, wetknął telefon pod brodę i dokończył upinanie uprzęży.

— No dobra, masz jakiś pomysł? — zapytał.

— Pomyślałam, że moglibyśmy jutro do ciebie przyjechać.

— Jutro? Jutro będzie tu Potus. A on jest ważniejszy niż cokolwiek innego, przecież wiesz.

— Tak, wiem. Ale chciałam ci zorganizować spotkanie z Klubem Wielbłądów.

— Z czym?

— A, przepraszam. To nazwa, jaką Oliver i jego koledzy wymyślili dla siebie. Klub Wielbłądów, czyli coś w rodzaju tajnej organizacji monitorującej z ukrycia życie publiczne! Działają już od wielu lat. Wiesz, że to oni pierwsi wpadli na tę aferę sprzed kilku lat z sekretarzem obrony? Pamiętasz tę sprawę, prawda? Okazało się, że za łapówki kierował rządową zamówienia do wybranych wykonawców. Klub Wielbłądów wpadł na trop tej afery dzięki uwagom pomocnika kucharza; z Białego Domu. To naprawdę zdumiewająca historia.

Alex położył się na wznak na łóżku i przymknął oczy.

— Pomocnik kucharza w Białym Domu szpieguje sekretarza obrony dla jakiegoś Klubu Wielbłądów? Nabierasz mnie, tak? Kate, proszę, powiedz, że to wszystko żarty.

— Dobra, nieważne.

Alex aż się poderwał.

— Jak to nieważne?

— Alex, czy mógłbyś mnie posłuchać? Powiedziałam tylko, że w tamtej sprawie udało im się przeprowadzić niezwykle skomplikowane i bardzo udane śledztwo. Wierz mi.

Alex z trudem panował nad sobą.

— Dobrze, więc przyjedźcie tu i co dalej?

— Weźmiemy udział w uroczystości, potem wszyscy razem usiądziemy, obejrzysz to nagranie, a oni ci podadzą jego nazwisko. Od tego zaczniemy.

— Chcesz powiedzieć, że mam z tym wszystkim pójść do Secret Service?

— Właśnie. Bo znając nazwisko i dysponując nagraniem, mamy w ręku poważny materiał obciążający. No i musimy uwolnić Chastity. Milton jest zrozpaczony.

— Kto to, u diabła, jest Chastity?

— Ach, przepraszam. To dziewczyna Milтона. Ta, którą porwali.

— Porwaniami zajmuje się FBI. A każda sekunda zwłoki oznacza, że szanse na znalezienie jej żywej maleją.

— Tylko że to nie są zwykli porywacze. Grają o znacznie wyższą stawkę. Na dowód, że żyje, co parę godzin dzwonią i pozwalają Miltonowi zamienić z nią parę słów. Nie sądzę, by chcieli jej zrobić krzywdę. Przynajmniej nie teraz. Sytuacja jest patowa.

— A jaka w tym wszystkim była rola Patricka Johnsona?

— W tej sprawie niewiele mieli mi do powiedzenia. Myślę, że tobie mogą powiedzieć więcej. Ale z ich słów wynika, że tę zagadkę chyba też już rozwiązali.

Alex westchnął głęboko. Czekał go dzień wypełniony ostatnimi przygotowaniami do wizyty prezydenta i on jako agent Secret Service naprawdę nie powinien teraz myśleć o niczym innym. Nie miał wątpliwości, że od tej chwili wszystkie jego myśli będą krążyć wokół Klubu Wielbłądów. Boże, zmiłuj się nade mną!

— Alex, jesteś tam?

— Tak, jestem — mruknął.

— No i co o tym myślisz? Możemy przyjechać?

Jego wzrok padł na służbowy pistolet i przez moment zaświtała mu w głowie myśl, że może najlepiej byłoby z tym wszystkim skończyć.

— Alex!

— Tak, dobrze. Przyjedźcie.

— Możemy wziąć z sobą Adelphię? Martwi się o Olivera.

Tym razem już nie wytrzymał.

— No jasne, Kate. Weźcie z sobą Adelphię. I nie zapomnij też zaprosić pieprzonego klubu żyraf i małp. A skoro już się tu wybieracie, to może wstąp też do Białego Domu i zaprosz prezydenta. Na pewno cholernie się ucieszy. Może was wszystkich zabierze do Air Force One. I nie zapomnij mu wspomnieć o mnie. Żeby wiedział, czyj tyłek posadzić na ruszt, kiedy się tu zjawi!

— Dobrze, rozłączam się. Do zobaczenia jutro — wycedziła Kate irytująco spokojnym głosem.

Połączenie zostało przerwane i Alex runął bezwładnie na łóżko, jednak w tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

— Ford, pora ruszać. Jedziemy. — Głos należał do szefa ekipy. — Jesteś gotów, Ford? — dodał głośniejsze.

Alex zerwał się z łóżka i otworzył drzwi. Szef przyjrzał mu się podejrzliwie.

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

— Lepiej nie można.

Gdy Tom Hemingway wysiadł na ulicy miasteczka leżącego godzinę drogi od Frankfurtu nad Menem, zapadał już zmrok. Minął czyściutki pasaż handlowy, przeszedł obok katedry w stylu gotyckim, skręcił w zaułek i wszedł do kamienicy. Wjechał windą na trzecie piętro, zastukał do czwartych drzwi w głębi korytarza i usłyszał głos, który zaprosił go do środka.

Wszystkie światła w mieszkaniu były pogaszone, ale Hemingway niemal natychmiast skoncentrował uwagę na jednym z pogrążonych w ciemnościach narożników pokoju.

— Widzę, Tom, że twój szósty zmysł nadal cię nie zawodzi — powiedział mężczyzna, wyłaniając się z uśmiechem z mroku. Był Arabem, ale zamiast tradycyjnej galabii miał na sobie elegancki dwuczęściowy garnitur i turban na głowie. Ruchem ręki zaprosił gościa, by usiadł w fotelu przy stoliku, po którego drugiej stronie sam zajął miejsce. Hemingway czuł też obecność innych osób, ale nic nie powiedział.

Arab rozparł się w fotelu i złożył ręce na bocznych oparciach.

— Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem i przez blisko trzydzieści lat moim serdecznym przyjacielem. Poznał nas dobrze. Zadał sobie trud, by poznać nasz język, naszą religię i kulturę. Niestety w dzisiejszych czasach nikt już tak nie postępuje.

— Był kimś niezwykłym — potwierdził Hemingway. — Bardzo niezwykłym.

Mężczyzna uniósł ze stolika niewielki kubek z wodą i upił kilka łyków. Taki sam podał Hemingwayowi, ten jednak odmówił. Potem wręczył mu kartkę papieru.

— Zgodnie z umową — powiedział.

Hemingway bez czytania schował kartkę do kieszeni.

— Jestem pewien, że dużo nad tym myślałeś — rzekł.

— Myślę o tych sprawach przez całe życie. — Arab skinął głową.

— I dopilnujesz, żeby nikt nie przyjął na siebie odpowiedzialności?

— To już załatwione. Moi ludzie działają zgodnie z założeniami?

— To, że każde twoje polecenie wykonują bez najmniejszego ociągania, najlepiej świadczy o ich lojalności.

— To, co się stało, nie było tylko ukłonem wobec ciebie. Az-Zawahiri i inni jemu podobni zostali otumanieni przez twój kraj. Utracili więź z islamem. — Zamilkł i po przerwie dodał: — Jesteś pewien co do jutra?

— Tak.

— Bo ataku na supermocarstwo nigdy nie wolno lekceważyć.

— Ale nawet supermocarstwa składają się tylko z ludzi.

Arab pokręcił głową.

— Bardzo się od siebie różnimy. I tego twój kraj nie chce przyjąć do wiadomości.

— Może im bardziej się różnimy, tym bardziej jesteśmy do siebie podobni. Wszyscy pragniemy pokoju.

— Wybacz, ale przemawiają przez ciebie twoje buddyjskie mrzonki. — Znów upił kilka łyków wody. — Ameryka wydaje na zbrojenia więcej niż wszystkie pozostałe kraje świata razem wzięte. Żaden kraj nie ponosi takich wydatków w obronie pokoju. Robi to wyłącznie w celach zaczepnych. Wystarczy, by wasz prezydent nacisnął guzik, i cały świat arabski zniknie w dymach grzyba atomowego.

— Nie mamy żadnego powodu, by zrobić coś takiego. Na Bliskim Wschodzie następują ogromne zmiany. W miejsce dyktatur pojawiają się rządy demokratyczne.

— Tak, w miejsce dyktatur, które Ameryka pomogła ustanowić i które latami hołubiła. I dlatego obejmujące władzę reżimy demokratyczne nienawidzą Ameryki jeszcze bardziej niż dawniejsze dyktatury. Amerykanie wkroczyli do Iraku, nie rozumiejąc ani jego historii, ani kultury. Ameryka nie mogła pojąć, że to Wielka Brytania wydzieliła kiedyś tereny zwane Mezopotamią i utworzyła na nich kraj nazwany Irakiem. I że jego ludność składa się z szytów, sunnitów, Kurdów i dziesiątków innych grup etnicznych, które wzajemnie się nie kochają. Czy naprawdę myśleliście, że wystarczy wejść do Iraku, powiedzieć Irakijczykom, że są wolni, i wszystko będzie cacy? — Uniósł dłoń. — Nie da się bombami zmusić ludzi do demokracji. Potrzeba demokracji musi wyrosnąć z korzeni, a nie spaść z nieba. Muzułmanie w drodze do lokali wyborczych mijają leje po wybuchach, w których zginęły ich całe rodziny. Czy myślisz, że zaprowadzenie demokracji w stylu amerykańskim pozwoli im kiedykolwiek zapomnieć, kto zabrał życie ich mężom, żonom i dzieciom?

— Mój kraj musi się jeszcze nauczyć, że można być wolnym na różne sposoby. Obawiam się, że jak dotąd uznajemy tylko jeden, to znaczy nasz, sposób na rozwiązywanie wszelkich problemów — rzekł Hemingway.

Arab raz jeszcze pociągnął łyk wody.

— To bardzo piękne słowa, Tom. Boję się tylko, że wasi przywódcy wcale tak nie myślą. Wieczny Allah mógłby jednym ruchem ręki zetrzeć na proch waszą potężną armię. Niestety my, śmiertelni Arabowie, nie jesteśmy w stanie zwyciężyć was

metodami militarnymi, i to mimo dysponowania waszymi pieniędzmi i bronią. A w ślad za waszą wspaniałą amerykańską armią podąża amerykański biznes i amerykańskie rurociągi. Powiadasz, że waszym celem jest wolny świat. A przecież w Afryce jest dużo więcej dyktatorów niż na Bliskim Wschodzie, a przypadki ludobójstwa są tam znacznie bardziej drastyczne. A mimo to jakoś nie widać, by amerykańskie czołgi rozjeżdżały tamtejsze ziemie. Tylko że oczywiście Bliski Wschód dysponuje znacznie większymi złożami ropy naftowej. Nie myśl więc, że my, biedne arabskie pustynne dzikusy, nie zdajemy sobie sprawy z tego, że amerykańskie cele są dalekie od altruizmu. Przynajmniej tyle nam oddaj, Tom.

— Wolność jest czymś wspaniałym, przyjacielu, a Ameryka jest najbardziej wolnym krajem na świecie.

— Czyżby? Czyżbyś mówił o kraju, który przez dwieście pięćdziesiąt lat swego istnienia utrzymywał niewolnictwo, a przez następne sto *de facto* je podtrzymywał? Ale zetknąłem się też osobiście z wolnością w waszym rozumieniu. Ponad pięćdziesiąt lat temu Iranem rządził demokratycznie wybrany premier, który miał czelność znacjonalizować wydobycie ropy naftowej. Bardzo się to nie spodobało waszym koncernom naftowym, więc CIA pomogło obalić jego rząd i oddało władzę w ręce marionetkowego szacha. Jego żalosne uwielbienie dla wszystkiego co zachodnie doprowadziło w końcu do irańskiej rewolucji. I w tym momencie zgasły wszelkie nadzieje na prawdziwą demokrację. A tego rodzaju gry Ameryka prowadziła wszędzie na świecie, od Chile po Pakistan. Polityka świata zachodniego doprowadziła do rzezi milionów ludzi na całym świecie. — Przerwał i wbił wzrok w Hemingwaya. — Zatem co się stanie, jeśli nowy rząd Iraku nie spodoba się Ameryce?

— Ale przecież wiem, że sam też wierzysz w wolność — powiedział Hemingway cicho. — Jako dziecko przysłuchiwałem się waszym dyskusjom z ojcem.

— To prawda, że całe życie poświęciłem walce o pewne swobody, które wynikają ze słowa bożego. Wyraźnie dostrzegam zalety porządku, w którym ludzie mogą decydować o swoim losie. Nie akceptuję tego, jak w niektórych krajach arabskich traktuje się kobiety. I niedobrze mi się robi na widok wspaniałych pałaców, które wyrastają w otoczeniu nędznych

lepianek. W świecie muzułmańskim jest wiele problemów, które wymagają rozwiązania. Ale czy to na pewno wolność, gdy ktoś inny dyktuje ci, co masz robić? I dlaczego to nie może działać w obie strony? Ameryka reprezentuje sobą niecałe pięć procent ludności świata, ale jednocześnie zużywa ćwierć ogólnoświatowych zasobów energii. Biednych narodów nie stać na kupno potrzebnej im energii, a ich obywatele cierpią i umierają tylko dlatego, że Ameryka zabiera tak dużo dla siebie. Czy zatem te wszystkie biedne kraje nie powinny dokonać inwazji na potężnego dyktatora energetycznego, jakim jest Ameryka, i wymóc na nim, żeby zaczął zużywać mniej ropy naftowej i gazu? I co by wtedy powiedziała Ameryka?

— Jeśli tak uważasz, to czy mogę spytać, dlaczego zdecydowałaś się mi pomóc?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— To proste. Na każdego zabitego Amerykanina przypada śmierć setek Arabów. Arabscy zamachowcy-samobójcy dzielą się własnymi szeregami i giną tysiącami. Każdym kolejnym zamachem osłabiamy siebie i wzmocniamy pozycję Ameryki. — Przerwał i raz jeszcze napił się wody. — Zachodnia prasa z uporem powtarza, że zamachowcy-samobójcy giną w ten sposób, by prostą drogą trafić do raju. Ale Allah mówi przecież, że dobrem jest ratowanie życia. I że uratowanie jednego życia równa się uratowaniu wielu. Zatem czy musimy iść na rzeź, żeby trafić do raju? Dlaczego muzułmanie nie mogliby wieść spokojnego życia, wierzyć w Allaha, służyć Mu i tą drogą trafić do raju? W świecie zachodnim młodzież dorasta w pokoju. Czy nasze dzieci nie mają do tego prawa?

— Ależ oczywiście, że mają.

— Twój kraj żąda rzeczy niemożliwych i ty o tym wiesz. Jeśli nie liczyć konfliktu izraelsko-arabskiego, do czasu kryzysu energetycznego w latach siedemdziesiątych Ameryka w ogóle nie interesowała się Bliskim Wschodem. A potem przyszedł jedenasty wrzesień i zaatakowaliście talibów. I nie mam wam tego za złe. Na waszym miejscu zrobiłbym to samo. Jednak wasz obecny cel, by z dnia na dzień na całym Bliskim Wschodzie ustanowić demokrację, to czyste szaleństwo. Wymagacie od nas, byśmy w ciągu paru lat osiągnęli to, co wam zajęło całe wieki. — Zamilkł na chwilę. — I wcale nie chodzi

tu tylko o konflikt islamu z Zachodem. Przez tysiące lat narody arabskie rozwijały u siebie kulturę i zwyczaje nierozzerwalnie związane z pustynnym klimatem i skąpyimi zasobami naturalnymi, często opierając się na prawie plemiennym i męskich przywódców. I całymi latami Ameryce to nie przeszkadzało. A teraz, kiedy zaczęło jej to nagle przeszkadzać, Ameryka oczywiście uważa, że to my musimy się zmienić. I to natychmiast. Jak dotąd zginęło już sto tysięcy Irakijczyków, a w kraju panuje kompletny chaos. Tom, nie mogę tego uznać za godny pochwały postęp. Naprawdę nie mogę.

— Mogę zrobić tylko to, co jest w mojej mocy. Jeśli się nie uda, co ryzykujemy?

— Życie wielu szlachetnych ludzi — rzekł Arab surowo.

— Ale nie będzie to odbiegać od tego, co i tak się dzieje.

— Masz na wszystko odpowiedź. Zupełnie jak twój ojciec. To w Pekinie go zabili, prawda?

Hemingway w milczeniu przytaknął głową.

— Ale chyba nie Chińczycy? Są okrutni, ale nie głupi.

— Mam na ten temat swoją teorię — wzruszył ramionami Hemingway. — Oficjalnie nigdy tego nie ustalono.

— Z Chińczykami to ciekawa sprawa. Pewnego dnia zajmą miejsce Ameryki jako największa potęga gospodarcza. Ich armia jest dziesięciokrotnie liczniejsza od waszej i z każdym dniem staje się potężniejsza i bardziej zaawansowana technicznie. Już w tej chwili mogą zaatakować Stany Zjednoczone bronią jądrową. Mordują i wtrącają do więzień miliony swoich obywateli, a mimo to Ameryka nazywa ich przyjaciółmi i jednocześnie miażdży świat arabski pod hasłem wyzwolenia go spod ucisku. Wiesz, co my, Arabowie, na to mówimy? Mówimy: to teraz idźcie i wyzwólcie swoich przyjaciół Chińczyków. Tylko oczywiście Ameryka tego nie zrobi. Dlaczego? Bo Chińczycy nie będą się bronić za pomocą karabinów i samochodów-pułapek jak my. I dlatego zostawiacie ich w spokoju. I nazywacie swoimi przyjaciółmi.

— Jeśli o to chodzi, mój ojciec wcale nie był tak przyjaźnie do nich nastawiony.

— Bo był mądrym człowiekiem. A teraz jest już w lepszym świecie.

— Jestem ateistą. Tak że nie jestem pewien, gdzie teraz jest.

Arab przez chwilę patrzył na niego ze smutkiem.
— Tom, nie wierząc w Boga, krzywdzisz się.
— Wierzę w siebie.
— Ale gdy przestaniesz istnieć twoja fizyczna powłoka, co wtedy z tobą się stanie? — Arab zamilkł i po chwili dodał. — Nic?
— Moja wolność pozwala mi dokonać takiego wyboru — powiedział Hemingway z przekonaniem.
Arab podniósł się z fotela.
— Żegnaj, Tom. Życzę ci powodzenia. Już się więcej nie zobaczymy.

Chwilę później Tom był już w drodze do miejsca, gdzie zostawił samochód wynajęty z wypożyczalni. Rzucił okiem na papier otrzymany od przyjaciela i w myślach przetłumaczył arabski tekst. Rzeczywiście Arab pomyślał o wszystkim.

Tego wieczoru wsiadł w Frankfurcie do samolotu, który osiem godzin później miał wylądować w Nowym Jorku. Patrzył przez okienko na czyste rozgwieżdżone niebo, myśląc, czy bogów jest rzeczywiście tyle co gwiazd. Wedle pewnych religii tak właśnie mogło być. Ale w sumie nie było to dla niego ważne. Nigdy żaden Bóg nie wysłuchał jego modlitw, a to dla Hemingwaya stanowiło wystarczający dowód na to, że Boga nie ma.

Kilka tysięcy kilometrów dalej, po drugiej stronie Atlantyku, kapitan Jack patrzył w to samo rozgwieżdżone niebo i myślał o jutrzejszym dniu. Wszystko było gotowe i czekało tylko na przyjazd Jamesa Brennana i jego świty. Końcowym akcentem walki o utrzymanie ich przygotowań w ścisłej tajemnicy było zniszczenie wszystkich laptopów używanych przez jego ludzi. Od tej chwili żadnych więcej czatów na tematy filmowe. Będzie mu ich nawet trochę brakować.

Później tego wieczoru pojechał na lotnisko międzynarodowe w Pittsburghu, zostawił samochód na parkingu i wszedł do budynku terminalu. Jego oficjalna trasa podróży wyglądała dość zwyczajnie: z Pittsburgha na lotnisko O'Hare w Chicago, stamtąd do Honolulu i z Honolulu na Samoa Amerykańskie. Stamtąd małym prywatnym samolotem poleci na swoją ukochaną wyspę.

Misja kapitana Jacka w Brennan dobiegła końca. Nie miał zamiaru przebywać tu podczas samego zamachu. Byłoby to

zbyt ryzykowne. Ale choć jego zadanie tu się skończyło, w innym wymiarze dopiero się zaczynało. Nadszedł moment, by uruchomić plan awaryjny. Jego współpraca z Tomem Hemingwayem oficjalnie dobiegła końca, choć Tom nawet się tego nie domyślał. Miło było, ale się skończyło, drogi Tomie. Od tej chwili pracował dla Koreańczyków Północnych.

Kapitan Jack przeszedł odprawę biletową, nie oddał jednak na bagaż niewielkiej torby, którą zatrzymał jako bagaż podręczny. Poszedł do baru na drinka, potem wstąpił do toalety. Następnie pokręcił się trochę po lotnisku i nawet podszedł do bramki kontrolnej, jednak zamiast przez nią przejść, zawrócił, wyszedł z budynku, przeszedł na inny parking i wsiadł do czekającego tam samochodu. Potem ruszył na południe.

Dżamila usiadła przy kuchennym stole w swoim mieszkaniu i wpisała do dziennika datę i godzinę swojej śmierci. Ciekawa była, czy okaże się dokładna. Jeśli umrze jutro, to jej dziennik zostanie znaleziony i być może nawet przedrukują go w jakiejś gazecie wraz z jej pełnym nazwiskiem, które umieściła obok daty śmierci. Potem jednak coś ją naszło i wszystko wymazała. Czy to możliwe, by przeżyła jutrzejszą misję?

Stała w otwartym oknie i wyjrzała na zewnątrz, pozwalając, by łagodny wiaterek owionął jej twarz. Powietrze przesycone było wonią świeżo skoszonej trawy — zapachem do niedawna zupełnie jej nieznanym. Dokoła było cicho i spokojnie. Żadnych bomb, żadnej strzelaniny. Widać było spacerujących i rozmawiających ludzi. Na schodach budynku siedział jakiś starszy mężczyzna, pałac papierosa i popijając piwo. Dobiegały piski i śmiechy dzieci bawiących się na pobliskim placu zabaw. Była młoda i całe życie powinna mieć przed sobą. Ona jednak powoli zamknęła okno i wycofała się do ciemnego wnętrza.

— Nie dopuść, bym Cię zawiodła — łagodnie zwróciła się do Allaha. — Nie dopuść, Panie, bym Cię zawiodła.

Niecałe dwadzieścia minut drogi od mieszkania Dżamili Adnan ar-Rimi zakończył ostatnie modły tego dnia. Jak Dżamila, przez moment zatrzymał się nad prośbą do Allaha.

Zwinął i schował dywanik modlitewny. Modlił się tylko dwa razy dziennie: o świcie i wieczorem. Nie przestrzegał też zbyt ściśle ramadanu, uznając, iż jego żołądek za często i za długo pozostawał pusty, by teraz miał go głodzić. Zdarzało mu się też czasem zapalić i wypić alkohol. Nigdy nie odbył pielgrzymki do Mekki, bo nie było go na nią stać. Mimo tych wszystkich odstępstw uważał się za dobrego i wiernego muzułmanina. Całe życie ciężko pracował, pomagał innym w potrzebie, nie oszukiwał i nigdy nie kłamał. Za to zabijał. Zabijał z imieniem Allaha na ustach w obronie islamu i swojego sposobu na życie. Czasem zdawało mu się, że całe jego życie składa się tylko z tych trzech elementów: pracy, modlitwy i walki. Ciężko pracował po to, by jego dzieci nie musiały już walczyć. By nie musiały wysadzać w powietrze siebie i innych, żeby coś udowodnić. Ale teraz dzieci już nie żyły. Mimo wszystkich jego wysiłków nie uniknęły gwałtownej śmierci.

I teraz przed Adnanem zostało już tylko jedno zadanie.

Zamknął oczy i zaczął chodzić po mieszkaniu, odtwarzając z pamięci odległości, jakie będzie miał do przejścia w szpitalu. W przedpokoju skręcił w prawo, przeszedł czternaście kroków, obrócił się w prawo, w myślach otworzył drzwi i zszedł osiem stopni w dół, zawrócił na podeście i zszedł kolejne osiem, potem ruszył korytarzem i dotarł do wyjścia. Następnie powtórzył wszystko od początku, potem jeszcze raz i jeszcze raz.

Na koniec zdjął koszulę, stanął przed lustrem w łazience i przyjrzał się swemu ciału. Mimo iż nadal miał doskonałą sylwetkę, wokół mięśni pojawiło się jakieś zwiotczenie, bardziej pasujące do kogoś znacznie starszego niż do mężczyzny w kwiecie wieku. Liczne zewnętrzne urazy odniesione w minionych latach dawno się już zagoiły. Blizny w środku pozostaną na zawsze.

Usiadł na łóżku, wyjął z portfela dziesięć fotografii i rozłożył przed sobą. Były mocno postrzępione i wyblakłe i stanowiły jedyną pamiątkę po jego rodzinie. Kolejno zatrzymywał na nich spojrzenie, przywołując w pamięci związane z nimi chwile szczęścia i miłości. I rozpaczy. Tak jak wówczas, gdy za jakieś drobne przewinienie Saudyjczycy ścięli jego ojcu głowę. Do ścięcia głowy wystarczały zwykle dwa machnięcia szabłą. Jednak ojciec Adnana miał bardzo masywny kark i do przecięcia potrzebne były aż trzy machnięcia. Adnan miał wtedy osiem lat

i musiał na to patrzeć. Na wspomnienie tak strasznych chwil mało kto potrafiłby powstrzymać się od płaczu, jednak oczy Adnana pozostały suche. I tylko palce mu dygotały, gdy po kolei całował fotografie swych nieżyjących dzieci.

Parę minut później Adnan włożył kurtkę i wyszedł z mieszkania. Jazda rowerem do centrum Brennan nie trwała długo. Przypiął rower łańcuchem do stojaka i dalej poszedł pieszo. Dotarł do budynku Szpitala Miłosierdzia i obrzucił spojrzeniem swoje obecne miejsce pracy. Potem przeniósł wzrok na blok po drugiej stronie ulicy. Wiedział, że w jednym z mieszkań dwaj Afgańczycy, których znał jako ludzi metodycznych i obsesyjnie skrupulatnych, co jakiś czas sprawdzają swoje karabiny. Tak robią wszyscy dobrzy snajperzy.

Adnan ruszył dalej. Skręcił w przecznicę, potem w następną

i wszedł w wąski zaułek. Dwukrotnie zastukał do drzwi, ale odpowiedziała mu cisza. Wtedy zawołał coś w farsi, rozległy się kroki i usłyszał głos Ahmada, który także w farsi zapytał:

— Czego chcesz, Adnan?

— Porozmawiać.

— Jestem zajęty.

— Wszystko powinno już być gotowe. Masz jakiś problem?

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Ahmad z grymasem niezadowolenia na twarzy.

— Nie mam żadnych problemów — burknął, usunął się jednak na bok, by wpuścić Adnana.

— Pomyślałem, że dobrze będzie jeszcze raz wszystko przećwiczyć — powiedział Adnan, siadając na taborecie przy warsztacie. Jego wzrok padł na pojazd, który jutro miał odegrać jakże ważną rolę.

— Dobrze to wygląda. — Kiwnął głową z uznaniem. — Świetna robota, Ahmad.

— Jutro się okaże, czy świetna.

Następne dwadzieścia minut spędzili na omawianiu kolejnych jutrzejszych zadań.

— O nas się nie martwię — rzekł na koniec Ahmad posępnym głosem. — Martwi mnie ta kobieta. Co to za jedna? Gdzie była szkolona?

— To nie twój problem — odparł Adnan. — Jeśli ją do tego wybrali, to na pewno się nadaje i dobrze się sprawi.

— Kobiety nadają się tylko do rodzenia dzieci, gotowania i sprzątania.

— Żyjesz przeszłością, przyjacielu.

— Przeszłość dla muzułmanów była wspaniała. Mieliśmy wszystko co najlepsze.

— Ale świat nas wyprzedził i poszedł dalej, Ahmad. Żeby muzułmanie mogli wrócić do świetności, musimy dogonić świat. I musimy światu pokazać, na co nas stać. A stać nas na dużo.

Ahmad splunął na podłogę.

— Oto co myślę o świecie — rzucił z odrazą. — Niech nas świat zostawi w spokoju.

— Po jutrzejszym dniu okaże się, kto ma rację.

Ahmad pokręcił wolno głową.

— Za bardzo wszystkim ufasz. Ufasz temu Amerykaninowi, który we wszystko się wtrąca.

— Jest może Amerykaninem, ale jest też odważny i wie, co robi — powiedział Adnan, świdrując Irańczyka wzrokiem.

— Swoje zadanie na pewno wykonam — rzekł twardo Ahmad.

— Nie wątpię, bo będę tuż obok i sam tego dopilnuję.

— Uważasz, że potrzebuję Irakijczyka do pomocy? — warknął Ahmad.

— Jutro nie będziemy Irakijczykami, Irańczykami czy Afgańczykami — odparł Adnan. — Jutro wszyscy będziemy muzułmanami w służbie Allaha.

— Nie waż się kwestionować mojej wiary — powiedział Ahmad z groźbą w głosie.

— Niczego nie kwestionuję. Tylko Allah ma prawo zaglądać do dusz swego ludu. — Adnan ruszył do wyjścia, jednak przy drzwiach zatrzymał się i odwrócił. — Do zobaczenia jutro, Ahmad.

— Do zobaczenia w raju — odpowiedział Irańczyk.

ROZDZIAŁ 51

Air Force One wylądował na międzynarodowym lotnisku w Pittsburghu punktualnie o trzynastej. Cały ruch lotniczy został w tym czasie wstrzymany lub skierowany gdzie indziej. Tak samo miało też być kilka godzin później, podczas startu prezydenckiego samolotu. Długi rząd samochodów od dawna czekał gotów do drogi. W orszaku prezydenckim obowiązywała święta zasada, której niedopełnienie groziło poważnymi konsekwencjami: w chwili gdy prezydencki tyłek dotykał siedzenia w Bestii, cała kawalkada ruszała z miejsca. I jeśli w tym momencie ktoś nie był gotowy do drogi, tym gorzej dla niego.

Trasa przejazdu prezydenckiej kawalkady została przez funkcjonariuszy Secret Service dużo wcześniej zamknięta dla ruchu i poirytowanym kierowcom pozostawało tylko siedzieć i obserwować przejazd Bestii i pozostałych dwudziestu sześciu pojazdów. Prócz Brennana, w prezydenckiej limuzynie jechali także jego żona, szefowa personelu, gubernator Pensylwanii i Carter Gray.

Gdy kawalkada dotarła do miejsca uroczystości, na placu było już ponad dziesięć tysięcy widzów, którzy przybyli z flagami i transparentami głoszącymi poparcie dla miasta i głowy państwa. Wzdłuż ogrodzenia stały rozstawione wozy transmisyjne wszystkich krajowych sieci telewizyjnych, a po terenie kręcili się wymuskani i idealnie ufryzowani sprawozdawcy obojga płci, a także znacznie od nich młodszy i równie idealnie ufryzowani reporterzy z nieco bardziej luzackich sieci

kablowych. Wszyscy mieli za zadanie przekazać krajowi i światu sprawozdanie z uroczystości, okraszone własnym komentarzem. Jak można się było spodziewać, młodszy traktowali uroczystość ze znacznie większą dozą cynizmu.

Alex początkowo ustawił się obok podium, potem jednak wyszedł na plac przedzielony sznurem i ruszył w stronę kawalkady prezydenckiej, która właśnie wjeżdżała. Na moment zamarł, gdy dojrzał w tłumie twarze Kate, Adelphii i całego Klubu Wielbłądów. Znajdowali się mniej więcej w środku, ale systematycznie przesuwali się wolno do przodu. Kate pomachała ręką na znak, że też go dostrzegła. Nie odmachał jej, niemal niepostrzeżenie skinął głową i natychmiast powrócił do wypatrywania w tłumie potencjalnych zagrożeń. W tak liczny i rozkrzyczanym tłumie było to praktycznie niewykonalne. Wiedział jednak, że we wszystkich wejściach dla publiczności zainstalowano magnetometry, dzięki czemu ochrona była nieco spokojniejsza. Potoczył wzrokiem po drzewach wokół placu, gdzie rozmieszczono antysnajperów, jednak żadnego nie dojrzał. Jeśli do czegoś dojdzie, pomyślał, to dobrze chłopcy celujcie.

Prezydent wysiadł i został natychmiast otoczony szczelnym murem z kevlaru i ciał agentów grupy A. Alex znał ich wszystkich i wiedział, że są twardzi jak skała.

Prezydent wszedł na podium i przywitał się z kilkoma osobistościami, a jego żona, gubernator, szefowa personelu i Carter Gray usiedli na krzesłach przygotowanych w głębi podium. Chwilę później dołączył do nich Brennan.

Uroczystość rozpoczęła się dokładnie zgodnie z planem. Burmistrz miasta i kilku miejscowych dygnitarzy zabierali kolejno głos, starając się swymi przemówieniami przebić rywali, zwłaszcza w wynoszeniu pod niebiosa zasług prezydenta i walorów miasta. Potem głos zabrał gubernator, który przeciągnął nieco wyznaczony mu limit czasu, co spowodowało, że szefowa personelu zaczęła się groźnie marszczyć i nerwowo stukać wysokim obcasem. Następnym przystankiem dla Air Force One było Los Angeles, gdzie zaplanowano wiec połączone ze zbieraniem datków na kampanię, co jej zdaniem było czymś znacznie ważniejszym niż nadanie nazwiska jej bossa prowincjonalnemu — choć niewątpliwie ambitnemu — miasteczku w Pensylwanii.

Alex nie przestawał wodzić wzrokiem po publiczności. Zwrócił uwagę na grupę mężczyzn w mundurach, którzy stali w pierwszym rzędzie tuż za sznurem. Z ich mundurów wynikało, że większość służyła w regularnej armii. Wielu brakowało jednej lub więcej kończyn, co zapewne stanowiło pamiątkę po służbie na Bliskim Wschodzie. Było też wśród nich kilku weteranów Gwardii Narodowej, wśród nich jeden z hakiem zamiast lewej dłoni. Alex z żalem pokręcił głową na myśl o ich poświęceniu. Był pewien, że po przemówieniu Brennan przejdzie wzdłuż sznura i zamieni z weteranami kilka słów. Zawsze pamiętał o takich gestach.

Wyłowił też z tłumu wiele twarzy o wyraźnie bliskowschodnich rysach. Ubrani byli jak inni i jak inni trzymali transparenty i mieli plakietki z hasłem „Brennan znów prezydentem” przypięte do ubrań. Też wyglądali na patriotów szczęśliwych i dumnych ze swego prezydenta. Alex nie mógł podejrzewać, jak daleko było wielu z nich do amerykańskiego patriotyzmu, nie mówiąc już o szczęściu i dumie z prezydenta.

Ludzie kapitana Jacka stali w kilkuosobowych grupkach w różnych miejscach wśród publiczności i rozmieszczeni byli tak, by ich ogień mógł jak najszerzej pokryć pole przed podium. Wszyscy zdążyli już wypatrzeć weterana Gwardii Narodowej z hakiem zamiast lewej dłoni. Od tej chwili reszta była prosta, bo mężczyzna nie ruszał się ze swego miejsca przy sznurze, czekając na uścisk dłoni prezydenta.

Wszystko czekało już tylko na jednego człowieka: Jamesa Brennana.

Mniej więcej w czasie, gdy Air Force One podchodził do lądowania w Pittsburghu, z lądowiska helikopterów w centrum Nowego Jorku wystartował smukły, czarny śmigłowiec i obrał kurs na południe. Obok pilota w lotniczym kombinezonie siedział drugi mężczyzna, też w stroju pilota. Jeden z tylnych foteli zajął Tom Hemingway. Trzymał w ręku przenośny telewizorek i z napięciem wpatrywał się w ekran. Tłum w Brennan był bardzo liczny i na placu panował już niezły ścisk. To go martwiło najbardziej. Ten wielki tłum.

Spojrzał na zegarek i upomniał pilota, żeby się nie guzdrał. Śmigłowiec pognał tuż nad wieżowcami Manhattanu.

Ostatnie dwie godziny Dżamila spędziła na wycieczce z dziećmi. Wróciła do domu Franklinów z postanowieniem, że przygotuje im teraz szybki lunch i zaraz potem wyruszy w drogę. Trzymając na biodrze niemowlę i ciągnąc za sobą obu starszych chłopców, otworzyła drzwi wejściowe i zamarła z przerażenia, niemal upuszczając niemowlaka.

W holu stała Lori Franklin ubrana jeszcze w strój do tenisa, choć już bosa, i gadała przez telefon. Uśmiechnęła się do Dżamili i na migi dała jej znak, że zaraz skończy.

Gdy odwiesiła słuchawkę, Dżamila niemal wybuchła.

— Nie spodziewałam się pani w domu, proszę pani. Pani mówiła, że do klubu na tenisa, potem tam lunch.

Lori opadła na kolana i kolejno przytuliła obu synów, którzy radośnie ruszyli w jej stronę, potem przejęła od Dżamili niemowlaka.

— Wiem, Dżamilo, ale zmieniałam plany. Rozmawiałam ze znajomymi z klubu i okazało się, że wszyscy wybierają się na uroczystość z prezydentem. Więc ja też postanowiłam pójść. — Pochyliła się nad dwoma starszymi chłopcami. — Wy też pójdziecie z mamusią.

Dżamila prawie się zachłysnęła.

— Pani ich zabiera?

Franklin wyprostowała się i pomachała pulchną piąstką niemowlaka.

— I tego małego obywatela też. Chcesz zobaczyć pana prezydenta? Chcesz? — zagadała do niemowlaka, potem spojrzała na Dżamilę. — Zapowiada się dobra zabawa. No i prezydent nie bywa tu codziennie.

— Jedzie pani na uroczystość? — powtórzyła Dżamila, jakby wciąż nie wierzyła własnym uszom.

— W końcu głosowałam na niego, chociaż George uważa go za idiotę. Ale to już nasz problem — dodała.

— Ale, proszę pani, tam będzie straszny ścisk. Czytałam w gazetach. Pani myśli, że to dobre dla dzieci? One są takie małe i...

— Wiem, też się nad tym zastanawiałam. Ale potem doszłam do wniosku, że będzie to dla nich wspaniałe przeżycie, nawet jeśli tego nie zapamiętają. Jak dorosną, będą mogli mówić, że tam byli. Wskoczę teraz na chwilę pod prysznic i chciałabym, żebyśmy przed wyjściem zjedli lunch.

— My? Chce pani, żebym ja też poszła?

— Ależ oczywiście. Potrzebna mi będzie twoja pomoc z tymi urwisami i ich rzeczami. A co do tych tłumów, to masz rację, więc przyda nam się dodatkowa para oczu, żeby się dzieci nie pogubiły.

— Ale ja mam tu dużo pracy — powiedziała Dżamila głucho, jakby naprawdę myślała tylko o domowych obowiązkach.

— Nie wygłupiaj się. Dla ciebie to też będzie ciekawe doświadczenie. Na własne oczy zobaczysz, dlaczego ten kraj jest tak wspaniały. Wiesz, może się nawet zdarzyć, że poznamy samego prezydenta. George'a szlag by trafił z zazdrości, nawet jeśli go naprawdę nie lubi.

Franklin poszła na górę wykąpać się i przebrać, Dżamila przysiadła na krześle, by choć trochę opanować rozdygotane nerwy. Najstarszy z chłopców pociągnął ją za bluzkę i poprosił, żeby z nimi poszła do pokoju dzieciennego. W pierwszej chwili odmówiła, potem jednak wstała i ruszyła do ich pokoju. Słyszając lejącą się wodę w łazience na górze, pomyślała, że potrzebna jej teraz chwila spokoju na zastanowienie.

Włożyła niemowlaka do kojca i pobawiła się trochę ze starszą dwójką. Potem poszła do łazienki i spryskała twarz zimną wodą. Z góry wciąż słychać było szum lejącej się wody. Dżamila wiedziała, że Franklin nie umie brać szybkich pryszniców.

W końcu podjęła decyzję. Wiedziała, że nie da rady się z tego wypłatać, poszła więc po torebkę.

— Nadciąga burza — powiedziała pod nosem, by przećwiczyć wymowę, zanim wypowie hasło przez telefon komórkowy. Dwa proste słowa i dla niej problem będzie rozwiązany, choć i tak skóra jej cierpła. Co innego dla Lori Franklin, która akurat dziś wpadła na pomysł matkowania chłopcom.

Na widok torby Dżamila zamarła. Leżała na podłodze, przewrócona do góry dnem. Widocznie postawiła ją na krześle

i zapomniała przełożyć wyżej. Uklękła i zaczęła grzebać w rozsypanej po podłodze zawartości. Komórka! Gdzie jest jej komórka?

Pobiegła do pokoju dziecinnego i podeszła do Timmy'ego, najstarszego z chłopców, który miał zwyczaj tak długo dobierać się do jej torby, póki jej nie odstawiła poza zasięg jego rąk. Podniosła go i spytała jak najspokojniej:

— Gdzie jest telefon Nany? Timmy niedobry chłopiec. Znowu zabrał telefon Nany?

Chłopiec kiwnął głową i z dumą się uśmiechnął.

— To teraz niedobry chłopiec pokaże Nanie, gdzie jest jej telefon. Nana potrzebuje telefon. Timmy pokaże Nanie, okej?

Tyle tylko, że Timmy najwyraźniej zapomniał, gdzie go schował. Spędzili następne dziesięć minut na przeszukiwaniu miejsc, do których ją kolejno prowadził, a każde następne niepowodzenie wpędzało ją w coraz większą rozpacz. A potem na górze zapanowała nagle cisza: woda przestała się lać. Spojrzała na zegarek. Jeśli w najbliższym czasie nie wyruszy, nie zmieści się w harmonogramie. W głowie czuła gonitwę myśli. Potem wpadła na pomysł: może przecież zadzwonić z telefonu Franklinów na swój numer, komórka zadzwoni i w ten sposób ją znajdzie. Nerwowo krążąc po pokoju, wybrała swój numer. W słuchawce jej telefon dzwonił, w domu panowała jednak cisza. Bawiąc się, Timmy musiał niechcący wyłączyć sygnał dźwiękowy. Wpadła na inny pomysł. Przecież może po prostu przekazać hasło przez telefon Franklinów. Zaczęła wybierać numer, ale w połowie przerwała, bo uzmysłowiła sobie, że nic z tego nie wyjdzie. Człowiek po drugiej stronie po prostu nie odbierze. Uprzedzono ją, że odbierze telefon tylko wówczas, gdy na jego wyświetlaczu ukaże się numer i imię Dzamili. Podbiegła do okna i rozejrzała się. Może uda jej się go wypatrzeć? Mogłaby mu wtedy dać jakiś znak. Nie dojrzała nikogo. Była zupełnie sama.

Usłyszała dochodzące z góry kroki. Pobiegła do kuchni i otworzyła jedną z szuflad. Wyjęła nóż do steków, po cichu weszła na górę i zapukała do drzwi sypialni Franklinów.

— Tak?

— Proszę pani?

— Proszę, możesz wejść.

Otworzyła drzwi, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Spojrzała na Franklin, która owinięta w ręcznik rozkładała na łóżku części garderoby.

Podniosła głowę i spojrzała na Dżamilę.

— Powinnam była zostawić sobie więcej czasu na decyzję.

Chłopcy już gotowi?

— Proszę pani?

— Tak?

— Proszę pani, ja naprawdę myślę, żeby pani pojechała sama. Niech chłopcy lepiej zostaną ze mną.

— Głupstwa mówisz, Dżamilo. Pojedziemy wszyscy razem. Jak myślisz, który? Niebieski czy zielony? — Wyciągnęła ku niej dwa zestawy.

— Niebieski — odparła machinalnie Dżamila.

— Też tak myślę, A teraz jeszcze buty.

Weszła do garderoby i zaczęła grzebać w butach.

— Proszę pani, ja naprawdę myślę, żeby pani pojechała sama.

Franklin wynurzyła się z garderoby. Na jej twarzy malowała się już lekka irytacja.

— Dżamilo, nie mogę cię zmusić, żebyś z nami poszła. Ale oświadczam, że ja z chłopcami pojedę. — Splotła ręce na piersiach i obrzuciła nianię niechętnym spojrzeniem. — Powiedz mi szczerze, nie chcesz patrzeć na naszego prezydenta? O to ci chodzi?

— Nie, nie o to...

— Bo wiem, że między Ameryką i twoją częścią świata panują bardzo napięte stosunki, ale to jeszcze nie znaczy, że nie możesz okazać szacunku przywódcy naszego kraju. W końcu sama tu przyjechałaś. I masz przed sobą wiele możliwości. A najbardziej mnie złością tacy, którzy tu do nas przyjeżdżają, zbijają majątek, a potem jęczą i narzekają, jacy to jesteśmy okropni. Jak nas tak strasznie nienawidzą, to mogą się stąd wynosić i wracać do siebie!

— Proszę pani, ja nie nienawidzę. Nawet po tym wszystkim, co wasz kraj zrobił mojemu narodowi, ja go nie nienawidzę.

Nim skończyła mówić, już wiedziała, że popełniła straszny błąd.

— A cośmy, do cholery, takiego straszego zrobili Arabii

Saudyjskiej? Mój kraj poświęcił mnóstwo pieniędzy i czasu na to, żeby wyswobodzić Bliski Wschód, i co z tego mamy? Tylko cierpienia, nędzę i wyższe podatki. — Franklin dla uspokojenia zaczerpnęła głęboko powietrza. — Słuchaj, nie chcę się z tobą wdawać w dyskusję, naprawdę. Po prostu pomyślałam, że będzie miło, jeśli wszyscy razem zjemy fajny lunch i wybierzemy się na uroczystość. Jak się nam tam nie spodoba albo będzie zbyt wielki ścisk, to wyjdziemy, zgoda? Więc teraz proszę, żebyś przygotowała chłopców do wyjścia. Zejdę na dół za jakieś dwadzieścia minut. — Odwróciła się plecami i ponownie weszła do garderoby.

Dzamila wyciągnęła z kieszeni nóż. Teraz musi być odważna. Zrobiła krok do przodu i aż zeszywniała. Franklin niespodziewanie wyszła z garderoby i stała, wpatrując się w nią z ustami otwartymi ze zdumienia.

— Dzamila? — powiedziała niepewnym głosem, patrząc to na nóż, to na twarz niańki. To co w niej wyczytała nie pozostawiło jednak żadnych wątpliwości. — O mój Boże — jęknęła i rzuciła się z powrotem do garderoby, próbując zatrzaskać za sobą drzwi, jednak Dzamila była szybsza. Chwyliła Franklin za włosy i przytknęła jej nóż do szyi.

Lori Franklin zaczęła szlochać.

— Dlaczego mi to robisz? — krzyknęła histerycznie. — Chcesz skrzywdzić moje dzieci! Zabiję cię, jeśli ich dotkniesz!

— Nic nie zrobię twoim synom. Przysięgam.

— To dlaczego mi to robisz?

— Nie pójdziesz zobaczyć prezydenta! — Dzamila też zaczęła prawie krzyczeć. — Kładź się na podłozie! Ale już, bo nie zobaczysz, jak twoi synowie dorastają. — Docisnęła ostrze do szyi Franklin.

Dygocąc, Franklin położyła się na brzuchu.

— Nie waż się tknąć moich dzieci!

Dzamila wyciągnęła rękę, wyszarpnęła ze ściany przewód telefoniczny i związała nim ręce Franklin. Potem obwiązała nim stopy, tak że leżąc nie mogła się ruszyć. Na koniec urwała kawałek prześcieradła i zakneblowała jej usta.

Ledwie skończyła, rozległo się pukanie i usłyszała cichy głos Timmy'ego:

— Mama? Nana?

Franklin szarpnęła głową, bezskutecznie starając się wydobyć z siebie głos. Zrobiła to za nią Dżamila, która zupełnie spokojnym głosem powiedziała:

— Wszystko w porządku, Timmy. Nana zaraz przyjdzie. Idź teraz do braci.

Odczekała chwilę, słuchając oddalającego się tupotu, potem spojrzała na Franklin. Wyjęła z kieszeni niewielką fiolkę, skropiła płynem róg ręcznika i docisnęła go do ust i nosa Franklin.

Amerykanka kilka razy szarpnęła się, zakrztusiła i pogrzyżyła w narkotycznym śnie.

Dżamila przeciągnęła nieprzytomną Franklin do garderoby i zamknęła drzwi.

Potem zeszła na dół, ubrała chłopców i zapakowała ich do vana. Od chwili gdy zaczęła działać, praktycznie niemal przestała myśleć. Jej ruchy stały się automatyczne. Dokładnie takie, jakich jej nauczono.

Minutę po jej wyjeździe zadzwonił telefon i długo nie przestawał dzwonić.

George Franklin w końcu odłożył słuchawkę i wykręcił numer komórkowy żony. Kiedy i tu nikt się nie odezwał, postanowił zadzwonić pod numer Dżamili. Jej telefon zaczął błyskać w jednej z kuchennych szuflad, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Podczas upychania telefonu Nany w szufladzie Timmy rzeczywiście niechcący wyłączył sygnał dźwiękowy.

George Franklin w końcu zrezygnował i odłożył słuchawkę. Brak reakcji specjalnie go nie zaniepokoił, natomiast trochę zirytował. Nie pierwszy raz nie udawało mu się złapać żony przez telefon, choć Dżamila zazwyczaj odbierała, gdy dzwonił na jej komórkę. Chciał poprosić żonę, żeby mu podrzuciła do biura coś, co przez nieuwagę zostawił w domu. Potrzebował tego i jeśli nie uda mu się którejś szybko znaleźć, będzie musiał sam się pofatygować. Na razie wrócił do czytania papierów rozłożonych na biurku.

ROZDZIAŁ 52

Brennan skończył przemówienie i wśród owacji publiczności otrzymał od burmistrza symboliczny klucz do miasta. Kilka minut później zszedł z podium i jak zwykle otoczył go szczelny mur agentów ochrony.

Alex stał jakieś dwadzieścia metrów dalej koło Bestii i obserwował publiczność — zapewne największy tłum w historii miasteczka.

Nim prezydent uczynił pierwszy krok w stronę sznura oddzielającego wiwatujących widzów, szef ochrony tej części placu raz jeszcze przypomniał zasady.

— Dobra, kochani, więc jak mówiliśmy: wszystkie rączki w powietrzu, tak żeby je było widać.

Swoje pierwsze kroki Brennan skierował ku grupie umundurowanych weteranów. Było wśród nich kilku żołnierzy regularnej armii, dwóch marines, młoda kobieta w niebieskim stroju i kilku członków Gwardii Narodowej. Prezydent ścisnął kolejno dłonie, dziękował żołnierzom za ich poświęcenie, uśmiechał się i sunął wolno do przodu, a wszędzie pstrykały aparaty fotograficzne. Pochylił się, by uścisnąć rękę żołnierza na wózku, a ochroniarze z Secret Service natychmiast chwycili go za marynarkę, jednocześnie omiatając wzrokiem wszystkich stojących na wyciągnięcie ręki od prezydenta. Następnym przy sznurze był kaleki weteran w mundurze Gwardii Narodowej.

Brennan podał mu rękę i gwardzista mocno uścisnął ją swą protezą. Dotknięcie sztucznej dłoni nieco zmieszało Brennana,

który najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że ściska protezę, jednak bardzo szybko się opanował. Poczul na dłoni jakąś wilgoć i dyskretnie wytarł ją o drugą. Podziękował gwardziście za jego służbę dla kraju, ten zaś zasalutował naczelnemu wodzowi drugą ręką, a właściwie hakiem. To też nieco prezydenta zaskoczyło, ale już bez słowa podążył dalej, odpowiadając na pozdrowienia rzucane z tłumu i ściskając rękę następnego członka Gwardii Narodowej, potem dwóch weteranów w starszym wieku, młodej kobiety i jakiejś starszej pani, która cmoknęła go w policzek.

W tym czasie Pierwsza Dama w towarzystwie gubernatora i szefowej personelu schodziła powoli z podium, zatrzymując się i zamieniając parę słów z otaczającymi ją notablami. Gray też wstał z miejsca i potoczył obojętnym wzrokiem po publiczności. Z jego zachowania wynikało, że niewątpliwie wolałby być gdzie indziej. A potem jego wzrok padł nagle na twarz Olivera Stone'a i w ułamku sekundy jego obojętność uleciała, choć Stone nie mógł o tym wiedzieć.

Odwrócił się do stojącego obok agenta, chcąc coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Pierwszy zareagował agent ochrony stojący po lewej stronie prezydenta. Coś było nie w porządku. Na czole prezydenta pojawiły się krople potu, prezydent chwycił się za głowę, potem przycisnął dłoń do klatki piersiowej.

— Panie prezydencie...

— Źle się... — zaczął Brennan, ale już nie dokończył, bo zaczął łapczywie chwytać powietrze. Na jego twarzy widać było przerażenie.

Agent natychmiast podniósł rękę i zaczął mówić do mikrofonu przy nadgarstku, posługując się kryptonimem prezydenta.

— Krukodziób chory. Powtarzam, Kruko...

Nie zdążył dokończyć, bo w tym momencie runął na ziemię. Pierwsza seria ścięła też z nóg sześciu innych agentów ochrony i pięciu policjantów w bezpośrednim sąsiedztwie prezydenta.

— Broń! — wykrzyknęło kilkunastu innych, dając w ten sposób hasło do wdrożenia wyuczonej procedury obronnej. W tłumie wybuchła panika, ludzie rozbiegali się we wszystkie strony, starając się uciec jak najdalej.

W ciągu kilku sekund od rozpoczęcia strzelaniny czterech

arabskich terrorystów padło od kul antysnajperów ukrytych na drzewach wokół placu. Zważywszy na pandemionium, jakie obserwowali przez lunety dalekosiężnych karabinów, strzelcy ci niemal dokonali cudu.

Z miotającego się tłumu w stronę stojącej kawalkady prezydenckiej wyskoczyło teraz trzech fedainów. Każdy zapalił zapalniczkę i przytknął ją do paczki ukrytej pod odzieżą. Chwilę później wszyscy trzej zamienili się w płonące pochodnie. Jeden z nich rzucił się pod koła ambulansu, który błyskawicznie stanął w płomieniach. W obawie przed nieuchronnym wybuchem zbiornika z paliwem tłum zaczął uciekać w drugą stronę.

Kilkunastu agentów rzuciło się do przodu i wcisnęło w nacierający tłum, tworząc ochronny krąg wokół prezydenta, który ze śmiertelnie pobladłą twarzą osunął się na ziemię. Druga kanonada dosięgła kolejnych pięciu spośród tej grupy. Pozostali agenci chwycili prezydenta i ruszyli biegiem do Bestii, wykonując przy tym tak błyskawiczne i tak doskonale zsynchronizowane ruchy, jakby byli odnóżami ogromnego mechanicznego robaka. Trafionych zostało kolejnych dwóch agentów. Obaj runęli obok rozciągniętego na ziemi ciała Edwarda Bellamy'ego — osobistego lekarza prezydenta, który padł trafiony pierwszą serią.

Gdy w końcu udało się donieść prezydenta do Bestii, na nogach trzymało się już tylko dwóch agentów. Rzuciła się im na pomoc grupka policjantów, ale niemal wszyscy od razu padli od trzeciej serii, która w tym momencie się rozpoczęła. Pozostali policjanci próbowali zapanować nad tłumem szarżującym na ogrodzenie i rzucającym się z krzykiem do wyjść. Mężowie szarpali za ręce żony, rodzice ciągnęli za sobą dzieci, by jak najszybciej wydostać się z miejsca masakry.

Trzech następnych zamachowców padło od kul federalnych antysnajperów, którzy opuścili swe kryjówki i ruszyli w stronę prezydenta. Posuwali się jednak bardzo powoli, bo musieli walczyć z naporem oszalałego tłumu, który parł w przeciwną stronę.

Nastąpił drugi atak fedainów i kolejne pojazdy z prezydenckiej kawalkady stanęły w płomieniach.

Carter Gray stał na podium jak skamieniały. Dawno otrząsnął się ze zdumienia, jakie ogarnęło go na widok Olivera Stone'a wśród publiczności i czuł już tylko przerażenie na widok rozgrywających się przed nim scen. Żona prezydenta krzyczała coś w stronę męża, jednak jej głos utonął w ogólnym zgiełku. Ich grupkę, złożoną z niej, Graya i szefowej personelu, otaczało trzech agentów Secret Service z bronią gotową do strzału. Nieszczęsny gubernator popełnił błąd, zeskakując z podium, gdyż porwał go rozgorączkowany tłum, który stał się niemal równie groźnym żywiołem, jak strzelcy czy ludzie-pochodnie. Na podium napierały tysiące oszalałych ze strachu ludzi, starających się uciec z piekła, i pod ich naporem konstrukcja nośna zaczynała z wolna ustępować.

Podczas przemówień Kate, Adelfia i członkowie Klubu Wielbłądów konsekwentnie przeciskali się do przodu i gdy prezydent skończył swoje wystąpienie, od sznura dzieliły ich już tylko dwa rzędy widzów. Dzięki temu Reuben Rhodes znalazł się tuż obok jednego ze strzelców, choć w pierwszej chwili nie zauważył nic podejrzanego. Całą jego uwagę przykuwał ogromny ekran telewizyjny, na którym widać było prezydenta ściskającego dłonie weteranom. Zorientowawszy się, co się dzieje, instynktownie wrzasnął „broń” i rzucił się na zamachowca, któremu wykręcił rękę i wyszarpnął pistolet. Chwilę po tym zamachowiec padł rażony w głowę naddźwiękowym pociskiem antysnajpera. Reuben rzucił pistolet na ziemię, chwycił Kate i Adelfię za ręce i pociągnął za sobą. Wszyscy troje wraz z resztą Klubu Wielbłądów zaczęli przedzierać się w stronę ogrodzenia.

— Dalej! — krzyknął Stone. — Jeszcze trochę!

Kate odwróciła się i spojrzała w stronę Bestii. Chciała odnaleźć wzrokiem Aleksa i upewnić się, że nic mu się nie stało, jednak w tym samym momencie ktoś ją potężnie popchnął i poleciała do przodu.

Alex zareagował na pierwszą serię strzałów całkowicie mechanicznie, pozwalając swym mięśniom wykonywać wyuczone czynności. Z pistoletem w dłoni przepchnął się do grupki agentów niosących bezwładne ciało prezydenta w stronę

Bestii. Bez wahania zastąpił trafionego agenta i wraz z pozostałymi poniósł prezydenta do limuzyny, pomagając umieścić go w środku. To samo zrobiło dwóch innych agentów ochrony. Agent wyznaczony do prowadzenia Bestii otworzył drzwi kierowcy, ale w chwili gdy miał już wsiąść do środka, osunął się bezwładnie na trawę, trafiony pociskiem zamachowca.

Alex bez namysłu skoczył do drzwi, zgarnął z przedniego fotela kluczyki i uruchomił silnik, naciskając jednocześnie pedał gazu i klakson. Na szczęście większość widzów przeniosła się na przeciwległą stronę placu, gdzie znajdowało się więcej wyjść, ale limuzynę i tak otaczał miotający się na wszystkie strony tłum. Aleksowi udało się wypatrzeć kawałek wolnej przestrzeni i tam skierował samochód. Wcisnął pedał gazu i Bestia wystrzeliła do przodu. Przedała się przez bramę, wypadła na parking i lawirując między ludźmi biegnącymi do swych samochodów, zaczęła przedzierać się do wyjazdu. Zawadziła zderzakiem o przód półciężarówki, ale Alex nawet tego nie zauważył.

Reszta samochodów należących do prezydenckiej kawalkady też ruszyła z miejsca i pognała za Bestią. Jednak nim pierwszy z nich — radiowóz policji stanowej — dotarł do bramy, podpalił się ostatni z fedainów i rzucił na maskę. Policjantom udało się wprawdzie wyskoczyć, nim radiowóz stanął w płomieniach, ale wciśnięty w wąską bramę i płonący jak pochodnia pojazd praktycznie zatarasował wyjazd reszcie kawalkady. W innych okolicznościach skierowano by je wprost na ogrodzenie, lecz tym razem uniemożliwiły to oblepiające je tłumy.

Przynajmniej Bestii się udało. Przynajmniej prezydent jest bezpieczny, przemknęło przez głowę jednemu z rannych agentów, który zaraz potem stracił przytomność.

Dwaj agenci siedzący z prezydentem na tylnej kanapie przeprowadzili wstępne oględziny chorego.

- Pędź jak najszybciej do szpitala! — zawołał jeden z nich. — Chyba ma atak serca.

Brennan wił się z bólu, ściskając ramionami klatkę piersiową.
— Co z doktorem Bellamym? — krzyknął Alex.

— Dostał.

I w dodatku spalili też ambulans, pomyślał Alex. Spojrzał w lusterko wsteczne. Nikt za nimi nie jechał. Z dwudziestu siedmiu pojazdów prezydenckiej kawalkady został tylko ten jeden. Skupił uwagę na drodze. Do Szpitala Miłosierdzia było stąd nie więcej niż dziesięć minut drogi. Miał zamiar dotrzeć tam w ciągu pięciu. Mógł się tylko modlić, że prezydent dotrwa.

ROZDZIAŁ 53

Czarny śmigłowiec gnał nad polami Pensylwanii. Nie odrywając wzroku od ekranu odbiornika satelitarnego, na którym bacznie śledził rozwój wypadków, Hemingway podał pilotowi dokładne współrzędne miejsca lądowania. Choć sytuacja rozwijała się zgodnie z planem, obserwacja wydarzeń w czasie rzeczywistym powodowała, iż czuł potężny ucisk w piersi. Mimo iż całą akcję szczegółowo obmyślił, mimo iż setki razy oglądał oczami wyobraźni jej poszczególne fragmenty, rzeczywistość robiła nieporównanie większe wrażenie i przerastała wszelkie wyobrażenia. W końcu wyłączył odbiornik, nie mogąc dalej na to patrzeć.

Dzamila wjechała do centrum Brennan, skręciła w lewo, później zaraz w prawo i po chwili wjechała w wąski zaułek. Z tylnego siedzenia cały czas dochodziły ją dziecinne piski i śmiechy. Rzuciła okiem do tyłu i musiała gwałtownie zahamować, bo omal nie przegapiła wjazdu.

Brama warsztatu podjechała w górę i stojący wewnątrz mężczyzna kiwnął jej ręką. Dzamila wjechała do środka i brama natychmiast opadła.

Z bocznej uliczki kilkaset metrów przed Szpitalem Miłosierdzia wyjechał ciągnik z naczepą i skręcił w prawo w główną ulicę. Podczas tego manewru nieoczekiwanie zgasł mu silnik,

kierowca wysiadł więc i otworzył maskę. Potężny pojazd praktycznie zablokował ulicę w obu kierunkach.

Kilka przecznic dalej za szpitalem na tę samą ulicę wjechał Alex. Wziął zakręt niemal na dwóch kołach i od razu wcisnął do dechy gaz. Przydałby się teraz choć jeden radiowóz policyjny, by mu torować drogę, ale pewnie żadne już nie zostały. Miał natomiast nadzieję, że do Brennan zdążono już ściągnąć posiłki policyjne i że na wszystkich drogach wylotowych organizowane są blokady.

Bestia na pełnej szybkości przejechała przez skrzyżowanie, za którym wznosiła się stara miejska wieża ciśnień pomalowana w barwach amerykańskiej flagi. Ledwie pół godziny wcześniej na skrzyżowaniu rozpoczęły się uliczne roboty drogowe. Dwóch pracowników w brunatnych kombinezonach miejskich służb komunalnych rozstawiło pomarańczowe pacholki i rozciągnęło taśmę, co praktycznie zablokowało chodnik i zmusiło przechodniów do obchodzenia miejsca robót. Nikt nie wiedział, co tutaj się robi, ale nieliczni przechodnie pozostali w mieście bez sprzeciwu znosili utrudnienie. Tuż po przejeździe Bestii odpalone zostały ładunki wybuchowe na dwóch przednich podporach podtrzymujących konstrukcję wieży ciśnień, co spowodowało, że wieża zachwiała się i runęła w poprzek ulicy. Jej korpus uległ rozerwaniu i ulicę zalało prawie pięćdziesiąt tysięcy litrów stęchłej wody. W rezultacie również i ten odcinek ulicy został całkowicie zablokowany.

Dziesięć sekund później z wielu sklepów głównego ciągu handlowego zaczęły wydobywać się kłęby gryzącego dymu. Ich właściciele natychmiast uruchomili alarmy przeciwpożarowe i w panice wybiegli na ulicę. Przyczyną były bomby dymne, które mechanik i chemik podrzucili w odwiedzonych wcześniej sklepach. Wkrótce na ulice wyległy niedobitki mieszkańców, którzy nie brali udziału w uroczystościach.

Alex z piskiem opon zajechał pod wejście Szpitala Miłosierdzia. Tylne drzwi otwarły się, siedzący z tyłu agenci wyskoczyli i wyciągnęli prezydenta. Nie zdążyli jednak zrobić ani kroku, bo obaj zostali trafieni i padli na ziemię. Bezwładne ciało prezydenta runęło na chodnik tuż obok Bestii.

— Kurwa mać! — wrzasnął Alex do mikrofonu, gramoląc się z samochodu przez drzwi po stronie pasażera. — Snajperzy

pod szpitalem! Snajperzy pod szpitalem! Wpadliśmy w zasadzkę. Powtarzam, wpadliśmy w zasadzkę! Agenci trafieni! Agenci trafieni. Krukodziób... — zawiesił głos. — Krukodziób jest... — Nie dokończył zdania, nie bardzo wiedząc, co ma powiedzieć o stanie Krukodzioba.

Gorączkowo starał się zlokalizować miejsce, skąd padają strzały. Zdawał sobie sprawę, że Brennan musi natychmiast trafić do szpitala. Omiótł wzrokiem poziom ulicy, potem spojrzął w górę. Pięć pięter wyżej w bloku mieszkalnym po drugiej stronie ulicy, dokładnie vis-a-vis szpitala, dojrzał krótkie lśnienie, jednak nie szkła lunety, tylko muszek celowniczych na końcach luf dwóch snajperskich karabinów.

Alex wyszarpnął broń w chwili, gdy wystrzelone przez snajperów pociski trafiły w dwie opony Bestii. Jednak sekundę po przebicium oba otwory zasklepiły się, demonstrując w praktyce zalety opon samouszczelniających. Kolejne pociski trafiły w maskę, bagażnik i bok limuzyny. Jeden z nich uderzył w szybę, lecz jej nie przebił. Bestia mogła wytrzymać znacznie więcej niż mizerny atak snajperski. Czego nie dało się powiedzieć o prezydencie Stanów Zjednoczonych, który leżał nieruchomo na chodniku, wyraźnie konając. *Wszelkimi sposobami chronić człowieka, symbol i urząd.* Alex był ostatnim trzymającym się na nogach członkiem ochrony, który mógł postępować zgodnie z zasadą agentów Secret Service. Wiedział jednak, że gdy tylko weźmie prezydenta na ręce, stanie się od razu dziecinnie łatwym celem dla strzelających z góry snajperów. Brennan wciąż jednak oddychał, a jego serce nadal biło i tylko to się teraz liczyło. *Nie na mojej wachcie, panie prezydencie. Nie na mojej wachcie.*

Chwycił leżącego pod ramiona, spiął się w sobie i pociągnął. Prezydent był teraz całkowicie osłonięty stalowo-poliwęglanową karoserią Bestii.

— Wszystko będzie dobrze, panie prezydencie — powiedział najspokojniej, jak umiał.

— Ja... ja umieram... — wyszeptał prezydent między kolejnymi stęknięciami.

Mimo iż obu ich chroniła karoseria Bestii, Alex instynktownie ustawił się między Brennanem a snajperami. Milimetr po milimetrze wystawił głowę ponad tył limuzyny i natychmiast ją

cofnął na dźwięk strzału oddanego w jego stronę. Odpowiedział też od razu kilkoma strzałami ze swego SIG-a, jednak zaraz przestał, by nie marnować amunicji. Przy tej odległości i trajektorii strzału musiałby się zdarzyć cud, by udało mu się choć drasnąć któregoś z zamachowców.

Spojrzał w stronę szpitala i zobaczył stojącego w drzwiach ochroniarza.

— Padnij! Padnij! Snajperzy po drugiej stronie.

Mężczyzna cofnął się do środka, ale chwilę potem wyskoczył na zewnątrz, kilka razy strzelił w stronę górnych pięter, zbiegł po schodkach i padając na chodnik, przeturlał się do Aleksa. Dookoła posypał się grad wystrzelonych z góry pocisków.

— Jasna cholera! — wrzasnął Alex. — Życie ci niemiłe czy jak?

— To jest prezydent? — wydyszał Adnan ar-Rimi, wskazując głową leżącego Brennana.

— Tak. I musimy go jak najszybciej przenieść — odparł Alex, wskazując pistoletem drzwi szpitala. — Następny szpital jest w Pittsburghu, a jemu potrzebna jest natychmiastowa pomoc.

— Tylko ty jeden go ochraniaasz? — spytał Adnan z niedowierzaniem,

— Na to wychodzi — przytaknął Alex ponuro.

— Widzieliśmy w telewizji, co się stało.

Alex przyjrzał się mężczyźnie.

— Jesteś tu jedynym ochroniarzem? — zapytał, a gdy Adnan przytaknął, dodał: — Jaką masz broń?

— Gównianą trzydziestkęósemkę.

— To pogratulować. — Prezydent głośno jęknął i Alex pospiesznie rzucił: — Jak się nazywasz?

— Farid Szah — odrzekł Adnan.

— Dobra. Farid, biorę cię pod swoją komendę.

Alex otworzył tyne drzwi Bestii i nacisnął przycisk w oparciu przedniego fotela pasażera. Oparcie się złożyło, odsłaniając skrytkę na broń. Tkwiła w niej strzelba, karabin maszynowy MP-5 i karabin snajperski. Alex wyjął karabin z zapasowym magazynkiem i obrzucił spojrzeniem swego nowego podkomendnego.

— Farid, wyglądasz mi na osiłka.

— Jestem bardzo silny.

— Świetnie. Dasz radę podnieść prezydenta i wnieść go do środka?

— Bez problemu.

— Dobra. Jak doliczę do trzech, to tak właśnie zrobisz. Ustawię karabin na krótkie serie, po dwa strzały. To oznacza, że na wejście po schodkach będziesz miał jakieś dziesięć sekund. I jeszcze jedno.

— Tak?

— Musisz coś jeszcze dla mnie zrobić.

— Co?

— Przez cały czas będę między tobą a snajperami. Żeby was trafić, najpierw będą musieli mnie zabić. — Przerwał i głośno przełknął ślinę. — Ale jeśli mnie położą, a pewnie tak się stanie, to musisz osłaniać prezydenta. Czyli musisz go nieść przed sobą tak, żeby twoje ciało było cały czas między nim a snajperami, kapujesz? — Adnan milczał. — Pytam, czy mnie rozumiesz? — powtórzył ostro.

— Tak!

— To powodzenia! — Odczekał, aż Adnan weźmie prezydenta na ręce, potem odwrócił się i powiedział: — Okej, jeden... dwa... trzy!

Wyskoczył zza samochodu i zasypał krótkimi seriami z MP-5 oba okna, w których wcześniej zauważył lśnienie muszek.

Bardzo chciałby się obejrzeć i sprawdzić, jak idzie nowemu pomocnikowi, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Wystrzelał do końca magazynek, wyciągnął swego SIG-a i też go do końca opróżnił. Gdy tamci zaczęli strzelać, schował się za limuzynę, zmienił magazynek i odwrócił głowę. Miał nadzieję, że Farid z prezydentem dotarł już bezpiecznie do szpitala, jednak z przerażeniem stwierdził, że jego pomocnikowi wcale się nie spieszy. Powolutku wchodził po stopniach, zupełnie jakby...

— Jasna cholera! — wrzasnął i wycelował pistolet w szerokie plecy ochroniarza. — Stać!

Ochroniarz stanął i odwrócił się, wskutek czego Brennan znalazł się teraz między nim a Aleksem, potem zaczął wolno cofać się do wejścia. Alex rozpaczliwie szukał wzrokiem punktu, do którego mógłby oddać strzał, nie raniąc jednocześnie

prezydenta. Nie znalazł go i Adnan z prezydentem zniknął za drzwiami szpitala.

— Mają prezydenta! — wrzasnął do mikrofonu przy nadgarstku. — Powtarzam, w szpitalu porwali Krukodzioba. Trzeba natychmiast zarządzić blokadę całego miasta.

Alex już się szykował, by pognać za znikającą we wnętrzu parą i zapewne paść po drodze od kul, gdy wreszcie uśmiechnęło się do niego szczęście. Przed szpital zajechały posiłki policyjne, które z miejsca rozpoczęły gwałtowny ostrzał stanowisk snajperskich. Alex chwilę jeszcze odczekał i skoczył ku wejściu. Ponieważ wciąż do niego strzelano, bez wahania rzucił się na szklane drzwi wejściowe i wpadł do środka w deszczu ostrych odłamków.

Sekundę później usłyszał w głębi szpitala potężną detonację.

ROZDZIAŁ 54

Reuben podsadził Kate i Adelphię, by przeszły przez ogrodzenie, a następnie sam dołączył do reszty Klubu Wielbłądów. Obok przebiegali krzyczący ze strachu ludzie, oni jednak zostali na miejscu, by złapać oddech i rozejrzeć się w sytuacji.

— Boże święty — rzekła blada jak ściana Kate, nerwowo szukając wzrokiem Aleksa.

— To straszne — jęknęła Adelphia. — To jak w Polsce za Sowietów jest.

Stone rozglądał się po zasłanym ciałami placu uroczystości. Trawa była aż czerwona od krwi zamachowców. Federalni antynajperzy opanowali już sytuację i rozeszli się po terenie, by upewnić się, że arabscy terroryści rzeczywiście nie żyją. Nawet z tej odległości Stone nie miał wątpliwości, że w leżących wszędzie na placu ludziach nie tli się już życie.

Wszyscy ludzie kapitana Jacka ponieśli śmierć, fedaini zaś w większości ulegli zwęgleniu.

W oddali słychać było narastające wycie syren i po paru minutach zjawiły się pierwsze wozy straży pożarnej, potem następne. Strażacy błyskawicznie zaatakowali płonące wraki strumieniami wody i wkrótce powietrze wypełniły już tylko kłęby czarnego dymu.

Stone przyglądał się, jak strażacy gaszą i odciągają wrak radiowozu, dzięki czemu kawalkada prezydencka — a ściślej mówiąc jej resztki — mogła wreszcie wyruszyć w dalszą drogę. Żonę prezydenta i szefową personelu wsadzono do

drugiej Bestii i gdzieś wywieziono. Odnaleziono też poturbowanego gubernatora Pensylwanii i zabrano jedną z furgonetek.

Stone poczuł na ramieniu ciężką dłoń i odwrócił głowę. Stojący obok Reuben wlepił w niego wzrok.

— Chyba powinniśmy stąd spieprzać — mruknął. — Gliny mogą najpierw zacząć strzelać, potem dopiero pytać.

Stone popatrzył na niego w zamyśleniu.

— Reuben, jak wyrwałeś broń temu bandycie, zauważyłeś coś niezwykłego?

Reuben przez chwilę się zastanawiał.

— Nie trzymałem jej długo, bo nie chciałem, żeby mi łeb odstrzelili, ale jak teraz o to pytasz, to rzeczywiście, było w niej coś dziwnego. Była dużo lżejsza, niżbym się spodziewał. — Spojrzał na Stone'a z zaskoczeniem. — A czemu pytasz?

Stone milczał, patrząc na leżące pokotem ciała Arabów.

Po wejściu do środka Adnan położył pojękującego Brennana na *łóżku szpitalnym, które wcześniej zostawił tuż przy drzwiach*. Trwająca na zewnątrz strzelanina wystraszyła personel szpitala i odgoniła go od wejścia. Zbici w grupkę lekarze i pracownicy służb pomocniczych stali teraz w głębi korytarza, przyglądając się poczynaniom Adnana.

— Co się tam dzieje? — zawołał jeden z lekarzy.

Adnan nie odpowiedział, kiwnął natomiast głową postaci w kitlu lekarskim, która nagle wyrosła tuż obok niego. Był to ten niedawno zatrudniony lekarz, który tak narzekał na przesadną ochronę w Szpitalu Miłosierdzia.

— Jakiś ranny! — zawołał teraz do kolegów. — Ja się nim zajmę.

— Tylko nie zbliżajcie się do drzwi — dodał Adnan. — Straszna strzelanina.

Lekarz wyjął z kieszeni fartucha strzykawkę, zdjął nasadkę z igły i wbił ją w ramię leżącego. Chwilę potem prezydent stracił świadomość. Lekarz przykrył go prześcieradłem, zapiął pasy mocujące go do łóżka i skręciwszy w boczny korytarz, dotarł do windy, którą zjechał piętro w dół. Adnan został na miejscu i dopiero gdy drzwi windy się zamknęły, zwrócił się twarzą ku grupce zdezorientowanego personelu.

— Hej, ty! — wykrzyknął któryś z lekarzy. — Kto to był ten ranny na łóżku?

Grupka z ociąganiem ruszyła w jego stronę.

Adnan sięgnął pod marynarkę i wy dostał maskę przeciwgazową. Założył ją na twarz i ruszył na spotkanie idącym. Wyciągnął z kieszeni coś, co wyglądało jak granat.

— Uwaga! — pisnęła jedna z pielęgniarek i cała grupa zawróciła i zaczęła uciekać.

— Dzwonście na policję! — wrzasnęła któraś z lekarek, umykając jak reszta personelu.

Chwilę potem Adnan wypatrzył czwarty kafelek od dyżurki i wałnął w niego trzymanym w ręku pojemnikiem. Pojemnik rozerwał się i korytarz wypełnił się gęstym gryzącym dymem, który od razu został wciągnięty w system wentylacyjny i rozprowadzony po całym szpitalu. Tuż przed zdetonowaniem granatu dymnego Adnan usłyszał brzęk tłuczonego szkła, nie potrafił jednak umiejscowić dźwięku i nie wiedział, że jego sprawcą był Alex, który właśnie rozbił sobą szklane drzwi wejściowe. Bez tego jednak wiedział, że musi się spieszyć. Zawrócił w stronę wejścia i licząc kroki, ruszył przed siebie. Dzięki wyuczonemu na pamięć układowi korytarzy mógł poruszać się zupełnie po omacku. Dotarł do wejścia i nagle poczuł, że coś trąciło go w nogę. Nie zatrzymując się, poszedł dalej.

Chwilę potem eksplodowała bomba zegarowa podłożona w elektrycznej nastawni szpitala. Spowodowała zniszczenie urządzeń sterujących zasilaniem szpitala w energię elektryczną i cały budynek pogrążył się w ciemnościach.

Adnan zawrócił, skręcił w boczny korytarz, dotarł do wyjścia awaryjnego, otworzył je i wyszedł na klatkę schodową. Wyciągnął zza rury centralnego ogrzewania ukryty tam wcześniej stalowy pręt i zablokował nim dźwignię zamykającą drzwi. Potem zaczął biec.

Słyszając wybuch i widząc kłęby dymu wypełniające korytarz, Alex natychmiast rzucił się na podłogę i zaczął się czołgać na brzuchu. Miał wrażenie, jakby pełznął pod wodą, a wiszący nad nim dym zaczynał go zatykać. Potem coś potrącił i zorien-

tował się, że to fragment żywego ludzkiego ciała. Wyciągnął rękę, by je uchwycić, ale złapał tylko powietrze. Zawrócił i zaczął się posuwać w przeciwnym niż dotąd kierunku, podążając za odgłosem czyichś kroków. Kroki były spokojne i miarowe. Jak na litość boską można tak spokojnie iść w tych warunkach? I zaraz go olśniło. Ten ktoś ma na twarzy maskę. A równy, miarowy krok? Bo idzie na pamięć, licząc kroki. Alex też to ćwiczył w ośrodku szkoleniowym Secret Service w Beltsville w ramach nauki poruszania się w ciemnościach.

Starał się pełzać jak najszybciej. Kroki przed nim nagle umilkły i Alex podwoił wysiłki, wjąc się niczym wąż goniący zdobycz. Na szczęście znów usłyszał odgłos kroków i podążając za nim, dotarł do następnego korytarza. Skręcił i poczołgał się w głąb. Chwilę później usłyszał szcęk otwieranych i zamykanych drzwi. Przesunął się trochę w prawo i wyciągnął rękę, starając się wymacać ścianę. Poczul pod dłonią gładką metalową płaszczyznę. Wyciągnął rękę i wymacał dźwignię, jednak drzwi nie dawały się otworzyć. Wyciągnął pistolet i kilkakrotnie wystrzelił na wysokości pasa. Któryś z pocisków musiał trafić w dźwignię i przesunąć ją na tyle, że blokujący stalowy pręt wypadł. Alex szarpnął drzwi i przeczołgał się na drugą stronę. Dymu było tu wprawdzie dużo mniej, ale awaria zasilania musiała objąć cały budynek, bo i tu panowały zupełne ciemności.

Wstał, wymacał poręcz i zaczął schodzić po schodach, co chwila potykając się i ślizgając. W którymś momencie nie trafił na stopień, poleciał do przodu i runął na podest kończący pierwszy bieg schodów. Poobijany do krwi pozbierał się i trzymając się poręczy, poszedł dalej. Czuł ogarniającą go coraz większą panikę. Pokonując ostatnie stopnie po dwa naraz, dotarł wreszcie do końca schodów i ruszył korytarzem do wyjścia. Wskoczył na zewnątrz w chwili, gdy Adnan wsiadał już do stojącego pod wyjściem ambulansu. Alex nie miał wątpliwości, że w środku jest też prezydent.

Bez ostrzeżenia zaczął strzelać i trafił Adnana w ramię. Adnan odpowiedział ogniem, Alex rzucił się w bok, stracił równowagę i stoczył po betonowych schodkach rampy. Pozbierał się, znów strzelił i sam dostał w klatkę piersiową z pistoletu Ahmada, który wychylił się zza kierownicy am-

bulansu. Na szczęście małokalibrowy pocisk nie miał szans przebicia kevlarowej kamizelki najnowszej generacji, w której podczas akcji ubrani byli wszyscy agenci Secret Service. Ale mimo to trafienie zabolowało go tak, jakby Muhammad Ali walnął go jednym ze swych nokautujących ciosów. Wijąc się z bólu, osunął się na ziemię, dzięki czemu kolejny pocisk wystrzelony przez Adnana jedynie musnął jego lewe ramię.

Ambulans ruszył z miejsca na pełnym gazie z wyjącą syreną, zostawiając leżącego na ziemi Aleksa, który zdołał się jeszcze zwlec i zrobić parę kroków na chwiejnych nogach. Czuł straszny ból w klatce piersiowej, z lewego ramienia ciekła mu krew, płuca miał wypełnione dymem. Opadł na kolana i zaczął na oślep strzelać do oddalającego się ambulansu. Opróżnił do końca magazynek, jednak nic to nie dało. Spróbował coś powiedzieć do mikrofonu, ale okazało się, że brak łączności. Zdążył jeszcze pomyśleć, że pewnie kula, która otarła się o ramię, musiała uszkodzić przewód łączący mikrofon z nadajnikiem umieszczonym na jego ciele. Ostatnim obrazem, który zarejestrował przed utratą przytomności, był widok znikającego za rogami ambulansu.

Wraz z prezydentem.

Na jego wachcie.

ROZDZIAŁ 55

George Franklin podjechał pod dom i wysiadł z samochodu. Przyjechał z biura mieszczącego się na drugim końcu Brennan, a podczas jazdy nie włączył radia.

— Lori? — zawołał. — Dżamila?

Rzucił kluczyki na blat kuchenny i ruszył w głąb domu, kilkakrotnie powtarzając wołanie. Zajrzał do garażu i ze zdziwieniem stwierdził, że stoją w nim zarówno kabriolet żony, jak i ich rodzinny SUV lincoln navigator.

Czyżby wszyscy pojechali gdzieś vanem Dżamili?

— Lori? Chłopcy?

Wszedł na górę, czując rosnące zaniepokojenie. Otworzył drzwi sypialni i na widok leżącego na podłodze telefonu i podartego prześcieradła jego niepokój zamienił się w przerażenie.

— Lori, kochanie?

Usłyszał stłumiony jęk dochodzący z garderoby. Podbiegł, szarpnął drzwi i na podłodze ujrzał związaną żonę. Oczy Lori były wprawdzie trochę nieprzytomne, ale zdawała się na niego patrzeć. Schylił się i zerwał jej z twarzy knebel.

— Boże drogi, Lori, co się stało? Kto ci to zrobił? — wykrzyknął.

Powiedziała coś, ale nie dosłyszał.

— Kto?

— Dżamila. Zabrała chłopców — powiedziała głucho.
A potem zaczęła szlochać w ramionach męża.

Ambulans pędem wjechał do warsztatu i brama opadła.
Adnan i Ahmad wyskoczyli z szoferki, otworzyli tylne
drzwi

i wyciągnęli nosze z prezydentem.

Dżamila obiegła van od tyłu, otworzyła drzwi i nacisnęła
przycisk ukryty we wgłębieniu bocznej ściany. Podłoga prze-
strzeni bagażowej uniosła się, ukazując ukryty pod nią schowek.
Wyłożony był od środka blachą miedzianą i ołowiem i miał
dwa zagłębienia: jedno mieszczące człowieka skulonego w po-
zycji embrionalnej, drugie niewielki cylindryczny przedmiot.
Zagłębienie przeznaczone dla człowieka było swą wielkością
dopasowane do wymiarów prezydenta Brennana i zapewniało
dwucentymetrowy luz dookoła.

Dżamila wlepiła wzrok w młodego mężczyznę, który cofnął
się, robiąc miejsce lekarzowi, Adnanowi i komuś trzeciemu,
którzy podeszli, by unieść prezydenta z noszy

— Ahmad? — powiedziała z niedowierzaniem w głosie.

Mężczyzna spojrział na nią.

— Ahmad! To ja, Dżamila. — Stał przed nią, jej irański
poeta. Ten, który w swym dzienniku zapisał dokładną datę
i godzinę śmierci; ten, który udzielił jej tak wielu dobrych rad;
ten wreszcie, którego miała nadzieję spotkać w raju.

Ale jego oczy miały teraz wyraz, jakiego nigdy wcześniej
w nich nie widziała. Nawet wówczas, gdy wpadał w jeden ze
swych oratorskich transów. To spojrzenie ją przeraziło.

— Nie znam cię — powiedział twardo. — Nie odzywaj się
do mnie, kobieto.

Dżamila zrobiła krok do tyłu, zaskoczona jego reakcją.

Podczas gdy trzej mężczyźni układali Brennana w schowku,
Ahmad podeszedł do ambulansu i sięgnął do środka, ale Dżamila
nie zauważyła po co.

Gdy dołączył do reszty, raz jeszcze zrobiła krok w jego stronę.

— Ahmad, byliśmy razem w obozach w Pakistanie. Musisz
mnie pamiętać.

Tym razem nawet na nią nie spojrział.

Na widok noża w jego ręku Dżamila przeraźliwie krzyk-

nęła. Ahmad uniósł go i zamachnął się prosto w szyję prezydenta.

Adnan był jednak szybszy. Runął na Ahmada i powalił go na podłogę.

— Ty głupcze! — wrzasnął Ahmad, podnosząc się na nogi mimo wymierzanego w niego pistoletu. — Nie wiesz, kto to jest? To amerykański prezydent. Król zła. To on zniszczył wszystko to, co mieliśmy.

— Nie zabijesz go — powiedział Adnan beznamiętnie.

— Posłuchaj mnie! — nie przestawał krzyczeć Ahmad. — Taka okazja już nam się nigdy nie trafi. Nie rozumiesz tego? Amerykanie nigdy nie przestaną zabijać. Wszystkich nas zabijają swoimi czołgami i samolotami. Ale teraz my możemy zabić jego. A to zniszczy Amerykę.

— Nie! — powiedział Adnan z mocą.

— Ale dlaczego?! — krzyknął Ahmad. — Ze względu na ten plan? — parsknął drwiąco. — Plan wymyślony przez jakiegoś Amerykanina! Jesteśmy na rozkazach Amerykanów, Adnan. Nie rozumiesz tego? To wszystko jeden wielki spisek. Żeby nas pozabijać. Wiedziałem o tym. Od początku o tym wiedziałem. Ale teraz możemy się wreszcie zemścić. — Uniósł nóż. — Więc zrobmy to.

— Nie chcę cię zabijać, Ahmad, ale będę musiał to zrobić.

— To mnie zabij.

Ahmad rzucił się do przodu i Adnan wystrzelił.

Na widok padającego na podłogę Ahmada z raną w samym środku klatki piersiowej Dżamila przeraźliwie krzyknęła. Adnan schował pistolet i obojętnie odsunął nogą ciało. Z twarzą zalaną łzami Dżamila stała, wpatrując się w swego martwego poetę.

Pozostali nawet na chwilę nie przerwali pracy, zupełnie jakby na ich oczach zabito karalucha, a nie człowieka. Ułożyli Brennana w zagłębieniu, obok umieścili niewielką butlę z tlenem. Lekarz założył mu na twarz maskę tlenową i otworzył zawór.

Adnan zamknął pokrywę schowka i spojrzał na szlochającą Dżamilę.

— Ja go naprawdę znałam — powiedziała urywanym głosem. — To był mój Ahmad.

Adnan wymierzył jej siarczysty policzek, co ją tak zaskoczyło, że przestała szlochać.

— Wsiadaj i ruszaj w drogę — rozkazał.

Bez jednego słowa Dżamila spełniła polecenie i siadła za kierownicą. Brama warsztatu uniosła się i van wyjechał na zewnątrz.

Adnan spojrzął na pozostałych i ruchem głowy wskazał zwłoki. Mężczyźni podnieśli trupa i wrzucili go do kanału w podłodze, Adnan zaś zajął się opatrywaniem ramienia, w które postrzelił go Alex.

Od dawna podejrzewał, że Ahmad coś knuje, i od chwili umieszczenia prezydenta w ambulansie czujnie obserwował wszystkie jego ruchy. Mimo to niewiele brakowało, żeby mu się udało.

Kilka sekund później wszyscy trzej wsiedli do ambulansu i wyjechali z warsztatu. Adnan przyjął na siebie rolę pacjenta, lekarz usiadł obok, trzeci z mężczyzn siadł za kierownicę. Od początku plan ucieczki tak wyglądał i było w nim też miejsce dla Ahmada.

Adnan pamiętał jednak, że w szpitalu ktoś ich widział. Dodatkowo miał też ranę postrzałową i wiedział, że ta ich mistyfikacja nie wystarczy do pokonania blokad na drogach. Natomiast nadawali się doskonale do odwrócenia uwagi policji, a wkrótce i tak już będzie po wszystkim. Spojrzął na lekarza, mężczyznę około pięćdziesiątki, i po jego minie poznał, że on też zdaje sobie z tego sprawę. Adnan chwycił się za zranioną rękę i przyknuął oczy. Bolała go, ale nie tak strasznie. Bywało znacznie gorzej. Po prostu jeszcze jedna blizna do kolekcji. Czuł jednak, że na tym jego kolekcja się skończy. Nie miał zamiaru gnść w amerykańskim więzieniu czy dać się porazić prądem jak jakieś zwierzę.

Gdy z bloku mieszkalnego ewakuowano wszystkich z wyjątkiem snajperów, posiłki policyjne przypuściły zmasowany atak na mieszkanie na piątym piętrze. Najpierw wystrzelili kilka pocisków z granatnika, potem podjęli najgwałtowniejszy szturm, jaki odbył się na terenie Pensylwanii od czasów bitwy pod Gettysburgiem. W rezultacie obaj snajperzy zostali ostatecznie

pokonani. Gdy policjanci wdarli się w końcu do mieszkania, okazało się, że obaj strzelcy są wprawdzie martwi, ale przed śmiercią zdążyli zużyć cały zapas pocisków do M-50 oraz tysiące pocisków do karabinów maszynowych, które, rozgrzane niemal do czerwoności, leżały obok ich ciał.

Zarządzono też ewakuację szpitala i przy okazji znaleziono Aleksa Forda, który leżał zakrwawiony i nieprzytomny na podjeździe za szpitalem. Po odzyskaniu przytomności opowiedział, co się stało, w wyniku czego wszystkim jednostkom natychmiast przekazano opis poszukiwanego ambulansu.

Dżamila natknęła się na blokadę niecałe pięć minut po opuszczeniu Brennan. W kolejce przed nią stały już trzy inne pojazdy i kontrolujący je policjanci kazali wszystkim wysiadać.

Spojrzała do tyłu na chłopców. Niemowlę już usnęło, ale obaj starsi chłopcy wciąż jeszcze zanosili się płaczem. Dżamila poczuła, że i ona ma znów policzki mokre od łez.

Ahmad powiedział, że jej nie zna. I powiedział, żeby się do niego nie odzywała. A potem na jej oczach go zabili. Chciał się rzucić z nożem na prezydenta. Postąpił niezgodnie z planem i za to został zabity. Ale najbardziej ją bolały jego słowa: „Nie znam cię”. Górę wzięła przepelniająca go nienawiść i zniszczyła w nim serce poety. Było to jedyne możliwe wytłumaczenie tego, co się stało.

Z zamyślenia wyrwało ją stukanie w szybę. Za drzwiami stał policjant. Opuściła szybę i do jego uszu dotarło żałosne zawodzenie chłopców.

— Rany, proszę pani, tym dzieciakom nic nie jest?

— Wystraszyły się — odparła Dżamila, wchodząc we wcześniej przećwiczoną rolę. — Ja też się przestraszyłam. W mieście jest pełno policji, wszędzie słychać syreny, ludzie biegają i krzyczą. Jadę właśnie z centrum. Wszędzie pełno krzyczących ludzi. To szaleństwo, cały świat oszalał. Wiozę dzieci do domu. Jestem nianią — dodała. Zaczęła też szlochać, co pobudziło dzieci do jeszcze głośniejszego zawodzenia. Ich płacz obudził niemowlaka, który widać uznał, że też winien udowodnić, iż ma niemałe możliwości.

— Już dobrze, dobrze — powiedział policjant. — Postaramy się pani nie trzymać. — Kiwnął głową na swoich ludzi, którzy

zabrali się do przeszukania vana. Zajrzeli do wnętrza i pod spód, obmacując wzrokiem podwozie ledwie parę centymetrów od miejsca, gdzie leżał nieprzytomny prezydent. Równie dobrze mógłby mieć jednak czapkę-niewidkę, zwłaszcza że policjantom też zależało, by jak najszybciej pozbyć się tego towarzystwa. Intensywna woń rozchodząca się z tylnego siedzenia świadczyła niezbicie, iż dzieci niedawno sobie ulżyły.

Policjanci zatrzasnęli drzwi.

— Powodzenia — rzucił jeden z nich i dał znak ręką, że droga wolna.

Minutę później Franklinowi udało się wreszcie dodzwonić pod obłożony numer 911, złożyć meldunek o tym, co się stało, oraz podać rysopis Dżamili i trójki jego dzieci. Zanim jednak odpowiedni komunikat dotarł do posterunków przy blokadach, Dżamila była już daleko, jechała do umówionego miejsca spotkania.

Dziesięć minut później czarny śmigłowiec z głośnym klekotem przeleciał nad zdewastowanym terenem uroczystości i wylądował na opustoszałym parkingu. Drzwi się otwarły, z środka wyskoczył Tom Hemingway i puścił się biegiem w stronę Cartera Graya, który stał otoczony grupką agentów federalnych.

— Boże święty, panie sekretarzu! Właśnie leciałem z Nowego Jorku, kiedy usłyszałem, co się stało. A co z prezydentem? Żyje?

Gray zdążył już dojść do siebie i odzyskać panowanie nad sobą.

— Właśnie dostaliśmy wiadomość, że prezydent został uprowadzony — powiedział. — Muszę jak najszybciej wrócić do Waszyngtonu.

Chwilę później śmigłowiec ponownie wzbił się w powietrze i obrał kurs na południe.

ROZDZIAŁ. 56

Dzamiła bez pośpiechu wracała z miejsca spotkania, kierując się w stronę domu Franklinów. Przeniesienie prezydenta z jej vana do środka transportu, którym miano go przewieźć dalej, zajęło niecałą minutę i odbyło się gładko i bez przygód. Włączyła radio, by zagłuszyć płacz dzieci dobiegający z tylnego siedzenia i wysłuchać najświeższych doniesień radiowych. Stacje nadawały liczne komunikaty o rozwoju sytuacji, choć właściwie niewiele z nich wynikało. Mówiono o licznych ofiarach śmiertelnych, ale można było odnieść wrażenie, że widzowie oglądający w telewizji przebieg uroczystości martwili się głównie o życie prezydenta, którego wedle ostatnich doniesień udało się dowieźć do szpitala. Wiedziała, że wkrótce gruchnie wiadomość, iż prawda wygląda zupełnie inaczej.

Była tak zatopiona w myślach, że nie zauważyła radiowozu policyjnego, który od pewnego czasu za nią jechał. Spojrzała w lusterko wsteczne dopiero wtedy, gdy radiowozów było kilka

i wszystkie włączyły migające lampy na dachu. Jednocześnie usłyszała donośny głos dochodzący z megafonu pierwszego z nich.

— Natychmiast zjechać na bok i wysiąść!

Nie miała zamiaru zjeżdżać na bok, a tym bardziej wysiadać. Przeciwnie, nacisnęła gaz i lekko przyspieszyła.

Siedzący w pierwszym radiowozie policjanci spojrzeli po sobie.

— Chyba wciąż ma ze sobą te dzieci — rzekł jeden z nich.

— Możemy jej zajeżdżać drogę i ponegocjować — powiedział drugi.

— Tak, tylko co zrobimy, jak nie wysiądzie? Wezwij pilnie snajperów.

— Chyba już żadnych nie ma. Cholera, przez cztery lata ani jednego zabójstwa, a potem nagle jednego dnia zamach na prezydenta i jakaś szurnięta gosposia porywa dzieci.

Kilometr dalej inny radiowóz policyjny zablokował drogę, ustawiając się w poprzek. Dżamila z daleka dostrzegła przeszkodę i zjechała na trawiaste pobocze. Radiowozy za nią już miały zrobić to samo, gdy kobieta wykonała gwałtowny skręt, ustawiając van przodem do szosy. Potem odpięła pas i przesiadła się do tyłu.

— Co ona tam, do diabła, robi? — spytał jeden z policjantów. — Myślisz, że chce coś zrobić dzieciom?

— Cholera ją wie. Co z tym snajperem?

— Boję się, że nic z tego. Dyspozytorka tylko parsknęła, jak do niej zadzwoniłem.

— Nie ma mowy, żebyśmy zaryzykowali strzał, jeśli dzieciaki są z tyłu.

— To co robimy?

— Patrz! Otworzyła drzwi.

Z vana wysunęło się ramię i postawiło na trawie fotelik z przypasanym do niego niemowlakiem. Chwilę później wysiedli kolejno obaj starsi chłopcy.

— Nic z tego nie rozumiem — mruknął policjant siedzący na miejscu pasażera.

— Jeśli tylko zrobi jakiś ruch, żeby je przejechać, ty strzelaj w opony, a ja spróbuję ją trafić przez szybę — zdecydował siedzący za kierownicą.

Obaj wysiedli z radiowozu, jeden z pistoletem w wyciągniętej ręce, drugi z karabinkiem półautomatycznym.

Jednak Dżamila nie miała zamiaru krzywdzić dzieci. Usadowała się z powrotem za kierownicą i popatrzyła na chłopców. Do najstarszego nawet pomachała.

— Pa, pa, Timmy — powiedziała, wychylając się nieco z okna. — Pa-pa, ty niedobry urwisie.

— Nana — wydusił z siebie zapłakany chłopiec i też jej pomachał rączką.

Mimo iż serdecznie nie znosiła Lori Franklin, odczuwała ulgę, iż nie musiała jej zabić. Dzieci potrzebują matki. Tak, wszystkim dzieciom potrzebne są matki.

Chwilą jeszcze trwało, nim wyciągnęła z torebki skrawek papieru i coś na nim napisała. Potem dokładnie go złożyła i zacisnęła w dłoni.

A potem wrzuciła bieg, szarpnęła do przodu i wyjechała na szosę.

W międzyczasie do pościgu dołączył kolejny radiowóz. Dżamila ruszyła w stronę załogi pierwszego radiowozu, która wciąż stała na drodze z bronią gotową do strzału.

— Zatrzymać samochód! — zawołał jeden z nich przez megafon.

Dżamila nie tylko się nie zatrzymała, ale jeszcze przyspieszyła.

— Natychmiast zatrzymać samochód, bo strzelamy! — Obaj policjanci wycelowali broń w nadjeżdżający samochód. Jeden z radiowozów objechał van od tyłu i ruszył za nim, drugi zatrzymał się obok dzieci i ktoś z jego załogi wciągnął je do środka.

— Strzelamy w koła! — krzyknął jeden z policjantów, nie spuszczając wzroku ze zbliżającego się vana.

Obaj strzelili i trafili w przednie opony. Dżamila jeszcze przyspieszyła. Podskakując na rozerwanych w strzępy oponach, van nadal parł do przodu.

— Stać! — wrzasnął policjant przez megafon.

Policjanci z drugiego radiowozu przestrelili jej tylne opony, jednak nawet wtedy Dżamila się nie poddała. Vanem rzucało teraz na wszystkie strony, ale wciąż uparcie pędziła na obu policjantów.

— To jakaś wariatka! — wykrzyknął jeden z nich. — Chce nas rozjechać!

— Zatrzymaj się! — wrzasnął ponownie drugi. — Natychmiast! Bo cię zastrzelimy!

Dżamila nawet go nie usłyszała. Skupiona była tylko na powtarzaniu po arabsku monotonnej mantry: *La ilaha Ula Allah*. Przez mgnienie oka jej myśli pobiegły ku młodemu mężczyźnie o imieniu Ahmad, który nie chciał jej znać, choć posiadał jej serce. Ahmad, jej poeta, który nie żyje i niewątpliwie przebywa już w raju.

Dżamila pomyślała też o proroku Mahomecie, który owej nieszczęsnej nocy wszedł na *miraż*, czyli drabinę, i szedł po niej tak długo, aż dotarł do Najdalszego Meczetu, najświętszego Siódmego Nieba. To tu mieścił się obiecany raj, piękniejszy niż wszystko inne na świecie. To tam człowieka spotka wszystko co najlepsze.

Wcisnęła pedał gazu do końca i rozklekotany van wyrwał do przodu.

Strzały z pistoletu i karabinka padły jednocześnie, roztrzaskując przednią szybę.

W tej samej chwili van wykonał nagły skręt, wyleciał z szosy na pobocze i grzmotnął w drzewo.

Rozległo się przeciągłe wycie klaksonu. Policjanci rzucili się do rozbitego pojazdu i ostrożnie otworzyli drzwi od strony kierowcy. Zalana krwią głowa Dżamili spoczywała na kierownicy. Jej oczy wciąż jeszcze były otwarte, ale już niczego nie widziały. Obaj policjanci odsunęli się od wraku i wtedy z kabiny wyfrunął skrawek papieru. Jeden z nich pochylił się i go podniósł.

— Co to jest? — spytał drugi. — Jakiś list pożegnalny?

Policjant spojrział na niego, wzruszył ramionami i podał kartkę koledze.

— Nie gadam po chińsku — mruknął.

W rzeczywistości Dżamila napisała coś po arabsku.

Swoją dokładną datę i godzinę śmierci.

ROZDZIAŁ. 57

W czasie całego lotu do Waszyngtonu Carter Gray milczał. Tom Hemingway nawet nie próbował przerywać rozmyślań szefa. Sam zresztą też się musiał zastanowić nad wieloma sprawami.

Wylądowali na terenie NCW i Gray wysiadł ze śmigłowca.

— Jedzie pan do domu, panie sekretarzu? — zapytał Hemingway.

Gray spojrział na niego ze zdumieniem.

— Porwano prezydenta. Muszę się tym zająć.

Wszedł do budynku NCW, śmigłowiec ponownie wystartował i Hemingway przez mikrofon przekazał pilotowi instrukcje.

Tyler Reinke potwierdził, że zrozumiał, i obrał kurs na zachód.

Hemingway spojrział na podłogę śmigłowca, gdzie w ładowni, niecałe trzydzieści centymetrów pod jego stopami, leżał pograżony w głębokim śnie prezydent James Brennan.

W ciągu paru godzin wiadomość o wydarzeniach w małym miasteczku Brennan w stanie Pensylwania dotarła — przynajmniej w ogólnych zarysach — do najdalszych nawet zakątków świata.

Secret Service natychmiast wdrożyło rządowy plan mający na celu zapewnienie ciągłości kierowania krajem i objęło dozorem wszystkie osoby znajdujące się na ustalonych szczeb-

lach władzy, aż po sekretarza stanu. Zgodnie z treścią dwudziestej piątej poprawki do konstytucji Stanów Zjednoczonych, obowiązki szefa państwa przeszły na wiceprezydenta, Bena Hamiltona. Był to pierwszy w historii przypadek skorzystania z zapisu na wypadek uprowadzenia prezydenta.

Hamilton, na którego spadły obowiązki prezydenta, był wściekły.

Najpierw nawrzeszczał na dyrektora Secret Service, potem wezwał do Białego Domu szefów wszystkich służb wywiadowczych i zmieszał ich z błotem za karygodny brak wiedzy o operacji, która musiała być od dawna planowana i wymagała uczestnictwa gromady wtajemniczonych. Było powszechnie wiadomo, że wiceprezydent miał aspiracje prezydenckie i musiał dojść do wniosku, że porwanie prezydenta wyrządziło szkodę nie tylko krajowi, ale i jemu osobiście, bo obejmowanie stanowiska w takich okolicznościach było dla niego wielce niekorzystne.

A potem kazał Carterowi Grayowi stawić się wieczorem w Gabinetce Ovalnym.

Wedle wszystkich dostępnych relacji Gray z kamiennym spokojem wysłuchał potoku zarzutów pod swoim adresem i gdy Hamilton wreszcie skończył, zapytał tylko, czy może już odejść i zająć się odnalezieniem i uwolnieniem prezydenta. Wedle tych samych źródeł odpowiedź jego nowego szefa nie nadawała się do druku w żadnej gazecie.

Po powrocie z Brennan Kate zaprosiła Adelphię i członków Klubu Wielbłądów na naradę u niej w wozowni. Na twarzy Adelphii wciąż jeszcze widniało przerażenie i Kate zrobiła jej zimny okład i podała szklankę wody. Ale nawet wtedy Adelphia nie przestała wpatrywać się w swoje dłonie i w milczeniu potrząsać głową.

— Z Alekssem wszystko dobrze — powiedziała Kate. — Nie udało mi się z nim zobaczyć, ale przez chwilę rozmawialiśmy przez telefon.

— Na pewno go teraz przesłuchują — wtrącił Reuben. — Był przecież w samym środku wszystkiego. Mógł zauważyć coś, co pomoże w dalszym postępowaniu.

— Zastanówmy się, czy my widzieliśmy coś, co by mogło pomóc — zaproponował Stone.

— Strzelanina, umierający ludzie i płonące samochody — wyjął Caleb.

— I prezydent, którego gdzieś ponieśli — dodał Milton.

— Ale przedtem coś mu się stało — dorzucił Caleb. — Widziałem to na tym wielkim ekranie. Chwycił się za klatkę piersiową.

— Może atak serca? — zastanowił się Reuben.

— Może. — Stone kiwnął głową.

— Ale strzelali Arabowie — wtrącił Reuben. — Wyrwałem jednemu broń i zaraz potem go zastrzelili.

— Nie ulega wątpliwości, że był to zorganizowany zamach — powiedział Stone. — Mimo całego zamieszania widać to było wyraźnie. Najpierw snajperzy, potem podpalający się samobójcy, potem znowu snajperzy strzelający precyzyjnie zaplanowanymi seriami.

— Dobrze chociaż, że prezydenckiej limuzynie udało się uciec — *zauważyła Kate*. — Nawet *jeśli w końcu prezydenta* i tak porwano.

— Tak, tyle że zamachowcy chyba chcieli, żeby ta limuzyna uciekła — rzekł Stone. — Po uprzednim odcięciu jej od reszty kawalkady. — Spojrzał na Milтона, który zawzięcie stukał w klawiaturę laptopa. — Coś nowego, Milton?

— Tylko oficjalne potwierdzenie, że prezydenta uprowadzono i że przed budynkiem Szpitala Miłosierdzia w Brennan doszło do strasznej strzelaniny.

— Szpital Miłosierdzia — powtórzył Stone w zamyśleniu. — Jeżeli prezydent nagle zachorował, musieli go zawieźć do szpitala. To standardowa procedura.

— A przedtem podpalili ambulans — dodała Kate.

— To też było zaplanowane.

Caleb potoczył wzrokiem po obecnych.

— No i co teraz? — zapytał.

— Musimy jak najszybciej skontaktować się z Alekssem. Powinien koniecznie zobaczyć to nagranie — *powiedziała Kate*.

— Na pewno jest teraz cholernie zajęty — *zauważył Reuben*.

— Pojadę do niego, gdy tylko wróci do domu — *rzekła Kate*. — Jestem pewna, że będzie chciał się w to włączyć.

Jednak z miny Stone'a wynikało, że on wcale nie jest taki pewien.

W sali posiedzeń komitetu kryzysowego w centrali Secret Service wrzało jak w ulu. Wprawdzie oficjalnie dochodzeniem w sprawie zamachu zajmowało się FBI, ale Secret Service nie miało zamiaru dać się zepchnąć na margines.

Alex Ford z obandażowanym ramieniem, obolałą klatką piersiową w usztywniającym bandażu elastycznym i płucami piekącymi tak, jakby je ktoś przypalał żywym ogniem, po raz dziesiąty relacjonował zdarzenia, w których uczestniczył. Sam też słuchał informacji na temat najświeższych wydarzeń.

— Mamy tego ochroniarza ze szpitala — rzekł Wayne Martin, dyrektor Secret Service. — Pozostali dwaj z karetki ponieśli śmierć w strzelaninie, ale tego bydlaka mamy.

— A co z prezydentem? — spytał niespokojnie Alex.

— W karetce go nie było — odparł Martin. — Zakładamy, że go wcześniej przeniesiono do jakiegoś innego środka transportu. Być może uczestniczyła w tym kobieta nazwiskiem Dżamila Salim. Pracowała jako opiekunka do dzieci w domu niejakich Franklinów. Związała panią Franklin i zabrała z sobą dzieci. Później je uwolniła, ale zginęła od kul policjantów, których próbowała rozjechać.

— A jaki to ma związek z prezydentem? — spytał któryś z agentów.

— Sądzymy, że wykorzystała obecność dzieci, by łatwiej przedostać się przez blokadę drogową. Kobieta z trójką wrzeszczących bachorów nie plasuje się zbyt wysoko na liście podejrzanych.

— Ale wciąż nie rozumiem związku — powtórzył ten sam agent.

— Policja sprawdziła dokładnie jej van i znalazła schowek pod podłogą. Był wyłożony od środka blachą miedzianą i ołowiem i miał wyżłobione zagłębienie z grubsza pasujące wielkością do wymiarów prezydenta i drugie mniejsze na butlę z tlenem, którą zresztą później znaleziono. Ta Franklin zeznała, że jej opiekunka bardzo się zdenerwowała na wiadomość, że jej pani zmieniała plany i ma zamiar pojechać na uroczystości

związane z wizytą prezydenta i zabrać na nie dzieci. Bardzo by to skomplikowało jej plany, więc musiała ją unieszkodliwić.

— A ochroniarz coś powiedział? — zapytał Alex.

— Ten wątek śledztwa przejęło FBI — rzekł Martin z goryczą. — Wiem tyle, że jego odciski sprawdzono w systemie i niczego nie znaleziono.

— Panie dyrektorze, ten człowiek nie był nowicjuszem — powiedział Alex. — Nie wierzę, żeby to była jego pierwsza akcja.

— Też tak sędzę. — Dyrektor pokiwał głową. — Czyli pewnie nigdy wcześniej nie dał się złapać.

Alex zdecydował się zadać pytanie, które od wielu godzin nie dawało mu spokoju.

— Ile było ofiar śmiertelnych?

Martin spojrzał na niego dziwnie.

— Na placu i w mieście zginęło dwudziestu jeden terrorystów.

— Miałem na myśli naszych ludzi.

Martin powiódł spojrzeniem po obecnych.

— W tej chwili te dane są utajnione i pozostaną takie do czasu, aż rozgryziemy, co tu jest, do cholery, grane. — Przerwał i po chwili dodał: — Ale nie ponieśliśmy żadnych strat.

Alex aż podskoczył.

— Co za bzdury pan opowiada? Ludzie padali jak muchy. Byłem tam na miejscu i widziałem na własne oczy. Czy to znowu jakieś pieprzone polityczne zagrywki? Bo jeśli tak, to jest to draństwo!

— Spokojnie, Ford — powiedział cicho Martin. — Wiem, że cię naszpikowali różnymi prochami przeciwbólowymi, ale się nie zapominaj. Do mnie się tak nie mówi, synu.

Alex zaczerpnął głęboko powietrza i oparł się plecami o krzesło.

— Panie dyrektorze, twierdzą, że ponieśliśmy duże straty.

— Zostało trafionych dwudziestu pięciu naszych ludzi. Do tego dochodzi około piętnastu policjantów mundurowych. No i doktor Bellamy. — Martin zaczerpnął powietrza. — Tylko że strzelano do nich lotkami usypiającymi. Wszyscy odzyskali już przytomność i żyją. Dlatego zamachowcom udało się przemycić broń przez bramki magnetometryczne. Pistolety i pociski były

zrobione z materiałów kompozytowych i nie zawierały ani odrobiny metalu. — Zrobił przerwę i dodał: — Nic z tego, co wam teraz powiedziałem, nie ma prawa wyjść poza te cztery ściany.

Agenci siedzący na sali spojrzeli po sobie % niedowierzaniem.

— Lotki usypiające? — wycedził Alex. — No więc pod szpitalem nie było żadnych lotek. Tam strzelali ostrą amunicją.

— Dwaj agenci, którzy wyciągnęli prezydenta, też zostali postrzeleni lotkami. Dopiero kiedy zaczęli się bronić przed atakiem policji, przeszli na ostrą amunicję. Ale mimo dogodnej pozycji na górze i dysponowania jednym z najlepszych karabinów snajperskich na świecie, nikt nie został postrzelony ostrą amunicją. Naoczni świadkowie twierdzą, że snajperzy strzelali jedynie w kierunku naszych ludzi, a nie do nich. Utworzyli pod szpitalem zaporę ogniową tylko po to, by nie dopuścić naszych. W tej chwili nie ma już co do tego wątpliwości. Najwyraźniej ani razu nie strzelili po to, żeby zabić, choć nasi ludzie twierdzą, że okazji ku temu im nie brakowało. Nie twierdzę, że coś z tego -rozumiem, a\ę takie są fakty.

— Do mnie strzelali ostrą amunicją — powiedział Alex, dotykając zranionego ramienia.

— Gratuluję, byłeś wyjątkiem. Pewnie nie spodziewali się, że uda ci się przedostać do szpitala i pokrzyżować im plany.

— Najwyraźniej nie pokrzyżowałem ich wystarczająco.

Martin wbił w niego wzrok.

— Nikt inny nie zrobiłby więcej na twoim miejscu — powiedział z przekonaniem.

Alex zbył komplement milczeniem.

— Najwyraźniej chodziło im o to, żeby oddzielić prezydenta od ochrony i przenieść go do szpitala. Znali dobrze nasze procedury i sposoby postępowania i wykorzystali je przeciwko nam. Fakt, że oszczędzili życie wszystkim naszym ludziom z ochrony, pozwala mieć nadzieję, że z prezydentem będzie podobnie. Mogli go przecież łatwo zabić.

— I teraz zażądają okupu, i to nie w pieniądzech — odezwał się któryś z agentów.

— To bardzo prawdopodobne — potwierdził Martin. — Tylko Bóg raczy wiedzieć, czego mogą zażądać.

— Panie dyrektorze, ale po co się aż tak wysilać, żeby nas

nie pozabijać? — rzucił Alex ze złością. — Przecież to dla nich nie pierwszozna. Wciąż nas zabijają. Wystarczy przypomnieć jedenastego września, USS *Cole* czy dworzec Grand Central. A w dodatku myśmy ich przecież nie oszczędzali i urządziliśmy im jatkę. To wszystko nie ma sensu.

— I tu się z tobą zgadzam. To nie ma sensu. Wygląda, że poruszamy się po zupełnie nieznanym terenie. — Martin wziął do ręki pilota i skierował go ku ogromnemu plazmowemu telewizorowi na ścianie. — Właśnie dostaliśmy to nagranie. Chcę, żebyście je wszyscy bardzo uważnie obejrzeli. Jeśli ktoś zauważy coś, co wyda mu się dziwne, proszę dać znać.

Ekran ożył i oczom obecnych ukazały się przerażające sceny nagrane w Brennan.

Trzykrotnie obejrzeli całe nagranie i choć parę osób zgłosiło uwagi, nic konkretnego z nich nie wynikało. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że zamachowcy byli doskonale zorganizowani i bardzo zdyscyplinowani.

— Unieszkodliwili zarówno ambulans, jak i doktora Belamy'ego po to, żebyśmy nie mieli innego wyjścia i musieli od razu wieźć prezydenta do szpitala — odezwał się Martin. — Potem za pomocą ciągnika z naczepą i wieży ciśnień zablokowali dojazd, by utrudnić dotarcie posiłków. Bardzo sprytnie. Całe szczęście, że nie mieliśmy do czynienia z takimi jak oni, kiedy strzelano do Reagana. Dotarł do szpitala jedynie z garstką agentów. Gdyby ktoś wtedy czekał pod szpitalem, miałby dziecinnie proste zadanie. Co oznacza, że będziemy musieli od zaraz wprowadzić zmiany do naszych procedur.

— Ale prezydent naprawdę wyglądał na chorego — wtrącił Alex. — Widziałem, jak się chwycił za klatkę piersiową. Gdy dotarliśmy do szpitala, powiedział, że umiera. Zmierzyłem mu puls. Wydał mi się normalny, ale nie jestem lekarzem.

— Członkowie personelu szpitala zeznali, że jeden z lekarzy zrobił mu jakiś zastrzyk w ramię i prezydent stracił przytomność — przypomniał Martin.

— Ale zamachowcy nie mogli przecież liczyć na to, że prezydent nagle poczuje się źle i będzie musiał pojechać do szpitala — zauważył Alex. — Musieli to jakoś sami wywołać.

— To prawda, tylko nie wiemy jak.

— Może do niego też strzelono lotką, po której nagle źle się poczuł? — zastanowił się jeden z agentów.

— To możliwe. W dodatku pistolety na lotki nie robią zbyt wiele hałasu. Tyle że do chwili pierwszej serii nikt nie zauważył żadnej broni. Przejrzeliśmy to nagranie ze sto razy i nie widać, żeby prezydent w którymś momencie drgnął, skrzywił się albo w inny sposób okazał, że został czymś trafiony. Bo nawet na uderzenie lotki człowiek instynktownie reaguje.

W tym momencie wszedł Jerry Sykes i wręczył Martinowi kartkę.

— W tej chwili to dostaliśmy, panie dyrektorze — powiedział.

Martin przeczytał treść i potoczył wzrokiem po obecnych.

— Szpital w Brennan donosi, że zgłosiło się do nich pięć osób uskarżających się na duszności i objawy ataku serca. Przesłali nam zestawienie ich danych osobowych. Wszyscy zostali poddani testom, które wykazały, że nic im nie jest.

— To może oznaczać, że w powietrzu rozpylono jakąś substancję biologiczną — zauważył Sykes.

— Która zadziałałaby tylko na prezydenta i pięć innych osób? — rzekł Martin z niedowierzaniem. — Musiałaby być cholernie nieskuteczna.

Alex przez cały czas nie odrywał wzroku od ekranu.

— Czy ta piątka, która trafiła do szpitala, składała się może z weterana Gwardii Narodowej, dwóch starszych mężczyzn, młodej kobiety i starszej niewiasty?

Martin uniósł wzrok znad komunikatu.

— A ty skąd to, u diabła, wiesz? — spytał zdumiony.

Zamiast odpowiedzi Alex wskazał na ekran.

— Niech pan to cofnie i jeszcze raz puści wolniej.

Ponownie zaczęli się przyglądać Brennanowi, jak idzie wzdłuż szpaleru i wita się z weteranami.

— Dobra, teraz stop! — zawołał Alex.

Martin włączył stopklatkę.

— Proszę spojrzeć na dłoń tego człowieka — powiedział Alex, wskazując na protezę weterana w mundurze Gwardii Narodowej.

— To sztuczna dłoń, Ford — mruknął Sykes. — Kilku agentów przy sznurze też ją zauważyło.

— Zgadza się — potwierdził Alex. — Ja też. Podaje prezydentowi prawą dłoń, która jest sztuczna. Potem Brennan idzie dalej, ściska dłonie kolejnym pięciu osobom i dopiero wtedy upada. Teraz proszę dalej.

Weteran Gwardii Narodowej zasalutował prezydentowi.

— I znowu stop. Widzicie, saltuje lewą ręką. A dokładniej lewym hakiem. Czyli jedna sztuczna dłoń, jeden hak.

— No więc może czeka, aż mu zrobią drugą protezę — wtrącił niecierpliwie Martin.

— Ale dlaczego wita się prawą ręką, a saltuje lewą?

— Ja jestem leworęczny, ale większość ludzi jest praworęczna — odezwał się Sykes. — I dlatego zawsze podaję prawą rękę, ale salutuję czasem lewą. No i co z tego?

— Dobrze, więc czy ktoś coś zauważył? — spytał Martin.

Alex nie przestawał wpatrywać się w dłoń na ekranie.

— Czy można zrobić zbliżenie jego dłoni? — zapytał.

Martin i Sykes spojrzeli na niego ze zniecierpliwieniem.

— Po prostu zróbcie mi przyjemność. Nikt inny i tak niczego więcej nie zauważył.

Martin nacisnął kilka razy przycisk zoomu tak, że proteza dłoni wypełniła niemal cały ekran.

— Spójrzcie na to — powiedział Alex, wyciągając rękę.

— Na co mamy patrzeć? — prychnął Martin.

— Na tę wilgoć na jego dłoni.

Sykes popatrzył na niego z politowaniem.

— Przecież to pot, Alex. Było bardzo gorąco.

— Zgadza się, było gorąco. Tylko że sztuczne dłonie się nie pocą.

— O jasna cholera! — wykrzyknął Martin, wlepiając wzrok w ekran.

Gdy niedługo potem wszyscy się już rozchodzili, Martin ręką przytrzymał Aleksa.

— Ford, nie macie się czego wstydzić. W zasadzie to prawdziwy z was bohater.

— Wcale pan tak nie uważa — odrzekł Alex. — Ja zresztą też nie.

ROZDZIAŁ 58

Upłynęła doba, podczas której wystraszona Ameryka z zapa-
tym tchem czekała na wieści o swoim prezydencie. Udało się
ustalić adres kalekiego weterana Gwardii Narodowej, ale gdy
tam pojechano, już go nie było. Okazało się, że piątka przyjętych
do szpitala cierpi na zatrucie silnym syntetycznym środkiem
halucynogennym, który wchłania się przez skórę. Testy wyka-
zały, że wywołuje on objawy zbliżone do ataku serca, częściowy
paraliż i silne stany depresyjne. W celu zidentyfikowania
tajemniczej substancji szpital musiał wezwać na pomoc nau-
kowców i techników z CIA. W odpowiedzi CIA pospieszenie
ogłosiła, że w swych działaniach nigdy nie posługiwała się tym
środkiem, wiadomo natomiast, że pozbawieni skrupułów wro-
gowie Ameryki robili to już wielokrotnie. Pocięchą było to, iż
dla ludzi substancja ta nie była śmiertelna, a jej działanie
dawało się zneutralizować łatwo dostępnymi środkami far-
makologicznymi. Wyglądało na to, że pięcioro pacjentów uległo
skażeniu, gdy stojąc za sznurem, ściskali zabrudzoną wcześniej
dłoń prezydenta.

W warsztacie samochodowym w centrum Brennan znaleziono
kolejne ciało, w którym Alex rozpoznał mężczyznę prowadzą-
cego ambulans. Warsztat należał do amerykańskiego biznes-
mena, po którym wszelki ślad zginął. Testy balistyczne
wykazały, że pocisk wyjęty z ciała mężczyzny wystrzelono
z tej samej broni, z której zraniono Aleksa. Kulę, która otarła
się o jego ramię, znaleziono w drewnianej poręczy. Odkrycie to

w połączeniu z faktem, iż warsztat znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie szpitala, dowodziło niezbicie, iż przeniesienie prezydenta z ambulansu do vana Dżamili Salim nastąpiło w tym warsztacie. Potem z vana przekazano go gdzieś dalej — być może do kolejnego środka transportu—i wywieziono poza teren.

Pełniący obowiązki prezydenta Ben Hamilton kilkakrotnie zapewnił naród, iż rząd panuje nad sytuacją i wszystko funkcjonuje normalnie oraz że ten, kto popełnił ten odrażający czyn, zostanie surowo ukarany. Zażądał też, by organizacja terrorystyczna, która porwała prezydenta Jamesa Brennana, wypuściła go natychmiast całego i zdrowego, w przeciwnym razie bowiem odwet ze strony Stanów Zjednoczonych będzie bezlitosny i może doprowadzić do zagłady zarówno bezpośrednich sprawców, jak i krajów udzielających im wsparcia.

Niemniej uprowadzenie prezydenta było ciosem, który ogłuszył cały kraj. Nastąpiło gwałtowne załamanie rynków finansowych, ludzie bali się wychodzić z domów i niemal zamarło funkcjonowanie całego kraju. Na domiar złego pewne ekstremistyczne ugrupowania muzułmańskie zaczęły głośno apelować do porywaczy, by — o ile jeszcze tego nie zrobili — zabili Brennana i pokazali światu jego trupa.

Siły zbrojne i Dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych — SAC ogłosiły DEFCON 2, co w historii SAC zdarzyło się dopiero po raz drugi. (Pierwszy miał miejsce podczas kryzysu kubańskiego w 1962 roku). Nawet wydarzenia z 11 września spowodowały ogłoszenie DEFCON 3. Eksperti z dziedziny obronności ostrzegali nawet, że zależnie od dalszego rozwoju wypadków należy się liczyć z możliwością ogłoszenia DEFCON 1, czyli najwyższego stanu zagrożenia, kiedy to wszystko staje się możliwe.

Służby wywiadowcze stawały na głowie, by ustalić tożsamość porywaczy. Podjęto też wzmożone działania dyplomatyczne, a Pentagon czekał tylko na wskazanie celu, który wolno mu będzie zaatakować przy użyciu supernowoczesnego arsenału.

W rozmowie z członkiem senackiej komisji sił zbrojnych jeden z trzygwiazdkowych generałów oświadczył: „Skończyliśmy się cackać z tymi łajdakami. Koniec z wojskami lądowymi, do których można strzelać. Od teraz walimy w nich tylko z powietrza i mogą się w dupę pocałować”.

Senator nie zaprotestował.

I tak już napięte stosunki między światem islamu i Ameryką uległy dalszemu pogorszeniu. Wprawdzie jak dotąd żadna organizacja terrorystyczna nie przyznała się do ataku, wiadomo było jednak, że wszyscy zamachowcy w Brennan byli pochodzenia arabskiego. Zdumiewające też było to, że po wprowadzeniu ich odcisków palców i innych danych identyfikacyjnych do potężnej bazy NCW nie uzyskano żadnych pozytywnych rezultatów. Wprost trudno było uwierzyć, że służby wywiadowcze Stanów Zjednoczonych nie dysponują ani jednym bajtem informacji o zamachowcach, jednak wszystko wskazywało na to, że tak właśnie jest.

Ale tajemnica ta nie zaprzętała teraz umysłów obywateli. Wszyscy żądali tylko uwolnienia prezydenta. A także odpowiedzi na pytanie, jak w ogóle mogło do tego dojść.

Późnym wieczorem następnego dnia po wypadkach w Brennan Kate Adams zapukała do drzwi domu Aleksa Forda w Manassas. Wcześniej kilkakrotnie próbowała się do niego dodzwonić, jednak bezskutecznie.

Stojąc pod drzwiami, słuchała dochodzących z głębi domu rzewnych dźwięków gitary. Dźwięki ustały i po chwili usłyszała zbliżające się kroki.

— Tak?

— Alex, tu Kate.

Alex otworzył drzwi. Stał przed nią nieogolony i rozczochrany, ubrany w podarte dżinsy, brudny T-shirt i boso. Oczy miał przekrwione i czuć było od niego alkohol. W prawej ręce trzymał czarną akustyczną gitarę.

— Ani razu nie oddzwoniłeś. Bardzo się o ciebie martwiłam — zaczęła.

— Przykro mi, byłem zajęty — odparł sucho.

Popatrzyła na instrument w rękę, potem na obandażowane ramię.

— Jak możesz grać na gitarze z raną postrzałową ramienia?

— Jak się można podeprzeć Jackiem danielsem, to temblak niepotrzebny.

— Mogę wejść?

Wzruszył ramionami, usunął się na bok i zamknął za nią drzwi.

— Dziwne, że cię media nie napastują.

— Nie podali mojego nazwiska do publicznej wiadomości. Jestem tylko anonimowym agentem Secret Service, który spieprzył sprawę i pozwolił porwać prezydenta.

Zaprowadził ją do niewielkiego, bardzo skromnie umeblowanego pokoju dziennego i oboje usiedli. Wygląda tu, pomyślała Kate, jakby ktoś się właśnie wyprowadzał albo dopiero co wprowadził. Jedyнным elementem wystroju w nadmiarze były setki kieliszków stojące na jednej z półek.

— Mam kieliszek z każdego miejsca, jakie odwiedziłem za czasów pracy w ochronie. — Spojrzała na niego i zobaczyła wbity w nią wzrok. — Niezbyt to dużo jak na tyle lat, co?

Zapadło niezręczne milczenie i Alex przerwał je wreszcie pytaniem, czy chce się czegoś napić.

— Tak, ale czegoś lżejszego.

Wstał i po chwili wrócił ze szklanką coli z lodem.

— Ale bez jacka? — upewniła się.

— Bez. Zresztą i tak mi się skończył. Zabawne, ale wczoraj wydudliłem całą butelkę.

— To taki masz teraz plan? Siedzieć w domu i zapijać się na śmierć przy balladach Johnny'ego Casha?

— Zawsze to jakiś plan — odparł ponuro.

— Ale nie najlepszy.

— Masz lepszy pomysł?

— Obiecałeś, że się spotkasz z Oliverem i resztą.

— A, tak. Z Klubem Wielgusów — mruknął obojętnie.

— Nie, z Klubem Wielbłądów.

— Wszystko jedno. — Wzruszył ramionami i zaczął brzdąkać na gitarze.

Kate rozejrzała się i jej wzrok padł na stojącą na stoliku fotografię. Wzięła ją do ręki. Przedstawiała wysokiego i szczupłego mężczyznę ze zniszczoną twarzą i ogromną plerezą czarnych, przesadnie gładko zaczesanych do tyłu włosów. Z warg zwisał mu papieros, w rękach trzymał gitarę.

Spojrzała pytająco na Aleksa, który nie spuszczał z niej wzroku.

— Twój ojciec?

— Jedyne i niepowtarzalny Freddy „Hot Rod” Ford —
kiwnął głową.
— Wcale niepodobny do Johnny'ego Casha.
— Wiem. Bardziej już do Hanka Williamsa seniora.
Odstawiła fotografię i znowu zaczęła rozglądać się po pokoju.
— Niezbyt ciekawe życie, co? — powiedział. Spojrzała na
niego i stwierdziła, że wciąż się w nią wpatruje. — Ale praca
agenta Secret Service niezbyt służy życiu domowemu.
— Nie przejmuj się — rzekła z uśmiechem. — Nie poluję
na twoje pieniądze.
— I całe szczęście.
Oparła się plecami o kanapę i sącząc wolno colę, powiedziała:
— Alex, musisz się spotkać z Oliverem. Przypominam, że
porwano kobietę.
— To wezwij FBI. Chociaż myślę, że mają teraz na głowie
zupełnie inne porwanie.
— Ale oni chcą ciebie.
— Spójrz na mnie, Kate. — Wskazał palcem na siebie. —
Gdyby zaginęła ci siostra, chciałabyś, żebym to ja się tym
zajął?
— Tak.
— Gówno prawda!
— Alex, proszę cię. Możesz się z nimi spotkać?
— Nie, nie mogę.
— Dlaczego nie?
— Nie muszę się tłumaczyć ani tobie, ani nikomu innemu.
Odstawiła szklankę i wstała z miejsca.
— Przykro mi, że tak do tego podchodzisz.
Ruszyła do wyjścia, ale położył jej rękę na ramieniu
i odwrócił ku sobie.
— Spieprzyłem sprawę, Kate. Nie wykonałem zadania.
— To nie była twoja wina. Omal cię nie zabili.
— Nie, wydymali mnie jak żółtodzioba. Ochroniarz o blis-
kowschodnich rysach akurat przypadkowo wychodzi ze szpita-
la? I przypadkowo jest gotów zaryzykować życie, żeby tylko
mi pomóc, a ja pozwałam sukinsynowi spokojnie odejść
z prezydentem Stanów Zjednoczonych na rękach?
— Wcale nie pozwoliłeś mu spokojnie odejść. Przecież się
zorientowałeś.

— Tak, tylko że o jakieś sześćdziesiąt sekund za późno, a to w tym zawodzie nie ma prawa się zdarzyć. — Oparł się plecami o ścianę. — Pamiętasz, co mi powiedział Clint Hill, ten ochroniarz Kennedy'ego?

— Że nie masz się na nim wzorować, bo on utracił swojego prezydenta.

— Otóż to. I teraz wiem dokładnie, co miał wtedy na myśli.

ROZDZIAŁ 59

Choć od zniknięcia prezydenta Carter Gray niemal nie zmrużył oka, wciąż nie bardzo miał się czym pochwalić. Minęło już trzydzieści sześć godzin i siedział właśnie przy stole w sali konferencyjnej w NCW naprzeciw przykutego do krzesła i pilnowanego przez dwóch uzbrojonych strażników człowieka, podającego się za Farida Szaha. Potwierdzały to też posiadane przez niego dokumenty. Grayowi, który nie miał wątpliwości, że są fałszywe, udało się go wyrwać ze szponów FBI głównie dlatego, że w swoim dossier miał wystarczająco dużo brudów na temat dyrektora FBI.

— Farid Szah z Indii — powtórzył Gray. — Ale nie jesteś przecież Hindusem.

— Ojciec był Hindusem, matka Saudyjką. Jestem podobny do niej — odparł spokojnie więzień. Jego zranione ramię było obandażowane i przytwierdzone bandażem do ciała. Nie chcieli mu pozwolić na temblak, bo dzięki niemu łatwo popełnić samobójstwo.

— Hindus żeni się z muzułmanką?

— Wśród miliarda ludzi zdarzają się różne dziwactwa.

— A w jaki sposób dostałeś się z Indii do Ameryki?

— Ameryka to kraj wielkich możliwości — odparł wymijająco.

— To muzułmanie angażują teraz Hindusów do działalności terrorystycznej?

— Jestem praktykującym muzułmaninem. Na pewno widzieliście, jak odmawiam w celi *sałat*, prawda?

— Wie pan co, panie Szah? Wygląda mi pan jakoś znajomo.
— Zauważyłem, że dla większości Amerykanów wszyscy wyglądamy tak samo.

— Nie jestem większością Amerykanów. A w jaki sposób dostałeś pracę ochroniarza w szpitalu?

Więzień zamilkł i wbił wzrok w swoje dłonie.

— Kim są ci ludzie? — zapytał Gray, rozkładając na stole kilka fotografii. — To twoja rodzina? — Więzień milczał. — Znaleźliśmy je u ciebie w mieszkaniu, więc można sądzić, że wiesz, kim są. Ciekawa sprawa, bo na każdej zapisano na odwrocie po arabsku jakieś daty. Sprawiają wrażenie dat urodzenia i śmierci. Są tu też różne inne informacje. — Gray uniósł fotografię kilkunastoletniego chłopca. — Z dat wynika, że umarł w wieku szesnastu lat. Jest tu też napisane, że zginął podczas wojny iracko-irańskiej. To twój brat? Po której stronie walczył? A ty po której stronie walczyłeś?

Gray nie czekał na odpowiedź, gdyż wiedział, że i tak się jej nie doczeka. Wziął do ręki inną fotografię, tym razem kobiety.

— Napisano, że zginęła podczas, jak to określono, „pierwszej amerykańskiej inwazji na Irak”. Domyślam się, że chodzi o pierwszą wojnę w Zatoce Perskiej, kiedy Irak napadł na Kuwejt, a Stany Zjednoczone przysłyły Kuwejtowi z pomocą. To twoja żona? Walczyłeś w szeregach Saddama Husajna?

Więzień wciąż uparcie milczał.

Gray podniósł fotografię kilkunastoletniej dziewczyny i przeczytał:

— „Zabita podczas drugiej amerykańskiej inwazji na Irak”. To twoja córka? — Więzień w milczeniu wpatrywał się w swoje dłonie. — Straciłeś wszystkich tych ludzi, swoją rodzinę i przyjaciół, podczas wojen i powstań; w walkach muzułmanów z muzułmanami, potem muzułmanów z Amerykanami. Czy o to właśnie chodzi? — Gray wychylił się do przodu. — Chodzi o zemstę?

Zebrał powoli fotografie, skinął głową na strażników i wstając z miejsca, powiedział:

— Niedługo tu wrócę. A wtedy i tak wszystko mi opowiesz.

By ukrócić krążące w mediach pogłoski, następnego dnia oficjalnie poinformowano opinię publiczną, iż podczas zamachu

i porwania prezydenta Brennana terroryści strzelali lotkami usypiającymi. W rezultacie ani jeden Amerykanin nie poniósł śmierci, natomiast było wielu rannych, których stratował tłum uciekający z miejsca uroczystości. Potwierdzona liczba dwudziestu jeden ofiar śmiertelnych wśród Arabów wywołała poruszenie na całym świecie. Najbardziej zwięźle ujął to „The New York Times”, w którym tytuł brzmiał: „Zamachowcy-samobójcy, którzy zabijają tylko siebie?”. „Washington Post” w komentarzu spekulował, czy wynikało to tylko z obawy zamachowców, że prawdziwa broń zostanie wykryta przez magnetometrię. Natomiast nikt już nie potrafił wyjaśnić, dlaczego snajperzy przed szpitalem też używali lotek usypiających. I znów „New York Times” popisał się mocno dosadnym tytułem: „Co tu się, do diabła, dzieje?”.

Na ulicach miast całej Ameryki i świata szerzyła się fala przemocy i było jasne, iż jest tylko kwestią czasu, gdy wydarzy się coś naprawdę groźnego.

Tego samego ranka na Biały Dom spadła kolejna, zapierająca dech nowina. Wszystkie ogólnokrajowe sieci telewizyjne w Ameryce otrzymały zająwkę z telewizji Al-Dżazira, że wkrótce nadana zostanie treść noty z żądaniami porywaczy. Przedstawiciele Al-Dżaziry zapowiadali, iż treść noty jest absolutnie zaskakująca. Jednocześnie oświadczone, że nikt — nawet wiceprezydent — nie pozna wcześniej treści noty z żądaniami. Porywaczom zależało widać na tym, by rząd amerykański poznał ich żądania równocześnie z całym światem.

Reakcja wiceprezydenta Hamiltona na tę wiadomość była taka, że gdyby ją nadano na żywo, wymagałaby licznych piknięć na fonii i spowodowałaby oficjalny protest Federalnej Komisji Telekomunikacyjnej z powodu wulgaryzmów na antenie. Ale co było robić? Hamilton wezwał do siebie cały gabinet, grono doradców i grupę dowódców wojskowych, by wspólnie wysłuchać treści noty.

— A skąd, u diabła, mamy wiedzieć, że ci od noty w ogóle mają Brennana? Przecież to wszystko może być jedną wielką mistyfikacją — zgłosił swe wątpliwości doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

— No właśnie — zgodził się sekretarz obrony, Joe Decker. Liczono się z jego zdaniem, gdyż zawsze był dobrze przygoto-

wany i umiejętnie rozgrywał wszelkie polityczne intryki. Miał również opinię człowieka, który nie obawia się spuścić ze smyczy amerykańskiego militarne brytana, gdy zachodzi potrzeba. Decker był jedną z podpór administracji Brennana i od początku najnowszego kryzysu Hamilton bardzo liczył się z jego zdaniem.

Hamilton wyjął z kieszeni skrawek papieru.

— Biały Dom otrzymał to przed chwilą od krajowych sieci. Dołączono to do noty z żądaniami.

— Co to jest, panie prezydencie? — zapytał Decker.

— Podobno kody atomowe, jakie prezydent Brennan nosi przy sobie. Musimy jeszcze sprawdzić, czy się zgadzają. Oczywiście są już teraz nieaktualne.

Dwie minuty później, po krótkich konsultacjach i rozmowie telefonicznej, sekretarz obrony obrzucił obecnych ponurym spojrzeniem.

— Prawdziwe — oświadczył.

Obecni spuścili głowy, unikając patrzenia sobie w oczy. Wszyscy myśleli teraz o jednym. Czegokolwiek ci porywacze zażądata, niemal na pewno Ameryka nie będzie się mogła na to zgodzić. A to niestety przypieczętuje los Jamesa Brennana.

Na plazmowym ekranie wiszącym na ścianie pojawił się siwowłosy prezenter. Na jego widok Hamilton, ubierając w słowa myśli wszystkich obecnych, wybuchnął:

— Przysięgam Bogu, że jeśli te sukinsyny pokażą film ze ścięcia Jima Brennana, to nie zostanie tam kamień na kamieniu.

Znany od lat prezenter telewizyjny wyglądał na mocno przejętego, szybko się jednak opanował i zaczął czytać. Po pierwsze, Ameryka i reszta świata muszą uznać islam za jedną z wielkich religii świata i traktować go z należnym mu szacunkiem. Po drugie, każdemu dolarowi przekazanemu przez Stany Zjednoczone Izraelowi lub Egipcjowi musi towarzyszyć dolar przekazany Palestynie na rozwój gospodarczy. Po trzecie, musi nastąpić całkowite wycofanie wszystkich sił sprzymierzonych z Iraku i z Afganistanu. Nie dotyczy to sił ONZ, które mogą zostać na miejscu. Po czwarte, wszystkie bazy wojskowe sił sprzymierzonych w Afganistanie muszą ulec likwidacji. Po piąte, prywatne zagraniczne udziały w złożach naftowych muszą zostać przekazane krajom, w których te złoża się

znajdują, i dotyczy to również eksploatacji rurociągu biegnącego przez Afganistan. Po szóste, Arabowie muszą przejąć większościowe udziały w wszelkich firmach zagranicznych działających na Bliskim Wschodzie, a ich zyski muszą być przez najbliższe dwadzieścia lat inwestowane na miejscu w budowę nowoczesnej infrastruktury i tworzenie miejsc pracy. Po siódme, Stany Zjednoczone i ich sojusznicy muszą udzielić gwarancji, iż nie podejmą działań militarnych wobec żadnego suwerennego państwa w regionie, chyba że państwo to zaatakuje pierwsze lub będą istnieć wiarygodne dowody na to, iż popiera działalność terrorystyczną wymierzoną w Stany Zjednoczone lub jego sojuszników. Po ósme, Stany Zjednoczone muszą zrezygnować z używania potęgi militarnej w celu zmieniania świata na swoją modłę oraz muszą uszanować odmienną kulturę krajów Bliskiego Wschodu. Po dziewiąte, musi nastąpić przyznanie, iż wiele problemów nękających Bliski Wschód bierze się bezpośrednio z błędną polityką zagraniczną krajów zachodnich i stosowanego przez nie wyzysku kolonialnego oraz że potrzebne jest rozpoczęcie szeroko pojętego dialogu na temat najefektywniejszych metod dalszego rozwoju regionu.

W miarę słuchania kolejnych punktów przygnębienie wśród uczestników spotkania w Białym Domu coraz bardziej rosło. W końcu jeden z generałów nie wytrzymał i krzyknął:

— Ciągle te same pierdoły. Aż jestem zawiedziony, że nie wymyślili czegoś bardziej pomysłowego.

— Nie wolno nam się ugiąć przed szantażem — oświadczył Hamilton i spojrzął po obecnych w poszukiwaniu poparcia.

— Absolutnie nie wolno — potwierdził szef NSA.

— Ależ oczywiście, że nie — dorzucił z mocą sekretarz Decker.

Siedzący przy stole zaczęli szkicować plany postępowania wobec takiego obrotu sprawy. Generałowie i admirałowie zebrali się w kącie sali, by uzgodnić wspólne stanowisko sił zbrojnych.

I wtedy zabrała głos sekretarz stanu, Andrea Mayes.

— Ludzie, chwileczkę. Przecież nie możemy spisać Jima Brennana na straty.

Andrea była bliską przyjaciółką porwanego prezydenta.

Grupa z Pentagonu spojrziała na nią z wrogim niedowierzaniem.

— Naprawdę wierzysz, że go tak po prostu nam oddadzą? — burknął jeden z nich.

Wokół stołu podniósł się tumult i dopiero jeden gromki głos wybił się nad pozostałe i spowodował, że wszyscy przycichli i spojrzeli na Cartera Graya, który siedział na samym końcu stołu. Mimo iż otaczająca go dotąd aura wszechmocy została ostatnio poważnie nadwerżona, wciąż jeszcze budził respekt.

— Może powinniśmy wysłuchać tego do końca — zadudnił, wskazując palcem ekran.

W sali zapadła cisza.

— To jest oddzielna część — powiedział prezenter, ściskając kurczowo kartkę papieru. Odchrząknął i zaczął czytać. — Kraje cywilizowane, które jednostronnie narzucają swą wolę za pomocą kul i bomb, są terrorystami, nie mogą więc odmawiać innym krajom prawa do takiej działalności. Ten kto walczy mieczem, od miecza ginie. — Prezenter przerwał czytanie i dodał od siebie: — Przechodzę teraz do odczytania najbardziej zdumiewającego fragmentu komunikatu, choć muszę szczerze przyznać, że to, co się dotąd wydarzyło, jest i tak najbardziej niezwykłym ciągiem zdarzeń w mojej całej trzydziestodwuletniej pracy prezentera wiadomości telewizyjnych. — Po raz trzeci zamilkł na chwilę, jakby chciał nadać tej chwili jak największy ciężar gatunkowy.

— Do cholery! — wrzasnął sekretarz Decker. — Mówże wreszcie, o co chodzi!

Prezenter zaczął znów czytać.

— Niezależnie od tego, czy nasze żądania zostaną spełnione, czy nie, równo za tydzień prezydent James Brennan zostanie uwolniony, cały i zdrowy. Dostarczymy go do należycie zabezpieczonego miejsca, a odpowiednie władze zostaną o tym powiadomione w celu przejęcia prezydenta. Niemniej zwracamy się do świata o potraktowanie naszych żądań z najwyższą powagą, bo tylko w ten sposób możemy wszyscy osiągnąć prawdziwy *salam*. — Prezenter uniósł głowę i pośpiesznie dodał: — To po arabsku „pokój”.

Zebrani w Białym Domu siedzieli w milczeniu, wbijając

wzrok w ekran telewizyjny. Na ich twarzach malował się szok, i podziw.

— Co on, do cholery, powiedział? — warknął Hamilton.

— Powiedział, że nawet jeśli ich żądania nie zostaną spełnione — powtórzył Carter Gray donośnym głosem — prezydent Brennan zostanie uwolniony cały i zdrowy.

— Bzdury! — wrzasnął Decker. — Czy oni nas mają za kompletnych idiotów?

Nie, odpowiedział w duchu Gray. Nie sędzę, żeby nas mieli za idiotów.

— To jest absolutnie oburzające — ciągnął Decker podniesionym głosem. — Chciałbym tylko wiedzieć, skąd oni wzięli tych ludzi, którzy im to wszystko zorganizowali.

Gray spojrzał na niego z pogardą.

— Na świecie żyje ponad miliard muzułmanów, a oni wyznają swoją wiarę żarliwie i w jej imię robią wszystko, czego się od nich żąda, nie zadając przy tym żadnych pytań. Myślisz, że naprawdę trudno było znaleźć dwudziestu paru takich, którzy w tych okolicznościach byli gotowi z radością poświęcić życie? Tak myślisz? — powtórzył. — Prowadzimy z tymi ludźmi wojnę, Joe. Jeśli nawet trochę nie znasz swojego wroga, to pozwolę sobie zauważyć, że być może Departament Obrony nie jest dla ciebie najtrafniejszym miejscem pracy.

— Co ty, do jasnej cholery, wyga... — zaczął Decker, ale Gray nie pozwolił mu skończyć.

— Teraz powinno nas interesować, kto to wszystko zaplanował. Bo mam poważne wątpliwości, by zrobiła to któraś ze znanych nam organizacji terrorystycznych. A to oznacza, że musi być ktoś jeszcze. Ktoś, kogo musimy znaleźć, jeśli chcemy odzyskać prezydenta żywego.

ROZDZIAŁ 60

Po wysłuchaniu listy żądań Carter Gray wrócił do biura i czując przypływ nowej energii, zabrał się do pracy. W kartotece NCW nie było żadnego Farida Szaha i Gray zaczął się zastanawiać, gdzie jeszcze mógłby zajrzeć. FBI miało oddzielną komputerową bazę przestępców kryminalnych AFIS, lecz było niemal pewne, że w niej też nie znajdzie Farida Szaha. Nikt nie przybiera sobie nazwiska kogoś notowanego za przestępstwa kryminalne. Mimo wszystko zajrzał do AFIS, ale zgodnie z przewidywaniem nic nie znalazł.

Potem wsiadł do śmigłowca i poleciał do Brennan. W jednym z budynków urządzono tymczasową kostnicę i Gray obejrzał wszystkie leżące w niej ciała. Twarz lekarza ze Szpitala Miłosierdzia wydała mu się znajoma, ale niczego więcej nie zauważył. Problem z identyfikacją zwłok polegał na tym, że wiele fotografii trzymanyh w kartotekach NCW było sprzed dziesięciu czy piętnastu lat, a przez tak długi czas ludzie potrafią bardzo się zmienić. Potem odwiedził jeszcze kolejno teren uroczystości, warsztat samochodowy, szpital i na koniec mieszkanie w bloku, z którego snajperzy tak długo utrzymywali policję w szachu. Nic z tych wszystkich oględzin nie wynikło poza rosnącym podziwem szefa NCW dla zmyślności i precyzji całej akcji. Tylko kto to wszystko wymyślił? Kto?

W drodze powrotnej wyciągnął teczkę z fotografiami zabranymi z mieszkania Szaha i zaczął je przeglądać. Nagle

przyszło mu coś do głowy, kazał więc pilotowi zmienić kurs i polecieć do Langley.

W centrali CIA przekazał fotografie i fotkę policyjną Faridę Szaha szefowi agencji i poprosił o podjęcie natychmiastowej próby identyfikacji którejkolwiek z przedstawionych osób.

Jeszcze tego samego wieczoru odebrał w biurze telefon z Langley.

Poinformowano go, że chyba pewien arabski informator CIA rozpoznaje jedną z osób na zdjęciach. Chodziło o fotografię młodej dziewczyny. Zdaniem informatora była córką kogoś, z kim zetknął się przed laty w Iraku, najpierw w podziemnym ruchu oporu przeciwko Saddamowi Husajnowi, potem w organizacji walczącej z amerykańską okupacją. Ujrzawszy policyjną fotkę Szaha, informator też go natychmiast rozpoznał, choć twierdził, iż jego wygląd uległ drastycznej zmianie. Potwierdził też, iż dziewczyna na fotografii to jego córka.

— Jak się nazywał ten jej ojciec? — spytał Gray niecierpliwie.

— Adnan ar-Rimi — odparł dyrektor CIA. — Tylko że to nie może być ten, bo Ar-Rimi już nie żyje.

Gray przyjął to do wiadomości, podziękował i odłożył słuchawkę. Potem od razu wszedł do kartoteki, ściągnął fotografię Ar-Rimiego i porównał z policyjną fotką człowieka podającego się za Farida Szaha. Mimo iż po wzięciu poprawki na ogoloną głowę i brodę oraz przytycie można było dopatrzeć się pewnego podobieństwa, to nie był ten sam człowiek.

Gray rzucił na biurko policyjną fotografię i odchylił się z fotelem do tyłu. Nie ulegało wątpliwości, że dane w kartotece NCW zostały sfalszowane, fotografie i odciski palców podmienione. Wrobiono w to Patricka Johnsona, którego najpierw sowiec opłacono, a potem zabito. Wszystko zaczynało układać się w logiczną całość, tylko jak w tym wszystkim wyglądał on sam, Carter Gray? Wychodziło na to, że prowadził wojnę z terroryzmem, opierając się na fałszywych danych wywiadowczych. A to znaczyło więcej niż katastrofę. Stanowiło najstraszliwszą klęskę, jakiej kiedykolwiek doznał w całym swym życiu zawodowym.

Wszedł z budynku i usiadł na ławeczce przy fontannie. Słuchając kojącego plusku wody, spoglądał na wznoszący się

przed nim gmach najpotężniejszej agencji wywiadowczej na świecie. Agencji, której kartoteka nagle okazywała się bezużyteczna. Musiał tego dokonać ktoś wewnątrz. Jego wcześniejsze podejrzenia na temat terrorystów mordujących innych terrorystów, którzy następnie „ożywali”, okazały się prawdziwe. Tylko kto jest tym zdrajcą? I jak głęboko sięgają korzenie zdrady? Mimo ogromnych możliwości, jakimi dysponował, Carter Gray poczuł się nagle bardzo osamotniony.

Tom Hemingway siedział na betonowej posadzce z podwiniętymi pod siebie nogami. Oczy miał zamknięte, a oddech i tętno tak spowolnione, że na pierwszy rzut oka trudno było poznać, czy w ogóle żyje. Potem podniósł się, przeszedł szybkim krokiem przez korytarz i wszedł do innego pomieszczenia. Otworzył kluczem masywne drzwi, wszedł do środka i w głębi otworzył kolejne drzwi.

Na pryczy w niewielkim pokoiku leżała Chastity Hayes z rękami i nogami przykutymi łańcuchami do ściany. Jej równy, miarowy oddech wskazywał na to, że śpi. Nie budząc jej, Hemingway przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, w którym jego drugi, bez porównania ważniejszy więzień też był pogrążony w głębokim śnie. Przez chwilę postął w drzwiach, wpatrując się w śpiącego prezydenta i rozmyślając o tym, co się wydarzyło.

Wszyscy oczekiwali krwawego dalszego ciągu wydarzeń w Brennan, on zaś okazał światu chłodne opanowanie. Zamiast kolejnej powtórki scenariusza powszechnie kojarzonego z fanatycznymi wyznawcami islamu na oczach zdumionego świata wykonał woltę o historycznym znaczeniu. Tyle że postępowanie takie miało już precedensy. Gandhi swą pozbawioną przemocy polityką zmienił cały kontynent. Pełni brutalnej zawziętości segregacjoniści z amerykańskiego Południa musieli ostatecznie poddać się biernemu oporowi i marszom pokoju. Nadstawienie drugiego policzka było „nowym” pomysłem Hemingwaya. Nie wiedział, czy pomysł ten okaże się skuteczny, ale na pewno warto było spróbować. Bo alternatywą była nieuchronna dewastacja obu tak drogich jego sercu światów. Nie brał przy tym pod uwagę, że wydarzenia w Pensylwanii wywołały szok

u tysięcy ludzi i stały się przyczyną poważnych, niekiedy krytycznych obrażeń u setek innych.

Hemingway długo zastanawiał się, jak wiele ze swych planów ma ujawnić Arabom. Czy gdy się dowiedzą, że żaden z ich wrogów nie poniesie śmierci, zechcą wykonać jego rozkazy? W końcu doszedł do wniosku, że skoro oczekuje, iż oddadzą życie za sprawę, mają prawo być w pełni świadomi jego planów. Tak było uczciwiej. W rezultacie bojownicy uczestniczący w akcji w Brennan oddawali życie, wiedząc, że ich wrogom nic nie grozi. Był to jeden z najwspanialszych aktów odwagi, z jakimi Hemingway się zetknął.

Rzucił okiem na zegarek. Wkrótce świat miał usłyszeć kolejny komunikat i tym razem dowiedzieć się, gdzie nastąpi przekazanie prezydenta. Wiedział, że wiadomość ta wprawi wszystkich w osłupienie nie mniejsze niż poprzednio.

Kate spotkała się z członkami Klubu Wielbłądów w chatce Stone'a, by ich poinformować, że nie udało się jej przekonać Forda.

— Obwinia się o to, co stało się z prezydentem — wyjaśniła.

— Znam go od paru lat i specjalnie mnie to nie dziwi — rzekł Stone. — Jest pełen dumy i swoje obowiązki traktuje bardzo poważnie.

— Ale niekiedy zbyt dumna przeszkadza — zauważyła Kate.

— A czasu jest coraz mniej — dodał Milton, który jak zwykle miał włączony laptop. — Sytuacja robi się coraz groźniejsza. — Wszyscy podeszli i zajrzeli mu przez ramię na ekran, po którym płynęły najświeższe wiadomości. — Mimo obietnicy, że puszczą Brennana wolno, przemoc rośnie i wymyka się spod kontroli. Na całym świecie agresywny motłoch napada i morduje muzułmanów. A ci odpowiadają tym samym. W Kuwejcie uprowadzono pięciu Amerykanów i ścięto im głowy. W Iraku znów zapanował kompletny chaos.

— I teraz już nawet bardziej umiarkowane ugrupowania muzułmańskie wzywają porywaczy, żeby Ameryka zapłaciła za życie Brennana bardzo wysoką cenę — zauważył Stone.

— Jedno z nich namawia, żeby za uwolnienie zażądać broni jądrowej — dodał Caleb. — Boże święty, cały świat się

rozpadnie. Dlaczego ludzie nie mogą po prostu siedzieć cicho, czytać książek i być dla siebie dobrzy?

Reuben skwitował dziecinną naiwność Caleba uniesieniem krzaczastych brwi.

— Armia amerykańska jest w pełni gotowa i czeka tylko na sygnał — powiedział.

— A to może doprowadzić do globalnej wojny z islamem — dodał Caleb.

— Tylko że niektórym taka wojna może być na rękę — mruknął Stone. *Na przykład Carterowi Grayowi.*

— A jeśli rzeczywiście uwolnią prezydenta...? — odezwała się Kate.

— Może to już nie mieć żadnego znaczenia — odparł Stone. — Świat jest tak bardzo podzielony, że katalizator może wystarczyć do rozpętania ostatecznej walki.

— Ale gdyby nam się udało wykryć, kto to zrobił...? — powiedziała Kate.

— Nam? — wykrzyknął Reuben. — Nie mamy nawet cienia szansy.

— I tu się mylisz — rzekł Stone tak uroczystym tonem, że wszyscy wlepili w niego spojrzenia. — Alex Ford złożył mi tu kiedyś wizytę. Czas, żeby Klub Wielbłądów udał się z rewizytą.

Carter Gray wszedł do korytarza prowadzącego do wydzielonej części budynku NCW, w której mieściły się cele aresztantów. Skinął głową strażnikom i drzwi do jednej z cel zostały otwarte.

— No to jak, panie Ar-Rimi — rzekł triumfalnie. — Może jednak porozmawiamy?

Leżący na pryczy i cały przykryty kocem na głowę więzień nie zareagował. Gray dał znak strażnikom.

Dwóch strażników chwyciło Ar-Rimiego za ramiona i szarpnęło do góry.

— O kurwa! — wyrwało się jednemu z nich.

Obaj wypuścili go z rąk i Ar-Rimi bezwładnie runął na betonową posadzkę.

Gray podszedł bliżej i w milczeniu przyjrzał się ciału, któremu z ust sterczały strzępy lekarskiego plastra. Więzień

zerwał go z opatrunku na zranionym ramieniu, zwinął w kulka, którą wetknął do gardła, i udusił się pod kocem. Zwłoki były już zupełnie zimne.

Gray popatrzył na kamerę wideo umieszczoną w rogu celi.

— Więzień dusi się na śmierć kawałkiem plastra, a wy nic nie widzicie? — wrzasnął. — Kretyni!

Z furią rzucił na zwłoki folder, z którego wysypały się fotografie.

Wyszedł z celi i ruszył korytarzem, jakby odprowadzany szklanym wzrokiem denata utkwionym nieruchomo w oddalającym się z furią carze wywiadu. Gdyby człowiek po swej śmierci mógł się uśmiechnąć, Adnan ar-Rimi na pewno by to teraz zrobił.

Pół godziny później śmigłowiec Graya wylądował pod Białym Domem. Jego pasażer z niepokojem myślał o czekającej go rozmowie z pełniącym obowiązki prezydenta Hamiltonem. Postanowił, że nie będzie się bawił w nieudomówienia. Gray i Hamilton nigdy za sobą nie przepadali. Będąc wieloletnim politycznym adiutantem Brennana, Hamilton nigdy nie ukrywał swej krytycznej postawy wobec bliskich stosunków łączących prezydenta z szefem wywiadu. Wciąż też czuł rozgoryczenie, że na uroczystości w Brennan prezydent zaprosił Graya, a nie jego. W wyniku tamtejszych wydarzeń ich wzajemny stosunek służbowy uległ radykalnej zmianie i Hamilton zyskał wyraźną przewagę nad rywalem. Gray podejrzewał, że jego nowy zwierzchnik będzie szukał pretekstu, by się go pozbyć. Dlatego też szef NCW postanowił zrobić wszystko, by mu takiego pretekstu nie dostarczyć.

Poinformował Hamiltona o samobójstwie więźnia, ale nie wyjawiał jego prawdziwej tożsamości. Tę tajemnicę Gray miał zamiar zabrać z sobą do grobu.

— Myślę jednak, panie prezydencie, że osiągnęliśmy pewien postęp — oświadczył.

— Może mi, do jasnej cholery, powiesz, na jakiej podstawie tak twierdzisz? — warknął Hamilton, unosząc muzułmańską gazetę. — Znasz arabski, tak?

Gray przeczytał na głos tytuł: „Nareszcie płacą za swoje grzechy”.

Hamilton wziął do ręki inną gazetę.

— A tu piszą: „Może islam zechce nadstawić drugi policzek”. To tekst z wielkiego włoskiego dziennika. I teraz, kiedy nasz prezydent Bóg wie gdzie się podziewa, prasa międzynarodowa wyraźnie sugeruje, że to wszystko twoja wina. — Uniósł pasek papieru. — Mam tu informację sprzed kilkunastu minut. Nowojorskiego taksówkarza muzułmanina wyciągnięto siłą z samochodu i w biały dzień zatłuczono na śmierć. I wiesz, co ci powiem? Ten taksówkarz przez sześć lat służył w wojsku. W naszym wojsku! Z kolei dwóch dyrektorów od Halliburtona uprowadzono z hotelu w Rijadzie, a ich zmasakrowane zwłoki znaleziono w zaułku kilometr dalej z wyrżniętymi na ciele napisami: „Śmierć Ameryce”. A to tylko dwa najnowsze przykłady spośród kilkunastu tego rodzaju zdarzeń, o jakich dowiedziałem się dzisiaj. Pentagon tylko czeka na mój sygnał, żeby przypuścić atak jądrowy, a mój wywiad zajmuje się wszystkim innym, tylko nie tym, co trzeba. Nie mamy pojęcia, gdzie trzymają Brennana. — Przerwał i wlepił wzrok w Graya, wyraźnie prowokując go do jakiejś nieporadnej próby obrony, która pozwoli mu tym boleśniej go zaatakować.

Ben Hamilton wyglądał, jakby w ciągu kilku dni od porwania postarzał się o całe cztery lata. Gray nie znał prezydenta, który nie wkraczałby do Białego Domu z bujną ciemną czupryną i nie opuszczał go przyprószony siwizną. Amerykańska prezydentura jest najcięższą i najbardziej wymagającą posadą na świecie, którą przedziwny paradoks ludzkich zachowań czyni jednocześnie najbardziej pożądaną.

— Niezależnie od tego, jak do tego doszło i co na ten temat pisze międzynarodowa prasa — powiedział — psy nie mogą zmieniać umaszczenia. Kiedy stanie się to co nieuniknione, będziemy wiedzieli, jak się zachować.

Hamilton wyrznął pięścią w blat biurka.

— Chcę mieć Jima Brennana żywego. Mam gdzieś twoje dotychczasowe zasługi dla kraju. To się stało na twojej wachcie i dla mnie jesteś za to w pełni odpowiedzialny. Garstka pieprzonych Arabów upokorzyła całe Stany Zjednoczone. Jeżeli prezydent nie wróci cały i zdrowy, pożegnasz się ze stanowiskiem szefa wywiadu tego kraju. Czy mamy w tej sprawie całkowitą jasność?

— Absolutnie — oświadczył Gray z naciskiem. Wiedział doskonale, że Hamilton rzuca słowa na wiatr, bo nie było szans, by pełniący obowiązki prezydenta mógł się pozbyć swego szefa wywiadu podczas tak poważnego kryzysu. — Chciałbym jednak podkreślić, że na liście żądań porywaczy nie ma ani jednego, które w świetle naszej aktualnej polityki zagranicznej moglibyśmy spełnić. I nie możemy sobie pozwolić, żeby przez tydzień czekać na uwolnienie prezydenta. Zwłaszcza że nie wierzę, by go w ogóle uwolnili. Społeczeństwo amerykańskie nie zaakceptuje takiej bezczynności. W tym czasie akty przemocy przybiorą tylko na sile.

— Czyli wychodzi na to, że będziesz musiał go znaleźć — parsknął Hamilton.

Gray spokojnie zmierzył rozmówcę wzrokiem. Wiedział dokładnie, jakimi torami biegną jego myśli. Polityków tak łatwo przejrzeć. Ben Hamilton miał ambicję zostać prezydentem. Od lat cierpliwie płacił polityczny haracz i czekał na swoją kolej po drugiej kadencji Brennana, kiedy to wreszcie będzie mógł wdziać na głowę amerykańską koronę. Teraz znalazł się nagle na tronie, ale czy był już gotów przejąć rząd? Zdaniem Graya zupełnie się do tego nie nadawał. Hamilton nie umiał być nawet dobrym wiceprezydentem.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do gabinetu wpadła zdyszana szefowa personelu, za którą wbiegł agent Secret Service.

— Panie prezydencie! — zawołała. — Dostaliśmy to przed chwilą z Al-Dżaziry. Porywacze ujawnili miejsce, gdzie uwolnią prezydenta.

— Gdzie? — warknął niecierpliwie Gray.

— W Medynie.

— W Medynie? — wykrzyknął Hamilton. — A jak oni, do diabła, wywieźli prezydenta z kraju i przewieźli do Arabii Saudyjskiej?

— Prywatnym samolotem z prywatnego lotniska. Nic trudnego — rzekł Gray.

Twarz Hamiltona poczerwieniła.

— To my wydajemy miliardy na zabezpieczenie portów lotniczych i granic, a oni jakby nigdy nic wywożą prezydenta Stanów Zjednoczonych na Bliski Wschód? — Spojrzał na Graya z taką niechęcią, jakby był gotów od razu go zwolnić.

— Ma to sens — powiedział Gray szybko. — Medyna to dla muzułmanów drugie co do świętości miejsce po Mekce.

Hamilton wlepił wzrok w szefową personelu.

— Skontaktuj się z Saudyjczykami i poinformuj ich, że do czasu uwolnienia prezydenta Brennana dokonujemy aneksji Medyny. — Przeniósł spojrzenie na Graya. — Chcę, żeby wszystkie militarne i wywiadowcze siły, jakie mamy w tamtym rejonie, zostały skierowane do Medyny.

— Już się robi, panie prezydencie — rzucił Gray, zrywając się z krzesła. Chciał jak najszybciej stąd wyjść.

Wszystko, czego sobie życzysz, pomyślał, opuszczając Gabinet Ovalny.

ROZDZIAŁ 61

Kapitan Jack rozsiadł się w fotelu i szeroko uśmiechnął. Miał ku temu nie lada powód, dzierżył bowiem w ręku hasło potrzebne do uruchomienia ostatniej części planu. Więzień wytrzymał znacznie większą porcję tortur, niż to pierwotnie zakładano, choć jego północnokoreańscy koledzy byli w tych sprawach prawdziwymi mistrzami. W końcu jednak się załamał. Wszyscy się w końcu załamywali. Kapitan Jack odczytał arabski tekst i znów się uśmiechnął.

Zadzwoił pod umówiony numer z aparatu będącego klonem innego, niemożliwym do powiązania z nim. Mówiąc płynnie po arabsku z użyciem wszystkich niezbędnych intonacji, przekazał wiadomość i zakończył z takim trudem zdobytym hasłem. Dla rozmówcy hasło to uwierzytelniało prawdziwość otrzymanej wiadomości i pozwalało rozpowszechnić jej treść na cały świat.

Kapitan Jack rozłączył się i podpalił zapalniczką skrawek papieru, zamieniając go w kupkę popiołu. Jeśli Tom Hemingway myślał, że udało mu się zadziwić świat, to dopiero teraz zobaczy, do czego jest zdolny jego stary przyjaciel.

Sekretarz obrony Joe Decker wlepił wzrok w wiceprezydenta siedzącego za ogromnym biurkiem. Obaj znali już treść najświeższego komunikatu Al-Dżaziry i obaj byli wściekli.

— To nasza jedyna szansa, panie prezydencie — mówił. —

Nie mamy tam wojsk, które można by użyć, a szczerze mówiąc, nawet gdybyśmy mieli, bardzo szybko moglibyśmy mieć drugi Irak. Za wszelką cenę musimy tego unikać. Nie stać nas na to.

Sekretarz stanu Andrea Mayes, która do tej pory nie włączała się do rozmowy i kręciła w głębi Gabinetu Owального, teraz podeszła do biurka. Była postawną, masywnie zbudowaną kobietą ze szpakowatymi włosami.

— To, co proponuje sekretarz Decker, stanowi bezpośrednio złamanie traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Nie mamy do tego prawa.

— A właśnie, że mamy — zaperzył się Decker.

— Jakim cudem? — spytał Hamilton zaczepnie.

— Nasz kraj zawsze powtarzał, że jakiegokolwiek użycie przeciw nam broni masowego rażenia typu biologicznego, chemicznego czy jądrowego będzie równoznaczne z odstąpieniem przez nas od traktatu o nierozprzestrzenianiu w odniesieniu do kraju agresora.

— Ale przecież Syria nas nie zaatakowała! — wykrzyknęła Mayes.

— Grupa Szarijatu przyjęła na siebie odpowiedzialność za uprowadzenie prezydenta Brennana. Organizacja ta działa na terenie Syrii i jest przez ten kraj finansowana. Zgodnie z ustalonymi wcześniej zasadami naszej polityki zagranicznej Syria za pośrednictwem Grupy Szarijatu zaatakowała nasz kraj, a do uprowadzenia prezydenta posłużono się jakąś substancją chemiczną. Mamy także dowody na to, że Syria zaangażowała się niedawno w program rozwoju broni masowego rażenia. Tak więc, mimo iż Syria jeszcze bezpośrednio nie użyła wobec nas takiej broni, Stany Zjednoczone nie mają obowiązku beczynnie siedzieć i czekać na atak. Z kolei fakt, że porwali naszego prezydenta, a teraz próbują nas tym szantażować, w zupełności usprawiedliwia nasze postępowanie.

Mayes pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Jeśli chodzi o broń masowego rażenia, Syria nie stanowi problemu. To bardzo rozdrobniona społeczność złożona z Kurdów, sunnitów i mniejszości religijnych.

— Wśród których nie znajdziesz przyjaciół naszego kraju — wtrącił zjadliwie Decker.

— Nie chcą u siebie chaosu i przemocy, jakie widzą w Iraku. Któżby zresztą chciał? I nie życzą sobie demokracji w naszym wydaniu. Płacimy Libii za to, że zarzuciła swój program atomowy, a to przecież wciąż dyktatura. Pod względem przestrzegania praw człowieka Arabia Saudyjska jest na jednym z ostatnich miejsc na świecie, a ich podejście do praw kobiet budzi grozę. Ale mimo to nadaliśmy im status jednego z naszych największych sojuszników. Jak możemy oczekiwać, że przy takim braku konsekwencji z naszej strony inne kraje arabskie będą nas poważnie traktować? — Zaczepnęła szybko powietrza i kontynuowała: — Opinia publiczna w Syrii zdaje sobie doskonale sprawę z niedociągnięć swojego rządu i tamtejsze ugrupowania opozycyjne rosną w siłę. Rząd już zniósł karę śmierci dla członków Bractwa Muzułmańskiego. Są też inne pozytywne sygnały, które świadczą o wzroście swobód bez amerykańskiej ingerencji. Ich rząd zmienia się na lepsze, tylko to wymaga czasu. — Przerwała i wlepiła wzrok w prezydenta. — To właśnie od czterech lat powtarzam Jimowi Brennanowi. Takie sprawy wymagają czasu. Nie da się z dnia na dzień wykorzenić tysiącletnich tradycji.

— Ale wiele z tych opozycyjnych ugrupowań w Syrii to lewacy i komuniści — wtrącił Decker. — Nie chcemy znów dać się wpuścić w maliny.

Hamilton spojrział na dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, który w milczeniu siedział na fotelu przy kominku.

— Allan, podzielasz opinię Joego?

— Sprawa nie jest jeszcze przesądzona, ale dość prawdopodobna — odrzekł dyrektor.

— I szkoda czasu na odwoływanie się do ONZ czy próby budowania koalicji, panie prezydencie — dodał pospiesznie Decker. — Mają naszego prezydenta i musimy ponownie wziąć sprawy w swoje ręce. A taki krok nam to umożliwi, i to szybko! Możemy i powinniśmy to zrobić własnymi siłami. — Oczy Deckera płonęły. — Z całym szacunkiem, panie prezydencie, ale jesteśmy, do cholery, jedynym supermocarstwem na świecie. Proponuję więc, żebyśmy zaczęli odpowiednio do tego się zachowywać.

— A co z Jimem Brennanem? — spytał Hamilton.

— Jeśli jeszcze żyje, a wszyscy mamy nadzieję, że tak, to jest to prawdopodobnie jedyna szansa jego uwolnienia.

Hamilton zamilkł i przez dłuższą chwilę rozważał decyzję, wreszcie oświadczył:

— Dobrze, panowie. Porozumcie się z telewizją i niech mi jak najszybciej przydzielą czas antenowy. Poinformuję o wszystkim opinię publiczną. — I patrząc na Deckera, dodał: — I niech nas Bóg ma w swojej opiece, Joe, jeśli się mylimy.

Alex otworzył drzwi i ujrzał przed sobą Kate Adams i pełny skład Klubu Wielbłądów.

— O Jezus! — jęknął niechętnie.

— Alex, proszę, musimy porozmawiać — rzuciła Kate.

— Sprawy źle stoją, agencie Ford. Naprawdę źle — dodał Reuben.

— O co wam znowu chodzi? — mruknął Alex.

— Pojawiły się pewne nowe okoliczności — uzupełnił Oliver.

— Co za okoliczności?

— Odpowiedzialność za porwanie przyjęła na siebie pewna organizacja terrorystyczna — wtrąciła Kate. — Słyszeliśmy o tym przez radio, jadąc do ciebie.

— Niejaka Grupa Szarijatu. A to prowadzi wprost do Syrii.

— Gdzie masz telewizor? — spytała Kate. — Za dwie minuty wystąpi prezydent.

Alex wpuścił ich do środka i włączył telewizor. Chwilę później na ekranie pojawiła się twarz Hamiltona, który miał marsową minę. Pokrótce omówił ostatnie wydarzenia, po czym oświadczył:

— Amerykanie są wspaniałomyślnym narodem. Zawsze wyciągaliśmy pomocną dłoń do wszystkich znajdujących się w potrzebie. Przyszliśmy z pomocą naszym przyjaciołom podczas dwóch wojen światowych toczonych o wolność świata. Nie ma wątpliwości, że jesteśmy dobrym, szlachetnym narodem, który korzysta ze swej potęgi z umiarem, angażując się w walkę o wolność na całym świecie. Ale jeśli zostaniemy zaatakowani, umiemy też się bronić i oddawać ciosy. Oto, drodzy rodacy, zostaliśmy niedawno zaatakowani, a ci, którzy za tym stali,

właśnie się ujawnili. Grupa Szarijatu ma ściśle powiązania z Syrią, krajem, który znany jest od dawna ze wspierania ugrupowań terrorystycznych występujących przeciw Ameryce i jej sojusznikom. — Zawiesił głos. — Wszyscy przebywający w Syrii przedstawiciele amerykańskiej administracji rządowej zostali już ewakuowani drogą lotniczą. Do pozostałych obywateli amerykańskich, którzy przebywają w Syrii, zwróciliśmy się z prośbą o natychmiastowe opuszczenie tego kraju.

Nawet w nocy z żądaniami porywaczy jest mowa o tym, że Stany Zjednoczone mają prawo bronić się przed agresją i uderzyć w każdy kraj, który udzieli wsparcia agresorom. Ameryka nie pozwoli, by terroryści mieli nam dyktować, co mamy robić. — W tym miejscu Hamilton zrobił długą pauzę. — I dlatego, rodacy Amerykanie, jako naczelny wódz sił zbrojnych, po konsultacji z sekretarzem obrony i Pentagonem podjąłem decyzję.

— Rany boskie! — wykrzyknęli jednym głosem Alex i Kate. Wiedzieli już, do czego to wszystko zmierza.

— Od tej chwili to my zgłaszamy żądania pod adresem porywaczy. — Hamilton znów przerwał i wyprostował się. — Wydałem naszemu dowództwu rozkaz, że jeśli w ciągu ośmiu godzin liczonych dokładnie od tej chwili prezydent James H. Brennan nie zostanie nam bezpiecznie zwrócony cały i zdrowy, przeprowadzimy taktyczny atak jądrowy na stolicę Syrii — Damaszek. Jedynym sposobem uniknięcia ataku na Damaszek jest zwrócenie w wyznaczonym przez nas terminie całego i zdrowego prezydenta. Jeśli prezydent Brennan znajduje się w Medynie, wystarczy dowieźć go do amerykańskiej ambasady w Arabii Saudyjskiej i atak zostanie odwołany. Modłę się do Boga, by porywacze jak najszybciej spełnili nasze żądanie. Jeśli tego nie uczynią, niech Bóg ma w swej opiece mieszkańców Damaszku. Nie będzie żadnych negocjacji i żadnych prolongat terminu. Zwracam się do członków Grupy Szarijatu: obiecaliście, że oddacie nam prezydenta całego i zdrowego. Zróbcie to w terminie wyznaczonym przez Stany Zjednoczone, bo w przeciwnym razie mieszkańcy Damaszku zapłacą najwyższą cenę za waszą odrażającą zbrodnię. — Raz jeszcze zawiesił głos. — Niech was Bóg ma w swej opiece, rodacy Amerykanie, i niech Bóg ma w opiece Stany Zjednoczone.

Twarz prezydenta powoli rozplynęła się i wszyscy obecni jeszcze przez długą chwilę siedzieli w milczeniu, wstrzymując oddech. Zapewne identyczne sceny rozgrywały się teraz w setkach milionów domów w Ameryce i na całym świecie.

Kate obrzuciła Aleksa pełnym przerażenia spojrzeniem.

— To może być początek końca.

— I jest — szepnął Stone. — Ale siedzenie i czekanie, aż nad Damaszkiem pojawi się grzyb atomowy, nic nam nie da.

— Tylko co my, do cholery, możemy zrobić? — rzucił ze złością Alex.

— Odnaleźć prezydenta!

— Ale jak? Jest przecież w Medynie.

— Ja w to nie wierzę, i mam nadzieję, że wy też nie. — Spojrzał na Milтона. — Pokaż im to nagranie.

Milton otworzył laptop.

— To jest nagranie zrobione podczas włamania do mnie do domu, agencie Ford — powiedział.

— A co ma jedno wspólnego z drugim? — Alex się skrzywił. — Za osiem godzin nasza armia wystrzeli pocisk atomowy! Nie rozumiecie tego?

— Obejrzyj to nagranie — poprosiła Kate.

Alex w końcu uniół ręce na znak, że się poddaje, i usiadł na podłodze przed ekranem laptopa.

— O cholera! — powiedział chwilę później. — To Tyler Reinke i Warren Peters. Obaj są z NCW.

— Tak myślałem, że to ludzie z NCW. — Stone pokiwał głową.

— Dlaczego tak myślałeś?

— Bo to oni zabili Patricka Johnsona.

Alex spojrzał na niego z osłupieniem.

— Dlaczego miałiby zabić Johnsona?

— Bo to on podmieniał dane w kartotece NCW. Uśmiercał ludzi, którzy naprawdę wcale nie byli martwi. I zdaje się, że ktoś mu za to płacił duże pieniądze, tylko Johnson okazał się zbyt chciwy lub zbyt nieostrożny, albo jedno i drugie.

— Zaraz, czy dobrze zrozumiałem? Johnson zmieniał dane w bazach komputerowych, tak żeby jacyś ludzie wyglądali w nich na martwych, mimo iż naprawdę żyli?

— I jesteśmy pewni — dodał Stone — że to właśnie oni

zostali potem użyci w zamachu w Brennan. Gazety podały, że żaden z Arabów zabitych podczas akcji nie znajdował się w kartotece NCW. To jest po prostu nie do uwierzenia. Podczas przeszukania domu Reinkego natknęliśmy się na dowód, że zainwestował mnóstwo pożyczonych pieniędzy w przewidywany gwałtowny spadek na rynku akcji, co zresztą właśnie się stało.

— Chcesz powiedzieć, że cały ten spisek uknuto po to, żeby zbić majątek na giełdzie? — wykrzyknął Alex.

— Nie, sprawy sięgają znacznie głębiej — odparł Stone.

— I domyślasz się, kto za tym stoi? — spytał Alex, wpatrując się w niego z napięciem.

— Ktoś z szefostwa NCW — odparł Stone. — Ktoś dużo wyżej niż Reinke czy Peters.

— Pokaż mi jeszcze raz to nagranie — powiedział Alex.

Ponownie obejrzelili całe nagranie od zjawienia się na ekranie Reinkego i zaraz za nim Petersa. Alex wskazał na mężczyznę w czarnej masce, który jednym ciosem zwałił z nóg ochroniarza.

— Mocno mu przyłożył — zauważył. — Aż mu sprawdził tętno, by się przekonać, czy jeszcze żyje.

W tym momencie Reuben położył palec na ustach i głową pokazał okno. Zastona była zaciągnięta, ale okno było otwarte. Zaczęli nasłuchiwać i chwilę później wszyscy usłyszeli to samo: odgłos kroków.

Alex spojrzął na Stone'a i widać było, że porozumieli się bez słów. Stone dał znak Reubenowi, by ten dołączył do Aleksa, po czym wszyscy jakby nigdy nic podjęli rozmowę i tylko Alex z wyciągniętym pistoletem podszedł do drzwi. Otworzył je, wyszedł na zewnątrz i poszedł w lewo. Reuben ruszył za nim i skreśliwszy w prawo, zniknął za narożnikiem.

Chwilę później siedzący w pokoju usłyszeli krzyki i odgłosy szamotaniny, po czym wszystko ucichło. Drzwi wejściowe otworzyły się i stanął w nich Alex. Za nim pojawił się Reuben, trzymający kogoś na rękach.

Naburmuszona mina Jackie Simpson świadczyła dobitnie, iż nie jest takim obrotem sprawy zachwycona.

ROZDZIAŁ 62

— Co ty tu, u diabła, robisz, Jackie? — burknął Alex.

Wbiła w niego wściekłe spojrzenie.

— Dzwoniłam do ciebie mnóstwo razy. Chciałam spytać, jak się czujesz, ale nie raczyłeś oddzwonić. Przyszłam więc w końcu, żeby cię odwiedzić, ale wygląda na to, że się natknęłam na jakieś zebranie spiskowców. Co się tu dzieje, Alex?

Stone ani przez chwilę nie spuszczał wzroku z Simpson.

— Próbujemy rozgryźć, co się dzieje w NCW — powiedział cicho.

— Wiem, to akurat słyszałam. I to, że Reinke i Peters włamali się do czyjegoś domu. — Spojrzała na Aleksa. — Alex, jeśli masz jakieś wiadomości o prezydencie, musisz je natychmiast przekazać szefom. Możesz sobie narobić mnóstwa kłopotów, jeśli tego rodzaju informacje zachowasz dla siebie.

— Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł — wtrącił Stone.

Simpson spojrzała na niego z wyższością.

— A pan to niby kto? — prychnęła.

— Oliver Stone — powiedział, wyciągając do niej rękę.

— Słucham? — W jej głosie słychać było niedowierzenie.

— Nazywa się Oliver Stone — wtrącił szybko Alex. — A to są jego przyjaciele: Reuben, Milton i Caleb. Kate Adams już poznałaś.

— A pani jest Jackie Simpson, jedyna córka senatora Rogera Simpsona z Alabamy i chrześniaczka Cartera Graya, sekretarza wywiadu.

— Coś w tym panu nie pasuje? — spytała zimno.
— Ależ skąd. Tylko zwrócenie się na tym etapie do władz byłoby poważnym błędem, agentko Simpson.
— Słuchaj pan, panie Oliver Stone czy jak się tam pan naprawdę nazywa. Zrobię tak, jak mi się żywnie spodoba, jasne? Jestem gliną i...
— I do tego zapewne bardzo inteligentną—przerwał Stone, nie spuszczać z niej wzroku. — A skoro tak, musiało pani przyjść do głowy to, co jest oczywiste.
Simpson ostentacyjnie przewróciła oczami, ale Stone tak długo się w nią spokojnie wpatrywał, że w końcu spytała:
— Co mianowicie?
— Jeśli się nie mylimy i kartoteki w NCW zostały sfałszowane, w Brennan mogła się pojawić cała armia nieznanymi terrorystów i zorganizować udane uprowadzenie prezydenta. Nie rokuje to dobrze ani pani ojcu chrzestnemu, który kieruje tą agencją, ani pani ojcu, który nadzoruje jej działalność i przewodniczy senackiej komisji do spraw służb specjalnych. Jestem pewien, że nie chciałaby pani im zaszkodzić w karierach. A pójdzie z tym teraz do władz mogłoby ich kariery zrujnować.
Wszyscy w milczeniu obserwowali pojedynek wzrokowy Jackie Simpson i Stone'a. Wreszcie Simpson pierwsza odwróciła wzrok i spojrzała na Aleksa, jakby szukając u niego wsparcia.
— Alex, co się tu, do cholery, dzieje? Co ja mam z tym zrobić?
— Próbujemy wszystko rozwikłać, Jackie. I póki tego nie zrobimy, nie wolno nam nic nikomu mówić.
Caleb spojrział na zegarek.
— A zostało nam już tylko siedem godzin i czterdzieści jeden minut na znalezienie Brennana i niedopuszczenie do kataklizmu.
— To niech lepiej wszyscy zacisną palce u rąk i u nóg, żeby się nam udało — mruknął Reuben.
— Boże święty — rzucił Alex. — Palce!
— Co palce? — zdziwiła się Kate.
Alex wziął laptop z rąk Milтона i ponownie uruchomił nagranie.

— Proszę — rzekł, wyciągając rękę. — Spójrzcie tam, widzicie?

Wszyscy spojrzeli na ekran, nie bardzo wiedząc, na co mają patrzeć, bo nie pokazywał na Reinkego czy Petersa, tylko na mężczyznę pochylonego nad powalonym ochroniarzem.

Pierwszy odezwał się Stone.

— Co mam widzieć? — spytał niepewnie. — Widzę człowieka w masce, i tyle.

Alex włączył stopklatkę i wskazał na ekran.

— To — powiedział.

Wszyscy wlepili wzrok w ekran.

— Chodzi ci o szyję ochroniarza? — spytała Simpson.

— Nie — odparł Alex. — O dłoń na szyi. Zdjął rękawiczkę, żeby mu sprawdzić tętno.

— Zdjął. — Reuben wzruszył ramionami. — No i co z tego?

Alex zaczynał się już niecierpliwić.

— Spójrzcie na jego dłoń. Kate, nie mów mi, że jej nie poznajesz.

— Mam rozpoznać czyjąś dłoń? — zdziwiła się. — Chyba żartujesz.

— Już ci kiedyś mówiłem, że dłonie to moja specjalność. I tę dłoń też rozpoznaję bez pudła. Jest bardzo charakterystyczna przez te guzowate knykcie i tak potężne palce, jakich nigdy wcześniej nie widziałem. — Nacisnął jakiś klawisz i na ekranie ukazało się zbliżenie dłoni. — A na paznokciu kciuka w górnym kącie widać trójkątną, czarną plamkę. Kiedy to pierwszy raz zobaczyłem, pomyślałem nawet, że to jakiś dziwaczny tatuaż.

— Jak to zobaczyłeś? O czym ty mówisz? Kiedy ty to wcześniej widziałeś?

— Tamtego wieczoru u ciebie w barze. Kiedy mnie poznałaś z Tomem Hemingwayem. A potem jeszcze raz, kiedy dołączył do nas w NCW.

Kate spojrzała na niego i ze zdumienia aż otworzyła usta, potem przeniosła wzrok na ekran.

— Twierdzisz, że to jest dłoń Toma Hemingwaya?

— Nie mam co do tego cienia wątpliwości. Dla mnie dłonie są równie niepowtarzalne, jak odciski palców.

— Wydaje mi się, że Alex ma rację. To chyba naprawdę jest dłoń Hemingwaya — powiedziała z namysłem Simpson.

— To znaczy, że ten Hemingway mógł stać za porwaniem prezydenta — stwierdził Stone. — Tylko dlaczego?

— A skąd mam to wiedzieć? — zachnął się Alex. — Natomiast możemy spróbować zgadnąć, gdzie go trzymają. I Kate może znać odpowiedź.

— Ja! — wykrzyknęła Kate. — Niby dlaczego?

— Wspominałaś, że wspólnie z Hemingwayem pracowałaś nad jakąś sprawą.

— Zgadza się.

— O ile dobrze pamiętam, sprawa dotyczyła nieruchomości.

— Tak, niedaleko Waszyngtonu, w Wirginii — powiedziała z namysłem. — Zdaje się, że budynek należał kiedyś do CIA, ale już od dawna stoi pusty. NCW chciało go przejąć i urządzić w nim miejsce przesłuchań dla podejrzanych obcokrajowców, ale po aferach wokół Gitmo, Abu Ghraib i kopalni soli Departament Sprawiedliwości zaprotestował. A bo co?

— Bo myślę, że właśnie tam mogą teraz trzymać prezydenta Brennana. Opowiedz mi o tym miejscu.

— To zbyt ciche — odezwał się Stone.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

— A to dlaczego? — zapytał Alex.

— Bo aż za dobrze znam to miejsce — odrzekł Stone.

— To właściwie kim on naprawdę jest? — wtrąciła Simpson zadziornie.

— Przymknij się, Jackie — burknął Alex. — Oliver, naprawdę wiesz, gdzie to jest?

— W tej części Wirginii jest tylko jeden dawny ośrodek CIA.

— Alex — obruszyła się Simpson. — Chyba nie wierzysz w te wszystkie brednie?

— I mógłbyś mnie tam zawieźć? — spytał Alex, pomijając milczeniem zaczepkę Simpson.

— Mógłbym. Ale jesteś pewien, że chcesz tam pojechać?

— Prezydenta wprowadzono na mojej wachcie, więc muszę zrobić wszystko, żeby go bezpiecznie odzyskać.

— Bo to nie będzie łatwe. Nie tylko trudno tam trafić, ale całość została pomyślana tak, żeby garstka ludzi wewnątrz mogła bardzo długo i skutecznie odpierać ataki znacznie liczniejszych napastników.

— A cóż to, u diabła, za miejsce? — wtrącił Reuben.

— Dawny ośrodek szkoleniowy CIA dla... no, dla bardzo specjalnych agentów.

Alex spojrział na zegarek.

— Waszyngton, Wirginia. Jeśli wyruszymy zaraz, na miejscu możemy być za jakieś dwie godziny.

— Trochę więcej — wtrącił Stone. — To trochę w bok od uczęszczanych szlaków.

— Ale dlaczego nie możemy włączyć w to FBI? — zapytał Milton.

— Bo nie wiemy, do jakiego szczebla dotarł spisek — odparł Stone, potrząsając głową. — Ten Hemingway może mieć wszędzie szpiegów, którzy go od razu uprzedzą.

— Nie mówiąc o tym, że nie mamy pewności, czy prezydent tam jest — dodał Alex. — Bo to na razie tylko moje przeczucia. Nie możemy im teraz zawracać głowy czymś, co może być czystym wymysłem. Przecież odliczanie przed atakiem jądrowym już się rozpoczęło.

— Jestem tu vanem. Możemy wszyscy razem pojechać...

Alex obrzucił ją twardym spojrzeniem.

— Mowy nie ma, Kate. Ty nie pojedziesz.

— To ty też nie. — Wzruszyła ramionami.

— Kate, nie możesz jechać — wtrącił Stone. — Podobnie zresztą jak Caleb i Milton. — Cała trójka spojrzała na niego z oburzeniem i zaczęła protestować, ale uciszył ich, unosząc rękę. — Nieoficjalnie ośrodek nazywano Morderczą Górą i ta nazwa bardzo do niego pasowała. — Przerwał i po chwili dodał: — Biorę z sobą Aleksa, Reubena i nikogo więcej.

— A poza tym trójce łatwiej będzie dostać się tam niepostrzeżenie — dodał Alex.

— Czwórce — wtrąciła Simpson, i jak na komendę wszyscy zwrócili ku niej głowy. — Czwórce. — Spojrzała na Aleksa wyzywająco. — Ja też pracuję w Secret Service.

ROZDZIAŁ 63

Do niewdzięcznego zadania przeprowadzenia ataku jądrowego na Damaszek wyznaczono atomowy okręt podwodny *Tennessee*. Mająca ponad sto siedemdziesiąt metrów długości i ważąca niemal sto siedemdziesiąt ton atomowa łódź podwodna klasy Ohio, tak jak cała reszta atlantyckiej floty podwodnej wyposażonej w wyrzutnie pocisków balistycznych, stacjonowała w bazie Kings Bay w Georgii. Atomowe okręty podwodne klasy Ohio stanowiły najpotężniejszą broń w całym wojennym arsenale Stanów Zjednoczonych, a znajdujący się na pokładzie każdej z nich ładunek pocisków z wielokrotnymi głowicami wystarczał do zrównania z ziemią średniej wielkości kraju.

Obecnie *Tennessee* przebywał pośrodku Atlantyku setki metrów pod powierzchnią oceanu, choć przy użyciu pocisków najnowszej generacji Trident II D-5 mógł zaatakować Damaszek nawet z macierzystego portu na Wschodnim Wybrzeżu. Jeden pocisk D-5 kosztował blisko trzydzieści milionów dolarów, miał długość ponad trzynastu metrów, ważył ponad sześćdziesiąt ton i przy zredukowanym ładunku jego maksymalny zasięg wynosił dwanaście tysięcy kilometrów. Przy prędkości dwudziestu machów D-5 był dziesięciokrotnie szybszy od *concorde* i każdego samolotu myśliwskiego.

Na Damaszek postanowiono wystrzelić tylko jeden pocisk D-5, choć określenie to zupełnie nie oddawało jego rzeczywistej siły rażenia. Zespół rakietowy D-5 składał się bowiem aż z sześciu niezależnych rakiet nośnych MK 5, z których każda

wyposażona była w czterystusiedemdziesięciopięciokilotonową głowicę termojądrową W-88. Dla porównania, siła wybuchu jednej tylko głowicy W-88 znacznie przekraczała łączną siłę eksplozji wszystkich bomb użytych we wszystkich wojnach w historii świata, łącznie z dwiema bombami atomowymi zrzuconymi na Japonię pod koniec drugiej wojny światowej. Mimo iż stu pięćdziesięciopięciuosobowa załoga *Tennessee* przebywała na morzu już od czterech tygodni, wszyscy byli doskonale zorientowani w najświeższych wydarzeniach. Marynarze wiedzieli, jaki rozkaz wydano ich jednostce, i każdy z nich był gotów wypełnić go co do joty, mimo iż wielu w skrytości ducha obawiało się konsekwencji dla świata, jakie to ich działanie spowoduje. Siedzieli wpatrzeni w monitory komputerowe i do znużenia powtarzali z pamięci kolejność czynności związanych z odpaleniem pocisków, wiedząc jednocześnie, iż może to doprowadzić świat do wojny o niewyobrażalnej skali. Były to jednak zbyt trudne sprawy dla załogi, której średnia wieku nie przekraczała dwudziestu dwóch lat.

W ciągu pierwszej godziny po wystąpieniu telewizyjnym Hamiltona cały świat arabski zjednoczył się bez wahania po stronie bratniego kraju. Dyplomaci z Arabii Saudyjskiej, Jordanii, Kuwejtu i Pakistanu podjęli gorączkowe próby, by namówić Stany Zjednoczone do zmiany decyzji. W Damaszku natychmiast rozpoczęto ewakuację ludności, a dowódcy wojskowi i przywódcy polityczni krajów arabskich debatowali nad najwłaściwszą reakcją na atak rakietowy na Damaszek. Wszystkie bliskowschodnie organizacje terrorystyczne wystąpiły z apelem, by ogłosić bezwarunkowy dżihad przeciwko Stanom Zjednoczonym, a liderzy tych organizacji zaczęli od razu planować akcje odwetowe.

Wiadomo było, że jeśli rzeczywiście dojdzie do ataku na Syrię, zniszczenia będą dużo większe niż w wyniku wszystkich dotychczasowych działań wojennych. Damaszek był jednym z najgęściej zaludnionych miast na świecie i w jego murach żyło ponad sześć milionów mieszkańców. W tak krótkim czasie jedynie mała część ich miała szansę uciec i schronić się w bezpiecznym miejscu. Wiadomo było, że wszyscy pozostali

po prostu wyparują w potwornym wybuchu jądrowym. Nad miastem uniesie się najpierw potężny grzyb pyłu radioaktywnego, który po pewnym czasie opadnie na ruiny najstarszego miejsca na ziemi zamieszkiwanego bez przerwy przez ludzi.

Zarówno rząd syryjski, jak i Grupa Szarijatu wydali natychmiastowe oświadczenie, w którym kategorycznie zaprzeczyli jakiegokolwiek udziałowi w uprowadzeniu prezydenta, jednak świat zachodni nie dał temu oświadczeniu zbytnej wiary. W ciągu kilku minionych lat Grupa Szarijatu bardzo wzmogła swą działalność terrorystyczną, a człowiek, który w jej imieniu zadzwonił do Al-Dżaziry, posłużył się skomplikowanym hasłem przekazanym grupie przez arabską telewizję w celu uwierzytelnienia źródła przekazywanych informacji. Hasło to było wciąż zmieniane i znane tylko garstce zaufanych przywódców. Komunikat ogłoszony przez Grupę Szarijatu, iż dwa tygodnie temu zniknął bez śladu jeden z jej przywódców znających aktualne hasło, nikogo specjalnie nie zainteresował.

Organizacja Narodów Zjednoczonych wezwała Stany Zjednoczone do odstąpienia od zamiaru wystrzelenia pocisku atomowego, a pozostali członkowie Rady Bezpieczeństwa ONZ poparli to stanowisko, wykorzystując w tym celu awaryjne kanały dyplomatyczne.

Odpowiedź Stanów Zjednoczonych na wszystkie apele była za każdym razem taka sama: Wszystko zależy od porywaczy. Wystarczy, by zwrócili prezydenta Jamesa Brennana całego i zdrowego, co zresztą i tak obiecali zrobić, i atak na Syrię zostanie odwołany. Zmianie uległo jedynie to, że teraz to Stany Zjednoczone dyktowały warunki.

W Izraelu ogłoszono najwyższy stopień gotowości. Przywódcy tego kraju wiedzieli, że Izrael stanie się jednym z pierwszych celów kontruderzenia państw muzułmańskich. Ponadto Damaszek leżał tak blisko izraelskiej granicy, że z uwagi na niebezpieczeństwo opadu radioaktywnego premier Izraela skontaktował się osobiście z wiceprezydentem Hamiltonem i zażądał wyjaśnień. Kluczowe dla kraju ujęcia wody na Wzgórzach Golan znajdowały się niebezpiecznie blisko rejonu ataku. To samo zrobił też rząd w Bejrucie, jako że Damaszek leżał w bezpośredniej bliskości granicy z Libanem. Sucha

odpowiedź Waszyngtonu była w obu w przypadkach taka sama: Należy podjąć wszelkie niezbędne środki ostrożności.

W Białym Domu Hamilton siedział w Gabinetcie Owalnym w gronie najbliższych współpracowników, wśród których znajdowali się sekretarz obrony Decker wraz z gronem dowódców wojskowych, szef Rady Bezpieczeństwa Narodowego, sekretarz stanu Mayes i kilku innych członków gabinetu. Kłůła w oczy nieobecność szefa wywiadu, Cartera Graya.

Podjęcie brzemiennej w skutki decyzji o wystrzeleniu pocisków atomowych wyraźnie Hamiltonowi ciążyło. Miał ziemistą cerę, zapadłe policzki i cienie pod oczami, przez co sprawiał wrażenie, jakby był śmiertelnie chory. Co chwila pociągał łyk wody z butelki, próbując złagodzić w ten sposób nieprzyjemne pieczenie w żołądku. Jego generałowie i admirałowie siedzieli w kącie, konferując przyciszonymi głosami.

Decker zostawił grupę wojskowych i podszedł do Hamiltona.

— Panie prezydencie, rozumiem doskonale wagę podjętej przez pana decyzji, chcę jednak zapewnić, że nasze możliwości militarne znacznie przekraczają potrzeby.

— Joe, nie martwię się o to, czy dacie radę wcelować w to cholerne miasto. Martwię się, co będzie, jak już w nie wcelujecie.

— Syria od lat wspiera ugrupowania terrorystyczne. W Damaszku jest pełno działaczy dawnej partii Baas, którzy tylko czekają na okazję, żeby zorganizować zamach stanu w Iraku. Wszyscy wiedzą, że meczety w Damaszku służą jako punkty rekrutacji mudżahedinów. A milicja syryjska działa w całej trójkącie sunnickim w Iraku. Najwyższy czas, żebyśmy na tym ich piachu wytyczyli grubą krechę. Zrobimy z Syryjczyków przykład i wszyscy wyciągną z tego naukę.

— Tak, ale co z opadem radioaktywnym?

— Na pewno jakiś będzie. Ale uważamy, że ze względu na położenie Damaszku, jego oddziaływanie będzie dość ograniczone.

Hamilton dopił do końca zawartość butelki i wrzucił ją do kosza.

— Dość ograniczone oddziaływanie opadu radioaktywnego. Cieszę się, że choć ty w to wierzysz, Joe.

— Panie prezydencie, podjął pan słuszną decyzję. Nie

możliśmy sobie pozwolić na to, żeby siedzieć cicho i nic nie robić. To by ośmieliło tych łajdaków do podejmowania kolejnych aktów terroru. Trzeba to zakończyć. A wysłanie kolejnych oddziałów lądowych stanowiłoby dla nas dodatkowe obciążenie, niewiele by dało i tylko umożliwiłoby Syryjczykom podejmowanie udanych akcji w ramach wojny partyzanckiej, tak jak to robią Irakijczycy. A poza tym, kiedy zobaczą, że nie żartujemy, wypuszczą prezydenta i nie będzie potrzeby ich atakować.

— Miejmy nadzieję, że się nie mylisz — powiedział Hamilton, wstając i podchodząc do okna. — Ile nam jeszcze zostało?

Decker spojrzął na swego adiutanta.

— Sześć godzin, jedenaście minut i trzydzieści sześć sekund — zameldował adiutant, odczytując czas z ekranu laptopa.

— Jakies nowe wiadomości od Grupy Szarijatu? — zapytał Hamilton.

— Tylko tyle, że nie mają prezydenta — włączyła się Andrea Mayes. Sekretarz stanu podeszła bliżej i stanęła obok szefa. — A jeśli to prawda, panie prezydencie? Jeśli naprawdę go nie mają? Może ktoś próbuje rzucić winę na Syrię w nadziei, że zrobimy to, co właśnie chcemy zrobić.

— Przynaję — wtrącił Decker — że wprawdzie Al-Dżazira regularnie zmienia hasła uwierzytelniające, teoretycznie istnieje możliwość, iż ktoś niepowołany mógł je poznać. Ale osoba dzwoniąca do nich dysponowała bardzo szczegółowymi informacjami na temat porwania. Detalami, jakie mógł znać tylko sprawca. Każda organizacja terrorystyczna, której udałoby się coś takiego zrobić, zabiegałaby o to, żeby cały świat się o tym dowiedział. Z doświadczenia wiemy, że ich strategia nigdy nie polegała na zrzucaniu odpowiedzialności na inne, konkurencyjne ugrupowania. Zmieniło się tylko to, że Grupa Szarijatu nie spodziewała się, iż odpowiemy atakiem jądrowym. I dlatego teraz się wycofują i próbują odżegnać od odpowiedzialności. Ale te łajdaki na pewno go mają.

Hamilton zmierzył Deckera ponurym spojrzeniem.

— Ale jeśli nie, a my zrównamy Damaszek z ziemią?

Pokręcił głową, odwrócił się i zapatrzył w panujące za oknem ciemności pięknego waszyngtońskiego wieczoru. Ulice miasta rozbrzmiewały okrzykami tysięcy protestujących. Chó-

ralne skandowanie „Bez atomu” było słycać nawet mimo grubych murów Białego Domu i nie pozostawiało wątpliwości, co czują obywatele Stanów Zjednoczonych. Jednak Hamilton był przekonany, że zastosowanie groźby atomowej praktycznie uniemożliwiało mu już wycofanie się. W przeciwnym razie amerykański arsenał jądrowy wartości biliona dolarów stałby się od razu bezwartościową kupą złomu.

Zamiast pojechać do Białego Domu i uczestniczyć w czymś, co uznał za bezużyteczną „wartę śmierci” nad grobem sześciu milionów Syryjczyków, którym groziła całkowita zagłada, Gray postanowił zostać w gmachu NCW. Zajrzał do dawnego boksu Patricka Johnsona i zagapił się na pusty ekran komputera. Wystarczyło tylko trochę pomajstrować przy komputerze i całkiem żywi terroryści kładli się do wirtualnych grobów. Usiadł na fotelu Johnsona i rozejrzał się wokół. Na biurku wciąż jeszcze stała fotografia narzeczonej, Annę Jeffries. Wziął ją do ręki i przyjrzał się twarzy. Wygląda na sympatyczną kobietę, pomyślał. Na pewno znajdzie sobie jeszcze kogoś. Z tego, co udało mu się ustalić, Johnson był kompetentnym pracownikiem, odznaczał się jednak dość słabym charakterem i z całą pewnością sam tego wszystkiego nie wymyślił. Bo zdaniem Graya pomysł był iście szatański. Ktoś zatrudniony w najważniejszej amerykańskiej agencji wywiadowczej wykorzystuje sztucznie uśmierconych muzułmanów do uprowadzenia prezydenta Stanów Zjednoczonych, stawiając przy tej okazji świat na krawędzi globalnego dżihadu.

Gray kazał dokładnie przejrzeć komputerowe bazy danych, nie odnaleziono jednak żadnych elektronicznych śladów, które mogłyby wskazać autora fałszerstw. Zresztą trudno się temu dziwić, biorąc pod uwagę umiejętności Johnsona oraz to, że był współautorem oprogramowania i spędził wiele dni na jego lestone i usuwaniu błędów. Wiedział więc doskonale, co zrobić, by ukryć swe ingerencje w treść danych. Pytanie brzmiało natomiast: kto go do tego namówił i kto mu za to płacił, i to — sądząc po tym, jak mieszkał i czym jeździł — płacił bardzo dobrze. Drugie nękające Graya pytanie brzmiało: gdzie jest teraz prezydent? Musiał być gdzieś stosunkowo

blisko. Wbrew temu, co powiedział Hamiltonowi, nawet przez chwilę nie wierzył, by James Brennan rzeczywiście przebywał w Medynie. Wiedział doskonale, że żaden muzułmanin nie wpuściłby tam chrześcijanina.

Wrócił myślami do dnia, kiedy Jackie Simpson i jej kolega odwiedzili NCW. Towarzyszyło im wtedy dwóch jego pracowników. Reynolds? Nie, Reinke. To ten wysoki i szczupły. Drugi był niższy i tęższy, chyba Peters. Tak, zgadza się. Hemingway powiedział mu wtedy, że ci dwaj zostali wyznaczeni do zbadania sprawy śmierci Johnsona. Gray podniósł słuchawkę i polecił ustalić miejsce pobytu obu agentów. Odpowiedź była zaskakująca. Żaden nie stawiał się dziś wieczorem do pracy. Zadał kolejne pytanie i odpowiedź jeszcze bardziej go zaskoczyła. A potem zaczął się zastanawiać, dlaczego nigdy wcześniej nie zadał tego pytania.

Powiedziano mu, że to Tom Hemingway wyznaczył tamtych dwóch do prowadzenia śledztwa w sprawie śmierci Patricka Johnsona. Gray wiedział przynajmniej, gdzie jest teraz Hemingway. Wkrótce po porwaniu sam go wysłał na Bliski Wschód ze ściśle tajną misją próby wywęszenia czegoś na miejscu. Hemingway zresztą zgłosił się na ochotnika. Tajność misji oznaczała jednak, że w żaden sposób nie można było się z nim skontaktować. Trzeba było czekać, aż sam się odezwie. *Czekać, aż się odezwie.*

Gray przyłożył dłoń do czytnika biometrycznego Johnsona, co mu dało dostęp do pamięci komputera. Wpisał pytanie i odpowiedź była natychmiastowa. Do komputera Johnsona zaglądał ostatnio Tom Hemingway. Spojrzał na zanotowaną przez komputer datę i stwierdził, iż miało to miejsce w dniu wizyty Simpson i tego drugiego. Ale zaskakujące było coś innego. Hemingway nie powinien w ogóle mieć dostępu do komputera Johnsona ani do komputerów pozostałych administratorów danych.

Podniósł się ciężko z fotela. Czuł się już za stary do tej pracy i chyba przestawał nad całym tym bałaganem panować. Przecież prawda cały czas była w zasięgu ręki. Następne pytanie było już tylko formalnością: Gdzie? Podobnie jak formalnością stała się niemal natychmiastowa odpowiedź.

Podniósł słuchawkę i kazał natychmiast przygotować śmigłowiec do startu, potem telefonicznie skrzyknął grupą najpewniejszych i najwierniejszych agentów. Wypadł z boksu Johnsona i ruszył biegiem po korytarzu.

By dotrzeć do prawdy, Gray nie potrzebował skomplikowanych baz komputerowych. Do rozwiązania zagadki wystarczył mu szósty zmysł. Przeczucie, które bardzo rzadko go zawodziło.

ROZDZIAŁ 64

Samochodem Aleksa wyruszyli trasą 29 na południowy zachód. Obok niego usiadł Stone, Simpson i Reuben zajęli miejsca z tyłu. Alex zerknął ukradkiem na swych pasażerów. Oto doświadczony agent Secret Service jedzie na spotkanie z kimś, kto zaplanował i przeprowadził uprowadzenie prezydenta Stanów Zjednoczonych, a jego drużyna składa się z nieopierzonej agentki Secret Service i zwalistego faceta około sześćdziesiątki, którego Adelpia nazwała „Rozbiegane Spodnie”. No i jeszcze Olivera Stone'a, dozorca cementarnego, który ich wszystkich prowadzi do miejsca zwanego Mordercza Góra. I do tego wszystkiego towarzyszy im świadomość, że jeśli wyprawa się nie powiedzie, cały świat może stanąć w płomieniach. Wszyscy już jesteśmy martwi, westchnął w duchu.

Jakieś pół godziny po zjechaniu z trasy 29 w szosę 211 wjechali do miasteczka Washington w stanie Wirginia, stolicy okręgu Rappahannock. Od tego miejsca Stone przejął rolę przewodnika, mówiąc Aleksowi, jak ma jechać. Znaleźli się w górzystym terenie i wkrótce zostawili za sobą wszelkie ślady cywilizacji. Asfaltowa droga przeszła najpierw w szutrową, by po pewnym czasie zamienić się w leśny trakt. Aż trudno było uwierzyć, że znajdują się niewiele ponad dwie godziny od stolicy kraju i tylko kawałek na wschód od bardzo ruchliwych autostrad 1-81 i 1-66.

— Czym jest właściwie ta Mordercza Góra? — spytała Simpson z tylnego siedzenia.

Stone obrzucił ją lekko spłoszonym spojrzeniem, potem znowu popatrzył przed siebie.

— W następną w prawo, potem zjedź z drogi — powiedział.

— Z drogi! — parsknął Alex. — Z jakiej cholera drogi? Drogi to ja tii nie widzę od dobrych trzydziestu kilometrów. Szlag trafi zawieszenie.

Wokół wznosiły się już tylko górskie zbocza, przed nimi ciągnęła się zwarta ściana gęstego lasu.

Stone odwrócił się do tyłu.

— Jak mówiłem, Morderczą Górą nazwano ośrodek szkoleniowy CIA dla specjalnych agentów.

— Wiem, co pan mówił. Pytam, dlaczego nazwano to Morderczą Górą?

— Cóż, najkrótsza odpowiedź jest taka, że przedmiotem szkolenia nie było przeprowadzanie staruszek przez ulicę.

— Chce pan powiedzieć — warknęła Simpson — że amerykańska agencja rządowa szkoliła ludzi na morderców? To pan sugeruje?

Stone wyciągnął rękę przed siebie.

— Stań gdzieś tam — powiedział do Aleksa. — Dalej musimy pójść pieszo.

Alex posłusznie wykonał polecenie, odczepił od słupka przyczepioną na magnes latarkę, obszedł samochód od tyłu i zaczął wyjmować z bagażnika ekwipunek, w tym broń i sprzęt noktowizyjny.

Widać było od razu, że taki sprzęt Stone i Reuben widzą nie po raz pierwszy.

— Wietnam, trzy tury, potem praca w D1A — rzekł Reuben w odpowiedzi na pytający wzrok Aleksa. — Z bronią jestem za pan brat.

— To świetnie. — Alex kiwnął głową i przeniósł wzrok na Stone'a, który sprawdzał działanie broni. — Oliver, jak się z tym czujesz?

— W porządku — odparł cicho Stone. Nie miał zamiaru przyznawać, że wzięcie po tylu latach broni do ręki budzi w nim strach.

— W razie gdyby trzeba się było rozdzielić, wszyscy mają telefony komórkowe? — spytał Alex.

— Tylko że tu pewnie nie będzie zasięgu — zauważył Reuben.

— A już na pewno nie będzie go wewnątrz budynku — dodał Stone. — Jest w całości ekranowany blachą miedzianą i ołowiem.

— No to pięknie — mruknął Alex. — Dobra, Oliver. Prowadź.

Ruszyli w głąb lasu.

— Czy ktoś z was boi się chodzić po jaskiniach? — zapytał Stone, zatrzymując się przed dziurą w zboczu góry.

— Ja się boję jak cholera, że kiedyś w którejś zabłądzę i zginę — przyznał Alex.

— O to możesz się nie bać, ale miejscami będzie dość ciasno.

— Jak ciasno? — zaniepokoił się Reuben. — Bo kurdupłem nie jestem.

— Dasz sobie radę — zapewnił go Stone.

Alex zajął w nieprzeniknioną czerń panującą we wnętrzu dziury.

— Tędy się wchodzi do tego budynku? — zapytał.

— To nie jest główne wejście — odparł Stone — ale można założyć, że główne wejście jest pilnie strzeżone. Dobra, trzymajcie się wszyscy blisko mnie. — Zapalił latarkę i wszedł do środka.

Simpson zamykała pochód i widać było, że nie jest tym zachwycona. Rozejrzała się nerwowo wokół siebie, wzdrygnęła i podążyła za resztą.

Przeciskanie się krętymi korytarzami zajęło im dość dużo czasu. Dwukrotnie musieli stanąć i oczyścić przejście z odłamków skalnych, które osunęły się i zagroziły drogę; w paru miejscach musieli posuwać się na czworakach. Sklepienie nad nimi cały czas trzeszczało i pojękiwało, co ich skutecznie mobilizowało do szybkiego parcia do przodu.

Dotarli do prowadzącej w górę rynny z wyżłobionymi uchwytami na dłonie i stopy. Pierwszy wspiął się Stone. Rynna kończyła się na gładkiej skalnej ścianie, jednak Stone ją ostukał i wtedy okazało się, że za ścianą jest pustka. Przyświecając sobie latarką, dokładnie ją obmacał, ostrożnie pchnął

i ściana z jednej strony zaczęła ustępować. Dołączył do niego Alex i po chwili wspólnymi siłami obrócili ją do końca.

Pozostali też wspięli się na górę i kolejno przycisnęli do środka.

Okazało się, że ściana, którą udało im się obrócić, była drewniana i tylko pomalowano ją tak, by imitowała skałę. Od wewnątrz miała zamontowany uchwyt, za który Stone pociągnął i całość się zamknęła.

— Myślę, że wszyscy powinni teraz wziąć broń do ręki — powiedział cicho Stone. — W każdej chwili możemy się na kogoś natknąć.

Ruszyli przed siebie, ze zdumieniem rozglądając się po obszernym wnętrzu, które miało wystrój sprzed czterdziestu lat. Na stalowych ścianach widać było nawet zamontowane na stałe popielniczki.

Chwilę później dobiegły ich skądś wyraźne głosy, co spowodowało, że wszyscy z wyjątkiem Stone'a podnieśli broń i zaczęli niespokojnie się rozglądać.

— To tylko ptaki, które jakoś się tu przedostają — uspokoił ich Stone. — W dawnych czasach też tak było.

Powiedział to odruchowo i aż cały zeszywniał. Te dawne czasy zabrzmiały tak beztrosko, jakby chodziło o wizytę na ukochanej uczelni przy okazji rocznicowego spotkania. Spędził tu dwanaście miesięcy swego życia. Rok poświęcany dzień i noc bez wytchnienia nauce najbardziej wymyślnych sposobów zabijania. Jako młody człowiek Oliver Stone był tu wtedy prymusem. Wcześniej służył jako żołnierz w siłach specjalnych, więc wśród agentów CIA nie czuł się źle. Właściwie zamienił tylko jeden typ broni na inny, wrogami zaś stali się teraz cywile, często nawet nieświadomi tego, że są celem ataku. Dzięki swym wyczynom stał się prawdziwą legendą w świecie operacji specjalnych i dopiero z wiekiem zaczął wyraźnie dostrzegać potworność stawianych przed nim zadań. Aż trudno mu było uwierzyć, że w jednym ciele mogło się mieścić dwóch tak diametralnie odmiennych ludzi.

Im głębiej wchodzili, tym żywsze stawały się jego wspomnienia. Każdy kolejny fragment wnętrza, każdy zapach i daleki dźwięk niósł wspomnienie dawnych koszmarów. Pozostali członkowie ekipy liczyli, że ich poprowadzi i w razie

czego uratuje. Ale przecież nie w ratowaniu innych go tu szkolono. Poczł występujące na czoło krople potu. Troje ludzi, na których mu zależało, przyprowadził na śmierć. Na Morderczą Górę.

Po wysłuchaniu komunikatu o przyznaniu się Grupy Szarijatu do porwania Brennana i po telewizyjnym wystąpieniu wiceprezydenta Hamiltona, Reinke i Peters bezzwłocznie wyruszyli na Morderczą Górę. Zostawili samochód na polanie i pognali pod górę przez las. Minąwszy wąską przecinkę, dotarli do następnej dużej polany zasłanej odłamkami skalnymi i gęsto porośniętej krzakami. Przedarli się przez zarośla i po rozgarnięciu kurtyny z pnączy puerarii ujrzeli ukryte w głębi drzwi. Pomieszczenia Morderczej Góry wykuto bezpośrednio w skalistym zboczu.

Peters uniósł metalową klapkę, pod którą znajdował się przycisk i niewielki głośnik.

— To ja i Tyler — powiedział wprost do głośnika. — Sprawa wymknęła się spod kontroli. Szybko!

Reinke opuścił klapkę i obaj się cofnęli. Rozległ się szczęk, masywne drzwi otwarły się i w tej samej chwili spoza bloku skalnego wyprysnęły trzy postacie. Tyler Reinke i Warren Peters runęli na ziemię z poderżniętymi gardłami. Zza skały wyłonił się kapitan Jack i pochylił nad zwłokami, potem z uznaniem pokiwał głową. Reinke i Peters nie zdążyli nawet wydobyć z siebie jednego dźwięku, który mógłby zaalarmować kogoś w środku.

Do kapitana dołączyła niewielka grupka mężczyzn i wszyscy razem weszli do wewnątrz.

ROZDZIAŁ 65

Kapitan Jack przywiózł z sobą jedenastoosobowy oddział północnokoreańskich komandosów, którzy cieszyli się zasłużoną opinią sprawnych i bezlitosnych zabójców. Przemycenie ich na teren Stanów Zjednoczonych nie było trudne, ponieważ wystąpili w charakterze delegacji specjalistów z Korei Południowej, którzy przybywają do Stanów w celach szkoleniowych. Przybysze z Azji byli znacznie łagodniej kontrolowani niż ludzie przyjeżdżający z Bliskiego Wschodu.

Mając pełne zaufanie do morderczych umiejętności swego północnokoreańskiego oddziału, kapitan Jack ani przez chwilę nie zapomniał o niezwykłych walorach Toma Hemingwaya. Głównie z tego powodu podjął decyzję o rozdzieleniu swej grupy, której dwóm członkom kazał zostać z sobą. Widział kiedyś na własne oczy Hemingwaya w akcji. Ośmiu członków jemeńskiego plutonu śmierci miało pecha natknąć się na niego, co kapitan Jack obserwował z bezpiecznej odległości. Skończyło się prawdziwą rzezią. Cała ósemka Jemeńczyków — rosłych, zaprawionych w bojach i uzbrojonych mężczyzn — w ciągu pięciu minut leżała martwa. A Hemingway nawet nie wyciągnął broni. Wszystkiego dokonał tylko za pomocą rąk i nóg i dzięki niewyobrażalnej szybkości, precyzji i sile uderzeń. Był to spektakl, jakiego, mimo swych licznych podróży po świecie, kapitan Jack nigdy wcześniej nie oglądał.

Wiedział też, że Hemingway zdążył się już zorientować, iż coś jest nie tak, i że pewnie zmierza teraz w ich kierunku, by

sprawdzić, co się stało. Rozdzielenie ludzi pozwalało zaatakować Hemingwaya z różnych stron, oskrzydlić go i na koniec otoczyć. Nie planował żadnych walk wręcz. Jego ludzie mieli rozkaz zasypać Hemingwaya gradem kul.

Wiekowe jarzeniówki na suficie migotały i buczały. Nagły błysk oślepiająco białego światła zmusił kapitana Jacka i jego dwóch Koreańczyków do odruchowego przysłonięcia oczu.

Kiedy kapitan Jack odsłonił oczy, ujrzał ludzką nogę zdającą się wyrastać wprost ze ściany. Usłyszał głuchy łoskot, stęknienie i jeden z jego ludzi runął twarzą na posadzkę. Ułamek sekundy później drugi z Koreańczyków poleciał do tyłu z taką siłą, że grzmotnął w kapitana Jacka i obaj upadli. Zadziałał odruch i kapitan Jack rozpląszczył się na posadzce, wyszarpnął pistolet i wystrzelił serię w kierunku napastnika, jednocześnie sięgając wolną ręką po drugi pistolet. Opróżniwszy magazynek pierwszego pistoletu, rozpoczął natychmiastowy ostrzał z drugiego. Wszystkie jego pociski odbijały się jednak tylko od pustej ściany.

Kapitan Jack podniósł się, próbując jednocześnie ładować broń i łapać oddech. Mimo całego swego doświadczenia w zabijaniu, szybkość i gwałtowność ataku całkowicie go zaskoczyła. Obaj jego ludzie nadal leżeli bez ruchu.

Wyciągnął nogę i przewrócił na wznak bliższego z Koreańczyków. Jego gardło było tak zmiażdżone, że przez skórę szyi prześwitywały wyrostki kręgów szyjnych. Odruchowo dotknął własnego gardła. Wiedział doskonale, że Hemingway mógł i jego zabić. Spojrzał na drugiego z Koreańczyków. Miał tak zmiażdżony nos, że chrząstka nosowa została wepchnięta w mózg. Wyglądał jakby dostał w twarz armatnią kulą.

— Chryste Panie — jęknął i rozejrzawszy się nerwowo na boki, zawołał: — Tom? — Odczekał chwilę i powtórzył: — Tom? To była świetna robota. W ciągu paru sekund załatwiłeś dwóch światowej klasy wojowników. — Wokół panowała cisza. — Tom, myślę, że wiesz, po co tu jesteśmy. Oddaj go nam i wszyscy rozejdziemy się w spokoju. Bo jeśli liczysz na pomoc ze strony Reinkego i Petersa, to zapomnij. Leżą przed wejściami z poderżniętymi gardłami. Jesteś sam jeden przeciwko nam wszystkim. A wszystkich nie zabijesz.

Miejmy nadzieję, że nie.

Kapitan Jack zaczął biec w stronę swoich ludzi. Liczył, że Hemingway nie zdążył ich jeszcze dopaść. Mimo swych buńczucznych zapewnień bardzo żałował, że nie wziął znacznie większego oddziału Koreańczyków.

Z jednego z pomieszczeń w głębi korytarza Hemingway zabrał dwie zakrzywione szable. Na moment zamarł w bezruchu, parę razy głęboko odetchnął, potem obrócił się i pędem wypadł na korytarz. Dziś wieczór Mordercza Góra miała w pełni zasłużyć na swą nazwę.

Usłyszawszy z oddali jakieś ludzkie głosy, Alex i pozostali schronili się w jednym z pomieszczeń przy głównym korytarzu.

— To nie był głos Hemingwaya — szepnęła Simpson.

— Nie, ale kogoś, kto wie, że Hemingway tu jest. I wygląda, że Tom właśnie załatwił dwóch jego ludzi — odparł Alex. — A skoro jest tu Hemingway, to prezydent pewnie też.

Stone zerknął na zegarek.

— Zostało nam nieco ponad cztery godziny, żeby się o tym przekonać. — Spojrzał na pozostałą trójkę. — Myślę, że lepiej będzie, gdy się rozdzielimy. Jeżeli wpadniemy w pułapkę, to przynajmniej nie wszyscy naraz.

Potem odciągnął Aleksa na bok.

— Jest tu kilka sal ćwiczebnych, o których powinienes coś wiedzieć — powiedział.

— Sale ćwiczebne? — powtórzył Alex niepewnie.

— Strzelnica, sala sytuacyjna podobna do Uliczki Hogana w FBI, labirynt, a także sale prawdy i cierpliwości.

— Prawda i cierpliwość? To jakiś cholerny klasztor czy jak?

Stone wyjaśnił, że sale ćwiczebne rozmieszczone są wzdłuż głównego korytarza, dwie po jednej jego stronie, trzy po drugiej.

— Trzeba przejść przez jedną salę, żeby dotrzeć do następnej. Z końcowych prowadzą schody w dół do cel aresztantów. Myślę, że tam właśnie trzymają prezydenta. Pamiętaj, że jak się wejdzie do sal ćwiczebnych, trzeba przez nie przejść do końca, bo innego wyjścia nie ma.

— Zaczynam się obawiać — powiedział Alex ponuro — że żadne z nas i tak nigdy nie wyjdzie stąd żywe.

Stone przywołał ręką pozostałą dwójkę.

— Weszliśmy od tyłu przez część magazynową i znajdujemy się bliżej wejścia do sal ćwiczebnych niż ten, którego głos słyszeliśmy i który dostał się tu pewnie głównym wejściem.

Alex spróbował założyć gogle noktowizyjne, ale w blasku jarzeniówek okazały się zupełnie bezużyteczne. Obejrzał się za siebie, jednak nikogo nie dostrzegł.

— Reuben i ja weźmiemy trzy sale po lewej, ty i agentka Simpson weźcie na siebie dwie po prawej. Pamiętajcie, że drzwi otwierają się tylko z jednej strony, więc jak wejdzicie do środka, same się za wami zatrzasną i nie będzie już można się wycofać.

— Nawet by mi to nie przyszło do głowy! — Głos Aleksa ociekał sarkazmem.

— Alex, o ile wiem, agentka Simpson jest osobą niedoświadczoną, więc liczę, że... Bo czuję się odpowiedzialny za nas wszystkich.

— Zajmę się nią, Oliver — mruknął Alex, rzucając Jackie dziwne spojrzenie.

— Dzięki. Powiem wam teraz parę rzeczy o salach, do których za chwilę wejdzicie. Musicie ściśle trzymać się moich wskazówek. Czy to jest jasne?

— Ty tu rządysz, Oliver. Mów, co trzeba robić, i tak będzie.

Po zakończeniu instruktażu Stone poprowadził Reubena korytarzem do pierwszych drzwi w głębi bocznego korytarzyka po lewej. Otworzył je i obaj ostrożnie zajrzeli do środka.

— Tu jest strzelnica — szepnął Stone.

Wyjaśnienie było o tyle zbyteczne, że nie mogło być wątpliwości co do przeznaczenia sali. Na jednym końcu widać było rząd stanowisk strzeleckich, na drugim stare, poszarpane pociskami papierowe tarcze strzeleckie z sylwetkami ludzi, zawieszane na systemie linek.

— Idź wzdłuż prawej ściany, ja pójde wzdłuż lewej i spotkamy się na końcu. Za tarczami są drzwi do następnej sali.

Rozdzielili się i Stone ostrożnie ruszył lewą stroną strzelnicy. Uszedł nie więcej niż trzy metry, gdy otwarły się drzwi za jego plecami.

Natychmiast zgasił latarkę, nisko przykucnął i uniósł pistolet, starając się uspokoić oddech. Miał świadomość, że od ostatnich tego typu sytuacji w jego życiu minęło prawie trzydzieści lat. Wpatrywał się w mrok wokół drzwi i przez chwilę zdało mu się nawet, że dostrzega jakiś ruch. Mrok był jednak zbyt gęsty, by mieć pewność, a w dodatku mógł to być Reuben, a nie chciałby go przez pomyłkę postrzelić. Niestety było wciąż zbyt widno, by skorzystać z gogli.

Usłyszał zbliżające się kroki i zaczął się czołgać w stronę tarcz strzeleckich. Czuł, jak z każdą sekundą jego ciało i umysł przechodzą dziwną metamorfozę. Kończyny zaczynały nabierać elastyczności, umysłem zaczynał władać instynkt przetrwania. Cały świat skurczył się do dwustu kilkudziesięciu metrów kwadratowych pogrążonej w ciemnościach strzelnicy, pełnej cieni, wnęk i kryjówek. Przesunął się jeszcze bardziej w lewo i potracił coś ramieniem. Spojrzał w górę i coś mu nagle przyszło do głowy.

Koreańczyk pochylił się i z pistoletem w jednej ręce i nożem w drugiej przesunął się w prawo. Zdawało mu się, że coś usłyszał, ale nie był pewien. Ostrożnie wszedł na jeden z torów strzeleckich.

Mijały sekundy.

Zaskoczył go nagły wrzask. Odwrócił głowę i zobaczył, że coś na niego leci. Odruchowo zaczął strzelać, dziurawiąc to coś pociskami.

Stone wycelował dwa centymetry powyżej błysku strzałów. Usłyszał jęknięcie i Koreańczyk zwałił się na podłogę. Tym czymś, co go zaatakowało, była jedna z papierowych tarcz strzelniczych. Stone pociągnął za linkę zwalniającą przesuw i jednocześnie wrzasnął, co na tyle zaskoczyło Koreańczyka, że zaczął strzelać, zdradzając swą pozycję.

Zapadła cisza i dopiero po chwili Stone usłyszał głos Reubena.

— Oliver, nic ci nie jest?

Chwilę później obaj pochylili się nad ciałem, upewniwszy się wcześniej, że poza trupem i nimi nikogo więcej nie ma. Stone poświecił latarką i obejrzał zwłoki. W samym środku

klatki piersiowej widniały dwa otwory po pociskach, które były od siebie oddalone nie więcej niż o centymetr. Przyjrzał się też twarzy denata, jego ubiorowi i broni.

— Koreańczyk z Północy — orzekł.

— Coś ty właściwie robił w CIA? — zapytał Reuben, nie odrywając wzroku od dwóch śladów po kulach.

— Oficjalnie nazywano nas destabilizatorami. Ale nazwa była bardziej niewinna niż ukryta pod nią treść.

Usłyszeli serię z pistoletu maszynowego i obaj przypadli do podłogi.

Drzwi otwarły się z impetem i do środka wpadł następny Koreańczyk, ani przez chwilę nie przestając strzelać.

Stone wykonał zamach nogą tak, że udało mu się podciąć nogi napastnika. Mężczyzna runął na podłogę, wypuszczając z rąk pistolet.

Reuben błyskawicznie rzucił się na znacznie drobniejszego Koreańczyka i przygniół go do podłogi.

— Oliver, mam go — krzyknął, oplatając go swymi potężnymi ramionami i ściskając jak w imadle. — Bez pukawki już nie jesteś taki ważniak, co? — mruknął i zaraz potem zawył z bólu, bo Koreańczyk z całej siły wgniół obcas w jego stopę. Reuben odruchowo zwolnił nieco uścisk i tamtemu to wystarczyło. Dwa potężne ciosy pięścią wyładowały na podbródku Reubena, dwa następne trafiły go prosto w żołądek i Reuben bezwładnie osunął się na kolana, gwałtownie dysząc i plując krwią. Koreańczyk uniósł nóż i zamierzył się na Reubena.

Kula trafiła go w środek głowy i napastnik osunął się najpierw na kolana, potem runął bez życia na podłogę.

Stone wetknął pistolet za pasek i ruszył do przyjaciela.

— Reuben? — powiedział niepewnie. — Reuben?

— Kurwa, Oliver — wymamrotał Reuben przez opuchnięte wargi i chwiejnie się podniósł, po czym obaj spojrzeli na siebie. — Co my tu, do cholery, robimy? — Otarł krew z twarzy. — To zupełnie nie nasza liga.

Stone spojrzął na swe dygocące dłonie i poczuł w nodze rwący ból, tam gdzie uderzył w nogi Koreańczyka. Po blisko trzydziestu latach przerwy, podczas której nawet nie miał broni, w rękę, zabił już dwóch ludzi. Mimo krótkotrwałego uczucia, że wraca mu dawna sprawność, wiedział, że to nie tak jak

z jazdą na rowerze. Nie chodziło o odświeżenie nawyków ze szkolenia i młodzieńczą tężyznę, tylko o nastawienie psychiczne, które kiedyś pozwalało bez skrupułów zabijać innych ludzi i robić to wszelkimi dostępnymi sposobami i z wszelkich możliwych powodów. I tak robił. Teraz był już jednak kimś innym. Z kolei wiedział też, iż znalazł się z przyjaciółmi w miejscu, w którym łatwo mogą zostać już na zawsze. I jedynym sposobem, by do tego nie dopuścić, było obudzenie w sobie dawnych morderczych instynktów.

— Reuben, przykro mi, że cię tu przywlokłem. Bardzo cię przepraszam — powiedział lekko łamiącym się głosem.

Reuben objął go swym potężnym ramieniem.

— Diabła tam, Oliver, jak już muszę wykorkować, to wolę to zrobić z tobą niż z kimś innym. Ale musimy się stąd wydostać. Pomyśl tylko, co by Caleb i Milton zrobili bez nas?

Alex i Simpson znaleźli się w dużym, ciemnym pomieszczeniu, w którym mocno coś śmierdziało. Nie słyszeli strzelaniny po drugiej stronie korytarza, bo pomieszczenia miały dźwiękoszczelną izolację. Przez gogle noktowizyjne Alex dostrzegł, że na całej długości bocznej ściany biegnie wąska galeryjka, na którą prowadzą metalowe schodki.

— Pójdę pierwszy i sprawdzę, jak to wygląda — szepnął do ucha Simpson. — Ty mnie ubezpieczaj.

— Dlaczego zawsze musisz zgrywać bohatera? — odpowiedziała pytaniem.

— A kto mówi, że zgrywam bohatera? Jak się wpakuję w tarapaty, masz mi zaraz przyjść z pomocą. Nawet jeśli ci przy tej okazji tyłek odstrzelą. Pamiętaj, że jak wejdziesz na galeryjkę, masz się cały czas trzymać środka. Nie zbliżaj się do krawędzi.

— Dlaczego? Co się wtedy stanie?

— Nie wiem i nie chcę się dowiedzieć. Oliver powiedział, żeby się trzymać środka, to tak robimy, i koniec.

Wszedł po schodkach i pochylony ruszył środkiem chodnika na galeryjce. Dotarł do końca, ujrzał przed sobą drzwi prowadzące do następnej sali i cicho zawołał do tyłu.

— Dobra, teraz ty.

Simpson przebyła galeryjkę niemal biegiem, ale ledwie zdążyła dotrzeć do jej końca, usłyszeli, że otwierają się drzwi do sali. Oboje odruchowo przykucnęli.

Po chwili Alex puknął Simpson w ramię i ręką pokazał drzwi prowadzące do następnej sali, co miało znaczyć, że ma iść pierwsza. Simpson posłusznie się podniosła, Alex obrócił się do galeryjki i kucając, wycelował przed siebie. Potem obejrzał się i kiwnął głową. Simpson otworzyła drzwi i ruszyła przed siebie, jednak nie udało jej się zrobić tego bezszelestnie. Cichy szcęk otwieranych drzwi pobudził intruza do działania. Natychmiast wskoczył na schodki i ruszył ku nim galeryjką. Alex też zrobił krok do przodu, jednak niestety stanął na krawędzi chodnika. Usłyszał metaliczny dźwięk, chodnik zapadł się, a on poleciał w dół i wylądował w śmierdzącym, mazistym szlamie, który sięgnął mu do kolan. Chwilę później usłyszał plusk i ktoś wpadł do tej samej kadzi. Widać też nieopatrznie stanął na krawędzi. W kadzi panowały tak nieprzeniknione ciemności, że Alex nie widział nawet własnej ręki, a gogle noktowizyjne zsunęły mu się przy upadku z głowy i wpadły do czarnej mazi. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że jego wróg też nie ma noktowizora, bo inaczej byłoby już po nim.

Usłyszał strzał i kula odbita od ściany kadzi świsnęła mu tuż koło ucha. Skulił się, oddał strzał w kierunku błysku i od razu przesunął się w bok. Starał się nie wdychać smrodu bijącego od mazi. Bolało go zranione ramię, na całe ciało promieniował piekielny ból ze stłuczonych żeber, kark piekł go jak przypalany ogniem. Gdyby nie to, czułby się świetnie.

Zmaganie się z fizycznymi kontuzjami nie było niestety jego jedynym problemem. Stojąc po kolana w gęstej brei, nie mógł się ruszyć nawet na krok, by nie zdradzić swej pozycji. Widać jego wróg też doszedł do tego wniosku, bo trwał zupełnie nieruchomo. Obaj znaleźli się w sytuacji, w której zginie ten, kto pierwszy nie wytrzyma. I dopiero w tym momencie przyszło mu do głowy, że to pewnie jest sala ćwiczenia cierpliwości, o której wspominał Stone. Po paru minutach spędzonych w absolutnym bezruchu Alex uznał, że pora zmienić strategię. Ostrożnie wyciągnął ręce i dotknął palcami stalowych ścian zbiornika. Potem wyjął latarkę.

Udało mu się zrobić unik całym ciałem i nóż przeleciał obok, z brzękiem uderzył w stalową ściankę i wpadł w maź. Alex nie wystrzelił, a zapewne na to liczył jego wróg.

Wyciągnął rękę z latarką i ostrożnie przytknął ją do ścianki zbiornika. Jej namagnesowany bok natychmiast przylgnął do ściany. Alex pochylił się, wyprostował rękę i dotknął palcem wskazującym przycisku latarki. Wycelował pistolet wprost przed siebie, krótko się pomodlił, nacisnął przycisk i natychmiast cofnął rękę. Latarka rozbłysła snopem światła i w ciągu następnej sekundy trafiły w nią dwa pociski wystrzelone jeden po drugim. Jednak w ciągu kolejnej sekundy wystrzelił też pistolet Aleksa, który chwilę później z ulgą powitał plusk padającego ciała. Niemal w tym samym momencie usłyszał nad głową tupot biegnących stóp. Jak to możliwe, przemknęło mu przez głowę. Przecież tam nie ma już chodnika. Zaraz potem usłyszał następne kroki.

Alex skoczył w górę w nadziei, że chwyci coś, co pozwoli mu wydostać się z kadzi. Dwukrotnie jego ręce na nic nie trafiły, za trzecim razem się udało. Chwycił się poręczy i przekładając dłoń, dotarł do drzwi. Otworzył je i wskoczył do środka.

ROZDZIAŁ. 66

Stone i Reuben znaleźli się w pomieszczeniu stanowiącym repliką słynnej Uliczki Hogana w Quantico, na której agencji FBI przechodzili szkolenie w tak zwanych sytuacjach wziętych z życia. Analogiczną salą ćwiczeń dysponowała też Secret Service w ośrodku szkoleniowym w Beltsville. Umieszczono tu makiety domów, budkę telefoniczną i chodniki dla pieszych, a także skrzyżowanie wyposażone w działające światła. Na jezdni stał stary samochód osobowy ze sparciałymi oponami. Wszystko razem przypominało powrót do przeszłości.

Na chodnikach wciąż jeszcze stały manekiny dwóch mężczyzn, trzech kobiet i kilkorga dzieci. Farba na ich twarzach mocno wyblakła, byli pokryci grubą warstwą kurzu, ale wciąż nad podziw dobrze udawali prawdziwych ludzi. Reuben zauważył, że w głowach wszystkich manekinów widnieją otwory po pociskach.

Stone poprowadził przyjaciela za jeden z domów. Na tylnej ścianie umieszczone były drewniane schodki prowadzące do podestów pod otworami okiennymi.

— Tu ćwiczyliśmy umiejętności snajperskie — wyjaśnił Stone.

— I do kogo mieliście strzelać?

— Lepiej, żebyś nie wiedział — odparł Stone, po czym szybko przyłożył palec do ust. Słychać było zbliżające się kroki. Stone pokazał ręką jeden z podestów. Wspięli się po schodkach i ostrożnie wyjrzeli przez okno.

Na salę weszło trzech Koreańczyków. Poruszali się w skoordynowany sposób jak dobrze wyszkolone komando, wzajemnie się asekurując i stopniowo posuwając do przodu.

Obaj położyli palce na spustach, Stone lekko wystawił głowę i wycelował. Niestety Koreańczycy uzbrojeni byli w broń maszynową MP-5 i nawet gdyby każdemu z nich udało się położyć po jednym, wciąż zostawał trzeci. Strzały zdradziłyby mu ich pozycję, a dwa pistolety nie miały szans w starciu z MP-5 trzymanym przez zawodowca.

— Chryste! — sapnął Reuben.

Jeden z Koreańczyków osunął się na ziemię ze sterczącą z szyi rękojeścią noża, pozostali dwaj natychmiast puścili serie w kierunku, skąd nadleciał nóż. Chwilę potem przestali strzelać, skoczyli na jezdnię i ukryli się za samochodem. Byli teraz zwrócenii plecami do okna i stanowili łatwy cel, jednak gdy Reuben spojrział na Stone'a pytająco, ten pokręcił przecząco głową. Chciał zobaczyć, co będzie się działo dalej.

Jeden z Koreańczyków wyjął coś z kieszeni bluzy, wyciągnął zawleczkę i rzucił tam, skąd nastąpił atak.

Mimo iż granat nie leciał w ich stronę, Stone chwycił Reubena w pól i przywarł z nim do podestu.

Niewielką salą wstrząsnął silny wybuch. Gdy ucichł huk i opadł nieco dym, ostrożnie podnieśli głowy i zobaczyli, że Koreańczycy wysuwają się zza samochodu. Stone nadal powstrzymywał się od strzału, zresztą snujący się dym i tak utrudniłby celowanie.

Sekundę później z mroku wyprysła ubrana na czarno postać. Jej ruchy były tak niewiarygodnie szybkie i zwinne, jakby prawa fizyki jej nie dotyczyły. Po bokach wirowały niczym skrzydła dwie zakrzywione szable.

Szable wytrąciły z rąk Koreańczyków karabiny, a gdy sięgnęli po pistolety, postać jednym machnięciem obu szabli odcięła im kabury. Kabury z pistoletami spadły na podłogę i postać jednym kopnięciem szurnęła je w głąb sali. Wszystko to odbyło się w nieprzerwanym ciągu niewiarygodnie szybkich ruchów.

Potem postać w czerni stanęła między Koreańczykami, jednym szarpnięciem zdarła z twarzy maskę i odłożyła szable na podłogę.

Nie spuszczać Koreańczyków z oczu, Hemingway powiedział coś po koreańsku.

— Co on powiedział?

— Coś w rodzaju: poddajcie się albo zginiecie — rzekł Stone, nie odrywając wzroku od rozgrywającej się sceny.

— Myślisz, że go posłuchają?

— Nie. To Koreańczycy z Północy. Ich wytrzymałość na ból i cierpienie wykracza poza pojmowanie zwykłego śmiertelnika. — I bardzo im się to teraz przyda, dodał w duchu.

Obaj Koreańczycy stanęli natychmiast w pozach taekwondo i jeden z nich wykonał szybki zwód nogą, na który Hemingway nawet nie zareagował. Znow powiedział coś po koreańsku, ale obaj Koreańczycy przecząco pokręcili głowami. Drugi zamachnął się nogą, ale Hemingway jedną ręką złapał go za stopę i krótkim szarpnięciem wyrzucił w powietrze, tak że napastnik pofrunął kilka metrów do tyłu. Raz jeszcze odezwał się po koreańsku.

— Powiedział: „Przykro mi, że muszę to zrobić” — szepnął Stone, widząc pytający wzrok Reubena.

W mgnieniu oka Hemingway zaatakował. Jego pięść rozbiła wątłą zasłonę z rąk Koreańczyka i wylądowała na klatce piersiowej. Zaraz potem Hemingway zrobił obrót i wymierzył straszliwy cios nogą w głowę przeciwnika. Wszystko odbyło się w takim tempie, że trudno było nadążyć wzrokiem za jego ruchami.

Nawet z tej odległości obaj usłyszeli trzask łamiącego się karku.

Drugi z Koreańczyków dał susa przez jezdnię w stronę samochodu, Hemingway ruszył za nim. Koreańczyk zrobił obrót i w jego ręku pojawił się nóż. Hemingway skoczył, jednak Koreańczyk zdążył rzucić nóż i ostrze rozorało ramię Amerykanina. Nie powstrzymało go to, trafił piętą prosto w podbródek Koreańczyka, którego odrzuciło do tyłu na samochód. Na moment Hemingway znieruchomiał i obejrzał swe ociekające krwią ramię, potem znow przeniósł wzrok na przeciwnika.

— Teraz go załatwi — mruknął Reuben.

Już pierwszy cios Hemingwaya był śmiertelny i mimo dzielącej ich odległości, Stone nie miał co do tego wątpliwości.

Nigdy przedtem nie widział, by człowiek potrafił zadać tak druzgocący cios. Przypominało to bardziej grzmotnięcie łapą niedźwiedzia grizzly.

Hemingway nie pozwolił Koreańczykowi upaść i przypierając go do samochodu, zadawał kolejne ciosy w głowę, w tułów, w żołądek. Walił w niego z tak niebywałą siłą i szybkością, że gdy mu w końcu pozwolił się osunąć, nawet z daleka widać było wgniecenie w karoserii samochodu.

Amerikanin cofnął się, zaczerpnął głęboko powietrza i potoczył wzrokiem po trzech martwych ciałach. Gdy schylił się po szablę, Stone uniósł pistolet i umieścił plamkę laserową z tyłu jego głowy. Hemingway raptownie znieruchomiał, wyprostował się i wolno zwrócił twarzą w stronę domu.

A potem spojrział wprost w okno, gdzie się kryli, i choć w żaden sposób nie mógł ich widzieć, nie było wątpliwości, że wie, iż tam są.

Przez krótką chwilę stał nieruchomo, jakby czekając na strzał. Stone opuścił pistolet i sekundę później Hemingway zniknął.

Simpson zaczęła biec, jednak po chwili ogarnęło ją niepokojące uczucie zagubienia. W końcu zatrzymała się i rozejrzała. Była w labiryncie.

— Alex? — zawołała.

— Jackie! — usłyszała jego głos i ruszyła biegiem w tamtą stronę. — Jackie, oni gdzieś tu są. Uważaj.

Natychmiast się zatrzymała, ukłękła i zaczęła nasłuchiwać. Jedynym dźwiękiem był jej własny ciężki oddech. Chwilę potem usłyszała szelest kroków. Ostrożnych, skradających się powoli kroków. Cofnęła się w drugi koniec korytarza i uniosła pistolet.

— Jackie?

— Tutaj! — zawołała.

Alex wystawił głowę zza rogu, zobaczył ją i szybko do niej dołączył.

— Co ci się stało? — wykrzyknęła, przyglądając się jego ubłoconemu ubraniu.

Pociągnął dłonią po oblepiającej go mazi.

— Lepiej nie pytaj. Tylko nigdy w życiu nie waż się oskarżyć mnie o brak cierpliwości, bo cię każę zamknąć. — Obejrzał się. — Jakichś dwóch wpadło tu przede mną. Nikogo nie widziałas?

Pokręciła przecząco głową.

— Jak się stąd teraz wydostaniemy? — spytała.

— Pewnie wystarczy patrzeć na podłogę.

— Co?

Alex nie odpowiedział, przeszedł parę kroków i zatrzymał się w miejscu, gdzie ich korytarz krzyżował się z innym. Ukląkł i wbił wzrok w podłogę.

— Proszę, a nie mówiłem?

Simpson podeszła.

— Widzisz? — pokazał palcem prawie niewidoczną małą kropkę w szparze podłogi.

— Czerwona kropka — powiedziała. — I co nam to daje?

— Wiemy, gdzie trzeba skręcić.

— Jakim cudem?

— Widać, że z ciebie szczur lądowy.

— Bo co?

— Bo jakbyś żeglowała, tobyś wiedziała, że czerwony to bakburta, czyli strona lewa.

Skręcili w lewo i przeszli korytarzem do następnego rozgałęzienia, gdzie znaleźli kolejną kropkę. Tym razem zieloną.

— Zielony to sterburta, a sterburta to...

— Strona prawa — domyśliła się Simpson.

Skręcili w korytarz biegnący w prawo i wkrótce dotarli do końca labiryntu.

— Skąd wiedziałeś o tych kropkach?

— Oliver mi powiedział.

— Czyli on naprawdę tu był — powiedziała wolno.

Alex spojrzał na nią zaskoczony.

— Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem. — Przed sobą mieli kolejne drzwi. — Powiedział, że po naszej stronie korytarza są tylko dwie sale. Czyli za tymi drzwiami...

— Musi być prezydent — dokończyła za niego.

— Oraz Tom Hemingway — dodał Alex posępnie.

— Hemingway pracuje w agencji federalnej, więc musi być po naszej stronie.

— Jackie, posłuchaj. Ten człowiek to zdrajca, który może cię zabić małym palcem. Więc jeśli tylko będziesz miała okazję, zastrzel go.

— Alex!

— Mówię poważnie, Jackie. Zrób to bez wahania. A teraz chodźmy.

Podczas gdy Alex i Simpson walczyli z labiryntem, Stone i Reuben przeszli do następnej sali, w której z sufitu zwisała stalowa klatka, do ścian przytwierdzone były łańcuchy, a na podłodze stały szpitalne stoły i wózki z tacami narzędzi chirurgicznych oraz coś, co przypominało krzesło elektryczne.

Stone rozejrzał się i westchnął.

— Nazywali to miejsce salą prawdy. Tu nas próbowali złamać. I rzeczywiście w końcu im się udawało. Łamali każdego, łącznie ze mną. — Wskazał ręką krzesło. — Jednemu z chłopaków podłączyli trochę za duży prąd i serce mu nie wytrzymało. Rodzinę zawiadomili, że zaginął podczas którejś z zagranicznych misji. Pewnie leży pochowany gdzieś na Morderczej Górze.

— Nam też się to może przytrafić — mruknął Reuben.

— Chodźmy dalej — rzekł Stone. — Tu zawsze robiło mi się niedobrze.

Byli już niedaleko wyjścia, gdy za plecami usłyszeli otwierające się z impetem drzwi.

— Uciekaj! — krzyknął Stone, puszczając serię z pistoletu maszynowego do Koreańczyka, który wpadł do sali. Tamten odpowiedział ogniem i Stone skrył się za krzesłem.

W sali rozpoczęła się strzelanina. Chwilę później Stone musiał zmienić magazynek i wtedy dobiegł go głos Reubena:

— Dostałem! Oliver, dostałem!

— Reuben! — krzyknął, ale w tym momencie dwa pociski bzyknęły mu tuż koło ucha. Wystrzelił kolejną serię i przylgnął do podłogi. Z lewej dobiegł go głośny hurgot, jakby ktoś wyrzucił wózek z narzędziami chirurgicznymi, potem usłyszał odgłosy rzucania innymi przedmiotami. Bez zastanowienia wycelował pistolet w sufit i zestrzelił kolejno wszystkie lampy. Na sali zapanowała ciemność.

Stone założył gogle noktowizyjne i zaczął omiatać wzrokiem przesycony zieloną mgłą obraz sali.

Gdzie Reuben? Gdzie on się podział? W końcu dojrzał go za przewróconym stołem szpitalnym. Leżał na podłodze, trzymając się za bok. Koreańczyka nigdzie nie było widać, ale Stone nie przestawał się rozglądać i w końcu jego wzrok spoczął na narożniku zabarykadowanym kilkoma przewróconymi sprzętami. Zapewne tam właśnie skrył się przeciwnik. Stone przyjrzał się dokładnie otoczeniu barykady i po chwili wpadł na pomysł. Ułożył się na plecach i zgiął nogi w kolanach. Włożył między nogi pistolet i ścisnął kolanami tak, że tkwił w nich jak w imadle. Wycelował, wypuścił z płuc powietrze i rozluźnił mięśnie. Czuł się, jakby nagle spłynęła na niego zdobywana latami wprawa w zabijaniu wrogów, i stało się to w chwili, gdy tego najbardziej potrzebował. Tylko czy należało dziękować Bogu czy szatanowi?

W świetle dziennym nie byłby to zbyt trudny strzał. W świetle spowitym zieloną mgłą, w którym miał do dyspozycji tylko jeden strzał, Stone wiedział, że nie będzie łatwo.

Spokojnie pociągnął za spust i łańcuch utrzymujący stalową klatkę tuż nad kryjówką Koreańczyka gładko rozpękł się na dwie części. Waząca tonę klatka runęła w dół.

Nie ruszając się z miejsca, obserwował narożnik z pistoletem gotowym do strzału. To, co po chwili zobaczył, aż przejęło go obrzydzeniem, choć wszystko przebiegło po jego myśli. Spod zwalonych stołów wypłynęła struga krwi i po chwili utworzyła kałużę przed barykadą.

Wstał, podszedł do narożnika i ostrożnie zajrzał za barykadę. Spod stalowej klatki wystawała tylko jedna ręka. Wszystko stało się tak nagle, że Koreańczyk nie miał nawet czasu krzyknąć. W dawnym świetle Stone'a pomysł ten zyskałby miano „perfekcyjnej ekspedycji”.

— Oliver! — dobiegło go wołanie Reubena.

Stone ruszył biegiem ku rannemu przyjacielowi, który siedział oparty o ścianę, trzymając się za bok. W jego ciele wciąż jeszcze tkwił nóż, a płynąca z rany krew zdążyła przesiąknąć przez koszulę i skapywała teraz na podłogę.

— Kurwa, udał się draniowi ten rzut. Ale się wylizę. Bywało gorzej.

Twarz Reubena przybrała jednak ziemistą barwę.

Stone podbiegł do szafki na ścianie i zaczął wyciągać kolejne szuflady. Wciąż leżały w nich środki opatrunkowe i jakieś maści. Maści na pewno już dawno straciły ważność, ale gaza i bandaże tkwiły w sterylnych opakowaniach. Chwytał garść opatrunków i wrócił do rannego.

Po zabandażowaniu rany Stone pomógł Reubenowi podnieść się i poprowadził go do drzwi.

Ledwo zdążyli je za sobą zamknąć, gdy drzwi do sali prawdy uchyliły się i do środka wsunął się kapitan Jack. Obszedł salę i po chwili natknął się na zwłoki przygniecione klatką.

— Dość tego, chyba lepiej trochę pożyć, jak się chce jeszcze powalczyć — powiedział na głos. — Cholerne Koreańce na pewno to zrozumieją. — Zawrócił do wejścia, jednak drzwi nie dały się otworzyć od wewnątrz. — Cholera, na śmierć o tym zapomniałem — mruknął.

Stał w miejscu, zastanawiając, co robić dalej. A potem spojrzął na zegarek i przyszło mu do głowy, że niedługo i tak nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

ROZDZIAŁ 67

Stone i Reuben dotarli do dolnego poziomu niemal w tym samym czasie co Alex i Simpson.

— Czyli w sumie padło dziewięciu Chińczyków — stwierdził Alex, gdy wymienili się relacjami.

— Dokładnie Koreańczyków z Północy — poprawił go Stone.

— Koreańczycy z Północy? A skąd się tu wzięli? — zdziwiła się Simpson.

— Nie mam pojęcia — przyznał Stone. — Wiem natomiast, że w głębi tego korytarza są cele, gdzie za moich czasów przetrzymywano „aresztantów” poddawanych przesłuchaniom. Myślę, że tam właśnie trzymają prezydenta.

Alex spojrzął na zegarek.

— Zostały nam trzy godziny — powiedział z troską w głosie. — Musimy w tym czasie uwolnić prezydenta, wydostać się stąd, nawiązać łączność i zawiadomić Secret Service. Oni to dalej przejmą i zawiadomią Biały Dom, a ci odwołają atak.

— Myślisz, że zostali tu jeszcze jacyś Koreańczycy? — spytała Simpson.

— Kiedy siedziałem w tym cholernym szambie, słyszałem, jak dwóch przebiegło mi nad głową, więc pewnie... — zaczął Alex, raptownie przerwał i wrzasnął: — Uwaga! Granat!

Rozbiegli się natychmiast, a po schodach coś się stoczyło i zatrzymało w pobliżu miejsca, gdzie przed chwilą stali. Okazało się, że to nie granat, tylko urządzenie przeraźliwie

głośno wyjące i oślepiające światłem, potocznie zwane „błysk-gwizd”, które stosowano do obezwładniania ludzi. Agenci FBI specjalizujący się w uwalnianiu zakładników chętnie się nimi posługiwali, wierząc w ich skuteczność. I rzeczywiście, „błysk-gwizd” i tym razem okazał się skuteczny, bo całą czwórkę niemal sparaliżowało.

Po schodach zbiegli dwaj Koreańczycy z zatyczkami w uszach i omietli lufami swych automatów zupełnie oszołomioną grupę. Stone i Alex próbowali gramolić się na nogi, jednak byli tak ogłuszeni, że nic z tego nie wyszło. Simpson siedziała na podłodze z dłońmi przyciśniętymi do uszu i wyglądała, jakby za chwilę miała wyzionąć ducha. Reuben leżał pod ścianą, trzymając się za zraniony bok i prawie nie oddychając.

Jeden z Koreańczyków wrzasnął po angielsku „Śmierć!”, ustawił przełącznik swego MP-5 na automat i położył palec na spuście. Do opróżnienia całego trzydziestonabojowego magazynka starczyłoby mu parę sekund.

I zapewne tak by się stało, gdyby tego dożył. Pod uderzeniem stopy, która grzmotnęła go w plecy, jego kręgosłup trzasnął jak sucha gałązka i Koreańczyk runął na podłogę. Padając, musiał w ostatnim odruchu pociągnąć za spust, bo automat zaczął strzelać i kilka pocisków uderzyło w betonową posadzkę, odbiło się i trafiło w strzelającego. Ale jemu i tak już było wszystko jedno.

Drugi z Koreańczyków próbował otworzyć ogień do Hemingwaya, jednak ten jednym ruchem wyszarpnął magazynek z broni, uderzył nim w czaszkę Azjaty i dokończył dzieła potężnym prostym na wątrobę, który spowodował jej pęknięcie. Koreańczyk zwałił się bez życia na posadzkę.

A potem w ciągu następnej sekundy Hemingway zniknął.

Gdy minęło oszołomienie wywołane przez „błysk-gwizd”, Aleksowi udało się wstać i pomógł podnieść się Simpson. Stone to samo zrobił z Reubenem, po czym rozejrzał się.

— Gdzie on się podział? — zdumiał się.

— Tam — wskazał Alex w głąb korytarza. — Wszedł przez tamte drzwi. Widziałem, jak tam zniknął. Ale nie wiem, jak to zrobił, bo w głowie miałem mętlik. — Jego wzrok spoczął na zmasakrowanych zwłokach Koreańczyka. — Ten człowiek to jakiś wariat.

— Ale właśnie uratował nam życie — obruszyła się Simpson.

— Tak sądzisz? Pewnie tylko po to, żeby nas wszystkich po kolei załatwić — burknął Alex. — Więc to, co powiedziałem, jest wciąż ważne. Trzeba bydlaka zastrzelić.

Stone spojrzął na zegarek.

— Czas ucieka — przypomniał.

Hemingway stał samotnie w końcu korytarza, zwrócony plecami do cel mieszczących prezydenta i Chastity. Obojgu do wieczornego posiłku dodał zacierający pamięć środek nasenny i oboje byli teraz nieprzytomni. Przypuszczał zresztą, że sami też woleliby jak najszybciej zapomnieć o tym, co im się tu przydarzyło.

Zobaczył, że na drugim końcu korytarza otwierają się drzwi, i usunął się w cień.

Pierwszy wszedł Alex i od razu zawołał:

— Hemingway, przyszliśmy po prezydenta! — Hemingway nawet nie drgnął. — Może nawet nie wiesz, co się wydarzyło. Grupa Szarijatu przyjęła na siebie odpowiedzialność aa porwanie i Stany Zjednoczone szykują się do ataku jądrowego na Damaszek. Jeśli nie uwolnimy prezydenta, atak rozpocznie się za niecałe trzy godziny. Reinke i Peters przyjechali tu pewnie po to, żeby cię o tym zawiadomić.

Hemingway wciągnął gwałtownie powietrze, jednak nadal milczał.

— Tom, nie oszukuję cię — mówił dalej Alex. — Wkrótce świat stanie w ogniu. Armie wszystkich krajów muzułmańskich i wszystkie organizacje terrorystyczne szykują się do ataku na Stany Zjednoczone. Ogłoszono DEFCON 1. Wiesz, co to jest DEFCON 1. Wszystko w każdej chwili może się rozlecieć. — Odczekał chwilę i krzyknął: — Do jasnej cholery, zostały tylko trzy godziny do śmierci sześciu milionów ludzi!

Hemingway wyszedł z cienia i stanął w świetle korytarza.

— Dlaczego Grupa Szarijatu miałyby przyjmować na siebie odpowiedzialność? — spytał nieufnie.

— I nie przyjęła, bo zrobiłem to za nich — wykrzyknął kapitan Jack. Wpadł do korytarza i przystawił broń do głowy

Simpson. Jednocześnie wyszarpnął jej z ręki pistolet i skierował na pozostałych. — Rzućcie broń, bo obejrzycie mózg tej damy. Zawahali się, potem kolejno rzucili broń na posadzkę.

— Cholera, to ten sam, którego słyszeliśmy wcześniej — mruknął Reuben do Stone'a, który jednak najwyraźniej go nie słuchał. Stał nieruchomo, wpatrując się w kapitana Jacka.

Kapitan Jack przebiegł wzrokiem po całej grupie, popatrzył na Stone'a i zmarszczył brwi. Potem jego spojrzenie spoczęło na stojącym wciąż nieruchomo Hemingwayu.

— Zdawało mi się, że mieliśmy umowę — powiedział cicho Hemingway. Był tak sprężony, jakby za chwilę miał wystrzelić niczym pocisk.

— Mieliśmy, Tom. Ale potem Koreańczycy złożyli mi lepszą ofertę. Uprowadziłem cię, że robię to wyłącznie dla pieniędzy. Uczciwie cię wtedy ostrzegłem i nie moja wina, że to do ciebie nie dotarło.

— Ale dlaczego? Chcą wywołać wojnę między Ameryką a światem islamu? Co na tym skorzysta Korea Północna?

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Po prostu zapłacili moją cenę.

— Szykujemy się do zrzucenia bomby jądrowej na Damaszek — wtrącił Alex.

Kapitan Jack obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

— Pracowałem kiedyś dla Syryjczyków. Są tak samo żądni krwi jak wszyscy inni. Można powiedzieć, że na to zasługują.

— Sześć milionów ludzi. W tym kobiety i dzieci.

Kapitan Jack potrząsnął niechętnie głową.

— Zdaje się, że ogóle nie rozumiesz, o czym mówię, co?

— Wszędzie leżą trupy twoich Koreańczyków. Wciąż liczysz, że ci się powiedzie? — odezwał się Hemingway.

— Będzie czas to posprzątać, Tom. Niedaleko stąd jest stary szyb. Świetnie się nadaje do pozbywania się trupów. Z wyjątkiem jednego. Tego jednego musi obejrzeć cały świat.

— Brennana?

— Muszę doprowadzić misję do końca.

— Masz zamiar wszystkich nas pozabijać? — zapytał Stone.

Kapitan Jack przeniósł na niego wzrok.

— Twoja twarz wydaje mi się znajoma — mruknął.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Tak, mam zamiar wszystkich was zabić. — Spojrzał na Hemingwaya. — Ale wobec ciebie się wywiązałem, prawda? Przypomnij sobie Brennan. Wszystko poszło zgodnie z planem.

— Nie wszystko, skoro chcesz zabić prezydenta — odparł Hemingway sucho. — Mam go oddać całego i zdrowego. Do tego się zobowiązałem.

— A skoro mowa o pieniądzach, Stany mają ich dużo więcej niż Korea Północna — wtrąciła Simpson.

Kapitał Jack pokręcił głową.

— Nawet ja nie jestem tak chciwy. I wątpię, żeby chcieli mi coś zapłacić. W końcu to wasz kraj jest największym dłużnikiem na świecie.

Kapitan Jack wystrzelił i trafił Hemingwaya w lewą nogę. Hemingway skrzywił się i osunął na kolana. Następny pocisk trafił go w prawe ramię.

— Proszę, przestań! — krzyknęła histerycznie Simpson.

— Przykro mi, Tom, że muszę to robić na raty — odezwał się kapitan Jack — ale wolę nie ryzykować, że mi nagle przetrącisz kark.

— Może to jednak przemyśl — wycodził Hemingway przez zaciśnięte zęby.

— Niby dlaczego?

— Drzwi do cel mają wybuchową blokadę.

— To ją rozbrój i je otwórz.

Hemingway pokręcił przecząco głową.

— Jak nie, będę ich kolejno zabijać, póki tego nie zrobisz.

— I tak masz zamiar wszystkich zabić, więc to na nic.

— Zobaczymy, jak długo wytrzymasz ich wrzaski. Twoją jedyną wadą, Tom, jest to, że jesteś zbyt kulturalny.

Stone przyciągnął na moment wzrok Hemingwaya i wskazał na coś oczami. Ten niemal niedostrzegalnie kiwnął głową.

Kapitan Jack przyłożył lufę pistoletu do skroni Simpson.

— Żegnaj — powiedział. — Kimkolwiek jesteś.

— Nazywam się John Carr — powiedział spokojnie Stone i zrobił krok do przodu. — Nie myliłeś się. Znamy się.

Kapitan Jack opuścił nieco pistolet.

— John Carr? — powiedział ze zdumieniem w głosie. — Boże Święty, John, czas nie potraktował cię zbyt łaskawie.

— Już wtedy był z ciebie łajdak i zdrajca. Widzę, że nic się nie zmieniło.

— Odszedłem, tak jak chciałem. Czego nie da się powiedzieć o tobie, co? — parsknął kapitan Jack. Całą uwagę skupił teraz na Oliverze i nie zauważył, jak Hemingway wolniutko przesuwając się ku ścianie.

Stone zrobił jeszcze jeden krok do przodu i zasłonił sobą Hemingwaya.

— To mnie powinieneś teraz zabić. Wiecznie byłeś tylko drugi, więc masz nareszcie okazję się odegrać i załatwić tego, który zawsze był od ciebie lepszy.

— Widzę, że z ciebie wciąż taki sam zarozumiały skurwiol jak kiedyś — warknął kapitan Jack.

— Tylko w odróżnieniu od ciebie ja miałem powody. Na czym to dałeś dupy? A, pamiętam, źle odczytałeś wartość ciśnienia i spudłowałeś. Musieli mnie po roku wysłać, żebym naprawił to, co ty spieprzyłeś. Więc przyznaj się sam przed sobą. Byłeś tylko drugorzędnym partaczem.

Kapitan Jack wycelował pistolet w czoło Stone'a.

— Tym razem nie muszę się martwić o ciśnienie — syknął.

Hemingway wyskoczył, nacisnął wyłącznik i pogrzył korytarz w całkowitych ciemnościach. Niemal równocześnie kapitan Jack wystrzelił. Słychać było krzyki i tupot nóg, potem dziki wrzask bólu i odgłos padającego ciała.

Światło ponownie rozbłysło i wszyscy zobaczyli leżącego na podłodze kapitana Jacka. W rękach nie miał już pistoletów, nad nim zaś stał Stone z nożem, na którym widać było krew, strzępy ubrania i ślady ludzkiej tkanki. Był to nóż Koreańczyka, który Stone zabrał z sali prawdy.

— Ty bydlaku! — zawył kapitan Jack, obejmując łydki podcięte przez Stone'a, co go całkiem unieruchomiło. — Dlaczego mnie nie zabiłeś?

— Bo nie musiałem — odparł spokojnie Stone.

— Słuchajcie wszyscy — sapnął kapitan Jack. — Dla każdego po dziesięć milionów dolarów za zabicie Brennana. — Spojrzeli na niego z odrazą. — Przecież to tylko człowiek! — wrzasnął.

— Jak się zaraz nie przymkniesz, to ciebie zabiję — warknął Alex.

Hemingwayowi udało się przesunąć po podłodze i oprzeć plecami o ścianę.

— Musicie zabrać prezydenta Brennana i dostarczyć go w umówione miejsce. Trzeba doprowadzić sprawę do końca.

Alex spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— Nie wiem, jakie szalone racje tobą kierowały, i gównie mnie to obchodzi. Wiem za to, że cały świat doprowadziłeś na skraj katastrofy, toteż mam zamiar zabrać stąd prezydenta i zawieźć go tam, gdzie jego miejsce. A po drodze zadzwonimy i ocalimy życie sześciu milionom ludzi, którzy przez ciebie mogli zamienić się w popiół. — Wycelował w Hemingwaya pistolet. — Albo otwierasz celę, albo cię rozwalę.

Hemingway z trudem się podniósł.

— Nie jestem zdrajcą, niezależnie od tego, co wam i innym może się zdawać. Zrobiłem to dla dobra mojego kraju. Dla dobra całego świata.

— Otwieraj te cholerne drzwi! — wrzasnął Alex. — Ale już!

Hemingway wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i otworzył jedno z drzwi.

— Podobno miały być zaminowane — prychnął kapitan Jack.

— Widać skłamałem.

Stone z Aleksem wynieśli nieprzytomnego prezydenta i posadzili go pod ścianą. Odnaleźli też Chastity i umieścili obok prezydenta.

Alex wyjął telefon komórkowy i spojrzał na wyświetlacz.

— Niech to szlag trafi. Zapomniałem, że tu nie ma pola. Musimy jak najszybciej się stąd wydostać i zadzwonić do Waszyngtonu, żeby...

— Myślę, że to zbyteczne — rozległ się męski głos za ich plecami.

Odwrócili głowy i ujrzeli Cartera Graya w gronie sześciu mężczyzn uzbrojonych w broń automatyczną.

ROZDZIAŁ 68

— Bogu dzięki! — wykrzyknęła Simpson i podbiegła do ojca chrzestnego, jednak ten nawet na nią nie spojrział. Stał ze wzrokiem utkwionym w Hemingwaya.

— Prezydent był w tym helikopterze, którym odwoziłeś mnie do domu, prawda? — Gray wyraźnie nie oczekiwał odpowiedzi, a Hemingway nie kwapił się z jej udzieleniem. — Sfałszowałaś kartotekę, skrzyknąłeś armię żywych trupów i porwałeś prezydenta. — Gray potrząsnął głową.

— Carter, prezydent żyje — wtrąciła pospiesznie Simpson. — Nic mu nie jest. Jest tylko zamroczony.

— To świetnie — odparł Gray. — Teraz my go przejmujemy. — Pokazał głową dwóm ze swych ludzi, by podnieśli prezydenta.

— Zaraz! — krzyknął Hemingway. — Trzeba go przekazać zgodnie z planem! Nie można pozwolić, by ci wszyscy ludzie w Pensylwanii zginęli na daremno. Oddali życie za lepszy świat.

— Jesteś obłąkany! — wybuchnął Gray z twarzą wykrzywioną wściekłością, jednak szybko się opanował i spojrział na Stone'a. — Witaj, John. Nie wyobrażasz sobie, jakim szokiem było ujrzeć cię żywego. — Przeniósł spojrzenie na leżącego na posadzce kapitana Jacka, który wciąż nie odrywał dłoni od krwawiących tydek. — Dwaj starzy kumple. A ja myślałem, że już od dawna nie żyjecie. Dwudziesty pierwszy wiek zaczyna się pod hasłem zmartwychwstań.

— Nie miałem zamiaru umrzeć tak, jak to zaplanowałeś — powiedział Stone.

Simpson ze zdumieniem patrzyła na obu.

— O czym wy, u diabła, mówicie?

— Słuchajcie, czas ucieka — wtrącił Alex. — Musimy zawiadomić Biały Dom, że mamy prezydenta. Muszą odwołać atak.

Gray nie zareagował.

— Jackie, podejdź tu do mnie — rozkazał.

— Carter, nie słyszysz, co mówi Alex? — powiedziała z naciskiem. — Musimy odwołać atak.

— Kiedy stąd wyjdziemy, nie wolno ci nikomu pisać ani słowa o tym, co tu widziałas i słyszałas, rozumiesz?

Simpson powiodła wzrokiem po reszcie.

— Możesz nam wszystkim zaufać. Nigdy nie powiemy czegoś, co mogłoby zaszkodzić krajowi.

— Nie mówię o innych, Jackie. Mówię o tobie.

— To dlatego, agentko Simpson — wtrącił Stone, nie spuszczać z niej wzroku — że tylko ty wyjdiesz stąd żywa. Jeśli dobrze rozumiem, prezydent też zginie — dodał, przyglądając się Grayowi.

— Co ty za bzdury pleciesz? — krzyknęła Simpson. Wbiła wzrok w swego chrzestnego, szukając u niego potwierdzenia, ale po jego minie poznała, że Stone się nie myli. — Przecież to prezydent Stanów Zjednoczonych! — rzuciła z rozpaczą w głosie, wyciągając rękę ku nieprzytomnemu Brennanowi.

— Wiem. — Gray kiwnął głową. — Ale w Gabinetcie Ovalnym siedzi teraz ktoś inny, kto może równie dobrze pokierować krajem, co niestety niewiele znaczy.

Simpson przeniosła spojrzenie na ludzi otaczających Graya.

— On chce zabić prezydenta! Musicie go powstrzymać! — wykrzyknęła.

— Są mi absolutnie wierni — zapewnił ją Gray. — Inaczej by ich tu nie było.

— Jeśli nie zadzwonimy zaraz do Białego Domu, zginie sześć milionów ludzi — powiedziała błagalnie.

— Nie, sześć milionów Syryjczyków — syknął Gray. — Czy zdajesz sobie sprawę, ile organizacji terrorystycznych cieszy się pełnym poparciem szacownej Syrii? Tam znajduje

się baza wypadowa dla niemal wszystkich zamachowców-samobójców, którzy gnębią Irak. Już dawno należało użyć w Syrii broni jądrowej.

Simpson spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Rozum ci chyba odebrało — jęknęła.

— Jackie, to sprawa ważniejsza od losu pojedynczych ludzi — powiedział Gray bardzo spokojnie. — Chodzi o wojnę dobra ze złem, a nasze zadanie sprowadza się do tego, by było jasne, kto jest po której stronie. Dla osiągnięcia tego celu i dla dobra wszystkich muszą paść ofiary. I nawet prezydent nie jest od tego ważniejszy. A dla osiągnięcia celu świat musi uwierzyć, że zabili go jego porywacze. — Zamilkł na chwilę i po chwili dodał: — Jestem pewien, że twój ojciec powiedziałby dokładnie to samo.

— Bzdura! — wykrzyknęła Simpson. — On pierwszy wsadziłby cię za kratki.

— Podejdź do mnie, Jackie — powtórzył Gray z nutką zniecierpliwienia w głosie. — Teraz.

Simpson nawet nie drgnęła.

— Nie, mnie też będziesz musiał zabić.

— Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym musiał to zrobić.

— Broń! — wrzasnął na całe gardło Alex i rzucił się, by zasłonić sobą Brennana.

Ktoś inny był jednak jeszcze szybszy.

Padł strzał i przez chwilę wszystko toczyło się jak na zwolnionym filmie. Słychać było krzyki, tupot i brzęk upadającego na beton metalu, po czym zapadła cisza.

Jackie Simpson osunęła się najpierw na kolana, potem runęła twarzą na zimną betonową posadzkę. Kula przeznaczona dla Brennana przeszła jej serce. Gray krzyknął i nachylił się nad kapitanem Jackiem, któremu niepostrzeżenie udało się wyciągnąć niewielki pistolet z kabury przy kostce i strzelić do prezydenta. Przeszkodziła mu Jackie Simpson.

Alex przyklęknął obok leżącej i sprawdził tętno, potem popatrzył na pozostałych i przecząco pokręcił głową.

— Jackie! — wykrzyknął Gray, wpatrując się w swą martwą chrześniaczkę.

— Beth — rzekł zduszonym szeptem Oliver Stone, nie spuszczać wzroku z zabitej.

Alex stał najbliżej i jako jedyny z obecnych dosłyszał szept Stone'a. Beth?

Gray wymierzył pistolet w kapitana Jacka, jednak powstrzymał go stanowczy głos Stone'a.

— Jeśli go teraz zabijesz, zgubisz ślad koreańskiego spisku na życie prezydenta.

Palec Graya pozostał na spuście, jednak strzał nie padł.

Widać było, że Stone jest mocno poruszony i gdy się odezwał, w jego głosie słychać było łzy.

— Zawieźmy prezydenta do Medyny. Zgodnie z planem Hemingwaya.

— To nie wchodzi w rachubę — prychnął Gray.

— To jedyne wyjście, Carter — rzekł Stone. — Nie można dopuścić do śmierci milionów niewinnych ludzi.

— Niewinnych! — parsknął, zwracając ku niemu twarz. — Ci zbrodniarze zabrali mi całą rodzinę. Zabrali wszystko, na czym mi zależało.

— Mnie to samo zrobił własny kraj — powiedział cicho Stone.

Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem, potem spojrzenie Stone'a przeniosło się na martwe ciało Simpson.

— Tak jak ty, ja też już wszystko straciłem — dodał drżącym głosem.

Gray oderwał wzrok od ciała Simpson i spojrzał na Stone'a.

— Nie ma mowy, żeby dostarczyć prezydenta do Medyny. Choćby dlatego, że nie wystarczy czasu.

— Domyślam się, że Hemingway miał na myśli zupełnie inną Medynę. Znacznie bliżej stąd — powiedział Stone.

Wszyscy spojrzeli na Hemingwaya.

— Ma pan tu helikopter? — spytał, a gdy Gray skinął głową, dodał: — Do mojej Medyny zdążycie dolecieć w mniej niż dwie godziny, grubo przed terminem.

— Nawet jeśli tak, dlaczego nie wystarczy zadzwonić z helikoptera i zawiadomić Biały Dom, że znalazłem prezydenta w tej twojej Medynie? — wtrącił Gray.

— Jeśli nie pojedzie pan na miejsce, nie będzie pan mógł odpowiedzieć na pytania o okoliczności odnalezienia prezydenta. Prasa będzie chciała wszystko wiedzieć. Z najdrobniejszymi szczegółami.

— I będziesz mógł sobie przypisać odnalezienie prezydenta — dodał Stone. — Staniesz się bohaterem narodowym, Carter.

— Niby jak? — burknął Gray.

— Jesteś człowiekiem inteligentnym. Na pewno coś sobie po drodze obmyślisz.

— Ale tego zabieram z sobą. — Wskazał na kapitana Jacka.

— Nie wątpię, że wyciśniesz z niego wszystko co możliwe — mruknął Stone z przekonaniem.

— I Hemingwaya też — dodał Gray.

— Pospieszmy się! — ponaglił ich Alex.

Wszyscy ruszyli do wyjścia i tylko Stone przyklęknął przy zwłokach Simpson. Gray też przystanął i patrzył, jak Stone dotyka jej włosów i ujmuje jeszcze ciepłą rękę w swoje dłonie. Otworzył jej dłoń i wbił wzrok w półkolistą bliznę. Wyglądała niemal tak samo jak przed laty, gdy zgoiło się skaleczenie. Zauważył tę bliznę, gdy pomagał jej zbierać na ulicy rozsypane drobne. Po policzkach spływały mu łzy. Zupełnie takie jak te, które wyciskały mu z oczu senne koszmary o utracie jedynej córki. A teraz utracił ją naprawdę i na jawie był to nieporównanie dotkliwszy koszmar. Ucałował jej policzek.

Unióśł głowę i spojrzał na Graya, który stał z bezradnie opuszczonymi rękami.

— Dopilnuj, żeby ją stąd zabrali i odpowiednio pochowali — powiedział sucho. Gray w milczeniu kiwnął głową. Stone podniósł się i bez słowa ruszył do wyjścia.

Wyszli na zewnątrz i podążyli za ludźmi Graya, a ci doprowadzili ich do polany, na której czekał śmigłowiec.

— Gdzie lecimy? — spytał pilot, wychylając się z kabiny.

— Do Medyny — odkrzyknął Hemingway.

— Gdzie?

— Namiary mam tu w kieszeni.

Jeden z ochroniarzy wyciągnął kartkę, odczytał jej treść i obrzucił Hemingwaya dziwnym spojrzeniem. Stone zajrzał mu przez ramię. Nie mylił się.

Hemingwaya usadzono w śmigłowcu na jednym z tylnych siedzeń. Ułamek sekundy później siedzący najbliżej strażnik został potężnie uderzony z byka w twarz, co spowodowało u niego złamanie nosa i prawej kości policzkowej. Zaraz potem Hemingway kopnął w fotel przed sobą z taką siłą, że wyrwał go

ze wspornika, a siedzący na nim strażnik poleciał bezwładnie do przodu. Sekundę później Hemingway był już na ziemi i mimo zranionej nogi pognął w stronę lasu.

Alex rzucił się za nim i obaj wpadli w gęstwinę leśną, po czym zaczęli się przedzierać przez zarośla obrastające drzewa. Jest ranny w nogę, a ja go i tak nie mogę dogonić, myślał ze zdumieniem Alex. Usłyszał przed sobą krzyk i jeszcze wzmógł tempo. Wypadł z gęstwiny i w ostatniej chwili zarył nogami, ratując się przed spadnięciem. Stał na krawędzi wysokiego urwiska, którego dna nie było nawet stąd widać. Nadstawił ucha, bo wydało mu się, że słyszy w dole plusk. Chwilę później dołączyli do niego strażnicy, którzy też rzucili się w pogoń. Alex pokazał ręką w dół i pokręcił głową.

Tom Hemingway rozpląnął się w powietrzu.

ROZDZIAŁ 69

Pełniący obowiązki prezydenta Ben Hamilton siedział zmartwiały w Gabinetcie Ovalnym i wpatrywał się w ekran. Wokół słychać było gwar rozmów jego najbliższych współpracowników. Obraz na ekranie był złej jakości, drgał i podskakiwał, ponieważ wszyscy zawodowi kamerzyści zdążyli już opuścić strefę zagrożenia, ale i tak oddawał panującą w Damaszku panikę. Drogi wyjazdowe były kompletnie zakorkowane, a ulice miasta pełne przerażonych, rozhisteryzowanych mieszkańców. Z relacji wynikało, że niektórzy z nich biegają po pasie startowym lotniska, starając się złapać któryś z ostatnich odlatujących z Damaszku samolotów. Dawno już przestały obowiązywać jakiegokolwiek zasady porządku publicznego i wszystkim przyświecał tylko jeden cel: jak najszybciej wydostać się z miasta. W miarę upływu kolejnych godzin nadzieje gasły i robiło się coraz gorzej.

Obecni w gabinecie prezydenckim patrzyli na ulice pełne biegających i krzyczących z przerażenia ludzi z dziećmi na rękach, i na przeciskających się wśród nich żołnierzy, którzy przez megafony ponaglali do natychmiastowej ewakuacji. Wszyscy mieli też świadomość, że do wyznaczonego przez Stany Zjednoczone terminu została już tylko godzina i nikt z tych ludzi nie przeżyje. Pokazano, jak rozwścieczony tłum katuje jakichś rabusiów. Nerwy puściły Hamiltonowi na widok kilkorga małych dzieci, które tłum najpierw oddzielił od rodziców, a potem zdeptał na śmierć.

— Wyłączcie ten koszmar — jęknął i ekran natychmiast posłusznie zgasł.

Biurko Hamiltona zaślane było oficjalnymi petycjami z całego świata o zaniechanie ataku, a na ulice amerykańskich miast wyległy miliony mieszkańców. Część z nich demonstrowała poparcie dla decyzji Hamiltona, jednak zdecydowana większość była jej przeciwna. Centrala telefoniczna Białego Domu była ustawicznie obłożona.

Hamilton rzucił zgnębione spojrzenie w stronę sekretarza obrony Joego Deckera, który siedział w towarzystwie naczelnego dowódcy sił zbrojnych.

Czując, iż determinacja szefa państwa słabnie, Decker postanowił działać.

— Panie prezydencie, wiem, że spoczywa na panu ciężar, jaki nigdy nie powinien obciążać żadnego człowieka. I wiem też, co mówi o tym świat. Ale jeśli się teraz wycofamy, stracimy całą wiarygodność. A to będzie równoznaczne z przegrana.

— Zdaję sobie z tego sprawę, Joe — syknął Hamilton.

— Pojawiła się też nowa okoliczność, panie prezydencie.

Hamilton spojrzał na niego ponuro.

— Co znowu?

— Nad Atlantykiem tworzy się dość niezwykły front atmosferyczny. Z dowództwa marynarki otrzymaliśmy informację, że łączność satelitarna z *Tennessee* może się za kilkanaście minut urwać.

— Jeśli tak, to trzeba zrezygnować z odpalenia.

Decker pokręcił głową.

— Front w żaden sposób nie wpłynie na precyzję ataku. D-5 ma naprowadzanie bezwładnościowe. Po oddzieleniu się ostatniego członu napędowego pocisk sam namierzy położenie dwóch gwiazd i wybierze optymalny tor lotu do punktu przeznaczenia. Tam zwolni głowice bojowe, które spadną na cel. Chodzi tylko o utrzymanie łączności z jednostką.

— Do czego zmierzasz, Joe?

— Namawiałbym gorąco, panie prezydencie, żeby zakończyć całą sprawę, nim utracimy łączność.

— Co? Chcesz żebyśmy odpalili wcześniej? — Hamilton spojrzał na zegarek. — Zostały jeszcze pięćdziesiąt dwie minuty.

— Ale czy coś w tym czasie może się zmienić, panie prezydencie? Gdyby mieli zamiar go uwolnić, już by to zrobili. Dalsze czekanie pozwoli im tylko lepiej przygotować kontratak. A jeśli nie zrobimy tego zaraz, potem możemy mieć problem z łącznością z *Tennessee*.

— A nie możemy użyć innej wyrzutni?

— *Tennessee* znajduje się w idealnej pozycji, ma uzbrojenie doskonale nadające się do ataku na Damaszek, a załoga jest postawiona w stan gotowości. Zresztą wszystkie pozostałe okręty podwodne na Atlantyku miałyby ten sam problem z łącznością.

— No to po prostu zawiadomcie *Tennessee*, że jeśli nie będą mieli od nas wiadomości, po upływie terminu mają odpalić pocisk.

— Niestety, panie prezydencie, z atakiem jądrowym tak się nie da. Z wielu różnych przyczyn odpalenie może nastąpić dopiero w chwili otrzymania rozkazu. Oni tam nie patrzą na zegarki. A jeśli nie odpalimy pocisku w wyznaczonym przez nas terminie, stracimy całą wiarygodność.

— I tak to teraz ma być? My atakujemy ich, oni atakują nas. Tak? Póki się wszyscy wzajemnie nie wyfluczemy?

— Z całym szacunkiem, panie prezydencie, ale górujemy nad nimi uzbrojeniem, i to znacznie. I jestem absolutnie pewien, że ostateczne zwycięstwo będzie po naszej stronie.

Hamilton uniósł głowę i powiódł wzrokiem po twarzach wpatrzonych w niego ludzi. *Boże, zmiłuj się nade mną.*

— Najpierw skontaktujcie się jeszcze z Syryjczykami — powiedział. — Dajmy im ostatnią szansę.

Zakrył twarz dłońmi i wszyscy obecni w milczeniu spuścili głowy.

Nagle zerwała się z miejsca Andrea Mayes.

— Zaraz! Czekajcie! Panie prezydencie, gdyby go naprawdę mieli, to dlaczego mieliby go nam nie oddać? Dlaczego mieliby skazywać na śmierć miliony swoich obywateli?

— Bo to terroryści — syknął Decker. — A terroryści tak właśnie myślą. Zgodnie z ich wiarą wszyscy i tak pójną prosto do raju. I nie zapominajmy, że to oni zaatakowali pierwsi. Porwali naszego prezydenta, który w tej chwili już niemal na **pewno** nie żyje. Nie mamy wyboru. Musimy zareagować na

napaść tak, by nie było żadnych wątpliwości co do naszej determinacji. Jeśli choć trochę pofolgujemy, zachęcimy ich do eskalacji działań. A nic tak nie zniechęca jak broń jądrowa. Japonia poddała się dopiero wtedy, gdy zrzuciliśmy na nich dwie bomby. I uratowaliśmy dzięki temu życie milionów.

Nie wspominał przy okazji o tym, że bomby atomowe zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki wcześniej zabiły i okaleczyły setki tysięcy cywilów, a oba miasta na dziesiątki lat zamieniły w radioaktywne pustkowia.

Hamilton odwrócił głowę, a jego sekretarz stanu ponownie opadła na krzesło.

Decker podniósł słuchawkę bezpiecznego telefonu i rozkazał natychmiastowe przekazanie ostatecznego ultimatum Syrii i Grupie Szarijatu. Kilka minut później nadeszła odpowiedź.

— No i co? — spytał Hamilton niecierpliwie.

— W złagodzonej wersji odpowiedź brzmi, że Allah pokarze nas za zło, które chcemy wyrządzić — odparł Decker. — Czy mam pańską zgodę na przekazanie dowództwu rozkazu, panie prezydencie?

Hamilton wyraźnie bił się z myślami i Mayes postanowiła podjąć jeszcze jedną próbę.

— Panie prezydencie, proszę się jeszcze raz zastanowić. Jeśli teraz zmieciemy z powierzchni ziemi Damaszek, już nigdy nie będzie pokoju. Nigdy!

Decker podszedł bliżej i stanął przed nią.

— Panie prezydencie, teraz też nie ma pokoju. A jeśli wycofamy teraz naszażądania, Ameryka zostanie odarta z całej swojej potęgi. Staniemy się pośmiewiskiem całego świata. Uznają nas za nieudolnych i bezsilnych. A wiem, że nie takim jest pan przywódca. — Przerwał i po chwili dodał z naciskiem: — Musimy to zrobić.

Hamilton potarł sobie oczy, spojrzał na Mayes i skinął głową Deckerowi.

— Dzwon.

Potem wstał od biurka, podszedł do okna i wpatrując się w szybę słuchał, jak Decker łączy się z Naczelnym Dowództwem Kraju i wydaje rozkaz, który chwilę później zostaje przekazany dowódcy *Tennessee*. Na jego podstawie załoga miała za chwilę odpalić potężny pocisk Trident, który miał

wystrzelić spod wody z tak niewiarygodną prędkością i siłą, że musiał mieć do tego specjalną ochronną poduszkę gazową. Dzięki poduszce kilkusetmetrowa droga z głębin oceanu odbywała się w atmosferze gazu, tak że ani jedna kropla wody nie stykała się z metalowym pancierzem. Dzięki swej szybkości ponad dwudziestu dwóch tysięcy kilometrów na godzinę Trident miał uderzyć w Damaszek niecałe pół godziny po odpaleniu. Spadnie na niego z mocą równą tysiącowi huraganów kategorii piątej połączonych w jeden i zrówna stolicę Syrii z ziemią.

W pierwszej chwili nikt nie zwrócił uwagi na dzwonek i dopiero po chwili Hamilton odwrócił głowę. Na jego biurku dzwonił telefon. Ten telefon. Podbiegł do biurka i szarpnął słuchawkę.

— Tak?

Twarz mu zbladła i położył sobie rękę na piersi. Większość obecnych w gabinecie była pewna, że za chwilę dostanie zawału.

— Mają go! — wrzasnął na cały głos. — Mają Brennana. — Okręcił się twarzą do Deckera. — Odwołuj atak. Odwołuj!

Decker bez słowa połączył się z drugiego aparatu i wydał polecenie, by na *Tennessee* przerwano odliczanie. Chwilę później twarz sekretarza obrony gwałtownie poszarzała.

— Co? To niemożliwe!

Wzrok wszystkich skierowany był tylko na niego.

— Warunki atmosferyczne nad Atlantykiem uległy pogorszeniu i mamy przerwy w łączności satelitarnej — powiedział grobowym głosem. — Dowódca *Tennessee* potwierdził otrzymanie rozkazu odpalenia, ale naczelne dowództwo ma teraz trudności z ponownym połączeniem.

Ty idioto! Wiedziałem, że trzeba było odczekać pełne osiem godzin! — krzyknął histerycznie Hamilton.

— - O Boże! — jęknęła Andrea Mayes drżącym głosem.

Hamilton wyszarpnął słuchawkę z ręki Deckera i bezceremonialnie go odepchnął.

Tu pełniący obowiązki prezydent Hamilton. Musicie natychmiast połączyć się z tym cholernym okrętem i odwołać atak. Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie. Macie to zrobić, i już. — Wsparł się ręką o krawędź Biurka Stanowczości, bo czuł, że lada chwila kolana odmówią mu posłuszeństwa. Czoło pokryły mu krople potu.

Decker stał jak zbity pies. Trzymał się za ramię, w które uderzył go prezydent.

— Jak trzeba, to wysadźcie to cholerstwo w powietrze! — wrzasnął Hamilton do słuchawki. — Bylebyście wstrzymali odpalenie! Macie to zatrzymać!

Mijały kolejne sekundy. W Gabinetcie Owalnym zapadła grobowa cisza, której nie zakłócały nawet oddechy, bo wszyscy je wstrzymali. W końcu Hamilton wolno odłożył słuchawkę i opadł na kolana. Wyglądał tak, jakby miał za chwilę zemdleć.

Potem uniósł głowę i potoczył wzrokiem po obecnych.

— Zatrzymali odpalenie — wydusił i wbił wzrok w Deckera. — Na... jedną... cholerną... sekundę przed czasem.

Nikomiu z obecnych nawet nie przyszło do głowy, by zareagować wiwatami. Wszyscy siedzieli jak skamieniały.

Natomiast głośnie okrzyki radości wyrwały się z piersi stu pięćdziesięciu pięciu amerykańskich marynarzy, tkwiących gdzieś w głębinach Oceanu Atlantyckiego.

Wiadomość o odnalezieniu prezydenta Jamesa Brennana całego i zdrowego w opustoszałej hali magazynowej w Medynie, w stanie Ohio, obiegła cały świat. Z Medyny w Arabii Saudyjskiej wycofano po cichu ponad czternaście tysięcy amerykańskich żołnierzy i członków sił specjalnych, których tam wcześniej posłano. W kieszeni prezydenta znaleziono skrawek papieru zawierający jedno tylko zdanie: „Z wielkich poświęceń biorą się wielkie możliwości”.

Słowa te napisał trzydzieści lat wcześniej Franklin Hemingway, a jego syn uznał, że stanowią wciąż najlepsze przesłanie dla przywódcy wolnego świata.

Za dotarcie do miejsca uwolnienia prezydenta Cartera Graya okrzyknięto bohaterem narodowym. Nie wdając się w szczegóły, Gray oświadczył, że udało mu się to dzięki uporczywym wysiłkom, wiarygodnym informatorom i łutowi szczęścia.

— Jednak porywacze dotrzymali słowa — podkreślił — bo prezydenta rzeczywiście dostarczyli do Medyny, tyle że jakieś jedenaście tysięcy kilometrów od tej, o której wszyscy myśleli.

Gray wziął udział we wzruszającym wieczorze w domu senatora Simpsona i jego małżonki, starając się ukoić ich żal po

stracie jedynej córki. Podał im też oficjalną wersję okoliczności jej śmierci: późno w nocy brutalnie napadnięto jej samochód na autostradzie 1-81. Sprawców nie złapano i Gray poinformował rodziców, że nikt nie zostanie postawiony w stan oskarżenia. Jedyną niewyjaśnioną sprawą pozostawało tajemnicze zniknięcie trzech agentów NCW, ale tym miał się zająć osobiście. Po stronie korzyści należało odnotować to, że kapitanowi Jackowi rozwiązał się język i jak już zaczął mówić, to trudno było mu przerwać. Dzięki temu Carter Gray otrzymał potężną broń przeciwko Korei Północnej.

Owacyjnie witany przez nieprzebrane tłumy James Brennan triumfalnie powrócił do Białego Domu. W krótkim oświadczeniu dla telewizji podziękował Carterowi Grayowi za przykładną służbę, nie wiedział bowiem, iż szef wywiadu poważnie rozważał uśmiercenie go i zrzucenie odpowiedzialności na Syryjczyków. W tym samym oświadczeniu złożył też podziękowanie nękanemu przez media wiceprezydentowi za świetnie wykonaną pracę. Na koniec wyraził wdzięczność narodowi amerykańskiemu za okazane oddanie i wierność prezydentowi podczas całego kryzysu.

Nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, że do światowej apokalipsy zabrakło zaledwie sekundy. Prezydenta ani na krok nie opuszczała rozpromieniona szefowa personelu, która dzięki szczęśliwemu zakończeniu całej sprawy mogła ponownie poświęcić uwagę zbliżającym się wyborom. Ostatnie sondaże opinii publicznej wykazały rekordowo wysokie, osiemdziesięciosześcioprocentowe poparcie dla urzędującego prezydenta. Musiałby wydarzyć się jakiś kataklizm, by jej kandydat nie odniósł zwycięstwa i nie zapewnił sobie kolejnych czterech lat na budowanie swej spuścizny.

Brennanowi przedstawiono dokładną relację z tego, co się wydarzyło, jednak nikt nie potrafił udzielić odpowiedzi na pytanie, kto tak naprawdę go porwał. W każdym razie wyglądało na to, że ani Syria, ani Grupa Szarijatu nie miały z porwaniem nic wspólnego. Po zastanowieniu wszyscy dochodzili do wniosku, że Grupa Szarijatu nie dysponuje w Stanach Zjednoczonych wystarczającym zapleczem, niezbędnym do prze-

prorowadzenia tak złożonej akcji. Odnaleziono ciało jednego z przywódców tej organizacji i nie ulegało wątpliwości, że denat był przed śmiercią torturowany. Nikt też nie potrafił wyjaśnić, jak to się stało, że tak wielu wysoko wykwalifikowanych Arabów przedostało się na teren Stanów Zjednoczonych bez wiedzy amerykańskich służb wywiadowczych.

W Damaszku wciąż jeszcze panował kompletny chaos, ale oczywiście nie dało się tego porównać z tym, gdyby w miastoto trafił trident. Syria i pozostałe kraje Bliskiego Wschodu jeszcze nie otrząsnęły się z szoku, choć odnosiło się wrażenie, że po tak bezpośrednim otarciu się o światowy kataklizm ludzie byli jakby bardziej skłonni do współpracy. Można się było tylko zastanawiać, w jakim stopniu ta tendencja okaza się trwała.

Wiceprezydent Hamilton zrobił sobie dłuższą przerwę w pełnieniu oficjalnych obowiązków. Świadomość, iż brakowało tylko jednej sekundy do tego, by stać się drugim po Harrym Trumanie amerykańskim prezydentem, który podjął decyzję o użyciu broni jądrowej, stanowiła zbyt wielkie obciążenie, co odbiło się na jego zdrowiu. Spodziewano się jednak, że po pewnym czasie dojdzie w pełni do siebie.

Brennan z prawdziwym zdumieniem przyjął wiadomość, że wszyscy porywacze zginęli, świadomie nie uśmiercając ani jednego obywatela Stanów Zjednoczonych. Nie mogąc otrząsnąć się z szoku, prezydent obejrzał nagranie swej ulubionej politycznej dyskusji okrągłego stołu, którą nadano w czasie, gdy wciąż jeszcze znajdował się w rękach porywaczy. Wszyscy czterej dyskutanci kolejno stwierdzili, że to, co się aktualnie dzieje, jest jakąś niezrozumiałą zagrywką.

— A jeśli prezydent wróci cały i zdrowy? — zapytał prowadzący program.

Wszyscy czterej zgodnie orzekli, że to też będzie dziwną zagrywką.

— Tylko dlaczego? — zastanawiał się prowadzący. — Poświęcili życie dwudziestu swoich ludzi. Mieli wiele okazji do zabicia prezydenta. Jeśli go teraz uwolnią, to co na tym zyskają?

— Musimy mieć świadomość — odrzekł jeden z dyskutantów — że tacy ludzie nie cofają się przed niczym. Najpierw

próbowali nas pozabijać. To im się nie powiodło, bo podjęliśmy walkę z terrorem i zwyciężamy. Najwyraźniej teraz postanowili zmienić taktykę.

— Na taką, która polega na niezabijaniu nas? — zapytał prowadzący ze zdumieniem.

— Otóż to — odparł niespeszony dyskutant.

Brennanowi przekazano kopię żądań porywaczy i nad jej studiowaniem prezydent spędził kilka godzin w swych prywatnych apartamentach. Ze zgrozą przyjął też informację o tym, jak blisko Stany Zjednoczone znalazły się od podjęcia ataku atomowego na kraj, który — jak się teraz okazało — był niewinny zarzucanego mu czynu. Wprawdzie publicznie pochwalił postępowanie wiceprezydenta, w rzeczywistości był wstrząśnięty tym, z jaką łatwością Hamilton dał się namówić do użycia broni jądrowej i jak był bliski rozpętania wojny. Brennan zaczął poważnie rozważać dokonanie zmiany na stanowisku swego zastępcy w następnej kadencji.

Odbył długie narady z ekspertami od krajów muzułmańskich i z przywódcami innych krajów zachodnich, a także poświęcił wiele godzin żonie i dzieciom. W ciągu jednego tygodnia był kilka razy w kościele, gdzie zapewne szukał boskiej pomocy w rozwiązywaniu świeckich problemów ludzkości.

Od bezpiecznego powrotu prezydenta prasa światowa zaczęła coraz śmielej zajmować się żadaniami przedstawionymi przez porywaczy. Ponieważ po raz pierwszy żądaniom takim nie towarzyszyły stosy trupów i walące się budynki w stolicach Europy, Ameryki Południowej i Azji, zaczęto dyskutować o merytorycznej stronie żądań.

W końcu Brennan zwołał wspólne posiedzenie członków gabinetu, szefów Rady Bezpieczeństwa Narodowego i najważniejszych doradców wojskowych, by w tym gronie omówić żądania porywaczy.

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego natychmiast zgłosił protest.

— Panie prezydencie — powiedział dyrektor NSA. — Ich żądania są absurdalne. Nie możemy spełnić żadnego z nich. Są więcej niż niedorzeczne.

Głos zabrał sekretarz obrony Decker.

— Panie prezydencie, samo zastanawianie się nad spełnieniem takich żądań może być uznane za oznakę słabości naszego kraju.

Jednak Brennan był nieugięty.

— Zabrakło sekundy do wykonania wyroku śmierci na sześciu milionach ludzi. Wyroku, który, jak się później okazało, oparty był na fałszywych dowodach.

— Nie myśmy to zaczęli, panie prezydencie — obruszył się Decker. — A element ryzyka zawsze istnieje.

Brennan skarcił go wzrokiem.

— Jesteśmy jedynym na świecie supermocarstwem. Dysponujemy arsenałem jądrowym, który może zniszczyć cały świat. I nawet jeśli inni nie wykazują umiaru, my mamy obowiązek go zachować!

Niechętne spojrzenia, jakie rzucał swemu sekretarzowi obrony, wskazywały, że zmiana na stanowisku wiceprezydenta za nowej kadencji prezydenckiej Brennana może nie być jedyna.

W trakcie posiedzenia prezydent wyciągnął z kieszeni skrawek papieru. Była to kartka znaleziona w jego kieszeni po uwolnieniu. Raz jeszcze przebiegł wzrokiem jej treść: „Z wielkich poświęceń biorą się wielkie możliwości”. Jak uczyła historia i jego osobiste doświadczenia, przy takich okazjach rodzą się też wielcy prezydenci.

Odwrócił wzrok od Deckera i jego grupy z Pentagonu i spojrzał na Andree Mayes, swą sekretarz stanu.

— Myślę, że pora zabrać się do pracy — powiedział.

ROZDZIAŁ 70

Na cmentarzu w północnej Wirginii odbyła się prywatna uroczystość pogrzebowa Jacqueline Simpson. Wzięli w niej udział zrozpaczeni rodzice, bliscy przyjaciele rodziny, kilku politycznych notabli, delegacja Secret Service i ojciec chrzestny zmarłej, Carter Gray.

W kępie drzew opodal grobu stał też Oliver Stone, ubrany w nowiutki czarny garnitur i krawat kupiony mu przez przyjaciół. Z tej odległości nie słyszał wypowiedzianych przez pastora słów religijnej pociechy. Stał w ciszy, ze wzrokiem utkwionym w trumnę mieszczącą ciało jego córki Beth. Nie płakał. Właściwie sam nie bardzo wiedział, co powinien teraz czuć. Był jej ojcem, ale jakby nim nie był. Cieszył się nią przez pierwsze trzy lata, potem przez resztę życia była córką Simpsonów. Z racji wspólnie przeżytych lat miał do niej nikłe prawa. Ale nie mógł tu nie przyjść.

Po skończonej ceremonii i po rozejściu się żałobników wyszedł z ukrycia i podszedł do grobu. Grabarze zaczęli właśnie spuszczać trumnę do wykopanego dołu. Stone poprosił, Żeby się chwilę wstrzymali.

— Pan jesteś rodzina? — spytał jeden z nich.

— Tak — odparł. — Jestem rodziną.

Przez następne dwadzieścia minut klęczał przy grobie z ręką Ułożoną na gładkiej, wypolerowanej powierzchni trumny.

W końcu podniósł się na chwiejne nogi, pochylił, ucałował trumnę i położył na niej pojedynczy kwiatek. Stokrotkę.

— Żegnaj Beth — powiedział cicho. — Kocham cię.

Następnego dnia członkowie Klubu Wielbłądów spotkali się w służbowce Stone'a z Aleksem i Kate. Reuben trafił na krótko do szpitala, gdzie opatrzono mu rany i przy okazji zajęto się dwoma kamieniami w nerkach. Chastity doszła w pełni do siebie po przeżytych przejściach, które w jej pamięci nie zostawiły żadnego śladu.

Alex przyniósł z sobą gazetę, gdzie opisano okoliczności napadci, podczas której zginęła Jackie Simpson.

— Była prawdziwą bohaterką, a ludzie zapamiętają ją tylko jako ofiarę napadu na samochód — powiedział z goryczą.

— Mylisz się — zaprotestował siedzący przy biurku Stone. — Nie tylko tak.

Alex wolał nie ciągnąć tego tematu.

— Nie mogę się pogodzić — powiedział — że z Graya robią teraz bohatera narodowego. A przecież prawda jest taka, że był gotów zabić prezydenta. Należałoby coś w tej sprawie zrobić.

— Tylko że jak coś powiemy — wtrącił Reuben — to cała reszta też wyjdzie na jaw. A nie wiem, czy po tym wszystkim, co się wydarzyło, nasz kraj sobie z tym poradzi.

— Grayem my się zajmiemy — powiedział Stone cicho. — Osobiście tego dopilnuję.

Wszyscy spojrzeli na niego z zaciekawieniem, ale jego mina nie zachęcała do pytań.

Reuben podniósł się z miejsca.

— Dobra — oświadczył, odchrząkując. — Myślę, że czas dopełnić formalności. Niniejszym otwieram nadzwyczajne zebranie Klubu Wielbłądów. Z uwagi na godne reprezentowanie interesów Stanów Zjednoczonych oraz bezcenną pomoc okazaną członkom klubu stawiam wniosek o przyjęcie do klubu dwójga nowych członków. Agent Aleksa Forda i panią Kate Adams. Czy ktoś popiera mój wniosek?

— Popieram — wykrzyknęli jednocześnie Milton i Caleb.

— Kto jest za, proszę podnieść rękę.

Wniosek przeszedł jednomyślnie.

— Dobra, fajnie — odezwał się Alex — tylko muszę o coś zapytać. Skąd te wielbłądy?

— Wielbłądy to zwierzęta bardzo wytrzymałe i zawzięte — odrzekł Stone. — I nigdy się nie poddają.

— To jest wersja Olivera — wtrącił Reuben. — Ale prawda jest taka, że w latach dwudziestych istniał już jeden Klub Wielbłądów. Na każdym zebraniu jego członkowie wznosili szklanki i ponawiali przysięgę, że nie przestaną walczyć z prohibicją do ostatniej kropli whisky. I takie podejście mi się podoba.

Po zebraniu Alex został jeszcze chwilę, by pomówić z Oliverem w cztery oczy.

— A więc Oliver Stone naprawdę nazywa się John Carr — zaczął.

— Nazywał się. John Carr nie żyje — odrzekł Stone sucho.

— Oliver, powiedziałaś Grayowi, że własny kraj odebrał ci rodzinę. Co miałeś na myśli?

Stone ponownie zasiadł za biurkiem i zaczął przekładać jakieś papiery.

— Powiedzmy tyle, że w pewnym momencie uznałem, iż zakończyłem już służbę dla kraju, podczas gdy kraj był zdania, że taka służba nigdy się nie kończy. — Zamilkł i po chwili dodał: — Największą dla mnie tragedią jest to, że ucierpiała moja rodzina.

— Twoja córka miała na imię Beth? — spytał Alex ostrożnie. — Urodziła się w Atlancie?

Stone przyjrzał mu się uważnie.

— Skąd wiesz? — zapytał cicho.

Alex pamiętał wizytę w NCW i błąd w miejscu urodzenia, na jaki Jackie zwróciła uwagę. Tyle że w bazie danych nie było błędu i naprawdę urodziła się w Atlancie, nie zaś w Birmingham, skąd pochodzili Simpsonowie. A potem przypomniał sobie jeszcze ich wygląd: Simpsonowie wysocy i jasnowłosi, ich córka drobna szatynka. Nie musiał już nawet pytać o wygląd zmarłej żony Stone'a. Było oczywiste, że Jackie Simpson i Beth Carr to jedna i ta sama osoba.

— Widziałem jej dane osobowe — odrzekł krótko.

Stone obojętnie pokiwał głową.

— Przykro mi, Oliver — powiedział Alex, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Nie żałuj mnie. Zrobiłem w życiu mnóstwo takich rzeczy, za które sam siebie nienawidzę. Mógłbym próbować się tłumaczyć, że działałem dla dobra kraju, ale tak naprawdę to żadne tłumaczenie, prawda?

Carter Gray zakończył właśnie odprawę u prezydenta i kroczył po trawniku Białego Domu w stronę czekającego śmigłowca. Miał za sobą owocne spotkanie, choć w jego trakcie Brennan wygłosił parę dziwnych i — zdaniem Graya — dość niepokojących uwag o planowanych zmianach w amerykańskiej polityce wobec Bliskiego Wschodu. Otrząsnął się jednak szybko z tych myśli na widok mężczyzny stojącego za ogrodzeniem, który nie spuszczał z niego wzroku. Oliver Stone pokazał ręką Reubena na siodełku zabytkowego motocykla, potem wyciągnął ją w kierunku zachodnim. Gray podążył za nią wzrokiem i lekko skinął głową. Wiedział, o co tamtemu chodzi.

Kilka minut później limuzyna z Grayem w środku ruszyła za motocyklem Reubena. Tak jak przypuszczał, motocykl skręcił w stronę Cmentarza Narodowego w Arlington. Parę minut później zostawił swą ochronę w dyskretnej odległości i dołączył do Stone'a przy grobie Johna Carra.

— John, mogę ci poświęcić najwyżej dziesięć minut — zastrzegł się.

— Nazywam się Oliver Stone.

— Jak tam chcesz. — Wzruszył ramionami.

— I w zupełności wystarczy mi pięć minut.

— No to zaczynaj.

— W jaki sposób moja córka trafiła do Simpsonów? Wyglądało na to, że Gray jest tym pytaniem nieco zaskoczony, ale podjął temat.

— Jak wiesz, Roger Simpson i ja pracowaliśmy razem w CIA. Byliśmy z sobą bardzo zaprzyjaźnieni. A ponieważ Simpsonowie nie mogli mieć dzieci, uznałem to za dobre rozwiązanie. Ty z żoną nie mieliście żadnej rodziny, a nie mogłem zostawić dziecka na pastwę losu. Choć byli w Agencji

tacy, którzy uważali, że ona też powinna zginąć. Nie miałem pojęcia, że żyjesz.

— Pewnie zbyt usilnie nie szukałeś.

— Z twoją sprawą nie miałem nic wspólnego. Ani o niej nie decydowałem, ani jej nie tuszowałem. Szczerze powiedziawszy, po prostu uratowałem twojej córce życie.

— Ale nie zrobiłeś też nic, żeby zapobiec napaści na mnie i moją rodzinę, prawda?

— Naprawdę sobie wyobraziłeś, że możesz się po prostu wycofać i tak sobie odejść?

— Nigdy nie zdradziłbym interesów kraju.

— Nie o to chodzi.

— Właśnie o to!

Gray machnął ręką.

— To już stare dzieje — powiedział obojętnie.

Stone wyciągnął rękę w lewo.

— Tam leży twoja żona i to są twoje stare dzieje. I co, o nich też chcesz zapomnieć?

— Nie waż się mieszać do tego mojej żony — warknął Gray. — Masz jeszcze coś, o czym chcesz rozmawiać?

— Tylko jeszcze jedno. Chcę, żebyś się podał do dymisji.

Gray spojrział na niego, ale jego twarz nic nie zdradzała.

— Słucham?

— Chcę, żebyś natychmiast zrezygnował ze stanowiska szefa wywiadu. Już się do tego nie nadajesz.

— Żal mi ciebie. — Gray pokiwał ze smutkiem głową. — Naprawdę mi cię żal. Dobrze przysłużyłeś się krajowi, więc jeśli potrzebujesz czegoś, co ci ulży na stare lata, spróbuję ci pomóc.

— Podam do publicznej wiadomości wszystko, co wiem.

Gray spojrział na niego z politowaniem.

I oczywiście wszyscy ci uwierzą. Komuś, kto nawet nie istnieje. Albo może twojemu koledze, Reubenowi. Zajrzałem do jego akt. Jest w jeszcze gorszej sytuacji niż ty. A jeśli liczysz na Forda, że coś powie, to radzę się zastanowić. Nie zaryzykuje lat służby, żeby zdrzeć ze mną. I ma tyle oleju w głowie, że nie wpakuje kraju w takie szambo. Wracaj, John, do swojej mysiej dziury i tym razem wczłógaj się w nią na dobre.

— Potrzebna mi tylko twoja dymisja, nic więcej. — Gray

pokręcił głową z rezygnacją i bez słowa ruszył przed siebie. — Zanim odejdziesz, powinieneś tego posłuchać.

Gray odwrócił się i zobaczył w dłoni Stone'a mały reporterski magnetofon.

Stone nacisnął klawisz odtwarzania i chwilę później Gray usłyszał siebie, jak podczas spotkania na Morderczej Górze omawia zamiar zamordowania prezydenta. Stone nacisnął „stop” i Gray wybuchnął.

— Skąd, u diabła, miałeś...

Przerwał, gdyż zamiast odpowiedzi Stone uniósł telefon komórkowy.

— Przyjaciół dał mi ten telefon. Ma wbudowany dyktafon. A jako stary szpieg wiedziałem, jak to wykorzystać. — Wręczył Grayowi kasetę. — Będzie mi miło wysłuchać jutro rano komunikatu o twojej dymisji.. — Ruszył ścieżką między grobami, po chwili jednak zatrzymał się i obejrzał. — Obaj dobrze przysłużyliśmy się temu krajowi, Carter. Tylko że sposób, w jaki to wtedy robiliśmy, dziś już jest przestarzały. I chwała Bogu.

Gray stał z poczerwieniałą twarzą, ciężko dysząc.

— Nie jestem fanatycznym nadgorliwcem, ty łajdaku. Jestem patriotą!

— Jeśli mam być szczery, Carter, nie jesteś ani jednym, ani drugim.

— Nie? To mi może powiesz, kim jestem — sapnął ze złością. — No mów! Kim według ciebie jestem?

— Błądzisz.

Następnego dnia Kate i Alex spotkali się na lunchu. Cały Waszyngton nie mówił o niczym innym, jak tylko o nie spodziewanej rezygnacji Cartera Graya.

— Ale to chyba nie sprawka Olivera, jak myślisz? — spytała Kate.

— Myślę, że Oliver Stone jest zdolny do wielu rzeczy, o których nawet nam się nie śniło — odrzekł Alex cicho.

Po lunchu wzięli się za ręce i poszli na spacer w stronę dobrze im znanego budynku.

— Jakoś nie mogę się uwolnić od myślenia o tym miejscu — rzekł Alex, spoglądając na Biały Dom.

— Cóż, będę musiała nad tobą popracować, żeby zrobić ci w głowie miejsce na inne myśli. W końcu, agencie Ford, za parę lat będziesz wolnym człowiekiem.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Kiedy nie myślę już o sobie jako o kimś wolnym.

— Mam to potraktować jako komplement? — spytała.

Pocałował ją.

— To wystarczy za odpowiedź?

Stanęli, przypatrując się startującemu z lądowiska śmigłowcowi.

Na jego ogonie widać było insygnia NCW.

— Pewnie Gray odlatuje po pożegnalnej wizycie w Białym Domu — zauważył Alex.

— I krzyżyk na drogę — mruknęła Kate.

— Tylko że ten, kto przyjdzie na jego miejsce, może być równie bezwzględny.

— Lepiej mnie nie strasz.

— Jakoś tam będzie, póki ten tu zostanie — rzekł Alex z uśmiechem, pokazując głową w stronę parku Lafayette.

Na parkowej ławce siedzieli Stone i Adelpia z kubkami cafe w dłoniach.

Adelpia coś z ożywieniem mówiła, było jednak widać, że uwagę Stone'a zajmuje budynek po drugiej stronie ulicy.

Alex i Kate poszli dalej spokojni, że losy kraju są w pewnych rękach obywatela Olivera Stone'a i członków Klubu Wielbłądów.

PODZIĘKOWANIA

Oto lista tych, którym pragnę gorąco podziękować:

Michelle za to, że zawsze jest moją największą fanką i najlepszym krytykiem. Nadal mnie zdumiewa, że czytasz każde słowo w każdej kolejnej wersji.

Aaronowi Priestowi za to, że jest przy mnie od pierwszego dnia. Nic z tego nie. byłoby możliwe bez ciebie.

Maureen Egen, Jamiemu Raabowi, Tinie Andreadis, Emi Batalii, Tomowi Maciagowi, Karen Torres, Marcie Otis, Jasonowi Pinterowi, Miriam Parker i wszystkim pozostałym z Warner Books za to, że tak zawzięcie dla mnie pracują. Dziękuję i doceniam.

Lucy Childs i Lisie Erbach Vance za tysiące drobiazgów, którymi każdego dnia zajmujecie się w moim imieniu.

Frances Jalet-Miller za ogromne umiejętności edytorskie i niezwykłą głębię spojrzenia, co tak bardzo dało się odczuć przy tej książce. Dziękuję.

Artowi Collinsowi — serdeczne dzięki i wyrazy wdzięczności za przeczytanie pierwszych wersji.

Dr Monice Smiddy za wyczerpujące i przemyślane uwagi na tematy medyczne. Dzięki tobie skromny pisarz może uchodzić za geniusza kryminologii.

Dr. Johnowi Y. Cole'owi z Biblioteki Kongresu za fascynującą wędrowkę po zakamarkach biblioteki i za wspaniałą znajomość jej budynków i zbiorów.

Markowi Dimunationowi i Daniel De Simone z Biblioteki Kongresu za cierpliwe odpowiadanie na liczne pytania i za umożliwienie wizyty w czytelni działu książek rzadkich. To prawdziwy skarb.

Personelowi waszyngtońskiego biura (WFO) Secret Service USA składam najgorętsze podziękowania i wyrazy szacunku za wszystko, co robicie, i za chęć dzielenia się ze mną swą wiedzą.

Jennifer Steinberg za niezawodne uzyskiwanie odpowiedzi na moje wątpliwości „w ostatniej chwili”.

Marii Rejt za bardzo pomocne komentarze.

Bobowi Schule za przeczytanie tekstu, niesłuchanie cenne uwagi, wprowadzenie mnie w tajniki polityki energetycznej, ale przede wszystkim za bycie najlepszym przyjacielem, jakiego można sobie wymarzyć.

Nealowi Schiffowi za bezustanną gotowość dzielenia się wiedzą o FBI.

Charlesowi Veilleux za dogłębną wiedzę o broni palnej.
Tomowi De Pont za pomoc w tematyce finansowej poruszonej w powieści.

Dr Alli Galeria za bycie serdecznym przyjacielem i pozostawanie stale do naszej dyspozycji, a także za oświecenie mnie w sprawach ortodoncji i Indii.

Lynette i Deborah za pewne i rzetelne sterowanie „Enterprises”.

DAVID BALDACCI

David Baldacci, pisarz i prawnik w jednej osobie, z racji swojego wykształcenia i uprawianego gatunku literackiego jest często porównywany z Johnem Grishamem. Stawę przyniósł mu debiutancki thriller *Władza absolutna* (1996), sprzedany w ponaddwumilionowym nakładzie i sfilmowany przez Clintę Eastwooda. Kolejny thriller, *Dowód prawdy* (1998), został przez prezydenta Clintona zaliczony do jego ulubionych lektur. Autor jest regularnym gościem na amerykańskich i europejskich listach bestsellerów.

Cel, jaki stoi przed członkami tytułowego Klubu Wielbłądów, wyznawców teorii spiskowych, jest jasny: wyłapać wszelkie przekręty amerykańskiej administracji. Do czteroosobowej nieformalnej tajnej grupy należą niezwykle barwne indywidua pod światłym przywództwem człowieka, który oficjalnie nie istnieje - cementarnego dozorca o wiele mówiącym pseudonimie Oliver Stone. Przypadek sprawia, że stają się świadkami morderstwa Rychło wychodzi na jaw, że za zbrodnią stoi Narodowe Centrum Wywiadu. Mordercy pragną pozbyć się niewygodnych świadków, a członkowie klubu - rozwiązać zagadkę spisku, który, jak się okaże, może zagrozić bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych i doprowadzić do światowej konfrontacji. Ich jedynym sojusznikiem w tym nierównym pojedynku będzie agent Secret Ser-